Antoni Marczyński

GAZ *303*

Powieść sensacyjno-humorystyczna

Spis treści

01 Krwawa pręga
02 Ostrzeżenie
03 Porwanie w biały dzień
04 Uwięzieni
05 Chłodne nurty Wisły
06 Piękny pogrzeb
07 Znak życia od Wiery
08 Zamach na zbiega
09 Trzeba mieć nosa
10 Światowa sensacja
11 Pierwszy ślad
12 Rafał w Paryżu
13 Obowiązki małżeńskie
14 Radosna nowina
15 W kamiennej dżungli
16 Straszny sąsiad
17 Sygnał tonących statków
18 Stryj Wiery
19 Miłość taka i siaka
20 Same niespodzianki
21 Uroczyste przyrzeczenie
22 Pułapka
23 Niesamowite historie
24 Odjazd do Bolszewii
25 Gdy żywioł szaleje
26 Nad Złotym Rogiem
27 Stalingrad???
28 Strzał w nocy
29 Gaz *303*
30 Kuźnia śmierci
31 Genialny baran
32 Fotografia Daisy
33 Zdemaskowanie
34 Ręczne granaty
Epilog

Opracowano na podstawie wydania Biblioteki *Dziennika Poznańskiego*, Poznań 1932.

Rozdział I

KRWAWA PRĘGA

Podniósł rękę, taksówka zwolniła biegu, podjechała do chodnika, stanęła.

— Szpitalna 5 — rzekł, otwierając drzwiczki.

Bezmyślnie liczył łukowe lampy Alei Ujazdowskich, auta mknące naprzeciw na Nowym Świecie, zaś na Chmielnej dziewoje lekkiego autoramentu.

Wreszcie ulica Szpitalna. Wysiadł. Brama była jeszcze otwarta, lecz dozorca kroczył już przez sień z pękiem kluczy. Przybyłego znał widać, bo zaraz skręcił ku klatce schodowej i otworzył mu windę.

Pensjonat przy ulicy Szpitalnej zajmuje całe piąte piętro dużej kamienicy, klatka dźwigu wjeżdża wprost w korytarz i obcy nieposiadający klucza muszą dzwonić. Juliusz Solarski wyczekał się nieźle tym razem, zanim go pokojówka uwolniła z oszklonej celi zawieszonej nad pięciopiętrowym szybem.

— A, to pan — rzekła. — Pan dziedzic się ucieszy, wyglądał pana niecierpliwie. Zaniosłam mu właśnie kolację.

Przybyły skinął głową i ruszył dalej energicznym, żołnierskim krokiem.

Korytarz skręcał w lewo, a potem zwężał się i wydłużał w prosty, mdło oświetlony tunel, poznaczony po obu stronach prostokątami drzwi od pokoi pensjonatowych gości; ostatnie drzwi po prawej ręce wiodły do chwilowego mieszkania Zygmunta Solarskiego. Na desce z numerami wisiały prawie wszystkie klucze od pokojów, widać większość lokatorów jeszcze nie powróciła z miasta. I dlatego tak cicho tutaj tym razem — pomyślał Juliusz, który zetknął się tu nieraz z gwarem właściwym wielkim hotelom.

Nagle stanął jak wryty. Skrzydło jednych drzwi z lewej strony otworzyło się gwałtownie i na zewnątrz zamajaczył kobiecy profil z ustami rozwartymi do krzyku.

— Ratu…!!!

Nabrzmiały od zgrozy głos zamarł w pół słowa zduszony czyjąś dłonią, którą ręce napadniętej, obnażone, wijące się jak węże, próbowały oderwać. Potem ktoś wciągnął wyrywającą się kobietę do pokoju, drzwi zatrzasnęły się z łoskotem, klucz zazgrzytał w zamku i wszystko ucichło, wszystko zniknęło, tylko w miejscu, gdzie przed chwilą na tle prostokątnej smugi światła wydostającego się z otwartych drzwi szamotało się rozpaczliwie dwoje ludzi, wykwitła obecnie mała jasna plamka. Solarski pojął rychło, skąd się wzięła:

— Klucz wyjęto z zamka — warknął, podchodząc szybko ku drzwiom, poza którymi rozgrywać się musiała jakaś tajemnicza scena. — Mówią po rosyjsku jak rodowici Moskale — zauważył pochwyciwszy uchem strzępy rozmowy.

Po chwili zastanowienia wzruszył ramionami. Doszedł do przekonania, że tamtych dwoje jest albo małżeństwem, albo parą kochanków, lub wreszcie „kochającym się" rodzeństwem. Uznawszy tedy, iż nie miałoby najmniejszego sensu wtrącać się w czyjeś prywatne sprawy, postąpił krok naprzód, zamierzając ruszyć w swoją stronę, kiedy przykuł go znów do miejsca krzyk Rosjanina, nabrzmiały wściekłością i groźbą:

— Powiesz, żmijo, albo zatłukę cię na śmierć!

Solarski nie wierzył uszom. Bezwiednie cofnął się ku drzwiom, a dziurka od klucza pociągnęła go ku sobie niby magnes potężny; nie zastanawiając się, co czyni, pochylił się do niej i zajrzał tamtędy do wnętrza pokoju. Pośrodku, pod wiszącą lampą siedziała w fotelu młoda kobieta w pozie wyrażającej zupełną apatię; jej ręce spoczywające bezwładnie na kolanach były koło przegubów przewiązane czymś białym, jakby ręcznikiem, a podobna opaska przecinała jej twarz na wysokości ust.

— Związał ją i zakneblował jej usta — wyszeptał Juliusz ze zgrozą, po czym zaczął szukać wzrokiem napastnika, który stał gdzieś poza jego polem widzenia. Zobaczył go wreszcie. Mężczyzna wysunął się właśnie na środek pokoju i, potrząsając trzymanym w dłoni krótkim bykowcem, pochylił się nad swą ofiarą.

— Mówisz czy nie?! — zasyczał.

Kiedy wzruszyła apatycznie ramionami, zamachnął się, uderzył. Juliusz usłyszał złowrogie chlaśnięcie, głuchy jęk bólu i ujrzał gwałtowny skurcz ciała napadniętej.

Tego już mu było za wiele. Energicznie zapukał i nie czekając przyzwolenia nacisnął natychmiast klamkę. Ale drzwi nie ustąpiły, były zamknięte na klucz, o czym w swym wzburzeniu zapomniał.

— Otworzyć! — rzekł ostro i znów zastukał, jeszcze silniej tym razem. W odpowiedzi na to zgasło światło w pokoju i nastała grobowa cisza.

Przyłożył ucho do drzwi, nadsłuchiwał pilnie. Po chwili wyłowił szmer ostrożnych kroków, szelest jedwabnej tkaniny i echo gorączkowego szeptu: ktoś westchnął ciężko, ktoś nadepnął na skrzypiącą deszczułkę parkietowej posadzki, aż w końcu Juliusz zniecierpliwił się nie na żarty tą grą w ślepą babkę:

— Otworzyć albo zaalarmuję cały pensjonat i policję — oświadczył, zbliżywszy usta do dziurki w zamku.

To pomogło. Tam wewnątrz zajaśniało znów światło, zabrzmiały energiczne kroki i rozległ się chrobot klucza; ktoś otworzył drzwi ruchem ostrym, niecierpliwym i Juliusz Solarski przekroczył próg.

Badawczym spojrzeniem ogarnął cały pokój, umeblowany przyzwoicie, ale z przeklętym szablonem hotelowym, potem zerknął podejrzliwie w stronę łóżka już posłanego do spania, lecz niezmiętego, a wreszcie zwrócił oczy na stojącą na tle wielkiego lustra kobietę. I już nie mógł od niej oderwać wzroku. Oczarowała go z miejsca ta piękna nieznajoma, ujęła go za serce wiośnianą urodą i przepełnionym wdzięcznością spojrzeniem swoich wspaniałych podłużnych oczu. Aż nagle łoskot zatrzaśniętych drzwi przerwał tę niemą adorację; Juliusz odwrócił się na pięcie i stanął oko w oko z napastnikiem. Jegomość ten, liczący zapewne swoje czterdzieści wiosenek, wyglądał na skończonego dżentelmena i, gdyby nie scena, której Solarski był przed chwilą naocznym świadkiem, nigdy by tego wytwornego pana nie posądził o barbarzyńskie instynkty i chamskie maniery. Nie było jednak czasu na dalsze refleksje i obserwacje, bowiem Moskal, zamknąwszy drzwi, natarł z impetem na intruza:

— Kim pan jest i jakim prawem wdziera się pan do prywatnego mieszkania? — spytał ostro całkiem poprawną polszczyzną.

— Prawem dżentelmena, który słyszał jęki maltretowanej kobiety. Rozumie pan? — odparł Juliusz podobnym tonem.

Błyski hamowanego gniewu w nieco skośnych oczach tamtego ustąpiły miejsca doskonale udanemu zdziwieniu.

— Maltretowanej? — powtórzył zdziwiony. — Wiera, czy ja dobrze słyszałem? — zwrócił się do swej ofiary.

Nie odrzekła ani słowa; możliwe, iż nie słyszała, co do niej mówiono. Juliusz, obserwujący ją bacznie, odniósł wrażenie, że z obojętnością odnosi się do konfliktu mężczyzn, którego była w końcu główną przyczyną; ubodło go to trochę, ale wypalił prosto z mostu:

— Milczenie tej pani demaskuje pańską obłudę, ale dla mnie miarodajne jest przede wszystkim to, co sam słyszałem i widziałem!

— Och, i *widziałem*! Zatem dżentelmen podglądał przez dziurkę od klucza? — wtrącił Rosjanin zjadliwie.

— Wypraszam sobie zbędne uwagi, zrozumiano?!

— A ja mam ochotę wyprosić pana za drzwi, zrozumiano?!

— Wyjdziemy obaj w takim razie. Komisariat policji jest tu naprzeciw, przy ulicy Przeskok 2.

Tym razem cięty w języku Moskal zrezygnował z repliki. Łagodnie, niemal prosząco oświadczył, że przez wzgląd na narzeczoną pragnąłby uniknąć skandalu.

— Wieroczka, wyjaśnij panu, że jego rycerska interwencja jest naprawdę zbyteczna — rzekł, podchodząc do zamyślonej kobiety. Szeptem rzucił jakieś słowo, które ją zelektryzowało; ocknęła się z zadumy, spojrzała na Juliusza ciepło, serdecznie i zaczęła mówić z nerwowym pośpiechem:

— Borys Siemionowicz ma rację... Posprzeczaliśmy się troszkę, ot i wszystko. Nic poważnego doprawdy. Nic mi nie zagrażało, zapewniam pana, mimo to czuję się w obowiązku podziękować panu za dobre chęci i jego rycerskość. — Rzekłszy to podeszła do Solarskiego i podała mu dłoń wysoko, w taki sposób, jakby koniecznie chciała, aby ją ucałował. Uczynił to z zapałem, pochylił się przy tym i zadrżał. Powyżej przegubu zoczył na tej zgrabnej rączce szeroką krwawą pręgę, która wysunęła się teraz z szerokiego mankietu cape obszytej futrem.

— Pan także tutaj mieszka? — spytała nagle Wiera.

— Niestety nie. Tylko mój kuzyn, którego szedłem właśnie odwiedzić, kiedy posłyszałem odgłosy tej... „sprzeczki" państwa...

— Znowu kogoś diabli niosą? — sarknął Rosjanin, gdy w tej chwili zapukano do drzwi. — Raut u ciebie, Wieroczka, czy jak? Proszę wejść.

Tym razem stanęła w progu pokojówka, ta sama, która Juliusza wypuściła z windy. Zdziwiła się trochę znalazłszy go tutaj, a potem wyjaśniła, że *w jadalni jest telefon do pana*. Zwróciła się oczywiście do Borysa.

— Zaraz przyjdę — odparł, ekspediując pokojówkę wyniosłym gestem do drzwi, i spojrzał wyzywająco na Juliusza: *Czy pójdziesz nareszcie stąd, czy mam cię wyrzucić na zbity pysk?* Że jednak tamten był równie wojowniczo nastrojony, nastała chwila uciążliwego milczenia, które w końcu przerwała Wiera:

— Proszę iść załatwić swój telefon, Borysie Siemionowiczu, a pan dotrzyma mi towarzystwa przez ten czas, dobrze?

— Z największą przyjemnością — oświadczył z zapałem Solarski i nie bez wysiłku pohamował wybuch śmiechu, widząc minę wychodzącego Borysa.

Kiedy zostali we dwoje, Wiera podbiegła na palcach do drzwi i nadsłuchiwała przy nich przez kilkanaście sekund. Potem szybkim ruchem zrzuciła cape; bez tego okrycia, które dzięki futrzanemu kołnierzowi i szerokim rękawom pogrubiało jej smukłą sylwetkę, wyglądała jeszcze ponętniej. Nie dlatego jednak zdjęła sortie, ani nie po to, by zaprezentować swoją toaletę balową.

— Widzi pan? — spytała szeptem, wyciągając przed siebie obnażone ramiona, jędrne, toczone i... pokryte sińcami, a ponad przegubem dłoń przeciętą ukośna pręga. — Zasłoniłam się rękami, inaczej miałabym ślady na twarzy!

Solarski zgrzytnął zębami i zacisnął pięści.

— Jakim prawem ten łotr, brutal!... — wybuchnął.

Nie pozwoliła mu mówić. Impulsywnie położyła mu dłoń na ustach i obejrzała się trwożnie w stronę drzwi.

— Cicho! — wymamrotała. — Nie tu, nie trzeba teraz o tym mówić. Pański adres? — Szybko wyjął z portfela swój bilet wizytowy i wręczył go jej. — Dam znać, ale teraz niech pan już idzie do swego kuzyna.

— A czy nie lęka się pani?

— On zastanie te drzwi zamknięte — odparła. Pojęła z krzesła czarną narzutkę, laskę i melonik, a wypuszczając Juliusza z pokoju, rzuciła to wszystko w korytarzu na podłogę. — Tu je sobie znajdzie pan Łapin — zachichotała i kopnęła melonik tak, że potoczył się po dywanie jak piłka. Była to bardzo dziecinna zemsta, choć nie pozbawiona wdzięku w wykonaniu pięknej Wiery; tego zdania był przynajmniej Juliusz Solarski.

— Czy nie mógłbym być pani w czym pomocny? — spytał jeszcze, nie znajdując już innego pretekstu do zatrzymania czarującego zjawiska w uchylonych drzwiach.

— Pomocny? Mój Boże, gdyby pan miał dużo wolnego czasu, prosiłabym gorąco, by się pan mną zaopiekował w Warszawie. Taka tu jestem sama, zupełnie sama... Ale to śmieszne, co mówię, prawda? Cicho! Słyszał pan? Kroki! On wraca! Proszę odejść zaraz i unikać wszelkich konfliktów z Borysem. Błagam o to! — Posłała mu najpiękniejszy uśmiech, zamknęła drzwi, a chrobot klucza w zamku oznajmił Juliuszowi, że dzisiaj już nie ujrzy Wiery.

Rozdział II

OSTRZEŻENIE

Nazajutrz po południu zajechał do pensjonatu niski szpakowaty pan. Gospodyni pokazała mu apartament, którego okna wychodzą na Szpitalną, ale to mieszkanie nie przypadło do gustu gościowi.

— Nie lubię zgiełku ulicznego — rzekł i zażądał pokoju od strony dziedzińca.

Spełniła to życzenie, zaznaczając mimochodem (zapewne po otaksowaniu wzrokiem tandetnej jesionki gościa i jego tekturowej walizki), że nie ma pokoi poniżej dwudziestu złotych za dobę, i rozczarowała się przyjemnie, gdy przybyły machnął ręką wzgardliwie.

— Czy wolno wiedzieć, jak długo szanowny pan zamierza u nas pozostać? — spytała już całkiem uprzejmie.

— Może kilka dni, może kilka miesięcy — brzmiała ostrożna odpowiedź. — Wszystko zależy od tego, jak mi pójdą interesy. No tak, pokoik podoba mi się, owszem, owszem... A co jest za tą kotarą?

— Drzwi, proszę pana, ale z obu stron zamknięte na głucho.

— Tamten sąsiedni pokój jest zajęty? Można wiedzieć, kto tam mieszka? — spytał przybyły, skubiąc swoją „kozią" bródkę.

— Pewna Rosjanka, ale to bardzo spokojna osoba: nie gra, nie śpiewa, psów nie trzyma, na pewno nie będzie pan narzekał na sąsiedztwo.

— Daj Boże — westchnął gość, odwracając twarz ku oknu, by gospodyni nie dostrzegła chytrego uśmieszku zadowolenia, jaki mu zaigrał na wargach.

— Pan zapewne chce się odświeżyć po podróży. Przyślę za chwilę dzbanek gorącej wody i blankiet meldunkowy, który zechce pan zaraz wypełnić.

— Doskonale.

Kiedy przysłana pokojówka wkroczyła do pokoju nowego lokatora, *pan z bródką* już paradował w ciepłej piżamie, a z na pół wypróżnionej walizki spływała barwna kaskada próbek wełnianych materiałów.

— Podobają się panience, co? — zagadał łaskawie i przymierzył dziewczynie kolejno kilka najbardziej jaskrawych prostokątów materii. — Wełna pierwszorzędna. Już to nasze bielskie wyroby nie ustępują w niczym angielskim, a fabryka, której jestem reprezentantem, tworzy prawdziwe arcydzieła. O, proszę dotknąć paluszkami — zachęcał uprzejmie, choć „paluszki" przysadzistej dziewoi były grube i czerwone jak marchew pastewna. Po kilku dalszych komplementach i poufałym uszczypnięciu niewieściego podbródka nowy gość pozyskał sobie sympatię pokojówki, co w życiu pensjonatowym jest kwestią dużej wagi. Łypnąwszy okiem w korytarzu na wypełniony blankiet meldunkowy stwierdziła dziewoja, że pan Jan Sobieraj, agent podróżujący, to *całkiem porzomny gość* i w dwie godziny później przybiegła z przyjemnością oznajmić mu, że *telefon czeka w jadalni*.

— Telefon do mnie? — zdumiał się nowy pensjonariusz. — Nie, to chyba omyłka.

— Sama odbierałam — zaperzyła się dziewczyna. — Tamten pan powiedział wyraźnie,

żeby poprosić pana Jana Sobieraja.

Chwiejąc wciąż głową ze zdziwienia, agent pospieszył do jadalni, gdzie przy drzwiach wisiał aparat telefoniczny do dyspozycji pensjonatowych gości.

— Czy mówię z panem Sobierajem? — zarechotał w słuchawce męski głos, całkiem obcy i nieznany mężczyźnie z bródką.

— Tak. Z kim mam przyjemność?

— Tu firma *Humbug*, łaskawco. Dowiedziawszy się o pańskim przybyciu do Warszawy, zgłaszamy się sami do pana. Chcielibyśmy zakupić kilkaset kilometrów czarnego sukna z fabryki, którą pan reprezentuje... Interesuje pana zapewne, po co nam tyle czarnego materiału, co?

— Istotnie — wycedził ogłupiały, zaintrygowany. Ki diabeł wywąchał tak prędko jego adres i w jakim celu pokpiwa sobie z niego w ten sposób.

— Trzeba nam — ciągnął dalej nieznany dowcipniś — bo w tych dniach cała Warszawa przywdzieje żałobę po największym durniu, jakiego świat widział, mianowicie po panu Rafale Króliku, rzekomym Janie Sobieraju!

— Hęęę? — jęknął mały pan, ogłuszony jak po ciosie obuchem w głowę. — Kto tam mówi, do króćset? — huknął, oprzytomniawszy nieco.

— Tu mówi człowiek, który wobec pana nie żywił nigdy wrogich zamiarów, a który cię, idioto, zastrzeli jak psa, jeżeli zaczniesz się mieszać do spraw nie swoich. Mam tu na myśli młodą osóbkę nazwiskiem Wiera Rusanow, uważa pan?... Wiem wszystko. Że porucznik Juliusz Solarski był dzisiaj w waszej kancelarii, że prosił detektywa Szafrana, aby otoczył opieką pannę Rusanow, że detektyw, nie mając sam czasu, zlecił tę misję swojemu pomocnikowi, czyli panu, itd., itd. Wystarcza? Czy mam jeszcze powtórzyć słowa, jakie pan, niemądry pyszałku, wypowiedziałeś do Solarskiego?... *Może pan mi zaufać, poruczniku; pannie Rusanow włos z głowy nie spadnie, a jej wrogów unieszkodliwię w ciągu trzech dni*... No, tak pan powiedział, czy nie tak?

— Tttak — bąknął pod nosem zdruzgotany człowieczek. W pierwszej chwili zamierzał rzucić słuchawkę na widełki, ale po namyśle postanowił słuchać dalej, licząc, że tajemniczy a zuchwały rozmówca w zwycięskim zapale powie więcej, niżby jego interes i prosta przezorność wymagały.

— I jakże niedołężnie zabrał się pan do roboty — tryumfował tamten w dalszym ciągu. — Wojażer, biedna agencina zajeżdża do drogiego pensjonatu, wybiera pokój obok mieszkania Wiery, ach, i to jeszcze: przyjeżdża z dworca na godzinę przed przyjściem krakowskiego pociągu, którym powinien przyjechać z Bielska... Mówię to wszystko po to, aby pana czegoś nauczyć; lubię mieć do czynienia z mądrymi przeciwnikami, idiotów tępię bez litości!

— Niech się pan nie unosi, drogi Borysku — odciął się Rafał Królik; — bo ani trochę nie wątpię, że mam średnią przyjemność gawędzić z panem Borysem Siemionowiczem Łapinem, o którego „wytwornych" manierach coś niecoś słyszałem... No i co? Zaprzeczy pan? Czy raczej zagramy w otwarte karty?

— Dobrze! — padło twardo po krótkiej pauzie. — Zatem chcę być lojalnym przeciwnikiem i ostrzegam pana stanowczo przed…

— Wiem — wtrącił Rafał Królik z humorem — przed mieszaniem się w cudze sprawy... Niestety na tym właśnie polega wykonywanie zaszczytnego zawodu detektywa, że...

— Więc między nami walka na śmierć i życie!

Ten patetyczny frazes był jednak wypowiedziany takim tonem, że mały detektyw, nie grzeszący nigdy nadmiarem odwagi, bąknął pojednawczo:

— Czy nie mógłby mi pan zostawić trochę czasu do namysłu? powiedzmy trzy dni...

Sprawa jest bądź co bądź poważna, i...

— Trzy dni? Absurd! Trzy godziny, to zgoda. Zatem dzisiaj o siódmej wieczorem upłynie termin. Od pana zależy, czy potem będzie pan miał we mnie przyjaciela, czy nieubłaganego wroga.

— Niech będzie. Zatem o siódmej zakomunikuję panu moją decyzję. Pod jaki numer mam do pana zatelefonować? — spytał z głupia frant.

W słuchawce zaszemrała kaskada szyderczego śmiechu.

— Pan, mimo wszystko, jest sobie dowcipnym człowiekiem. Podać mu numer telefonu, no proszę; a może i adres, co? Nie, panie Królik! Uprościmy sobie tę sprawę. Jeżeli dzisiaj o godzinie siódmej będzie pan jeszcze sąsiadem Wiery Rusanow, to znak, że wybrał pan wojnę ze mną. I jeszcze dzisiaj odczuje pan na swojej skórze zgubne skutki tej lekkomyślności. Jeszcze dzisiaj, ostrzegam lojalnie! A teraz żegnam kochanego pana.

— A to bezczelny łobuz — mruknął Rafał z uznaniem, ukończywszy tę jedyną w swoim rodzaju telefoniczną rozmówkę. — Dzwonić do centrali telefonicznej i próbować ustalić numer tamtego aparatu to zbędna fatyga — rozumował. — Taki szczwany łotr na pewno nie telefonował ze swego mieszkania, ale z jakiej kawiarni albo z publicznej rozmównicy. Lepiej pojechać do Balcia po radę; przyjaźń przyjaźnią, ale dlaczego ja zawsze dostaję najcięższą robotę? — pochlebił sobie niezasłużenie.

Ubrawszy się pośpiesznie, pojechał do swego mistrza, lecz wielki Baltazar Szafran, zirytowany jakimś osobistym niepowodzeniem, zwymyślał go tylko od tchórzów i głupców, po czym kazał mu wracać na opuszczony posterunek.

— Ależ, Balciu kochany, ten bandyta odgrażał się wyraźnie, że dziś mnie jego zemsta dosięgnie — zakwilił Rafał Królik.

— Przechwałki, bufonada, ot co. Zresztą, skoro się pietrasz, to nie wychodź dzisiaj z domu i siedź kołkiem w swoim pokoju. Spluwę masz.

— Dwie — odparł przezorny Rafał, klepiąc się po obu kieszeniach spodni silnie ku piętom ciążącym dzięki takiemu balastowi — mały browning, dziewięciomilimetrowy mauzer, ponadto sztylet indyjski...

— Weź jeszcze siekierę i karabin maszynowy — parsknął detektyw, popychając strachliwego pomocnika ku drzwiom — zatelefonuj także do porucznika Solarskiego, aby ci ze dwie baterie haubic przysłał na Szpitalną, tylko mnie głowy nie zawracaj, kochasiu, bo mam ważniejsze zmartwienia.

W końcu jednak, zmiękczony gorącymi prośbami Rafała, przyrzekł, że koło siódmej przybędzie do pensjonatu i dotrzyma koledze towarzystwa. — Przyniosę szachy, żeby się nam nie nudziło — dodał beztrosko.

Mimo zapewnienia sobie tak poważnej odsieczy, przerobił Rafał swój pokój na małą twierdzę. Usadowił się w narożniku bliższym oknu, mając za plecami łóżko, a przed sobą mur foteli i biureczko w pośrodku. W jego uchylonej szufladzie spoczął większy rewolwer, mniejszy legł na biurku pod gazetą, indyjski sztylet ukrył się w rękawie, zaś drżące kolana ścisnęły jeszcze jedną broń, znalezioną już tutaj, na miejscu, mianowicie... pogrzebacz! Cały pokój został sumiennie przetrząśnięty tak, że nie tylko skrytobójca, ale nawet maszyna piekielna kieszonkowych rozmiarów nie zdołałaby się ukryć przy tej rewizji lokalnej, a z tą samą troskliwością zasłonił Rafał okno, zbadał zasuwę zabezpieczającą drzwi od pokoju pięknej sąsiadki. Tylko drzwi od korytarza pozostawił niezamknięte na klucz, aby nie być zmuszonym do wstawania, skoro służąca przyniesie kolację lub skoro nadejdzie oczekiwany tęsknie Baltazar.

— Żeby tylko przybył punktualnie — wzdychał, śledząc z wzrastającym podnieceniem większą wskazówkę budzika, która już dochodziła do rzymskiej dwunastki, podczas gdy jej

mniejsza siostrzyczka stała na siódemce.

— Zdaje się, że mam temperaturę; przeziębiłem się widać — mruknął, nie odrywając prawej ręki od gazety, pod którą leżał browning; lewą wyjął z kamizelki małe prostokątne lustereczko i postawił je na biurku przed sobą. — Bagatela, i język także obłożony. No tak, ale cóż to obchodzi Baltazara? Wysyła sobie ciężko chorego kolegę na niebezpieczny posterunek, jak gdyby nigdy nic, a sam siedzi w domu — narzekał i roztkliwiał się nad sobą.

— Sió-sió-dma — zabełkotał, zerknąwszy na budzik.

Kroki ucichły pod jego drzwiami, po chwili rozległo się pukanie.

— Kto tam?... Ty, Balciu?... Ehem, hum… proszę wejść — rzekł.

Odetchnął. Na progu stanęła tylko pokojówka. Nie ta, co przedtem, jakaś inna, wyższa i tęższa, ale i urodziwsza od tamtej. Bez słowa wyciągnęła rękę, skrytą wstydliwie pod białym fartuszkiem, i wskazała na łóżko.

— Panienka chce mi pościelić do spania, co? A, proszę, proszę — zagadał przyjaźnie, wskazując wzrokiem, który fotel ma odstawić, aby się przedostać przez te „okopy" ku łóżku. — Niezbyt rozmowna, ale ładna szelma — pomyślał, a upewniwszy się słuchowo, że w korytarzu panuje cisza, skierował wzrok ku lusterku... I skamieniał z przerażenia. Ujrzał ponad swoją głową dłoń uzbrojoną w ciężką, marmurową popielniczkę, dłoń, która spadała w dół z zatrważającą szybkością. Trwało to może ćwierć sekundy, może jej mniejszy ułamek, ale wystarczyło, by zbudzić drzemiący instynkt samozachowawczy. Rafał rzucił się twarzą na biurko, cios dosięgnął go w plecy, lecz podstępny napastnik „poprawił się" szybko...

Gdy w pół godziny później Baltazar Szafran zapukał do drzwi tego pokoju, nie otrzymał żadnej odpowiedzi; było tam złowróżbnie cicho i ciemno. Zaniepokojony tym, wszedł natychmiast, przekręcił kontakt światła i ujrzał swego pomocnika na łóżku.

— Żyje — ucieszył się, rozpoczynając energiczne zabiegi około przywrócenia przytomności Rafałowi. Ów żył rzeczywiście i stosunkowo rychło ocknął się z omdlenia, ale w głowie czuł taki zamęt, tak gadał od rzeczy, że cierpliwość detektywa pragnącego jak najprędzej wyjaśnić ten wypadek i rozpocząć pościg za napastnikiem, była wystawiona na ciężką próbę.

— Pokojówka — zabełkotał Rafał w końcu. Przyprowadzono mu do łoża kolejno całą służbę pensjonatu, lecz konfrontacja dała wynik ujemny.

— Proszę o listę gości — komenderował Szafran, kierując w ich stronę swoje słuszne podejrzenia. — Stefan Jarociński, Irena Bermańska, Wiera Rusanow — czytał półgłosem — Solarski, aha, to kuzyn naszego klienta, Michał Dudyk... proszę pani, dlaczego to ostatnio nazwisko jest przekreślone? — spytał gospodynię, przerażoną tajemniczym napadem na pensjonatowego gościa.

— Przekreślone, bo pan Dudyk wyprowadził się dzisiaj, wyjechał.

— Aha. O której godzinie?

— Teraz wieczorem, jakoś po siódmej. Mieszkał po drugiej stronie pokoju panny Rusanow.

— Od jak dawna tu mieszkał?

— Od trzech dni.

— No, to jesteśmy w domu! — mruknął detektyw, zacierając ręce. — Zechce mi pani tu przysłać pokojówkę, która obsługiwała tego Dudyka.

— Ach! — wrzasnął nagle Rafał.

— Och! — pisnęła do wtóru solidarnie gospodyni, wychodząca właśnie na korytarz.

— Co ci się stało? — spytał Szafran. Podszedł do łóżka i odebrał z osłabłej dłoni kolegi kartkę, którą ten znalazł w tej chwili. — Przeczytaj, Balciu kochany, — wymamrotał przerażony Królik. Detektyw podniósł kartkę do oczu i odczytał jej krótką treść:

To było nasze ostatnie ostrzeżenie, a teraz walka na śmierć i życie.

— Co ty na to, Balciu złoty?

— Ja? Nic. Przyjmuję wyzwanie! — odparł Szafran spokojnie, lecz z głuchą zaciętością.

— Tak — westchnął z rezygnacją poszkodowany — ty zawsze przyjmujesz wyzwanie, a poturbowanym jestem stale ja! Czy nie można by tego urządzić na odwrót?

Rozdział III

PORWANIE W BIAŁY DZIEŃ

W dwa dni po tak namacalnym ostrzeżeniu, Rafał Królik zluzował swojego mistrza w dyskretnym czuwaniu nad Wierą Rusanow i, obejmując na powrót swój posterunek, powiedział jakby w proroczym natchnieniu:

— Nic się nie wydarzyło, bo ty masz takie szczęście, ale teraz, zobaczysz. Czytaj jutro uważnie kronikę wypadków.

Detektyw pocieszył pesymistę przysłowiem, że *co ma wisieć, nie utonie*, i że tylko porządni ludzie umierają nagłą śmiercią, po czym odszedł do swego biura, zaś Rafał, ucharakteryzowany tym razem na sędziwego Izraelitę, zajął ich zwykły od kilku dni posterunek przy ulicy Szpitalnej, naprzeciw kamienicy numer 5. Tym razem nie czekał zbyt długo. Punktualnie o dziewiątej ukazała się w bramie smukła sylwetka obserwowanej Rosjanki. Wiera Rusanow rozejrzała się podejrzliwie i uskoczyła pod mur domu na widok taksówki, która wypadła z ulicy Przeskok i zwolniwszy biegu, podjechała zapraszająco do chodnika. Rafałowi również wydał się podejrzany manewr owej taksówki oraz pośpiech, z jakim pomknęła ku Brackiej, toteż zapisał sobie numer tego auta, a potem ruszył bez pośpiechu w ślady Wiery Rusanow. Trzymał się od niej w dość znacznej odległości, bacząc tylko, by jej ani na moment nie stracić z oczu.

— Jak zawsze, zaczyna swój ranny spacer od poczty — mruknął, kiedy przeszła przez jezdnię na jego chodnik u wylotu Szpitalnej na Plac Napoleona. Nie omylił się. Wiera wkroczyła do gmachu Poczty Głównej, nadała jakiś list polecony, potem zaś, jak zawsze, podeszła do okienka *poste restante*. — Znowu nic nie dostała — stwierdził.

Ulicą Warecką przeszła na Nowy Świat i zniknęła, zanim Rafał minął narożnik. Nie zmartwił się jednak tym faktem, przystanął koło kiosku z gazetami i zapalił papierosa,

— Krawcowa to drugi etap pracowitego dnia pięknej Wiery — monologował z humorem — trzecim będzie fryzjer lub magazyn z kapeluszami,

Tym razem proroctwo się nie spełniło. Panna Rusanow, wyszedłszy po dłuższej konferencji u krawcowej ze znanej Rafałowi kamienicy, zawróciła ku Marszałkowskiej przez Świętokrzyską i weszła do gmachu Pocztowej Kasy Oszczędności. Rafał Królik omal jej nie stracił z oczu, zagapiwszy się serdecznie na dwie limuzyny naładowane ludźmi i budzące sensację dzięki aparatowi do zdjęć kinematograficznych, który wraz z operatorem spoczywał na lewym przednim błotniku drugiego samochodu. Niemal w ostatniej chwili dostrzegł sylwetkę Wiery, znikającą w bramie PKO i popędził za nią zaciekawiony jakie transakcje finansowe zamierza załatwiać śledzona dziewczyna.

Tymczasem obie limuzyny przystanęły u stóp schodów gmachu. Gromada aktorów czy statystów wysypała się na chodnik, a wódz tego towarzystwa, zapewne reżyser, podszedł szybko do policjanta regulującego ruch na ciasnym skrzyżowaniu ulic Jasnej i Świętokrzyskiej.

— Jesteśmy z wytwórni *Iskra-Film* — rzekł, uchylając grzecznie kapelusza. — Zamierzamy właśnie nakręcić tu jedną scenkę.

— Ach, to panowie — zainteresował się posterunkowy, który przypadkowo był zawziętym kinomanem i wiedział już z gazet o nakręcaniu nowego obrazu znanej zaszczytnie wytwórni *Iskra*. — Czy mam być panom w czym pomocny? — spytał uprzejmie.

— Właśnie o to chodzi — wtrącił tamten z wielką skwapliwością. — Będziemy tu nakręcali scenę porwania córki bogatego bankiera. Film dźwiękowy, uważa pan? Artyści będą krzyczeć, mówić, strzelać, obawiam się więc, by ktoś z gapiów, oczywiście niewtajemniczonych, nie narobił nam bigosu.

— Och, może pan być spokojny.

— To się tak mówi, panie przodowniku. Jednakże miałem w swej praktyce wypadek, że przy nakręcaniu podobnej sceny jakiś półgłówek rzucił się ratować napadniętą bohaterkę dramatu, przewrócił nam aparat i...

— Tu się to nie zdarzy, ja w tym — przerwał posterunkowy, zaawansowany na przodownika. Strasznie był dumny, że jemu właśnie przypadł zaszczyt asystowania przy zdjęciach i cieszył się już na myśl, iż będzie później oglądał ten obraz na ekranie wraz ze swoją narzeczoną. — Wysunę się troszkę, aby i mnie chwyciło na taśmę — kalkulował chytrze w duchu.

Przymierze tak energicznych wodzów, jak ów reżyser z tekturową tubą, dyrygujący aktorami, i posterunkowy-kinoman, trzymający w ryzach gapiów, pozwoliło ukończyć przygotowania do zdjęć w ciągu dwóch minut. Artyści grający apaszów przyczaili się w malowniczych pozach za kolumnami gmachu, operator ustawił swój potężny aparat tuż obok głównego wejścia do banku, a reżyser wstąpił na stopnie amfiteatralnych schodów i podniósł dłoń na znak, że pragnie przemówić.

— Panie i panowie! — huknął przez tubę. — Będziecie na ekranach oglądali ten obraz, spodziewam się więc, że we własnym interesie nie przeszkodzicie nam. Nie utrudniajcie ciężkiej pracy artystom. Kiedy gwizdnę, musi zapanować grobowa cisza. Ani zakaszleć nie wolno, ani krokiem postąpić... Za to potem, skoro samochody ruszą pędem, możecie hałasować, co wlezie. Proszę o to nawet. Wołajcie wtedy: *Policja! Łapać! Trzymać!...* I nie przestraszcie się huku kilku wystrzałów, ślepe naboje nie uczynią nikomu krzywdy... A po skończonym ujęciu nie żałujcie braw artystce, na której barkach spoczywa ciężar tej sceny.

— A gdzież ona? — spytał ktoś z tłumu.

— Już dawno jest w gmachu. Musi się skupić, zrozumcie to, dlatego przystałem chętnie, aby tam zaczekała.

— Kto to jest, proszę pana? Smosarska czy Malicka?

Tajemniczy uśmieszek zaigrał na twarzy reżysera.

— Zobaczycie sami, ale wątpię, czy ją poznacie w tej roli.

— Ja poznam od razu — mruknął policjant, odpychając pulsujący łuk tłumu. — Gdzie się pani pcha? Panie szanowny, taki pan duży, a taki jeszcze ciekawy. Nie kuścież mnie, pókim dobry, albo zepchnę całe towarzystwo na drugi chodnik — odgrażał się, zerkając wciąż ku drzwiom PKO. Wchodzić tam nikt teraz nie wchodził, bo każdy wolał zaczekać na zdjęcia, ale raz po raz wychodził ktoś stamtąd i tych pomocnik reżysera, a zarazem specjalista od „czarnych charakterów" (jak się już rozniosło wśród tłumu), wypraszał uprzejmie ze schodów, aby nie zawadzali.

Wtem... z drzwi głównych wypadł jakiś aktor ucharakteryzowany na typowego apasza, z nieodzownym szalikiem na szyi, i podbiegł do reżysera. Ten skinął głową i podniósł dłoń z tubą.

— Proszę o spokój! — krzyknął. — Zaczynamy!

Nastała cisza cmentarna zakłócana niekiedy echami ruchu ulicznego z zawsze ożywionej ulicy Marszałkowskiej. W wejściu do PKO stanęła młoda, wytwornie ubrana dama i przystanęła

jakby onieśmielona czy zdziwiona na widok takiego tłumu przygodnych gapiów.

Przeraźliwy gwizd przeszył powietrze.

— Czarny charakter, zaczynać! — zahuczała tubalnie luba.

Specjalista od „czarnych charakterów" przyskoczył jednym susem ku stojącej kobiecie i chwycił ją za ręce.

— Mam cię, ptaszyno! — wrzasnął.

— To pewnie Samborski — pisnęła jakaś jejmość z tłumu.

— Pssst! Cicho tam! Zamknij pani jadaczkę! — upominano ją z różnych stron coraz głośniej, zagłuszając pierwsze okrzyki napadniętej.

— Co to znaczy?! Na pomoc!

— Amantka głośniej! — ryczał megafon.

— Ratujcie!

— Apasze naprzód! — dyrygował reżyser.

— Policja!... Ludzie, ratujcie mnie!... Precz, łotry! — krzyczała kobieta, nie rozumiejąc, dlaczego policjant i ten olbrzymi tłum spogląda obojętnie na zuchwałą napaść. Szamotała się rozpaczliwie, lecz cóż mogły wskórać jej słabe dłonie, do pieszczot stworzone, nie do walki. — Ratujcieeee!

— Dobrze gra. Bardzo dobrze — chwaliły kumoszki.

— To Baśka Orwid[1].

— Idźże pan, Baśka jest niższa.

— Wiem, to Batycka[2].

— Ciszej, gaduły zatracone.

— Na pomoc!... Policja! To Borys Łapin!... Aresztujcie go, ja...

Dłoń jednego z napastników spadła na rozkrzyczane usta.

— Motory w ruch! — ryknął reżyser.

Kierowcy obydwóch samochodów zaczęli gazować silniki potężnych maszyn i w miarowych odstępach powtarzać sygnały trąbką, a tymczasem czwórka napastników wlokących napadniętą kobietę zstępowała już z najniższych stopni na chodnik.

Nagle... zaszła rzecz, zupełnie nieoczekiwana przez widzów. Z drzwi banku wypadł jak bomba sędziwy Izraelita, w trzech susach przebył schody, tak że jego przestronny chałat utworzył jakby spadochron, i rzucił się na apaszów.

— Widzi pan? — krzyknął reżyser z wyrzutem do policjanta. — Znowu znalazł się wariat.

Posterunkowy ruszył do ataku jak burza i w pięć sekund później już trzymał za kołnierz niepowołanego aktora, który wrzeszczał, jak opętany:

— Puścić mnie! Jestem detektywem! Aresztować tych ludzi natychmiast!

— Ależ, panie szanowny, to aktorzy filmowi.

— Hę? Jak? Aktorzy? — Rzekomego Izraelitę, czyli Rafała Królika, zdetonowało to wyjaśnienie i anielski uśmiech wyrozumiałości na poczciwej twarzy posterunkowego.

— Hej, posterunkowy, wziąć precz tego Żyda, niech nie przeszkadza — żądał tłum; dwóch mężczyzn skoczyło na pomoc policjantowi i pomogło mu ofiarnie w przetransportowaniu Rafała Królika, w którym na nowo zbudziły się wątpliwości i wynikająca stąd chęć spieszenia z pomocą Wierze Rusanow.

— Proszę wylegitymować tych ludzi. Żądam tego kategorycznie! — krzyczał. Próbował oswobodzić dłonie, by przede wszystkim własną legitymację okazać swoim pogromcom, ale ci trzymali go tym mocniej, im gwałtowniej się wyrywał i szarpał. — To jest napad! Pan jesteś idiotą, kretynem!

Reżyser wyrwał z kieszeni rewolwer i wypalił w powietrze kilkakrotnie, zagłuszając detonacjami dalsze wrzaski Rafała.

— Operator do auta! Zbliżenie! — zaryczał znów megafon.

Dwóch mężczyzn porwało dużą kamerę wraz ze statywem i podbiegło do pierwszej limuzyny, po czym nakręcili z bliska scenę, w której porwaną kobietę siłą wepchnięto do wnętrza samochodu.

Reżyser znów rękę podniósł.

— Cicho tam!

— Zatkajcie gębę temu głupcowi — wołano pod adresem opiekunów Rafała Królika.

— Szanowni Państwo — oznajmiał reżyser — teraz rozpoczniemy nakręcanie sceny ucieczki z porwaną. Dziękuję wam za łaskawe względy, jakie nam tu okazaliście, i proszę o brawa dla artystki, która tak znakomicie się wywiązała ze swego zadania.

— Ale kto to jest? Nie poznaliśmy.

— Dowiecie się jutro z gazet — odparł, wsiadając do pierwszego samochodu.

— Niech żyje reżyser! — pisnęła jakaś leciwa dziewica.

— Niech żyje! — powtórzyło kilkadziesiąt głosów niewieścich. Mężczyźni woleli oklaskiwać piękną nieznaną artystkę, być może debiutantkę, której zmieniona z przerażenia twarz zamajaczyła na chwilę za szybą limuzyny.

— Ratujcieeee! — zabrzmiało po raz ostatni.

Operator z resztą trupy umieścił się w drugim aucie i oba wozy ruszyły z miejsca wśród grzmotu hucznych oklasków. Nawet policjant klaskał, z czego skwapliwie skorzystał Rafał Królik. Rozepchnął brutalnie swych prześladowców, popędził pustą jezdnią, dopadł w kilkunastu susach pierwszego samochodu, nierozpędzonego jeszcze i sunącego dopiero drugim biegiem, wskoczył na stopień. Ujechał tak z trzydzieści metrów, gestykulując z ożywieniem, gdy nagle otwarły się drzwiczki i kilka silnych łap wciągnęło go do wnętrza tylnej klatki limuzyny.

— Dobrze mu tak. Niech mu dogrzeją, wariatowi. Niech go spiorą na kwaśne jabłko — padały okrzyki z rozweselonego tłumu, bowiem ujrzano już, że ciemne firanki opadły we wszystkich oknach pierwszego samochodu.

— Proszę się rozejść. Proszę nie robić zbiegowiska. Co się stało, pyta paniusia? Robiono zdjęcia filmowe, pani się spóźniła — huczał policjant.

---

[1] Barbara Orwid (1909-19982) – polska przedwojenna aktorka filmowa. Była żoną reżysera Leonarda Buczkowskiego i zagrała w kilku jego filmach.

[2] Zofia Batycka (1907-1989) – aktorka, Miss Polonia 1930, Wicemiss Europe 1930, Miss Paramount 1931.

Rozdział IV

UWIĘZIENI

Po odzyskaniu przytomności uczuł Rafał nieodpartą chęć do... wywnętrzenia się.

— Za dużom sobie łyknął chloroformu czy innego eteru — utyskiwał, rozpamiętując szczegóły zaciekłej walki, jaką stoczył z prześladowcami Wiery Rusanow; przytrzymali mu ręce, a potem przycisnęli jego twarz do chusteczki, skropionej uczciwie jakimś narkotykiem.

— Ściśle biorąc, narkoza nie jest rzeczą złą — mruknął, bowiem z kolei przypomniał sobie kilka motywów przyjemnego snu, jaki prześnił w ciągu szybkiej jazdy przez miasto — tylko potem ciągnie człowieka do stolicy Łotwy więcej niż po imieninowym pijaństwie.

W przewidywaniu morskiej choroby poderwał się, ale jeszcze gwałtowniej runął na wznak na podłogę. Z pewnym zdziwieniem stwierdził dopiero teraz, że jest związany, i to bardzo dokładnie; to niemiłe odkrycie pochłonęło jednak jego uwagę do tego stopnia, że nudności mu przeszły i niebawem zapomniał o swoich przygotowaniach do nieuniknionych, zda się, torsji.

— Głupia sytuacja — burknął, szamocąc się na próżno w więzach. — Pan Onufry Zagłoba był w podobnym położeniu w owym chlewiku, ale jego przywiązali do szabli. Ba, żeby tak mnie przytroczyli do brzytwy albo noża, także bym wiedział, co począć — monologował. — Rozejrzyjmy się przynajmniej, gdzie jesteśmy.

Łatwo to było powiedzieć, trudniej wykonać, ze względu na egipskie ciemności panujące w tym więzieniu. Wymiarkował tylko tyle, że znajduje się w jakiejś rozległej a skąpo umeblowanej sali, gdyż echo rozbrzmiewało tu w taki sposób, jak w sali gimnastycznej.

To pierwsze odkrycie nie zaspokoiło bynajmniej jego ciekawości, przeciwnie zaostrzyło ją tylko. Nie mogąc pełzać w więzach, pokatulał się w kierunku wybranym na chybił trafił, póki niewidzialna przeszkoda nie zatrzymała go w tym pochodzie; nie była to jednak jeszcze ściana sali, jak wnet wypenetrował, ale wysoki drewniany stopień jakiegoś podium czy estrady.

— Już wiem — mruknął — to jest kościół, a ja doczołgałem się właśnie do stopni ołtarza. Pysznie! Tam, pod spodem będzie świetna kryjówka.

Zaczął się znów kulać, tym razem wzdłuż owej niskiej, drewnianej ścianki podium i wreszcie, w wąskim kącie, natrafił na spodziewany wyłom. Kiedy jednak runął weń z rozmachem, odbił się od krawędzi platformy, a to bolesne dlań zderzenie zbudziło liczne a bardzo dźwięczne echa nad jego głową. Przebrzmiały wszakże rychło, ponownie cisza rozdzwoniła się w sali i można było przystąpić do powtórzenia eksperymentu, bez powtarzania błędu, jakim była próba wkulnięcia się w tak niziuteńki tunel.

— Tutaj trzeba wpełznąć — orzekł trafnie. Ułożywszy się na wznak, skurczył korpus, wyprężył się, znów skurczył i wyprężył i powoluteńku, decymetr za decymetrem wjeżdżał pod stopnie rzekomego ołtarza, wysyłając stopy w przedniej straży. — W samą porę — odsapnął, skoro i głowa znalazła się w schowku, niezmiernie zasobnym w śmieci i firanki z pajęczyn, bowiem w tym samym momencie zazgrzytał klucz w zamku i jakieś drzwi skrzypnęły żałośnie, a wszelkie odgłosy rozbrzmiewały w tej pustej sali bardzo donośnie.

— Dwóch ich weszło — wyszeptał, wsłuchując się w dudniące echa kroków. — Po mnie

przyszli, jak amen w pacierzu... Oho, już mnie szukają.

Omylił się na szczęście. Przybyli nie należeli snadź do podwładnych Borysa Łapina, który w biały dzień porwał w centrum miasta Wierę Rusanow i Rafała Królika, skoro nieobecność Rafała, porzuconego w więzach na środku sali, nie wywarła na nich żadnego wrażenia. Roznieciwszy światło, przechadzali się tam i na powrót, gawędząc z taką swobodą, jak gdyby byli zupełnie pewni, że prócz nich dwóch nikogo tu więcej nie ma.

— To był majstersztyk, towarzyszu. I ryczeć mi się chce ze śmiechu, gdy pomyślę, że ten głupkowaty policjant jeszcze mu dopomógł w porwaniu. Ba, nawet za kark przytrzymał tajnego szpicla, który omal Łapinowi całej tej koronkowej roboty nie pokrzyżował, che, che, che, che, che, che, che. Świetny kawał, najświetniejszy, jaki znam — ryczał jeden z przybyłych, którego Rafał, chciwie nadsłuchujący, nazwał w myśli *basem*...

— Tak, kawał był dobry — przyznał drugi mężczyzna — ale czy przez to co wskóramy? Czy odnajdziemy naszą cenną zgubę?

— Oj, że cenna musi być, to prawda, inaczej nie robiliby takiego piekła. Dość powiedzieć, że sam Woroszyłow[1]...

— Woroszyłow? — Bezmierne zdumienie zadźwięczało w głosie pytającego.

— Tsss! Sza, towarzyszu... Rozumiecie teraz, że Łapin, naciśnięty przez naszego starego, nie cofa się przed niczym, byle...

— No, zgoda, lecz...

— Pozwolicie, że i ja wam przerwę... Łapin rozumuje słusznie, że jeżeli Fiodor Rusanow zniknął sobie tak podejrzanie, to kto jak kto, ale jego ukochana córunia będzie najpewniej znała jego kryjówkę, że wystarczy umiejętnie przycisnąć piękną Wierę, a tajemnica przestanie być tajemnicą,
uważacie?

— Hum. Zatem on zwiał po prostu. A jednak do wczoraj utrzymywała się hipoteza uprowadzenia przez Intelligence Service.

— Ech, towarzyszu, mieliby Anglicy kogo porywać. Uczonego? Mają dosyć własnych, che, che, che. Dla mnie sprawa jest jasna: staruszek zasmakował w Paryżu, wracać nie chciał do matuszki Rosji, aż dostał takie zaproszenie, że po nim wolał już całkiem nie wracać.

Rafał Królik podsłuchiwał z zapartym oddechem. Pojął od razu, że rozgłoszenie faktu zniknięcia Rusanowa nie leżało w intencji bolszewików, skoro nie było o tym najmniejszej wzmianki w prasie, że ów Rusanow musiał być jakąś grubą rybą, jeżeli sam Woroszyłow o niego z Moskwy zapytywał, i nagle ocknął się w nim reporter; wszakże był dawniej reporterem *Kuriera* i tylko przypadek zmusił go do obrania obecnego zawodu detektywa. — A to ci byłaby sensacja pierwszoklaśna — myślał i w myśli dłonie zacierał, bo z powodu więzów nie mógł niestety wykonać swojego ulubionego gestu zadowolenia. — Ze trzy bite kolumny ulepiłbym z tego, jak ulał.

Gorąco mu się zrobiło na myśl o sławie, jaką by zyskał w dziennikarskim światku warszawskim, ale równie skutecznie wpłynęła na podniesienie temperatury atmosfera ciasnego więzienia; w niziutkiej kryjówce było nie tylko przeklęcie duszno, ale także brudno, a chmary kurzu wywoływały ustawicznie chęć kichania. Z tych głównie powodów, a także, by słyszeć dokładniej, zdecydował się Rafał przysunąć głowę do otworu, poprzez który wczołgał się tutaj przed jakimś kwadransem; zdecydował się tym łatwiej, że cały prostokątny otwór znajdował się w sferze cienia.

— Łobuz, a nie kościelny — myślał ze zgorszeniem, napotykając raz po raz na sterty niedopałków z cygar i papierosów, brnąc w zaspach śmieci i prując głową istne zasieki pajęczyn. — Nie nazywam się Królik, jeżeli tego draba nie zdemaskuję. Nie dość, że sobie śmietnik

urządził pod stopniami ołtarza, jeszcze wypożycza świątynię bolszewikom na ich pogawędki. Och, tego już nadto! — oburzył się, kiedy potrącił nosem coś, co przypominało uderzająco szyjkę odwróconej butelki; pełnej, sądząc z oporu, jaki stawiała powitalnym szturchańcom zaciekawionego, reporterskiego nosa. — Tak mi ogromnie wyschło w gardle — westchnął Rafał, który nagle poczuł wielką sympatię do nieznajomej butelki. — Ciekawym, co ten szelma pija? Hej, sługo boży, zasłużyłeś uczciwie, by ci to do dna wyduldać — odgrażał się, choć zdawał sobie sprawę, że bez pomocy rąk nie dokona tego dzieła...

Tymczasem dwaj Rosjanie, znudzeni spacerem usiedli gdzieś w drugim końcu sali. Z urywków rozmowy, prowadzonej półgłosem domyślił się Rafał, że oczekują tu kogoś starszego od nich rangą czy stanowiskiem. Ów nadszedł w końcu, odprowadzony z honorami aż do drzwi przez jakiegoś prostaka, który zabawnie szurgał nogami i obsypywał gościa tytułami zgoła „kontrrewolucyjnymi", jak na to bolszewickie towarzystwo.

Przybyły dygnitarz przywitał się chłodno z czekającymi, po czym od razu przystąpił do rzeczy, posługując się stylem kunsztownie lakonicznym:

— Łapina nie ma, wiem. To źle! On powinien czekać, nie my. W ogóle jestem z niego niezadowolony. Robi głupstwo za głupstwem. Porwanie Wiery Rusanow było idiotyzmem. Zarówno sam fakt, jak przede wszystkim wykonanie. Poseł nie ma dość słów potępienia. Jeśli stary Rusanow istotnie uciekł, należało córkę śledzić dyskretnie, aż sama nas do kryjówki zaprowadzi. To trzeba naprawić, Wasylu Iwanowiczu. Schwytanego szpicla...

— O mnie mówi — mruknął Rafał Królik, obrabiając zębami korek swej butelki, najbardziej uparty korek z dotychczas spotkanych w życiu.

— Schwytanego szpicla trzeba spławić tej nocy, ale tak, aby jego śmierć wyglądała na nieszczęśliwy wypadek.

— Wisłę mamy pod nosem, towarzyszu Laksberger, chu, chu, chu — zarechotał *bas*, a biednemu Rafałowi dusza się spociła na takie dictum.

— Wisła? Można. Dobry pomysł. Wszystko, co miał przy sobie, włożyć mu na powrót w kieszenie, żeby policja nie miała kłopotu z identyfikowaniem zwłok. Utopić zgrabnie, bez śladów wszelkiej walki.

— Zrobi się, towarzyszu. Sam dopilnuję.

— To nasza specjalność — dorzucił drugi.

Rafał Królik westchnął smętnie nad swoją niedolą.

— Bardzo miła kompania — syknął z wisielczym humorem i z nagłą determinacją zaatakował butelkę; postanowił urżnąć się choćby do nieprzytomności. — Nie będę nikogo o litość prosił. Pójdę na śmierć, jak w taniec. Co? Ja się boję? Kto to powiedział!? — rozmawiał z duchem swoim, bardzo sympatycznym duchem, ale znacznie tchórzliwszym niż wyszczekany język. — Jeśli się chcę napić, to dla fantazji tylko, rozumiesz, kpie? — rzekł duchowi onże język Rafała, po czym zęby wgryzły się raz jeszcze w przeklęty korek, daleko z ciemności wystający i jakby już wydrążony przez stare razy korkociągu, lecz pomimo to niesłychanie oporny, rzekłbyś: wmurowany. Gotując się do ostatecznej rozprawy z tym klinem, odgradzającym go od spodziewanego likworu, który męstwo wlewa w żyły męża, wciągnął Rafał w płuca wielorybi haust powietrza, aż mu w skroniach zadźwięczały „dzwonki alarmowe"...

— Z Wierą Rusanow pomówię sam — ozwał się towarzysz Laksberger, spacerując po sali w towarzystwie dwóch satelitów. — Gdzie są więźniowie?

— Tu-tutuuu! — zabrzmiało z kąta donośnie i dźwięcznie.

— Co to? — wrzasnął Laksberger.

— Istotnie, co to było?

— Jakby saksofon.

— Raczej klarnet.

— W każdym razie jeden z tych instrumentów.

— No, darujcie, towarzyszu, ale żaden instrument nie zagra bez...

— Cicho! Słyszeliście? Tam się coś poruszyło.

Trzej mężczyźni naciągnęli szybko na twarze czarne domina, wydobyli broń i w przezornej tyralierze ruszyli w stronę podium orkiestry, pod którym Rafał Królik dzwonił zębami na alarm; poniewczasie zrozumiał swoją fatalną omyłkę i miotał straszliwe przekleństwa na ustnik jakiegoś instrumentu, który w ciemnościach upodobnił mu się do szyjki butelki. Na nic się nie zdało, że na powrót wpełznął głębiej. Wyciągnięto go za kark, a widok trzech zamaskowanych drabów i trzech rewolwerów wymierzonych tak zachęcająco wykruszył z niego ostatnie grudki odwagi. Stał na gumowych nogach przed straszliwym areopagiem, który przed chwilą wydał nań wyrok śmierci, i nieprzytomnym wzrokiem wodził dokoła. To nie kościół, ale jakaś gorsza salka dancingowa, przemknęło mu przez myśl, gdyż jego tępe spojrzenia musnęły rozwieszone girlandy na ścianach, dwa rzędy stolików z krzesłami, i utknęły na estradzie orkiestry, gdzie w nieładzie leżało mnóstwo instrumentów muzycznych. A potem strach go ogarnął, że chyba zwariował, skoro tak bezwartościowe spostrzeżenia pochłaniają jego uwagę teraz, w ostatnich godzinach życia.

— Ach, to jest ów szpicel — rzekł towarzysz Laksberger. — No, jutrzejszy nieboszczyk nie jest dla nas groźny — dodał, zrywając z twarzy domino, a dwaj inni poszli za jego przykładem. — Odprowadźcie go do piwnicy i wracajcie tu zaraz; będziecie mi potrzebni.

Dwóch rosłych drabów wzięło Rafała w środek. — Marsz! — huknął *bas*, darząc więźnia takim szturchańcem, że ten nakrył się nogami… związanymi.

— Co to znaczy? — zaprotestował płaczliwie. — Na łubiance jestem, czy gdzie?

— Niech ci się zdaje, że w Brześciu nad Bugiem — zachichotał szyderczo Laksberger.

Zorientowali się wreszcie, że jeniec nie może ani kroku postąpić i przecięli postronek, krępujący mu nogi. — No, teraz jazda — padła komenda.

Dochodzili już do drzwi, gdy Laksberger, przechadzający się po sali, przypomniał sobie jeszcze jedną sprawę:

— Czy zwłoki tego zdrajcy już usunięto? — spytał.

— Prawdopodobnie tak — odparł Wasyl Iwanowicz.

— Jeżeli mówicie *prawdopodobnie*, to znaczy, że nie; niech więc Mikołaj zrobi to natychmiast. Dzisiejsza noc jest wymarzona dla takiej roboty — odrzekł herszt tego małego, ale jakże dobranego grona i uśmiechnął się do swoich wypolerowanych paznokci. — A szpicla mi tak spławić, żeby żadnych śladów nie było — przypomniał, wyjmując złotą papierośnicę.

— To pewnie pamiątka po którymś z mych poprzedników — mruknął Rafał posępnie. — No, moim dobytkiem nie obłowicie się, zbiry!

---

[1] Klimient Jefriemowicz Woroszyłow (1881-1969) – sowiecki wojskowy, Marszałek Związku Radzieckiego, polityk, przewodniczący Prezydium Rady Najwyższej ZSRR.

Rozdział V

CHŁODNE NURTY WISŁY

Żaden tygrys, nawykły do nieograniczonej swobody w dżunglach, a nagle schwytany, nie krąży w swej klatce z taką pasją, z jaką biedny Rafał miotał się od ściany do ściany, korzystając z tego, że zapomniano mu nogi związać.

— Nogi głupstwo, ale gdybym miał ręce wolne, to... — urwał w pół zdania, bo naprawdę nie wiedział, o ile ta okoliczność mogłaby wpłynąć na poprawę jego losu... — to rzuciłbym się na tych zbirów i...

Nie, stanowczo się nie kleiło. Czuł doskonale, że każdy z tych wytrawnych oprawców z osobna, poradziłby sobie z nim łatwo, nie mówiąc już o przewadze, jaką tamtym dawało ich uzbrojenie. Niemniej jednak biegał nadal po swojej celi więziennej, będącej zwyczajną, małą, pozbawioną okien piwnicą, i nagle odkrył coś, co stanowiło pewną atrakcję w tej monotonnej pustce.

— Hak! obwieścił tryumfująco, jak gdyby odkrył co najmniej zamaskowane okienko, wiodące na wolność. Bardzo solidny hak, można by się na nim powiesić, gdyby primo był wyżej, a secundo, gdybym miał postronek.

Postronek! Ten wyraz przypomniał mu więzy krępujące ręce na plecach. Nie namyślając się, stanął tyłem do owej ściany, zarzucił związane ręce na zgiętą główkę haka i zaczął ciągnąć. Sznur nie pękł wprawdzie, ale się trochę obluźnił, obsunął, i nadzieja oswobodzenia rąk zaświtała więźniowi. Ponowił swe wysiłki, nie bacząc na ból, jaki sprawiało wżynanie się postronka w skórę, obiema stopami zaparł się o ścianę, szarpnął i runął nosem na wilgotną, lepką od błota podłogę. Ale ręce miał wolne. Podniósł się i potrząsając zwycięsko zerwanymi więzami, podszedł do sympatycznego haka, zamierzając mu wyrazić podziękowanie za tę przysługę. Zdumiał się jednak, gdy w ciemnościach natrafił ręką na wolną przestrzeń.

— Tam do licha! Tu są jakieś drzwiczki! I otwierają się teraz leciuteńko — monologował, obmacując tajemnicze drzwiczki. — Aha, rozumiem. Przedtem nie mogły się otworzyć, bo zaparłem się o nie nogami — wywnioskował. Nie był jednak oszołomiony tym odkryciem; wydawało mu się niemożliwe, by jego prześladowcy nie wiedzieli o istnieniu tego przejścia. — Albo też wiedzą zbyt dobrze, że tamtędy uciec nie można. Tak czy owak, należy rzecz zbadać do dna... Hum zachęcająco tu nie pachnie w każdym razie.

Rafał był niskiego wzrostu, lecz mimo to jego głowa zawarła bolesną znajomość z futryną maleńkiego przejścia. Masując dłonią poszkodowaną łepetynę, wkroczył do sąsiedniej piwniczki, postąpił ze trzy kroki i nagle skamieniał z przestrachu; jego stopa nadepnęła na czyjąś nogę.

— Trrrup tu leeeży — wyjąkał. Wszystkie włosy stanęły mu na baczność, a rozdygotane zęby odegrały symfonię grozy. Odskoczył wstecz, pragnąc stąd uciec do swojej celi, lecz skutkiem przerażenia nie znalazł od razu owego przejścia, po którym sobie początkowo więcej obiecywał. Błądząc w mrokach, posuwał się wzdłuż ściany i niespodziewanie dłoń jego natrafiła na przedmiot, który pozdrowił go miłym, dobrze znanym grzechotem. — Zapałki!

Na maleńkiej trójkątnej półce, wciśniętej w róg tej ponurej celi, stała także butelka po

piwie, z wetkniętą w otwór szyjki świecą, obok leżał kłąb sznurka, szydło, a pod półką kilka worków, pachnących jak gdyby zgniłymi ziemniakami, o ile w ogóle trupi odór pozwalał na wyczucie innych woni.

— Rozumiem — wyszeptał Rafał, zbliżając drżącą dłonią płonącą zapałkę do knota świecy — tu mieści się zakład pogrzebowy miłej instytucji, której naczelnym dyrektorem jest towarzysz Laksberger... Fiu, rozumiem wszystko! Ten nieszczęśnik tutaj, to ów zdrajca, o którym raczył wspomnieć towarzysz dyrektor. Orientujemy się zatem nieźle w sytuacji.

Obszedł ze świecą całą tę ubikację i stwierdził, że ona również nie posiada żadnego okna, tylko jedne drzwi, wiodące na korytarz, którym go tutaj sprowadzono; a drzwi te, równie jak tamte w jego piwnicy były dębowe, hojnie okute żelazem. Teraz zrozumiał, dlaczego Moskale nie zamurowali maleńkiego przejścia, łączącego obie piwnice z sobą. — To było niepotrzebne... Może umyślnie je pozostawili na to, by nieszczęsnych więźniów podniecić ułudą łatwej ucieczki — myślał ze smutkiem...

Wtem... zaświtała mu zuchwała myśl, myśl zamiany ról z nieboszczykiem. Trupa miano także tej nocy stąd usunąć, słyszał przecież, jak Laksberger wydał odnośne polecenie. Jeżeli więc ów Mikołaj, prawdopodobnie grabarz tej „instytucji" przyjdzie wcześniej po zwłoki, niż tamci oprawcy po skazańca, to szalony pomysł będzie miał pewne szanse powodzenia.

— Nie mam i tak nic do stracenia — mruknął Rafał, już całkiem zdecydowany, a tylko wzdragający się na myśl, że trzeba będzie tego trupa własnoręcznie przenosić, poruszać, dotykać, i... brrr, położyć się tam, gdzie leżał!

Okolicznością, która mogła walnie dopomóc w oszukaniu wrogów było to, że zabity miał na głowę nasunięty kaptur z worka. Kiedy jednak Rafał uchylił skraj tego kaptura, cofnął się z okrzykiem zgrozy. Nieboszczyk miał twarz zmasakrowaną lub tylko zalaną krwią, dość, że wyglądała jak jedna wielka, zakrzepła rana.

A jednak... dla ocalenia własnego życia nie wolno się było wahać. Przezwyciężając odrazę, powlókł Rafał zwłoki do swojej celi, włożył na nie swoje ubranie, usadowił tego manekina w kącie, po czym powrócił co prędzej do tamtej celi, zatrzasnąwszy po drodze drzwiczki odkryte dzięki hakowi. Teraz wykroił z worka nowy kaptur, przymierzył go sobie; stary, zbroczony krwią nasunął na wierzch i położył się „na próbę" w tym samym miejscu, gdzie przed kilkunastoma minutami spoczywały zwłoki zamordowanego.

— Wyglądam jak zawodowy nieboszczyk, tylko jestem trochę za ciepły — zauważył, pocieszając się w duchu, że leżąc tu w bieliźnie chociażby z godzinę, zziębnie uczciwie.

Przewidywania te spełniły się z nadwyżką, to znaczy… nabawił się kataru, bowiem leżał niemal w błocie. Ćwiczył się więc pracowicie w przezwyciężaniu nieodpartej, zda się, skłonności do kichania. — Kichnąć przy grabarzu? Ależ skompromitowałbym cały przeliczny cech nieboszczyków! Nie, Rafciu, tego ci czynić nie wolno — upominał się z szubienicznym humorem.

Świecę zgasił już dawno, wszystko poukładał na swoim miejscu i czekał w tej niewygodnej pozycji, a sekundy wlokły się wolniej, niż godziny zazwyczaj.

Wreszcie!... W milczących podziemiach budynku ocknęły się echa czyichś stąpań ciężkich, powolnych i echa kaszlu godnego płuc niedźwiedzich,

— Jeżeli otworzy wpierw tamte drzwi, wszystko przepadło — pomyślał Rafał cały w słuch zamieniony i... w galaretę! — Nie trząśże się, ośle — jęknął.

Na szczęście stało się inaczej. Przybyły otworzył drzwi celi, w której onegdaj osobiście złożył zwłoki, postawił w kącie małą latarkę i podszedł do Rafała, wstrzymującego oddech w piersiach i duszę siedzącą na ramieniu. Przewrócił go grzbietem w górę, podsunął mu coś pod brzuch, stęknął przed zamierzonym wysiłkiem i z kolei Rafał także omal nie zastękał poderwany

z ziemi na rzemiennym pasku, którym go wpół ściśnięto. Czując, że podwójny kaptur zsuwa mu się z głowy, przyskrzynił go zębami, usuwając w ten sposób nowe, nieprzewidziane przedtem niebezpieczeństwo. Łowił chciwie uchem wszelkie odgłosy, bowiem tylko słuchowo mógł się orientować w sytuacji.

— Teraz zamyka drzwi; po to, bym nie uciekł z tamtej celi — myślał, bimbając zwisającymi bezwładnie rękami, jak na nieboszczyka przystało. — Teraz korytarz... Aha, schody. Ostrożnie, bydlę! Trup to nie kłoda, durniu jakiś — wymyślał w duchu swojemu „tragarzowi", gdyż z jego winy wyrżnął właśnie czołem o jeden ze stopni. U szczytu schodów znajdowały się drzwi; kiedy stanęły otworem, Rafał zrozumiał, że wyszli poza obręb budynku, i z niekłamaną radością wdychał w płuca rześkie, chłodne powietrze.

Wtem... usłyszał warkot silnika samochodu, a po chwili zabrzmiał głos Laksbergera:

— A rzućcie go, Mikołaju, na główny nurt, aby go dalej zaniosło... No, a my w drogę!... Proszę sprowadzić do auta towarzyszkę Wierę… Wy zaś, towarzyszu, jak już powiedziałem, dopilnujecie osobiście wykonania wyroku na szpiclu.

— Ehe, jak rak świśnie — mruknął cichuteńko Rafał, któremu już przybyło otuchy. Niepokoiła go obecnie tylko perspektywa zawarcia znajomości z główny nurtem Wisły; pływał od biedy, lecz dotychczas próbował tego kunsztu jedynie na wodach stojących, a wiadomo, o ile trudniej utrzymać się na rzece. Toteż robiło mu się coraz cieplej, w miarę jak coraz zimniejszy chłód ciągnął od Wisły. — Może by tak zwiać zawczasu, przed kąpielą? — rozmyślał. Niestety, brakło okazji. Ów Mikołaj był prawdziwym olbrzymem, posiadał niewątpliwie jakąś broń przy sobie, mógł okrzykiem przyzwać innych. Nie! W tych warunkach należało zaczekać, aż wzrośnie odległość pomiędzy nimi, a tymi, którzy pospieszyliby z pomocą Mikołajowi i dopiero wówczas stoczyć walkę na śmierć i życie, jeżeli już ucieczka bez walki będzie nadal niemożliwa.

Te rozmyślania przerwało Rafałowi nagle przykre uczucie spadania w przepaść nieznanej głębokości i bolesne „lądowanie" na jakichś deskach. Wydarzyło się to w chwili, gdy ów Mikołaj cisnął bez ceremonii swoje brzemię z brzegu, wysokiego tutaj na dobre półtora metra, na dno czółna uwiązanego na łańcuszku do palika.

— Straszne — jęknął stłuczony pasażer — że też w dwudziestym stuleciu nie ma towarzystwa opieki nad nieboszczykami; rzucił mnie jak kłodę!

Jego niedola nie skończyła się na tym. Brutalny Charon poturbował go jeszcze dodatkowo, szukając wiosła, i nastąpił mu nawet na rękę, zanim wreszcie wypłynął na przybrzeżny nurt Wisły, której rola mitycznego Styksu przypadła przy tej operacji.

Teraz Rafał uznał za stosowne wysunąć głowę z podwójnego kaptura. Odległa, łagodna łuna na niebie była tym, co ujrzał przede wszystkim, łuna wisząca nad wielkim miastem, więc nad Warszawą niewątpliwie. Oddalali się od stolicy, unoszeni wartkim prądem Wisły, którą przewoźnik przecinał na ukos, dążąc do głównego, środkowego nurtu. Dojrzał go wreszcie Rafał, dojrzał ciemną, ogromną sylwetkę swojego Charona i ucieszył się, stwierdziwszy, że ten wielkolud nie siedzi na ławeczce, ale wiosłuje stojąc, i tyłem jest do niego odwrócony. Ostrożnie podciągnął nogi, przykucnął, stanął, rozkroczywszy się szeroko, aby przy ataku nie stracić równowagi, i… ścierpł, bo w tym samym momencie tamten zaprzestał wiosłować. Nie wiadomo, co go do tego skłoniło, czy podejrzana chwiejba czółna, czy przekonanie, że dostatecznie od brzegu odpłynął, dość, że odwrócił się w chwili, w której Rafał zamierzał rozpocząć zdradziecki atak. Przez kilka sekund, długich jak wieczność, stali naprzeciw siebie, potem olbrzym cofnął się wstecz z chrapliwym wrzaskiem przerażenia.

— Umarli się mszczą! — zaskrzeczał Rafał po rosyjsku i podniósł prawicę jak do ciosu: — Giń! — wrzasnął, rzucając się naprzód.

Ani go nie dotknął nawet, tamten sam runął w wodę na wznak, prawdopodobnie nie tyle

skutkiem przechylenia się czółna, w którym cały podwójny balast przesunął się nagle na rufę, ile z przerażenia na widok tak cudownego zmartwychwstania nieboszczyka, który wzorowym akcentem oznajmił mu w ojczystym języku nieubłaganą zemstę umarłych. A wynurzywszy się po chwili, ani okiem nie rzucił w stronę czółna unoszonego prądem, lecz zaczął płynąć do brzegu, modląc się na głos i wyjąc z trwogi.

Rafał Królik, choć pozbawiony jedynego wiosła, tryumfował głośno:

— Otom ci jest jak Dawid, który zwyciężył Samsona... Samsona? Nie. Inaczej się nazywał ten gentleman. Bodaj czy nie Holofernes,

Gwałtowny podskok czółna zakończył szybko te biblijne dociekania i pasażer w bieliźnie usiadł potulnie na środkowej ławeczce: uznał, że ostatecznie jest obojętne w obecnej sytuacji, jak się tamten jegomość nazywał.

— Jedno jest pewne, mianowicie to, że Dawid miał znacznie łatwiejszą robotę ode mnie — zauważył z właściwą sobie skromnością. — To nie sztuka z procą, miły Dawidzie. Ale spróbuj tak z gołymi rękami, aaaa... — Okrzyk przestrachu wydarł mu się z gardła, bowiem łódka trafiła na wir i odtańczywszy kilka ognistych hołubców, ruszyła w dalszą drogę... tyłem.

— Niech będzie tyłem — przystał zgodliwie. Przyszło mu na myśl, że warto by się z grubsza rozejrzeć w sytuacji, aby za dnia, już w asystencji policji, odszukać tajemniczy dom. Zaczął się więc rozglądać w obie strony, niestety nie poczynił ciekawych obserwacji; obydwa brzegi Wisły były ciemne, tylko od czasu do czasu zamigotało w oddali światełko i znowu przez długie minuty wlokła się czarna przędza mroków. Nic tedy dziwnego, że przedsiębiorczy Rafał uprzykrzył sobie rychło tak monotonną podróż.

— Cóż, do licha! Gdańsk już chyba niebawem zobaczę — burknął niezadowolony. Wreszcie, gdy łódka znowu zaczęła się posuwać dziobem naprzód, ujrzał na prawym brzegu maleńkie zbiorowisko światełek i stwierdził z radością, że zbliża się ku nim wydatnie z każdą minutą. — Rozumiem, tu rzeka ma ostry zakręt — domyślił się, a niebawem dostrzegł czarną masę brzegu, którego szczyt przysłonił mu teraz owe światła. — *Ląd*, jak zawołał Kolumb, nie gorszy żeglarz ode mnie — cieszył się i błaznował swoim zwyczajem.

Wtem… czółno stanęło dęba, rufa zaryła się w spienione odmęty przybrzeżnego wiru, a Rafała, zanim usta otworzył do wydania okrzyku trwogi, porwały w swe objęcia chłodne nurty Wisły...

Rozdział VI

PIĘKNY POGRZEB

— Nareszcie. — Młody żołnierz, idący ulicą Marszałkowską westchnął z ulgą na widok dobrze znajomej kamienicy, przyśpieszył kroku i nagle stanął jak wryty. Po obydwóch stronach bramy wisiały klepsydry, nieomylny znak, że jakiś mieszkaniec tego domu wyprowadził się tam, gdzie nie ma ani eksmisji, ani podatków, ani żadnej rzeczy, która jego jest, słowem tam, gdzie panuje wielka ochrona lokatorów oraz kamieniczników i jest niezmiernie dużo wolnych mieszkań dla wszystkich.

— Umarł — wyszeptał żołnierz. Głęboko wzruszony czytał wiersz za wierszem treść żałobnego plakatu:

Świętej pamięci Rafał Królik, detektyw prywatny, przeżywszy lat 28, po krótkich a ciężkich cierpieniach zmarł...

— Och, jakie to smutne...

Nabożeństwo żałobne odbędzie się w kaplicy kościoła św. Karola Boromeusza na Powązkach o godz. 10 rano w środę dnia...

— Tam, do licha! Gotówem się spóźnić — krzyknął czytający i, przebiegłszy na drugą stronę jezdni, wpadł do przejeżdżającej dorożki. — Na Powązki, ojczulku – pędem.

— Pędem — mruknął jowialny dryndziarz, kręcąc głową — pierwsze słyszę, żeby komu było tak pilno na Powązki… Ale skoro pan kapral życzy...

Było do przewidzenia, że nie zdążą, a potem rozgorączkowany pan kapral wplątał się przez omyłkę w kondukt jakiegoś patriarchy rodu, odprowadzanego przez tak potężny klan potomstwa, że można by z niego piękną kompanię marszową uformować. Wreszcie jednak znalazł, czego szukał, i wmieszał się skromnie w ostatnie szeregi żałobników. Smutny orszak krążył przez kilka minut po labiryncie alej, ścieżek, szpalerów wielkiego miasta umarłych, aż przystanął przed mogiłą, na której widok nowa fala wzruszenia zalała serce żołnierza.

— A więc tak — jęknął, kryjąc twarz w dłoniach. — On nie żyje, a ja... jaaa... Bóg raczy wiedzieć — bełkotał niewyraźnie.

Rozpoczęła się zwykła ceremonia, urozmaicona o tyle, że spoza grona czarno ubranych gentlemanów wysunęła się tęgawa niewiasta, wgramoliła się na jakiś grób zadeptany i, podniósłszy dłoń, zaskrzeczała donośnie:

— Żałobni słuchacze! Oto znów stoimy nad mogiłą kolegi, który choć opuścił nasze szeregi, obierając inny zawód, niemniej wrył się w nasze serca na zawsze, dzięki niepowszednim zaletom swego umysłu, ducha i serca.

— Koleżanka Szkaplerzowa — wyszeptał rozczulony wojak — kto by pomyślał! Jaka zacna, jaka poczciwa!... I oni wszyscy, kochani, złoci, najlepsi!

Po redaktorce Szkaplerzowej, która wpadła w taki zapał oratorski, że duchowny mający do odstawienia jeszcze kilku nieboszczyków aż chrząkać zaczął, wstąpił na estradę mąż wysoki i smukły jak palma. Ustawił się jednak w ten sposób, że zaciekawiony kapral musiał któregoś z sąsiadów zapytać, kim jest ów gentleman, kaszlący raz po raz dla dodania sobie animuszu, a nie mogący jakoś ruszyć z miejsca ani słowem.

— To sławny detektyw Baltazar Szafran — wyjaśnił sąsiad.

— I on także! — jęknął żołnierz, wybuchając nagle serdecznym płaczem.

Wielki detektyw, przynaglony przez kogoś, przemówił w końcu:

— Jestem człowiekiem prostym — zaczął ze skromnością godną takiego męża — i dlatego powiem po prostu: straciłem pomocnika i przyjaciela, którego prostolinijny charakter był emmem, hum, tego, ech, co tam, panowie. Po prostu, jakbym stracił brata.

— Bardzo prostolinijna mowa — mruknął ktoś z boku zjadliwie.

— Straciłem, ale go pomszczę, przysięgam!

— *Zemsta jest moja*, mówi Pan. I mówi jeszcze: *miłujcie nieprzyjacioły wasze* — wtrącił duchowny zdenerwowany coraz silniej, a widząc, że detektywowi krew nabiega do twarzy, zaintonował *Salve Regina*. Żołnierz śpiewał najgłośniej, nie odrywając rąk od twarzy zalanej łzami, i zdumiał się nagle, kiedy odjąwszy w końcu dłonie zobaczył, że sam pozostał. Ach, nie sam! Przed nim stała jakaś paniusia i spoglądała nań współczująco. Inni odeszli, spiesząc się gorączkowo, jak zazwyczaj w takich okazjach.

— Odwagi, kochany panie. Trzeba znaleźć hart ducha — zaczęła nieznajoma, dobrze już snadź wytrenowana w pocieszaniu strapionych. — Trzeba sobie powiedzieć, jak błogosławionej pamięci Job: *Pan dał, Pan wziął, tak się Panu podobało.*

— Job, Job — powtarzał nieprzytomnie. — Ach, droga pani — wykrzyknął nagle, wyciągając ręce przed siebie. Nieznajoma podstawiła się bardzo ochoczo i tuląc rozżalonego wojaka w pulchnych ramionach, dopytywała delikatnie o powody tak wielkiej rozpaczy.

— Rozpaczy? — zdziwił się. — To nie rozpacz, ale wzruszenie nad dobrocią ludzi i radość przeogromna! Pani moja złota, czy ja się kiedykolwiek spodziewałem, że będę miał tak piękny pogrzeb?! Czy ja marzyłem o tym? I mowy były, i chór śpiewał, ooo...

— Co pan powiedział? — spytała pocieszycielka, odsuwając się szybko od żołnierza. — Kto pan jest, na Boga?

— Jam jest Rafał Królik, detektyw, któregoście pochowali — odparł.

— Wariat! — wrzasnęła i pomknęła ku bramie, w takim stylu, że nawet Walasiewiczówna nie miałaby tutaj nic do zarzucenia.

Rafał Królik zaś stał przez chwilę w miejscu, kiwając głową smętnie, potem obejrzał skrupulatnie wieńce złożone na jego rodzinnym grobowcu i nagle ogarnęły go wątpliwości:

— A może ja naprawdę umarłem? Ale w takim razie kim jestem ja, ten ja, numer drugi, który tu stoi? Chyba duchem tamtego. Nie — zreflektował się — duchy są niewidzialne, a ta babina nie tylko, że mnie widziała, ale i tuliła się niczym pneumatyk do rafy koła przy aucie. Zatem żyję!

Dokonawszy tak wiekopomnego odkrycia, postanowił się przejść po cmentarzu i najniespodziewaniej ujrzał w bocznej alei koleżankę Szkaplerzową. Stała nad grobem świeżo kopanym, z którego raz po raz wylatywała czarniawa kromka tłustej ziemi z trudem odrywająca Się od łopaty.

— Czemuż ona nie odeszła z tamtymi? — zastanowił się. Przypomniał sobie jednak po chwili, że złotousta koleżanka pochowała na Powązkach już trzech mężów, więc teraz skorzystała zapewne z okazji, by odwiedzić swoich byłych tyranów. — W każdym razie wypada podziękować za mówkę.

W tej myśli ruszył w tamtą stronę. Niewiasta musnęła nadchodzącego ciekawym spojrzeniem, ale nazbyt była pochłonięta rozmową z grabarzem, by poświęcać obcemu żołnierzowi więcej niż jeden rzut oka.

— Koleżanko — ozwał się ciepło, serdecznie — jestem do głębi wzruszony jej dobrocią. Wiem, że o nieboszczykach mówi się zawsze pochlebnie, ale pani doprawdy...

Nie dokończył, nie mógł. Koleżanka Szkaplerzowa zelektryzowana pierwszymi słowami i znajomym głosem wlepiła zdumiony wzrok w żołnierza, a poznawszy go wreszcie, runęła na wznak bez zmysłów, wprost na grzbiet pochylonego grabarza, który, choć za pan brat z nieboszczykami, przeraził się szczerze tą bombą.

— Sama wpadła do grobu — rzekł Rafał uroczyście. — To znak niebios widomy. Zakopcie ją tu, dobry człowieku, albowiem jeśli tego nie uczynicie, odzyska przytomność i wielu jeszcze mężów pogrzebie; toż trzech zaledwie pochowała, a iluż głupców na świecie?!

Wyrzekłszy te ważkie słowa tonem proroka-zawodowca, ruszył ku głównej bramie majestatycznie, jak na eks-nieboszczyka przystało.

Rozdział VII

ZNAK ŻYCIA OD WIERY

Baltazar Szafran odczuł śmierć przyjaciela głęboko, toteż używał najgłębszych kieliszków w czasie maleńkiej stypy, jaką po pogrzebie zorganizowali dawni koledzy redakcyjni Rafała. Wrócił więc do domu w stanie zachwianej równowagi ducha i ciała, przy czym duch wykazał, że ma znacznie słabszą głowę, niż jego cielesny pokrowiec. Uwydatniło się to w przyjaznym okrzyku, jaki wielki detektyw wydał, dostrzegłszy przy swoim biurku nieboszczyka, którego w dniu dzisiejszym nie tylko pogrzebał, ale i oblał.

— Jak się masz, Rafciu kochany — zawołał bowiem.

Lecz Rafał, nieubłagany wróg libacji, w których sam nie mógł wziąć udziału, osadził go w miejscu karcącym wzrokiem i wzniósł dłoń:

— Na kolana, jawnogrzeszniku! — ryknął grobowym głosem.

„Jawnogrzesznik" jął mrugać gwałtownie, jak człowiek ze snu nagle wyrwany, i widać wytrzeźwiał z grubsza, gdyż raptem odskoczył ku ścianie; z rozpaczliwym pośpiechem szukał tam dłonią kontaktu od lampy, nie odrywając równocześnie zdumionego wzroku od zjawy w wojskowym mundurze.

— Rafał! — zawołał przejmująco, kiedy zajaśniało światło trzech żarówek złączonych w liść koniczyny, a rzekoma zjawa nadal nie myślała znikać i najspokojniej usiadła w fotelu. — Więc żyjesz? Nie, w głowie mi się kręci. Rafał, na Boga! Powiedz, że to ty jesteś, że nie twój duch!

— Czy sądzisz, Balciu drogi — odparł mały frant z iście anielską słodyczą — czy sądzisz, że duch, duch wyzwolony zadawałby się w ogóle z takim łobuzem jak ty?! Z takim opojem?! Z takim idiotą?!

— Dość — rzekł detektyw już przekonany niezbicie. — Teraz wierzę, że żyjesz; w piekle cię kiedyś także poznam po twej głupiej minie. A teraz, małpo zielona, pójdź w moje objęcia i gadaj, skąd wracasz.

— Ostatnio z własnego pogrzebu — odparł Rafał z humorem, oswobodziwszy się z silnych ramion uszczęśliwionego przyjaciela.

— Ech, mówże po ludzku i wytłumacz mi, jak się to stało. Przecież sam byłem przy sekcji zwłok, które wyłowiono z Wisły, sam rozpoznałem twoje ubranie i portfel, papierośnicę, w ogóle wszystkie te drobiazgi, których całą kolekcję nosisz zawsze po kieszeniach. Jakże więc...

— Pozwól słówko — wtrącił Rafał Królik. — Czy trup miał twarz zmasakrowaną? Zniekształconą? A więc tak — mruknął, skoro Szafran skinął głową potakująco. — Pochowaliście zatem nieboszczyka, z którym zamieniłem się na role. Wnoszę stąd, że moja ucieczka nie skonsternowała podwładnych towarzysza Laksbergera; prawdopodobnie ów Mikołaj pobujał ich, że mnie własnoręcznie wrzucił do wody, żem utonął w jego oczach — myślał głośno.

— Jaki Laksberger? Co za Mikołaj? — dziwił się Szafran, wobec czego Rafał opowiedział mu szczegółowo swoje przeżycia z ostatniego tygodnia; bowiem dokładnie tydzień

upłynął od pamiętnej nocy, w którą, wyrwawszy się ze szponów okrutnych prześladowców, popłynął czółnem w dół Wisły. Cztery dni przeleżał w chacie wieśniaka, który go nieprzytomnego znalazł w szuwarach przybrzeżnych, w czółnie zalanym wodą niemal po burty, a potem przez dwie doby prosił swojego zbawcę o pożyczenie jakiegoś ubrania, gdyż uciekł przecież w bieliźnie. Ale chytry wieśniak nie dowierzał mu, nie chciał ryzykować ewentualnej straty ubrania i z chłopskim uporem powtarzał, że nie wypuści za próg „topielca", póki nie otrzyma pełnego odszkodowania za swoją fatygę, za wikt i gościnę.

— Ech, fujaro — przerwał Baltazar Szafran — nie mogłeś to depeszować do mnie, albo listu napisać? Czy nie wpadło ci to na myśl?

— Owszem wpadło, ale trochę późno, a tymczasem wczoraj przybył do mojego zbawcy jego synalek, imć pan kapral. Że zaś przybył w odwiedziny z uczciwą butelczyną, więc potem spali twardo, z czego niżej podpisany nie omieszkał skorzystać i już o północy wkroczył do Tarchomina.

— Ho, ho, aż tam dojechałeś, znakomity żeglarzu?

— Właściwie wyrzuciło mnie na brzeg naprzeciw Świdra, ale orientując się w nocy za pomocą światełek, zaszedłem... Słyszysz? Dzwonek!

— No to co? Jan otworzy drzwi. Siedź, opowiadaj dalej!

— Jeśli liczysz na Jana, to tamten gość poczeka do rana — odparł Rafał, powstając. — Poczciwy Jan zalał sobie pałkę tak dokładnie, że musiałem drzwi kuchenne wyważyć, aby się dostać tutaj. Nie budziłem go jednak, odgadując, iż wstawił się z rozpaczy po mojej śmierci.

— To już lepiej ja pójdę otworzyć — rzekł Szafran, któremu nagle przyszło na myśl, że z rzekomego zgonu Rafała można by wyciągnąć pewne korzyści w tych sprawach, których prowadzenie mu zlecił przy podziale zajęć. Ponieważ jednak przybyłym okazał się Juliusz Solarski, wprowadził go od razu do swojego gabinetu i przedstawił mu zmartwychwstałego pomocnika.

— Ach, to się znakomicie składa — zawołał ucieszony klient, ściskając serdecznie dłoń Rafała. — Dzięki temu, że uchodzi pan za nieboszczyka, będzie pan mógł tym skuteczniej czuwać nad panną Wierą Rusanow.

— Ooo, dziękuję uprzejmie; mam dosyć tego czuwania!

— Ma pan jaką wiadomość o pannie Rusanow? — zagadał prędko Baltazar Szafran, posyłając koledze karcące spojrzenie. — Wstydź się, tchórzu — syknął mu w ucho, korzystając z nieuwagi Solarskiego, który szukał czegoś w portfelu. Znalazł wreszcie jakąś widokówkę i podał ją detektywowi.

— Proszę, niech pan przeczyta — pozwolił.

Baltazar obejrzał wpierw kartkę z obu stron, spojrzał na znaczek niemiecki i stempel pocztowy, mruknął: — Aha, z Berlina — po czym czytał głośno:

Mój dzielny Rycerzu!

Niestety nie było mi dane chociażby zatelefonować do Pana. Pilnowano mnie, nawet w Gdańsku jeszcze. Teraz jestem niby to wolna, ale na każdym kroku czuję obecność Borysa i jego ludzi. Chcą, bym ich zaprowadziła do kryjówki osoby, która zaginęła; domyślam się tego i jestem w rozpaczy. W Warszawie wmawiali we mnie. Że Pan mnie kazał śledzić agentowi. Nie wierzę w to. Wiem, że ten dzielny człowiek nie śledził, ale czuwał nade mną; on jeden przeczuł podstęp tam, przed PKO. Walczył jak lew, a jego straszna śmierć, dręczy mnie nieustannie i zwiększa fale złych przeczuć. Trudno! Będzie, co być musi! W każdym razie dziękuję Panu za wszystko, coś uczynił dla obcej, nieszczęśliwej kobiety, i przesyłam Panu mocny, kto wie, może pożegnalny, uścisk dłoni, szczerze wdzięczna

— Nie rozumiem tylko, o jakiej zaginionej osobie ona tu wspomina — rzekł Juliusz Solarski, skoro gospodarz ukończył czytanie.

— O rodzonym ojcu — wtrącił Rafał, po czym z wielką ochotą, jako że lubił mówić o swoich wyczynach, opowiedział przebieg rozmowy towarzysza Wasyla Iwanowicza z jego godnym kompanem. Rozochocił się przy tym, połechtały jego próżność przyjemnie komplementy, jakich mu Solarski nie szczędził i powtórne odczytanie przez Baltazara tych ustępów pisma Wiery, które odnosiły się do jego zasług.

— No, no, nie przypuszczałem — mówił wielki detektyw, chwiejąc głową i mrugając porozumiewawczo w stronę klienta. — Niech pan tylko posłucha: *ten dzielny człowiek... czuwał nade mną! On jeden przeczuł podstęp tam, przed PKO. Walczył jak lew!*

— Robiłem, co było w mej mocy — rzekł Rafał, zupełnie już podbity — nie moja wina, że ten bałwan policjant wszystko popsuł.

— Zatem... pojedzie kochany pan, prawda? — wtrącił Solarski.

— Czy pojadę? Hm, to inna sprawa. Czy pan się jednak orientuje, poruczniku, że to będzie impreza bardzo kosztowna? Czy warto inwestować takie sumy dla jakiejś tam obcej kobiety?

— Odpowiem panu krótko i szczerze: los Wiery Rusanow nie jest mi bynajmniej obcy, i gdybym teraz miał urlop, pojechałbym osobiście do Berlina czy dalej, byle czuwać nad tą biedną dziewczyną — odparł porucznik Solarski, rumieniąc się lekko — a co do kosztów, to niech panów nie krępuje mój zawód, jak wiadomo wcale nierentowny; posiadam na szczęście dość znaczny majątek rodzinny i chętnie wyasygnuję potrzebną sumę.

— Ha, w takim razie sprawa załatwiona, i zdziwiłbym się, gdyby mój przyjaciel Baltazar nie wyjechał do Berlina natychmiast.

— Ja? — zdumiał się Szafran, oszołomiony perfidnym rozumowaniem chytrego pomocnika. — Wiesz najlepiej, że ja teraz wyjechać nie mogę. Ale ty? Ty, którego tamci uważają za nieboszczyka będziesz miał ułatwione zadanie, nie mówiąc już o najważniejszym handicapie…

— Jakiż to handicap? — mruknął Rafał kwaśno.

— Ten, że znasz z widzenia czterech czy pięciu drabów z tej paczki, czego ani ja, ani porucznik, nie możemy powiedzieć o sobie.

— Słusznie — przytaknął Solarski, — a więc jedzie pan, co?

— Pojechałbym z ochotą — brzmiała obłudna odpowiedź, — ale jako urzędowy nieboszczyk nie otrzymam paszportu.

— Nie bujaj, szelmo, wszakże paszporty posiadamy obaj od miesiąca. O, proszę. — I mimo błagalnych mrugnięć Rafała wyjął Szafran z szuflady biurka dwa ulgowe paszporty. — O wizy też się nie martw.

— Ja się o moją skórę głównie martwię.

To cichuteńkie, a szczerością tchnące westchnienie rozśmieszyło serdecznie obydwóch towarzyszy Rafała.

— Rozpuścimy pańskie zmartwienie w alkoholu — rzekł porucznik Solarski. — Zapraszam panów na kolacyjkę, w której trakcie omówimy szczegóły podróży pana Królika, a przede wszystkim oblejemy uroczyście jego cudowne wskrzeszenie.

— Tylko pozwólcie, że się przedzierzgnę na powrót w cywila, inaczej znajomi gotowi pomyśleć, iż w życiu pozagrobowym także kwitnie militaryzm.

— Wolałbym, drogi Rafciu, żebyśmy żadnych znajomych nie spotkali. Na wszelki wypadek ucharakteryzuj się troszkę — dorzucił Szafran, dążąc ku oknu; chciał przewietrzyć gabinet, gdyż nadymili porządnie. — Słyszy pan, poruczniku? — rzekł, wsłuchawszy się w zgiełk uliczny, którego struga wpadła natychmiast do pokoju. — Coś się wydarzyło niezwykłego.

Jakoż ponad kakofonię dzwonków tramwajowych, trąbek aut i warkotu motorów wybijały się raz po raz donośne okrzyki kolporterów: — Nadzwyczajny dodaaaa! Dodaaa nadzwyczaaaaj! Nadzwyczaj dodaaa!

Zaciekawiony detektyw przeprosił gościa na chwilę i, nie tracąc czasu na budzenie służącego odsypiającego stypę, wybiegł sam na ulicę.

Kiedy Rafał Królik, który guzdrał się odpowiednio, wkroczył w granatowym ubraniu do gabinetu przyjaciela, zastał obu mężczyzn pogrążonych w poważnej zadumie: pomiędzy nimi, na biurku, leżała rozłożona gazeta.

— Czytaj — rzucił przez zęby Szafran.

Rafał pochylił się nad dziennikiem; zelektryzowało go to, że ma przed sobą *Nadzwyczajny dodatek*, ale ostudził go zaraz nagłówek sensacyjnej wiadomości: *Nowa prowokacja bolszewików*, i pod spodem: *Sotnia kozaków przekroczyła granicę...*

— Ech, to polityczna sensacja — mruknął. — Myślałem, że...

— Czytajże dalej — wtrącił Baltazar z oznaką zniecierpliwienia.

Bez zbytniego zapału czytał Rafał o zajściu, jakie miało miejsce tej nocy w okolicy Nieświeża, a mówiąc ściślej, między Nieświeżem a Stołpcami; silna strzelanina zaalarmowała oddziałek Straży Pogranicznej, pod której opiekę schronił się jakiś zbieg ścigany zawzięcie przez bolszewików.

— Cóż w tym nadzwyczajnego? — rzekł. — Takich wypadków było na kopy.

— Czytaj do końca! — wrzasnął Szafran i zwrócił się do zamyślonego porucznika z uwagą: — Anielską cierpliwość trzeba mieć z tym człowiekiem.

— No, to czytam wszystko. A zatem:

Rannego zbiega umieszczono tymczasowo w wartowni, w słusznym przewidywaniu, że zajście zostało ostatecznie zlikwidowane. Tymczasem koło godziny drugiej prawdziwy grad kul posypał się na wartownię ze wszystkich stron. Nasi dzielni strażnicy zabarykadowali się pośpiesznie i odpowiedzieli silnym ogniem karabinowym. Po blisko godzinnej strzelaninie napastnicy zażądali rozejmu (sic!). Komendant przystał na to pozornie, licząc, że w międzyczasie przybędzie jakaś odsiecz i uwolni jego oddziałek z opresji. Wówczas wysunęło się z zarośli trzech kozaków i odrzuciwszy broń wtargnęło do wartowni, żądając Kategorycznie wydania zbiega. W czasie gwałtownej sprzeczki jeden z przybyłych rzucił się do sąsiedniej izby, wyrwał z kieszeni rewolwer i strzelił w stronę zbiega, raniąc go ponownie i tym razem bardzo poważnie. Naturalnie rozbrojono umundurowanych zbójów i walka zawrzała na nowo. Dopiero nad ranem cofnęli się dywersanci poza granicę, unosząc z sobą swoich zabitych i rannych, oprócz trzech uwięzionych w wartowni...

— No, tak, to większa awantura tym razem — przyznał Rafał — niemniej nie widzę tu sensacji dla nas.

— Poruczniku, czy nie weźmie mi pan za złe, że w jego obecności rozbiję kałamarz na upartym łbie mego pomocnika? — spytał Szafran.

— Znowu spudłujesz i będziesz sam czyścił tapety. Czego chcesz więcej? Tu dalej są tylko gromy oburzenia na bolszewików, w których to gromach po specyficznym ozonie dziennikarskim poznaję pióro koleżanki Szkaplerzowej.

— Człowieku — jęknął Baltazar — ostatni ustęp przeczytaj.
— Ostatni? Proszę bardzo. A więc:

Zbiega, przy którym nie znaleziono żadnych dokumentów osobistych, ani w ogóle żadnych papierów, przewieziono dziś rano do Lidy i umieszczono go w miejscowym szpitalu. Obie kule wyjęto mu szczęśliwie, jednakże lekarze nie mają wiele nadziei, by udało się rannego utrzymać przy życiu. Zanim stracił przytomność, zdołał wymówić tylko kilka słów, które, lubo na pierwszy rzut oka niejasne, niezrozumiałe, dają jednak wiele do myślenia. Słowa te brzmiały, według zeznań obecnych, następująco:

— Teraz uwaga! — syknął Szafran zmienionym głosem.

— *...następująco: „Gaz 303”... „Stalingrad”... „Zagłada Europy”...*

— I ostatnie zdanie — wtrącił porucznik Solarski.
Rafał zjechał wzrokiem niżej o wiersz i przeczytał ze szczerym zdziwieniem:

— *„Uwięźcie profesora Rusanowa!"*

Rozdział VIII

ZAMACH NA ZBIEGA

Furtian wychylił głowę przez prostokątne okienko i ujrzał starszą niewiastę w żałobie trzymającą w rękach olbrzymi bukiet kwiatów.

— Godzina odwiedzania chorych minęła już dawno — rzekł, domyślając się celu spóźnionej wizyty.

— Niestety, dowiedziałam się o tym właśnie z tej tabliczki — odparła kobieta, wskazując na wiszący w przedsionku *Regulamin szpitalny.*

— Czy nie mógłby mi pan powiedzieć, która z siostrzyczek będzie miała dzisiejszej nocy dyżur na sali numer 5? Proszę nie marszczyć brwi, proszę spełnić tę prośbę nieszczęśliwej staruszki — mówiła miękko, wybitnie po kresowemu.

— Siostra Salomea — brzmiała odpowiedź.

— Czy nie mogłabym zamienić kilku słów z siostrą Salomeą?

— Nie wiem, zobaczę, proszę poczekać — odrzekł furtian, zamykając okienko swojej strażnicy. — Skaranie boskie z babami — warknął, podchodząc do aparatu wewnętrznego telefonu. — Nawet wieczorem człek nie ma spokoju.

W kilka minut później weszła siostra Salomea do rozmównicy, do której uprzednio wpuścił furtian kobietę w żałobie. Siostra Salomea miała lat 26, była najmłodszą pielęgniarką w szpitalu lidzkim, ciężka praca przy chorych nie zdążyła jeszcze z niej uczynić automatu niewrażliwego na piękno, toteż wydała okrzyk szczerego zachwytu na widok wspaniałego bukietu.

— Turecki bez, najszlachetniejsza odmiana, to zaraz poznać — szczebiotała póki zimne, przenikliwe spojrzenie przybyłej nie ostudziło jej w tym zapale. — Czym mogę pani służyć? — spytała uprzejmie.

— Przychodzę z wielką prośbą — zaczęła tamta słodko — dowiedziałam się na mieście, że przywieziono dziś do was człowieka, który przekradł się przez granicę i został przy tym raniony.

— Owszem — przyznała siostra — jest taki; łóżko numer 12, sala 5.

— Tak, to się zgadza, tak samo mówił pan doktor, którego przed chwilą spotkałam, idąc tutaj. Otóż, siostrzyczko kochana, przyniosłam te kwiaty z mojego ogródka dla tego człowieka, chociaż go nie znam, anim go kiedy widziała w życiu. A wie siostrzyczka dlaczego? Bo ten nieszczęsny zbieg to męczennik, jak wszyscy ci, co przeszli przez piekło bolszewickie... Mój mąż, mój nieodżałowany Izydor... Och, siostro droga, czy mogę opowiedzieć, jak go męczyły te czarty? — spytała pokornie, a łzy zalśniły w jej oczach.

— Z chęcią bym posłuchała — odrzekła zażenowana siostra — niestety nie będę mogła pani już wiele czasu poświęcić; za kilka minut rozpoczynam nocny dyżur... Zatem chodzi o to, bym te kwiaty...

— Właśnie — podchwyciła tamta skwapliwie — żeby je siostrzyczka postawiła przy łóżku numer 12 jak najprędzej. Niech pachną biedakowi.

— Hm, hm, chciałabym spełnić pani życzenie, a jednak nie mogę, przynajmniej teraz. Widzi pani, nie wolno przez noc trzymać żadnych kwiatów na salach; z tego jest potem ból głowy. No, a ten bez pachnie wręcz...

— Nie uważam, żeby jego woń była tak silna — zaoponowała niewiasta w żałobie, i opuściła powieki, by skryć błyski zniecierpliwienie, w oczach.

— A jednak nic się nie da zrobić. Dopiero rano mogę bukiet wnieść na salę. Tak, rano; najlepiej wtedy, gdy będzie się kończył mój dyżur.

— To znaczy o szóstej, prawda?

— O siódmej, proszę pani.

— Ha, niech i tak będzie, skoro nie można wcześniej... Ach, jeszcze maleńka prośba. Czy mogłabym prosić o szklaneczkę wody do picia? Tak mi dziwnie słabo.

— Lecę — zawołała siostra Salomea, a kiedy po chwili przyniosła szklankę wody, uznała także za stosowne zbadać puls przybyłej. — Tętno wyraźnie przyśpieszone, musiała pani iść zbyt szybko — oświadczyła. — Jak to, wazon pani także chce zostawić? Taki śliczny wazon?

— Ano, na pamiątkę. Kwiaty zwiędną szybko, a wazon zostanie... Tylko proszę ostrożnie, jest bardzo ciężki. Żeby się nie stłukł broń Boże. Uważałabym to za zły omen... No, no żartuję tylko. Nie wierzę w zabobony, kochana siostrzyczko. Zatem trzymam siostrę za słowo i jutro o siódmej, kiedy siostrzyczka będzie wnosiła ten bukiet na salę, będę myślami przy was... Raz jeszcze dziękuję ci, drogie dziecko. Wszakże mogłabym być twoją matką, prawda? No, idę już, idę, nie zabieram ci czasu, serce... Niech będzie pochwalony.

— Na wieki wieków — odparła siostra Salomea, zbudowana tym pożegnaniem i z oznakami wielkiego szacunku usunęła się, by tamtej zrobić w drzwiach miejsce.

W kwadrans później kobieta w żałobie znalazła się wśród ostatnich domostw Lidy i szybko podeszła do samochodu, który czekał tu ze zgaszonymi latarniami. Natychmiast przybiegło trzech mężczyzn, manipulujących dotychczas przy motorze, i otoczyło kobietę.

— Udało się — rzekła po rosyjsku — ale dopiero o siódmej rano to nastąpi. Ściśle mówiąc, piętnaście minut po siódmej, tak nastawiłam

— Tym lepiej — burknął jeden z słuchaczy — będziemy wtedy już w Warszawie. Zatem, w drogę! — Odemknął tylne drzwiczki limuzyny, wsiadł tam wraz z „nieszczęśliwą staruszką", dwaj pozostali mężczyźni zajęli miejsca na przednich siedzeniach auta, lampy zabłysły i wóz ruszył ostro w drogę.

Teraz kobieta odrzuciła gruby żałobny welon, po nim dziwaczny, staromodny kapelusz oraz siwą perukę, starła chusteczką mozaikę doskonale zrobionych zmarszczek, podkreśliła ołówkiem wargi i oto w świetle lampeczki rozwidniającej mroki klatki limuzyny w miejsce smutnej staruszki ukazała się młoda, roześmiana dziewczyna o wspaniałych, czarnych oczach. Szybko opuściła firanki na oknach przednich i bocznych, przytuliła się do swego towarzysza i zmysłowe wargi wysunęła do pocałunku.

— No? — rzekła wyczekująco. — Czy towarzysz Laksberger nie popieści swej małej Esterki w nagrodę, że się tak dobrze spisała?...

Dopiero po szóstej wkroczyła siostra Salomea do pokoiku dyżurnych pielęgniarek. W ciągu długich godzin pracowitej nocy tylko raz zdołała tutaj wpaść, aby przywołać do pomocy drugą siostrę i przy tej okazji zerknąć na bukiet. Ta druga spała obecnie na otomance, zbyt wąskiej, by dwom osobom użyczyć wypoczynku. Siostra Salomea nie zazdrościła jej snu; wolała napaść oczy widokiem cudnych kwiatów. Wystrzelały z wazonu fioletową kaskadą, a poza nimi, hen daleko na niebie tryskała inna kaskada, purpurowa, ogromna, bowiem słońce wschodziło. Siały wokoło odurzającą woń, a przez otwarte okno płynęła do wnętrza izdebki fala za falą zapachu łąk, lasów i kwiatów, wypierając zwycięsko apteczny odór szpitala. Cieszyły oko swą

barwą i kształtem kiści, listków i kielichów maleńkich, zadziwiały krasą i, że tak piękne, najpiękniejsze budziły wspomnienia...

Siostra Salomea westchnęła bezwiednie. Wbrew woli nawiedziła ją wizja pewnego pożegnania; pod wieczór, na tle krzaków bzu ognisty ułan całował ręce pięknego podlotka. — Sal moja najdroższa; to nie bzy, to dłonie twoje tak pachną upojnie — mówił i znowu pieścił, znowu całował, aż do bólu...

— Jezus! Maria! — przeraziła się siostrzyczka; ukrywszy twarz w dłoniach, jęła się modlić żarliwie o przebaczenie, iż dopuściła do siebie myśli zdrożne i grzeszne wspomnienia. — On nie żyje, wszystko minęło, przepadło na zawsze! — wyszeptała, a jednak oszałamiająca woń bzów wskrzeszała nieustannie wizję tego pożegnania, tej nocy najpiękniejszej w życiu. Po ciężkiej walce z sobą zdecydowała się pójść po linii najmniejszego oporu… usunąć sprzed oczu pokusę. Spojrzała na ścienny zegar i stwierdziła ze zdumieniem, że dochodzi siódma; więc bez mała godzinę straciła bezproduktywnie oczarowana bukietem kwiatów pięknych jak... grzech! Aż się przeżegnała i wzdrygnęła na całym ciele, iż tak bezbożne porównanie jej na myśl przyszło. I już miała pochwycić ten wazon, by go zanieść na salę, kiedy jakiś jednostajny szmer zwrócił jej uwagę. Nie, to nie było tykanie ściennego zegara, to dochodziło skądś z bliska, całkiem z bliska, jakby z tego bukietu.

— Serce kwiatów pulsuje — uśmiechnęła się i zanurzyła bladą twarzyczkę w sam środek fioletowej kaskady. Teraz miarowe tykanie słyszała jeszcze wyraźniej. — Może tam wpadł mały zegarek? — Było to przypuszczenie bardzo nieprawdopodobne, niemniej siostra Salomea, zaintrygowana monotonnym szelestem, wyjęła piękne kiście bzu i złożyła je na stole. Na dnie wazonu było niewiele wilgoci, snadź kwiaty przez noc wessały całą wodę. — Nie, zegarka tu nie ma. Było to zresztą do przewidzenia — monologowała, wyrzucając liście, których cała warstwa leżała na spodzie. — A to co takiego? — zdumiała się, spostrzegłszy maleńką wskazówkę otoczoną wieńcem cyfr, kreseczek i niezrozumiałych znaków. — Ależ ten wazon posiada podwójne dno, a pośrodku jest jakiś mechanizm — zrozumiała wreszcie i fala złych przeczuć zalała jej serce. — Jezu, co to znaczy? — powtarzała bezradnie.

Nawiedziło ją wspomnienie kobiety w żałobie, która przyniosła ten prezent, i nagle zawirował jej w głowie rój myśli, spostrzeżeń, podejrzeń: Dla obcego, dla nieznajomego taki wazon kosztowny? Po co ta natarczywość, by jak najprędzej postawić kwiaty przy łóżku rannego? Potem błysk niezadowolenia w oczach, że dopiero rano wolno bukiet wnieść na salę. Potem nagła prośba o szklankę wody, żeby się pozbyć niewygodnego świadka na chwilę. Potem te słowa: *Więc o siódmej będę myślami przy was*. Staruszka niby to, twarz pokryta zmarszczkami, włos siwy, a dłoń młoda, skóra świeża, bieluśka, miękka. Przecież mierzyła jej puls. Ach, i to jeszcze: tętno było bardzo przyśpieszone... Wreszcie starsze wspomnienie: Onegdaj, gdy tego nieszczęśnika przywieziono do Stołpców, powiedział naczelny lekarz: *On musi znać jakieś niebezpieczne dla bolszewików tajemnice, skoro chcieli go zgładzić za wszelką cenę; musimy się mieć na baczności, oni są zdolni do wszystkiego*... Tak powiedział stary, mądry człowiek, a ona, dobroduszna...

— Boże, tu chyba bomba siedzi ukryta — domyśliła się w końcu. Tak, zapewne; czytała już gdzieś kiedyś o maszynie piekielnej, którą można nastawić na oznaczoną godzinę. Na którą godzinę? *O siódmej będę myślami przy was*, powiedziała z anielskim uśmiechem ta czarna córka szatana.

Siostra Salomea zerknęła na zegar i pociemniało jej w oczach.

— Po siódmej — wykrztusiła. Porwała bukiet ze stołu, wetknęła go w wazon i ująwszy go oburącz, wybiegła z dyżurki jak szalona. Oglądali się za nią w korytarzach, ktoś wołał ją po imieniu, surowej siostrze Matyldzie aż różaniec się z palców wymknął na widok dzikiego biegu

na przełaj młodej zakonnicy, furtian warknął coś nieprzyjaźnie o zaśmiecaniu szpitala, lecz siostra Salomea nic z tego nie słyszała. Przeczuwała tylko, że za chwilę nastąpi straszliwy wybuch. Nie o siebie się lękała bynajmniej; na dnie serca nawet kiełkowało utajone pragnienie rychłej śmierci, która by ją połączyła znów z jedynym, ukochanym nade wszystko człowiekiem. Ale tu chodziło o szpital, o tylu nieszczęśników, dla których nawet najgorsza wegetacja i niemająca końca litania cierpień była błogosławieństwem, była czymś nieskończenie lepszym od przekroczenia granicy Nieznanego. Ich należało ratować, od nich usunąć jak najdalej śmiercionośny pocisk.

Wydało się biegnącej, że tajemniczy zegar piekielnej maszyny stanął, że nie tyka więcej.

— Teraz nastąpi wybuch — pomyślała i przycisnęła do piersi swoje brzemię, sądząc w swej naiwności, że sobą osłoni budynek. — Sadzawka!

Do tej pory nie wiedziała jeszcze, co uczyni z niebezpiecznym wazonem, gdzie go złoży lub rzuci, by eksplozja nie zniszczyła szpitala. Teraz widok maleńkiego stawku podsunął jej szczęśliwą myśl: Tam go rzuci a miękka woda osłabi siłę wybuchu. Naturalnie: świetny pomysł! — Już!

Cisnęła z rozmachem ciężki wazon wraz z bukietem do stawku i spokojnie zawróciła do bramy. Nie uszła jednak ani dwudziestu kroków, kiedy coś niewidzialnego pchnęło ją w plecy tak potężnie, że padła na kolana. Odwróciła szybko głowę i ogłuszona głośną detonacją eksplozji spoglądała ze zgrozą na ogromny gejzer spienionej wody opadający właśnie do sadzawki.

Siostra Salomea rozejrzała się dokoła. Ze wszystkich stron biegli ku niej ludzie, w rozbitym oknie zamajaczyła blada twarz surowej siostry Matyldy, furtian wymachiwał rękami w wielkim podnieceniu, ale wszystko to mniej ją obchodziło w tej chwili niż ta mała kiść bzu, zwiędła, jak gdyby z gorącej wody wyciągnięta, która upadła jej do nóg. Podniosła ją, ucałowała gorąco, wierząc w prostocie ducha, że gdyby te kwiaty nie były tak piękne, nie byłaby przy nich straciła całej godziny, nie odkryłaby piekielnej maszyny i szpital nie byłby uniknął nieszczęścia.

Rozdział IX

TRZEBA MIEĆ NOSA

— O której przyjedziemy do Berlina? — Spytał Rafał Królik siedzącego naprzeciw towarzysza podróży, który wsiadł w Poznaniu.

Akuratny poznaniak wyjął z walizki rozkład jazdy, zaczął go wertować, ale wspomniał sobie w porę, że nie wie, na którym dworcu pytający zamierza wysiąść. Zagadnął o to, wprawiając współpasażera w niemały kłopot.

— A dużo tam tych dworców? Chyba nie więcej jak w Warszawie,

— Ho, ho, także coś — rozśmiał się poznańczyk i rozstawiwszy palce obu dłoni, zaczął wyliczać, zginając jeden paluch za drugim: — Schlesischer Bahnhof. Aleksander Platz, Friedrichstrasse, Zoologischer Garten, to tylko z naszej linii; a potem: Görlitzer Bahnhof, Anhalter, Potsdamer, tam naprzeciw jest sławny lokal Kempińskiego, który radzę zdziebko zobaczyć, potem z drugiej strony Stettiner Bahnhof i...

— Dosyć, panie szanowny — jęknął Rafał — jestem już przekonany.

— I gdzie pan wysiądzie?

— Hm, bo ja wiem? Może by przy Zoologischer Garten. Ogromnie lubię zwierzęta, będę miał pewnie blisko do Ogrodu zoologicznego, co?

— Bardzo blisko, i będzie pan od razu w centrum nowego Berlina.

Uczynny Wielkopolanin, który znał Berlin na wylot, podał Rafałowi cały „jadłospis" wszelkich lokali i hoteli w okolicy tego dworca, polecając jako ten, do którego sam często zajeżdżał, *Park Hotel*. Tym razem zamierzał sam zamieszkać koło Placu Aleksandra, gdyż w tej stronie miasta miał interesy, jak twierdził.

— To ci musi być miasto — myślał Rafał z respektem — jeżeli przyjezdny woli zrezygnować z dobrego hotelu, żeby mu nie było daleko.

Jego podziw wzrósł jeszcze, gdy wysiadłszy na dworcu przy „Zoologu" wpadł od razu w wir uliczny wielkiej metropolii i ujrzał wspaniałe świetlne reklamy. Popychany przez tłum, wysypujący się z dworca, podszedł do pierwszej z brzegu taksówki, postawił na stopniu swą walizkę i rzekł krótko:

— Park Hotel, bitte.

Szofer wzruszył lekko ramionami.

— Czy się panu opłaci? — rzekł, uśmiechając się przyjemnie; — Toż to jest naprzeciwko. O tam, widzi pan? Ten świecący napis.

Rafał ujrzał napis, pochwycił swoją walizkę, ale nie mógł wyjść ze zdumienia. Uczciwość tego Niemca zaimponowała mu, „wzięła" go z miejsca.

— Niechby tak u nas — mruczał, wypatrując stosownego momentu do przebycia ruchliwej jezdni — po całym mieście by cię przewiózł psianoga, no, a jakby zwąchał zagranicznego gościa, to i Wilanów by mu pokazał, wioząc go z dworca głównego do *Polonii*. Nie ma co, solidne bestie

Rafał, choć gorący patriota, odznaczał się charakterystycznym dla Polaków łatwym

entuzjazmem dla wszystkiego, co nowe i co obce, zagraniczne. Spodobał mu się od razu wzorowy porządek niemiecki, przysłowiowa czystość, nadzwyczajna organizacja ruchu ulicznego ujętego w karby świetlnych sygnałów automatycznych, spodobały mu się taksówki, wszystkie jednakowe, ciemnozielone z kratkowaną obwódką dla odróżnienia od aut prywatnych, spojrzał z ciekawością na olbrzymie piętrowe autobusy, tylko brzydkie, stożkowate czaka policjantów nie przypadły mu do gustu. Za to zdobył jego serce przebojem dostojny portier Park Hotelu, który własnoręcznie zaniósł mu walizę do pokoju, pomógł zdjąć palto i zabrał je zaraz do wyczyszczenia z kurzu.

— U nas taki dygnitarz ledwie kark przygiąć raczy, i to tylko po dobrym napiwku. — mruczał, rozglądając się po schludnym pokoju.

Jego entuzjazm osłabł dopiero przy kolacji, a zwłaszcza potem, w kawiarni, po wypiciu obrzydliwej lury, która miała być kawą według uroczystego zapewnienia kelnera.

— No tak, tego się jeszcze muszą nauczyć — osądził.

Powłóczywszy się z godzinę bez celu, wrócił i kazał się zbudzić o siódmej, choć ani trochę nie wierzył, że wstanie tak wcześnie. A jednak wstał, co było przede wszystkim zasługą owej kawy i wynikłych stąd perturbacji żołądkowych. I kiedy wracał z przybytku westchnień serdecznych, spotkał w korytarzu dostojnego portiera objuczonego tuzinem tobołków, nawiasem mówiąc bardzo eleganckich. Małe, damskie pudełko na kapelusze wysunęło się z dłoni portiera, który ani rusz nie mógł się po nie schylić, nie chcąc wypuścić innych pakunków. Wówczas obudził się w Rafale dawny skaut; podniósł pudełko, odebrał portierowi najniesforniejszą walizkę i zniósł te tobołki na parter, ani nie przeczuwając, jak bardzo mu się ta przysługa opłaci.

Całe przedpołudnie wypełniło mu zwiedzanie Ogrodu Zoologicznego i Akwarium, znacznie większego i ciekawszego niż przereklamowane Akwarium w Monako lub nawet neapolitańskie, a już szczególnie mu zaimponował oddział amerykańskiego hodowcy krokodyli. Było tam przeszło tysiąc tych jaszczurów, zaczynając od wylęgających się z jaj, a kończąc na trzech pięciometrowych patriarchach, których sadzawkę okrążał Rafał z oznakami wielkiego poważania i szacunku.

— Ten wielki — objaśniał hodowca, waląc kijem po nosach roztargnione jaszczury, które często zamiast rzucanych im płatów mięsa chciały popróbować smaku nóg swego władcy. — ten wielki nie otrząsnął się jeszcze z melancholii; już czwarty miesiąc absolutnie nic nie jadł.

— Rozumiem — mruknął Rafał, spiesząc myślą do warszawskich szkap dorożkarskich — one także cierpią na melancholię, tylko przymusową.

Brała go ochota, by zwędzić zgrabnie kilka jaj krokodylich i posłać je znajomemu hodowcy kur kochinchińskich. Cieszył się już na myśl, jaką by tamten zrobił minę na widok takich „kurcząt", ale nie dało się nic zrobić wobec ogromnej frekwencji zwiedzających.

— Szkoda — westchnął, wychodząc z pustymi rękami. Obiad w *Berg am Zoo* popsuł mu humor, więc z kwaśną fizjognomią wkroczył do hotelu, gdzie „dostojny" ściągał właśnie liberię. Postanowił na niego żółć wylać i z premedytacją wypuścił pierwszy pocisk w achillesową piętę każdego mieszczucha: — Nic ciekawego nie ma w waszym mieście — rzekł.

Portier nie obraził się jednak.

— Pozwolę sobie zauważyć — odparł z wyrozumiałym uśmiechem — że bez przewodnika lub choćby *Baedekera* nawet w Rzymie turysta nic nie zobaczy i znudzony będzie się błąkał po ulicach. Zależy też, co pan chce widzieć; czy muzea?

— Po *British Museum*, które zwiedzałem trzykrotnie, już mi żadne muzeum nie zaimponuje — odparł Rafał, choć nigdy w Londynie nie był.

— Zatem lokale; tym lepiej. Mamy tu takie, jakich pan w Paryżu nie zobaczy, nie mówiąc już o Warszawie. Gdyby pan pozwolił, mógłbym go dzisiaj zaprowadzić w niejedno miejsce.

Dzisiaj mam wieczór wolny.

Rafał przystał z ochotą, umówili się na dziesiątą wieczór w pobliskiej *Hessler Café*, jedynej kawiarni berlińskiej z doskonałą kawą, a cały wolny czas aż do zmroku radził portier zużyć na wycieczkę do Potsdamu. Rafał usłuchał tej rady, zwiedził królewskie pałace, wzorowane na wersalskich, podumał w Sanssouci, „popełnił" jakiś aforyzm o Fryderyku Wielkim i wazeliniarzu Wolterze, ale nie zapisał sobie tego z wielką szkodą dla przyszłych pokoleń, i zziajany jak dewotka po odpuście, powrócił do hotelu, by się przebrać.

— Jakiego typu lokal chciałby pan odwiedzić? — spytał fachowo „dostojny", skoro już spałaszował dwa ogromne *Apfelkuchen mit Schlagsahne* do maleńkiej filiżanki kawy osłodzonej aż czterema kostkami cukru.

— Chciałbym się zabawić całą parą — odparł Rafał, mrużąc oko.

— Rozumiem, — odparł tamten poważnie i skinął na płatniczego.

— Zaczekaj pan chwilkę; muszę napisać kartkę do przyjaciela.

— Rozumiem — powtórzył domyślny przewodnik.

A tymczasem Rafał, źle osądzony przez tego towarzysza, wyjął z kieszeni plik widokówek i na najpiękniejszej pisał do Szafrana te słowa:

Drogi Balciu.

Od rana biegam po wszystkich hotelach, pensjonatach itp., ale to niełatwa sprawa znaleźć kogoś w czteromilionowym mieście. I teraz, choć noc późna, pracuję niestrudzenie. Miasto ogromne, czyste, ruchliwe, kobiety proszę siadać; to bujda, że Niemki są ciężkie. Nie ważyłem oczywiście żadnej do tej pory, ale miarkuję na oho. Pozdrów porucznika S. i czekaj cierpliwie następnego biuletynu z pola walki, a poza tym uważaj się za pocałowanego w ciemię przez

Twego Rafała K.

Lokal, do którego portier zawiózł Rafała, nie wyglądał ciekawie ani z zewnątrz, ani w środku. Na zewnątrz była to sobie duża kamienica przy porządnej ulicy, szeroka brama wiodła do długiej sieni, obwieszonej plakatami średnio sprośnymi na miasteczko prowincjonalne, a zgoła cnotliwymi jak na Berlin; wewnątrz zaś była nieduża salka dancingowa z barem w głębi, w rogu, z jazzbandem na małej estradzie, słowem nic nadzwyczajnego.

— *Eldorado* — Rafał przeczytał nazwę lokalu z rozczarowaną miną.

— Tak — odparł portier z dziwnym uśmiechem — dla pana będzie to prawdziwe eldorado, zobaczy pan sam.

Miotając niecierpliwe spojrzenia dokoła, zoczył Rafał wreszcie kilka ślicznych kobiet siedzących przy wysuniętym stoliku, wystrojonych w balowe toalety; druga grupa urzędowała przy barze, trzecia spacerowała między stolikami niewątpliwie w tym celu, aby wejść w kontakt z klientami.

— Można taką poprosić do tańca? — spytał Rafał towarzysza, bowiem wpadła mu w oko cudna blondynka, z oczyma dziecka i ustami doświadczonej kapłanki miłości, a muzyka zaczynała właśnie tango.

— Od tego są tu przecież, i od czego innego także — brzmiała wymowna odpowiedź, wobec czego Rafał zerwał się od stolika, podbiegł do grupy niewiast perypatetyczek i skłonił się przed swą wybranką. Przyjęła go z czarującym uśmiechem, przycisnęła mu ramię, a potem w tańcu przytuliła się tak, że oszołomiony danser cmoknął ją gorąco w okolicę karczku. Niestety nie mogli się porozumieć, gdyż złotowłosa była Skandynawką i znała tylko kilka wyrazów niemieckich, których właśnie Rafał nie rozumiał. Po tańcu zaciągnęła go do baru, gdzie postawił

jej nieodzowny cocktail, po czym puścił w ruch rozdygotane dłonie, pragnąc chociażby pogłaskać te cudne, okrągłe ramiona, najpiękniejsze, najrówniej utoczone, jakie widział w życiu. Wydawał przy tym ludożercze pomruki, coraz bardziej podniecony, ba, zakochany, coraz więcej spragniony pocałunków, które jednak trzeba było kupować nowymi kolejkami cocktailu.

Wtem... piękna wysunęła się z jego objęć i pobladła. Po drugiej stronie ich taboretów, zsuniętych blisko, pojawił się jakiś kruczowłosy młodzieniec i zasztyletowawszy wzrokiem Rafała, skłonił się przed jego towarzyszką; prosił ją do tańca, porywał mu ją najbezczelniej w świecie.

— Zobaczymy się jeszcze, sądzę — rzekł Rafał głośno, przytrzymując rękę spłoszonej niewiasty. Wpił się w jej dłoń długim, namiętnym pocałunkiem, cisnął barmanowi należytość na wysoką ladę, zmierzył rywala wyzywającym spojrzeniem od stóp do głów i z powrotem, i nadęty jak paw powrócił do stolika.

— Marzenie, poezja, ciastko z kremem! — stopniował swe zachwyty.

— Tak — przyznał portier — tylko on jest najdroższy ze wszystkich.

— Kto taki?

— No, ten Szwed, z którym pan tańczył i pił w barze.

— Szwedka, chciał pan powiedzieć.

Teraz z kolei portier zrobił zdumioną minę, a potem osłupiały Rafał dowiedział się z jego ust, że zarówno „Szwedka", jak wszystkie inne bez wyjątku „danserki", to mężczyźni transwestyci, którzy posiadają oficjalne zezwolenie od policji na noszenie szat niewieścich.

— Czemuś mi pan tego od razu nie powiedział?! — jęknął biedny Rafał, spluwając intensywnie na wspomnienie namiętnych pocałunków, jakimi darzył swoją „Szwedkę", och, straszne… mężczyznę!

— Myślałem — bąknął zmieszany przewodnik — że pan jest... tego!

— Nie, panie! Nie jestem bynajmniej *tego*, ale zwyczajny *tamtego*, uważa pan? Nie, to niemożliwe! A ten brunet także wie, że to mężczyzna, niby ta moja przeklęta „Szwedka"?

— Ależ naturalnie! Tutaj uczęszczają sami homoseksualiści, to jest ich lokal właśnie... No, owszem, czasem przychodzą kobiety, ale tylko w charakterze widzów... Trafiają się także pary lesbijek. O tamte dwie, widzi pan?

Rafał pospieszył wzrokiem za kierunkiem jego spojrzeń i ujrzał parkę, na oko nie odbijającą od innych; „on" miał w oku monokl, w ustach cygaro, był ubrany w smoking, ba, ale zamiast spodni miał czarną spódnicę... ona zaś wyglądała normalnie i spuszczała wstydliwie powieki, bowiem „on" był wcale agresywny i poczynał sobie zuchwale, jakby nikogo więcej nie było na sali.

— A to ci spelunka, niech mnie kaczka kopnie! — wyrwało się Rafałowi. Skinął też zaraz na płatniczego, gdyż do sąsiedniego, pustego stolika podeszło trzech transwestytów i zaczęło go kokietować niepokojąco; musiała widać „Szwedka" rozreklamować już jego hojność i... temperament!

Wychodząc z *Eldorado*, obrzucił raz jeszcze ciekawym spojrzeniem tańczące pary i znowu ogarnęły go wątpliwości. Czyż możliwe jest, aby istnieli tak piękni mężczyźni, aby potrafili się poruszać w niewieścich sukniach z takim wdziękiem, aby mieli tak maleńkie stopy, zgrabne łydki i... biusty? — pytał się duszy swojej, a że mu nic nie odrzekła, zagadnął wręcz doświadczonego towarzysza.

— Biust każdy może sobie zrobić — odparł „dostojny" — ale najprędzej poznać transwestytów po głosie; dlatego są tacy małomówni.

— Sodoma! — jęknął Rafał, otrząsając pył z trzewików.

Na Kurfürstendamm zaczepiły ich jakieś kobiety w butach poza kolana; cholewki tych

butów były zielone, czerwone i w innych kolorach, świeciły się w blasku latarń ulicznych, ale silniej błyszczały oczy kobiet.

— A to co za diabły? — zaniepokoił się Rafał, spuszczając wzrok przed spotkaniem z tymi spojrzeniami, ostrymi, wyzywającymi, okrutnymi.

— To są sadystki, a barwa butów oznacza ich specjalności — wyjaśnił przewodnik. — Może to coś dla pana?

— Dziękuję uprzejmie — krzyknął mały detektyw — w Warszawie zawarłem znajomość z sadystami, którzy omal mnie nie utopili. To mi wystarcza na razie. Och, Sodoma, Sodoma! — powtarzał zgorszony, choć intrygowało go mocno, co taka sadystka może zaprodukować nadzwyczajnego. — Żeby tu był Balciu, namówiłbym go na pewno, ale sam wolę nie próbować — postanowił.

Szli teraz w stronę Zoo, gawędząc o... kobietach. Rafał był zdania, że najpiękniejsze na świecie są Angielki, portier gardłował za Rosjankami.

— Ech, panie, żeby pan był widział tę, co u nas mieszkała, to byś mi pan przyznał rację. Cudo, po prostu cudo! — twierdził, mlaskając językiem jeszcze głośniej niż wówczas, gdy pożerał ulubione *Apfelkuchen*. Żeby tak dziś było wczoraj, to bym panu pokazał jej fotografię w paszporcie.

— Skąd pan wie, że to była Rosjanka? Może właśnie Angielka.

— Angielka z rosyjskim paszportem? Zresztą nazwisko mówi za siebie... Czekaj no, pan… zaraz, zaraz. Wiera... Wiera Ruskanowa.

— Co? Może: Rusanow? Panie, gdzie jest ta kobieta? — wrzasnął Rafał, potrząsając zdziwionym Niemcem.

— Wyjechała do Paryża dziś rano. Pamięta pan, jak znosiłem walizki i pan mi pomógł łaskawie? To były właśnie jej bagaże.

W pół godziny później Rafał Królik pisał w swym pokoju hotelowym drugą kartkę do Baltazara Szafrana. Treść jej była krótka i tchnęła zarówno prawdomównością jak i skromnością tego samego gatunku:

Bal, Bal, Balciu Kochany!

Choć niekiedy próbujesz mi dorównać bystrością, byłbyś tu stracił cały miesiąc – i guzik! A ja, dzięki mej pracowitości i metodzie dedukcyjnej zdobyłem wszelkie potrzebne informacje w ciągu jednego dnia. Wiem, gdzie W. mieszkała, co jadła na śniadanie, jakich perfum używa i jaki ma numer trzewików. Ale to Ciebie obchodzi figę. Niech Ci wystarczy, że dziś wyjechała do Paryża, a ja pędzę tam za nią jutro. Przyznaj, Małpo, że jestem genialny. Ucz się ode mnie, pracuj, jak ja, a będą z Ciebie ludzie, w co osobiście zawsze wątpi

oddany Ci Rafał K.

PS Trzeba mieć nosa, jak ja!

Rozdział X

ŚWIATOWA SENSACJA

Na granicy belgijsko-francuskiej można było dostać dzisiejsze popołudniowe dzienniki paryskie. Młody, przystojny Niemiec, nadskakujący Wierze Rusanow od samego Berlina, przyniósł do przedziału całą stertę ilustrowanych tygodników, a sam rzucił się łapczywie na najświeższy numer *L'Intransigeant*, widać polityka interesowała go więcej, niż lekkostrawne sensacje barwnych magazynów filmowych i sportowych

— Niesłychane! — krzyknął nagle takim głosem, że zdziwił wszystkich, zarówno Wierę, jak siedzącego obok niej Jankesa i jego małżonkę żującą dyskretnie gumę, a nawet ostatniego pasażera z tej piątki, brodatego jegomościa w czarnych, rogowych okularach, oryginała, który spał niezmordowanie w kącie przedziału pod oknem, budząc się przelotnie na przystankach.

— Niesłychane! — powtórzył Niemiec w widocznym podnieceniu. — Trudno wprost w to uwierzyć.

— W co? — spytał Amerykanin.

— Żeby w dwudziestym wieku istniało wielkie miasto, o którym ani atlasy, ani słowniki geograficzne, ani my, ludzie wykształceni, pochlebiam sobie... nic nie słyszeliśmy.

— Ooo, nowe wykopaliska? — zainteresował się Jankes.

— Ależ nie, miasto nowe, dzisiejsze, że tak powiem.

— No, chyba nie u nas, w Ameryce.

— Może *Donogoo* — parsknął śpioch i zaraz wyjaśnił amerykańskiemu małżeństwu, że tak brzmi tytuł oryginalnej sztuki granej obecnie w Paryżu w teatrze Rothshilda, że bohaterem tej sztuki jest urojone miasto Donogoo lub raczej szajka spekulantów sprzedających naiwnym nieruchomości, place, parcele i tym podobne obiekty nieistniejącego zupełnie miasta.

— O, yes, very interesting — orzekł Jankes, zaś jego małżonka poleciła sobie zapisać tytuł owej sztuki, wymawiając go z angielska *Donogu.*

— John, zaraz jutro kupisz bilety do tego teatru — zadysponowała.

— Oczywiście — przystał i dodał już po angielsku: — Będziesz mogła śmiało opowiadać przyjaciółkom, że byliśmy u Rothshilda!

Po tej małej dygresji rekordzista w spaniu ukrył znów głowę pod zwisającym płaszczem, Wiera Rusanow zabrała się do nowego magazynu, Amerykanin do studiowania bedekera *Paryż i jego okolice*, a Niemiec do czytania swej gazety. Lecz niedługo wytrwał w spokoju.

— Unerhört! — wykrzyknął po raz trzeci, zakłócając spokój towarzyszom podróży. — Czy pozwolicie państwo, bym im przeczytał tę sensację?

— Owszem, — rzekła Wiera z uprzejmą rezygnacją.

— Yes, niech pan przeczyta.

Pasażer spod okna warknął coś niewyraźnie; mogło to być równie dobrze przyzwolenie jak i życzenie serdeczne: *bodajś twarz złamał*. Wobec takiej jednomyślności Niemiec odchrząknął, jak na speakera przystało, i w formie objaśnienia dodał od siebie małą przedmowę:

— Czytaliście państwo zapewne o krwawym zajściu, jakie w ubiegłym tygodniu

wydarzyło się na granicy polsko-rosyjskiej, i wiecie, przypuszczam, że na tego zbiega, który był właściwym powodem incydentu, usiłowano dokonać zamachu. Pani nie słyszała? — zwrócił się do Wiery, która może nawet bezwiednie poruszyła głową poziomo. — Ach, to cała historia. Posłano mu bukiet kwiatów, a w wazonie była ukryta maszyna piekielna. Na szczęście pielęgniarka posłyszała szmer mechanizmu i wazon wrzuciła do stawu.

— To niezbyt świeża sensacja, mój panie. — mruknął śpioch, nie wynurzając się spod płaszcza. — Onegdaj w Berlinie już czytałem.

— Ale ja nie — syknęła Amerykanka.

— Otóż ten zbieg, którego tajemniczy wrogowie chcieli sprzątnąć za wszelką cenę — ciągnął dalej Niemiec — odzyskał ostatniej nocy przytomność i zaczął mówić rzeczy niesłychane.

Pasażer spod okna wyłonił się raptownie ze swej kryjówki,

— Mianowicie? — spytał ze źle udaną obojętnością.

Niemiec zaczął czytać:

Zbieg rozpoczął swoje sensacyjne zeznania od informacji dotyczących jego osoby. Nazywa się Karol Weber, rodem z Poznania, w roku 1915 dostaje się do niewoli rosyjskiej wraz z całym batalionem niemieckiego pułku. Po wybuchu rewolucji zostaje aresztowany, skazany na śmierć za rzekomy udział w spisku kontrrewolucyjnym, jednak karę złagodzono, zmieniając ją na zesłanie na Syberię. Tam pozostaje do roku 1920, wreszcie ucieka gnany tęsknotą za ojczyzną, która przechodzi wówczas najgorętsze chwile swej wojennej kampanii z Bolszewią. W Tobolsku zaprzyjaźnia się z pewnym grawerem, który wyrabia mu sfałszowane dokumenty, i już bez przeszkód, przybywa do Moskwy jako Karol Meyer, inżynier-chemik urodzony w Poczdamie, a doskonała znajomość języka niemieckiego ułatwia mu tę maskaradę. Nie mając środków na dalszą podróż, a lękając się zgłosić do konsulatu niemieckiego, znajduje sobie zajęcie w mieście. Jesienią roku 1921, kiedy już przygotowuje się do wyjazdu i zamierza rozpocząć starania o potrzebne dokumenty, otrzymuje urzędowe wezwanie do Państwowego Instytutu Chemicznego. Tam wypytują go, egzaminują, ciągną za język, a w następstwie tego przesłuchania Karol Weber, czyli rzekomy Meyer, już nie wraca do mieszkania. Obudziwszy się po ciężkim śnie, niewątpliwie narkotycznym, stwierdza ze zgrozą, że znajduje się w jakimś baraku o silnie zakratowanych oknach; jego rzeczy przywieziono tu także, ale gdzie jest i dlaczego to wszystko, nie ma pojęcia. Dopiero w nocy dowiaduje się od towarzysza niedoli z sąsiedniego łóżka, że miał nieszczęście „trafić" do „kuźni szatana", jak tam nazywają Stalingrad...

— Jak pan powiedział? — krzyknęła Wiera.

— Stalingrad — odparł Niemiec, a śpioch dorzucił z kąta:

— To znaczy zapewne *miasto Stalina*. No, no, ciekawa historia. To już koniec?

— Ależ, początek zaledwie. Posłuchajcie tylko, teraz najciekawsze.

— Bardzo zajmujące — mlasnęła Amerykanka, wałkując językiem gumowe ciasto.

— Stalingrad jest jedną przeogromną fabryką materiałów wojennych, ze szczególnym wyróżnieniem broni chemicznej. 60.000 robotników pracuje tam dniem i nocą, na trzy zmiany, pod kierownictwem inżynierów, z których zaledwie 40% jest narodowości rosyjskiej; pozostali, to Niemcy, Polacy, Anglicy, Francuzi, Czesi, Włosi, istna wieża Babel. Ci nieszczęśliwcy, dawno za zmarłych uznani w swoich ojczyznach, są najzupełniej odcięci od świata, jak zresztą wszyscy mieszkańcy Stalingradu, prócz kilku naczelnych inżynierów, zaprzysiężonych komunistów. Jak bardzo zależy bolszewikom na utrzymaniu w tajemnicy istnienia Stalingradu, dowodzi fakt, że

cały personel towarowych pociągów, dowożących codziennie żywność i potrzebne surowce, składa się z głuchoniemych analfabetów...

— Głuchoniemych analfabetów! — powtórzył pasażer spod okna i ryknął salwą żywiołowego śmiechu. — Bajeczne, niezrównane! Cóż jeszcze wymyślił ten genialny Karol Weber? Niech pan czyta, mój panie.

— Pan sądzi, że ów Weber kłamie? — spytała Amerykanka.

— Jeśli nie on, łaskawa pani, to już na pewno polscy dziennikarze, niewyczerpani w fantastycznych pomysłach, jeśli chodzi o Rosję Sowiecką.

Niemiec spojrzał nieżyczliwie na sceptyka przerywającego mu lekturę gazety w tak ciekawym momencie i podjął wstrzymaną na chwilę młóckę francuszczyzny, wybitnie ciężkostrawnej dla jego twardego języka:

Po krwawym buncie robotników na wiosnę r. 1922 władcy Stalingradu w miejsce dotychczasowej beznadziejnej katorgi wprowadzili system kontraktów. Przyrzeczono uroczyście zarówno nam, inżynierom, jak i robotnikom, że po pięciu latach nienagannej pracy otrzyma każdy dość znaczną odprawę i odzyska swobodę ruchów. Niestety, ustawiczne przedłużanie tego okresu w formie kar za urojone wybryki przekonało nas rychło, jaką wartość posiadają te „kontrakty". A jednak znalazło się wśród nas dwóch takich flegmatyków, którzy nie pozwolili się wyprowadzić z równowagi żadną prowokacją i wysłużyli sumiennie swoje pięciolecie; byli to Anglicy Maitland i Smith. Wobec całego zgromadzenia zaprzysiężono ich, że nie zdradzą nigdy tajemnicy Stalingradu, wypłacono im odprawę i wywieziono ich autem z wielką pompą. Czy dotarli szczęśliwie do swej ojczyzny, nie wiem; sądzę raczej, że rozstrzelano ich po drodze w borach otaczających ze wszystkich stron „kuźnię szatana".

Naczelne kierownictwo techniczne fabryk stalingradzkich spoczywało od lat w rękach profesora Fiodora Rusanowa...

Niemiec przerwał na chwilę i podniósł grzecznie *Graphic*, który wysunął się z rąk jego czarującej towarzyszki podróży.

— Dziękuję panu — wykrztusiła Wiera nieswoim głosem, spuszczając wzrok przed przenikliwym spojrzeniem pasażera spod okna. Niemiec kończył:

— On to właśnie jest wynalazcą straszliwego gazu bezwonnego nazwanego na pamiątkę trzystu trzech próbnych doświadczeń „Gazem 303", on jest wynalazcą stu innych potwornych narzędzi śmierci, które sprowadzą zupełny przewrót w przyszłej wojnie; a wojna ta wisi w powietrzu i przyniesie zagładę całej Europie! Jestem przekonany, że już byłaby wybuchła, gdyby nie nagła choroba Rusanowa, który zatruł się niebezpiecznie w swym laboratorium w trakcie prób nad odbarwieniem „Gazu 303". Wiem to, gdyż byłem jednym z młodszych asystentów „wielkiego mózgu", jak tutaj nazywają profesora. I właśnie jego wyjazd za granicę na kurację dostarczył mi okazji do ucieczki ze Stalingradu strzeżonego lepiej, niż kiedykolwiek było strzeżone jakie więzienie czy forteca. W jaki sposób uciekłem, nie mogę powiedzieć, nie chcąc narażać na straszliwą zemstę tych, którzy mi w tym dopomogli. Nie ścigano mnie początkowo, widocznie sądzono, że zostałem przydzielony do towarzystwa profesorowi. Dopiero w Moskwie ujrzałem plakaty z moją podobizną i obietnicą nagrody 20.000 czerwieńców za moją głowę, przy czym nazwano mnie tam mordercą i zbiegiem z Łubianki; o Stalingradzie nie było oczywiście najmniejszej wzmianki. Przez długie 6 tygodni kryłem się, potem rozpocząłem najuciążliwszą w życiu podróż do granicy polskiej. Tomy można by pisać o moich ówczesnych przygodach

naprawdę krew w żyłach mrożących, i snadź Wyższe Moce czuwały nade mną, że z wszystkich tych niebezpieczeństw wychodziłem cało. Aż w Mińsku! Poznał mnie kowal podmiejski, u którego zanocowałem. Podsłuchałem jego rozmowę z żoną i... zostałem zabójcą. Ale tylko jego unieszkodliwiłem, kobietę oszczędziłem, choć mogłem jej dopaść, gdy z krzykiem uciekała przez okno. Tropiony jak zwierz, czując wciąż pościg za sobą, przedzierałem się z rozpaczliwą determinacją ku pobliskiej granicy. Resztę znacie. Wiem, że żadna moc ludzka nie ocali mnie przed zemstą mych prześladowców; nie dbam o to. Wszakże cel osiągnąłem, ostrzegam świat przed potwornym niebezpieczeństwem, a przede wszystkim moją ojczyznę, która pójdzie na pierwszy ogień, gdy armie bolszewickie uzbrojone w pociski z „Gazem 303" runą na Europę.

Niemiec przeczytał jeszcze obszerny komentarz redakcji, odłożył gazetę i, przejęty szczerze treścią tych rewelacji, jął powtarzać w kółko:

— I co państwo na to? I co państwo na to?

Było to pytanie na wskroś retoryczne, lecz Wiera, czując wciąż na sobie badawczy wzrok śpiocha, odparła ze sztuczną obojętnością:

— Jest to w każdym razie światowa sensacja.

— Sensacja? — wrzasnął pasażer spod okna. — Nie, drodzy państwo. To jest światowy bluff, humbug? Donogoo! — zachichotał histerycznie. — Donogoo!

Rozdział XI

PIERWSZY ŚLAD

— Łapin?

Dostojnik sowiecki powtórzył dwukrotnie to nazwisko, jak gdyby szukał w pamięci jego właściciela.

— Ach, to ten — przypomniał sobie wreszcie i machnął ręką lekceważąco. — Niech zaczeka, aż zadzwonię — dodał, odprawiając zblazowanego sekretarza skinieniem dłoni.

Pozostawszy sam, zabrał się ponownie do wertowania porannych pism paryskich.

— Sprawa Stalingradu wciąż jeszcze nie schodzi z łamów prasy burżuazyjnej — mruknął, przycinając cygaro, po czym jego wzrok przeskoczył na plik odszyfrowanych depesz wszytych w teczkę z napisem *Fiodor Rusanow* i na ostatni telegram, który nadszedł przed godziną.

Przerzucając bezwiednie przeczytane dzienniki zawierające pierwszą wzmiankę o istnieniu tajemniczego Stalingradu, przypadkowo natrafił na ten ustęp zeznań Karola Webera, w którym była mowa o sowieckich przygotowaniach do przyszłej wojny. Czytał:

— *...a wojna ta wisi w powietrzu i przyniesie zagładę całej Europie. Jestem przekonany, że już byłaby wybuchła, gdyby nie nagła choroba Rusanowa.*

Przeczytał te wiersze dwukrotnie z uwagą.

— No, lekka przesada — rzekł półgłosem — chyba ja bym coś wiedział o tym. A może jednak... hm... — Zamyślił się i długo trwała jego zaduma, bardzo długo...

Wreszcie... na krótko przed dwunastą zadźwięczał dzwonek i wymokły sekretarz wprowadził do gabinetu zniecierpliwionego petenta.

Dostojnik powitał wchodzącego zdaniem, w którym trudno byłoby nie wyczuć niechęci i sarkazmu, mimo słów obojętnych na pozór:

— No i cóż, towarzyszu; przekonaliście się już, że Paryż jest prawdziwą dżunglą i niepodobna coś poprawić po robocie naszych ludzi. Przekonaliście się o tym sami i przychodzicie mi to oświadczyć, prawda? Czytam to w waszej twarzy... No, no, nie martwcie się — pocieszał go obłudnie.

Borys Siemionowicz Łapin czekał cierpliwie, aż tamten się wygada, potem zaś, z właściwą sobie krewkością, napadł na tych, po których rzekomo nie można było już nic poprawić.

— Wprowadzili nas w błąd w Warszawie i w Berlinie, utrudnili poszukiwania przez fałszywy meldunek... oto cała ich zasługa! — warknął.

Dygnitarz cisnął mu spojrzenie „zamrażające".

— Fałszywy meldunek? — syknął. — Co towarzysz ma na myśli?

— To, że mieli rzekomo odprowadzić profesora Rusanowa na dworzec, ba, nawet wsadzić go do wagonu sypialnego, tymczasem ustaliłem, że krytycznego wieczora żaden z nich na dworcu nie był... Dzięki temu straciliśmy bezpowrotnie moc czasu na niepotrzebne poszukiwania w Niemczech i w Polsce, podczas gdy Rusanowa należało od razu szukać tutaj... w Paryżu!

— To pewnik?

— Moim zdaniem, tak.

— Dowody?

Borys Łapin podszedł bliżej do biurka i złożył na nim ćwiartkę papieru z notatkami, których znaczenie zaraz objaśnił. Według tych zapisków profesor Fiodor Rusanow w dniu, w którym miał odjechać na powrót do Rosji, opuścił hotel na godzinę przed odejściem międzynarodowego ekspresu, odjechał taksówką, ale na dworzec wcale nie przybył i jego przedział w wagonie sypialnym pozostał niezajęty aż do Warszawy.

— Tego arcyważnego faktu nie można było od razu stwierdzić u was w Warszawie?

— Przypuszczam, że nie, skoro mój poprzednik tego nie uczynił. Bowiem nie od razu mnie powierzono tę sprawę... Konduktorzy wagonów sypialnych musieli się zapewne zmienić w Niemczech; zresztą początkowo nikt nie wierzył w możliwość porwania profesora; sądziliśmy raczej, że z ważnych powodów odłożył wyjazd. Dopiero kiedy z Moskwy...

— To wyjaśnienie mi wystarcza — wtrącił dygnitarz, zagłębiając się ponownie w studiowanie zapisków Łapina. Dotyczyły one z kolei bagażu zaginionego profesora, mianowicie dwóch wielkich kufrów. Złożono je w przechowalni dworcowej w dniu zamierzonego wyjazdu profesora, miały być widocznie nadane wieczorem lub umieszczone w przedziale wagonu sypialnego, i ktoś je podjął za zwrotem recepisu, ale... w dwa dni później!

— To był także ślad — dowodził Borys — który mógł nam wskazać osoby, wmieszane w sprawę porwania Rusanowa. Niestety tutejsi...

— Zatem towarzyszu przyjmujecie definitywnie hipotezę porwania, a nie ucieczki — przerwał znowu tamten, chcąc odciągnąć uwagę Łapina od przedmiotu jego ostrej krytyki. — No, a jakże się zachowuje córka profesora? Rozpacza czy też nie przejmuje się zbytnio wypadkiem? To przecież może stanowić najpewniejszy wskaźnik dla nas.

— Wiera Rusanow zamieszkała tym razem w drogim hotelu, bo w *Hôtel de Paris* przy Boulevard de la Madelaine... Nic szczególnego nie zauważyliśmy w jej zachowaniu. Zresztą trudno tu mówić o sumiennej inwigilacji wobec braku wszelkiej pomocy ze strony waszych ludzi. Jest nas dwóch tylko ja i mój pomocnik, który całą podróż z Berlina odbył w tym samym przedziale co Wiera Rusanow. Ponieważ zaś cały mój wolny czas pochłania naprawianie cudzych błędów, więc tylko pomocnik śledzi Wierę. Jest to doprawdy zbyt wiele na jednego człowieka, jeśli wziąć pod uwagę nieobliczalność Wiery, jej nieregularne wypady na miasto i tak dalej.

Dygnitarz odsunął gniewnie kartkę z notatkami i zmierzył mówiącego nieprzyjaznym spojrzeniem.

— Stary to kawał, towarzyszu — zasyczał zjadliwie — że człowiek, który niczego sam nie dokonał, zwala winę na innych.

— A może właśnie czegoś dokonałem! — odparł podobnym tonem Borys.

Błysk zainteresowania zamigotał w zmrużonych oczach dostojnika, lecz jego odpowiedź była równie lekceważąca jak równoczesne wzruszenie ramionami.

— Bardzo wątpię; prócz krytyki naszych ludzi nie usłyszałem tu jeszcze... wybaczcie szczerość, towarzyszu, mądrego słowa!

Borys Łapin poczerwieniał na twarzy, bezwiednie zacisnął pięści, ale opamiętał się natychmiast. Potem, czyniąc częste przytyki do niedołęstwa tych, którzy jako znający lokalne stosunki, powinni mu być przydzieleni do pomocy, jął opowiadać historię swojego odkrycia. Zrobił je dość przypadkowo, dzięki zawarciu znajomości w *Ermitażu* z pewnym Rosjaninem, emigrantem, któremu się przedstawił jako były oficer gwardii, zamieszkały obecnie w Berlinie i pracujący w niemieckiej firmie *AEG.*

— Naiwne — mruknął nadsłuchujący dostojnik — każdy emigrant robi się byłym

oficerem gwardii. Wynajdźcie już raz coś innego.

Borys Łapin puścił tę uwagę mimo uszu; zrozumiał już, że słuchacz usiłuje zamaskować swoje wielkie zainteresowanie, i mszcząc się za ironiczne przycinki, wałkował jak ciasto krótką historię, powtarzając drobiazgowo każde zdanie rozmowy z emigrantem, w którego wlał potrzebną ilość alkoholu.

— Kiedym zrozumiał, że wypił w sam raz, ile należało, wyjąłem niby to niechcący gazetę z kieszeni i skierowałem rozmowę na profesora Rusanowa — opowiadał Łapin. — Przewracając oczyma na znak zachwytu, rzekłem w pewnej chwili z uśmiechem: *To było dobrze zrobione!*

— A on co na to? — burknął dygnitarz ze źle udaną obojętnością.

— A jemu wyrwało się wtedy: *To był nasz rewanż za Kutiepowa.*

— Tak powiedział?

— Dosłownie, tak.

— Fi, przechwałka. Dureń chce zapisać na rachunek emigracji to, co inni zrobili.

— Nasza paryska centrala, jak widzę, nadal wierzy, iż Rusanowa uprowadzili agenci Intelligence Service — rzekł Borys z ironią.

— No i cóż dalej z tym emigrantem?

— Ano nic, zleciał mi pod stół... Słaba głowa, okazało się, bo ja nawet wstawiony nie byłem... Ale przedtem...

— Gadajże, towarzysz, prędzej, z łaski swojej.

— Przedtem zdołałem od niego wyciągnąć jeszcze jedno zdanie dużo mówiące. Mianowicie, opowiadając o wrażeniu, jakie na pewnych kołach emigracji wywarły zeznania Karola Webera, zacytował mi okrzyk jednego z obecnych wówczas. Ów człowiek miał zawołać: *Złapaliśmy grubszą rybę, niż sądziliśmy sami w dniu porwania!...* Po tej rozmowie zrozumiałem, że profesor Rusanow wsiadł do fałszywej taksówki i został uprowadzony wprost spod hotelu, w którym mieszkał po wyjściu z lecznicy, i pozbyłem się ostatnich wątpliwości, co do tego, kto dokonał porwania naszego uczonego.

— Tak — przyznał dygnitarz, podnosząc słuchawkę aparatu telefonicznego — to pierwszy poważny ślad w tej ciemnej sprawie.

Rozdział XII

RAFAŁ W PARYŻU

Pierwsze wrażenie było jak najgorsze. Po Berlinie każdemu zresztą Paryż musi się wydać ciemny, brudny i... pachnący, a tę ostatnią wadę zawdzięcza miasto wstrętnej mieszance, jakiej oszczędni Francuzi używają zamiast benzyny. Trzysta tysięcy aut rozsnuwa tę przykrą woń po ulicach zbyt wąskich na tak silny ruch kołowy i dlatego każdy przyjezdny czuje się początkowo pod zdechłym psem, póki jego organizm nie przywyknie do paryskiego powietrza.

Na domiar złego Rafał zamieszkał na lewym brzegu Sekwany, przy ulicy du Bac numer 50, w hoteliku, który jeden z przygodnych towarzyszów podróży polecił mu jako bardzo przyzwoity, niedrogi i dobrze położony; jest to hotel zamieszkały niemal wyłącznie przez Francuzów, a Francuzi, jak wiadomo, kładą się spać o dziewiątej i późniejszy powrót do hotelu wobec cieniutkich ścianek i sufitów wywołuje ogólne protesty. Rafał doświadczył tego na własnej skórze, kiedy po kąpieli, odświeżony i ogolony, zrobił mały wypad na Montparnasse, aby zbadać z grubsza nocne życie „tubylców". Nazajutrz rano, pomny przestróg Juliusza Solarskiego, że w Paryżu nie tylko zdzierają z turystów, ale i dopisują im niestworzone rzeczy do rachunków, zgłosił się do biura hotelowego, aby od razu uregulować należność za wczorajszą kąpiel.

— Sześć franków, prawda? — rzekł, pokazując odnośną pozycję na oficjalnym cenniku wywieszonym z polecenia władz ku utrapieniu hotelarzy.

— Tak, sześć — odparł kwaśno „gentleman" o manierach fornala i fizjognomii dziedzicznego kretyna — ale pan brał także tusz!

— Oczywiście; od tego chyba jest prysznic, żeby go używać.

— Tak. panie, lecz za użycie tuszu należy się osobno pięć franków.

— Za tusz pięć franków?! Za pół litra zimnej wody?!

— Poza tym należy się dziesięć procent za obsługę.

— Służącej dam za obsługę kiedy będę wyjeżdżał.

— Pan ma na myśli zapewne napiwek, no tak, to się słusznie należy. Ale za obsługę dziesięć procent to my bierzemy, my właściciele!

— Dziwne zwyczaje — mruczał Rafał, wyjmując portfel. — Dlaczego nie napisać w cenniku po prostu, że kąpiel kosztuje dwanaście franków i dwadzieścia centymów?

— Myli się pan; kąpiel kosztuje tylko sześć franków — odparł z uporem właściciel, pożerając chciwym spojrzeniem banknoty wychylające się z przedziałki portfelu gościa. Ten dowód zamożności rozkrochmalił od razu gburowatego zazwyczaj hotelarza. — Jakże pan spędził noc? — spytał uprzejmie.

— Ja? Dziękuję, tak sobie — odrzekł Rafał — ale pańskie biedne pluskwy ani oka nie zmrużyły; kilka najpracowitszych musiałem uśmiercić, ich zwłoki znajdzie pan na pudełku od papierosów, gdzie je z pietyzmem złożyłem. Czy za takie polowanie, będące bądź co bądź urozmaiceniem, także osobno liczycie, jak za tusz, czy też wchodzi ono w cenę pokoju?

Francuz nic nie odrzekł, ale zamyślił się głęboko, a potem pośpieszył do swojej sypialni, aby naradzić się z żoną, specjalistką od wyszukiwania nowych źródeł dochodu i mistrzynią w

komponowaniu rachunków dla *etranżerów* omyłkowo zbłąkanych do tego przybytku.

Tymczasem Rafał, uzbrojony w bedeker przebywał już Sekwanę przez stary kamienny Most Królewski, postanowiwszy rozpocząć swą działalność na paryskim bruku od zwiedzenia Luwru. Troska o Wierę Rusanow nie dręczyła go bynajmniej, nie zamierzał odbywać fatygującej pielgrzymki po niezliczonych hotelach w celu odszukania pięknej Rosjanki, gdyż wierzył święcie w swoją szczęśliwą gwiazdę.

— Baltazar nogi by sobie pozrywał, ja nie potrzebuję; mój instynkt pozwoli mi odnaleźć Wierę prostszym sposobem, tak jak to było w Berlinie — monologował, pieszcząc na dnie serca niczym nie uzasadnioną nadzieję, że właśnie w Luwrze spotka pannę Rusanow i reszta pójdzie jak z płatka. Widocznie jednak jego wspaniały instynkt rozpuścił się we wczorajszej kąpieli z kosztownym tuszem, albo się nadwyrężył w trakcie nocnych łowów, bo nie spotkał Wiery ani w muzeum, ani po południu na Wielkich Bulwarach, ani wieczorem w *Café du Dôme*, gdzie się codziennie przewija tylu cudzoziemców.

Podobny „pech" prześladował go następnego dnia, który przeznaczył na wycieczkę do Wersalu, zwiedzenie okolicy Trocadero z nieodzownym wjazdem na szczyt wieży Eiffla oraz na obejrzenie gmachu Inwalidów. Jego początkowe uprzedzenie do Paryża topniało w błyskawicznym tempie, a już w prawdziwy zachwyt wprawił go grób cesarza Napoleona I.

Tak sobie leżeć, to po prostu przyjemność — rozmyślał, patrząc z galeryjki na wspaniały, marmurowy sarkofag *Boga Wojny* i zdziwił się trochę, posłyszawszy strzęp wykładu jakiegoś przewodnika oprowadzającego grupkę turystów, z którego to wykładu wynikało, że największy wódz świata nie leży, lecz stoi w swym olbrzymim sarkofagu, twarzą zwrócony ku Sekwanie.

— Wszystko w tym życiu jest względne, wszystko niepewne — szeptał Rafał, krążąc u stóp wyniosłej kopuły wśród snujących się sennie smug światła, liliowych i fioletowych — a pewne są tylko dwie rzeczy; śmierć i to, drogi Rafałku, że tobie takiego grobowca nie wystawią. No, tttak; mój grób familijny na Powązkach jest dużo skromniejszy — przyznał, wspomniawszy sobie ów dzień pamiętny, w którym płakał rzewnie na „własnym" pogrzebie.

Smętne, pogrzebowe refleksje przygnębiły go do tego stopnia, że musiał sobie zaaplikować silną dawkę antidotum w formie pielgrzymki na Montmartre, i zwiedzenia kilku *Boites de Nuit* tej dzielnicy rozkoszy. I w jednym z owych lokali spotkał... nie Wierę co prawda, ale człowieka, przed którym nie miał żadnych tajemnic, mianowicie kolegę z ławy szkolnej, Rylskiego, obecnie urzędnika polskiego konsulatu.

— Totek! Jak Bozi szczęścia życzę: Totek!

— Rafał! Niechże cię uściskam.

— Kopę lat, chłopie kochany!

— Jakie bogi cię do Paryża przygnały?

— Przyjechałem tu, uważasz, za jedną dziewczyną.

Wymieniwszy tuzin innych okrzyków powitalnych, przyjętych zgodnym sykaniem na widowni, wyszli do baru, gdzie Rafał dość treściwie opowiedział spotkanemu swoje przeżycia z ostatnich tygodni i wyjawił powód przyjazdu.

— No, w taki sposób możesz owej Wiery długo szukać — zauważył Rylski z uśmiechem. — Jeśli chcesz, to ja ci tę rzecz załatwię, o ile oczywiście ta twoja demoiselle zameldowała się w hotelu pod własnym nazwiskiem.

— Z przyjemnością, Toteczku drogi; ale jak to zrobisz?

— Och, całkiem po prostu, zatelefonuję jutro do samego prefekta policji.

— Do prefekta? — Rafał udawał, że wierzy i wpadł w zachwyt.

— No, wyrobiło się sobie stosuneczki, wyrobiło — odparł przyszły dyplomata, udając że wierzy, iż przyjaciel mu uwierzył; a znali się jak łyse konie jeszcze z tych czasów, kiedy

wzajemne obełgiwanie się i lojalnie przyjmowanie za prawdę wszelkich bujd należało do fasonu studenckiego.

— Z nieba mi spadłeś — twierdził Rafał Królik, ściskając wylewnie dłoń przyjaciela; oto numer telefonu w moim hoteliku, który bodajby się spalił nazajutrz po moim odjeździe wraz z całym żywym inwentarzem. Zatem liczę na ciebie, jak fabrykanci broni na wybuch nowej wojny, amen.

Licząc tak pewnie na pomoc ustosunkowanego przyjaciela, Rafał przestał się w ogóle dręczyć myślą o Wierze Rusanow i w ciągu następnych trzech dni, spędzonych bardzo wesoło w gronie poznanych tu rodaków, zdołał szczęśliwie zapomnieć, po co go właściwie przysłano do Paryża. Aż pewnej nocy, kiedy po całodziennej włóczędze powrócił do swego hoteliku, zastał na stole telegram okrążany nieufnie przez patrol młodych pluskiewek.

— Dededepesza? — przestraszył się. Otworzył ją i czytał:

Rafał Królik Orsay Hôtel Paris 7. Dostałem urlop stop przyjeżdżam środa dziesiąta wieczór stop proszę przyjść dworzec północny. Juliusz Solarski.

— Środa? Ależ to dzisiaj!... o dziesiątej? Rany boskie, a teraz jest już troszkę po północy! — Nawiasem mówiąc to „troszkę" wynosiło dokładnie trzy godziny, co jednak było obojętne dla samej sprawy. — Od pięciu godzin jest w Paryżu, szukał mnie być może, a ja... ja, no, ładnie wyglądam — rozpaczał mały detektyw, uświadamiając sobie po raz pierwszy od trzech dni, że w sprawie Wiery Rusanow absolutnie nic nie zdziałał dotychczas; miał czuwać nad nią, brał za to pieniądze, a nawet nie ustalił do tej pory, gdzie mieszka urocza Rosjanka. — Pięć dób... pięć dób — powtarzał, biegając po pokoju — pięć dób tu siedzę i nic, dosłownie nic... prócz wydatków!

— Silence!... s'il vous plait[1] — ryknął sąsiad, grzmocąc pięścią w cienką ściankę, co wywołało szalony popłoch wśród krwiożerczych stworzonek barwy mahoniu; równocześnie z dołu walił ktoś w podłogę, a ktoś inny sufit obrabiał.

Lecz Rafał nie ustawał w obłędnej bieganinie po pokoju, dopóki wzrok jego nie padł na butelkę koniaku wciśniętą za walizkę. Pochwycił ją skwapliwie z tryumfalnym okrzykiem: In hoc signo vinces![2] — I w pół godziny później, zapadając w krainę snów, mamrotał z uporem człowieka nieco wstawionego: — wstanę o siódmej, odszukam Wierę, a potem tego kochliwego oficera.

Nie wstał co prawda o siódmej, za to koło jedenastej obudziło go energiczne pukanie do drzwi.

— Entrez![3] — wrzasnął z wściekłością. — Cóż mnie tak uciska, do stu żonatych diabłów... Ach, flaszka — zrozumiał wreszcie. Nie wyjął jej jednak spod kołdry, bowiem do pokoju wkraczał właśnie porucznik Juliusz Solarski, przyjemnie uśmiechnięty, lepiej wyglądający w cywilu niż w mundurze,

— Zbudziłem pana, zdaje się — zaczął grzecznie.

— Och, nie śpię od trzech godzin — odparł Rafał, podając gościowi dłoń, która się nagle spociła, jak zresztą cały korpus. — Odpoczywam, ale jednocześnie rozmyślam bardzo intensywnie. Istotnie rozmyślał, jak tu się pozbyć flaszki, nie tylko uciskającej go, ale i wilgoć siejącej pod kołdrą, a także o tym, co powiedzieć klientowi, który przychodził po nowiny. — Nie wyszedłem po pana na dworzec, gdyż depeszę otrzymałem za późno. Wróciłem do domu, pod słowem, o trzeciej nad ranem — usprawiedliwiał się, mówiąc wyjątkowo prawdę; dlatego zapewne zaczął zaraz łgać na morgi i zakończył westchnieniem. — Och, to ciężka robota, ogromnie ciężka!

— A cóż panna Rusanow? — spytał zakochany młodzieniec z pozorną obojętnością, ale

znać było, jak bardzo go obchodzi ta dziewczyna.

— W porządku — odparł lakonicznie mały frant. — Nie zajmowałem się tutaj tyle nią, ile jej wrogami, kalkulując słusznie, że w ten sposób łatwiej uchronię ją przed niebezpieczeństwem... Dzisiejszej nocy, na przykład, śledziłem zawzięcie Borysa Siemionowicza Łapina.

— On tu jest także, ten łajdak?

— Naturalnie! Łażę mu po piętach dzień w dzień. Ach, poruczniku, żeby pan wiedział, po jakich lokalach się włóczyłem, śledząc tego draba.

Jeżeli chodzi o włóczęgę po zakazanych lokalach, to Rafał znowu nie minął się z prawdą, ale reszta była z palca wyssana; nabrawszy zaś rozpędu, łgał już jak z nut, puszczając mimo uszu pytania Solarskiego, który chciał się wreszcie dowiedzieć czegoś o pannie Rusanow i raz po razu na nią kierował tok rozmowy. W końcu, zniecierpliwiony gadulstwem małego detektywa, zagadnął wprost, jaki jest adres Wiery w Paryżu.

— Czy pan chce pójść do niej? Chce pan zepsuć całą moją misterną robotę? — krzyknął blagier, przyciśnięty do muru. — A może jestem już niepotrzebny, skoro pan tutaj przybył? Aaa, w takim razie...

— Ależ, drogi panie, kto mówi, że...

— Daruje pan, poruczniku, lecz pański nagły przyjazd mówi mi bardzo wiele, mówi wszystko! — trajkotał, wymachując rękami.

— Nie rozumiem doprawdy... Przyjechałem tutaj, bo szczęśliwie udało mi się otrzymać urlop wcześniej, niż się na to zanosiło... Ani mi przez myśl nie przeszło, by pana stąd odwoływać. Ach, broń Boże! Natomiast chciałbym wedle sił pomagać panu w czuwaniu nad tą dziewczyną, która... która...

— Rozumiem pana — wtrącił Rafał, już udobruchany oświadczeniem, że nadal pozostanie w Paryżu i dodał z wyrozumiałym uśmieszkiem: — ja także byłem młody, i także kochałem.

Solarski ciągnął dalej:

— Oczywiście, że bez pańskiej wiedzy ani palcem nie kiwnę. Z drugiej strony nie mogę zaprzeczyć, że chciałbym się zobaczyć z panną Wierą lub choćby kilka słów do niej napisać, a wobec tego jej adres...

— ...jest panu potrzebny — westchnął Rafał.

— Właśnie.

— Hum, nnno tak... Zatem muszę,... hm... ten adres... *sam znać przede wszystkim* — dokończył w myśli. Czarna rozpacz go ogarniała i gniew na siebie, że dotychczas nie załatwił chociażby tak prostej rzeczy jak wyszukanie tego adresu. Teraz wszystko przepadło; pozostało tylko wyznać prawdę i ponieść konsekwencje własnego niedbalstwa. Rafał żywił jednakową awersję do chrześcijańskiej pokory jak i do prawdomówności, toteż w innych warunkach byłby łgał do upadłego i zwodził, i zagadywał kochliwego oficera, lecz potężny kociokwik po wczorajszej libacji skruszył jego wolę, zgasił płomień bujnej wyobraźni i spowodował kapitulację. — Drogi poruczniku — zaczął po dłuższej chwili przykrego milczenia — co się tyczy adresu panny Rusanow, muszę powiedzieć, że... Entrez! — krzyknął z wielkim zapałem, bowiem w tym fatalnym dlań momencie rozległo się pukanie.

W drzwiach stanęła pokojówka hotelowa.

— Telefon do pana — rzekła.

Rafał usiadł na łóżku z takim temperamentem, że butelka z koniaku wyskoczyła spod kołdry i potoczyła się po dywanie.

— Do mnie? Kto taki? — spytał.

— Nie wiem kto; jakiś pan.

Przypomniał sobie teraz, że podał numer swojego telefonu sympatycznym rodakom, których poznał w *Café du Dôme* i z którymi przez trzy wieczory popijał. Oczywiście, to oni, nikt inny nie zna mojego adresu — myślał. — Niemniej pobiegł natychmiast na pierwsze piętro, gdzie znajdował się aparat telefoniczny, ślubując sobie w duchu, że nie prędzej powróci do swojego pokoju, aż mu jakaś szczęśliwa myśl przyjdzie do głowy. Jego niespokojny duch zbuntował się już przeciwko zamierzonej kapitulacji i wynikającej stąd konieczności wyjazdu z Paryża... z Paryża, który posiada takie lokale rozrywkowe! O, nie!

— Allou? — zagęgał przez nos z francuska. W odpowiedzi posłyszał kilka zwyczajnych *halo*, bełkot telefonistki z centrali, trochę szumu, terczenia i już w minutę później (rekord, jak na paryskie stosunki) dobrze sobie znajomy głos wymyślający telefonistkom, co wlezie. — Totek?

— Nareszcie — odparł Rylski. — Ach, powiadam ci, diabli mogą wziąć człowieka, który ma nieszczęście korzystać z tutejszych telefonów.

Ozięble przerwał te narzekania uwagą:

— Przypomniałeś sobie w końcu przyjaciela.

— Ależ, Rafciu drogi, dzwoniłem wczoraj także, lecz cię nie było. Chciałem ci właśnie zakomunikować. że ta twoja dzierlatka mieszka w *Hôtel de Paris* przy bulwarze Madeleine.

— W *Hôtel de Paris*, to się zgadza — odburknął, tryumfalnie kwicząc w duchu z uciechy: — A co? Mam szczęście, czy nie mam?

— Jak to, już znasz jej adres? — rozczarował się Rylski.

— Może miałem czekać, aż sobie raczysz przypomnieć? Nie, Toteczku! W moim obecnym zawodzie nie wolno tracić ani minuty czasu.

Z przyjemnością słuchał wywodów przyjaciela usprawiedliwiającego się, dlaczego nie telefonował wcześniej, potem przebaczył mu wspaniałomyślnie, umówił się z nim na dziewiątą wieczór w *Café de la Paix*, zawiesił słuchawkę i wrócił do swego pokoju, lecz z jakże inną miną.

— Otrzymałem telefoniczny meldunek od jednego z moich tutejszych konfidentów. Wszystko jest w porządku do tej pory, — oświadczył Solarskiemu, po czym jął sobie trzeć czoło dłonią, jakby usiłował stamtąd jakieś wspomnienie wycisnąć. — O czym to rozmawialiśmy, zanim mnie odwołano? — rzekł niby to do siebie, ale dość głośno, by tamten usłyszał.

— O pannie Rusanow — przypomniał skwapliwie przybyły. — Miał pan właśnie podać jej tutejszy adres, kiedy pokojówka...

— Jak to? — wtrącił Rafał, nadal „ogromnie roztargniony". — Nie powiedziałem panu że Wiera Rusanow mieszka w *Hôtel de Paris*?

— W *Hôtel de Paris*? — ucieszył się Solarski. — Ależ to o jakie dwieście kroków od mojej kwatery, bo zajechałem, jak zwykle, do hotelu *Chatham*; ach, to się świetnie składa, będę miał blisko.

— Czego ja o sobie nie mogę powiedzieć.

— Przeciwnie, pan musi zamieszkać pod jednym dachem z nią, aby tym skuteczniej móc czuwać nad nią. W ogóle po kiego licha plasował się pan w tej budzie; to doprawdy nie miało sensu, proszę wybaczyć szczerość.

— Nie chciałem pana narażać na duże wydatki.

— Ach, drogi mistrzu! Czyż nie prosiłem na wyjezdnym, aby się pan nie liczył z kosztami? — rzekł Solarski z łagodnym wyrzutem i pochwycił dłoń Rafała. — Musi mi pan dać słowo, że jeszcze dzisiaj przeprowadzi pan się na Wielkie Bulwary. Ja pójdę po południu złożyć wizytę pannie Rusanow, stwierdzę przy tej sposobności, na którym piętrze i od której ulicy ma pokój, a pańską rzeczą już będzie ulokować się w jej najbliższym sąsiedztwie. W ogóle musimy się w ten sposób podzielić rolami, że ja będę występował otwarcie, będę odwiedzał Wierę,

pokazywał się z nią, zaś pan, odpowiednio ucharakteryzowany, będzie jej rzeczywistym aniołem stróżem. Oczywiście na wypadek spotkania się, ani pan mnie nie zna, ani nawzajem ja pana, zgoda?

— Ano, zgoda — przystał Rafał chętnie, gdyż uśmiechało mu się pomieszkać w jednym z najwytworniejszych hoteli. — Niemniej stwierdzam fakt, że ta dziewczyna dobrze panu weszła za skórę, chi, chi, chi, chi.

Solarski nie zmieszał się tym razem; myślał przez chwilę, patrząc na detektywa przenikliwie, wreszcie, po pewnym wahaniu, przystąpił do niego z wyciągniętą ręką i rzekł tonem prawie uroczystym:

— Wiem, że jest pan Polakiem, dobrym patriotą i człowiekiem dyskretnym; a jednak muszę jeszcze zażądać, aby mi pan dał słowo honoru, że to co powiem, pozostanie na zawsze tajemnicą... Więc?...

— Oto moja dłoń — odparł Rafał, przybierając pozę spiskowca.

— Widzi pan — zaczął Solarski zniżonym głosem — od chwili poznania zainteresowałem się szczerze piękną Wierą i byłem pod jej urokiem. To się nie zmieniło, nie osłabło, lecz od momentu rewelacyjnych zeznań tego poznańczyka Webera przybyły inne czynniki, że się wyrażę obrazowo, łódź mego afektu wpłynęła na szersze wody, gdzie rozmaite prądy się krzyżują. Bo piękną Wierą mógł się interesować porucznik Solarski, lecz jedyną córką uczonego fanatyka, który przez swoje niebezpieczne wynalazki gotuje zagładę Europie, a w pierwszym rzędzie Polsce... musiały się zainteresować inne osoby, jakie, domyśla się pan zapewne. Po tym, co teraz powiedziałem nie zdziwi się pan również, dlaczego tak nadspodziewanie łatwo otrzymałem urlop.

— E-he — mruknął Rafał. — Innymi słowy mówiąc, pański prywatny afekt do czarującej Rosjanki nabrał charakteru urzędowego, prawda?

— Mniej więcej — odparł tamten wymijająco — ale mówmy o panu! Chodzi o to, by pan zdał sobie sprawę że od dzisiaj, czuwając nad Wierą, śledząc ludzi, których spotyka, itd., nie czyni pan tego wyłącznie na rachunek *zakochanego oficera*, jak mnie pan zapewne nieraz w myśli nazywał, ale także...

— Już wiem — przerwał Rafał, lecz przez wrodzoną skromność dopowiedział sobie resztę tylko w myśli: — ale także na rachunek orderu, jaki ci, Rafałku, kapnie. Hm, za takie zasługi niżej komandorii nie biorę, zastrzegam się z góry! — Wyprężył się dumnie, widząc już oczyma duszy barwną mozaikę wstęg, gwiazd, medali, orderów, zdobiących jego korpus od szyi aż do kolan, z Orderem Podwiązki i Złotem Runem na honorowym miejscu. — Co? Może mi się nie należy. A kto Europę ocalił, hę? — perswadował skromnej duszy swojej.

Juliusz Solarski spojrzał na zegarek i powstał z krzesła.

— Na mnie czas — rzekł. — Koło szóstej dam znać, który pokój Wiera zajmuje. Przez ten czas niech pan sobie obmyśli jakąś maskę i nazwisko; polecam coś z angielszczyzny, bo tam zajeżdżają przeważnie Anglosasi. Radziłbym też uzupełnić ekwipunek, zwłaszcza to, co się służbie rzuca w oczy, więc walizki, palto, piżama. Forsę... ma pan jeszcze? — Zdziwił się, gdy Rafał potrząsnął portfelem. — Jeden tysiączek więcej nie zawadzi, oto jest. Chodzi o to, aby pan w niczym nie odbijał od przeciętnych gości hotelowych, a tam rezydują sami burżuje... Czytał pan już dzisiejsze pisma? Nie? A, w takim razie służę.

Rafał odetchnął z ulgą, zawiadomił „zarząd" hoteliku, że się dziś wyprowadzi („zarząd" zastał w pewnej ubikacji, szorujący własnoręcznie muszlę), a potem zabrał się do przeglądania czasopism. Zaczął od ilustrowanych, w nadziei że znajdzie reprodukcję jakiejś interesującej fizjognomii, na której podobieństwo będzie się mógł ucharakteryzować. Po dotychczasowych doświadczeniach nie chciał już komponować swej maski.

— Zawszem sobie zrobił groteskową gębę; nie, nie, lepiej już wiernie skopiować jakiegoś Jankesa z krwi i kości, — medytował... — Och, to mi facjata prawdziwie anglosaska! — krzyknął nagle, wpatrując się z upodobaniem w podobiznę nieznanego gentlemana. — Peruka będzie niepotrzebna, tym lepiej, ciemne okulary sobie kupię, angielski wąsik to fraszka, zarost wygolony, świetnie... tutaj dwie głębokie zmarszczki, na skroni coś jakby blizna, zrobi się, tak, pysznie!... Tylko zobaczmy jeszcze, czy to nie jakiś defraudant, żebym za niego nie ucierpiał — monologował Rafał, studiując pilnie fizjognomię człowieka, którego sobowtórem zamierzał zostać na czas swojego pobytu w *Hôtelu de Paris.*

Uspokoił się, gdyż pod fotografią znajdowała się krótka wzmianka tej treści:

Sir James Rabbit, którego małżeńskie kłopoty stanowią wesołą sensację Anglii i Stanów Zjednoczonych. (Patrz artykuł na stronie 5.)

— No, więc nawet „ser", a nie żaden defraudant — odetchnął Rafał, ale przez wrodzone lenistwo nie zapoznał się z treścią owego artykułu na stronie piątej dziennika, nie przeczytał go chociażby pobieżnie i przeto słusznie poniósł w przyszłości wszelkie konsekwencje własnego niedbalstwa.

---

[1] Silence!... (fr.) – Proszę o ciszę!

[2] In hoc signum… (łac.) – Pod tym znakiem zwyciężysz – słowa, jakie pod świecącym krzyżem na niebie miał usłyszeć Konstantyn Wielki w 312 r. w czasie marszu na Rzym, przed stoczeniem bitwy z Maksencjuszem przy moście Mulwijskim koło Rzymu.

[3] Entrez! (fr.) – Wejść!

Rozdział XIII

OBOWIĄZKI MAŁŻEŃSKIE

— Od ulicy Godot de Mauroy? Owszem, jest wolny piękny apartament na pierwszym piętrze — odparł dyżurny portier Hôtelu de Paris.

— Na pierwszym? — Mały gentleman skrzywił się pocieszne. — Nie, hałas uliczny nie pozwoliłby mi oka zmrużyć; wolę mieszkać wyżej. Na piątym piętrze nie macie jakiegoś pokoju?

Były wolne pokoje na piątym piętrze i po załatwieniu maleńkich formalności meldunkowych mały gentleman ruszył w stronę lśniącej klatki windy, poprzedzany przez pomocnika portiera i służącego w liberii, niosącego dwie eleganckie, skórzane walizki. A kiedy boy w płaskiej czapeczce, ozdobiony dwurzędem błyszczących guzików metalowych zatrzasnął drzwi lustrzane i lift frunął w górę prostopadłym lotem skowronka, płatniczy hotelu trącił łokciem portiera i spytał z uśmiechem:

— Poznałeś go?

Ociężałe z bezsenności powieki zatrzepotały nerwowo.

— Kogo?

— No, tego małego? Ja go poznałem na pierwszy rzut oka!

Portier pochylił się nad blankietem meldunkowym, odczytał:

— Monsieur Raphaël Lapin... Pierwszy raz słyszę to nazwisko

— Ja także; ale sęk w tym, że to nie żaden monsieur Lapin.

— Tylko?

— Tylko sir James Rabbit — szepnął płatniczy i wyszukawszy jakiś dziennik, rozłożył go przed zdumionym kolegą — On, czy nie on? — spytał z tryumfalnym uśmiechem, wskazując reprodukcję fotografii, które tegoż dnia przed południem tak przypadła do gustu Rafałowi Królikowi.

— Rzeczywiście! — przyznał portier. — Hm, lecz z drugiej strony...

— Tu nie ma drugiej strony! — przerwał apodyktyczny płatniczy. — To jest pewne jak żelbeton. Zważ tylko: miał być w Anglii ostatnio, a przybył do nas przed dwudziestoma minutami, czyli przyjechał pociągiem, który opuszcza Londyn punkt o czternastej i jest w Paryżu o dwudziestej pięćdziesiąt pięć na Gare du Nord.

— Tu leżysz. Każdy szanujący się Anglik wysiada na Saint Lazare.

— Lecz on nie chce uchodzić za Anglika. Zauważyłeś chyba, jak się skrzywił, kiedy, odgadując jego narodowość, wtrąciłem coś po angielsku,

— Hm, mówił po francusku biegle.

— Owszem, ale jeżeli to jest rodowity Francuz, to ja mówię dialektem marsylskim!... A widzisz... Och, tu mamy wyjaśnienie zagadki! Posłuchaj tylko — potrząsnął gazetą i podniecony swym odkryciem czytał szybko:

W dniu dzisiejszym przybyła do Londynu lady Dorothy Rabbit i zamieszkała w hotelu „Cecil". W wywiadzie udzielonym reporterom pism londyńskich oświadczyła lady Rabbit, że

sprzykrzyło jej się całkiem być przedmiotem sensacyjnych plotek, że zamierza odszukać swojego małżonka, który tak nagle odjechał z New Yorku, i pogodzić się z nim, tym razem już naprawdę. — Żywię też niepłonną nadzieję, że jest to ostatni wywiad, jakiego udzielam w mym życiu — powiedziała wysłannikom dzienników.

Wierzymy, że energiczna Amerykanka (bowiem lady Dorothy urodziła się w Stanach i jest jedyną córką znanego przemysłowca z Detroit, Mr. Johna Hopkinsa) dzięki swej przedsiębiorczości odnajdzie Sir Jamesa, pozwalamy sobie natomiast wątpić, czy pomiędzy tak niedobranymi małżonkami nastanie kiedykolwiek zgodne współżycie.

— Teraz rozumiem — mruknął portier — nieborak dowiedział się o przyjeździe swojej herod-baby, więc drapnął czym prędzej z Londynu, a żeby ślad zmylić, przybył tutaj jako monsieur Raphaël Lapin.

— Pssst! — syknął ostrzegawczo powracający pomocnik portiera. Obejrzeli się nieznacznie i ujrzeli szefa. Dyrektor naczelny Hôtelu de Paris schodził właśnie ze swojego gabinetu na pierwszym piętrze i krótkimi, ale jakże spostrzegawczymi, spojrzeniami lustrował okrągły hall, obie klatki schodowe, windę i biurka personelu, od „kasy" aż do „poczty". Pióra zaskrzypiały głośniej, urzędnicy pochylili się niżej nad swą robotą, boye stanęli na baczność, tylko płatniczy, także dygnitarz, choć mniejszego kalibru, wyruszył szefowi naprzeciw, niosąc mu tajemniczy uśmiech i... sensację.

— Mamy nie lada gościa, panie dyrektorze — zaczął szeptem, pełnym dystynkcji i szacunku dla rozmówcy. — Dotychczas zajeżdżał zwykle do Ritza, o ile mi wiadomo. Sir James Rabbit!

— Dobrze. Obsłużyć go tak, by do Ritza nie wrócił.

Płatniczy przysunął się o krok i jednym tchem wyrecytował wszystko, co wiedział o sir Jamesie. który tu zawitał pod przybranym nazwiskiem. Na koniec wyrwało mu się westchnienie szczere, płynące z wiecznie niezaspokojonej ciekawości, ale... ogromnie niefortunne:

— Ach, żeby tak pod jakimś pozorem zażądać od niego pokazania paszportu? Mielibyśmy czarno na białym.

— Do czego panu potrzebne to *czarne na białym*? — syknął dyrektor. Płatniczy nie dostrzegł błyskawic gniewu i bąknął głupio:

— No, tak sobie.

Wówczas jego dyrektorska mość wyprostowała swą sylwetkę, pochyloną zapewne pod brzemieniem tych trzystu pokoi i apartamentów, dwustu siedemdziesięciu pięciu łazienek, dancingu, baru, restauracji i dwóch kawiarń z przyległościami, i biczując delikwenta karcącymi spojrzeniami, kropnęła sobie kazanie, że skoro gość przybywa incognito, to wara komukolwiek dochodzić, jak brzmi jego prawdziwe nazwisko. Że jeśli sir Rabbitowi spodobało się figurować w księdze przyjezdnych jako Raphaël Lapin, to dla hotelu istnieje tylko pan Lapin! Że widać personel ma zbyt mało zajęcia, skoro go czyjeś tajemnice interesują. Że jeśli się po hotelu rozniesie, kim jest de facto pan Lapin, to on, dyrektor, będzie musiał niektórych urzędników poprosić do siebie na pierwsze piętro na małą rozmówkę... pożegnalną. Że on, dyrektor, sądzi, że płatniczy wyciągnie korzyść z tej nauczki.

— Ttttak jest, panie dyrektorze — wykrztusił płatniczy, aż purpurowy po tej reprymendzie; na gutaperkowych nogach odmaszerował na swoje miejsce i cisza grobowa zapanowała w hallu na długie, długie minuty.

Niemniej jednak incognito rzekomego sir Jamesa Rabbita przestało być tajemnicą i Rafał Królik, choć tytułowano go tylko przez *monsieur*, doznawał na każdym kroku oznak szacunku należnego tylko książętom krwi, popularnym gwiazdom filmowym lub bohaterom

skandalicznych procesów. W restauracji hotelowej skakało koło niego trzech kelnerów, z samym maitre d'hôtel na czele, płatniczy wybiegał mu drzwi otworzyć, lift-boy nie czekał na innych gości, skoro monsieur Lapin wszedł do klatki windy, zaś kiedy raczył zstąpić w podziemia na partyjkę miniaturowego golfa, jednooki kierownik własnoręcznie podawał mu piłki i punkty na kartce notował.

— Ośmielę się doradzić teraz silny rzut — skomlał ów cyklop, podchodząc do piątego pólka. — Doskonale, już widzę, że pan chce zagrać na bandę. Och, zaraz poznać mistrza!... Tak, tak, tutaj, pod gwiazdkę.

Rafał zamachnął się jak cepem, kropnął i... w drugim końcu sali rozległ się jęk bólu; to barman, przyglądający się z nabożeństwem grze magnata podróżującego incognito, dostał w skroń ciężkim, gumowym pociskiem i nakrył się nogami. Kelnerzy wynieśli natychmiast zemdlonego, aby swym widokiem nie psuł zabawy wysoko urodzonemu gościowi, a jednooki zaczął wykładać z najsłodszym uśmiechem:

— To był rzut mistrzowski! Już tam, przy pierwszym polu poznałem, że pan grywa w terenie, że gra pan świetnie... Niestety, golf miniaturowy jest tylko parodią tej gry przepięknej, godnej lordów i bogów.

— O, yes — burknął Rafał w zamyśleniu, zaniepokojony, czy nie zabił barmana, i lotem strzały rozeszło się po hotelu, że monsieur Lapin powiedział: *o, yes*.

— A co? — tryumfował płatniczy. — Anglik, czy nie Anglik, hę?!

Z Wierą, której pokój znajdował się po drugiej stronie korytarza, nie miał Rafał żadnego kłopotu, wyręczał go znakomicie porucznik Solarski, z prawdziwą przyjemnością dotrzymujący towarzystwa pięknej Rosjance. Pewnego popołudnia, kiedy kroczył za nimi w przyzwoitej odległości przez bulwar Haussmanna, ujrzał Borysa Łapina, ale Moskal zniknął mu z oczu w ciżbie przed magazynem *Galeries La Fayette*. W ten dzień Rafał miał przynajmniej o czym gadać z Solarskim, którego odwiedzał co wieczór w jego hotelu, znosząc tuziny bajek o swych rzekomych spotkaniach z wrogami Wiery.

Tym trybem szło wszystko szczęśliwie przez cztery dni, aż...

Już w czasie kolacji podpadło Rafałowi zachowanie się kelnerów; wymieniali znaczące spojrzenia i dyskretnie zerkali w jego stronę, przy czym wzrok podtatusiałego maitre d'hôtel ociekał serdecznym współczuciem, natomiast w oczach kelnera od napojów, notorycznego donżuana kłębiły się opary wzgardy. Jeszcze gorzej było w hallu gdzie zaniepokojony Rafał zauważył dwóch jegomościów przyglądających mu się w sposób zgoła natrętny.

— Tak, to na pewno on!

— A nie mówiłem?

Te dwa zdania posłyszał, wsiadając do windy i porządnie już zdenerwowany, pośpieszył do swego pokoju, zachodząc w głowę, co to wszystko znaczy. Po namyśle postanowił nie wychodzić tego wieczora z hotelu. — Zatelefonuję do Solarskiego i powiem mu. żeby się także miał na baczności; to niewątpliwie sprawka Borysa — rozmyślał. — Bestia, musiał się tu o mnie dopytywać, może powiedział służbie kim jestem... może mnie wywalą z hotelu — niepokoił się — może mnie policja weźmie do galopu za fałszywe zameldowanie? Oj, to byłoby fatalne! A wszystkiemu winien Solarski.

Kilka większych kropli koniaku dodało mu otuchy, ponowił więc dawkę i zaczął się rozbierać. Był już w piżamie, gdy zapukano do drzwi.

— Kto tam? — pisnął, wlepiając wzrok w portierę.

— Kasjer — odparł znajomy glos.

— Wejść.

Płatniczy wszedł z miną winowajcy.

— Sir, pragnę zaznaczyć na wstępie, że ani zarząd hotelu, ani nikt ze służby nie ponosi tu winy — zaczął bardzo niepewnie, a Rafała aż ciarki przeszły. — Domyśliłem się od razu, kim pan jest, sir... Proszę się nie dziwić, wszakże pańską fotografię reprodukowano tyle razy w czasopismach. Ośmielałem się nawet domyślać, dlaczego pan zmienił nazwisko, i proszę wierzyć, ze uszanowaliśmy pańskie incognito, toteż... ehem, hum, ehem…

— Kogo uszanowali? — bąknął Rafał po polsku, wykorzystując przerwę spowodowaną wielce nienaturalnym kaszlem płatniczego. — Incognito uszanowali? Pięknie, ale mnie nie uszanują i wyleją. Przeczuwałem!

— Krótko mówiąc — jęknął tamten, przestępując z nogi na nogę — pańska małżonka jest tutaj i pragnie się z panem zobaczyć, sir.

— Kto?! — wrzasnął Rafał i podnosząc głos jeszcze wyżej, wsiadł na ogłupiałego urzędnika:

— Co to znaczy, u licha?! Jakaś mistyfikacja idiotyczna! Nie mam żadnej małżonki i nie chcę znać tej pani, co...

— Masz, James! — zawołał głos kobiecy i po małym szamotaniu ze służącym hotelowym wpadła do pokoju, jak burza, pulchna, strojna dama. — Nie chcesz mnie znać? Och, darling, cofnij te straszne słowa! Szukałam cię tyle dni, tygodni, a teraz, gdy cię nareszcie znalazłam, ty, niedobry, powiadasz *nie znam tej pani*? No, James, James najdroższy, jedyny!

Nieprzerwany strumień wymowy płynął z silnie ukarminowanych usteczek, a w trakcie tego płatniczy rejterował dyskretnie ku drzwiom.

— Zaczekać — warknął Rafał nieswoim głosem.

— Tak, słusznie, proszę zaczekać — wtrąciła niewiasta — zaczekać, aż wydam dyspozycje. Po pierwsze zaraz za drzwiami zapomni pan o scenie, jakiej pan był tutaj świadkiem, zrozumiano?

Płatniczy złamał się wpół.

— Mylady, znam mój obowiązek — oświadczył uroczyście.

— Ja... — zaczął Rafał i urwał, nie wiedząc, co począć właściwie.

— Po drugie — ciągnęła dalej przybyła, zdejmując rękawiczki i kapelusz, spod którego trysnęła kaskada pięknych, złotych włosów, utlenionych chyba dość dawno temu, skoro na rozdziałku była ciemnawa smuga. — Po drugie poleci pan pokojówce, aby z mojego pokoju przyniosła tu natychmiast neseser i mój sleeping-dress. Po trzecie każe pan tutaj przynieść dwie butelki szampana; dam sto franków napiwku ekstra, jeśli pan odgadnie moją ulubioną markę. To na razie wszystko.

— Mylady.

— Stop! — huknął Rafał. Jego okrzyk osadził płatniczego w drzwiach.

— Stop. Słusznie, darling... Dziękuję ci, żeś mi przypomniał najważniejsze... Otóż byłabym zapomniała powiedzieć — zwróciła się do kasjera, marzącego o tym, by nareszcie znaleźć się za drzwiami — że w księdze przyjezdnych należy zmienić moje nazwisko z Rabbit na Lapin, uważa pan? Skoro mój małżonek przybrał taki pseudonim, trudno żądać, aby jego żona nazywała się tutaj inaczej, cha, cha, cha. Gotów by kto pomyśleć, cha, cha, cha...

— Mylady... pozwolę sobie zauważyć, że przepisy pol...

— Gwiżdżę stale na wszelkie przepisy, rozumie pan? — wtrąciła, tupiąc energicznie. — Skoro pan ma skrupuły, załatwię to jutro z dyrektorem. A teraz... szampana, prędko… jestem spragniona... — Odczekała, aż się drzwi zamknęły za wychodzącym i podeszła do osłupiałego Rafała! — Jestem spragniona twoich pocałunków, a przede wszystkim… och, James… Pokaż że się, mruku kochany. Schudłeś mi trochę. Z tęsknoty za swoją Dor, prawda? Schudłeś, aleś się nic nie zmienił poza tym. Pozostałeś takim mrukiem, jak zawsze — trajkotała, tuląc się do niego

coraz goręcej.

Po gruntownym namyśle Rafał zdecydował się pozostawić wypadki ich własnemu biegowi. Instynkt go ostrzegł, że z tą energiczną babą nie ma żartów i byłoby nonsensem tłumaczyć jej, iż zachodzi tu fatalne nieporozumienie. Narobiłaby wrzasku na cały hotel — przewidywał słusznie. — Amerykanki, wyposzczone na prohibicji, maja słabą głowę; kiedy sobie podchmieli, wymknę się z pokoju pod jakimś pozorem i zwieję do Solarskiego. Niech on potem radzi, jak z tego wybrnąć — układał sobie w głowie, kłopocąc się tylko na myśl, że w piżamie nie będzie mógł uciec. Już dwukrotnie podchodził do swego ubrania, lecz fertyczna pani Dorothy wyrwała mu je z ręki, dowodząc, że ta *nowa piżama* jest ogromnie twarzowa i *darling* ma w niej pozostać

Tymczasem przyniesiono szampan a w minutę później żądaną walizeczkę i prześliczny sleeping-dress. Lady Dorothy, spragniona „nastroju", zamknęła drzwi na klucz i zgasiła główne światło, pozostawiając tylko stojącą lampę przysłoniętą złocistym abażurem.

— Przyniosłam ci to, co tak lubisz, James najdroższy — rzekła, wysypując na kanapę całą zawartość walizki. — *To* było zielonkawym płynem uwięzionym w kryształowym flakonie i zapachniało tak ponętnie, że Rafał, który nigdy nie był abstynentem, zabrał się z dużym zapałem do próbowania. Sumienna analiza nieznanej cieczy wprawiła go w szampański humor jeszcze przed rozpoczęciem szampana. Pozostał jednak mrukiem, pamiętając, że prawdziwy sir James Rabbit odznacza się chroniczną małomównością, a całą rozpierającą go wesołość pchnął w koryto frywolnych myśli. Najbardziej radowała go perspektywa przyszłych opowieści, odpowiednio zabarwionych, jakimi będzie częstował Baltazara i innych przyjaciół warszawskich. Samo się przez się rozumie, że w świetle tych opowiadań pulchna i już nie pierwszej młodości lady Dorothy miała odmłodnieć o dobre dziesięć wiosenek, stać się najpiękniejszą kobietą Ameryki, niedoszłą Miss Universum, a jej zabawna pomyłka miała być doprowadzona aż do słodkiego epilogu. Będą pękać z zazdrości — cieszył się — tylko czy uwierzą? — martwił się.

Gejzer perlistego śmiechu wyrwał go z zadumy.

— Ach, ty, ty naiwny, duży dzieciaku — szczebiotała mistress Dorothy, wychylając się z półmroku już nie w sukni, ale w owej prześlicznej piżamie i w pantofelkach obszytych puszystym futerkiem — taki niezręczny pseudonim sobie wybrać! Kiedy mi doniósł mój detektyw, że jesteś w Paryżu, nie chciałem wierzyć; sądziłam, że ukryłeś się w Anglii u któregoś z twoich krewniaków. Dopiero to nazwisko mnie przekonało. Czy zapomniałeś że i ja także uczyłam się po francusku? Że nie zgadnę, co znaczy *lapin*?

Rafał palnął się w czoło tak mocno, że mu pręga czerwona została.

Zaskoczył go ten przedziwny zbieg okoliczności: Szukając jakiegoś nazwiska dla siebie na pobyt w Hôtel de Paris, nie wysilił się zbytnio, lecz po prostu przetłumaczył własne nazwisko *Królik* na język francuski; tak to powstał monsieur Lapin. I chciał pech, że ów Anglik, którego fizjognomię sobie przywłaszczył z fotografii, nazywał się Rabbit, co po angielsku znaczy także *królik*!

— Mów do mnie po francusku... dla wprawy — mruknął, nie chcąc siedzieć przy doskonałym szampanie, jak na tureckim kazaniu.

— Doskonale — klasnęła w dłonie. — W Paryżu rozmawiajmy po francusku. Po angielsku nagadamy się, skoro przybędziemy do New Yorku.

— Możesz długo czekać — odburknął cichuteńko po polsku. — Och, żebyś się już wstawiła jak najprędzej... Gdzie ona schowała klucz? — zafrasował się nagle, wspomniawszy sobie, że Dorothy klucz wyjęła z zamka.

Obserwując, z jaką wprawą otworzyła butelkę szampana, zrobił w duchu uwagę, że amerykański kaganiec prohibicyjny nie musi być taki srogi w praktyce. I poddał rewizji swój

pogląd na słabą głowę Amerykanek, bowiem Dorothy żłopała szampan jak wodę, nie okazując śladu oszołomienia. Przeciwnie jemu zaczęło się nieźle troić w oczach, kiedy ona była zaledwie podochocona. Zaprotestował też stanowczo, gdy wyraziła zamiar zamówienia przez telefon trzeciej flaszki albo kilku od razu, *żeby się nie odrywać ustawicznie.*

— Wys-wystarczy, ep, zupełnie — bełkotał, usiłując powstać.

Lady Dorothy Rabbit była szczerze zgorszona.

— Och, James, dawniej miałeś lepszą głowę, znacznie lepszą.

— Lepszą? Babardzo możliwe — zgodził się.

Powstał wreszcie i z niemałym wysiłkiem odskoczył na fotel. Był przerażony niesamowitymi błyskami, jakie zapłonęły w oczach lady Dorothy. Poderwała się sprężyście z kozetki i szła ku niemu z wyciągniętymi rękami, z palcami rozcapierzonymi drapieżnie. Poznała nareszcie swą omyłkę. No, teraz w nogi, inaczej ona mnie każe zamknąć — pomyślał ze zgrozą. Nie miał jednak odwagi odlepić się od oparcia fotela, czując, że bez tej podpórki runie jak długi.

— James! — rzekła krótko, wpijając się ostrymi paznokietkami w rozdygotane dłonie Rafała. — James! — powtórzyła, i znowu w jej głosie zawibrowały dzikie pasaże namiętności i cała gama „chromatyczna" pożądania.

— Uf, niedobrze — wyszeptał mały detektyw po polsku, czując, że nieprzezwyciężona siła wlecze go gdzieś w głąb pokoju. — Ona gotowa mnie zgwałcić! — Opierał się, ale był to opór pajączka porwanego przez pajęczycę, która ma brzydki zwyczaj konsumować swoich małżonków. Tu nie zagrażał epilog tak okrutny. Od pulchnych, białych ramion Dorothy Rabbit bił żar wywołujący rozkoszne dreszczyki, utlenione włosy pachniały upojnie, niemniej jednak Rafał miał po raz pierwszy w życiu do czynienia z taką Putyfarą i czuł się nie lepiej od biblijnego Józefa.

— Dorciu — jęknął, opierając się plecami o poręcz łóżka — Dorciu, tak nie można.

— Po jakiemu ty mówisz? — zdumiała się.

— Najwyższy czas — rzekł energicznie po francusku — żebyś sobie spać poszła do swojego pokoju!

— Tak? — syknęła oburzona. Porwała go wpół, odciągnęła od poręczy i cisnęła go na wznak na łóżko z takim impetem, że wtyczka wypadła z otworków kontaktu; ostatnia lampa zgasła ku radości Rafała. Teraz jej drapnę — ucieszył się, ale już niewidzialne ręce przygwoździły go do pościeli. Miał uczucie, że jakiś potężny ciężar, wagi cetnara metrycznego go przywalił, zmiażdżył, rozpłaszczył...

— Najwyższy czas — jęknął — żebyś...

Pachnące duże usta stłumiły dalsze słowa, a kiedy się wreszcie odsunęły, spłynęły z nich słowa, w brzmieniu miękkie jak aksamit, w treści wyglądające na gorzką wymówkę: — Najwyższy czas, żebyś pomyślał o obowiązkach małżeńskich!

Rozdział XIV

RADOSNA NOWINA

O tej samej późnej godzinie, w której Rafał Królik wyręczył sir Jamesa Rabbita... wyręczany, czyli prawdziwy małżonek mistress Dorothy, grał w brydża w mieszkaniu swojego przyjaciela, konsula brytyjskiego w Nicei. Bowiem wbrew pogłoskom o pobycie w Anglii i o nagłym wyjeździe do Paryża, sir James bawił od dwóch tygodni na Riwierze, nie udzielając się jednak towarzysko i stroniąc od ludzi, co zresztą leżało w jego usposobieniu. Cały dzień spędził w domu, w willi, którą niedawno temu kupił przez podstawionego pośrednika, i dopiero wieczorem wyjeżdżał autem do Nicei, by rozegrać kilka robrów nieodzownego brydża i pogawędzić w szczupłym, lecz dobranym gronie starych przyjaciół, w przytulnym *home* konsula, który ongiś w czasie wojny światowej był jego podwładnym w wojsku.

Jak zazwyczaj, tak i tego wieczora, złożyli karty około północy omówili pobieżnie najświeższe sensacje z dziedziny polityki i... sportu, po czym wyszli razem. Wszyscy mieszkali w Nicei prócz sir Jamesa, który jak zwykle wracał do Cannes swoim autem, obecnie zaparkowanym na placu Massény, nieopodal od Miejskiego Kasyna. Sir James niechętnie prowadził auto, gdyż to zajęcie nie pozwalało mu ani na podziwianie okolicy, ani na zadumę, lecz z drugiej strony nie miał serca fatygować co wieczór swojego kamerdynera Patricka, sympatycznego staruszka, który uzurpował sobie jeszcze przed laty funkcje kierowcy i wszystkich szoferów systematycznie wygryzał. Patrick posiadał wszelkie zalety i wady starego, spoufalonego sługi, toteż sir James wołał odbywać samotnie brydżowe wypady, niż słuchać kazań nudziarza o fatalnych skutkach *marnotrawienia najlepszych godzin do spania*; zresztą zrezygnował tylko z kilku kwadransów zadumy, gdyż okolicę znał tu doskonale, znał każdy zakręt, niemal każdy kamień przydrożny.

Tej nocy powrotna jazda obfitowała w wydarzenia, których sir James nie cierpiał na równi z kaprysami swej nieobliczalnej małżonki. Zaczęło się już w Nicei, mianowicie na Promenade des Anglais motor, ten stateczny motor lincolna, pracujący zawsze jak idealny zegarek, zaczął się krztusić, prychać, zacinać i sir James, który dopiero na zakończenie półgodzinnych, sumiennych badań zajrzał do zbiornika, stwierdził ze zgorszeniem, że benzyny zostało w sam raz dosyć... na kilka zapalniczek!

— No tak — mruknął — powietrzem ani Salomon nie ujedzie.

Na szczęście odkrył w pobliżu stację benzynową, lecz zanim jego właściciel ocknął się z *najlepszych godzin do spania*, zanim we dwójkę przypchali samochód pod czerwoną banię rezerwuaru upłynęło nowe pół godziny.

To był początek, a tuż za Antibes najordynarniej w świecie *nawaliła kicha* na prawym tylnym kole. Dystyngowany sir James klął jak nieprzeciętny bosman na przeciętnym statku handlowym, wyjmując zaoliwione narzędzia niepokalanie białymi dłońmi, i jedyną pociechą w tym strapieniu była mu myśl o reprymendzie, jaką *ten dureń Patrick* połknie jutro przy śniadaniu.

— Jemu na złość wezmę szofera — odgrażał się potem, a gdy zmieniwszy koło, opierał nogę o pedał startera, cisnął niebiosom wyzwanie: — Pozwolę sobie nawymyślać od idiotów,

kretynów, rogaczy… jeżeli cokolwiek zdoła mnie zmusić do zatrzymania wozu wcześniej niż przed bramą willi!

O tej porze sir James był już rogaczem, nie pierwszy zresztą raz w życiu, niemniej jednak wyzwany los podjął rzuconą rękawicę i przygotował zirytowanemu gentlemanowi jeszcze trzecią i największą niespodziankę tej nocy!

Sir James pędził teraz *na całego*. Jego ścigły kabriolet sportowy przemknął jak wicher przez Juan les Pins, budząc ze snu piękne sosny zdziesiątkowane przez hotelarzy, właścicieli parcel i tym podobnych wandali, wpadł na szosę biegnącą tuż nad zatoką, śmigał koło małej przystani w Golfe-Juan, gdzie ongiś lądował Napoleon powracający z Elby... Rozpędziwszy się, wziął bez zmiany biegu pagórek i wiadukt, po czym sunął już prostym gościńcem do Cannes odległego stąd o marne pięć kilometrów. Po lewej ręce biegł tor kolejowy w skąpo zadrzewionym wąwozie, po prawej defilowały jedna za drugą ozdobne bramy wiodące do luksusowych rezydencji i porośnięte winem mury prywatnych parków, ogrodów. Po lewej stronie teren spadał ku morzu, po prawej wznosił się stromo ku szczytom podłużnego wzgórza, a na wprost wyłaniały się kontury Cannes skąpanego w poświacie księżyca.

I właśnie dzięki temu, że noc była tak widna, dojrzał sir James już z daleka niezwykłą przeszkodę.

— Spiło się bydlę i śpi sobie na środku drogi — warknął, obliczając jeszcze przez chwilę, czy nie potrafi się przecisnąć obok leżącego. — Ani mowy — stwierdził z oburzeniem, hamując rozpędzony samochód. — Hej, tam! W rowie się wyspać nie łaska? — huknął srogim basem, lecz zarówno ta inwokacja do właściwego przemówienia jak również mały koncert przy pomocy wszystkich sygnałów auta oraz ostrego gazowania silnika, nie wywołały najmniejszego wrażenia na rzekomo spitym osobniku; z twarzą wtuloną w lśniący i wyślizgany asfalt jezdni, z rękami wyrzuconymi nad głowę leżał w poprzek drogi, nie dając znaku życia. — Ten przyjemniaczek ma zapewne teraz swoje *najlepsze godziny do spania*, o których wspominał mój Patrick, ten stary dureń — bąknął sir James, puszczając w ruch klakson. W końcu jednak zdecydował się wysiąść i zepchnąć żywą przeszkodę do rowu.

Widok krwawego skrzepu na karku leżącego nie przeraził notorycznego konserwatysty, który tak łatwo nie pozwalał się zbić z tropu, skoro raz przyjął hipotezę opilstwa. — Potknął się, rozbił sobie głowę, paskudny opój. Nie wstyd wam człowieku? — ryknął w ucho zemdlonemu. Przewrócił go na wznak, nie zdejmując rękawiczek, aby, broń Boże, gołą dłonią nie dotknąć takiego pijaka i cofnął się zdumiony. Znał skądś tę twarz, wydłużoną dzięki czarnej, szpiczastej brodzie, to czoło wysokie, inteligentne i charakterystyczny rysunek brwi, niemal zrośniętych nad nosem. Tak, ale była jeszcze jakaś luka, jeszcze brakowało czegoś tej twarzy, aby stała się zupełnie podobna do tamtej, utrwalonej w pamięci. — Okulary — wyszeptał sir James Rabbit, podnosząc z jezdni pokrzywione okulary, które snadź gwałtowny upadek odsunął na taką odległość od ich właściciela. Przymierzył je zemdlonemu i upewnił się już stanowczo, że tego jegomościa zna, że go gdzieś widział, i chyba bardzo niedawno temu. — Tak czy owak, nie mogę go tu pozostawić — zdecydował.

Podsunął brodaczowi ręce pod jego pachy, podniósł go i zaczął wlec ku lewym drzwiczkom samochodu. To poszło stosunkowo łatwo, za to druga część zadania okazała się niemal ponad siły sir Jamesa, którego zemdlony przerastał o dwie głowy, nie mówiąc już o jego wadze i barczystej sylwetce. Na domiar złego ocknął się z omdlenia i stawił zacięty opór.

— Precz ode mnie!... Kto pan jest? — spytał poprawną francuszczyzną, spoglądając na małego Anglika z obłędnym przerażeniem.

Sir James wyjaśnił krótko kim jest i w jakim celu zamierza go wpakować do swojego samochodu. — Odwiozę pana do Cannes. Po drodze spotkamy chyba policjanta, który nam

wskaże jakiś szpital czy lecznicę.

— Nie, nie chcę, błagam pana!... Jutro wyjaśnię... Pan jest Anglikiem?

— Tak!

— Więc mówmy po angielsku.

— Dobrze — przystał sir James. — I co mam z panem począć?

— Może by mnie pan odwiózł do jakiego hotelu lub pensjonatu.

— Hm, wątpię, czy pana przyjmą o tej porze i w tym stanie. Pan jest przecież ranny, widzę teraz... Może już lepiej zabiorę pana do siebie. Mam tutaj willę, stąd jakieś trzysta, czterysta kroków.

— Jeżeli pan jest tak uprzejmy, to z przyjemnością. Pan sam tam mieszka? Pytam, bo... widzi pan,... wolałbym na razie...

— …unikać ludzi — dokończył Anglik domyślnie. — Może pan być spokojny. Mieszkam w willi tylko z kamerdynerem i kucharzem.

— To doskonale... Teraz poproszę, aby mi pan łaskawie pomógł wejść do auta. Zdaje mi się, że zwichnąłem nogę... Ooooch, boli piekielnie!

Znać było, że cierpi strasznie, jednak panował nad sobą i tylko niekiedy przez zaciśnięte zęby wydzierał mu się z piersi stłumiony jęk. Wreszcie skończyło się mozolne windowanie z jezdni na stopień samochodu, ze stopnia na podłogę, a stamtąd na lewe siedzenie dwuosobowego kabrioletu, i z westchnieniem ulgi rozparł się nieznajomy na skórzanych poduszkach. Sir James usadowił się obok, przy kierownicy, i ruszył w drogę powoli, aby rannemu oszczędzić silniejszych wstrząsów.

— Ci dwaj służący... to ludzie całkiem pewni, prawda? — zapytał znów brodacz, mówiąc z widocznym wysiłkiem. — Czy mogę liczyć, że nie rozpowiedzą w sąsiedztwie o mym pobycia u pana?

— Może pan liczyć — odparł skwapliwie sir James Rabbit. coraz bardziej zaintrygowany i... zadowolony! Węszył jakąś grubszą tajemnicę, jakieś powikłania, niebezpieczeństwa, słowem nadziemskie rozkosze dla samotnika, pokąsanego już w młodości przez bakcyl spleenu i zawsze żądnego silnych wrażeń. O tak! Sir James lubił niebezpieczeństwa równie silnie, jak nie cierpiał ludzi przeciętnych, banalnych rozmów i wszystkiego, co cuchnie szablonem.

— Dyskrecja leży głównie w pańskim interesie, muszę to lojalnie oświadczyć... Tego wymaga prosta uczciwość.

— Rozumiem, mógłbym się narazić policji — odrzekł Anglik, sądząc mylnie, że wiezie włamywacza czy mordercę grubszego kalibru.

— Policji? Ach, przeciwnie... Policja otoczyłaby mnie opieką, ale pana dosięgłaby zemsta tych, którym uciekłem. — Brodacz mówił coraz ciszej, niewyraźniej, aż jego zamierający głos umilkł i głowa opadła bezwładnie na piersi.

— Cudownie! Wspaniale! — mruczał sir James. — Ci jego wrogowie muszą być gdzieś blisko, skoro go tutaj znalazłem. Może sąsiedzi? Pysznie! Nie puszczę go tak prędko. Zaprowadzę u siebie stan oblężenia. Patrick, ten stary dureń, będzie stróżował w godzinach najlepszego spania, potem Tom ze mną na zmianę. Ach, och, jak to dobrze, że kiszka nawaliła!

Rozmarzony, zagapił się trochę i omal nie zjechał do rowu; wykręcił więc ostro, wozem zarzuciło i głowa brodacza zjechała na kierownicę. Teraz dopiero spostrzegł sir James, że sąsiad ponownie stracił przytomność. Zahamował gwałtownie i wydał okrzyk, godny kolekcjonera silnych wrażeń:

— Och, żeby mi tylko nie umarł za wcześnie.

Punktualnie o dziesiątej rano zjawił się sir James w konsulacie angielskim w Nicei. Było to czymś tak niezwyczajnym, że konsul podbiegł do wchodzącego przyjaciela, uścisnął mu dłoń

współczująco i rzekł domyślnie:

— Rozumem. Wyjeżdżasz, przyszedłeś się pożegnać... Więc jednak odkryto twą kryjówkę.

Sir James, mimo wzburzenia, nie mógł się powstrzymać od uśmiechu.

— Nic podobnego — odparł. — Dorothy szuka mnie w Anglii; mój detektyw nie śpi i zawiadomiłby mnie na pewno o zagrażającym niebezpieczeństwie. Lepszą ci sensację przywożę.

Tu opowiedział przebieg nocnej przygody.

— Kto to jest ten człowiek? — wtrącił konsul.

— Czekaj, zaraz się dowiesz i spadniesz na podłogę.

— Nie ma obawy — uśmiechnął się gospodarz, zapadając głębiej w poduszki wygodnego klubowca.

— Otóż na spółkę z Patrickiem, tym starym durniem, przenieśliśmy go do gościnnych pokoi na piętro, rozebraliśmy go i do łóżka. Obmacałem go trochę i, o ile się znam na tym z wojny, ten człowiek nie zwichnął nogi, ale złamał ją, ba, nawet w dwóch miejscach. Poza tym ma tłuczoną ranę na głowie, ręce i twarz podrapaną, jakby się przedzierał przez kaktusy. Aha, i wygląda na takiego, co się dwa tygodnie nie mył i nie golił.

— Słowem obszarpaniec jakiś. A na wstępie nazywałeś go gentlemanem. Więc kto to jest ostatecznie?

— Właśnie chcę powiedzieć. Oczywiście nie przedstawił mi się bynajmniej i do tej pory nic bym me wiedział, gdyby nie zaczął bredzić.

— Ma gorączkę?

— Jeszcze jaką. Otóż kiedy tak przy nim siedziałem, a właściwie drzemałem, zaczął nagle gadać do siebie, kłócić się z kimś, wołać *bracie* i dla odmiany: *łotry, zbóje*, a potem padło słowo *Stalingrad*! Krótko mówiąc, drogi przyjacielu ten jegomość to jest we własnej osobie profesor Fiodor Rusanow!

— Rusanow?!

Konsul co prawda nie spadł na podłogę, ale jego cygaro owszem.

— Rusanow — powtórzył sir James. — Znasz mnie chyba i wiesz, że na wiatr nigdy nie mówię. On krzyczał: *chlubię się z tego że plunąłem na tytuł książęcy i jestem dziś zwyczajny Fiodor Rusanow*, a mnie to jeszcze nie przekonało. Spokojnie wyszedłem do biblioteki, wyszukałem ostatni numer *Graphics*, w którym zamieszczono reprodukcję fotografii Rusanowa. Powróciłem do jego pokoju, stanąłem nad łóżkiem i powoli, systematycznie porównywałem oczy, brwi, czoło, owal twarzy, no wszystko. I zapewniam cię, że to jest najautentyczniejszy w świecie Fiodor Rusanow. To mi już najzupełniej wystarcza, nie mówiąc o jego okrzykach, które…

— Przepraszam, że przerywam — wtrącił znów konsul z przyjaznym uśmiechem. — W jakim języku wydawał te okrzyki twój Rusanow?

— W rosyjskim.

— A ty znasz ten język?

— Oczywiście; studiowałem go zawzięcie, mając widoki na Petersburg... No, wiesz, przez wuja. Ale wojna a potem mój nieszczęsny ożenek przekreśliły raz na zawsze młodzieńcze ambicje i całą dyplomatyczną karierę. Znasz mnie przecież nie od dzisiaj i doprawdy przykro mi, że...

— Ależ, James — przerwał konsul serdecznie — jeżeli jestem tak niegrzecznie ostrożny, to tylko przez wzgląd na sprawę, poważną bardzo poważną. Nie wiem jeszcze w tej chwili, co się tu przedsięweźmie, ale jestem pewien, że wykorzystamy szczęśliwe zrządzenie losu, które nam tego człowieka wydało w ręce... Tak, oczywiście. Zaraz pchnę szyfr.

— Nie wyrządzicie mu chyba jakiej krzywdy? — przestraszył się sir James. — Nie zapomnij, mój stary, że Rusanow jest moim gościem!

— Bądź spokojny, James. Pamiętam o tym... Naradźmy się raczej, gdzie go umieścić... Hm, mamy tu prywatną lecznicę angielską...

— O, nie, przyjacielu. Nie puszczę go z mej willi.

— Ależ on ci narobi masę kłopotu, będziesz miał szpital w domu.

— Świetnie! Jeszcze nigdy nie miałem szpitala w domu. Przepadam za wszelką nowością, obojętnie czy przyjemną, czy nie... Dlaczego go chcesz zabierać? Mogą mu nogę złożyć u mnie, można wziąć pielęgniarkę.

— Pielęgniarkę! Stop, to jest myśl... Słuchaj, James. Nie wypędzam cię, ale chciałbym teraz popracować. Przejdź do mego mieszkania i bądź tam jak u siebie. Lunch zjemy razem i może wtedy będę ci już mógł powiedzieć, co „miarodajne czynniki" zadecydowały w sprawie Rusanowa.

— A można by się tam u ciebie zdrzemnąć? — spytał sir James, powstając — bo prawdę powiedziawszy spałem tylko godzinę i to w wannie.

— Naturalnie. Zaraz wydam dyspozycje — odparł konsul, sięgając po słuchawkę aparatu telefonicznego.

Lunch zjedli późno, bo około trzeciej po południu, lecz za to sprawa kuracji i „opieki" nad Rusanowem była już definitywnie załatwiona. Kuracją miał się zająć chirurg, Anglik, bawiący w Nicei przejazdem, a kwestią opieki nad rannym a zwłaszcza nad jego gorączkowymi majaczeniami... niejaka mistress Daisy Rindley, która już wyjechała z Londynu.

— To z Intelligence Service? — spytał sir James niechętnie.

— Przypuszczam. — Konsul uśmiechnął się i poklepał przyjaciela po ramieniu. — Rozczarujesz się przyjemnie. Na pewno. Uważam za nieprawdopodobne, by na tak ważny posterunek nie wysłali kobiety bardzo inteligentnej, wykształconej, dobrze wychowanej i, last not least[1]... pięknej. Musieli wybrać taką, która zasługuje pod każdym względem na stanowisko twojej kuzynki!

— Co takiego?

— Trudno, mój stary. Ostrzegam cię, że będziesz miał trochę kłopotu z Rusanowem. No tak, musisz się pogodzić z myślą, żeś nową kuzynkę „zafasował", jak się to mówiło w okopach! Pamiętasz te czasy? Och, wtedy nie byłbyś protestował z powodu takiego fasunku.

Konsul wiedział dobrze, że achillesową piętą przyjaciela były wspomnienia wojenne. Sir James udobruchał się rychło, przyrzekł nawet, że po „kuzynkę" wyjdzie jutro na dworzec osobiście, ale nasunęły się inne trudności.

Zapominasz o Dorothy i o najgłupszej intercyzie ślubnej, jaką kiedykolwiek spisano — westchnął i przyciszonym głosem mówił, jak gdyby do sienie: — Byłem młody, zakochany do szaleństwa, słowem: głupi! A stary Hopkins kuty na cztery nogi! Podpisałem, co zechciał. Że zrzekam się mojego majątku na rzecz Dorothy, gdyby doszło do rozwodu z mej winy. Że rozwód może nastąpić tylko z powodu wiarołomstwa któregoś Z małżonków. Że zatem mogę odzyskać wolność, nie tracąc przy tym majątku tylko w wypadku jej zdrady, udowodnionej! Labirynt bez wyjścia bo dowiedźże czego mojej Dorothy... Adwokat mówił mi dawno, że wybrnąłby z tego. Ja nie mogę. Kontrakt głupstwo, ale dałem słowo. Słowo gentlemana.... Tak, tak, przyjacielu.

— Nie widzę jednak związku pomiędzy przyjazdem mistress Rindley, a...

— Nie widzisz? A jak się baba dowie, że zamieszkałem tu pod jednym dachem z rzekomą kuzynką, to co?

— Hm, umieść panią Rindley na piętrze obok Rusanowa, a sam odgrodź się na dole Patrickiem, *tym starym durniem*, jak go nazywasz... Ale najlepsza rada taka: pozbądź się jak

najrychlej Rusanowa, a „kuzynka” za nim pociągnie. Tak będzie najlepiej... No, mój stary, pora jechać do chirurga.

Po wizycie chirurga sir James wezwał do swego gabinetu Patricka oraz kucharza Toma i oznajmił im nowinę o „kuzynce”.

— Kiedy przybędzie, jeszcze nie wiem — łgał, mnąc w palcach jakąś kopertę — na razie dostałem tylko list. Przypuszczam, że pani Rindley zatelegrafuje z drogi. Ale wezwałem was tu po to, aby... — tu na rozleniwionych dryblasów lunął ulewny deszcz rozkazów, pouczeń, wskazówek, jak należy się zachować wobec kuzynki gospodarza i wobec jego „przyjaciela”, który leży bez ducha na piętrze na skutek wypadku automobilowego. O tym wypadku wara rozpowiadać, aby się okrężną drogą nie doniosło do żony „biednego przyjaciela”, osoby chorej na serce, która mogłaby przypłacić śmiercią wiadomość o nieszczęściu męża.

Dryblasy wysłuchały tego z nabożeństwem, nadmieniły tylko, że przydałoby się wziąć trzeciego służącego do pomocy albo pokojówkę, bo co trzy osoby obsłużyć, to nie jedną, a sir Patrick długo nie mógł ochłonąć ze zdumienia, że skomponowanie tylu łgarstw poszło mu tak gładko, a prima vista[2].

Nazajutrz po południu, gdy wybierał się właśnie na dworzec po „kuzynkę”, doręczono mu list wysłany z Paryża pocztą lotniczą. Tym razem Patrick siedział przy kierownicy, więc sir James mógł sobie spokojnie list przeczytać w samochodzie.

— Od mojego detektywa — mruknął, rzuciwszy okiem na stempel firmowy w lewym rogu blankietu. — czyżby Dorothy już zwęszyła? — zaniepokoił się, lecz nagle twarz wypogodziła mu się, i uśmiech szczęścia ją okrasił. Z wzrastającym wzruszeniem i radością połykał wiersze pisma:

Czcigodny Panie!

Z prawdziwą przyjemnością donoszę Panu, że nareszcie zdobyłem potrzebne dowody. Pańska Małżonka przybyła wczoraj do Paryża, zajechała do Hôtel de Paris, Bd. de la Madelaine, i zameldowała się fałszywie jako Dorothy Lapin, żona niejakiego Raphaëla Lapina tamże zamieszkałego od kilku dni.

O godzinie 21 minut 48 weszła do jego pokoju i pozostała tam do 7 min. 16 rano Dla ścisłości zaznaczam, że o godz. 22 min. 12 wniesiono tamże z Jej polecenia dwie butelki szampana, które rano były puste, że wymienionego pana Lapina całowała w obecności służby, a o godzinie 23 min. 47 zgasła w pokoju ostatnia lampa i zaczęły się rozlegać szmery, dowodzące niezbicie taktu wiarołomstwa Pańskiej Małżonki.

Donosząc o tym z prawdziwą przyjemnością, proszę o dalsze dyrektywy i małą zaliczkę na poczet mego honorarium oraz kreślę się z głębokim poważaniem,

zawsze do usług gotowy

George Mac Macay

detektyw prywatny

— Patrick! — wrzasnął sir James, gdy auto zajechało przed brzydki budynek dworca w Cannes. — Ty stary durniu, masz tutaj sto franków na piwo, bom rad i szczęśliwy, jak już od lat nie byłem.

— Dziękuję, sir. — Stary wyga zmrużył domyślnie oko. — Kuzynka! — bąknął domyślnie, zjeżdżając w cień, pod drzewa.

Zaledwie dziesięć osób wysiadło z paryskiego pociągu, w tej liczbie trzy kobiety, jedna staruszka siwowłosa, jedna piękna, elegancka dama, i wreszcie blada, anemiczna dziewczyna objuczona tuzinem tandetnych pakunków, których zapewne gwoli oszczędności nie chciała powierzyć tragarzowi. Do niej właśnie podbiegł sir James, krążący po peronie z werwą osiemnastoletniego młodzieńca.

— Mistress Rindley, prawda? — uśmiechnął się grzecznie, ale bez entuzjazmu. Dziewczę pisnęło z przestrachu: — Was wollen Się, Herr?![3]

— Pan oczekuje pani Rindley? — spytała strojna dama, przechodząc obok w tej chwili. — Ja nią jestem właśnie.

— Paaani? — Spoglądał na nią z niedowierzaniem, bo *agentka*, jak myślał z przekąsem, powinna wyglądać raczej tak, jak ta blada Niemka. — Ale chwała Bogu, że tak nie wygląda — mruknął, ciesząc się z tego, nie wiedzieć z jakich powodów. Stała przed nim dama, nie tylko wybitnie piękna, nie tylko ubrana jak sama Norma Shearer[4], ale i rasowa w każdym calu, które to „cale" sir James zlustrował wprawnym spojrzeniem, zatrzymując się najdłużej przy nóżkach. — Pęcina jak u folbluta[5] — westchnął... Ocknął się w nim nareszcie gościnny gospodarz. Uścisnąwszy mocno wąską łapkę, rzucił rozkaz bagażowemu obładowanemu jak wielbłąd Beduina i ruszył w stronę wyjścia, czyniąc pani Rindley honory, należne takiej piękności. — Uważam — bąknął nieśmiało — że z różnych powodów byłoby wskazane, abyśmy sobie mówili... ehm, hum, ehem, he...

— ...po imieniu?. Doskonale, drogi James — rzekła swobodnie.

Dopiero w aucie odzyskał mowę i mówił głośno, znając przyrodzoną ciekawość Patricka, który wraz z walizkami zakwaterował się na „rufie" samochodu:

— Kochana Dai... Daisy — zaczął — muszę ci oznajmić przykrą wiadomość, że mamy w domu rannego. Mój przyjaciel. Wypadeczek automobilowy, uważasz?

— Boże, czy coś poważnego? — „przeraziła się" doskonale. — Tak, tak, czytam serdeczną troskę w twych oczach. Dawnom cię nie widziała tak smutnego.

— Smutnego? Wręcz przeciwnie. Jestem dziś w siódmym niebie!

— To się wi — mruknął Patrick cichuteńko. — Jeszcze by! Taka kuzynka!

Lody tajały szybko; ostatnie „kry" spłynęły wraz z szampanem, który uświetnił obiad, wydany na cześć pani Rindley.

— Czym się to skończy? — medytował Patrick, próbując zainteresować ospałego Toma. Zadźwięczał dzwonek. Kamerdyner zerknął na tablicę z numerami. — Brama! — stwierdził ze wzruszeniem. — Jeśli to nasza lady... no, będzie tu gorąco! — Na szczęście przybył tylko konsul z Nicei. Nie meldowało go się nigdy, niemniej kamerdyner uważał za swój obowiązek odprowadzić gościa aż do jadalni. Dochodzili tam właśnie, gdy zabrzmiał okrzyk sir Jamesa:

— Daisy kochana, nie masz pojęcia, jaki jestem szczęśliwy! — Zerwał się i ucałował ją w oba policzki, zanim zdołała się uchylić. Patrick zakaszlał ostrzegawczo, ale z perfidnym opóźnieniem.

— Dobry wieczór — bąknął konsul, patrząc dyskretnie w sufit.

Nastała *minuta milczenia*. Sir James wytrzeźwiał z grubsza, dostrzegłszy za jednym zamachem gromy gniewu w pięknych oczach „kuzynki", karcące spojrzenie przyjaciela i konspiratorską minę wyrozumiałego Patricka. Jego też przede wszystkim wyrzucił za drzwi, a potem zaczął się usprawiedliwiać:

— Wybaczcie, moi drodzy. Panią szczególnie błagam o przebaczenie, pani Rindley. Postąpiłem jak szaleniec, ale nie dziwcie się; jestem dzisiaj szaleńcem... z radości! Otrzymałem wiadomość, która mnie zupełnie wytrąciła z równowagi ducha. Nie wiem, co robię, może za chwilę ciebie w usta pocałuję, kochany przyjacielu.

— Jakaż to wiadomość? — spytał konsul niedowierzająco.

— Jaka wiadomość? — krzyknął sir James, wyjmując list detektywa z kieszeni. — Nadzwyczajna, cudowna, oszałamiająca! — stopniował z zapałem.

— Mianowicie? — wtrąciła pani Rindley, ciekawa, jak... kobieta.

— Mianowicie, piękna kuzynko... mianowicie, żona mnie zdradza!!!

---

[1] last not least (ang.) – [rzecz] ostatnia, ale nie najmniej ważna.

[2] a prima vista (wł.) – bez przygotowania; dosł. na pierwszy rzut oka.

[3] Was wollen Sie, Herr? (niem.) – Czego pan chce?

[4] Norma Shearer (1902-1983) – amerykańska aktorka pochodzenia kanadyjskiego, laureatka Oscara.

[5] folblut (niem. *Vollblut*) – koń rasowy, czystej krwi.

Rozdział XV

W KAMIENNEJ DŻUNGLI

Rafał Królik odsunął białe ramię opasujące mu szyję i spojrzał nie bez pewnej czułości na swą towarzyszkę pogrążoną we śnie.

— Do wszystkiego można się w końcu przyzwyczaić — rzekł sentencjonalnie — nawet do Putyfary!

Był mocno sfatygowany, osłabiony, zwłaszcza w nogach, lecz na ogół zadowolony z roli, jaką mu los narzucił przed czterema dniami.

— Wymagająca jest, to prawda — westchnął — poza tym jednak niczego sobie kobiecina. Ciekawym tylko, czy naprawdę jeszcze nie poznała omyłki, czy też udaje, że nie poznała zadowolona z tej zamiany, pochlebiam sobie.

Tu dumnym gestem podniósł dłoń do górnej wargi i stwierdził ze zgrozą, że przyprawiony wąsik zniknął, nie wiadomo jak i kiedy. Znalazł go w fałdach kołdry, przylepił prowizorycznie, niemniej przejął się tym wypadkiem.

— Zły znak — myślał; dotychczas nigdy się to nie zdarzyło.

Złe przeczucie jest jednym z nieślubnych dzieci zabobonu, choć zapisuje się je najczęściej na rachunek intuicji czy telepatii. Rafał i tak nie mógł zasnąć, więc pod wpływem tak zwanych niedobrych przeczuć zapragnął nagle poddać rewizji swój stosunek do Dorothy Rabbit. Zaczął tedy przebiegać w myśli wypadki, jakie się wydarzyły od owego pamiętnego wieczora, kiedy to energiczna Amerykanka wtargnęła do jego pokoju po raz pierwszy.

Nazajutrz rano obudziły go jej gorące pocałunki. Wyrwany ze snu, nie orientując się początkowo w sytuacji, wydał okrzyk przestrachu i po omacku jął szukać kontaktu od lampy, w czym mu jednak przeszkodziła. Nie pozwoliła, by zapalił światło.

— Nie chcę, abyś mnie teraz zobaczył, James. Wyglądam na pewno, jak czupiradło — przypuszczała — ale to twoja zasługa!

Rafał zareagował na to pochlebstwo niedźwiedzim pomrukiem. Sądził, że teraz po wytrzeźwieniu, pozna go nawet po głosie, a wobec „faktów dokonanych", zamierzał odsunąć moment zdemaskowania, brzemienny w następstwa.

Lady Dorothy Rabbit zabrała się do pakowania swoich drobiazgów w walizce, trajkocąc jednocześnie głosem ciepłym, aksamitnym i... wdzięcznym:

— Chcę dać dowody, że nie jestem już tą dawną, nieznośną Dor, przed którą aż uciekać musiałeś... chcę uszanować twoje przyzwyczajenia i nawyki. Tak jak sobie tego życzyłeś, będziesz miał cały dzień do swojej dyspozycji. Caluteńki dzień, calusieńki, darling. Nie wierzysz, co? No przyznaj...

— Ehę — przystał Rafał. Wtajemniczając się w ten sposób w szczegóły małżeńskiego pożycia Rabbitów, zdobywał coraz więcej kwalifikacji na wzorowego sobowtóra sir Jamesa.

— A widzisz!... Przekonasz się jednak rychło, że moja poprawa jest szczera i trwała. Dzień będzie należał do twoich przyjaciół, do twego brydża, golfa, polo, ale noc... do mnie. W całości i niepodzielnie do mnie, zgoda?

— Ha — westchnął obłudnie, gdyż przypuszczał wtedy, że na tej jednej nocy skończy się sielanka.

— Ja także mam tutaj dużo do załatwienia, więc nudzić się nie będę. A wieczorem zjemy obiad wspólnie tu, w twoim pokoju, każę przynieść dużo kwiatów i mój patefon, zjemy, pogadamy, a potem... potem, James, no?

— Ba — rzekł dyplomatycznie.

— Och, ty mój słodki! Muszę też przyznać, iż poprawiłeś swą formę; jesteś naprawdę w doskonałej kondycji, że użyję wyrażeń sportowych. Cha, cha, cha, cha, lubię teraz operować kategoriami sportowymi. A więc, darling, zapisuję ci za wczoraj trzy punkty. Czy nie spróbujesz dziś poprawić rekordu?

Chichocąc swawolnie ucałowała go i wymknęła się z pokoju.

W pół godziny później Rafał zmykał tą samą drogą. Już w hallu zdenerwował się na widok dwóch panów, którzy natychmiast powstali i, rozprawiając w jakimś nieznanym mu języku, ruszyli w jego ślady. Przed hotelem, na werandzie kawiarni siedziało dwóch innych jegomościów, którzy uwzięli się kopiować zachowanie tamtej pary i biedny Rafał z duszą na ramieniu pomaszerował w stronę kościoła Madelaine, czując za sobą ustawicznie tę czwórkę. Ani mu przez myśl nie przemknęło, że pierwsza para to detektywi prawdziwego sir Jamesa, a druga, agenci Dorothy Rabbit, czuwający troskliwie z jej polecenia, by kapryśny małżonek znowu nie drapnął. Tego nie przewidywał, natomiast wierzył święcie, że łażą mu po piętach ludzie Borysa Łapina.

Urząd pocztowy, znajdujący się na rogu rue de l'Arcade i bulwaru Malesherbes (obecnie już przeniesiony), podsunął nieborakowi myśl, którą uznał za zbawienną. Wszedł szybko i na kartkach wydartych z notesu zaczął pisać list do Juliusza Solarskiego:

Szanowny i Kochany Panie!

Nie mogę przyjść, bo depce mi po nagniotkach aż czterech drabów Borysa. Dwóch podejmuję się zgubić, ale czterech? Nie chcąc ich zatem naprowadzić na Pański ślad, rezygnuję z żalem z dzisiejszej wizyty.

Zrobił się kleks. Ręka mi drgnęła niechcący, bowiem w tej chwili jeden z tej czwórki wszedł tutaj i stoi przy sąsiednim pulpicie. Niech stoi, idiota. Zje diabła, zanim się dowie, do kogo list wysyłam. Wysyłam „polecony", bo nikomu tu ufać nie można. Niech się Pan również ma na baczności!

Dlaczego ich łazi za mną czterech? Przecież, żeby śledzić, dwóch byłoby aż nadto. Rozumiem! Chcą mnie sprzątnąć, skoro zejdę z ożywionych bulwarów. Niedoczekanie! Wracam do hotelu i krokiem się stamtąd nie ruszę. Ach, żeby nie mój fałszywy meldunek, zażądałbym opieki policji. Nie mogę, niestety. Policja zaczęłaby ode mnie, od mego paszportu!

Nie koniec na tym. Przyczepiła się do mnie żona jegomościa, na którego się ucharakteryzowałem. (Skąd mogłem wiedzieć, że drab żonaty?) Ten łobuz uciekł od niej i ja muszę za niego odrabiać pańszczyznę. Straszne, co? Pociesza mnie tylko świadomość, że jestem mistrzem w charakteryzacji, skoro moja wymagająca Putyfara nie poznała omyłki nawet przy „copula carnalis"[1]. No, tak, ale radbym się baby pozbyć, i w tej przykrej sytuacji zwracam się do Pana z prośbą o wyrażenie Jego opinii. Mam tysiące świetnych pomysłów, jednakże wolałbym akcję naszą uzgodnić.

Ściska dłoń

Rafał K.

PS Nad p. Wierą czuwam nieustannie!

Nadawszy list, powrócił do hotelu, nie troszcząc się więcej o tajemniczych prześladowców. Odpowiedź odebrał jeszcze tego dnia wieczorem pocztą pneumatyczną. Porucznik Solarski musiał być w niefrasobliwym humorze, sądząc po treści jego krótkiego listu, który brzmiał następująco:

Szanowny i Drogi Panie!

Za ostrzeżenie dziękuję. Tych ludzi ja także Zauważyłem, ale nie sądzę, by się ośmielili na zaczepkę.

Jutro wyjeżdżam z W. na całodzienną wycieczkę, zatem do widzenia pojutrze.

Życzę wesołej zabawy z Mrs. Putyfarą i zasyłam mocny uścisk dłoni.

Juliusz S.

Rafał dumał właśnie nad tym liścikiem, gdy do drzwi zapukała lady Dorothy Rabbit. Zgasił natychmiast wielką lampę, ale była to zbyteczna ostrożność; Amerykanka albo naprawdę jeszcze nie poznała omyłki, albo grała dalej swoją rolę, a jedynym szczegółem, który przemawiał za pierwszą hipotezą była uwaga, rzucona przez nią w czasie kolacji:

— Zrobiłeś ogromne postępy we francuskim, chciałabym mówić tak płynnie, jak ty. — Powiedziała to zupełnie szczerze.

Rafał, rozpamiętując wydarzenia tych następnych dwóch nocy, nie mógł się oprzeć chęci wypowiedzenia kilku słów na swoje usprawiedliwienie!

— Cóż miałem robić? Z jednej strony szajka Borysa, zbiry gotowe na wszystko... z drugiej moja Putyfara. Wybrałem więc mniejsze zło.

Tego dnia Rafał odważył się nareszcie wyjść z hotelu. Asysta spacerowała za nim, ale już w liczbie dwóch ludzi tylko. Było to zasługą Dorothy, która po trzydniowej próbie zwolniła swoją parę „aniołów stróżów", ufna snadź, że małżonek nie zamierza drapnąć, skoro dotychczas prowadził się tak nienagannie. Za to pozostali dwaj maszerowali krok w krok za Rafałem, uniemożliwiając mu znowu odwiedzenie Solarskiego w hotelu *Chatham*. Po powrocie zastał list porucznika z wiadomością, że spotkają się nazajutrz w *Casino de Paris*, gdzie będą mogli się swobodnie naradzić, gdyż...

...upewniłem się, że na parterze wszystkie miejsca na jutro są wykupione. Teraz, krótko po premierze jest ścisk. Ja kupiłem bilety u pośrednika, co się Pańskim prześladowcom nie uda w ostatniej chwili przed przedstawieniem. Może dostaną coś na balkonie, ale stamtąd nas nie ujrzą; siedzimy pod nimi.

W końcowych wierszach donosił Solarski, że w zachowaniu Wiery zaszła nagła zmiana, że on przeczuwa, iż stoją w przededniu ważnych wypadków i sprawa nareszcie ruszy z miejsca; ale o tym już jutro pogadają. W post scriptum prosił jeszcze, by Rafał, broń Boże, nie zgubił załączonego biletu. Świadczyło to, że przysłowiowe roztargnienie małego detektywa przestało być tajemnicą dla Solarskiego.

— A więc jutro! — westchnął Rafał, rozpamiętując treść tego listu.

Westchnął bardzo głośno i natychmiast wstrzymał oddech, bowiem Dorothy poruszyła się na łóżku.

— Nie śpisz? — spytała. Zapaliła lampkę osłoniętą barwnym kloszem i kilkakrotnie powtórzyła swe pytanie, wpatrując się bacznie w „śpiącego". Wiedziała, że udaje, więc zaczęła

go łechtać po nosie, póki nie kichnął. Otworzył oczy, ujrzał nad sobą łodyżkę kwiatu, którym go muskała, a powyżej twarz „żony", roześmianą, zaróżowioną od snu i wcale, wcale ponętną.

— Skoro już nie śpisz, James — zaczęła pieszczotliwie, przysuwając się do niego — skoro już oboje nie śpimy... no to...

— Żadne *no to* — zaprotestował kategorycznie — chcę spać!

— Będzie i na to czas. Jest dopiero pierwsza.

— Ale ja chcę spać! — powtórzył z naciskiem, odwracając się od niej.

— Niedołęga!

— Jak powiedziałaś?

— Niedołęga! Safanduła! Grzyb!

— Kto? Ja? — oburzył się i dodał z goryczą: — To jest wdzięczność!

— A za cóż mam być wdzięczna? Rekordu nie pobiłeś, styl coraz gorszy; widoczny spadek formy, ot co!

— Kobieto, nie prowokuj mnie!

— Bo co? — spytała skwapliwie.

— Bo... bo...

Nie zdołał już skomponować pogróżki wystarczająco skutecznej, jak na taką Putyfarę, gdyż w tym momencie rozległo się energiczne pukanie.

— Widzisz? To skutki twych krzyków po nocy — wyszeptał Rafał.

— Myślisz, że służba by się ośmieliła?

— Służba nie, lecz któryś z sąsiadów, na pewno!

— Głupstwo! Przez ścianę nie słychać.

Znowu zapukano.

— To do drzwi!

— Może napad? Och, James, boję się, boję! Przytul swoją maleńką żoneczkę.

— Ani maleńką, ani żoneczkę — bąknął cichuteńko po polsku i nadsłuchiwał, poddając się biernie objawom przerażenia Dorothy. — Zaczekajże, — upomniał ją, uchylając twarz spod ulewy trwożnych pocałunków, nie różniących się w niczym od zwyczajnych. — Jakby kilku rozmawiało.

— Gdzie? Och, Boże, Boże!

— W korytarzu.

Zapukano po raz trzeci, po czym gruby głos zawołał po francusku:

— Proszę otworzyć. Tu komisarz policji!

— Kokokomisarz? — Rafałowi włosy stanęły na baczność; ani trochę nie wątpił, że chodzi tu o fałszywy meldunek. — To sprawka Borysa — podejrzewał w duchu — łotr zadenuncjował mnie, że nie nazywam się Lapin.

— James? Co on powiedział? Że komisarz? Ależ to bezprawie!

— Cichooo. Muszę otworzyć, lecz ty się ukryj. Nie powinien cię zastać w moim pokoju.

— Zwariowałeś? Mam się chować? Czyż nie jestem twoją małżonką?

— Nie babardzo — wymamrotał, ponawiając swe prośby, by się ukryła gdziekolwiek. — Nie przypuszczam, żeby był gburem i szukał — zapewniał, lecz tymi słowy dolał tylko oliwy do ognia. Lady Dorothy Rabbit zeskoczyła z łóżka i pobiegła osobiście drzwi otworzyć.

— Ja mu dam! — odgrażała się.

Szczęknął klucz w zamku i rozsierdzona Putyfara ruszyła w bój.

— Jakim prawem? — zagrzmiała, ujmując się pod boki,

— Zechce pani nie przeszkadzać mi w urzędowaniu — rzekł komisarz, wkraczając do pokoju przebojem. — Przychodzę tu na żądanie pani małżonka, aby ustalić fakt wiarołomstwa!

— Wia-ro-łom-stwa? Słyszałeś? — zwróciła się w stronę zmiętego łoża, ku któremu przede wszystkim pośpieszyły spojrzenia komisarza i towarzyszących mu trzech mężczyzn. — To przecież ostatnia bezczelność!

— Bebezczelność — przyznał Rafał, owijając się kołdrą, niby togą, bowiem po zdjęciu piżamy był dosłownie „do figury".

— Jej nigdy tupetu nie brakło — wtrącił zjadliwie ostatni z wchodzących, niski, lekko szpakowaty gentleman. Rzekłszy to, wysunął się na czoło intruzów i złożył oniemiałej kobiecie ukłon, przesadnie grzeczny. Nie patrzała jednak całkiem w jego stronę, zahipnotyzowana widokiem teczki, jaką komisarz otworzył, wyjmując stamtąd plik akt.

— Pani nazwisko? — spytał tonem urzędowym. Podała swoje generalia, szpikując poszczególne odpowiedzi pogróżkami, że pójdzie jutro do samego prefekta policji, do ambasady, do konsulatu i Bóg wie dokąd jeszcze.

— Z tego gotów wyniknąć konflikt międzynarodowy — parsknął szyderczo urzędnik, przystępując kolejno do przesłuchania Rafała.

— To mój małżonek — wyręczyła go w odpowiedzi — sir James Rabbit.

— Ooo, a kim ja jestem, w takim razie? — zdziwił się ów niski gentleman i, zacierając ręce, podszedł do Dorothy Rabbit. Przyjrzała mu się uważnie, przetarła oczy dłońmi, znowu spojrzała i potrząsnęła głową na znak bezmiernego zdumienia.

— Światło! — wykrztusiła zmienionym głosem. Ktoś podbiegł do tastra i strumień białego światła lunął z żyrandola na pokój.

— Pańskie nazwisko? — powtórzył komisarz.

— Moje? Król… to jest, tego, ten, ehm, Raphaël Lapin.

— Zatem, Raphaël Lapin — pisał. — Karta tożsamości?

— Właśnie staram się o nią — zełgał — i w tym celu złożyłem mój paszport w Prefekturze. Na razie więc *carte d'identité* mieć nie mogę.

— Sprawdzimy to.

— Prrroszę bardzo.

— Ludzie, przestańcie, na Boga — krzyknęła Dorothy, wymachując rękami. — Co to wszystko znaczy? Nie rozumiem... Takie podobieństwo?

— Aha! — Komisarzowi zaświtało w głowie. — Ten jegomość zapewne podszywał się pod pańską firmę, sir. O, to grubsza sprawa! Monsieur Lapin, proszę nie chować się w cieniu i podejść tu bliżej.

Odwrócił się, rzekomo, aby sobie „togę" poprawić, oderwał przyprawiony wąsik, rzucił go na dywan wraz z okularami i oba te przedmioty zgrabnym kopniakiem wepchnął pod łóżko głęboko. Potem pomaszerował do komisarza.

— To insynuacja — rzekł wojowniczo — nigdy się nie podszywałem pod firmę sir Jamesa Rabbita. Jestem sobie zwyczajny pan Lapin, i kropka!

Lady Rabbit zrozumiała wreszcie swą pomyłkę; z okrzykiem obłudnej zgrozy zarzuciła ramiona na szyję mężowi... temu prawdziwemu.

— Och, James! — wołała przejmująco — zabij tego łotra!

— Pani daruje — bąknął, próbując się uwolnić z tych objęć.

— Oszukał mnie!

— Jak Boga kocham — zaklął się Rafał.

— Uwiódł!

— Ba — mruknął komisarz sceptycznie — czy można uwieść mężatkę?

— Zgwałcił mnie!

— Wprost przeciwnie! — jęknął rzekomy monsieur Lapin, zapominając pod brzemieniem

tylu zarzutów o gentlemańskiej dyskrecji.

Sir James zdołał się wreszcie uwolnić z ramion małżonki, która z właściwą sobie przedsiębiorczością natychmiast podbiegła do sobowtóra.

— Masz, nędzny donżuanie! — zamachnęła się potężnie, ale w policzek oberwał pan George Mac Macay, prywatny detektyw Rabbita, za którego Rafał uskoczył zręcznie. A właściwie nie bardzo zręcznie, bo kołdrę zgubił w skoku, i teraz rejterował w adamowym stroju do przyległej łazienki. Tam już pozostał, dopóki całe towarzystwo nie opuściło pokoju, wymieniwszy jeszcze kilkanaście słów z komisarzem przez zamknięte drzwi. Wyszedł ze swej kryjówki, westchnął, odetchnął.

— Commedia finita — rzekł, lecz srodze się omylił. Bowiem w godzinę później wymówiono mu pokój w hotelu, z poleceniem, aby się wyprowadził najpóźniej do godziny ósmej rano.

— No, w takim razie mogę się jeszcze przespać — pomyślał. Nie zasnął jednak, i nic dziwnego. Mógł sobie w ogóle pogratulować, że skrzywdzony mąż był flegmatycznym, kulturalnym Anglikiem, a nie, na przykład, Korsykaninem czy innym południowcem, zwolennikiem *vendetty*[2], choćby dla rozgłosu.

Ranek był chłodny, lecz Rafałowi zrobiło się bardzo gorąco na widok rachunku, jaki mu przedłożył płatniczy hotelu *de Paris*. Te cztery wystawne kolacje z szampanem jemu oczywiście doliczono.

— A może lady Rabbit to zapłaci? Jeszcze nie wyjechała, niech pan zadzwoni — rzekł kasjer, dostrzegłszy przerażoną minę klienta.

— Nigdy jeszcze nie byłem utrzymankiem! — odparł Rafał z godnością i zapłaciwszy całą należność, wyszedł z pięcioma frankami w kieszeni. Nie martwił się tym, mając pod ręką takiego bankiera jak Juliusz Solarski. Pomaszerował wprost do niego ucieszony, że nikt go już nie śledzi, nikt mu po piętach nie depce, bowiem mimo uważnego rozglądania się nie dostrzegł ani jednego z owych czterech „aniołów stróżów".

W hotelu *Chatham* spotkała go przykra niespodzianka,

— Pan Solarski opuścił nasz hotel tej nocy — rzekł portier.

— Wyjechał — dorzucił boy.

— Wyjechał? Jak to, z walizkami? Może tylko na małą wycieczkę, jak przedwczoraj?

— Wyjechał ze wszystkim.

— Czy nie wiecie dokąd?

— Nie wiem — oburknął portier.

— Ja tam poniekąd się domyślam, dokąd. — Boy zaczął sobie trzeć dłoń gwałtownie, jakby świerzbu końskiego dostał.

Rafał, który w ciągu swego pobytu w Paryżu poznał Francuzów wystarczająco, chwycił się za kieszeń, manifestując w ten sposób rzekomy zapał do hojnego honorowania wszelakich przysług.

— Słyszałem — zaczął boy, zachęcony tym gestem — jak pan Solarski powiedział szoferowi taksówki: *Gare de Lyon*. Widocznie więc wyjechał na południe.

— I nic dla mnie nie zostawił? Może list jakiś?

Portier podszedł do szafeczki z przegródkami.

— Owszem, zostawił list, ale nie wiem, czy dla pana — odrzekł; — kazał go odnieść dziś rano do...

— …do *Hôtel de Paris* — wtrącił Rafał skwapliwie — dla pana Raphaëla Lapina. To właśnie ja jestem, panie portierze.

— Hm, nazwisko się zgadza, lecz naszym obowiązkiem jest wypełnić ściśle polecenie

klienta.

— Kiedy ja właśnie dzisiaj wyprowadziłem się z *Hôtel de Paris*. Ja także dzisiaj wyjeżdżam — łgał nieborak, pożerając oczyma ów list.

— Niestety — zaczął znów portier, po czym zrobił minę: *jak się da, to się zrobi; jeszcze jak!*

Wręczył w końcu list. Solarskiego Rafałowi, wprowadzony w błąd podobną manifestacją jak ta, która już zmyliła boya.

— Bardzo panu dziękuję — rzekł Rafał z najsłodszym uśmiechem. Zamierzał wyjść chyłkiem, lecz tamci dwaj zastąpili mu drogę.

— Pańskie *dziękuję* swoją drogą, a mój napiwek swoją, albo dawać list z powrotem! —- rzekł portier ostro i pochwycił Rafała za klapę marynarki. Boy ze swej strony upomniał się o honorarium za informacje.

Takim sposobem stracił Rafał ostatnią pięciofrankówkę. Ale miał list Solarskiego, co napełniało go otuchą.

— Z pewnością jakiś czek załączył — pocieszał się i w tej nadziei przeciął kopertę scyzorykiem bardzo uważnie. Niestety czeku nie było, widocznie prawo serii ma największe zastosowanie w nieszczęściach. I w liście także nie było wzmianki o pieniądzach; nic dziwnego zresztą, gdyż porucznik Solarski nie mógł przewidzieć, że mały detektyw będzie regulował rachunek hotelowy już dzisiaj, a o kosztownych libacjach z „Putyfarą" w ogóle nie wiedział. Solarski pisał tylko o powodach nagłego wyjazdu:

Przy kolacji oświadczyła mi Wiera, że w nocy wyjeżdża do Nicei, wezwana przez swojego stryja, i że wobec tego jutro już się nie zobaczymy. Udało mi się narzucić jej swoje towarzystwo w podróży i wyjeżdżam z nią razem. Przeczucie mi mówi, że dowiem się wreszcie czegoś bliższego o profesorze R., gdyż W. staje się powoli coraz skłonniejsza do zwierzeń. Za kilka dni napiszę z Nicei.

Na razie ściskam dłoń

Juliusz S.

PS. Załączam mój bilet do „Casino de Paris". Józefinę Baker[3] *warto zobaczyć, więc Idźcie z „Putyfarą" i bawcie się dobrze.*

— Wolałbym, żebyś czek był załączył, zamiast drugiego biletu do *Casina* — mruknął mały detektyw, czując coraz większy apetyt na śniadanie.

Bezmyślnie szedł przed siebie, dokąd nogi zaniosą, przyśpieszając kroku ilekroć mijał jakąś restaurację, bar czy kawiarnię. Ściskało go w dołku na widok szczęśliwców, posilających się na werandach czy za szybami wystawowymi, drażniły go jadłospisy wywieszone w ramkach przed lokalami, dręczyły bogate wystawy sklepów spożywczych, i Paryż, rozkoszny Paryż, *Lunapark świata*, częstujący bezlikiem przysmaków, przyjemności i rozrywek tych, co posiadają pieniądze, wydał mu się nagle straszliwą dżunglą kamienną, w której biedak może umrzeć z głodu na oczach zażerających się sybarytów. I jakże niegościnnym wydał mu się wspaniały *Hôtel de Paris*, w którym przez te dni pędził beztroski żywot burżuja, jakże zimny, obcy, odstraszający! Wczoraj jeszcze nadskakiwano mu tutaj, spełniano w mig każda życzenie i kaprys, a dzisiaj... dziś te same sługusy giętkie w karkach, pokorne, usłużne, wyrzuciłyby go na zbitą twarz, gdyby się ośmielił tam wejść i czegoś zażądać.

— A jednak wejdę! — warknął Rafał czupurnie — wejdę po walizki.

Ułożył już sobie w głowie, że jedną z tych walizek sprzeda albo zastawi, aby nie umrzeć z

głodu, nim Solarski pieniądze nadeśle. — Ale przede wszystkim chciałbym trochę pomieszkać po dzisiejszej nocy bezsennej — monologował, ziewając. — Nie ma innej rady, tylko trzeba wrócić na lewy brzeg do *Orsay hôtel*; pluskiewki stęskniły się z pewnością za mną.

Rafał nie miał ani sou[4] przy duszy, toteż zarówno taksówka jak metro czy autobus były dlań niedostępne, więc, rad nie rad, objuczony walizkami, poszedł pieszo, ku bezmiernemu zgorszeniu służby z *Hôtel de Paris.*

Przed *Café de la Paix* zrobił pierwszy odpoczynek, upozorowany chęcią nabycia jakiejś gazety w kiosku. Nie kupił oczywiście żadnej, bo i za co, ale bez wszelkich kosztów przeczytał kilka „ostatnich telegramów", z których jeden szczególnie go zainteresował. Mianowicie najświeższy numer *L'Ami du peuple* wywieszony na ściance kiosku przynosił na frontowej stronicy następującą wiadomość „od własnego korespondenta w Warszawie":

Chemik Karol Weber, którego rewelacyjne zeznania o Stalingradzie i sowieckich przygotowaniach do wojny zelektryzowały cały świat w ubiegłym tygodniu, zmarł tej nocy w Lidzie na skutek rany postrzałowej, jaką otrzymał podczas przekradania się przez granicę polsko-sowiecką.

— To źle — mruknął Rafał. — Teraz, skoro jedyny świadek nie żyje, wyprą się wszystkiego w żywe oczy. — I nie pomylił się, bowiem już nazajutrz ukazało się w prasie oficjalne zaprzeczenie rządu Sowietów, jakoby na terenie SSSR istniał jakiś Stalingrad i jakoby Rosja Sowiecka, głosząca hasło ogólnego rozbrojenia, sposobiła się do wojny. Zaprzeczenie to, utrzymane na ogół w tonie spokojnym i wcale rzeczowe, kończyło się złośliwą aluzją pod adresem tych, którzy z *bezkrytyczną i naiwną łatwowiernością uznali za niewzruszony dogmat nieprawdopodobne brednie zbiega z zakładu dla umysłowo chorych w Mińsku*… jak brzmiał dosłowny tekst.

— A co? Nie mówiłem? — tryumfował mały detektyw. — Wariata z niego zrobili na poczekaniu; tylko patrzeć, jak wydrukują świadectwo lekarskie psychiatry ze sławetnego Mińska.

Tak, ale to było nazajutrz dopiero. Zaś na razie biedny Rafał postawił kołnierz i pod chłodnym tuszem jesiennego kapuśniaczka (tusz bezpłatny, w przeciwstawieniu do regulaminu panującego w *Orsay hôtel*) zapuścił się wraz ze swoimi walizami w Avenue de l'Opera, w jedną z najruchliwszych, o tej porze, arterii ogromnej kamiennej dżungli...

---

[1] *copula carnalis* (łac.) – stosunek seksualny.

[2] *vendetta* (wł.) – krwawa zemsta jednej grupy na drugiej za zabójstwo krewnego.

[3] Josephine Baker (1906-1975) – tancerka, aktorka i piosenkarka francuska pochodzenia afroamerykańskiego.

[4] sou (fr.) (spolszczone: *su*) – drobna moneta francuska (1/20 franka) używana do r. 1940.

Rozdział XVI

STRASZNY SĄSIAD

W *Orsay hôtel* zaczęło się od „naukowej dyskusji". Ów mały jegomość o fizjognomii dziedzicznego kretyna powitał znajomego klienta wcale uprzejmie i, żeby snadź ująć go za serce, zagadnął, jakiej jest narodowości.

— Polak.

— Aha; czyli żyd.

— Jak to? Dlaczego?

— Jeszcze nie mieliśmy tu gościa z polskim paszportem, nie-żyda!

— To możliwe — bąknął sennie Rafał — ale u nas trafiają się niekiedy Polacy nieobrzezani. Takim osobnikiem jestem właśnie ja. Bo trzeba panu wiedzieć, że Słowianie dzielą się na

Rosjan, którzy...

— Och, wiem! — przerwał Francuz z żywością. — Rosjanie dzielą się na bolszewików i kontrrewolucjonistów, czyli Polaków... Ale wie pan, ci bolszewicy to także sami żydzi.

— A ponieważ, według pana, podobnie się rzecz ma cała z nieszczęsnymi Polakami, ergo każdy Słowianin jest szlachcicem izraelskim. Uważam się za zwyciężonego i chcę spać... Ale, ale, z przyjemnością bym znowu kiedyś pogadał z szanownym panem. Widzę, że na erudytę trafiłem.

Znalazłszy się na nowym mieszkaniu, zapytał Rafał pokojówkę, kim jest właściwie osobnik, który zabawiał go w biurze hotelowym rozmową, a potem mu walizki wyniósł na piąte piętro.

— To mój patron — odparła dziewczyna.

— Niemożliwe! Ten... ten krety... to jest chciałem powiedzieć, ten człowiek jest właścicielem hotelu?

— Nie jednego! Drugi posiada w Lyonie, a tu ma jeszcze dwie duże kamienice. Och, mój patron jest bardzo bogaty i mądry. Jest profesorem i...

— Prrrofesorem?! Trzymajcie mnie!

— Tak, proszę pana. Prócz tego udziela lekcji angielskiego i gry na skrzypcach, jeśli nie jest zajęty w szkole. Och, il est tres intelligent![1]

— Rany boskie! — jęknął Rafał po polsku, waląc się na łóżko. — Jeżeli u nich profesor jest takim erudytą, to co mówić o uczniach? Ale szelma pracowita, trzeba przyznać. Gdzieby to u nas poczwórnemu kamienicznikowi chciało się wykładać w budzie, nosić walizki i wygódki szorować? Uczmy się od naszych sprzymierzeńców, uczmy się, Rafciu, pracujmy! — mamrotał coraz niewyraźniej i zasnął w ubraniu, ba, w meloniku na głowie.

Obudził się dopiero o dziesiątej wieczorem, wypoczęty, ale głodny straszliwie. Nie mogąc się pogodzić z myślą, żeby z tylu banknotów nie pozostała choćby marna dziesięciofrankówka zawieruszona między dokumentami, wyjął z kieszeni portfel i rozpoczął beznadziejne poszukiwania. Dziesięciofrankówki oczywiście nie znalazł, za to wpadły mu w

rękę... dwa bilety!

— Cóż to za bilety? — zdziwił się i odczytał *Casino de Paris*. Poniżej były numery, data i uwaga: *Początek o godz. 8:30.*

— A teraz jest piętnaście po dziesiątej! — wrzasnął Rafał, szukając melonika, który się schronił pod łóżko w czasie jego snu.

Zziajany po dwukilometrowym biegu przybył do *Casino de Paris* o trzy na jedenastą i trafił akurat na masową *Girls gallery*, stanowiącą wraz z wokalnymi akcesoriami finał pierwszej części programu. Na szczęście *czekoladowa Wenus* ma zawsze popisowe numery w drugiej części, zatem mógł ją jeszcze podziwiać i rozczarował się przyjemnie, bowiem tylko ci, którzy jej nigdy nie widzieli, gorszą się jej rzekomym wyuzdaniem. Józefina Baker jest, przynajmniej obecnie, wytworną, dystyngowaną tancerką światową, damą w każdym calu, jest nie tylko egzotyczną pięknością, ale i pięknością według pojęć ludzi białej rasy i największą gwiazdą music-hallów, w przeciwstawieniu do zachrypłej babuni Mistinguett[2], której ulubionym szlagierem jest walenie po papie partnerów i tym podobne cyrkowe dowcipy, i która trzyma się jeszcze dzięki swej firmie i reklamie.

Nazajutrz Rafał zbudził się z bólem głowy.

— To z głodu — odgadł, przewracając się na drugi bok — ale głód można zagłuszyć snem. Na tym polega cały kunszt głodomorów. — Widocznie jednak kunszt nie na tym polega, bo nieborak zwlókł się z łóżka w południe i wyszedł na miasto, lękając się, że za chwilę zacznie pożerać tapety. — No, dałby mi mój *bardzo inteligentny* — mruknął, mijając okienko biura zarządu. Najniepotrzebniej w świecie skusiło go wejść tam i poprosić o pożyczenie dziesięciu franków „na taksówkę". — Chcę jechać do banku podjąć parę tysięcy — zbujał, ale profesor-erudyta okazał się tym razem naprawdę inteligentny; nie tylko że nie dał, ale zwietrzywszy pismo nosem, zaznaczył, że dziś przedłoży rachunek, bowiem *według regulaminu* płaci się za pokój z góry.

Rafał nie zabrał z sobą walizki, przypomniawszy sobie Totka Rylskiego.

— On większą forsą nigdy nie pachnie, teraz, w drugiej połowie miesiąca, będzie pewne spłukany, ale marne sto *franiów* chyba da — kalkulował.

Konsulat polski w Paryżu znajduje się przy rue Alphonse de Neuville, w dzielnicy Wagram, więc mały piechur miał przed sobą godzinny spacer, zwłaszcza, że, dzięki osłabieniu, wlókł się bardzo powoli. Wlókł się, popychany przez tych, którzy zawsze się śpieszą, a których w Paryżu jest milion, niekiedy przystawał, odpoczywał i znów szedł noga za nogą, nie dość zważając na pędzące samochody, kiedy przechodził na drugą stronę jezdni. I zdarzyło się na przepięknym placu Zgody, że osaczyły go auta ze wszystkich stron w chwili, gdy znalazł się sam jeden na rozległem polu asfaltu. Ocknął się ze swej czarnej melancholii i zaczął manewrować, dążąc do obelisku. Błotniki przejeżdżających wehikułów muskały go niemal raz z tej, raz z tamtej strony, aż wreszcie ujrzał lukę. Rzucił się w nią i... zdrętwiał. W odległości kilku kroków zoczył dwa samochody ścigające się najwyraźniej, a dotychczas zasłonięte przez pokraczny autobus paryski.

— Gotów! — syknął, nie ruszając się z miejsca, przygwożdżony do asfaltu przerażeniem i widmem nieuniknionej zda się katastrofy. Jak urzeczony spoglądał na latarnie rozpędzonych aut. Jedno miało „dziób" skośny, spłaszczony, słowem renault, najbrzydsze pudło w licznej rodzinie samochodów, za to drugie, będące o metr w tyle posiadało charakterystyczną sześcioboczną chłodnicę, po której człowiek „na kilometr" pozna rolls-royce'a. Rafał spotykał w Paryżu przeciętnie osiem rollsów dziennie, odprowadzał je zawsze rozkochanymi spojrzeniami, i teraz, na progu śmierci, obudził się w nim stuprocentowy snob.

— Zginąć pod kołami renaulta? Nigdy! Nie skompromituję się, nie upadłem jeszcze tak

nisko — przemknęło mu przez myśl z szybkością trzystu tysięcy kilometrów na godzinę. — Co by w Warszawie powiedzieli? Nie! Za nic! Jeżeli już — myślał wciąż z chyżością, jaką tachometr uczonych fizyków wyznaczył poczciwemu światłu — jeżeli już musi być, to od rollsa!

Rzekłszy to duszy swojej, powiedział jej *do widzenia na dolinie Jozafata*, zamknął oczy i wysiłkiem woli pchnął korpus naprzód, usuwając go z drogi, po której musiał przebiec renault, ordynarna czerwona taksówka.

Wszystko to trwało zaledwie sekundę, wliczając w to już upadek na jezdnię, spowodowany przez niewinną skórkę z pomarańczy.

— Umarłem — mruknął Rafał i nagle ogarnął go straszliwy smutek że nie przepił tych dwóch pięknych walizek, że „inteligentny" hotelarz je ściągnie,

— Co pana boli? — zagęgał mu czyjś głos nad głową.

— Dusza — westchnął, nie otwierając oczu — takie walizy, mój Boże!

Ktoś go poderwał z asfaltu, więc podniósł powieki i ujrzał pucołowate oblicze policjanta, dalej gromadkę gapiów, jeszcze dalej eleganckich gentlemanów, wysiadających z rolls-royce'a, i tył zmykającego renaulta. Gentlemani byli bladzi jak księżyc po całonocnym spacerze i z minami skazańców człapali w stronę granatowej pelerynki muskającej Rafała po nosie.

— Czy pana nic nie boli? — powtórzył policjant. — Chcę panu oszczędzić cierpień przy przenoszeniu na chodnik.

— Pozwoli pan, że wypróbuję moje członki z grubsza — odparł Rafał i, wykonawszy kilka epileptycznych podskoków, dał odpowiedź przeczącą. — Nic mi się nie stało, ci panowie mogą jechać — pozwolił łaskawie. Gentlemani ukłonili mu się tak, jak gdyby był księciem Walii, i odjechali co prędzej.

— I naprawdę nic się panu nie stało? — dopytywał się policjant.

— Absolutnie nic. Miałem szczęście!

— Chyba pecha!

— Jak to?

— Ano, byłby pan dostał parędziesiąt tysięcy odszkodowania.

— Teraz mi pan to mówi?! — oburzył się Rafał.

— Tak, to prawdziwy pech. Leżał pan pomiędzy dwoma samochodami i żeby choć jeden potrącił, żeby choć rękę złamał — współczuł sympatyczny przedstawiciel bezpieczeństwa publicznego, otrzepując Rafała z kurzu.

Po tym incydencie przestał się w ogóle rozglądać, ilekroć wkraczał na jezdnię, ba podsuwał się pod nadjeżdżające samochody, ale... jak pech, to pech. Sklęli go parę razy i na tym koniec.

— Jeżdżą bestie po mistrzowsku, nic się nie da zarobić — żałował. — I taką okazję zaprzepaściłem!

W konsulacie Totka nie zastał.

— Pan Rylski wyszedł dzisiaj trochę wcześniej — tłumaczył woźny.

— Ale jego adres chyba tu macie.

— Naturalnie.

— Ba — wtrącił drugi woźny — pan Rylski tam już nie mieszka. Wiem od Karola, który mu pomagał rzeczy przewozić na nowe mieszkanie.

— Dawajcież tego Karola! — jęknął mały detektyw.

— Karol ma dyżur wieczorem, niech pan przyjdzie koło siódmej.

Rafał opuścił konsulat z objawami łagodnej wścieklizny. Zrozumiał, że pozostało mu jedno: sprzedać którąś z walizek, i żałował, że tego już nie uczynił, zamiast tracić czas na bezpotrzebny spacer do konsulatu.

W hotelu zaprezentowano mu rachunek. Wsunął go w kieszeń wzgardliwym ruchem, oznajmiając, że zapłaci jutro, gdyż bank już był zamknięty. W pokoju opróżnił większą walizkę, lecz nie pozwolono mu z nią wyjść na ulicę.

— Znamy takich — orzekł „bardzo inteligentny". — Jak pan ureguluje rachunek, pozwolę wynieść wszystko. A teraz nic. I czekam dwadzieścia cztery godziny na moje pieniądze, zrozumiano? — warknął, zaciskając pięści, jakby się do bójki szykował, a potem, widząc, że Rafał wraca na górę, wziął skrzypce i z wielkim uczuciem zaczął grać Schumana *Warum*. Wzruszone pluskwy łkały za tapetą.

Koło godziny ósmej wieczorem wyrwało Rafała z żałosnej zadumy pukanie.

— Entrez — wykrztusił, kierując na drzwi wzrok obojętny, kamienny. Wszedł ni mniej, ni więcej, tylko... sir James Rabbit!

— Ufff, jak mi gorąco. — odsapnął, patrząc z przyjaznym uśmiechem na ogłupiałego detektywa. — Lubię sporty — ciągnął dalej swobodnie — ale do alpinizmu zawsze wstręt żywiłem. A ten przeklęty hotel pański mimo swoich pięciu pięter nie posiada windy... Czy pozwoli pan, że, zanim zaczniemy, zdejmę marynarkę?

Rafałowi mózg zamarł. Chwilami łudził się, że to sen, bardzo nieprzyjemny sen, ale kilka soczystych uszczypnięć, jakie sobie zaaplikował w podstawę kręgosłupa rozproszyło wszelkie wątpliwości. To nie był sen! Oszukany, skrzywdzony mąż był w jego pokoju! Po co przyszedł? Czyż trudno odgadnąć? Przyszedł wziąć straszliwy odwet. Tam, w *Hôtel de Paris*, nie mógł tego zrobić skrępowany obecnością komisarza policji; tu byli bez świadków. Zresztą jego obłudny uśmiech mówił za siebie, jego bezczelna swoboda i ta niedwuznaczna pogróżka: *zanim zaczniemy*! A teraz zdejmował marynarkę, oczywiście po to, by mu nie przeszkadzała w walce, w meczu bokserskim niewątpliwie.

— Drogi panie — zaczął sir James, siadając na rozchybotanym krzesełku w niepokojącej bliskości gospodarza — musimy z sobą pogadać!

Rafałowi pięty same się uniosły w górę, choć jeszcze nie pomyślał o możliwości ucieczki z pokoju.

— Wyrządził mi pan przeogromną przysługę, drogi panie; że zaś nie lubię być dłużnikiem, przyszedłem się z panem porozumieć co do...

— Sir! — huknął Rafał z rozpaczliwą energią. — Jeżeli mamy się bić, to po co ta denerwująca gadanina. Zaznaczam z góry, że tutaj bić się nie będę, bowiem jestem tu gospodarzem, a już mój wielki rodak Fredro powiedział te pamiętne słowa, których panu niestety wierszem przetłumaczyć nie potrafię; zacytuję je po polsku: *Nie wódź mnie na pokuszenie, ojców moich wielki Boże, wszak gdy wstąpił w progi moje włos mu z głowy spaść nie może*[3]. — Tu odpędził z lekceważeniem natrętny głos rozsądku, że w razie czego... to raczej jemu by spadł włos z głowy, i to nie jeden; ten mały, szczupły Anglik wyglądał na dobrego gimnastyka i boksera.

— Very interesting! — Czy nie mógłby mi pan przetłumaczyć tego wiersza? I czy wasz język jest zawsze taki syczący?

— Panie! — wybuchnął Rafał. — Po co pan przyszedł?

— Czyż nie mówiłem? Chcę spłacić mój dług choćby w części, bo przysługa, jaką mi pan wyrządził jest właściwie nie do zapłacenia. Panie, dziesięć lat czekałem na tę chwilę, kiedy się od mej żony nareszcie uwolnię! Pan z nią żył przez kilka dni, niechże pan sam powie, czy ta kobieta...

— Tak — wtrącił Rafał i westchnął szczerzej — wymagająca jest.

— A widzi pan, a widzi pan! — ucieszył się Anglik, po czym jął opowiadać o swoich dwudniowych poszukiwaniach *monsieur Lapina*. Wiedział już nawet o jego kłopotach

finansowych, o niedawnym zatargu z „inteligentnym", i wygadawszy się za wszystkie czasy, wyjął kilka banknotów stufuntowych.

— Pan mnie obraża — zacharczał Rafał. Jego wola nie mogła już stłumić buntu żołądka, rozsądku i im podobnych rebeliantów, więc schroniła się do „Okopów świętej Trójcy"[4], do tej ostatniej baszty, jaką jest honor mężczyzny. — Pan się myli, ja nie jestem zawodowym uwodzicielem!

— Wiem, wiem, kochany panie... ale...

— Tu nie ma żadnych *ale.*

— Ha, skoro pan nie chce pieniędzy, to może przyjmie pan moje zaproszenie. Byłbym uszczęśliwiony, gdyby pan zechciał być moim gościem…

— To... to... nie ma sensu, sir,

— Mam willę na Riwierze, gdzie...

— Na Riwierze? Hm, tego... na Riwierze, powiada pan? Sir, pan jest lekkomyślnym człowiekiem. Jak można zapraszać obcego człowieka, który przecież może być hochsztaplerem, złodziejem, bandytą.

— Bandytą?! — W oczach Anglika zamigotały błyski żywego zainteresowania. — Och. To świetnie! Przepadam za towarzystwem takich typów. Powiem panu nawet, że mam już u siebie jednego bandytę-geniusza.

— Ale ja — Rafał uśmiechnął się wesoło — nie jestem bandytą.

— Nie? Hm. No, ale troszkę hochsztapler, co? A widzi pan, widzi pan?! Ogromnie się cieszę... Stop, mam pyszną myśl! Kupiłem już bilet do Nicei na jutrzejszy wieczór, lecz okazuje się teraz, że moja sprawa rozwodowa zatrzyma mnie jeszcze kilka dni dłużej w Paryżu. Niechże pan skorzysta z tego biletu i zamieszka w mej willi. Zaraz napiszę dyspozycje dla mego Patricka. No, a teraz proszę pana na obiadek do *Embassy*. A może pan woli *Ermitage*?

— Która restauracja jest bliżej? — wyrwało się dwudniowemu głodomorowi, i pojechali do Foyota, jako że było im najbliżej.

Nazajutrz Rafał Królik zajechał na Gare de Lyon już o godzinie dziewiętnastej, czyli na czterdzieści minut przed odejściem pociągu, aby mu pech znowu jakiego psikusa nie wyrządził. Bilet sir Jamesa był upiększony kartką *Towarzystwa Wagonów Sypialnych* opiewającą na górne łóżko w przedziale pierwszej klasy, wobec czego Rafał rozebrał się czym prędzej i wjechał pod kołdrę na długo przed odejściem pociągu.

— W ten sposób posiadam absolutną pewność, że mnie żadne licho nie skusi wyjść z wagonu — rozumował, znając swe roztargnienie.

Nie mógł sobie później przypomnieć, kiedy zasunął firankę i kiedy zasnął odwrócony twarzą do ściany. W każdym razie stało się to, zanim pociąg ruszył.

Spał jak młody bóg i obudził się rano, gdy konduktorzy wołali: — Avignon.

— Szósta — mruknął, przeciągając się z rozkoszą na wąskim łóżku. Dolne łóżko zaszeleściło jednocześnie, ktoś ziewnął serdecznie i zmiarkowawszy snadź, iż Rafał nie śpi, spytał go, jaka to stacja, a po chwili, czy *sąsiad z pierwszego piętra* nie posiada przypadkowo pudełka zapałek.

— Owszem, służę panu — Nie podnosząc się, opuścił Rafał rękę i spotkał wyciągniętą dłoń sąsiada z parteru. Z lubością wdychał dym doskonałego tytoniu i przymówił się o papierosa.

— Zapomniałem kupić — tłumaczył się.

— Ależ z przyjemnością — odparł tamten grzecznie. — Proszę bardzo wziąć całą garść, mam w walizce kilka pudełek,

Rafał nie dał się prosić, ich dłonie znowu się spotkały w ciemnościach i całkiem bezwiednie wymieniły przyjazny uścisk. Zaczęli rozmawiać. Sąsiad znał Riwierę doskonale i nie

szczędził Rafałowi życzliwych rad, uwag, wskazówek, co warto zobaczyć, co banalne, gdzie zdzierają skórę, a gdzie tanio, i tak gawędzili aż do Marsylii. Tu Rafał spytał doświadczonego towarzysza podróży, czy opłaci się wstać i patrzeć przez okno na mijaną okolicę.

— Stanowczo nie — brzmiała odpowiedź — popsułby pan sobie tylko pierwsze wrażenie. Dokąd pan jedzie?

— Właściwie do Cannes, ale pojadę najpierw do Nicei, a potem wrócę.

— Ja także do Cannes. Wie pan co? Zdrzemnijmy się jeszcze.

Po chwili już chrapał, a Rafał myślał o nim:

— Etranżer. Gdybym nawet nie poznał po akcencie, to trudno by nie poznać po uprzejmości, którą żaden Francuz nie grzeszy. Strasznie sympatyczny facet. Warto by go sobie obejrzeć, może się spotkamy w Cannes i zabawimy razem. Z takim, to rozumiem!

Jednak leżało mu się tak dobrze pod kołdrą, że dopiero przed Saint-Raphaël zdecydował się odsłonić firankę i zerknąć na dolne łóżko...

— Jezus! Maria! — wymamrotał. Zakrył się kołdrą aż po brodę, lecz od razu przyszło mu na myśl, że trzeba wymyślić pewniejszą zasłonę, bo nuż strasznemu sąsiadowi przyjdzie ochota wymienić pożegnalny uścisk dłoni. Szybko owinął twarz ręcznikiem, wyciągniętym z walizki, policzek ozdobił uczciwą porcją plastra angielskiego i przylepił wąsik, który taką rolę odegrał w czterodniowym pożyciu z „Putyfarą". — No, teraz zje diabła, nim pozna!

W Saint-Raphaël konduktor wagonu sypialnego przyszedł budzić pasażerów.

— Pan się nie ubiera? — spytał sąsiad z parteru. — No, swoją drogą czasu dosyć do Nicei. Och, zęby bolą? — zauważył. — Z przeciągu, co?

— Fififistuła — wydzwoniły zęby Rafała.

Z trudem opanował drżenie dłoni, którą tamta dłoń, wyciągnięta uprzejmie, uścisnęła z wylaniem.

— Pan jest oczywiście cudzoziemcem. Jaka narodowość, wolno spytać?

— Turek — odparł bez wahania mały detektyw.

— O, więc nie tylko w sleepingu byliśmy sąsiadami: jestem Arabem.

Rafał zrobił w duchu uwagę, że... chyba izraelskim! Jednocześnie podciągnął kołdrę aż za brodę, bowiem odpowiedź *sąsiada z parteru* wyglądała mu na jawne kpiny. — Czyżby się domyślał? A może łobuz umie po arabsku i zacznie ze mną parlować w jakim zakazanym języku? — zaniepokoił się.

Nie doszło do tego, gdyż w drzwiach ich przedziału zjawił się jakiś jegomość, któremu towarzysz Rafała złożył niski ukłon.

— Dojeżdżamy do Cannes — rzekł przybyły — pośpieszcie się, stary czeka!

— W minucie będę gotowy. Bardzo mi przykro, że zaspałem.

Rafał pokręcił głową. — Jakąż grubą rybą musi być tamten — myślał — skoro ten ananas ma takiego pietra przed nim. — W milczeniu spoglądał na przypadkowego sąsiada, z którym tak miło gawędził przez dwie godziny tej nocy, a który parę tygodni temu kopał go, obrzucał obelgami i wyrok śmierci nań wydał. — Szatan wcielony, nie sąsiad — pomrukiwał pod kołdrą.

Pociąg zaczął zwalniać, dojeżdżali do Cannes. Groźny sąsiad otworzył drzwi, wystawił swoją walizkę na korytarz i uśmiechnął się przyjaźnie.

— Salem alejkum — rzekł, podnosząc dłoń do czoła.

— Salaam — odparł Rafał poważnie, a jednocześnie myślał: — albo uwierzył w moje haremowe pochodzenie, albo się łotr naigrawa bezczelnie.

— Allach niechaj ci zdrowia użyczy, panie — dodał tamten, czyniąc aluzję do podwiązanej fizjognomii małego „Turka", kiwnął głową na pożegnanie, wyszedł, zabierając z sobą resztę bagażu, a drzwi przedziału zatrzasnął.

Wówczas Rafał usiadł gwałtownie na łóżku i warknął z wściekłością:

— Allach niechaj cię co prędzej do kryminału zaprowadzi, towarzyszu Laksberger!!!

---

[1] il est tres inteligent (fr.) – on jest bardzo inteligentny.

[2] Jeanne Bourgeois Mistinguett (1875-1956) – francuska aktorka i piosenkarka.

[3] Aleksander Fredro, *Zemsta*.

[4] Okopy Świętej Trójcy – dawna twierdza w Polsce, nad Dniestrem, u ujścia Zbrucza. W 1769 roku podczas konfederacji barskiej Kazimierz Pułaski bronił się tam przed atakami Rosjan. Tu: przenośnie, na oznaczenie ostatniego punktu oporu.

Rozdział XVII

SYGNAŁ TONĄCYCH STATKÓW

W Nicei stwierdził Rafał z przykrością, że ani Solarski, ani Wiera nie figurowali w spisie przyjezdnych.

— Możliwe, iż ci państwo już tutaj są, ale niektóre hotele zwlekają z przysyłką meldunków nowych gości. Niech pan znowu przyjdzie za kilka dni — oświadczył mu urzędnik w biurze meldunkowym.

Mimo nalegań sir Jamesa Rafał nie przyjął od niego ani franka i posiadał na wyjezdnym z Paryża tylko pięćdziesiąt franków pożyczonych od przyjaciela Totka, którego na drugi dzień już zastał w konsulacie. Widząc, że ten szczupły kapitalik wyczerpuje się w zatrważającym tempie, i nie chcąc wpaść w podobne tarapaty, jak w Paryżu, odjechał po południu autobusem z Nicei do Cannes, gdzie miał zapewniony dach nad głową, wikt i opierunek w willi sir Jamesa, sympatycznego, choć trochę narwanego Anglika. Patrick przyjął nowego gościa swego chlebodawcy bez wszelkiego entuzjazmu, lecz Rafał zdołał go „rozkrochmalić" nader szybko.

— Ach, więc to pan? — zawołał z miną wniebowziętej dewotki i pochwyciwszy oburącz dłoń zaskoczonego kamerdynera, zaczął ją ściskać kordialnie. — Mój przyjaciel sir James opowiadał mi mnóstwo pochlebnych rzeczy o panu, kochany mister Patrick, Podobno byliście razem na wojnie. W takim razie jesteśmy towarzyszami broni, bo, nie chwaląc się, ja także w niemałej mierze przyczyniłem się do zwycięstwa Ententy, atakując Niemców od wschodu.

— Bardzo ludzki gość, prawdziwy gentleman... ten mały; nasz brodacz ani się nie umył do niego — dowodził później w kuchni udobruchany kamerdyner, pozyskując w ten sposób dla Rafała drugą przyjazną duszę w ospałym i ogromnym cielsku kucharza Toma.

Mały detektyw postanowił tę sama taktykę zastosować do innych domowników, a dowiedziawszy się, iż pani Rindley wyszła coś załatwić, rozpoczął składanie wizyt od „brodacza". Sir James nie wyjawił mu oczywiście nazwiska rannego gościa, określił go tylko mianem bandyty-mędrca; zresztą Rafał przywykł już, że za granicą nie ma zwyczaju wymieniania nazwisk przy byle okazji, jak się to praktykuje w Polsce, gdzie ludzie obcy i wiedzący, że nigdy się więcej w życiu nie spotkają, przedstawiają się sobie nawzajem, po to tylko, by nie dosłyszeć nazwiska nowego znajomego, albo je za pięć minut zapomnieć.

Profesor Rusanow powitał nowego lokatora nieufnym milczeniem, lecz dobroduszna mina i sławetna gadatliwość Rafała zrobiły rychło swoje.

— Pan chyba Słowianin, sądząc po wymowie i akcencie, prawda?

— Polak, sąsiedzie, ale matka moja była Rosjanką. — Z tą matką zbujał mały detektyw celowo, odgadując wzajemnie narodowość rozmówcy. Chciał mu tym zrobić przyjemność, bo z miejsca polubił tego „bandytę-mędrca" i, przewidując, że na dłużej skorzysta z gościnności sir Jamesa, wolał sobie zawczasu zaskarbić względy wszystkich domowników. — Będzie z kim zagrać karcięta — kalkulował w duszy.

— Więc Polak; gorący patriota oczywiście? — Było to powiedziane tonem swobodnym, na pół żartobliwie, lecz płomienne spojrzenie czarnych, przenikliwych oczu ostrzegło Rafała, że

lepiej nie mówić prawdy.

— Ech — bąknął lekceważąco — jestem Polakiem z pochodzenia, ale za moją ojczyznę uważam cały świat! Może to pana urazi, ale jestem kosmopolitą.

— Urazi? Bynajmniej! Szanuję wszelkie przekonania, nienawidzę za to tych, którzy swoje przekonania zmieniają, jak rękawiczki.

— Ja, nigdy! Niemal od kolebki miałem to samo *credo* polityczne i, właśnie dlatego, mimo mych zdolności, jestem dziś teraz tym, czym jestem — westchnął Rafał.

Rozgadali się; czarne oczy brodacza spoglądały coraz życzliwiej i z ojcowską wyrozumiałością na *nieszkodliwego blagiera*, jak Rusanow w myśli określił Rafała, i ani spostrzegli, kiedy wybiła szósta.

— No, tom się zasiedział — krzyknął mały detektyw, powstając z krzesła — niczym ów młodzian, który będąc z pierwszą wizytą u pewnej damy, mającej pójść na raut, zerknął na zegar i stwierdził z lekkim zdziwieniem, że siedział tam pełne cztery godziny: *odchodzę, nie wiedziałem, że już tak późno*, rzekł.

— A co na to owa dama? — spytał z uśmiechem profesor.

— Ona odrzekła uprzejmie: *już lepiej późno, niż nigdy!*

— Pyszne! Niechże mnie pan częściej odwiedza, młody sąsiedzie. Ale, ale... mam maleńką prośbę: czy nie mógłby mi pan nadać listu na poczcie?

— Z przyjemnością. Tu poczta także do siódmej otwarta, sądzę.

— Tak. List polecony, uważa pan? Tylko... tylko... jakby tu rzec. Jestem w głupiej sytuacji... Mam wyłącznie zagraniczne pieniądze.

— Uhu — parsknął Rafał — ja też zawsze tak mówię!... No, no, drogi panie, proszę brwi nie marszczyć. Każdemu się może przytrafić przejściowy kryzys, ostre przesilenie gospodarcze... Che, che, che. Zaraz odgadłem w panu bratnią duszę. Ja także jestem z forsą „do figury", czyli jak ten turecki święty.

— A niechże pana kule biją! — Śmiech Rusanowa był wybitnie nieszczery, lecz dogadzało mu to, że trafił na takiego typka; mimo tak świeżej znajomości miał do niego więcej zaufania niż do Anglików, jakimi byli obaj służący gospodarza i także ta piękna, dobra jak anioł, Daisy.

— No, co? Nie pomyliłem się. Jesteśmy z jednej gliny.

— Z jednakowej... Zatem nie ma pan na ofrankowanie listu, co?

— Eeech, tak źle nie jest. Zostało mi jeszcze parenaście franków.

— Więc żyjemy. List polecony kosztuje półtora franka we Francji.

— Tylko niech go pan nie zgubi, na Boga, bo to prośba o forsę!

— Będę go niósł z nabożeństwem. Rozumiem pańską troskę, boć takich listów wysyłam stale na kopy. Ale z miernym skutkiem.

Po wyjściu Rafała, profesor Rusanow uśmiechnął się z goryczą. Zabolało go to, że on, Fiodor Rusanow musiał choć przez chwilę grać rolę naciągacza, urwipołcia, wydrwigrosza, byle pozyskać sobie zaufanie i przychylność tego sympatycznego błazna. — Bratniej duszy, jak mnie nazwał. Mnie! — zmełł w zębach. — No, ale skończy się moja niedola, gdy ten list dostaną — mruknął.

Rafał uczciwie spełnił polecenie rannego. Z ciekawości tylko zerknął na adres. Było tam jakieś rosyjskie imię i nazwisko, a pod spodem nazwa ulicy: rue de Grenelle 79.

— Do Paryża? Szczęśliwej drogi! — rzekł.

Odesłał recepis nadawczy przez kamerdynera, nie przeczuwając, że to zirytuje brodacza niemało, i zasiadł do stołu w jadalni sam. Patrick nie zamierzał dłużej czekać na panią Daisy Rindley.

— Pewnie się zasiedziała w kasynie — przypuszczał. — To nic. Zaniosę jej trochę owocu do pokoju; ona wieczorem najchętniej je owoce. Ale pan, sir, pozna panią Rindley dopiero jutro.

— Cóż robić — westchnął Rafał, bijąc równocześnie wszelkie rekordy w obżarstwie.

Później przyszło mu na myśl, że może wypada przedstawić się kuzynce gospodarza jeszcze dzisiaj, postanowił więc na nią zaczekać. W tym celu uplasował się na balkonie i z przyjemnością obserwował bezgłośne kłótnie latarń morskich rozsianych po wybrzeżu, dalekie okręty pocętkowane światełkami iluminatorów oraz ożywiony ruch samochodów wspinających się na pagórki, zjeżdżających z nich i mknących chyżo po świetnych szosach asfaltowych. Z tej wysokości (bowiem willa sir Jamesa stała na wzgórzu, jak większość prywatnych rezydencji w Cannes) i z tej odległości nie było słychać łoskotu silników, więc wszechkierunkowa wędrówka aut wyglądała na jakiś malowniczy kadryl robaczków świętojańskich i przykuwała oko do siebie.

A potem zwróciło uwagę Rafała okno jakiejś willi, niezbyt chyba odległej od jego punktu obserwacyjnego. Zainteresowało go dlatego, że nieustannie tam światło zapalało się i gasło, jak gdyby dziecku dano kontakt lampy do zabawy,

— Hm, jest już po dziesiątej; o tej porze dzieci śpią — zauważył.

Uderzyła go niebawem pewna systematyczność w tym miganiu światła. Zagadkowe okno mrugało ustawicznie, ale w dwojakich odstępach, raz dłuższych, raz króciuteńkich.

— Dwa długie, krótkie... dwa krótkie... długie, krótkie, długie — liczył i nagle bęcnął się dłonią w czoło, aż echo poniosło. — Przecież to zwyczajny Morse! — krzyknął. Nie pamiętał już połowy znaków alfabetu Morse'a, nie wiedział zresztą, w jakim języku tajemniczy nadawca komunikuje się z kimś drugim, więc po małej próbie zrezygnował z zamiaru odcyfrowania tej świetlnej rozmowy. Bardziej intrygowało go pytanie, kto jest odbiorcą sygnałów. W żadnej innej willi światło nie mrugało, przynajmniej w polu jego widzenia, zatem, jak sądził, ów drugi telegrafista musiał się znajdować poza willą sir Jamesa, czyli powyżej niej, gdzieś na szczycie wzgórza.

— Pewnie zakochani — przypuszczał — bo cóż tutaj innego może kwitnąć na Lazurowym Wybrzeżu jak nie miłość? Oczywiście!... Tam, na wzgórzu, mieszka piękna Julia pod strażą srogiego papy. A w dole stęskniony Romeo pyta wybrankę, czy wolno mu przyjść do niej przez okno, czy może papa psy spuścił z łańcucha.. Idąc z duchem czasu, *morsują* do siebie; to pewniejsze niż dawne listy miłosne przesyłane przez sprzedajnych paziów. Niech żyje postęp — monologował, obserwując z dobrotliwym uśmiechem zawzięte mruganie światła, aż nagle, ni stąd ni z owąd, ogarnęła go chętka, by „gruchającej" parce wypłatać małego figla...

Cofnął się do swojego pokoju, drzwi wiodące na balkon zakrył portierą, natomiast odsłonił okno. Z kolei podbiegł do tastra i zaczął nim kręcić, zapalając swą lampę trzy razy krótko i trzy razy długo, na przemian. W ten sposób puszczał w ciemną noc sygnał tonących okrętów, owo SOS złowrogie.

— Biedny Romeo pomyśli, że cnocie Julii zagraża jakieś piekielne niebezpieczeństwo i przyleci na odsiecz; jeśli wpadnie w łapy srogiej famuły lub jeśli, co gorsza, psy go opadną w ogrodzie, no… to efekt osiągnięty!

Kiedy w pięć minut później wyszedł na balkon, rzekomy Romeo już nie morsował. Ciemno było tam, gdzie przedtem migotało światełko.

— A co? — tryumfował mały psotnik. — Już popędził do Julii.

Odczekał jeszcze z pół godziny, a potem spać się położył, rezygnując na dzisiaj z zawarcia znajomości z piękną kuzynką gospodarza. Drzwi od balkonu pozostawił otwarte, podobnie i okno, bo duszno było w pokoju, zgasił światło i zasnął niebawem.

Obudziło go żałosne wycie psa. Melancholijny kundel musiał chyba siedzieć tuż pod balkonem, gdyż ten najsmutniejszy w świecie głos rozbrzmiewał gdzieś bardzo blisko. Rafał

przypomniał sobie, że sir James psów nie trzyma, przynajmniej tutaj, bowiem za dnia obszedł każdy kąt ogrodu i podwórka, a jako wielki przyjaciel zwierząt, byłby niewątpliwie odkrył obecność najmilszego z czworonogów.

— A zatem to jakiś przybłęda — rozumował. — Dobrze sentymentalny kundlu... lekki prysznic ostudzi cię w zapałach... Za tusz ci nic nie policzę — trajkotał, zwlekając się z łóżka — choć mój inteligentny przyjaciel z rue du Bac w Paryżu wziąłby mi za złe taką rozrzutność.

Nie zapalał światła, aby nie spłoszyć „wyjca", po omacku dobrnął do umywalni, wziął dzbanek z wodą i ostrożnie, by go nie rozbić w ciemnościach o kant jakiego sprzętu, ruszył w stronę otwartych drzwi balkonowych.

Wtem... zastygł, znieruchomiał jak kameleon na widok tłustej muchy. W drugim lub trzecim pokoju zadźwięczało okno, pośpiesznie otwierane i melodyjny, świeży głosik kobiecy wydał stłumiony okrzyk:

— Cicho!... Zaczekaj!... Idę!

— Po angielsku — bąknął Rafał, dobrze zaintrygowany tymi słowy. — Fi, tu się kroi randka pod moimi oknami. Takiej okazji zaprzepaścić nie wolno.

Jeśli jeszcze stał w miejscu, to tylko dlatego, że rozmyślał, czy zabrać dzbanek z sobą, czy nie zabrać.

— Randka... nie kundel, zasadniczo biorąc. Ale zimny tusz nigdy nie zaszkodzi — uznał po głębokim namyśle, i na czworakach wymaszerował z pokoju, zabierając z sobą materiał na prysznic.

Niedługo czekał. Na dole, gdzieś z lewej strony zazgrzytał cichuteńko klucz w zamku, skrzypnęły przeciągle zawiasy ciężkich drzwi od hallu, otwieranych snadź powolutku i miły głos kobiecy spytał z widocznym wzburzeniem:

— Co się stało?!

— To ja właśnie zapytuję, co się stało — odparł jakiś mężczyzna.

— Jak to? Nie rozumiem.

— Odpowiedziałaś *Save our souls*! Pobiegłem po ludzi i jestem.

— Ja? — Ogromne zdziwienie zadźwięczało w głosie kobiety. — Ja miałam wołać *SOS*? Ależ ja w ogóle dzisiaj nie morsowałam!

— Jakże! Przed godziną. Nie odpowiadałaś długo, a potem...

— Przed godziną byłam jeszcze w Juan les Pins — przerwała mu tonem wyraźnego zdenerwowania. — Nie ma ani dwudziestu minut, jak tutaj wróciłam.

Rozmawiali prawie szeptem, ale dzięki doskonałym warunkom akustycznym Rafał słyszał każde słowo, niestety nie każde rozumiał. Domyślił się jednak bez trudu, że ową „Julią" jest pani Daisy Rindley, kuzynka gospodarza, na którą czekał tyle czasu, domyślił się także, iż jego figiel zwabił skutecznie tajemniczego „Romea", który, jak mówił przed chwilą, jakichś ludzi nawet z sobą przyprowadził, zaniepokojony poważnie sygnałem niebezpieczeństwa.

Rafał rżał w duszy ze śmiechu na widok konsternacji rzekomych kochanków.

— Dobrana para — pomyślał, wychyliwszy na chwilkę głowę. Istotnie, oboje byli szczupli, więcej niż średniego wzrostu i szli obecnie po betonowym chodniku wzdłuż frontu willi, ona bezszelestnie, zapewne dzięki gumowym podeszwom, on z miarowym szurganiem jednej nogi, gdyż chromał lekko. Szli w milczeniu, pochłonięci tą samą myślą, nie przeczuwając, że niepowołany świadek ich nocnej schadzki i autor sygnału tonących statków w jednej osobie, dotrzymuje im kroku i tuż nad ich głowami pełza ostrożnie po długim balkonie.

— Skoro nie ty — ozwał się utykający mężczyzna — to widocznie jakiś psotnik, który przypadkowo zauważył moją sygnalizację, a nie mogąc jej odcyfrować, nadał dla kawału ten najbardziej międzynarodowy sygnał SOS.

— Niegłupi facet — wyszeptał Rafał z uznaniem.

— Poczciwy Jack — odparła Daisy. — Chcesz mnie uspokoić, jak zwykle. Jednakże twoja hipoteza wydaje mi się nazbyt mało prawdopodobna. Przypuszczam raczej i ciarki mnie na samą myśl przechodzą, że tym „figlarzem" był *Wielki Mózg*!

— Kto taki?! — mruknął Rafał, szczerze zdumiony. — Jaki mózg?

— Ależ, Daisy — perswadował chromający mężczyzna — czyż człowiek z nogą w gipsie mógłby się sam zwlec z łóżka?

— Nie potrzebował wcale. We wszystkich gościnnych pokojach są kontakty od światła zarówno przy drzwiach, jak i przy łóżkach.

— A jego łóżko stoi w pobliżu okna?

— To nie, lecz dokładnie naprzeciw okna.

— Hm... Jednak nie mogę w to uwierzyć. Po cóż by dawał ten sygnał właśnie? Przecież musiałby się liczyć z tym, że obaj „telegrafiści" skomunikują się osobiście już nazajutrz, zrozumieją, iż ktoś trzeci się wmieszał i będą na przyszłość ostrożniejsi. Raczej obserwowałby dalej naszą sygnalizację, starając się usilnie odcyfrować tekst optycznych depesz... Nie, Daisy. Takiego człowieka nie trzymają się figle. To zrobił jakiś trzpiot, psotnik...

— Dobrze, doskonale — potakiwał Rafał, ujęty tą domyślnością.

— ...idiota, półgłówek — ciągnął dalej towarzysz Daisy, ów Jack tajemniczy, a głos jego cichł zwolna, widocznie oddalali się od willi.

— Przesada, drogi panie — skrzywił się mały detektyw.

Konspiracyjna parka zeszła z betonowego chodnika i pomaszerowała w głąb ogrodu otaczającego willę. Zatrzymała się co prawda niezbyt daleko stąd, mianowicie w altance obrośniętej winem, jednakże rozmawiała zbyt cicho, by Rafał mógł coś dosłyszeć. Pomimo to nadsłuchiwał w dalszym ciągu, odgadując instynktownie, że jeżeli wchodzi tu w grę pierwiastek erotyczny, to poza tym łączą tych dwojga inne sprawy, w których orbitę wchodzą trzecie osoby. — W każdym razie ów *Wielki Mózg* — myślał. — A zgodzę się zostać eunuchem, jeżeli oni Wielkim Mózgiem i człowiekiem z nogą w gipsie nie nazywają mojego sympatycznego brodacza, bratnią duszyczkę, która to duszyczka wypadki automobilowe miewa, obce waluty w portfelu rzekomo posiada, lecz nie ma na ofrankowanie poleconego listu, chi, chi, chi.

Para spiskowców nagadała się wreszcie do syta. Rafał, rozpłaszczony na betonowej platformie balkonu, widział zbliżające się do willi dwie sylwetki, jedną jaśniejszą, drugą pochylającą się lekko na bok za każdym krokiem. Po małej chwili znalazły się pod balkonem i znowu było słychać każdą sylabę ich cichej rozmowy.

— Pamiętaj, Daisy... gdybym, co nie daj Boże... przeżył cię o kilka godzin... Ty wiesz!

— Drogi, poczciwy Jack! — rzekła ciepło, serdecznie.

— Och, żeby się to już raz skończyła ta niepewność. Rzucimy tę przeklętą służbę i wówczas... wówczas, Daisy...

— Po co to znowu mówisz? — wtrąciła jakby niechętnie. — Wiesz przecież, że nic się nie zmieni. Nie jestem wolna!

— Daisy — jęknął żałośnie; — nie bądź okrutna! On nie żyje!

— Ty pragniesz, aby tak było! — rzuciła twardo i nastała długa chwila milczenia, którą Rafał, chciwie podsłuchujący, zużył na swoje domysły.

— Wybacz, Jack — ozwała się wreszcie głosem łzawym, miękkim — byłam niesprawiedliwa, nie zasłużyłeś na tak krzywdzące posądzenie… ale jestem obecnie zupełną histeryczką; nie panuję nad nerwami, ty wiesz.

Szli pod balkonem w stronę drzwi wiodących do hallu willi; wiedzieli dobrze, że dwaj służący mieszkają w oficynach budynku, widzieli, że okno pokoju profesora jest zamknięte, więc

dlatego zapewne rozmawiali tak swobodnie.

— To źle, Daisy — zaszemrał smutny głos Jacka — źle, że nie potrafisz zapanować nad nerwami właśnie teraz, gdy jesteś przy Rusanowie.

Rafał usiadł tak gwałtownie, że omal dzbanka nie przewrócił.

— Rusanow? — wymamrotał, trąc czoło z dziką pasją. — Ten brodacz, któremu list odnosiłem na pocztę, to jest profesor Rusanow?

Chwiejąc głową, niczym Jannings w *Ostatnim rozkazie*[1], powrócił na czworakach do swojego pokoju. Tamci dwoje żegnali się już, zresztą czyż mógł jeszcze posłyszeć jakąś nowinę, bardziej sensacyjną niż ta, że profesor Fiodor Rusanow mieszka pod tym samym dachem, co i on? I on z nim dzisiaj rozmawiał, dłoń mu ściskał, list mu nadawał na poczcie.

List! jęknął, wyrywając sobie włosy hurtownie. — Zamiast go odkleić, przeczytać... Jak on był adresowany?

Nazwisko adresata uleciało mu już z pamięci, ale pamiętał ulicę oraz numer kamienicy i, tknięty przeczuciem, pobiegł do walizki. Wyrzuciwszy resztę jej zawartości na podłogę, pochwycił gruby tom *Baedeckera*, wyszukał w spisie ustęp zatytułowany *Poselstwa i konsulaty w Paryżu*, jął gorączkowo wertować kartki, odnalazł co szukał i wzrok jego padł na literę *N*, mniej więcej środek ustępu. Czytał pośpiesznie:

Norwegia — 38bis rue Fabert,
Polska — 14 Avenue de Tokio,
Rosja — 79 rue de Grenelle...

— Rue de Grenelle — powtórzył — a więc tak! To był list do ambasady sowieckiej, zaadresowany przez ostrożność do któregoś z urzędników. I ja ten list osobiście nadałem na poczcie, ba, wyłożyłem z własnej kabzy za porto! Za list Fiodora Rusanowa, idioto, bęcwale, orangutanie oswojony!... Mogłem pilnować tego uczonego łotra, wyiskać z niego prawdę o Stalingradzie, a zamiast tego ściągnąłem sobie na kark bolszewików, którzy tu przylecą na skrzydłach, ucieszeni z odnalezienia cennej zguby. Och, tumanie dobroduszny! Czemuż cię pluskwy nie zjadły przy sławetnej rue du Bac?

W nagłym porywie wściekłości pochwycił dzbanek z wodą przeznaczoną na prysznic dla rzekomego kundla i wylał sobie wszystko na głowę. Ulżyło mu, spłukało warstwę pesymizmu i z oparów rozpaczy wyjrzała dusza małego detektywa, zawsze pogodna, pełna humoru i... trochę zarozumiała.

— No dobrze, dobrze, ale pytam się teraz, kto odnalazł pierwszy kryjówkę osławionego Rusanowa? Ja, czy nie ja, hę? A kto celowo dał sygnał SOS??? — rzekł z dumą, zapominając o pani Daisy Rindley, jej towarzyszu i choćby o sir Jamesie, który chyba wiedział, kim jest jego gość, skoro mówił o *bandycie-mędrcu*. — Och, ja mam nosa! Przeczuwałem od razu i właśnie dlatego przyjąłem zaproszenie męża mej Putyfary. Bo czyż przyjąłbym to zaproszenie w innym wypadku?

Rafał, jak mu się to częściej zdarzało, był już na najlepszej drodze do tego, by uwierzyć w swoje przechwałki. Krążąc po pokoju w przemoczonej piżamie, skomponował resztę szczegółów ciekawej historii, zatytułowanej skromnie: *Jak odszukałem profesora Rusanowa*, po czym zabrał się z wielkim zapałem do pisania „treściwego" raportu dla porucznika Solarskiego.

---

[1] Emil Jannins (1884-1950) – niemiecki aktor teatralny i filmowy, jako pierwszy w

historii otrzymał statuetkę *Oscara* dla najlepszego aktora (1927/1928) za rolę w filmach *Niepotrzebny człowiek* i *Ostatni rozkaz*.

Rozdział XVIII

STRYJ WIERY

W tym samym kierunku i tą samą drogą, na której kabriolet sportowy sir Jamesa musiał się zatrzymać trzykrotnie, sunęła majestatycznie czarna limuzyna wysłana do Nicei po Wierę przez jej stryja, a zarazem jedynego jej krewniaka, bowiem innych członków rodziny wytępiła rewolucja. Wiera Rusanow, rozparta wygodnie na mocno sfatygowanych poduszkach niemodnej dziś landary, rozglądała się ciekawie po ściankach szklanej klatki, znajdując na każdym kroku ślady zamaskowanej niezamożności. Poduszki były wygniecione, miejscami pocerowane, dywanik dziurawy, obicia tu i ówdzie podarte, lewe okno miało zwyczajne, „ordynarne" szkło, snadź właściciel nie mógł sobie pozwolić na wstawienie lustrzanej szyby, jaką posiadało drugie okno boczne, a w końcu zarówno szofer, jak i obok niego siedzący lokaj, paradowali w liberii, co prawda ozdobionej herbem z książęcą koroną, ale tak wyświechtanej, że jakiś szanujący się dorobkiewicz spaliłby się ze wstydu, gdyby mu przyszło jechać z podobnie wyekwipowaną służbą.

— Stryjka przycisnęło widać — zauważyła z uśmiechem, w którym było jej ogromnie do twarzy. Powiedziała to bez cienia współczucia, ale i bez najlżejszej ironii, po prostu z tą zimną obojętnością, z jaką odnosiła się niemal do wszystkiego, co ją otaczało.

Nieopodal miejsca, gdzie sir James znalazł nieprzytomnego Rusanowa, limuzyna zwolniła biegu i szofer dał trzykrotny sygnał syreną. Na ten znak rozwarły się ogromne wrota skrzeczące z tęsknoty za oliwą dla swoich zawiasów, samochód wjechał w obręb ogrodzenia z zardzewiałych sztachet żelaznych, ruszył trzecim biegiem pod górę ku dość jeszcze odległemu pałacykowi, a siwobrody odźwierny i czwórka groteskowo wyglądających kozaków stanęła na baczność i salutowała, wybałuszając oczy na Wierę.

— Fi — wydęła usteczka — *resztki magnackiej fortuny*, jak to gdzieś czytałam... Ale pałacyk wcale, wcale.

Syrena znowu zawyła trzykrotnie. Było to najwidoczniej umówione hasło, bo nagle rozwarły się główne drzwi budynku i na ciemnym tle wnętrza ukazał się wysoki, barczysty mężczyzna. Przysłonił sobie oczy dłonią od czoła, aby go słońce nie raziło, machnął ręką w stronę auta podjeżdżającego właśnie do stóp schodów i zaczął zstępować na dół, przyjemnie uśmiechnięty, jak przystało na gościnnego gospodarza.

— Wieroczka — rzekł, ani nie za głośno, ani nie za ciepło, i musnął bratanicę w czoło ustami, a potem podał jej ramię. Zmrożona trochę tak etykietalnym powitaniem, dostosowała się błyskawicznie do sytuacji. Na zdawkowe pytanie o zdrowie, o podróż z Paryża i tym podobne banalności odpowiadała lakonicznymi *tak*, *nie*, *owszem*, *dziękuję*, niekiedy dorzucała na okrasę swój twarzowy uśmieszek i tak minęli schody, podłużny hall, szpaler służby zgiętej w pokłonie, potem kilka pokoi, niewątpliwie najbardziej reprezentacyjnych, aż dotarli w końcu do przestronnej komnaty, która była jedną wielką galerią portretów. — Kiczów — poprawiła Wiera w myśli.

Tutaj stryj Mikołaj rozwarł ramiona jak drogowskaz i wykrzywił nalaną fizjognomię

tragikomicznie, co miało odmalować bezmiar jego tkliwej serdeczności dla bratanicy nie widzianej od tylu, tylu lat,

— Pójdź w moje objęcia, drogie, biedne dziecko — zawołał z patosem.

— Dlaczego biedne? — uśmiechnęła się ironicznie, przeczuwając kilometrową tyradę o niedoli dzisiejszej Rosji,

W myśl zasady, że jeśli nie góra do Mahometa, to Mahomet do góry, podszedł stryjcio-drogowskaz do sztywnej bratanicy, objął ją i cmoknął w oba policzki z taką ilustracją muzyczną, że Wiera wzdrygnęła się wewnętrznie,

— Dlaczego biedna? — powtórzyła z uporem,

— Myślałem o twoim ojcu, kochane, dobre dziecko.

— O ojcu? **O którym?!** — szybko podeszła do honorowej ściany „galerii", gdzie wisiały portrety dawnych władców Rosji w towarzystwie równie kiepskich kiczów, przedstawiających podobizny kilku pomniejszych Romanowych, dalej wybitnych dygnitarzy i takich generałów, jak Wrangel, Korniłow, Judenicz, Denikin oraz nieszczęsny admirał Kołczak. — Czy o tym? — spytała szyderczo, wskazawszy odnośny portret niedbałym machnięciem parasolki. — Czy też o swoim bracie?

Gospodarz zbaraniał bezkonkurencyjnie.

— Ty wiesz? — wycharczał, waląc się ciężko na fotel.

— Dzisiaj wiem, i żałuję, że nie wiedziałam wtedy, w Genewie...

— ...kiedyśmy się po raz pierwszy spotkali po wojnie światowej — podpowiedział, kiwając smętnie ogromną głową.

— Tak — dorzuciła twardo — i kiedy to kochany stryjaszek miotał gromy oburzenia na swojego brata i innych „zdrajców"... Och, wiem wszystko i, choć w sercu gardzę na równi bolszewikami, jak wami, to jednak...

— Pozwól, Wieroczka — przerwał z błyskiem nadziei w oczach — ci, którzy ci wyjawili tę tajemnice, nie uczynili tego tylko przez podłą, iście ludzką satysfakcję w praniu rodzinnych brudów swoich bliźnich. Chodziło im o coś nierównie ważniejszego dla nich, o zrobienie z ciebie bolszewiczki! Powiodło się z moim bratem, powtórzyli eksperyment z tobą. A że cel uświęca środki, nakłamali, nałgali, dodali drugie tyle albo i więcej.

— Taaak? Może stryj zaprzeczy, że moja matka była kochanką Je...

— Psss! — syknął, załamując dłonie. — Była, była, ale to jeszcze nie dowód, iż ty nie jesteś córką mojego kochanego brata.

— I uważa stryj, że jestem podobna do jego brata? Bo ja... nie!

— Hum, dziecino droga; podobieństwo nic nie znaczy... Czasami...

Urwał zgorszony, gdyż parsknęła mu w twarz urągliwym śmiechem i chichotała przez dłuższą chwilę.

— Skoro podobieństwo nie stanowi dla ciebie żadnego dowodu — podjęła, uśmiawszy się do syta — to przejdźmy do innych argumentów. Muszę się cofnąć do roku 1896, kiedy twój brat Fiodor, a mój oficjalny ojciec, ożenił się po raz pierwszy. Sonia Teodorówna zmarła w roku 1900, i, słuchaj, proszę cię, nie zostawiła mu żadnego potomka! Już w rok później ożenił się Fiodor powtórnie, z moją przyszłą matką. I znowu niespełna czteroletnie pożycie małżeńskie i znowu bezdzietne! Potem wojna z Japonią. Fiodor wyjeżdża na Daleki Wschód, równocześnie moja matka przenosi się do Petersburga, a w rok potem przychodzę na świat… ja! Jedyne dziecko hrabiego Fiodora Rusanowa, cha, cha, cha, cha... „jego" dziecko! Kiedy dzielny oficer dokonywał cudów waleczności, kiedy narażał życie... i za kogo?!... ten lubieżny niedołęga, tchórz...

— Wiera! — jęknął stryj, zasłaniając sobie uszy dłońmi, jakby posłyszał najstraszliwsze

bluźnierstwo. — O zmarłych nie wolno źle mówić, nie wolno ich oskarżać! — mówił tonem postnych rekolekcji — zresztą, skoro już tyle wiesz, to dowiedz się i reszty, mianowicie, że **ON**... — tu z nabożeństwem spojrzał w stronę portretów na honorowym miejscu — nie ponosi tu żadnej winy. Ten nieszczęsny romans jest całkowicie jej zasługą. Przykro mi, iż muszę to powiedzieć o twojej matce, ale takiej kokietki, takiej...

— Ooo, przepraszam — wtrąciła Wiera z ironią — o zmarłych nie wolno źle mówić, nie wolno ich oskarżać — przypomniała mu ze złośliwą satysfakcją jego własne słowa. — A moja matka zmarła przecież znacznie wcześniej niż jej wysoko urodzony kochanek, który...

— Nie mówmy o tym, drogie dziecko... bardzo cię proszę.

— Dobrze, jestem zgodliwego usposobienia. Niemniej chciałabym jeszcze przypomnieć stryjowi ten szczegół, że w rok po moim urodzeniu nadano nam tytuł książęcy, którego, nawiasem mówiąc, nikt nie używał.

— O, wybacz — stryj wyprostował się dumnie. — Tylko twój ojciec go nie przyjął albo nie używał. **MY**... tak, i zawsze!

— No, a chluba naszego rodu, „stryj-dziwak", jak go nazywaliśmy, ten dzielny podróżnik arktyczny, który zaginął, kiedy miałam lat pięć i…

— Nieścisłość — zastrzegł się pedantyczny gospodarz; — jego jacht *Herkules* zaginął na Oceanie Lodowatym w roku 1912, a więc miałaś wtedy ukończone sześć lat, zaczynałaś właściwie siódmy... Mmm, tak. On nie przyjął tytułu, podobnie jak i Fiodor — przyznał — lecz inni... — tu nastąpił dłuższy wykład z dziedziny genealogii rodu hrabiów Rusanowów, wykład zakończony równie tasiemcową reasumpcją tej treści, że łaski carskiej nie potrafiło ocenić właściwie dwóch tylko członków rodu, Fiodor i ów sławny podróżnik, którego Norweg Otto Svedrup, towarzysz Nansena, na próżno poszukiwał przez blisko dwa lata. Tylko tych dwóch dziwaków, bowiem Fiodor Rusanow po powrocie z wojny zrezygnował nagle z kariery wojskowej i zaczął zawzięcie studiować chemię, zatem także „zdziwaczał" według ogólnego mniemania ludzi ze swojej sfery. Co gorsza jednak, jął okazywać jawną sympatię ludziom zamieszanym w wypadki krwawego roku 1905, ba, zatrudniał po kryjomu w swoich dobrach notorycznych rewolucjonistów.

— I oto, drogie dziecko — kończył nareszcie wymowny gospodarz — oto geneza zmiany przekonań politycznych mojego brata Fiodora. Nie wzniosła idea, nie wynik długoletnich rozważań i studiów na temat, jaka forma rządów jest najwłaściwsza w obecnej dobie, ale... prywata! Powrócił z wojny, zrozumiał, co zaszło w międzyczasie, nie potrafił się zdobyć na wyrozumiałość dla ludzkich słabości, zapłonął żądzą zemsty, więc połączył się z tymi, którzy byli mu sprzymierzeńcami w nienawiści, nie bacząc, że z tą hołotą nie wiąże go nic, a przeciwnie... dzieli od niej wszystko!

Wiera przygasła już dawno; opancerzyła się ponownie w swą ulubioną obojętność i, czekając aż się stryj wygada, ziewała dyskretnie. Wyrwało ją z sennej apatii całkiem nieoczekiwane pytanie:

— Jak sądzisz, czy Fiodorowi także powiedziano... nakłamano, chciałem rzecz... iż ty nie jesteś jego córką? Czy on wie o tym?

— Nie mam pojęcia — wzruszyła ramionami — w każdym razie nie dał mi tego nigdy odczuć i niewiele córek, myślę, posiadało równie czułych, wyrozumiałych ojców.

— Zatem nic straconego — mruknął stryjaszek, rozjaśnił zatroskane oblicze i, wygłosiwszy znów odpowiednie przemówienie przygotowawcze, zelektryzował nagle znudzoną bratanicę wyjawieniem sprawców tajemniczego porwania profesora Fiodora Rusanowa.

— Wy?! — zerwała się z dzikim błyskiem oczu.

— Spokojnie, Wieroczka. Zapewniam cię słowem, że żadna krzywda go u nas nie

spotkała! Był traktowany jak najmilszy gość, jak brat, który zbłądził co prawda, niemniej jednak jest rodzonym bratem. Nie posiadał tylko swobody ruchów, ale na tym koniec.

— On jest tutaj? Mogę go zobaczyć? — dopytywała się z nagłym ożywieniem. Teraz dopiero zrozumiała, w jakim celu stryj nakłonił ją do przyjazdu do Nicei i żałowała w duchu, że wdała się niepotrzebnie w rozmowę na temat przykry dla obojga, że straciła tyle czasu, słuchając tasiemcowych wywodów stryja, notorycznego nudziarza.

— Jest w pobliżu i będziesz go mogła zobaczyć niebawem — odparł wymijająco. Spuścił przy tym oczy, zdetonowany prokuratorskim wzrokiem Wiery.

— W jakim celu porwaliście go? — Indagowała ostro.

Gospodarz zaczął od litanii komplementów na cześć profesora. Zanim ogłoszono w prasie rewelacyjne zeznania Karola Webera, zbiega ze Stalingradu, oni, liderzy emigracji rosyjskiej, wiedzieli już dużo, prawie wszystko... dowodził. Wiedzieli w każdym razie, jaką rolę odgrywa w Rosji Sowieckiej profesor Fiodor Rusanow. Dowiedzieli się także o jego chwilowym pobycie we Francji, o kuracji u słynnego specjalisty-toksykologa, i wówczas to w umysłach najmłodszych „działaczy" zrodził się pomysł, by porwać Rusanowa, podobno prezesa *Osoawiachimu*[1] więc figury, zasługującej na przeciwstawienie generałowi Kutiepowowi. Tak, ci młodzi zapaleńcy uważali to porwanie za rewanż na Sowietach za Kutiepowa.

— Na szczęście my, starsi, ujęliśmy sprawę w nasze ręce — twierdził stryj Wiery. — Fiodor został porwany, ukryty w Paryżu, staliśmy wobec faktów dokonanych. Wówczas mnie przyszła do głowy myśl, którą ogólnie zaaprobowano w naszych kołach. Zażądałem, aby mi Fiodora tu przywieziono, co powiodło się tym łatwiej, że władze francuskie nie były powiadomione o jego zniknięciu.

— I tutaj próbował go stryj przerobić na kontrrewolucjonistę — dorzuciła domyślnie, już zupełnie uspokojona. — Skutek oczywiście negatywny, co?

— Kto wie... kto wie, drogie dziecko. Po długich dyskusjach, jakie prowadziliśmy tu we dwójkę kochany Fiodor wyczerpał swój zapas argumentów, wyświechtanych haseł o wyzysku klas pracujących, o konieczności rewolucji światowej, i coraz słabiej oponował...

— No, no — dziwiła się grzecznie, ale w duchu pękała ze śmiechu. Była pewna, że jej oficjalny ojciec wolał udawać porażkę, niż słuchać w nieskończoność gigantycznych tyrad brata-gaduły.

— Kto wie — westchnął gospodarz — kto wie, jakby się to było skończyło, gdyby nie to, że pewnej nocy Fedor, z tego domu... uciekł!

— Uciekł?!

— No, tak. Nagła pokusa, czy ja wiem. Bo już prawie był przekonany... A uciekając stąd, przy jakimś fatalnym skoku złamał biedak nogę.

— Jest w szpitalu?

— Nie. W prywatnej willi pewnego Anglika, który... co mnie mocno niepokoi... nazajutrz po użyczeniu gościny Fiodorowi wyjechał stąd nagie.

— Czy stryj zamierza mi wyjawić adres tej willi, czy też...

— Oczywiście — przerwał skwapliwie — tylko... tylko...

— Warunkowo? — domyśliła się.

— Żadnych warunków nie dyktuję. Mam tylko prośbę ogromną, Wieroczka, byś prowadziła dalej moje dzieło... oczywiście tak, aby on sądził, że to, co powiesz, płynie z twojego serca, że to twoje własne przekonania, że...

— Zaraz, stryjku — przerwała chytrze — jeżeli to tylko prośba, a nie warunek, to poproszę przede wszystkim o adres willi tego Anglika... Czy stryj nie ma do mnie zaufania? — wycedziła z urazą, widząc jego wahania.

Zaprzeczył gorąco, lecz ręka mu lekko drżała, gdy wręczał bratanicy kartkę z żądanym adresem. Potem wstał, przybrał dramatyczną pozę i kropnął sobie mówkę naszpikowaną frazesami a zaczynającą się od pompatycznej inwokacji: — Słuchaj teraz uważnie, córko, bowiem stara Rosja, twoja potężna ojczyzna, przemówi przez moje niegodne usta!

I dobre pół godziny przemawiała stara Rosja przez niegodne usta, ale żadne z tysiącznych zaklęć nie trafiło do serca Wiery. Słuchała spokojnie, przez grzeczność, a stryj grzmiał, aż miło. Że zbrodnią jest swoją wiedzę, pracę, genialne wynalazki oddawać na usługi tych, którzy zgubili Rosję i w pogardę ją podali u całego świata. Że zbrodnią jest dawać straszliwą broń w ręce bolszewików, teraz, w przededniu ich upadku...

— O, to coś nowego — wtrąciła z uśmiechem. — Osobiście mam wrażenie, że bolszewicy nigdy jeszcze nie byli tak potężni, jak właśnie dzisiaj, w okresie ogólnego kryzysu gospodarczego, w okresie ogromnego wzrostu kadr bezrobotnych. Tak, stryjku. Od lat pocieszacie się piosenką o rychłym upadku bolszewików, a tymczasem rosną z dnia na dzień zastępy ich sympatyków w państwach najbardziej kapitalistycznych i godzina wybuchu rewolucji światowej zbliża się szybko.

— Wieroczka! — zawołał z przejęciem, wznosząc dłonie nad głowę i potrząsając nimi gestem zgrywającego się aktora. — Mniejsza o zgniły Zachód, ale czy ty, Rosjanka, nie wierzysz w Nową Rosję, nie wierzysz, że dziś, jutro, wspaniały naród rosyjski ocknie się z letargu, strząśnie z siebie to plugawe robactwo bolszewickie i rozpocznie nową erę, przodując światu i...

— Nie wierzę — ziewnęła niegrzecznie — i ty sam w to nie wierzysz, bo wiesz chyba dobrze, że nie ma na świecie bardziej spodlałej hordy ludzkiej od Słowian! Jesteśmy urodzonymi niewolnikami. Inne rasy, szczepy, narody burzą się na widok bata, my, nędzne płazy, nigdy! My przed nim plackiem i liżemy stopy tych, którzy nas umieli wziąć za łeb, zgiąć nam kark do ziemi i nogę na nim oprzeć. Tak było zawsze, tak jest dzisiaj... Spójrz na dzisiejszą mapę Europy i pokaż mi choćby jedno państwo słowiańskie, w którem by nie było rządów bata. Nie znajdziesz takiego!

— Ale... ale, ty bolszewiczką nie jesteś, z tego widzę — odsapnął, puściwszy mimo uszu przykre wypomnienie, że należy do rodzaju nędznych płazów — a zatem — wnioskował mylnie — nie jest ci obojętne, w czyich rękach znajdują się rządy... *bat*, jak to nazwałaś.

— Jest mi całkiem obojętne — wzruszyła ramionami. — Kto rządzi, ten ciśnie innych, kradnie, napycha kieszenie kosztem miłej ojczyzny itd. itd. Cóż mnie zatem obchodzi, kto kradnie? Skoro jedni się nażrą do syta i staną się zbyt pewni siebie, ociężali, nieruchawi, przychodzą nagle inni wygłodzeni, znękani, żądni władzy czyli lekkiego chleba, biorąc tamtych za kark i sami zasiadają do koryta. Nazywa się to w języku potocznym rozmaicie: zamachem stanu, rewolucją albo, jeżeli odbyło się bez rozlewu krwi, zmianą gabinetu.

Gospodarz nic Wierze nie odrzekł na takowe dictum acerbum[2], za to poszedł się poskarżyć portretom z honorowej ściany galerii:

— Oto jak wyglądają poglądy młodej dziewczyny rosyjskiej! Oto, jak zatruto duszę i serca twoich najmłodszych dzieci, ojczyzno droga!

— Jestem tylko szczera — ciągnęła Wiera dalej głosem przyciszonym, jakby mówiła do siebie — cynicznie szczera. Weźmy przykład z mojego życia, z ostatnich tygodni. Mam dwóch wielbicieli: Polaka i Rosjanina, którego niegdyś uważałam za najlepszego i bezinteresownego przyjaciela; on to właśnie zdradził mi tajemnicę niego pochodzenia... Polak jest rycerski, szczery, sentymentalny, wzrusza mnie niekiedy, ale i znudzić potrafi. Ten drugi jest z grubsza ogładzonym Azjatą; dziki, namiętny, nieobliczalny w odruchach bardziej niż ja sama i... brutal przy tym. Ach, stryj słucha? — uśmiechnęła się. — Pewnego razu uderzył mnie bykowcem...

— Kto? Ten Polaczek? — oburzył się gospodarz.

— Ach, gdzieżby! Wątpię, czy by on psa kiedy uderzył... Mówię o moim Azjacie. Związał mnie, zbił, zelżył, a jednak... a może właśnie dlatego, czuję dlań większy respekt niż dla Polaka-gentlemana. Są chwilę, że palą mnie żywym ogniem te uderzenia, zniewagi, że go nienawidzę i pławię się w myślach o najokrutniejszej zemście, ale wystarczy bym go spotkała, by umie ujął za rękę, a jestem znów pokorną niewolnicą... Zważ teraz, stryju: Jeżeli ja, w której żyłach płynie co najmniej krew Rusanowów — tu z uśmieszkiem zerknęła w stronę dostojnych portretów — ja, *dumna Wiera*, jak mnie dzisiaj jeszcze nazywają w Moskwie... jeżeli tedy ja żywię taki dziwny kult dla bata, cóż się dziwić temu bydłu?

Rosjanie lubią młócić słowa jeszcze serdeczniej niż ich zachodni bracia, Polacy. Toteż zaczęło się zmierzchać, gdy Wiera opuściła pałacyk stryja, już nie w limuzynie, lecz pieszo, aby nie zwracać uwagi. Zamierzała bowiem udać się natychmiast do willi sir Jamesa Rabbita, a willa ta, według informacji strapionego stryja, miała się znajdować stąd o jakieś trzysta do czterystu kroków.

Szła szybko, pragnąc snadź odrobić choćby cząstkę czasu straconego na rozmowę z nudziarzem, i na drugim skrzyżowaniu ulic zderzyła się z wytwornie ubranym panem, który właśnie wyłonił się spoza narożnej kamienicy.

— Pan? — wykrztusiła, ochłonąwszy ze zdumienia. — Towarzysz **także** tutaj? — poprawiła się, kładąc ironiczny nacisk na wyraz *także*. Przyszło jej na myśl jednocześnie, że to niepożądane spotkanie odroczy jej wizytę w willi sir Jamesa Rabbita. Z pewnym wahaniem podała rękę Laksbergerowi, który miał minę wniebowziętą i trajkotał jak nakręcony, wyrażając swoją radość z powodu tak nieoczekiwanego spotkania na cudnym Lazurowym Wybrzeżu.

— Jest ze mną jeszcze drugi pani znajomy — dodał z wyraźną niechęcią. — Kupuje właśnie papierosy w kiosku... O, idzie już.

Wiera obejrzała się i, wbrew woli, stanęła w pożodze szkarłatnych rumieńców. Ze sklepu oznaczonego szyldem *Tabac de luxe* wychodził ten, o którym przed chwilą mówiła, Borys Siemionowicz Łapin!

---

[1] *Osoawiachim – Obszcziestwo Druziej Oborony i Awiacjonno-Chimiczieskogo Stroitielstwa SSSR* (Towarzystwo Przyjaciół Obronności i Przemysłu Lotniczo-Chemicznego ZSRR).

[2] dictum acerbum (łac.) – gorzkie słowa.

Rozdział XIX

MIŁOŚĆ TAKA I SIAKA

Nazajutrz w samo południe powrócił do Cannes sir James Rabbit. Patrick, który go oczekiwał na peronie, wyraził swoje zadowolenie z powodu wyśmienitego wyglądu chlebodawcy, potem zaś, gdy kabriolet ruszył spod dworca w stronę willi, pomiędzy lekko narwanym panem a spoufalonym sługą potoczyła się następująca rozmowa:

— Ten mały... jakże mu, aha, Raphaël Lapin... przyjechał?

— Yes, sir. To bardzo porządny gość.

— Niczego nie świsnął?... To jest, tego, chciałem powiedzieć, czy nic nie zginęło w czasie mej nieobecności? Powiedzmy, ze srebra?

— Yes, sir. Nic jeszcze nie zginęło. Czyżby on był...

— Ach, broń Boże! Trochę hochsztapler, nic więcej. Gdybyś coś zauważył, tylko mnie powiedz, broń Boże innym. Lubię takich ryzykantów.

— Yes, sir. To naprawdę ryzykant. Wczoraj dobierał do szóstki, i co pan na to, wyciągnął trójkę. Tom wył z zachwytu.

— Aha, rżnęliście w baka, łobuzy. Spłukał was?

— Yes, sir. On ma szalone szczęście!

— To świetnie, świetnie. — Sir Jamesowi zdawało się, iż odkrył specjalność *hochsztaplera* i dusza w nim rżała z uciechy na myśl, że dzisiaj wieczorem on sam pociągnie baczka z oszustem karcianym. — A pani Rindley?

Patrick, przypuszczający nadal, że pani Rindley jest przyjaciółką jego pana, zrobił minę dyplomatyczną, a naciśnięty, wyznał „w zaufaniu”:

— Przedwczoraj wróciła do domu późno. Nie wiem kiedy, ale gdym się kładł spać o dziesiątej, jeszcze jej nie było... Poza tym jest, hm... ciekawa!

— Ciekawa?

— Yes, sir. Dzisiaj rano przyszło do tego pana, co nogę złamał, trzech gentlemanów i siedzieli u niego dobre dwie godziny, aż do przyjazdu doktora. Szedłem właśnie meldować jego przybycie. Idę, patrzę, a tu pani Rindley stoi pod drzwiami i najzwyczajniej w świecie... podsłuchuje!

— Patrick! — Sir James zapiał z irytacji! — Rozkazuję ci w tej chwili o tym zapomnieć i to dokładnie! Już zapomniałeś?

— Yes, sir — bąknął urażony.

— Co porabia prof... tego ten, mam na myśli mego przyjaciela, który nogę złamał w wypadku automobilowym, uważasz?

— A cóżby. Dobrze mu się dzieje, nie może się skarżyć na samotność. Pan Lapin przesiaduje u niego na zmianę z panią Rindley... Ale może o tym mam także zapomnieć? — zemścił się... — Dzisiaj odwiedziło go tych trzech panów, potem lekarz, a teraz, przed jaką godziną, nawet... che, che, che... „córka”!

— Córka? No proszę.

— Powiedzmy, że córka!

— Jak to *powiedzmy*? Nie rozumiem.

— Eeech, sir... Piękne kobiety, które nas odwiedzają nazywamy zawsze tak familijnie: córką, siostrą, kuzynką i, tego, w ogóle.

W willi pierwszym, który powitał sir Jamesa, był Rafał Królik, czyli przejściowo i aż do odwołania monsieur Lapin.

— Można pogratulować? — spytał z uśmiechem, bowiem przypadła mu do gustu gościna u sympatycznego Anglika i czuł, że zabrakłoby mu siły woli do sprzeciwiania się, gdyby go zaproszono tutaj na cały rok albo i trochę dłużej.

— Owszem — wybuchnął sir Rabbit, ściskając serdecznie dłoń *przemiłego hochsztaplera* — żona przystała dobrowolnie na rozwód.

— Więc obejdzie się bez procesu — Rafał odetchnął z ulgą.

— Oczywiście, i znowu panu to zawdzięczam, drogi dobroczyńco.

— Mnieeee?

— Ależ tak! Żona powiedziała mi to wręcz u adwokata, że zgadza się na rozwód ze mną, gdyż w najbliższym czasie wyjdzie za mąż za pana.

— O, Jezu! Tak odpowiedziała? — Rafał upadł na trzcinowy fotel i dyszał ciężko. — Sir, na Boga! — krzyknął. — Ale ona nie wie, gdzie jestem?

— Ja, rozumie, się nie powiedziałem, lecz ona pana znajdzie w piekle! Czy pan nie zna Dorothy?

— Z grubsza — bąknął mały detektyw, zgnębiony nie tylko z grubsza.

— No, ale ja ją znam na wylot, wobec czego mogę panu już teraz złożyć wyrazy serdecznego współczucia!

Sir James był w świetnym humorze. Pozostawiwszy osowiałego Rafała, udał się na piętro do profesora Fedora Rusanowa; tu poznał Wierę.

— Byłoby okrucieństwem — dowodził, ściskając serdecznie dłoń młodej Rosjanki — skazywać panią na codzienne przyjazdy z Nicei do Cannes. Bo nie wątpię, że będzie pani odwiedzała często swojego ojca i pielęgnowała go wraz z moją kuzynką,

— Właśnie mówiliśmy o tym — odparła — że byłoby lepiej, gdybym się przeniosła do Cannes.

— Zaraz każę Patrickowi przygotować apartament dla pani.

— O, co to, to nie, sir! Nie możemy nadużywać pańskiej gościnności.

Wiera mówiła to szczerze; wolała zamieszkać w jakimś pensjonacie choćby z tego względu, że chciała zachować zupełną swobodę ruchów. Ale kiedy sir James coś sobie postanowił, przeprowadzał to z nieubłaganą konsekwencją. Stanęło więc na tym, że Wiera Rusanow zamieszka od jutra w willi sir Rabbita, w narożnym pokoju na parterze, obok biblioteki. Oficjalnie tylko Patrick nie był uszczęśliwiony perspektywą „przeludnienia" willi, ale sir James odkrył przypadkowo jeszcze drugiego malkontenta, w osobie pięknej pani Daisy Rindley, po której czole przebiegła chmurka troski, kiedy zapraszał Wierę.

— Czyżby jej to przeszkadzało w robocie, czy może zakochała się w bandycie-mędrcu, i sądzi, iż córka będzie jej bruździła — rozmyślał sir James, schodząc na parter, aby zawczasu umówić się z małym *hochsztaplerem* na partyjkę pokera. — Zatelefonuję do konsula — postanowił — a na czwartego poprosimy panią Rindley. Tak... Nic im nie powiem, kim jest ten mały, ale musi mnie łobuz później nauczyć swoich karcianych sztuczek.

Podziw sir Jamesa dla Rafała wzrósł po seansie pokerowym do zenitu. Mały detektyw wstał od stołu z kilkoma tysiączkami, choć rozpoczął grę ze stu frankami, który to kapitał zakładowy zawdzięczał wczorajszej partyjce bakarata w kuchni, z olbrzymim Tomem, jego

przyjacielem i z Patrickiem.

— Jak on to robi? — zachodził w głowę Anglik, wyłączając z góry najprostsze i w tym wypadku usprawiedliwione przypuszczenie, że Rafałowi po prostu sprzyjało szczęście.

Nazajutrz Wiera zamieszkała w willi sir Rabbita, co oczywiście spowodowało równoczesną przeprowadzkę do Cannes jej wielbiciela, porucznika Solarskiego. Pragnąc przebywać w bliskości ukochanej dziewczyny, szukał sobie kwatery w sąsiedztwie rezydencji sir Jamesa i znalazł wolny pokój w hotelu, w którym mieszkał ów Jack, tajemniczy sprzymierzeniec pani Daisy Rindley. I tegoż samego dnia Rafał Królik, szczęściarz i pechowiec w jednej niewielkiej osobie, wyjechał do Nicei, by odszukać Solarskiego i przedłożyć mu swój ogromny elaborat pisemny pod tytułem *Jak odnalazłem profesora Rusanowa*. Oczywiście biedny Rafał powrócił późnym wieczorem z niczym; w biurze meldunkowym podano mu wprawdzie hotel, w którym Juliusz Solarski mieszkał od kilku dni, ale tam oświadczono mu, że *ten Polak* wyjechał rano w niewiadomym kierunku, zabierając wszystkie manatki.

— Zdaje mi się — narzekał Rafał, wracając do Cannes w zatłoczonym autobusie — że z odszukaniem porucznika będę miał jeszcze więcej roboty, niż z Rusanowem. A może tak kropnąć referacik? Tytuł byłby podobny: *Jak odnalazłem porucznika Solarskiego*. Ba, ale kto za to *bude platit*, jak powiadają nasi czescy pobratymcy? Tak *pour rien*[1] się wysilać? Hm; zawsze słynąłem z bezinteresowności, lecz skoro się już jest zawodowcem? Hm.

Przeprowadziwszy tak zawodowe rozumowanie, Rafał zaniechał dalszych poszukiwań; całymi dniami wylegiwał się w adamowym stroju na płaskim dachu willi lub, kiedy mu słońce nazbyt dogrzało, otwierał duży ogrodowy parasol i oparty plecami o komin wpatrywał się sennymi oczyma w... pępek, uważając, że obecnie w niczym się już nie różni od wielkiego Buddy! — Bo i ta sama metoda kontemplacyjnych rozmyślań, i ten sam kolor ogniska koncentrującego wolę — ględził, poziewując, i z lubością gładził centrum zaokrąglonego brzuszka opalonego na czekoladowo w trakcie codziennych kąpieli słonecznych.

— Zawsze miałem słabość do Buddy i byłbym dziś jego sobowtórem, jego drugim, poprawionym wydaniem, gdyby nie to karciarstwo — westchnął. Ale czysta, niefałszowana obłuda zapachniała w tym westchnieniu, bowiem wieczorne seanse pokerowe sprawiały, że wzrastał systematycznie jego portfel walut zagranicznych i pozwalały mu (oczywiście nie portfelowi) pożerać wzrokiem panią Daisy Rindley, przez cały dzień niewidzialną i zajętą samarytańskimi funkcjami przy rannym,

Piękna „kuzynka" gospodarza była w ogóle słońcem tej willi i ogniskiem eliptycznych krążeń takich planet jak sir James, profesor Rusanow i Rafał; wszyscy trzej podkochiwali się w czarującej Daisy, każdy na swój sposób oczywiście.

Wiera Rusanow zeszła tu na drugi plan wobec Angielki. Było jej to na rękę; gdyż nikt się nią nie zajmował i miała nieograniczoną swobodę niezbędną do gry, jaką prowadziła… na trzy fronty! Środkowy odcinek: Nicea – Juan les Pins przypadł Solarskiemu, okolica Cannes Borysowi, zaś Laksberger był uszczęśliwiony, że w San Remo, w Mentonie, a przede wszystkim w Monte Carlo mógł się afiszować z tak piękną kobietą. Każdy z nich uważał wyłącznie siebie za zwycięzcę i wybrańca, chociaż, jak dotychczas, żaden nie mógł się poszczycić jakimś realnym sukcesem, żaden nie zdołał zdyskontować swojego „zwycięstwa" chociażby w formie pocałunku.

To, iż żaden z trzech wielbicieli nie przejrzał tej gry, było nie tyle zasługą ostrożności Wiery, ile nagłej popularności... Stalingradu! Oficjalne zaprzeczenie Sowietów wywołało od razu ożywioną polemikę na łamach prasy, ale prawdziwa burza rozpętała się dopiero w kilka dni później, na skutek rewelacyjnych wiadomości, podanych przez potężny koncern Hearsta. Ten amerykański królik prasowy, którego reporter zdemaskował ongiś tajną konwencję wojskową Francji z Wielką Brytanią, zainteresował się na swój sposób dwoma nazwiskami wymienionymi

w zeznaniach Karola Webera. Dzienniki europejskie przedrukowały te sążniste życiorysy Anglika Maitlanda i Amerykanina Smitha, a polonofilski: *L'Ami du Peuple* Coty'ego zamieścił przy końcu taką złośliwą reasumpcję:

Maitland i Smith byli chemikami. Obydwaj wyjechali do Rosji Sowieckiej. Obydwaj już w rok później... umarli! Umarli na... dżumę! Mimo próśb ich rodzin i zabiegów odnośnych konsulatów, władze sowieckie nie udzieliły pozwolenia na eksportację zwłok, ponieważ wymienieni umarli na chorobę zakaźną. Dopiero za dziesięć lat, według jakiejś tam ustawy, będzie można dokonać ekshumacji, a to samo odnosi się do wielu, wielu cudzoziemców, którzy umarli w Rosji w ciągu ostatniego dziesięciolecia i zbiegiem okoliczności zawsze na choroby zakaźne! I zbiegiem okoliczności byli to sami inżynierowie i chemicy! Inne zawody dżuma i tyfus oszczędzają wspaniałomyślnie.

Porównajmy teraz te „wiarygodne" oświadczenia władz sowieckich z „bredniami szaleńca" Karola Webera, zmarłego z ran w Lidzie:

Maitland i Smith byli Stalingradzie!

Przybyli tam w tym samym roku, w którym oficjalnie zmarli na dżumę. Nawiasem mówiąc, o srożeniu się dżumy w Rosji w tym okresie nikt nie słyszał!

Maitland i Smith ukończyli pięcioletni okres katorgi w Stalingradzie, zostali wypuszczeni „na wolność", wywiezieni „z honorami", jak zeznał inny męczennik, Weber... ale do swej ojczyzny żaden nie dotarł!

Daty, terminy, nazwiska, wszystko się zgadza! Cóż z tego? Trzeba odczekać, aż upłynie reszta dziesięcioletniego okresu od dnia ich oficjalnej śmierci; wówczas władze sowieckie pozwolą na ekshumację zwłok.

Pięknie! Ale kto rozpozna nieboszczyków W 10 lat po ich zgonie? Gdzie gwarancja, że rodziny nieszczęśliwych inżynierów nie otrzymają zwłok dwóch pierwszych lepszych mużików?[2] *Przecież trupy, szkielety, czaszki, piszczele to jedyny towar, którego Rosja Sowiecka na w bród i może eksportować w nieograniczonych ilościach.*

Według twierdzenia władz sowieckich Karol Weber był szaleńcem zbiegłym z zakładu dla obłąkanych. Wierzymy, oczywiście wierzymy! Tylko nie możemy zrozumieć, dlaczego za nieszczęśnikiem dotkniętym tą najstraszniejszą chorobą wysłano w pościg aż dwie sotnie kozaków, dlaczego dla odbicia zbiega stoczono całonocną bitwę z polską strażą graniczną, dlaczego perfidny parlamentariusz starał się dobić ciężko rannego, dlaczego wreszcie usiłowano wysadzić w powietrze szpital w Lidzie, w którym znalazł schronienie, dobry Boże, tylko szaleniec, zwyczajny szaleniec!

W odpowiedzi na straszliwe oskarżenie konającego... cisza grobowa ze strony Sowietów. Złośliwy nazwałby to konsternacją, popłochem, wyczekiwaniem, namysłem... oczywiście nie nad przygotowaniem nowego zamachu na szpital. Gdzieżby! Za to już nazajutrz po śmierci Webera czytaliśmy „przekonujące" zaprzeczenie władz sowieckich.

I znowu ktoś złośliwy gotów by przypuścić, że legendarny Stalingrad naprawdę istnieje, że można by tam spotkać setki naszych rodaków, Anglików, Polaków, Niemców itd., którzy oficjalnie pomarli na... dżumę!

No, tak. Ale my nie należymy do grupy ludzi złośliwych i wierzymy święcie Sowietom. Zwłaszcza, kiedy nas częstują pięknymi hasłami o konieczności powszechnego rozbrojenia (państw „kapitalistycznych" – przyp. zecera).

W ślad za akcją prasy ruszyły w bój inne czynniki. Jakby za poruszeniem tajemniczej sprężyny w tym samym dniu Niemcy, Polska i Szwecja odmówiły dalszego kredytu towarowego

przedsiębiorstwom sowieckim. W tym samym dniu brytyjska eskadra śródziemnomorska wyruszyła spod Malty na Morze Czarne, aby „złożyć wizytę flocie rumuńskiej". W tym samym dniu zapadła w Polsce decyzja, by najbliższe manewry urządzić we Wschodniej Małopolsce, w pobliżu granicy sowieckiej.

Niektóre z tych demonstracji mogła Rosja Sowiecka uważać za nieszkodliwe kiwanie palcem w bucie, ale inne ją zabolały. Zwłaszcza wstrzymanie rokowań ze Stanami Zjednoczonymi, po których Moskwa obiecywała sobie niezmiernie wiele… kredytu, chociażby towarowego. Toteż zapanowała poważna konsternacja i uznano, że sprawy Stalingradu nie można zbyć gołosłownym zaprzeczeniem. Należało cisnąć światu spory ochłap kłamstwa w najlepszym gatunku, aby się zadławił i przestał gadać na jakiś czas, a potem rzecz się sama ułoży, nowe sensacje pochłoną uwagę tłumów i dyplomatów. Bo każda sensacja, obojętnie jakiego gatunku i kalibru, da się porównać do... kuchennego pieca; jak długo blacha rozpalona, parzy nawet na odległość, lecz skoro ostygnie można na niej usiąść w adamowym stroju i wrażliwy cokół kręgosłupa nic przy tym nie ucierpi.

W myśl tej starej zasady, postanowiono w Moskwie „wyjaśnić" sprawę Stalingradu jakoś inaczej, a tego nie dało się uskutecznić bez porozumienia z profesorem Rusanowem. Dzięki temu towarzysze Laksberger i Borys Lapin, zdegradowani przejściowo do roli zwyczajnych kurierów, krążyli nieustannie pomiędzy Cannes a Paryżem, zaniedbując z konieczności wspólny przedmiot swoich afektów i zwiększając szanse trzeciego rywala, Solarskiego.

Wiera nie kochała żadnego ze swoich trzech wielbicieli. Laksberger działał na nią przez właściwą swej rasie zmysłowość drgającą w każdym spojrzeniu, kipiącą w każdym słowie, elektryzującą przy najlżejszym dotyku przy uścisku dłoni, przy podaniu ramienia, nawet przy mimowolnym potrąceniu łokcia o łokieć, kiedy szli obok siebie. Do Solarskiego przylgnął już szereg określeń, w rodzaju: romantyk, błędny rycerz, ckliwy amant, sentymentalny przyjaciel. Lecz najgroźniejszy pozostał nadal Borys. Jemu też nigdy nie wyznaczała schadzek w malowniczych ustroniach, od jakich roi się na Riwierze; mógł Ją spotkać jedynie w salach kasyna stale pełnych, na molu przystani jachtów albo na promenadzie, słowem w tłumie, nigdy na osobności! Bała go się, nienawidziła go za ten swój lęk niewytłumaczony i, mimo wszystko, przyznawała mu wyższość nad tamtymi dwoma. „Brał ją" może właśnie dlatego, że czuła się wobec niego niewolnicą, gdy tamci dwaj stawiali ją na ołtarzu swoich marzeń, bardzo zresztą odmiennych, i zniżali się do roli pokornych paziów.

— Gdyby tak można było ich razem utłuc w moździerzu, wymieszać wywałkować jak ciasto, ulepić trzy kukły i tchnąć w nie na powrót życie, miałabym trzech idealnych wielbicieli — rozważała pewnego popołudnia z humorem, lecz natychmiast przyszło jej na myśl, że w takim razie wszyscy trzej byliby nużąco jednakowi. — Ostatecznie — monologowała, wydymając usta wzgardliwie — ostatecznie, wszyscy mężczyźni są ulepieni z tej samej gliny, tylko w jednych te, w drugich tamte instynkty biorą górę... Weźmy mojego Polaka. Na pozór ckliwy amant, trochę jakby świętoszek, ale gdyby tak...

Nie dopowiedziała reszty. Uśmiechnęła się złośliwie i z kawiarni, w której snuła te myśli zatelefonowała do Solarskiego. Wyznaczyła mu spotkanie wieczorem w głównej sali odnowionego kasyna. W Cannes! Mogła sobie pozwolić na taką nieostrożność, wiedząc, że Borys nie powrócił jeszcze z Paryża, a Laksberger odleciał rano samolotem.

Solarski stawił się punktualnie. Po nieodzownym prologu przy stołach kapryśnej *boule*[3], lżejsi o kilkaset franków, zgarniętych przez krupiera, przeszli na dancing. Tu Wiera rozwinęła cały swej kunszt kokieterii i bez trudności sprowokowana wyznanie:

— Kocham... Wiera... kocham do szaleństwa! — szeptał Solarski z przejęciem i wzdrygnął się, bowiem zabeczał mu nagle nad uchem saksofon. W takiej chwili! Przyszli tu dość

późno, wszystkie miejsca były już zajęte, więc dostawiono im stolik tuż koło estrady orkiestry, co samo przez się jest rzeczą niemiłą, a cóż dopiero w wypadku, gdy młody człowiek zamierza się oświadczyć! — Ach, jakże bym pragnął — westchnął Juliusz, — znaleźć się z panią w tej chwili gdzieś z dala od tego gwaru i powiedzieć jej to wszystko, co...

— Doskonale — wtrąciła z nagłym ożywieniem.

Kiedy wyszli z lokalu, zaproponował przejażdżkę czółnem. Nie przystała. Skinęła na przejeżdżającą taksówkę i rzuciła adres willi sir Jamesa Rabbita.

— Pani odjeżdża?... Teraz?! — wybełkotał zgnębiony.

— Z panem — odparła krótko. — Proszę wsiąść.

Zrozumiał, iż ma ją odwieźć, że zaś ta przejażdżka mogła trwać najwyżej dziesięć minut, zaczął z wielkim rozpędem swe przemówienie, lękając się, czy zdąży je ukończyć, zanim staną u celu...

Zgorszyła się zaraz na wstępie:

— To mi pan mówi tutaj? Może i całować pan mnie zechce w taksówce? W taksówce! No, wie pan, panie Julku... nie przypuszczałam!

Umilkł jak zmyty. I myślał. Najpierw o swoim pechu, potem o... o pocałunku. Wprawdzie funkcja zwana całowaniem nie wchodziła dotychczas w program zamierzonych wynurzeń, lecz wzmianka na temat owej funkcji rozbudziła jakieś nieokreślone bliżej pragnienia i przyciągnęła wzrok solidnego młodzieńca ku silnie podkreślonym usteczkom Wiery, tak ponętnym i tak niedostępnym... dla nieśmiałych!

Gdy zajechali przed willę. Solarski odprawił taksówkę i zaczął się uroczyście żegnać. Odmówił kategorycznie, choć drżącym głosem, kiedy z ust dziewczyny padły słowa tak obiecujące: — Czy nie wstąpi pan do mnie na chwilę? — Lecz Wiera umiała postawić na swoim; niezrażona wyraźną odmową, rozmiłowana w roli eksperymentatora, stwierdziła nagle, że ma silny zawrót głowy, i wzorowo omdlewającym głosem zażądała, aby ją Juliusz odprowadził do jej pokoju.

— Proszę furtki nie zamykać na klucz — upomniała, podając mu torebkę — żebym potem nie musiała pana odprowadzać przez ogród.

W hallu uśpionej willi minął zawrót głowy równie szybko, jak przyszedł. W doskonałej formie ruszyła Wiera korytarzem w stronę swojego pokoju, a za nią człapał Solarski zakłopotany, przerażony biegiem wypadków i tym, że pozbawiono go nagle inicjatywy, która dla prawdziwego mężczyzny jest równie niezbędnym rekwizytem jak nożyce i klej dla dziennikarza. Szedł posłusznie, wierząc, że pozostanie nieugiętym gentlemanem w obliczu najdrażliwszej sytuacji, a każdy krok tej wędrówki przez mdło oświetlony korytarz uszczelniał pancerz solidności, w jaki przyoblekał duszę, w jaki ją uzbroił przeciwko spodziewanym atakom pokus. — Kocham tę dziewczynę, pragnę ją poślubić, zatem muszę w niej uszanować swoją przyszłą żonę — orzekł w chwilę później, spacerując nerwowo po bibliotece, gdzie mu Wiera kazała zaczekać „chwileczkę".

Wreszcie, po wielu, wielu okazałych chwilach... boczne drzwi po prawej ręce otworzyły się bez najlżejszego szelestu; w progu stanęła Wiera, już nie w toalecie wieczorowej, lecz w luźnym, pseudo-japońskim kimonie.

— Czy wolno prosić miłego gościa — uśmiechnęła się zachęcająco.

Miły gość wszedł do narożnego pokoju energicznym krokiem prokuratora, który ma wygłosić swoje dziewicze przemówienie w obecności całej miejscowej palestry. Przystanął. Łypnął nieufnie okiem w stronę kwadratowego tapczanu zasłanego stertą poduszek, skarcił wzrokiem wazony pełne kwiatów i nieprzeźroczysty abażur, nazbyt szczelnie osłaniający stojącą lampę, jedyną, jaka się tutaj świeciła… wreszcie poruszył nozdrzami i ze zgrozą wciągnął w nie

woń odurzających perfum, rozpylonych w powietrzu snadź przed chwilą. Stanowczym krokiem ruszył w stronę okna.

— Oddychać taką atmosferą… atmosferą oranżerii, toż to samobójstwo droga panno Wiero — stwierdził tonem mentorskim.

Pozwoliła, by okno otworzył na oścież, ale ciężkie portiery zasunęła na powrót mimo jego protestów i wskazała mu fotel.

— Teraz może mi pan powiedzieć, to czego nie chciałabym nigdy usłyszeć w taksówce — rzekła i ułożyła się na tapczanie w „niedbałej" pozie a – co gorsza – w ogromnie bliskim sąsiedztwie fotela swego gościa.

Juliusz chrząknął niepewnie, zaczął mówić lub raczej opowiadać. Da capo, od pamiętnego wieczora, gdy zelektryzowany okrzykiem napadniętej kobiety, pośpieszył jej z pomocą i poznał ją, Wierę. Potem odmalował godziny trwogi, godziny niepewności, jakie przeżywał po jej zuchwałym porwaniu, potem radość ze spotkania w Paryżu, i cudne dni na Lazurowym Wybrzeżu.

Słuchała z oznakami zniecierpliwienia, często zmieniała swoje kunsztowne pozy, skutkiem czego Juliusz zrobił straszne odkrycie, że ów złotawy aksamit przeświecający przez szpary kimona to nie kombinacja cielistej barwy, ale najautentyczniejsza w świecie skóra, lekko opalona, złotawa. Zmieszało go to mocno, pancerz duszy niepokojąco zaskrzypiał i główny referat, o miłości, wypadł blado, bezbarwnie jak oświadczyny spensjonowanego urzędnika państwowego.

— A zatem — zreasumowała z lekką ironią — żywi pan wobec mnie „poważne" zamiary. I to już wszystko? — padło zamrażające pytanie.

— Cóż więcej mogę powiedzieć — odparł ze smutkiem — skoro widzę, że jestem pani tak zupełnie obojętny.

— Niewdzięcznik! — Dała mu klapsa małym wachlarzykiem. — Sądzi pan, że kobieta z towarzystwa zaprasza do siebie o północy ludzi jej obojętnych?! —

— A więc... ty... — zachłysnął się ze wzruszenia.

— A więc? — powtórzyła z dziwnym uśmiechem.

Pancerz duszy chrupnął aż miło, lecz niecierpliwy ruch rasowej rączki spłoszył Solarskiego. Zerwał się i zaczął krążyć po pokoju, czyniąc sobie w myśli straszliwe wyrzuty, że tutaj w ogóle przyszedł. — Każda kobieta jest istotą słabą, ale ty… ty? Mężczyzna? Oficer?! — mruczał, błądząc wzrokiem po ścianach, po podłodze, byle jak najdalej od kuszącego tapczanu.

— Odejdę już! — rzekł nagle. Złożył jej etykietalny, sztywny ukłon.

— Choćbym prosiła, byś został?... Julku!

— Tak! — wykrztusił. Powiedziała mu *ty* po raz pierwszy, zauważył to, szalał z radości, lecz jednocześnie cierpiał, że musi odejść nieodwołalnie!

— A mówiłeś, że kochasz.

— Właśnie dlatego! — wybuchnął. — Właśnie dlatego odchodzę, że cię naprawdę kocham i szanuję, i czczę, i widzę w tobie moją przyszłą małżonkę.

— Nie pocałujesz mnie nawet?

Żołnierskim krokiem podszedł do niej i musnął jej czoło krótkim pocałunkiem, choć ponętne, ukarminowane usteczka czekały, wysuwały się same.

— Odprowadzę cię do hallu — westchnęła, wstając z tapczanu.

W bramie ofiarowała mu jeszcze raz swój pocałunek i znowu z podobnym skutkiem.

— To silny człowiek — pomyślała z uznaniem i z... żalem. Z uznaniem, bo zaimponował jej siłą woli i wzruszył ją na moment tym dowodem czystej miłości nie uznającej kompromisu z erotyką. Z żalem, gdyż zamierzając doświadczyć Solarskiego, sama mimowolnie uległa

atmosferze przeprowadzonego eksperymentu; uśpiona willa, cisza, noc, wytworny i przytulny pokój, półmrok, cieplarniana atmosfera, woń ciężkich wschodnich perfum, kuszące legowisko, sterty poduszek, wpraszających się pod osłabłą głowę, pod biodra i nogi, ostatnie smugi drażniącego nastroju z dancingu, i na tym tle zakonspirowane sam na sam z kochającym mężczyzną, to ostatecznie mogłoby wzburzyć krew dziewczynie znacznie mniej zmysłowej niż Wiera...

— Czemu nie został? — westchnęła, żałując swej lojalności wobec Juliusza, wobec przedmiotu udałego eksperymentu. — Gdybym go była choć objęła za szyję, byłby został — sądziła.

— Czemuż nie został? — westchnęła.

Zamknęła drzwi od korytarza na klucz i stanęła przed lustrzanym frontem szafy. Ogarnęła ją nagle niechęć do „ckliwego amanta", którego jeszcze przed chwilą podziwiała i chwaliła w myśli. — Odepchnął cię — podpowiedziała drażliwa miłość własna. — Czyż nie jestem dla niego dość piękna? — Lustro przeczyło. Z sumiennością martwego przedmiotu wyliczało każdy szczegół urody dziewczyny; te szczegóły oczywiście, które widziało, wobec czego zaszła potrzeba rozchylenia kimona na piersiach, i dalej.

Nasyciwszy oczy, Wiera zawarła szczelnie powieki, aby i zmysły ukoić. Ułudą! Ułudą oplotu silnych ramion Solarskiego. Czy koniecznie jego ramion? Męskich! Więc ułudę uścisku, męskich ramion. I pocałunków! Gorących, płomiennych, szalonych. Och, jakże była spragniona pieszczot w tej chwili!

Spod portiery osłaniającej drzwi wiodące do biblioteki wysunęła się muskularna dłoń, odszukała taster światła elektrycznego, przekręciła go.

Lampa zgasła nagle.

Jedyna lampa, jaka paliła się obecnie w narożnym pokoju na parterze.

Wiera nie zauważyła tego, bowiem zacisnęła powieki szczelnie, a myśli jej, zrodzone przez podnieconą wyobraźnię, krążyły wokół bezimiennego samca, którego przyzywała każdą rozdygotaną komórką, każdym nerwem i tkanką ciała płonącego pożądaniem rozkoszy za wszelką cenę.

Drgnęła, ale nie z trwogi. Zadrżała ze wzruszenia, skoro poczuła ciasną obręcz uścisku, obręcz ugniatającą klatkę piersiową nieznośnie i... błogo. Zadrżała pod gorącym tuszem pocałunków, które spadały na jej karczek, plecy i ramiona obnażone po nagłym zsunięciu się kimona. A potem odurzona realizmem rzekomej halucynacji odwróciła się z radosnym wysiłkiem w tym szczelnym oplocie ramion, objęła za szyję napastnika i wgryzła się w pełne, zmysłowe wargi, które jej usta odszukały w ciemnościach. Całowała je w dzikim opamiętaniu, w obłędnej tęsknocie za pieszczotą, i tuliła się całym ciałem do barczystej sylwetki mężczyzny, bełkocąc lubieżne wyrazy.

Obręcz mocarnych ramion opadała, zsuwała się po jej plecach, po biodrach, udach, aż przystanęła na łydkach, a miękka szczeć wąsów, połaskotała stopy. Wiera pojęła, że on, twór jej fantazji, jej płomiennych pożądań, upadł jej do nóg i pokornie całuje palce bosych stóp. Wyprostowała się dumnie. Ciężko dysząc, śledziła czuciem i myślą przebieg jego adoracji. Jego palące usta, jego wąsy łechcące rozkosznie pełzły znów w górę po nogach do kolan i wyżej, wyżej...

— Och! westchnęła głośno, oszołomiona nową, nieznaną pieszczotą.

Przegięła się wstecz i, by na wznak nie runąć, wczepiła palce w jedwabistą czuprynę klęczącego. Tak stała długie, długie chwile, jęcząc, tarmosząc dłońmi puszyste włosy i błagając nieszczerze, by jej poniechał, by nie męczył!

Potem nastał moment, że ciało osłabło do reszty, lecz umysł jakby wytrzeźwiał. Wiera

rozwarła oczy szeroko. Ze zdumieniem stwierdziła, że w pokoju jest zupełnie ciemno. Śniła to wszystko? Nie! Temu przeczyło dotyki nieustannych pocałunków, oplot cudzych rąk opasujących jej biodra i czyjś oddech przyśpieszony, zdyszany, głośny. — Stałam przed lustrem, światła nie gasiłam bynajmniej, a teraz jest ciemno — zauważyła w duchu. — Zatem... zatem to nie halucynacja? — zdziwiła się. — Boże, więc kim jest... ON?!

Zacisnęła palce prawej ręki, wygimnastykowanej, wysportowanej, i zwartym kułakiem grzmotnęła na oślep w natrętną głowę. Obręcz oplecionych rąk pękła od razu i stuknęło coś w ciemnościach, jakby czyjś twardy łeb zadzwonił o podłogę, a w dwie sekundy później zabrzmiał stłumiony głos męski:

— Oszalałaś, Wieroczka? Ej, ty słodka histeryczko!

Odskoczyła wstecz, zdjęta śmiertelnym przestrachem.

— To on! Jego głos — wyszeptała zbielałymi wargami, rejterując na palcach w stronę drzwi od biblioteki, przy których znajdowały się tastry. Szukała ich rozdygotanymi palcami, a jednocześnie w mózgu cwałowały oszalałe myśli i podejrzenia, najgorsze, najczarniejsze: — śledził nas, mnie i Solarskiego. Wie wszystko! Przyszedł się mścić! Po swojemu. Najpierw całuje, pieści, a potem… w momencie, na który czeka, udusi strasznymi łapami. — Wymacała w mrokach główny kontakt światła, przekręciła go, i w pokoju zrobiło się jasno jak gdyby w biały dzień. Nie omyliła się. Na środku pokoju stał, trąc dłonią czoło zaczerwienione po zdradzieckim ciosie... Borys Siemionowicz Łapin!

— Precz! — wrzasnęła. — Wynoś się, którędyś przyszedł!

— To znaczy oknem — parsknął urągliwym śmiechem — oknem, które otworzył sentymentalny Polaczek, wielki higienista, che, che, che, che.

Więc jednak wiedział o wizycie Solarskiego! Był tutaj już wtedy, zaczajony pod oknami, czekający na sposobność, której mu tamten sam dostarczył!

— Nu, da, szalona Wieroczka — przemówił Borys z nieoczekiwaną łagodnością i zatrzymał się w swym groźnym marszu — przekonałaś się dziś chyba, że ckliwy Polaczek, to nie dla ciebie. Ty potrzebujesz innej ręki, innego chłopca, innej miłości. Takiej jak moja! No, zaprzeczysz?

Nie zaprzeczyła. W duchu przyznała mu słuszność, lecz nie wierzyła ani trochę w szczerość jego nagłego złagodnienia. — Od furii zazdrosnego samca do przebaczającej wyrozumiałości zbyt długa droga, aby ją przebyć w ciągu maleńkiej sekundy — sądziła. — Chce mnie zagadać, lęka się, że mogę mu uciec przez bibliotekę. — Potwierdziła te podejrzenia cyniczna odpowiedź Borysa na jej powtórne żądanie, aby się wyniósł tą drogą, którą przyszedł:

— Wyjdę, owszem lecz... po **tym** — odparł, zerknąwszy wymownie w kierunku ogromnego tapczanu. Z flegmą podniósł z podłogi jej kimono, zwinął je w kłębek i przytulił twarz do niego, chichocąc zaczepnie.

— Słuchaj — krzyknęła energicznie — czy mam zadzwonić na służbę?

Bystrym spojrzeniem odmierzył odległość, dzielącą Wierę od gruszki dzwonka zawieszonego przy tapczanie.

— Owszem, zadzwoń — zatarł dłonie.

Potem znowu przybrał ton łaskawej wyrozumiałości.

— Czemu okłamujesz siebie samą, Wieroczka? — mówił z łagodnym wyrzutem. — Wiesz najlepiej, że my dwoje jesteśmy stworzeni dla siebie, że ckliwy amant i tamten erotoman obrzydliby ci po kilku dniach wspólnego pożycia. Więc po co ta obłuda? Wyjdźże spoza paskudnej portiery angielskiej, która mi przeszkadza podziwiać cię w całej twej krasie; zagaś światło, jeśli się wstydzisz jeszcze, i pójdź w moje ramiona... Ach, jakże ty umiesz całować, maleńka, jak ty się tulisz przedziwnie! — ciągnął dalej głosem stłumionym, niskim, ujmującym.

Słuchała i jej niedawny lęk przed zemstą Borysa słabł z każdą sekundą. Przecież z jego słów wynikało, że nic jej nie grozi, że jej podejrzenia były płonne. Słuchała, a każde potrącenie w strunę wspomnień oszałamiało ją i niweczyło chęć ucieczki. Opowiadał z wyrafinowaną drobiazgowością, co działo się tutaj przed chwilą pod osłoną mroków i jej wyobraźnia przeżywała powtórnie dzieje spotkania w ciemnościach z rzekomym tworem halucynacji. Nie, na szczęście to nie było halucynacja! Więc...

— Pójdź, maleńka... — rzekł, a ta prośba była dla niej rozkazem, aby się oderwać od drzwi, do których ją przykuwał instynkt czy coś równie niematerialnego. Wysunęła wstecz rękę i… trafiła na szparę. Drzwi były leciuteńko uchylone! Okazja do ucieczki! Uciekać? Po co? Dwie biegunowo sprzeczne myśli, dwa różne pragnienia nią owładnęły, przedłużając moment wahania.

— Wieroczka... Czy mam cię skarcić, jak nieposłuszne dziecko?

— Nie, Borys — wykrztusiła i wzdrygnęła się na wspomnienie brutalnej chłosty, jaką otrzymała z tych samych rąk niegdyś. Jej dłoń zsunęła się siłą bezwładności po listwie drzwi i spoczęła na czymś zimnym. Nieoczekiwane spotkanie z chłodnym przedmiotem zainteresowało palce; pogładziły niespodziewaną przeszkodę, obmacały ją dokoła, objęły, pochwyciły w wyłączne posiadanie i do świadomości na pół zahipnotyzowanej dziewczyny przedarła się nowina o nagłym odkryciu... rewolweru! Tak, to był mały browning, kalibru 6,35 mm. Ściskała go w dłoni, nie rozumiejąc w pierwszej chwili, jaką przewagę daje jej ta broń nad fizycznie silniejszym przeciwnikiem. Przeciwnikiem? Czyż uważała go za takiego? Czy raczej...

— Wiera! Proszę ostatni raz — zabrzmiał jego głos. — Ostatni raz mówię po dobroci, a potem inaczej pogadamy!

Groził! Ach, więc był przecież przeciwnikiem!

— Liczę do trzech!

— Ja także! — wrzasnęła z dziką energią i wysunęła uzbrojoną dłoń przed siebie — Ręce do góry, łotrze! Wyżej... wyżej, albo palnę w łeb!

Wiedział zbyt dobrze, że zdolna jest do wszystkiego. Podniósł ręce wysoko nad głowę i mełł jakieś przekleństwa w zębach, ale szedł posłusznie ku oknu, jak poleciła pod groźbą natychmiastowego naciśnięcia cyngla.

— Skacz na dwór… prędzej... nie drażnij mnie, bo...

Wyskoczył i przyczajony za pierwszym z brzegu krzakiem spoglądał z bezsilną wściekłością na oświetlone okno narożnego pokoju, z którego go wygnano sromotnie na moment przed ostatecznym zwycięstwem. — Skąd ona wytrzasnęła browning; przecież nie miała na sobie ani strzępu odzieży — głowił się, nadaremnie, sama bowiem Wiera nie wiedziała również czyja ręka wsunęła jej w dłoń rewolwer w tak krytycznej chwili. Nie myślała zresztą o tym, zajęta sumiennym ubezpieczaniem okien, które dotychczas były otwarte. A potem, kiedy mocne drewniane okiennice odgrodziły ją od napastnika, zatęskniła za nim nagle. Fala wspomnień i pokus ogarnęła ją ponownie.

— Czemuż go wypędziłam? — jęknęła, wodząc wzrokiem po swym przytulnym pokoju, który teraz wydał jej się pustelnią, celą więzienną. — I kto mi dał ten przeklęty rewolwer? Kto się miesza do moich prywatnych spraw?!

Popędziła ku uchylonym drzwiom, pchnęła je na oścież i przystanęła. W bibliotece paliła się środkowa lampa, lecz nie było tam żywego ducha. Wówczas nagły gniew nieobliczalnej dziewczyny ostygł momentalnie. Zawstydzona, przerażona, że nieznany świadek za jej tajemnicę, rzuciła się na tapczan z łkaniem, które nad ranem dopiero sen utulił...

---

[1] *pour rien* (fr.) – za nic; za darmo.
[2] *mużik* (ros.) – chłop; wieśniak.
[3] *boule* (fr.) – kula; tu: kulka od ruletki.

Rozdział XX

SAME NIESPODZIANKI

Nazajutrz był dzień tak upalny, że Rafał, chociaż przywykły do spiekoty i rozmiłowany w długotrwałych kąpielach słonecznych, musiał przerwać posiedzenie za kominem około jedenastej, czyli na dobrą godzinę przed lunchem.

— Jestem z tutejszym słońcem na *ty*, ale na piekło chwilowo jeszcze nie reflektuję — sapał, wciągając białe płócienne spodnie na gołe ciało, i syknął z bólu, kiedy, straciwszy nagle równowagę, usiadł z impetem na rozpalony beton płaskiego dachu. — Na befsztyk się spiekła... na befsztyk — narzekał, głaszcząc oparzone miejsca na udach i w okolicy — moja atłasowa... skórka.

Powałęsawszy się po ogrodzie, zaszedł do kuchni i zapytał Patricka o panią Rindley. Odpowiedź kamerdynera wzbudziła w nim zazdrość,

— Naturalnie! Gdzieżby była jak nie u brodacza — mruknął z niechęcią i pobiegł na pierwsze piętro. Przed drzwiami pokoju Rusanowa przystanął. Posłyszał jego głos, niski, stłumiony, podchwycił tylko jeden wyraz, ale i to wystarczyło, by mu żółć poruszyć. — Łobuz! — wymamrotał. — Uprzedził mnie. Mnie!

Cofnął się, przez swój pokój wyszedł na balkon, biegnący wzdłuż całego frontu willi, i ostrożnie zawrócił. Dzięki gumowym podeszwom swych pantofli mógł bezszelestnie podejść do otwartych drzwi balkonowych pokoju profesora. Zajrzał w głąb. Daisy Rindley siedziała z książką w fotelu tuż przy otomanie, ale książka była zamknięta. Profesor wolał snadź inną „lekturę"; oto jeszcze trzymał w swej włochatej dużej dłoni rączkę pięknej Angielki i raz po raz do ust ją podnosił, bełkocąc czułe, pieszczotliwe słowa.

— Czy nie przeszkadzam? — ryknął Rafał znienacka. Nie czekając odpowiedzi, przekroczył próg, z miną wyrozumiałego Mefista. Daisy wyrwała swą dłoń, ale natychmiast ujęła nią przegub ręki Rusanowa, udając, że mierzy mu puls.

— Tętno dzisiaj trochę przyśpieszone — zauważyła.

Rafał, oburzony taką perfidią, „zrobił" uśmiech sardoniczny.

— Pewnie z gorąca — bąknął, zacierając ręce. — Nie dziwię się... nie dziwię się... niczemu!

— Co pan przez to rozumie? — spytał zjadliwym szeptem profesor, wykorzystując tę okoliczność, że Daisy poszła zapuścić story w oknach.

Zimny, wrogi wzrok Rusanowa zmieszał uczciwie Rafała, lecz przysłowiowe szczęście uwolniło go od obowiązku odpowiedzi. Bowiem zapukano do drzwi i do pokoju wkroczył dostojny Patrick, za nim Tom, obaj objuczeni krzesłami.

— Zaraz wniesiemy tu stół i zaczniemy nakrywać — obwieścił kamerdyner, nadmieniając bez wszelkiego entuzjazmu, że z polecenia sir Jamesa będzie się odtąd jadało lunch w tym pokoju. — Póki sir nie wyzdrowieje — dorzucił kwaśno w stronę Rusanowa, a na ostatek, w formie niedwuznacznej wymówki, cisnął w twarz Angielce: —- Stosownie do pani życzenia, mylady. — Osłodził przesadnym ukłonem tę ochmistrzowską enuncjację i wyszedł napuszony,

ważny, pełen godności, jak zawsze.

Profesor naturalnie był wniebowzięty, dziękował serdecznie Daisy za nowy dowód jej troskliwości, aby gościowi uprzyjemnić pobyt w willi. Daisy, przecudnie zapłoniona, wydała swą rączkę na łup dziękczynnych pocałunków Rusanowa, a zazdrosnego Rafała krew zalewała z irytacji. Wreszcie, nie mogąc znieść dłużej widoku tej sielanki, wymknął się pod jakimś poborem i Patrick dobrze się zziajał, zanim go w pół godziny później odszukał w ogrodzie.

Wszyscy domownicy siedzieli już przy stole, kiedy powtórnie wkroczył do pokoju Rusanowa. Profesor pozostał na dawnym miejscu, bowiem stół przysunięto do otomany, sir James usadowił się obok, a puste krzesło czekające na Rafała znajdowało się, jak zazwyczaj, pomiędzy Daisy a Wierą.

— Che, che, che — zaskrzeczał sympatyczny gospodarz — pan Lapin czekał na nas pewno w jadalni, co? A my urzędujemy tutaj.

— Nie wiedziałem o tej innowacji — odburknął, mijając się z prawdą. Usiadł, z niesmakiem odwrócił się od półmiska z zieloną sałatą, której nie cierpiał na równi z kapustą, bowiem wypominały mu zawsze jego „królicze" nazwisko, i zabrał się ochoczo do krewetek.

— Nie wiedział pan? — Sir James zdołał już zauważyć, że mały „hochsztapler" jest w kwaśnym humorze, więc z rozmysłem zaczął go prowokować. — Pan Lapin w ogóle nie wie, co się dzieje w willi — rzekł do Wiery w pewnej chwili. Rafał puszczał wszelkie aluzje mimo ucha, ale ostatnie zdanie uznał za wodę na swój młyn:

— Ja nie wiem?! Ho, ho, sir. Ja wiem nawet, co tu się dzieje w nocy! Nie tylko w dzień, podkreślam... Ale w nocy!

Sir James umilkł jak zmyty, obie kobiety pochyliły się niziuteńko nad talerzami, krzątający się Patrick chrząknął niespokojnie, a profesor Rusanow, zdziwiony wrażeniem, jakie ta odpowiedź wywołała, przenosił wzrok z jednej twarzy na drugą, aż zatrzymał się dłużej na fizjognomii Rafała.

— Cóżby się tu mogło dziać w nocy? — spytał z pozorną obojętnością, ocukrzoną uśmieszkiem niedowierzania. — W takiej spokojnej willi?

— A cóżby, jak nie to samo, co na całym Lazurowym Wybrzeżu — wypalił Rafał — parki gruchają przy księżycu i bez tego oświetlenia!

Przypijał wyraźnie do Daisy, lecz nie patrzał na nią oczywiście; poza tym był nazbyt pochłonięty pochłanianiem krewetek. Toteż zdziwił się mocno, skoro nagle otrzymał w nogę szturchańca i to z prawej strony, więc najwyraźniej od Wiery Rusanow! — Czyżby i ona miała coś na sumieniu? — pomyślał.

— Parki przy księżycu? Che, che, che. — Śmiech brzmiał wybitnie nieszczerze. — Jeśli przy księżycu, to zapewne w ogrodzie, co?

— Owszem, w ogrodzie także — tryumfował mały frant. — Ileżby na przykład nasza piękna altanka mogła opowiedzieć, gdyby potrafiła mówić.

Ucieszył się, że Daisy wreszcie zrozumiała. Czuł jeszcze na lewym trzewiku lekki nacisk małego pantofelka, drżącego tak wyraźnie, że ulitował się nad nim, i przyskrzynił go czule między swoimi stopami. Postanowił też dla odmiany trochę poblagować, aby uspokoić zdrętwiałe niewiasty:

— Czuli amanci brząkają na mandolinach — improwizował — w dodatku tak fałszują, że w moim pokoju jedna mysz dostała spazmów. Inny znów jegomość, z przyczyn bliżej mi nieznanych, zapewne z rozpaczy, urządza co noc dziwne libacje w swej sypialni itd., itd.

— Uważaj — warknął sir James, gdyż Patrickowi wypadła z rąk butelka i potoczyła się aż do stóp Wiery, roniąc po drodze strugę szlachetnego płynu. Ten drobny incydent wywołał małą pauzę, po czym Rafał zreasumował swoje przemówienie :

— Tak więc, sir, omylił się pan, twierdząc, że nie wiem, co się tutaj dzieje. Wiem wszystko!... **Wszystko!** Ale zaznaczam, dla uspokojenia zatrwożonych, że na ogół bywam bardzo dyskretny, o ile oczywiście ktoś mnie nie prowokuje!

Mimo tego zapewnienia sir James i obie kobiety straciły apetyt i humor. Gdyby nie profesor Rusanow, Rafał musiałby chyba wygłaszać jeden monolog za drugim, do tego stopnia nikt z tamtej trójki nie kwapił się do zabrania głosu, by wziąć udział w rozmowie chociażby najbardziej lekkostrawnej. Lunch przeszedł w nastroju niemal pogrzebowym.

— Nie będziemy tu paniom dymić — rzekł sir James, wstając od stołu i patrząc znacząco na Rafała — wypalimy cygaro w moim gabinecie. — Kiedy się tam znaleźli we dwójkę, zaczął prosto z mostu: — Panie Lapin, pozwolę sobie zauważyć, że pańskie aluzję o myszy, która rzekomo miała dostać spazmów, były jak na obecność dam trochę niesmaczne. Wiem, że nie jestem wybitnie muzykalny i jeżeli brzdąkałem, jak się pan wyraził z przekąsem, jeśli tedy brzdąkałem na mandolinie, to tylko dlatego, że moja kuzynka ogromnie lubi stare szkockie piosenki. Nie przypuszczałem atoli, że zakłócam nocny wypoczynek panu i pańskiej myszy — wycedził chłodno.

Na schodach zaczepił Rafała dostojny Patrick.

— Sir, zawiodłem się na panu — rzekł z gorzkim wyrzutem. — Cierpię od lat na bezsenność i nie potrafię zasnąć, zanim nie zażyję kilku naparsteczków musującego wina. Ale nazywać to libacją, oskarżać mnie przed moim chlebodawcą, narażać mnie na to, żeby mi na stare lata klucze od piwnicy odebrano, nie, sir, po kim jak po kim, lecz po panu tego się nie spodziewałem!

Szybkie kroki spłoszyły rozżalonego kamerdynera i oszołomiony Rafał wpadł z kolei w potok słów, płynących z pięknych usteczek Wiery Rusanow:

— Byłam pewna, że to pan mi przybiegł z pomocą — zaczęła szeptem, ściskając mocno dłoń małego blagiera. — Rewolwer oddam panu później, może wieczorem. Jeszcze raz serdecznie dziękuję... Boże, czemu pan na mnie tak patrzy? Rozumiem! Oczekuje pan wyjaśnień. Niestety nie wszystko mogę powiedzieć. Niech panu wystarczy moje uroczyste zapewnienie, że ten drab wtargnął do mej sypialni przez okno. Broniłam się. Pan nie wierzy? — Zwiesiła głowę i szkarłatny rumieniec zabarwił jej policzki, blade jakby po bezsennej, męczącej nocy. — Pan wie wszystko, nie ma potrzeby, nie ma sensu kłamać. A więc tak! Byłam odurzona w pierwszej chwili. Pan rozumie... są chwilę, kiedy kobieta jest jak dojrzały owoc; wystarczy, by rękę wyciągnął ktokolwiek. Przeszłam to tej nocy, przyznaję. Ale potem ocknęłam się i byłam gotowa walczyć na śmierć i życie. Pan mi dopomógł do zwycięstwa. Niechże pan nadal pozostanie prawdziwym gentlemanem, który potrafi zapomnieć. Niech pan nie robi już więcej takich aluzji, jak dzisiaj przy stole. To niładnie. Zatem, drogi monsieur Lapin, czy mogę liczyć na pańską dyskrecję?

Pochlebiło mu jej zalotne spojrzenie, jej ton błagalny, pokorny, więc wspaniałym gestem wyciągnął prawicę i mocnym uściskiem przypieczętował uroczyste zapewnienie, że będzie milczał jak grób. Muskając dłonią przyprawiony wąsik, spoglądał na smukłą sylwetkę dziewczyny, póki mu nie zniknęła poza zakrętem korytarza. — Leci na mnie w sposób wyraźny — pochlebił sobie. — Żeby nie przyjaźń z Solarskim, hum... to ja bym także spróbował wyciągnąć rękę po „dojrzały owoc". Powiada przysłowie: *bierz, Michale, co Bóg daje.* Hm, więc?

Po namyśle doszedł jednak do przekonania, że opowiadanie Wiery nie było zmyślone i obliczone na uwiedzenie takiego adonisa jak on, Rafał Królik!

— Wprawdzie to stara jak świat metoda, że niewiasta, chcąc wzburzyć krew statecznemu mężowi jak, na przykład, ja, opowiada mu w zaufaniu prawdziwe lub zmyślone historyjki o

zalotach wielbicieli, ale ta ponętna szelma nie kłamała tym razem. Nie! Ja się znam na tym! Ona naprawdę przeżyła jakąś niezwykłą przygodę tej nocy, ktoś przybiegł jej z pomocą w krytycznym momencie, a ona przypuszcza, że to ja. Krótko mówiąc, uderzyłem w stół i odezwały się od razu trzy pary nożyc: sir James, Patrick i Wiera. No tak, lecz ja bym wolał, żeby się wreszcie odezwały te najsłodsze nożyczki, Daisy!

Nie czekał na to zbyt długo. Spotkał mistress Rindley na długim balkonie i otrzymał z jej rąk... gruby tom utworów Szekspira.

— Pytał pan kiedyś o tę książkę — rzekła, patrząc mu w oczy znacząco — więc proszę, oto jest, przeczytaliśmy już to, co nas interesowało.

Mówiła głośno, swobodnie, licząc się zapewne z tym, że Rusanow słyszy każde słowo, gdyż siedziała tuż przed otwartym oknem jego pokoju.

Rafał podziękował, przeszedł na drugi koniec balkonu i, jak słusznie przewidywał, znalazł w książce kartkę z następującym zapytaniem:

Muszę z Panem pomówić bez świadków, będę czekała dzisiaj o piątej w przystani jachtów przy końcu grobli; czy miejsce i czas Panu odpowiadają?

Kartkę zniszczył, przemaszerował raz jeszcze przez całą długość balkonu, a mijając Daisy, wyciągniętą na leżaku, rzucił szeptem:

— Dobrze, przyjdę.

Stawił się w umówionym miejscu dwadzieścia minut przed piątą, aby z ukrycia obserwować zachowanie nadchodzącej, ale przedtem jeszcze odbył małą wycieczkę do hotelu, w którym mieszkał ów kulejący Jack. Przed stanowczą rozmową z Daisy chciał koniecznie dowiedzieć się czegoś bliższego o jej tajemniczym przyjacielu, którego świetlane sygnały przejął już w pierwszą noc spędzoną pod gościnnym dachem narwanego sir Jamesa.

Mistress Rindley przyszła punktualnie, a jej zachowanie nawet Rafałowi, nastrojonemu na nutę nieufności, nie dało powodu do jakichkolwiek podejrzeń.

— Stawiłem się, jestem do pani dyspozycji — zaczął urzędowo — i zapytuję, czym mógłbym pani służyć.

— Czy mogę być szczera?

— Proszę o to gorąco,

— Zatem powiem krótko, przyszłam tu z wielką prośbą do pana.

— Mianowicie? — spytał łagodniej, topniejąc w cieple jej spojrzeń.

— Mianowicie, żeby pan, jako prawdziwy (w co nie wątpię) gentleman, zaniechał w przyszłości tych aluzji, niedomówień, przycinków, jakimi mnie pan dzisiaj tak udręczył, a w zamian za to powiedział mi teraz otwarcie...

Urwała w pół zdania, nie znajdując potrzebnych słów, lecz i ten początek przemówienia wystarczył, by wzruszyć Rafała. — Udręczyłem ją, powiedziała, słodkie biedactwo — myślał ze skruchą i równocześnie gromadził w pamięci bezlik wyrazów, przenośni, porównań, najczulszych nazw, pieszczotliwych określeń i tym podobnych rodzynków, potrzebując ich do kwiecistych oświadczyn, jakimi miał za chwilę uraczyć piękną Angielkę,

— Powiem wszystko otwarcie — zaczął głosem, zardzewiałym ze wzruszenia — prosiła pani o szczerość dobrze, ja także będę szczery i…

— Jaki piękny jacht — wtrąciła, nie słysząc zapewne tego wstępu.

Odwrócił głowę niechętnie i krytycznym wzrokiem obrzucił zgrabny, parowy jacht, który mijał właśnie cypel kamiennej grobli.

— Taki sobie — mruknął — ale teraz proszę uważać, droga mistress Rindley... Są chwile

w życiu ludzkim, żeeee... — Umilkł. Jakby ze snu nagle wyrwany, mrugał i zdrętwiały z przerażenia spozierał w jeden z bocznych iluminatorów jachtu; tam, w małym okrągłym okienku zamajaczyła mu z przeklętą wyrazistością twarz, której nie spodziewał się tu ujrzeć w chwili tak dlań uroczystej. I nie chciał jej zobaczyć już więcej w życiu: och, nie!

— Słucham pana, monsieur Lapin.

— Nie, nie... innym razem... przypomniałem sobie, że mam coś ogromnie pilnego do załatwienia... Och, zaraz pocztę mi zamkną — łgał niezręcznie i w roztargnieniu patrzał na tylną kopertę zegarka.

— Zatem chodźmy, możemy porozmawiać przez drogę.

— O, widzi pani — ucieszył się, lecz stwierdził niebawem, że natchnienie prysło, a krasomówcze rodzynki rozleciały się na cztery wiatry. Na dobitkę w połowie grobli, poniżej miejsca, gdzie przybijał do molo nowo przybyły jacht, spotkali Borysa Lapina. Moskal, który niejednokrotnie był u Rusanowa i znał panią Rindley, złożył jej grzeczny ukłon, lecz na Rafała spojrzał jakoś dziwnie. Wprawdzie dzisiejszy *monsieur Lapin* z wąsikiem i faworytami à la Rudolf Valentino[1], i z zielonymi okularami, nie przypominał z twarzy owego agenta, którego spławili w Wiśle, ale charakterystyczna sylwetka lub może chód znajomy zainteresowały Borysa i spowodowały to badawcze spojrzenie, które dobiło biednego Rafała.

— Tu się pożegnamy — rzekł, skoro zbliżyli się do miejskiego kasyna — ale muszę z panią dziś jeszcze pomówić. Muszę! Najlepiej wieczorem... u mnie!

— U pana? — Zgorszyła się wyraźnie.

— Tak, u mnie! — powtórzył z naciskiem. — To znaczy w tym samym pokoju, który zajmował aż do wczoraj mister Jack Lear! — Zauważył, że zbladła, więc kuł żelazo na gorąco. — Sądzę, że nie będę potrzebował dawać świetlnych sygnałów, ani udawać głosu psa pod balkonem. Krótko mówiąc, droga mistress Rindley wiem wszystko, i leży w pani interesie, abym nie doznał zawodu. Byłoby mi niewymownie przykro, gdyby mnie pani zmusiła do użycia represji!

Prześladowany wspomnieniem jachtu i czując za plecami Borysa, nie panował dłużej nad wzburzeniem ani nad językiem. I gdy Daisy, dotknięta tonem, jakim do niej przemawiał, oświadczyła ironicznie, że się namyśli jeszcze, czy skorzysta z tak „uprzejmego" zaproszenia, wybuchnął:

— Jeżeli pani nie przyjdzie do godziny dziewiątej, odbędę jutro małą konferencję z człowiekiem, na którym, o ile mogłem zauważyć, bardzo a bardzo pani zależy; mam na myśli profesora Rusanowa!

— Ach, nawet szantaż ma pan w repertuarze — rzekła ozięble.

— To nie jest szantaż, ale ultimatum człowieka, który kocha panią do szaleństwa, człowieka silnego, który nie cofa się przed niczym, w myśl zasady, że cel uświęca środki! A więc? Mogę liczyć na pani wizytę?

— Dobrze — rzuciła twardo. Ledwie musnęła dłoń Rafała przelotnym dotknięciem swych palców, skinęła mu niedbale głową i odeszła.

Dzisiejszego „anioła stróża" zgubił bez trudu, gdyż Borys szukał Wiery w tych miejscach, w których spotykał ją w Cannes zazwyczaj i, pragnąc gorąco tego spotkania po wypadkach ostatniej nocy, nie zamierzał tracić cennego czasu na inwigilację jakiegoś tam jegomościa o mizernej postaci. Tak więc odzyskał rychło Rafał swobodę ruchów. Potrzebował jej, zamierzając upiększyć swoją garsonierkę, będącą na razie szablonowym pokojem w średnim hoteliku. Około ósmej wieczorem wkroczył tam objuczony pakunkami i przede wszystkim rozpoczął pertraktacje z portierem hotelowym.

— Przed dziewiątą przyjdzie tu pewna młoda osóbka, którą, być może, zaangażuję w

charakterze osobistej sekretarki. Proszę jej zatem nie meldować, ale od razu ją posłać do mojego pokoju.

— Hm, widzi pan... — Cerber hotelowy rozłożył ręce na znak, że rad by gościowi nieba przychylić, aliści regulamin stoi temu na przeszkodzie. — Zasadniczo powinien pan rozmówić się z tą osobą w hallu albo obok, w czytelni — zauważył, po czym z wielkim zainteresowaniem zaczął śledzić linię życia na wewnętrznej stronie swojej dłoni. Rafał zrozumiał, nakrył co prędzej linię życia trzema biletami po dziesięć franków i sprawa była załatwiona.

— Zatem, skoro ta dama powie nazwisko *Lapin*, zechce ją pan skierować do mnie bez wszelkich trudności... Aha, jeszcze jedno; czy przyniesiono z kwieciarni kosz kwiatów?

Kwiaty już były w pokoju, który też niebawem przemienił się w małą oranżerię, a pachniał jak sklep z perfumami. Rafał, odziany w płomienną piżamę, zakupioną dzisiaj „na oko" i przeto troszkę za przestronną, z potężnym rozpylaczem w dłoniach, krążył wzdłuż i w poprzek swej „garsoniery", wstrzykując powietrzu rozrzutne dawki perfum. Spoza otomany wyzierały zaciekawione łebki butelek, stolik przy łóżku zdobiła złota piramida z pomarańcz, a na większym stoliku czekały bardziej konkretne przysmaki, z kawiorem na honorowym miejscu. Rafał ogarnął wszystko okiem wodza, który za chwilę ma dać sygnał do generalnego ataku, i pomarańcze przykuły jego wzrok, odświeżyły wspomnienia wydarzenia na pozór błahego, a jednak denerwującego, jeśli je zestawić chociażby ze spotkaniem na molu. Wychodził właśnie ze sklepu z owocami, kiedy przejeżdżająca limuzyna stanęła tak nagle, że jej tył lekko zarzuciło na wyślizganym asfalcie. Nie przywiązywał do tego początkowo żadnej wagi, ale potem, kiedy spotkał ową limuzynę coś z pięć razy, zawsze czekającą w pobliżu sklepu, w którym załatwiał sprawunki, kiedy ujrzał, że snuje się za nim nieustannie, uczuł dziwny niepokój w sercu.

— Ta banda znowu się mną interesuje — przypuszczał, mając na myśli Laksbergera, Borysa i zbirów im podległych. — Żebym już raz odnalazł Solarskiego — westchnął — ale cóż, zawieruszył się gdzieś szelma, a ty, człowieku haruj, czuwaj nad Wierą, śledź profesora, narażaj życie co godzina. Oto los!

Byłby się może rozczulił nad własną niedolą, gdyby nie „przypadkowe" spotkanie z butelką koniaku. Kilka łyków wzmocniło jego odwagę i pchnęło myśli na tory bardziej pogodne. Na najpogodniejsze.

— Daisy — mruknął, oblizując się bez widocznej po temu przyczyny, i podszedł do telefonu. Dał portierowi instrukcję, aby do niego zadzwonił na górę, skoro oczekiwana dama nadejdzie. — Przy końcu naszej rozmowy popadłem trochę w niełaskę — rozmyślał, krążąc po pokoju — no, ale naprawimy to, naprawimy. Temperamentu ci Bozia nie poskąpiła — przyznał swemu odbiciu w zwierciadle. Potem stwierdził na zegarku, że zaledwie dziesięciu minut brakuje do dziewsiątej. — Co porabia teraz moje słodkie dziewczątko? — myślał rozmarzony.

A w tej samej chwili *słodkie dziewczątko* wkładało do torebki rewolwer małego kalibru i wąski indyjski sztylet, ostry jak brzytwa. — Powiedziałeś, że cel uświęca środki. Dobrze! Spamiętałam to, mały, cyniczny łotrze — wyszeptała pani Rindley i wyszła chyłkiem z willi sir Jamesa Rabbita.

Duża wskazówka muskała już rzymską dwunastkę, gdy zaterkotał dzwonek.

— Monsieur Lapin? Ta dama już przyszła — oznajmił portier.

Rafał wykonał bajeczne salto z radości, omal nie ucałował słuchawki przy aparacie telefonicznym, a potem rzucił się na wznak na otomanę, niedbale skrzyżował nogi, zaś ręce zaplótł na karku. I czekał, słuchając z rozkoszą bicia własnego serca.

— Znam te dreszczyki — wyszeptał, przeciągając się lubieżnie. — Ileż to razy przeżywało się podobne momenty? — wmawiał sobie.

Zapukano do drzwi leciuteńko, nieśmiało.

— Entrez s'il vous plait! — Wyśpiewał nieomal te słowa, zaklął w nie bezmiar tkliwej czułości, tęsknoty, łagodnej wymówki za długie minuty oczekiwania, i przebaczenie, i obietnicę pieszczot, wyuzdanych, gorących jak lawa!

Drzwi uchyliły się na decymetr, a w wąskiej szparce zatrzepotała zalotnie damska rączka obciśnięta w zamsz rękawiczki.

Rafał sfrunął z otomany, niczym motyl z kwiatu, popędził ku drzwiom i wpił się ustami w pachnącą skórę rączki, zdzierając szybko rękawiczkę. Całował żarłocznie i wciągał równocześnie do pokoju punktualnego gościa, nie odrywając oczu, nie podnosząc ich w górę. Był przemile rozczarowany. Spodziewał się, że będą dąsy, kwasy, długie rozhowory, opór mniej lub bardziej obłudny, tymczasem nic z tego, ona sama rozpoczęła schadzkę „na gorąco". Przejęty wdzięcznością za takie powitanie, podniósł wreszcie oczy i… skamieniał!

Przed nim stała oparta o drzwi, które się właśnie zatrzasnęły... lady Dorothy Rabbit! Ona, we własnej osobie, i jej dłoń przed chwilą całował tak namiętnie...

— Jesteś wreszcie, darling — rzekła, a w głosie jej zawibrowała ogromna radość człowieka, który po długich poszukiwaniach odnalazł bezcenną zgubę. — Jesteś, maleńki mój — szczebiotała, ściągając drugą rękawiczkę.

— Nie ma mnie! — wrzasnął Rafał. Odwrócił się, zoczył czarny prostokąt okna i runął weń brawurowym skokiem, wiedząc, że tam jest mały balkonik.

Ale Dorothy Rabbit nie wiedziała o istnieniu balkonu i padła na otomanę, jęcząc rozdzierająco:

— Zabił się! Wyskoczył na bruk!

— Na bruk skakać nie myślę — mruknął pechowy donżuan, i upewniwszy się, że rynna utrzyma jego ciężar, zaczął się po niej zsuwać co prędzej. Po szczęśliwym przebyciu dwóch metrów przystanął niezdecydowany. Okna tej ściany budynku wychodziły na małe podwórko hotelowe graniczące z ogrodem sir Jamesa; po owym dziedzińcu uganiały dwa psy, które już zwietrzyły gentlemana opuszczającego hotel tak niezwykłą drogą i głośnym szczekaniem zapewniały go, że przyjęcie z ich strony będzie gorące. W słusznej obawie o całość własnych łydek i nowej piżamy, postanowił Rafał wybrać trzecią drogę, mianowicie przez mieszkanie sąsiada z pokoju na wysokim parterze.

— Nie ma go w domu, bo ciemno — wnioskował, zeskakując na bliźniaczo podobny balkonik. Drzwi były zamknięte, lecz ustąpiły, gdy nacisnął klamkę. Wszedł i cofnął się natychmiast, uderzony charakterystycznym zapachem gazu świetlnego. Lecz u stóp balkonu szalały wierne psy, z pierwszego piętra dobiegały echa głośnej rozpaczy lady Dorothy i nie pozostało nic innego, jak przemaszerować przez „zagazowane" mieszkanie. Rad nie rad, Rafał odemknął na oścież drzwi balkonowe, potem okno, do którego dobrnął po omacku, a odnalazłszy taster na ścianie, zapalił światło.

— Rany boskie!... Zaczadził się gość — jęknął, ujrzawszy na łóżku pod zwiewnym baldachimem moskitiery rosłego mężczyznę, który leżał grzbietem do góry i ani nie drgnął, mimo że w czasie poszukiwań tastra runęło krzesło, i mimo że światło zapalono. — Aha, to stamtąd tak śmierdzi... naturalnie z łazienki! — Rafał odgadł trafnie. W łazience był piecyk gazowy, a kurek przy nim otwarty. Zamknąwszy kurek oraz drzwi od łazienki, pośpieszył Rafał do zaczadzonego, ściągnął go bez ceremonii z łóżka i z wielkim wysiłkiem powlókł go za nogi w stronę drzwi od balkonu. Położywszy go tam, porwał słuchawkę z widełek i przez telefon zaalarmował służbę. Szczęśliwym trafem wśród gości hotelowych było kilku lekarzy i jednego z nich przywołano natychmiast. Poczciwy eskulap zgorszył się na widok roboty „pogotowia ratunkowego", które użyczyło nieszczęśnikowi pierwszej pomocy.

— Jak można układać człowieka twarzą do podłogi — rzekł.

— Tak leżał na łóżku i tak go tu przyciągnąłem. — wyjaśnił Rafał.

— Pomóż mi go pan przewrócić na wznak… Powoli, panie kochany, powoli, to nie manekin, tylko człowiek — upominał, widząc gorliwość pomocnika.

Odwrócili tamtego i Rafał wydał okrzyk zdumienia i zgrozy:

— Porucznik Juliusz Solarski! — zawołał. — Struli go... Struli.

---

[1] Rudolf Valentino (1895-1926) – włoski aktor filmowy, gwiazdor kina niemego.

Rozdział XXI

UROCZYSTE PRZYRZECZENIE

Daisy Rindley zameldowała się u portiera mniej więcej w tym momencie, gdy Rafał wkraczał do pokoju porucznika Solarskiego i poczuł gaz.

— Monsieur Lapin? Owszem, mieszka u nas, tylko… tylko... — cerber hotelowy zmrużył oko łobuzersko — tylko że tam już jest jedna dama!

— Cóż mnie to obchodzi — wzruszyła ramionami. — Umówiliśmy się o tej porze, więc przyszłam. Może by pan Lapin mógł zejść do
hallu na chwilę?

— Zapytam, proszę pani — odparł, chwytając słuchawkę. Posłyszawszy stłumione *hallo* i sądząc, że rozmawia z samym panem Lapinem, obwieścił jednym, tchem nowinę o przybyciu drugiej damy. Co w odpowiedzi usłyszał, Daisy nie dowiedziała się nigdy, zauważyła tylko, że zgiął się w pałąk, poczerwieniał jak rak po kąpieli we wrzątku i przestępował z nogi na nogę niecierpliwie. Wreszcie odłożył słuchawkę i spojrzał na piękną kobietę... współczująco!

— Jaką odpowiedź dał monsieur Lapin? — spytała Daisy.

— Ba, to nie był on, tylko ta pierwsza dama, pewnie go nie dopuściła do telefonu. No, a jaką ona dała odpowiedź, to już wolę nie powtarzać. Ale po życzliwości radzę pani tutaj nie czekać. To musi być herod-baba... herod! Jeśli się nie mylę — ciągnął dalej, wpatrując się uważnie w twarzyczkę Daisy, ocienioną woalką, to ja tutaj już panią widziałem kiedyś.

— Nie myli się pan — odrzekła chłodno. — Odwiedzałam kilkakrotnie kuzyna, mister Jacka Leara, kiedy tu mieszkał... Zechce pan zatem oświadczyć panu Lapinowi, że stawiłam się punktualnie i... odeszłam.

Opuściła hotel w chwili, gdy Rafał wszczął alarm, że znalazł człowieka odurzonego gazem świetlnym w pokoju numer 17, na parterze, i postanowiła pospacerować na deptaku nad morzem, zanim powróci do willi. W pewnej chwili, gdy mijała werandę jakiejś kawiarenki, zelektryzowało ją nazwisko *Rusanow*. Przystanęła, obejrzała się. Przy stolikach rozprawiano z ożywieniem i raz po razu padały słowa takie jak: *Stalingrad*, *Rusanow*, *wywiad*, *Sowiety*. Koło pomnika Edwarda VII posłyszała podobny strzęp rozmowy w blasku elektrycznych latarń i nazwisko *Rusanow* znowu brzęczało w powietrzu. Zaintrygowana podeszła do najbliższego kiosku i zakupiła cały plik gazet, po czym zabrała się do ich przeglądania pod jasno oświetloną wystawą jakiegoś magazynu. W pismach paryskich nie znalazła nic takiego, co by usprawiedliwiało powrotną falę zainteresowania się osobą profesora Rusanowa. Nic dziwnego ostatecznie, gdyż były to dzienniki wczorajsze, dzisiejsze mogły nadejść dopiero nazajutrz. Za to mały prowincjonalny dzienniczek nicejski przynosił na frontowej stronicy sensację, w formie ostatniej depeszy od własnego korespondenta w Paryżu. Było to chaotyczne streszczenie oficjalnego komunikatu, wydanego przez Sowiety w odpowiedzi na ponowny atak „prasy burżuazyjnej” w sprawie Stalingradu.

Daisy zainteresował szczególnie ustęp końcowy, który brzmiał:

Profesor Rusanow przebywa we Francji od blisko trzech miesięcy. Ostatnio uległ nieszczęśliwemu wypadkowi w czasie wycieczki autem, złamał nogę i mieszka w willi sir Jamesa Rabbita w Cannes.

Stan zdrowia naszego uczonego poprawił się na tyle, że może już udzielić prasie wywiadu i zaspokoić ciekawość tych, których odurzył „Gaz 303" wynaleziony przez chory umysł Karola Webera, zbiega z zakładu dla umysłowo chorych w Mińsku.

Nie wątpimy, iż rzeczowe wyjaśnienia uczonego, którego nazwisko zna cały świat kulturalny, położą wreszcie kres bezsensownym plotkom o przygotowaniach wojennych SSSR.

Pani Daisy Rindley przeczytała ten ustęp dwukrotnie i uśmiech szczęścia zabarwił jej słodką twarzyczkę.

— Nareszcie — westchnęła z przeogromną ulgą — nareszcie mogę działać!

Powróciła do willi, a po krótkiej naradzie z sir Jamesem, udała się na piętro i zapukała do drzwi pokoju Fiodora Rusanowa. Profesor zapisywał coś w notatniku, który zawsze spoczywał pod poduszką i był dla domowników czymś w rodzaju tabu, co szczególnie drażniło Patricka, ilekroć sprzątał ten pokój. Jak zwykle, tak i tym razem tajemniczy notes powędrował pod poduszkę, skoro rozległo się pukanie.

— Daisy!... Jaka przemiła niespodzianka — ucieszył się profesor. Tylko na nią nie potrafił się gniewać, kiedy mu przeszkodziła w rozmyślaniach i w konspiratorskim sam na sam z notatnikiem. — A, pięknie! Narzeka się na migrenę, pozbawia się chorego starca przyjemności słuchania melodyjnego głosiku, ale spać się nie poszło — groził jej żartobliwie. — Za karę będzie mi pani czytała Shelleya aż do północy, zgoda? Albo rozmawiajmy.

Nie wysunęła się ze sfery cienia i demonstracyjnie zamknęła tom poezji Shelleya, które czytywała profesorowi co wieczór.

— Owszem, porozmawiajmy — odparła ozięble. — Będzie to zresztą nasza ostatnia rozmowa, panie... Sacharow!

Dopiero teraz spostrzegł, że coś zaszło, że jakaś niecodzienna przyczyna spowodowała późną wizytę Daisy. Usiadł na łóżku gwałtownie.

— Ostatnia rozmowa? Nie rozumiem. Pani wyjeżdża? — zapytał, a w jego głosie nietrudno było wyczuć zaniepokojenie i smutek.

— O wyjeździe na razie nie myślałam — wycedziła chłodno — skoro jednak chce pan wiedzieć dlaczego uznałam za stosowne zakończyć naszą znajomość, to proszę przejrzeć ten dziennik; mój kuzyn przyniósł go przed chwilą z miasta. — Rzekłszy to, podała profesorowi egzemplarz gazety nicejskiej i cofnęła się natychmiast w stronę swojego krzesła, udając, że nie spostrzega wyciągniętej ku sobie dłoni.

Fiodor Rusanow musnął wzrokiem tylko nagłówek sensacyjnej depeszy z Paryża i, widocznie uspokojony, odłożył dziennik na kołdrę.

— Ach, więc o to chodzi — powiedział swobodnie. — Pani i jej kuzyn, sir James, czujecie do mnie żal, iż przedstawiłem się pod fałszywym nazwiskiem *Sacharow*. Przepraszam serdecznie za to małe oszustwo, lecz powinniście państwo zrozumieć, że ta mistyfikacja leżała także i w waszym interesie! Mówiłem pani kuzynowi, kiedy mnie znalazł na szosie w pamiętną noc mojej ucieczki, że mam potężnych wrogów tu blisko, niemal w sąsiedztwie.

— Czy teraz ich pan nie ma? — wtrąciła popędliwie.

— Owszem, ale obecnie mam i sprzymierzeńców, którzy dniem i nocą czuwają nad bezpieczeństwem moim i waszym.

Wzdrygnęła się.

— Boże, więc jesteśmy tu śledzeni, szpiegowani, może nawet w mieszkaniu! To straszne

— mamrotała niby to do siebie, lecz w rzeczywistości tak, że profesor Rusanow nie mógł tego nie słyszeć.

— W mieszkaniu, nie; za to ręczę. Niemniej jestem przykrym intruzem w waszym słonecznym *home* — zauważył smętniej — ale to już niedługo potrwa. Wyobrażam sobie, jak bardzo dotknięty musi się czuć szlachetny sir James; ofiarował gościnę nieznanemu człowiekowi, a ten...

— …a ten nie obdarzył go zaufaniem, nie wyjawił swego prawdziwego nazwiska! — dokończyła z wyrzutem.

— Trudno. Stało się. Jutro skomunikuję się z moimi ludźmi i, być może, iż ostatnią noc spędzam pod waszym dachem — rzekł z rezygnacją.

Daisy zrozumiała, że pora zatrąbić na odwrót. Powiedziała:

— Myli się pan, sądząc, że mój kuzynek jest dotknięty tym jawnym dowodem braku zaufania z pańskiej strony; to dobry człowiek, lecz trochę snob, a przede wszystkim dziwak. Sir James będzie się cieszył, czytając swoje nazwisko w dziennikach, może udzieli wywiadu reporterom na temat *jak poznałem profesora Rusanowa*. Tak, zapewne, to podobne do niego. Lecz ja żywię do pana głęboką urazę!

— Dlaczego, na Boga? Za co, Daisy? Chyba nie z powodu małego pogwałcenia kodeksu towarzyskiego? Nie za mistyfikację nazwisk?

— Ale za mistyfikację osób, rozumie pan? Będę szczera, bowiem nadal uważam, że widzimy się po raz ostatni... Poznałam pana, kiedy pan tutaj leżał bez ducha. Był pan ranny, obrażenie na głowie groziło komplikacjami, nie miał pan wówczas przy sobie ani córki, ani przyjaciół, nikogo, był pan biednym, cierpiącym człowiekiem, osamotnionym, ściganym przez tajemniczych wrogów, o których mi narwany kuzynek zaraz na wstępie opowiedział. Cóż tedy dziwnego, że ogarnęło mnie serdeczne współczucie, które zawsze rodzi sympatię? Czuwałam przy panu, budziłam się w nocy za lada szelestem, sądząc, że zagraża panu jakieś niebezpieczeństwo. Dwie noce spędziłam w fotelu pod pańskimi drzwiami. Nie, proszę mi nie dziękować wzrokiem, nie po to to mówię, nie chcę pańskiej wdzięczności! Każda kobieta na moim miejscu zachowałaby się tak samo.

— Nie każda, Daisy... Nie każda — wtrącił wzruszony.

— Każda! — tupnęła nogą. — Każda prawdziwa kobieta; nie mówię oczywiście o tych istotach bez serca które kochają tylko siebie i swoją urodę. (Przerwał mi pan niepotrzebnie)... A potem, odzyskał pan przytomność, wracał do zdrowia, zaczęły się nasze długie rozmowy... niezapomniane! — dodała cicho, ale nie za cicho! — Poznałam, że mam do czynienia z człowiekiem nie tylko wszechstronnie wykształconym, wysoce kulturalnym, posiadającym własny, oryginalny sąd w każdej omawianej sprawie, ale... co, jako kobieta, na równi cenię... człowiekiem uczuciowym, wrażliwym na piękno, i dobrym, dobrym, dobrym na wskroś, nie znającym fałszu, nienawidzącym zła! To nie są komplementy, mój panie. Przy pożegnaniu możemy sobie prawdę wygarnąć w oczy. Czynię to właśnie, oświadczając, że podszedł mnie pan, zwiódł, oszukał!

— Nie rozumiem doprawdy — bąknął, nieco oszołomiony rwącym potokiem jej słów, tak nieoczekiwanych, miłych, a przecież kryjących w sobie niebezpieczeństwo nagłej rozłąki, o której wciąż wspominała. — Czy przez to, że nie nazywam się Sacharow zmieniło się cośkolwiek? Czy istnieje rzecz bardziej przypadkowa niż nazwisko?

— Tak! — rzuciła twardo. — Zmieniło się. Profesor Rusanow, tak się pan nazywa w rzeczywistości, prawda? A herszt katów stalingradzkich, którzy dziesiątki tysięcy wolnych ludzi traktują jak niewolników, jak bydło, którzy gotują zagładę milionom, Europie, może światu, którzy wysilają całą swą wiedzę, zdolności w tym kierunku, by wynaleźć nowe potworne środki

tortur, nową broń morderczą, słowem herszt zbrodniarzy, jest dla mnie co najmniej takim samym przestępcą, jak oni, jego uczniowie, pomocnicy! I dlatego powtarzam, zwiódł mnie pan, maskował się pan, grał rolę uczciwego człowieka, bo osławiony profesor Rusanow nie może w gruncie rzeczy posiadać żadnej z zalet, jakie z radością, którą dziś potępiam, odkrywałam w rzekomym Sacharowie.

Rosjanin słuchał cierpliwie. Z początku, gdy go nazwała hersztem katów stalingradzkich, zmarszczył się i spochmurniał. Lecz trwało to krótko. Pomyślał sobie w duchu, że widocznie każda kobieta, nawet Daisy, jest po trochu histeryczką i należy jej wybuch potraktować z dużą wyrozumiałością.

— Kochany, wielki dzieciaku — ozwał się pobłażliwiej — ponieważ widzę, że panią także odurzyły te bajki o Stalingradzie, będę z panią dyskutował tak, jak gdyby wszystko to, co wasze gazety skomponowały, było szczerą prawdą. Powiedzmy więc, że istnieje ów Stalingrad, owa *kuźnia śmierci*, że terrorem zmuszamy tam kilkadziesiąt tysięcy ludzi do morderczej pracy, traktując ich jak niewolników. Powiedzmy, że tak jest. Dobrze. Była pani w Egipcie?

— Owszem — bąknęła, zdziwiona takim przeskokiem.

— I podziwiała pani piramidy, wielbiła pani potężnych faraonów, prawda? A czy przyszło pani na myśl kiedykolwiek, że nie dziesiątki, ale setki tysięcy niewolników zginęło przy budowie każdej takiej sterty kamieni, bezproduktywnej i...

— Bezproduktywnej — wtrąciła szybko — niech będzie, ale lepsze to, niż narzędzie śmierci, jakie produkuje pański Stalingrad!

— Cel uświęca środki — mruknął dla przekory.

— Jaki cel? Wojna, największa ze wszystkich zbrodni!

— Wojna dla nas jest także tylko środkiem, podobnie jak rewolucja światowa.

— Wojna chemiczna, Boże — myślała głośno — barbarzyńska, straszna...

— Barbarzyńska? Przeciwnie, najbardziej humanitarna, bo krótkotrwała. Wolałaby pani, by wróciły czasy wojen siedmio- lub trzydziestoletnich? Czasy wieloletnich oblężeń miast, głodowania, czasy niegojących się ran, kalectw, pochodów, odwrotów, nocnych ucieczek, gwałceń, rzezi? Och, z tym skończone na zawsze! Wojna będzie trwała kilka tygodni, będzie prawie bezkrwawa, a...

— Ale zginą ludzi miliony!

— Cóż znaczy milion albo dwa, trzy, kiedy chodzi o całą ludzkość, o jej przyszłość, o zwycięstwo idei sprawiedliwości, o nasz cel? — Tu, korzystając z zadumy, w jaką Daisy zapadła, wygłosił dłuższy referat na temat ideologii komunizmu. W końcu, widząc, że słucha go z pewnym zgorszeniem, zstąpił z obłoków abstrakcyjnych pojęć i z dobrotliwym uśmiechem zapytał, czy jest w domu jaka Biblia. — Sir James, jako szanujący się Anglik, powinien ją chyba mieć tutaj — zauważył.

— Owszem, jest nawet kilka egzemplarzy.

— Doskonale. Zamawiam sobie na jutro najstarszy egzemplarz, w którym można by troszkę gryzmolić ołówkiem. Niechże mi go pani przyniesie, abym mógł pewne ustępy z Nowego Testamentu popodkreślać.

— Na co? — zdziwiła się.

— Na to, żeby panią przekonać, iż nasza ideologia nie może być tak szatańską, jak bredzi wasza prasa, skoro pierwszym dzielnym komunistą na świecie, był... Chrystus! Proszę czoła nie marszczyć, droga mistress Rindley. Nie zamierzam obrażać jej uczuć religijnych. Niechaj dla pani Chrystus zostanie zawsze Bogiem, jak dla mnie jest prorokiem, mędrcem, świetlaną postacią, nadczłowiekiem, z którym dwóch tylko synów naszej planety zestawiam.

— Mianowicie? — wyszeptała, bo ciekawość przemogła w niej lęk, że jakieś

bluźnierstwo posłyszy.

— Mianowicie Buddę i... niech się pani tylko nie przerazi, droga Daisy, i... Lenina.

Wzdrygnęła się, ale nie odrzekła ani słowa. Zresztą uważała całą dotychczasową dyskusję za zło konieczne, za niezbędny środek do rozwiązania języka profesorowi, który do dnia dzisiejszego, jako rzekomy Sacharow, unikał skutecznie rozmów na temat swoich przekonań politycznych.

— Niech się rozgada, niech nabierze zaufania do mnie, niech mnie uważa za głupią gęś, byle mówił, bylem się wreszcie dowiedziała! — szeptała i upominała się w myśli, by nie popełnić jakiej nieostrożności, nie zdradzić swoich pragnień i troski, która ją żarła od lat; troski o ukochanego człowieka, który zaginął na pograniczu Bolszewii w podobnie tajemniczych okolicznościach, jak głośni dzisiaj, dzięki rewelacjom Karola Webera, Anglik Maitland i Smith, Amerykanin.

— Zejdźmy z tej drażliwej platformy, profesorze — odezwała się, stukając nerwowo korkiem o podłogę, jakby chciała w ten sposób zamanifestować swoje niezadowolenie — mówmy, raczej o sprawach mniej abstrakcyjnych... na przykład o pańskim Stalingradzie!

— Zgoda. Cóż jeszcze mam pani powiedzieć o „moim" Stalingradzie?

— Choćby tyle, ile dowiedzą się od pana reporterzy różnych pism, którzy zwalą się tutaj hurmem już jutro zapewne.

— Och, z nimi załatwię się szybko, nie myślę sobie na próżno strzępić języka. I czasu mi szkoda. Powiem im tak mniej więcej: Moi panowie! Cokolwiek bym wam tutaj oświadczył, nie uwierzycie i tak. Więc raczej wybierzcie z waszego grona kilkunastu delegatów, najlepiej po jednym na każdą narodowość, i ci gentlemani odbędą ze mną piękną morską wycieczkę do Odessy, stamtąd koleją do Moskwy, aby na miejscu przekonać się naocznie, jak wygląda ten nieomal legendarny Stalingrad. Zaopatrzcie waszych kolegów w aparaty fotograficzne i filmowe, żeby i najszersze koła waszych czytelników mogły poznać prawdę. A potem, po jakimś tygodniu… nie wiem zresztą, jak długo potrwa urzędowanie tej dziennikarskiej komisji, gentlemani delegaci wrócą przez Polskę czy górą, przez Bałtyk, i zaspokoją do reszty waszą ciekawość. Uważam, że jest to najprostsze wyjście z labiryntu bajek, legend, plotek i rozdmuchanych łgarstw. Mnie nie uwierzylibyście na pewno, lecz własnym oczom chyba uwierzycie... Co pani sądzi, mistress Rindley, dobra odpowiedź?

— Jak to, więc nie udzieli im pan wywiadu? — zdumiała się.

— Ani mi się śniło.

— A rząd pańskiej ojczyzny zaaprobuje projekt takiej wycieczki dziennikarskiej?

— Między nami mówiąc, droga przyjaciółko, to sprawa tej wycieczki jest już od kilku dni postanowiona. Jutro, pojutrze będę mógł pani służyć bliższymi informacjami.

— Ach, Boże, jakże żałuję teraz, że nie jestem dziennikarką, — westchnęła bardziej szczerze, niż to było wskazane.

— Czyżby panią interesował kraj tak „barbarzyński", jak moja ojczyzna? — zapytał, maskując ironią wzruszenie, jakie go nagle ogarnęło.

— Czy pan nie zna Anglików? — uśmiechnęła się, aby żartobliwością pokryć to, co się działo w jej sercu. — Naszej pasji do podróżowania, zwiedzania, szukania wciąż nowych wrażeń? Ach, Rosja, Rosja! Olbrzymi kraj, zawsze egzotyczny dla nas, ludzi Zachodu, a szczególnie dzisiaj po tej wielkiej przemianie. Kraj najbardziej niedostępny, niebezpieczny! Bezkresne stepy, ogromne puszcze i rzeki nieujarzmione, dzikie, nieobliczalne jak ludzie tamtejsi! Ach, zobaczyć to, zobaczyć!... Eeech, pan się śmieje? — nadąsała się i umilkła.

Profesor Rusanow zaczerpnął w płuca potężny haust powietrza, aby przyhamować tętno serca, coraz szybsze, coraz silniejsze, oszalałe z radości, że ona, Daisy chce… chce sama, sama

się wprasza!

— Cóżbyś na to rzekła, nieodrodna córo Albionu — zaczął wesoło — gdybym tak pani zaproponował udział w owej wycieczce ichmościów reporterów?

— Niestety nie jestem dziennikarką — westchnęła z wzorową naiwnością,

— Nic nie szkodzi. Mogłem korzystać z gościny pani kuzyna, to wolno mi też zaproponować państwu maleńki rewanż. Przyjęłaby pani zaproszenie?

— Ech — obruszyła się — po co pan budzi apetyt, którego nie będzie pan mógł zaspokoić. Przecież to nie od pana zależy, a wasz rząd nie jest znów taki skory do...

— Droga pani Rindley — wtrącił szorstko i z oczu strzeliły mu płomienie urażonej ambicji; spod bolszewickiego naskórka wyjrzało właściwe oblicze nieodrodnego potomka dumnych hrabiów Rusanowów. — Zarówno jacht, jaki po mnie przybędzie tutaj, do Cannes, jak też specjalny pociąg, który będzie nas oczekiwał w Odessie, pozostawiono całkowicie do mojej dyspozycji. I ja, wyłącznie ja, zadecyduję, kto weźmie udział w tej wyprawie. Skoro zatem oświadczyłem, że pragnąłbym w liczbie mych gości mieć przede wszystkim panią i jej gościnnego kuzyna, to sprawa jest przesądzona... o ile oczywiście państwo zaproszenie raczą przyjąć. A zatem? — dodał miękko, łagodnie.

W duchu szalała z radości, ale zewnętrznie pozostała zaledwie *przyjemnie uśmiechnięta*, jakby jej ktoś w czasie deszczu parasol ofiarował.

— Muszę pomówić z kuzynem — rzekła po namyśle. — Mimo wszystko Rosja jest krajem… krajem niespodzianek i... trzeba się liczyć...

— Będziecie państwo moimi gośćmi! — przypomniał z naciskiem. — I moje nazwisko, mój honor będą stanowiły rękojmię waszego bezpieczeństwa.

Milczała. Biła się z myślami, czy na tym zakończyć rozmowę, czy ciągnąć za włosy szczęście, które się do niej uśmiechnęło po raz pierwszy od tylu, tylu lat. Bowiem siódmy rok upływał od przesmutnej chwili pożegnania....

— Daisy, podaj mi rękę.

Podeszła do łóżka, podała mu dłoń, lecz czyniła to wszystko jak gdyby we śnie; nie ocknęła się jeszcze z bolesnej zadumy, myśli jej nie powróciły jeszcze z podróży w czasie, były wciąż tam, gdzie ona była siedem lat temu.

— Daisy... a może spodoba ci się Rosja… może zechcesz tam pozostać na zawsze… przy mnie... Daisy odpowiedz, kochanie.

Siłą woli powstrzymała dreszcz trwogi, obrzydzenia. Zostać w tym piekle? Może w Stalingradzie? Cha, cha, cha, cha!

Wzdrygnęła się przerażona; była pewna, że ten zjadliwy chichot wydarł jej się z duszy i złowrogim echem obiegał kąty pokoju.

Nie! Na szczęście, nie! Bo piekły ją w dłoń gorące pocałunki i rozkochane oczy podstarzałego wielbiciela patrzyły jej w twarz błagalnie, jak przed chwilą. Więc nie słyszał tego śmiechu, nie mógł usłyszeć.

Drugą dłoń położyła mu na głowie i gładziła zwichrzone włosy...

— Powiedz, najdroższa... Czy na nowo mam cię zapewniać o mej bezgranicznej miłości? Czy nie powiedziałaś wczoraj, że nie jestem ci tak całkiem obojętny?

— Nie wiem, czy zostanę — wyrąbała nieswoim głosem. — Może... Zobaczę, jak tam jest u was. Lecz, Fiodorze... gdybym chciała tu powrócić…

— Powrócisz — przerwał — choćby mi serce pękało z bólu, stanie się według twej woli i powrócisz.

— Cokolwiek bądź by zaszło? — To pytanie wyrwało się jej bezwiednie.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem, ale bez cienia nieufności.

— Nie rozumiem — bąknął.

— Pytałam, czy pozwolisz mi wrócić bez względu na to, co by zaszło pomiędzy nami... i w ogóle. Słowem, skoro tylko zażądam.

— Obiecuję solennie i przyrzekam, najdroższa.

— Na głowę twej córki? — nalegała.

Smętny uśmieszek przewinął się po wargach uczonego.

— Kocham Wierę po ojcowsku, ale skoro mi nie ufasz, żądaj innych zaklęć — rzekł lojalnie.

— Na swoją miłość, Fiodorze, i na swój honor się zaklnij.

Spełnił jej życzenie z uroczystą powagą na obliczu.

Rozdział XXII

PUŁAPKA

Odpowiedź, jakiej profesor Rusanow udzielił reporterom, wywołała sensację i więcej pożytku przyniosła Sowietom niż wszystkie dotychczasowe oficjalne zaprzeczenia i cała ta kosztowna polemika w prasie. Może ten Stalingrad wcale nie istnieje, może wylągł się tylko w chorej wyobraźni Karola Webera, boć gdyby w tym było coś prawdy, bolszewicy nie proponowaliby chyba sami, aby grupa dziennikarzy towarzyszyła Rusanowowi w jego podróży do Moskwy i zwiedzała zakłady przemysłowe, których on jest kierownikiem — rozumowano, i czasopisma, uprawiające dotychczas najzawziętszą nagonkę na wojenne zbrojenia Rosji Sowieckiej, przycichły nagle. Lękały się ośmieszenia w wypadku, gdyby wydelegowani do Moskwy dziennikarze potwierdzili prawdziwość sowieckich oświadczeń. Stalingrad powoli schodził ze szpalt, ustępując miejsca nowej światowej sensacji, jaką był projektowany lot dokoła globu sterowca *R 104*, który miał wystartować niebawem z Anglii i zamierzał pobić rekord Zeppelina niewzruszony od lat. Stalingrad zasadniczo schodził ze szpalt, lecz jeszcze pokutował od czasu do czasu w formie krótkich notatek, wymieniających nazwiska tych, których syndykaty dziennikarskie poszczególnych państw delegowały na *moskiewską wyprawę*…

Rafał Królik reflektował z konieczności na udział w owej wyprawie; nie zwlekając, kropnął sążnisty list do Szafrana z prośbą, by *drogi Balcio poruszył wszelkie sprężyny*, aliści Związek Dziennikarzy w Warszawie rozstrzygnął inaczej i pewnego dnia dowiedział się Rafał, że przybył do Cannes niejaki pan Serafin Bobak, ażeby reprezentować Polskę w kosmopolitycznej grupie sprawozdawców, których miał Rusanow zabrać z sobą. Mały frant był w gruncie rzeczy zadowolony z takiego obrotu rzeczy, przenosząc pobyt na cudnej Riwierze i gościnę u sympatycznego sir Jamesa nad niezbyt bezpieczną i męczącą podróż po Bolszewii, ale oficjalnie zmartwił się i pośpieszył natychmiast do Solarskiego.

Solarskiego odratowano z łatwością owej pamiętnej nocy, kiedy „Putyfara" wywołała u rzekomego „monsieur Lapina" śmiertelne poty i nagłe zamiłowanie do akrobatycznych ewolucji. Po odzyskaniu przytomności porucznik zeznał wobec komisarza policji, że wypadek spowodowała jego własna nieostrożność:

— Mniej więcej o czwartej popołudniu — opowiadał wówczas — zamierzając się wykąpać, wszedłem do łazienki, otworzyłem gaz, ale spostrzegłem, że nie mam przy sobie zapałek, wobec czego wróciłem do sypialni, aby ich tam poszukać i najwidoczniej zapomniałem zakręcić kurek od gazu. Tu okazało się, że ostatnie pudełko zapałek jest puste. Najprostszą rzeczą było zadzwonić na służącego, aby mi przygotował wannę albo przyniósł paczkę zapałek, lecz... jakoś odechciało mi się tej kąpieli, ległem na łóżku i zasnąłem momentalnie. Ostatniej nocy nie zmrużyłem oka, byłem przeraźliwie śpiący, chodziłem drzemiąc niemal, nic tedy dziwnego, że mogłem zapomnieć o zakręceniu kurka.

Tak zeznał. Kiedy jednak nazajutrz znalazł się w swym pokoju sam na sam z Rafałem, poprosił go, aby mu podał z szafy popielate ubranie, które nosił tu stale, jako że było najlżejsze. Osłabłą ręką poklepał kieszeń marynarki i ku zdumieniu Rafała rozległ się dobrze znajomy

chrzęst i chrobot.

— Więc miał pan zapałki! — zawołał. — Czy pan o tym wczoraj zapomniał, poruczniku?

— Najlepszy dowód że nie, skoro mogę panu wskazać „adres" kilku dalszych pudełek — uśmiechnął się blado. — Proszę na przykład otworzyć szufladę.

— A zatem — wybuchnął Rafał — miałem rację, to nie był wypadek, ale zamach na pana… całkiem ordynarny zamach!

— Pssst! — syknął Solarski, wskazując wzrokiem drzwi. — A teraz, niechże mi pan opowie coś o swoich przeżyciach, drogi panie Rafale. List, jaki wysłałem do pana do Paryża, wrócił. Wiera, opowiadając o domownikach, wspomniała mi niedawno temu, że jednym z jej sąsiadów jest *monsieur Lapin*, Ucieszyłem się szczerze, próbowałem się z panem skomunikować, lecz na próżno; nigdzie się pan nie pokazywał.

— Pracowałem intensywnie — wtrącił Rafał z głębokim przekonaniem.

— Byłem pewny, że tak jest, nie chciałem przeszkadzać i zaniechałem dalszych prób. Sądziłem, że pragnie pan zachować swobodę działania… No i muszę przyznać, iż jestem pełen podziwu! Odszukać Rusanowa, zamieszkać pod tym samym dachem, zaprzyjaźnić się z tym tajemniczym profesorem... no, daruj pan, ale tego by nawet Sherlock Holmes nie dokonał. Oczywiście nie przemilczę tego w raporcie, który wyślę znowu w tych dniach... Albo i moje ocalenie. Zachodziłem nieraz w głowę, dlaczego mnie pan kiedy dyskretnie nie odwiedzi, gdyż nie wątpiłem, ze zna pan mój adres...

— No, oczywiście — przerwał z ożywieniem — właśnie w tym celu wynająłem pokój dokładnie nad pańskim pokojem.

— No i złożył mi pan wizytę w najbardziej pożądanym momencie, drogi zbawco. Jestem pańskim dłużnikiem aż do śmierci... Nagadałem się, teraz na pana kolej — dokończył z widocznym wysiłkiem.

Rafał nie dawał się prosić w takich wypadkach i z jego wymownych ust trysnęła kaskada łgarstw tak niewiarogodnych, że sam robił małe przerwy i pytał skromnie: — Nieprawdopodobne, co? A jednak, poruczniku... — Na jego szczęście pamięć Solarskiego szwankowała trochę po wczorajszym wypadku, zaś resztę łagodził pryzmat, przez jaki porucznik spoglądał obecnie na małego detektywa, pryzmat uwielbienia i wdzięczności dla zbawcy.

Z obawy przed nowym atakiem „Putyfary" Rafał przesiadywał całymi dniami u chorego Solarskiego i on to właśnie nakłonił go do rozpoczęcia starań, aby polski Związek Dziennikarzy jego mianował swym delegatem na *moskiewską wyprawę*, do czego się mały detektyw wcale nie palił. Nic więc dziwnego, że otrzymawszy wiadomość o przyjeździe Serafina Bobaka, przybiegł od razu do porucznika ! obwieścił mu „hiobową" nowinę z miną obłudnie stroskaną:

— Przegraliśmy, panie Julku — powtarzał, kiwając głową „posępnie".

Solarski był zmartwiony szczerze, ale nie tracił nadziei. Zamierzał natychmiast skomunikować się ze swoim szefem w Warszawie i prosić, aby tamten spowodował bezzwłoczne odwołanie imć pana Serafina.

— Szkoda zachodu, poruczniku — perswadował Rafał. — Nie zrobią przecież takiego afrontu panu delegatowi. Trudno, stało się.

— Ależ to byłoby fatalne! Tylko pan powinien jechać z nimi, jako wtajemniczony we wszystko. Spuścić z oka Rusanowa teraz, gdy wraca do Stalingradu? Nie, to byłby błąd nie do darowania. W dodatku nie będzie pan tu miał już nic do roboty. Sir James i pani Rindley wyjeżdżają z profesorem.

— Co?! Sir James wyjeżdża? — przeraził się Rafał, a perspektywa *byczych czasów* na Riwierze zmętniała, niczym fata morgana za nagłym podmuchem wiatru. — Skąd pan wie o tym? To chyba pogłoska, plotka.

— Wiem od Wiery, która mnie dzisiaj odwiedziła... Ona także ma z nimi odjechać, a ja, ja nie widzę sposobu, bym w jakimkolwiek charakterze mógł się doczepić do tej wyprawy i czuwać nad tą dziewczyną — rzekł ze smutkiem,

Rafał nie namyślał się długo. Jedno było pewne, mianowicie, że wobec wyjazdu sir Jamesa dalszy pobyt w rozkosznej willi diabli wzięli. Zatem...

— Ja będę czuwał nad nią! — rzekł wielkodusznie — i zbadam lepiej niż ktokolwiek inny, jak się rzecz ma cała ze Stalingradem. A pan, drogi poruczniku, niech pan poruszy niebo i ziemię, by tego Bobaka odwołali co rychlej.

— Przyjacielu! — zawołał wzruszony Solarski, chwytając oburącz dłoń małego detektywa. — Natychmiast napiszę list, a pan go wyśle lotniczą pocztą... Ach, jeszcze jedno. Dzisiaj wieczorem odbędzie się bal w kasynie *Palm Beach*. Niewątpliwie przybędą tam wydelegowani dziennikarze, w tej liczbie ów Bobak. Byłoby dobrze, gdyby pan go sobie z bliska obejrzał. I Wiera ma tam być również, a ja się jeszcze z łóżka nie zwlokę zapewne,

— Rozumiem — wtrącił Rafał z wyrozumiałym uśmiechem. — Niech pan będzie spokojny, postaram się stanąć na wysokości zadania.

— A ma pan smoking tutaj?

— Smokingu nie mam, za to sir James ma dokładnie taką samą, jak ja, figurę, czyli można uważać za pewnik, że kasyno ujrzy mnie w wieczorowym stroju — zachichotał Rafał.

Istotnie ujrzało go *Palm Beach Casino* w „smoku" sir Jamesa, on zaś ujrzał tutaj wszystkich swoich znajomych, nie wyłączając prawego właściciela smokinga, który jednakże paradował we fraku. Ze znajomych brakowało do kompletu tylko Rusanowa i Solarskiego. Rafał odszukał przede wszystkim grupkę dziennikarzy, zawarł znajomość z jowialnym imć Bobakiem i od razu przypadli sobie nawzajem do gustu. Pan Serafin na serafina absolutnie nie wyglądał, tylko oczy miał anielsko niebieskie, poza tym był niski, gruby, łysawy, tarmosił wciąż swoją zwichrzoną brodę, spoglądał zalotnie na przechodzące kobiety i w sposób niezmiernie zabawny wysuwał ustawicznie czubek języka, zwilżając nim grube, zmysłowe wargi. Był wprost wniebowzięty, kiedy Rafał, przedstawiwszy mu się jako *monsieur Lapin*, nadmienił, że w czasie plebiscytu bawił na Górnym Śląsku i nauczył się nieźle mówić po polsku.

— Kobieti piersi klasy, nest ce pas?[1] — zaczął Rafał, akcentując, jak we francuskim, ostatnie sylaby. Kłaniał się przy tym na prawo i lewo, udając, że zna tutaj wszystkich,

— Ciastka, prawdziwe ciastka! — mlaskał pan Bobak. — Pan zna tę prześliczną dziewczynę? — zdumiał się, wskazując Wierę.

— Naturellement, monsieur Bobek.

— Bobak, Serafin Bobak, do usług.

— Och, je vous demande pardon![2]... Natiralnie, że znam ta panna, jestem jej powiernik. To jest demoiselle Wiera Rusanow, la filie od ten wasz profesor.

— Córka Rusanowa?! — zakrzyknął dziennikarz i czulej przycisnął ramię rzekomego Francuza, uszczęśliwiony, że los zesłał mu od razu na wstępie jegomościa mającego tak pożądane znajomości. — I mógłby mnie pan jej przedstawić?

— Avec plaisir; jak sę to mówi po polsku, aha, z kokoszą.

— Z rozkoszą — poprawił rozanielony Serafin. Uprowadził natychmiast swoje źródło informacji w kąt sali, dopytując się jeszcze po drodze, kim jest ów przystojny gentleman, który dotrzymuje towarzystwa pannie Wierze.

— To — Rafał wzdrygnął się z lekka — to nie gentleman, ale łobuz, Borys Siemionowicz. Oni o nas mówić, ja wiczuwać!

Rafał się nie mylił. Borys z Wierą rozmawiali właśnie o nim, jako o tym, który w krytycznym dla Wiery momencie miał jej wręczyć rewolwer.

— Nie broń ty go, Wieroczka — mówił Borys zjadliwym szeptem; — nie gadaj mi, że postąpił jak gentleman. On nas szpiegował, on wie i dlatego musi zginąć! Kto na czas nie umie sprzątnąć niewygodnego świadka, ten potem pokutuje za swoją nieostrożność...

— Nie masz ciekawszego tematu? — ziewnęła dyskretnie.

— Mam, Wieroczka, mam — zapewniał, obrzucając ją płomiennym spojrzeniem — pozwól tylko chwileczkę; mam właśnie natchnienie, jak sprzątnąć tego...

— No to zaczekam, aż ci przejdzie to natchnienie... O, towarzysz nareszcie się zjawia — zawołała, kiwając przyjaźnie dłonią w stronę Laksbergera, który przeciskał się przez tłum, dążąc w tę stronę. Odeszła z nim, a Borys *puszczony kantem* tak niespodziewanie, uznał Rafała za główną przyczynę swej porażki. — Ty jutra nie dożyjesz, jeśli mi się uda — warknął złowrogo.

Biedny Rafał Królik był owego wieczora przedmiotem zainteresowania większej ilości osób. Niebezpiecznego zainteresowania!

Daisy Rindley drgnęła na jego widok, cofnęła dłoń za plecy i strzepnęła palcami trzykrotnie. Stała sama oparta o otwarte okno i podnosiła wachlarz na wysokość twarzy, ilekroć ktoś znajomy przechodził w pobliżu, jak gdyby nie pragnęła niczyjego towarzystwa. Ale na werandzie przechadzał się jakiś gentleman lekko utykający i, mijając Daisy, tyłem do niego zwróconą, rzucał kilka słów za każdym razem. Nawet bacznemu obserwatorowi nie przyszłoby na myśl, że ta piękna kobieta zapatrzona w salę i ten samotnik rozkoszujący się cygarem rozmawiają ze sobą, że ich coś z sobą łączy, że się znają.

— Jestem — zabrzmiał spokojny głos za jej plecami. Nie drgnęła, nie poruszyła się, tylko wachlarz przycisnęła do twarzy i mówiła szeptem:

— Przyszedł!... Ten mały; rozmawia z człowiekiem o jasnej brodzie.

— Z takim grubym? Pod filarem?

— Tak, ten.

Mężczyzna z cygarem odsunął się od okna na jakie dwa metry i z wielkim zainteresowaniem jął śledzić grę mrugających latarń morskich.

— Zrobione — rzekł cicho — jego twarz mam już wrytą w pamięć.

— I co, Jack?

— Nic. Zginie!

Zadygotała i otuliła się obłokiem gazy.

— Czy to konieczne, Jack? — spytała prosząco. — Może by...

— Nie myśl o tym, Daisy... To moja rzecz! — przerwał stanowczo. — Teraz, w przededniu ostatecznej rozgrywki zabiłbym nawet niewinnego człowieka, gdyby mi stanął w drodze... A co dopiero takiego szantażystę, szpiega!... Odejdź od okna, baw się, tańcz, flirtuj, jak przystało młodej, pięknej kobiecie. Czy chcesz wzbudzić podejrzenia takim stronieniem od ludzi?

— A ty? Przyjdę tu znów za godzinę... Powiedz, co chcesz czynić?

— Zajmę się... naszym szantażystą — odparł i odszedł szybko.

Tymczasem Rafał Królik bawił się w najlepsze, nie przeczuwając, że zagraża mu rychła niebezpieczeństwo, w dodatku z dwóch stron.

Zaledwie przetańczył bostona z Wierą, nawinęła się Daisy i spojrzała nań tak ciepło, że tango, jakie ich powiodło razem na lustrzaną posadzkę Sali, było nie zwyczajnym tańcem, lecz poezją, zdaniem Rafała; ciastkiem z kremem, według opinii pana Serafina, którego metafory były zawsze tak cukiernicze. Obie kobiety były uprzedzająco grzeczne dla małego *monsieur Lapina*, były dlań czułe jak nigdy i pozwalały się obejmować silniej, niż tego wymagała technika tańca; może przez lęk przed tak „groźnym" sąsiadem, może przez współczucie dla człowieka, który musiał zginąć nieuchronnie i... niebawem! Rafał oczywiście zapisał te objawy czułości na

rachunek swych donżuańskich kwalifikacji i rozpromieniony wrócił do stolika pan Serafina Bobaka.

— Cudne kobiety, co? Zwłaszcza z Daisy tworzymy śliczną parę — pochlebił sobie.

— Oooowszem — przyznał pan Bobak przez grzeczność — ale cieszę się przede wszystkim z tego, że szanowny pan coraz płynniej mówi po polsku.

— Ja mówić plynno? — przeraził się. Zaczął znów okropnie kaleczyć mowę ojczystą, opowiadając niesłychane historie o Daisy, która rzekomo tak mu się narzucała ze swoją miłością, że musiał się przeprowadzić do hotelu.

Serafin Bobak pomiarkował wreszcie, że miły kompan buja powyżej przyzwoitości, i z lekką ironią zauważył, iż prawdziwy mężczyzna nie postąpiłby w ten sposób. Wyprowadzić się z willi, w której miało się tak uroczą sąsiadkę? Hm, to brzmi trochę niewiarogodnie.

— Niewiarogodnie? — oburzył się Rafał i na moment zgubił wątek myśli, gdy całkiem blisko zamajaczyła mu twarz Laksbergera; groźny wróg przedefilował nieopodal ich stolika wraz z Borysem, pokazali sobie wzrokiem Rafała i powoli skierowali się w stronę hallu. W minutę później wyszedł stamtąd czerwono ubrany boy, niosący coś na tacce, skierował się wprost do stolika pana Rafała i z ukłonem wręczył Rafałowi mały liścik.

— No, więc ma pan najlepszy dowód tutaj, że moje opowiadanie jest wiarygodne! — rzekł zaperzony blagier i zapominając, że popełnia grubą niedyskrecję, podał dziennikarzowi liścik, jaki w tej chwili otrzymał.

Pan Serafin rzucił się żarłocznie na tę lekturę. Czytał:

Drogi Panie Lapin!

Muszę z panem pomówić bez świadków.

Natychmiast! Chodzi tu zarówno o Pana jak i o mnie!

Proszę wyjść nieznacznie z sali, przejść koło basenu i udać się na sam koniec małego mola. Ale zaraz!

Tam proszą czekać. Przyjdę, skoro tylko zdołam się pozbyć tego starego nudziarza.

Całuję Twe wierne oczy

DR

— Któż to jest *DR*?

— Daisy Rindley, rozumie się — rzekł Rafał z dumą. — Już w tańcu wyczuwałem, że chce mi wyznaczyć schadzkę. Wahało się biedactwo, aż... oto!

— Szczęściarz z pana — westchnął pan Bobak z zazdrością. Przez chwilę szukał wzrokiem Daisy, a nie znalazłszy jej, zauważył: — Ona już poszła.

— To i na mnie czas! — Rafał zerwał się od stolika i wpadł wprost w objęcia sir Jamesa. — No, ciebie szybko spławię, miły pierniku — mruknął po polsku, ściskając wylewnie prawicę sympatycznego Anglika.

Serafin Bobak obracał w palcach liścik zapomniany przez Rafała i nagle przyszła mu chętka, by z ukrycia obserwować gruchającą parkę. — Będą się całowali z pewnością — przypuszczał, oblizując sobie wargi.

— Którędy tu się idzie na małe molo? — zagadnął kelnera.

— Jest tylko jedno, proszę pana. Wyjdzie pan na werandę, obejdzie basen i już pan trafi... Ale dzisiaj noc nienadzwyczajna.

— Tym lepiej — mruknął pan Serafin i znowu wysunął swój ruchliwy języczek, co u kelnera wywołało najpierw zdziwienie, potem dziwny uśmieszek.

Istotnie noc była ciemna i chłodna dzięki podmuchom wiatru wiejącego od lądu, więc z północy. Gdyby nie to, byłoby się roiło na molu od parek lubiących chwile samotności w trakcie szampańskiej zabawy. Wiatr wygnał stąd wszystkich prócz małego jegomościa, który stał cierpliwie w pewnej odległości od końca grobli i czekał na coś. Wreszcie, jakby zniecierpliwiony, postawił kołnierz swojego smokingu i ruszył naprzód. Nie dotarł jeszcze do cypla tego miniaturowego półwyspu, gdy z mroków wyłoniła się smukła sylwetka w długim czarnym płaszczu i szybko podeszła do niego. Mały jegomość zawahał się, przystanął, lecz w tym momencie otrzymał uczciwy cios między oczy, a ogromne płaszczysko spadło nań, omotało go, splątało mu nogi. Runął jak długi w momencie rozpaczliwego skoku i ryk trwogi wydarł mu się z ust.

Napastnik gwizdnął przeraźliwie. Był to widać umówiony znak, bowiem nagle trzy ciemne sylwetki wyrosły jakby z pod ziemi i rzuciły się na nieszczęśnika uwikłanego w fałdy dziwnego płaszcza, a równocześnie wśród gromady prywatnych motorówek, zakotwiczonych i milczących odezwał się motor; zgrabna niezbyt wielka łódź ruszyła w stronę grobli, zaś piekielny łoskot jej motoru, gazowanego snadź umyślnie, zagłuszył bez śladu żałosne krzyki napadniętego człowieka. Bronił się z dziką energią, widać zrozumiał lub przeczuł, co mu grozi, lecz uległ przemocy. Dwóch napastników przesadziło szybko niską balustradę i odebrało od kolegów jeńca, który już znieruchomiał i w swym czarnym pokrowcu wyglądał wręcz niesamowicie, pozostała dwójka zniknęła z mola tą samą drogą, silnik zaryczał znów głośniej i tajemnicza motorówka pomknęła jak strzała na morze, mierząc dziobem w światełka pobliskiej wysepki Świętego Honorata.

Kiedy wszystko ucichło, wychyliła się po drugiej stronie balustrady głowa jedynego świadka tego zajścia. Człowiek ten rozejrzał się podejrzliwie dokoła, a spłoszony jakimś szelestem, przykucnął na powrót w swej kryjówce. Nie widział stąd, co się dzieje na maleńkim molu, lecz za to miał widok na morze niezasłonięty niczym. Rzucił raz jeszcze okiem w tę stronę, skąd dobiegało zamierające mruczenie zagadkowej motorówki, i nagle drgnął.

— Okręt! — wyszeptał. — Tam go wiozą. O, to była szatańska pułapka!

W godzinę później do przystani w Cannes wpłynął parowy jacht *Wołga*, na którego pokładzie miał profesor Rusanow odbyć podróż do Odessy ze swoimi gośćmi...

---

[1] nest ce pas? (fr.) – czyż nie?

[2] je vous demande pardon! (fr.) – proszę o wybaczenie!

Rozdział XXIII

NIESAMOWITE HISTORIE

Laksberger powrócił do kasyna w parę minut po północy. Po długich poszukiwaniach odnalazł Wierę w sali bakarata, gdzie sensacją chwili było nieprawdopodobne szczęście lady Dorothy Rabbit. Szalona Amerykanka zdawała się wyzywać los, popełniając takie zuchwalstwa, jak stałe dobieranie do szóstki, lecz widzowie nie wstrzymywali już oddechu w piersiach, jak na początku tej pamiętnej gry; uważali za pewnik, że Dorothy dobierze szczęśliwie dwójkę lub trójkę i zgarnie bank aż miło.

— Pieniądz przyciąga pieniądz; biednemu by tak karta nie szła przenigdy — westchnął szczerze Laksberger, chociaż to zdanie miało brzmieć sentencjonalnie. — Panno Wiero, czy nie miałaby pani ochoty zatańczyć?

Przystała ochoczo i powrócili razem do głównej sali.

— Gdzie byliście tak długo? — spytała znienacka.

— Służba — uśmiechnął się tajemniczo.

— Jak to? Nawet teraz?

— Zawsze — westchnął, zacieśniając oplot prawego ramienia wokół kibici dziewczyny. Pomimo to jego uścisk był mniej silny niż zwykłe objęcie w tańcu Borysa, w którego ramionach czuła się jakby w kleszczach, lecz bardziej ją podniecał i odurzał. Miękka, pozornie słaba dłoń paliła ją w plecy, choć stroniła trwożliwie od głębokiego dekoltu; ten sam zmysłowy ogień pożądania tryskał z jego oczu zmrużonych, jakby umęczonych tęsknotą wielu bezsennych nocy, i oblewał jej twarz, budząc przelotne łuny rumieńców. A przy tym dyskretne dźwięki argentyńskiej kapeli, zdradliwie słodka melodia bostona, łagodne muśnięcia rozgrzanego powietrza, przy tym półmrok, orgia perfum tysiąca snujących się niby tren za każdą parą tancerzy, przy tym wokoło szepty i dość głośne wyznania, i pocałunki niezbyt płochliwe, nieuciekające przed pościgiem barwnych smug reflektorów; południowcy nie wstydzą się miłości, a turyści z północy hodują badyle pruderii tylko u siebie w ojczyźnie, poza jej granicami lubią świecić przykładem nawet bezceremonialnym ludziom Dalekiego Wschodu.

Grad oklasków zmusił kapelę do bisowania i tłum niecierpliwych tancerzy opuścili tylko ci, którzy już zatęsknili za... samotnością we dwoje.

Laksberger stwierdził z przyjemnością, że tancerka z wolna wiotczeje mu w ramionach. Przysunął usta do jej zaróżowionego uszka i mówił coś szeptem długo, namiętnie, przekonująco, i prosił, błagał, zaklinał. Słuchała go z przymkniętymi oczyma, przeżywając w myśli to wszystko, co mówił coraz otwarciej, zuchwalej, czego pragnął od dnia, w którym ujrzał ją po raz pierwszy...

Podniosła ociężałe powieki. Uśmiechnęła się blado.

— Nie wiem — odparła z bezwzględną szczerością — nie wiem, czy będę twoją.. U mnie wszystko zależy od nastroju... od chwili.

— A dziś, Wieroczka? Teraz? — nalegał i wskazał wymownym spojrzeniem jakąś parkę chyłkiem dezerterującą z sali.

— Zobaczę — rzekła. — Nie pytaj tyle, nie cierpię mężczyzn, którzy...

— Więc idziemy! — przerwał z naglą stanowczością.

— Nie — uparła się. — Tego bostona dotańczymy do końca. — Uśmiechnęła się wzgardliwie, widząc, jak łatwo ustąpił, jak się przeraził jej głosu, jak umilkł od razu. — Oto i cała jego energia — pomyślała z politowaniem, porównując Laksbergera z tamtym despotą, wobec którego czuła się niewolnicą.

Laksberger ani nie przypuszczał, jak ogromnie daleko odbiegło spodziewane zwycięstwo. Przeciwnie, był jak najlepszej myśli, i słał błagalne spojrzenia kapelmistrzowi wyglądającemu końca tego „kawałka" z podobną tęsknotą.

— Stop! — zacharczał mu czyjś głos za plecami.

— Ooo, Borys — rzekła Wiera spokojnie.

Dwaj rywale skrzyżowali z sobą mordercze spojrzenia.

— Co to znaczy? — wykrztusił Laksberger. Był zwierzchnikiem tamtego i obmyślał mu już najbardziej „zakazaną" robotę na jutro za to, że zjawił się w tak niepożądanym momencie. — To, co poleciłem, załatwione? — spytał szorstko.

Borys skrzywił usta w szyderczym uśmiechu.

— O tym pogadamy jutro — odparł — na razie zechce towarzysz pośpieszyć do hallu, i to szybko... On czeka, a w jakim humorze, to sam...

— Idę — wtrącił Laksberger już całkiem innym tonem, skłonił się Wierze i zaczął się przeciskać przez tłum odpływający ku stolikom.

Borys skorzystał z nieobecności rywala. Uprowadził Wierę w pusty kąt baru i tu obsypał ją ostrymi wymówkami. Słuchała nie słysząc. Aż brutalny uścisk dłoni ściągnął ją z obłoków... do baru. Zmarszczyła brwi.

— Chcesz skandalu? — syknęła. — Mam ci rozbić głowę tą flaszką? — spytała z najsłodszym uśmiechem, bowiem spotkała wzrok sir Jamesa.

Znał ją zbyt dobrze, by się odważył bagatelizować tę „propozycję". Zwolnił jej dłoń z żelaznego uścisku i ponowił wymówki, powołując się na swoje prawa.

— Jakież to prawa? — odparła, wciąż uśmiechnięta; uśmiechem przyzywała tutaj dyskretnego Anglika, który zawahał się i chciał odejść, widząc, że Wiera jest w towarzystwie. — Czy jesteś moim kochankiem?

— Właściwie... tak.

— Łgarstwo! — krzyknęła tak, że mimo wrzawy, jaka tu panowała, ktoś się obejrzał w ich stronę. Zniżyła głos momentalnie i pokazała w uśmiechu rząd równych zębów. — Powtórz to Borys, powtórz! — zachęcała, ujmując flaszkę.

Nie powtórzył oczywiście, lecz spróbował obejść niecenzuralne określenie.

— Twoje ciało nie ma dla mnie tajemnic — wyszeptał z przejęciem.

— Dla mojej masażystki również — parsknęła mu w twarz.

— No, żegnam cię na dzisiaj. — Odsunęła go stanowczym ruchem dłoni i podeszła szybko do sir Rabbita, który czekał w przyzwoitej odległości. — Mam do pana wielką prośbę, sir — zaczęła.

— Jestem do pani dyspozycji, miss Rusanow — skłonił się grzecznie.

— Och, proszę nie wymawiać mojego nazwiska — mówiła szeptem — ta nagła, a niezasłużona z mej strony popularność dojadła mi już do żywego. A teraz wyłuszczam moją prośbę: Czy pan ma tutaj swój śliczny wózek?

— Oczywiście. Chce pani użyć przejażdżki?

— Właśnie — podziękowała mu wzrokiem za domyślność,

— Oto kluczyk. Kabriolet stoi po lewej stronie, blisko palm, pomiędzy dwiema

limuzynami, czarną i czerwoną... Zbiornik jest pełny...

— Dziękuję panu, sir... Ale pańska uprzejmość wymaga rewanżu chociażby w formie... lojalności. Co będzie, jeśli panu wóz rozbiję w drzazgi?

— Przesada, widziałem już panią przecież przy kierownicy.

— Tak, ale dzisiaj jestem szalona... dzika… mogę... bo ja wiem...

— Hh, hm,... to może by jechać z panią?

— O, nie, sir!... Cenię sobie niezmiernie pańskie towarzystwo, lecz pożądam w tej chwili samotności.

— Proszę mi wierzyć, droga miss Rus... te, tego, miss Wiero, że chodzi mi tylko o panią! O wóz nie dbam, lubię zmieniać marki... zresztą auto jest zaasekurowane, che, che, che, wyznaję z cynizmem.

— Zatem jadę! — Przyjęła kluczyk, jeszcze raz podziękowała ofiarnemu sportsmanowi i odwróciła się bezwiednie w ten kąt baru, gdzie przedtem rozmawiała z Borysem. Nie było go już teraz. — Aha — mruknęła z domyślnym uśmieszkiem — nie szkodzi, i tak się wymknę.

W tym samym czasie w hallu kasyna Laksberger i Borys odbierali srogą reprymendę od brzydkiego osobnika, którego między sobą nazywali z respektem przez *ON*! On miał blisko pięćdziesiątkę na karku, był krępym muskularnym brunetem, posiadał długie małpie ręce i wybitnego zeza w prawym oku, co przy jego sposobie patrzenia na człowieka, z którym rozmawiał, przy dziwnej głębi czarnych, nieruchomych tęczówek czyniło niesamowite wrażenie. On piastował oficjalnie dość nieuchwytną funkcję łącznika pomiędzy zagraniczną służbą wywiadowczą na terytorium Europy a groźną *Czeką*[1], lecz w rzeczywistości bliżej był związany z tą drugą instytucją. Poza tym ON nazywał się Sergiusz Miercew, ale nie ulegało wątpliwości, że było to jedno ze stu jego nazwisk. Miercew przybył na Riwierę wraz z Laksbergerem, skoro Borys Łapin, wysłany w ślad za Wierą, przysłał do Paryża meldunek, że ślady wiodą jakoby do pałacyku „księcia" Rusanowa, rodzonego brata zaginionego wówczas profesora.

— Już raz ośmieszyliście mnie przez wasze niedbalstwo — perorował właśnie ów Miercew. Nie mógł przeboleć tego, że nie on odkrył miejsce pobytu uczonego, że dopiero z Paryża podano mu adres Rusanowa wraz z kopią listu, jaki profesor wysłał (przez dobrodusznego Rafała Królika). — Teraz znowu amory wam w głowie, a Intelligence Service działa, pracuje!... I mimo waszych miodowych raportów jestem przekonany, że ona jest ich agentką.

Miercew nie miał na razie żadnych konkretnych danych, żadnych uzasadnionych podejrzeń, lecz niespodziewana wiadomość, że Rusanow zaprosił do siebie sir Jamesa i mistress Ridley, wystarczyła mu najzupełniej, by z obojga zrobić parę najniebezpieczniejszych agentów Intelligence Service, Wiadomość tę usłyszał z ust samego profesora, którego dość często odwiedzał.

— Czy mógłbym poprosić towarzysza o ścisłe instrukcje? — spytał Laksberger z szacunkiem, ale w duchu życzył szefowi galopującego świerzbu.

Miercew wyrwał błyskawicznie z kieszeni gazetę, rozpostarł ją jak najszerzej było można i zasłonił nią siebie oraz milczącego Borysa. Laksberger zrozumiał. Szybko wyjął z kieszeni chusteczkę oraz lusterko, po czym jął z dużym zapałem wyjmować sobie jakiś pyłek z oka, manewrując w ten sposób, aby środkowa część twarzy była zakryta. Bal, balem, lecz w hallu nikomu nie podpadnie, jeżeli dwóch gentlemanów przejrzy dziennik, przeczyta jakąś sensacyjną wiadomość albo jeśli ktoś sobie wyjmuje z oka ziarnko piasku. Toteż Daisy Rindley idąca w stronę wyjścia musnęła szanowną trójkę podobnie przelotnym spojrzeniem jak te, którymi obrzuciła wszystkie kanapy i fotele. Towarzysz Miercew śledził każdy jej krok przez dziurkę, jaką cygarem wypalił w gazecie, i gmach jego podejrzeń rósł jak na drożdżach.

— Wraca sama... i pieszo... widzicie? Szwajcar nie wywołuje samochodu. Pieszo wraca o

tej porze, rozumiemy — mruczał, a potem nagle zwrócił się do Laksbergera: — Pytał towarzysz o instrukcję? Czy tu należy jeszcze coś pytać?

Laksberger dojrzał triumfalny błysk w oczach Borysa.

— Czy ja muszę iść osobiście? — spytał z wyraźną niechęcią.

— Pójdziecie razem — zdecydował szef. — Gdybym wyznaczył jednego, ten myślałby cały czas tylko o rywalu, che, che, che... zamiast o robocie.

Poszli razem, razem klęli na *zezoka*, który albo się zawziął, żeby im zatruwać pobyt w Cannes, albo zgłupiał doszczętnie, skoro kazał im śledzić wracającą z balu kobietę, niebezpieczną tylko dlatego, że była... Angielką. Po raz pierwszy od czasu, jak Wiera między nimi stanęła, zgadzali się z sobą idealnie i, zbratani wspólną niedolą, maszerowali ramię w ramię, komponując coraz to wymyślniejsze przekleństwa pod adresem Sergiusza Miercewa.

— Bydlę! — twierdził Borys. — To robotą nazywa. Robotą dla nas!

— Kretyn — opiniował Laksberger — najzdolniejszym ludziom powierza pracę, która jest w sam raz odpowiednia dla początkującego szpicla.

Szli wśród uśpionych will tą ulicą, która rozpoczyna się dokładnie naprzeciw *Palm Beach Casino*, przecina tor kolejowy i pod kątem prostym dochodzi do głównego gościńca, łączącego z sobą wszystkie znane miejscowości francuskiej Riwiery; tam, nieopodal miejsca, gdzie ulica z gościńcem tworzą razem literę *T*, znajdowała się willa sir Jamesa Rabbita, więc Daisy wracająca do domu, nie mogła wybrać innej, krótszej drogi. Dwaj poszkodowani rywale nie omieszkali tego zauważyć, znajdując nowy temat do napaści na szefa.

— Idzie sobie kobiecina najprostszą drogą, a ten matołek...

— Matołek? To niezasłużone pochlebstwo! — warknął Laksberger z pasją.

Zwolnili, gdyż Daisy dotarła już do toru kolejowego i otwierała furtkę, ponieważ na noc szlaban jest spuszczony. Nie oglądała się, poszła spokojnie dalej i niebawem oni także minęli poczwórną kresę szyn, wyślizganych i lśniących. Uszli jeszcze dwieście kroków, kiedy za plecami posłyszeli sygnał trąbki automobilowej powtarzany kilkakrotnie. Zaskrzypiała drabina podnoszonego szlabanu, jej obluźnione pręty wydały metaliczny klekot i samochód przejechał na drugą stronę torów i po chwili minął idących mężczyzn. Była to mała limuzyna, zwykły sześciocylindrowy citroën, pospolita *cytrynka*, słowem wóz, jakich na kopy spotyka się na wszystkich szosach Francji. Przy kierownicy siedział szczupły jegomość, w czapce nisko nasuniętej na oczy, i był zarazem jedynym pasażerem swojego samochodu. Mijając dwóch Rosjan dodał gazu, pomknął ostro i zwolnił dopiero, gdy dopędził Daisy Rindley.

— Spuścił szybę, widzi pan — zainteresował się Borys. Laksberger, którego myśli wciąż krążyły wokół Wiery, był mniej nieufny.

— Samotna kobieta, cóż dziwnego — mruknął. Istotnie scena, jaka się przed nimi rozgrywała, była bardzo pospolita jak na lokalne stosunki Należy tu poniekąd do dobrego tonu, by przystanąć na widok kobiety, oczywiście grzechu wartej, i zapytać, dokąd można by ją zawieźć swoim wozem, przy czym honorarium pewniej zainkasować z góry; honorarium zawsze w naturze, najniższa cena – jeden całus, tak się już utarło, i zarówno panie nie posiadające własnego samochodu jak i panowie posiadający auta chwalą sobie ogromnie ten sport szosowy.

Ci ostatni polują stale na wszystkich bogatych w „zwierzynę" drogach Riwiery i na kilometr poznają, czy warto zwolnić, czy lepiej rwać pełnym gazem.

Kierowca zielonkawej *cytrynki* uznał widać Daisy za obiekt godny zachodu, skoro przyhamował i spuściwszy boczną szybę rozpoczął pertraktacje.

— Ciekawym, czy go przyjmie — rozważał Borys. — Do domu ma już stąd niedaleko, więc... oho, widzi pan?

— Widzę. Wdała się w rozmowę, czyli pojadą razem... Angielki nie są znów takie

cnotliwe, jak na to wyglądają.

Tamci dwoje przekomarzali się przez krótką chwilę, potem zadźwięczała w powietrzu kaskada srebrzystego śmiechu i kobieta wsiadła do auta.

— Fiu, o tej porze? O tej porze wolno zastosować najwyższą taryfę za przewóz, parsknął Laksberger. Lecz Borysa nagle ogarnęły wątpliwości:

— Coś za szybko się zgodziła — mruczał. — Coś mi to wygląda na ukartowaną randkę...

Przyśpieszyli kroku i dobiegli do łagodnego zakrętu ulicy w momencie, gdy znikający samochód skręcał na lewo, zamiast w prawo, ku willi. Spojrzeli po sobie. Wydało im się nagle czymś nieprawdopodobnym, by kuzynka sir Jamesa, wytworna, dystyngowana dama i kobieta niepospolicie piękna, mogąca przebierać wśród najprzystojniejszych mężczyzn... rzucała się w ramiona pierwszego lepszego jegomościa, który mógł być przecież zwykłym opryszkiem.

— Zawrócił do Cannes — mruknął Borys,

— Może wbrew jej woli? — myślał Laksberger głośno.

— Eeee, troszkę szybciej się jeździ w takich wypadkach, odrzekł Borys z miną znawcy. — Mnie uderzyło przede wszystkim to, że tak łatwo zgodziła się z nim pojechać. Już dla przyzwoitości powinna się była potargować.

— Czyli — Laksberger zacisnął pięści — czyli ten przeklęty idiota Miercew znowu miał słuszność.... Zwiała nam, trudno. Poczekamy przed willą.

Tak też uczynili i poprzez sztachety spoglądali na willę, w której mieszkała Wiera. O niej myśleli obaj, zapomniawszy na chwilę o Daisy, o profesorze, który tyle kłopotu im nastręczał pośrednio, nawet o *przeklętym idiocie* Miercewie, aż spłoszył ich nagle ryk znajomej syreny. Tylko kilka aut na całym wybrzeżu posiadało syreny z tak przeraźliwym głosem, w tej liczbie lincoln sir Jamesa.

Przeszli szybko na przeciwległy chodnik, przypuszczając, że sir Rabbit wraca do domu. Dziwił ich trochę szalony pęd samochodu, który powinien był zupełnie zwolnić tutaj, tym bardziej, że brama była zamknięta.

— To chyba nie jego wóz — przypuszczał Laksberger, wsłuchując się w łoskot silnika, który na tle ciszy nocnej rozbrzmiewał tym głośniej.

Spoza łagodnego zakrętu wypadł rozpędzony lincoln, przemknął jak strzała obok zagapionych Moskali i zniknął w wylocie ocienionej drzewami drogi. Ale kiedy ich mijał, a zwłaszcza w sekundę później, gdy śmignął u stóp latarni, ujrzeli przy kierownicy Wierę. Nie spostrzegła ich na pewno, zresztą nic dla niej nie istniało w tej chwili prócz nieziszczalnego pragnienia, by prześcignąć olśniewający język światła, jakie tryskało z potężnych reflektorów auta i uciekało przed nim wytrwale. Z oczyma wbitymi w lotną smugę światła, ze zwichrzonym włosem i szalem trzepocącym się w daremnym trudzie, by pęd osłabić, wyglądała zjawiskowo i, jak zjawisko, uleciała w ciemną noc; tylko cichnący huk motoru i sporadyczne ryki syreny świadczyły, że nie była mirażem ta krótka, przelotna scena.

— Szaleństwo! — jęknął Laksberger, chwytając się za głowę. — Tak pędzić w nocy, to śmierć... Albo ten szal, niechby się omotał o gałąź, niechby się wplątał w szprychy... och... Isadora Duncan[2] tak właśnie zginęła!

— A może byśmy tak...

— Racja, genialna myśl! — Uścisnął przyjaźnie dłoń Borysa i splunął w stronę uśpionej willi sir Jamesa. — Niech licho tę Anglicę i Miercewa!

Ruszyli biegiem, ale po kilku minutach dali spokój tym lekkoatletycznych produkcjom. Szli obok siebie zasapani, poruszając połami smokingów dla ochłody, bowiem sztywny gors koszul ociekał potem, a z kołnierzyków zrobiło się coś pośredniego pomiędzy skarpetką a krawatką.

— Od minuty nie słyszałem syreny, czyżby się coś stało? niepokoił się Laksberger.

Z jakiegoś wzniesienia ujrzeli nieliczne światełka Golfe Juan, a dalej Juan les Pins.

— Idiotyzm — sarknął Borys, siadając na przydrożnym kamieniu — tym trybem możemy maszerować aż do Nicei.

— Pójdę — rzekł Laksberger, mijając siedzącego towarzysza. Borys zaklął siarczyście, lecz powlókł się także, nie zamierzał rezygnować ze swej szansy na rzecz rywala. Z małymi wariantami powtórzyli tę scenkę coś z pięć razy, aż koło wiaduktu „spuchł" nawet wytrwały Laksberger.

— Jesteśmy już w Golfe Juan, zrobiliśmy od willi dobre pięć kilometrów — żalił się.

— A powrót?

— Nie ma sensu. Wolę się dowlec do Juan les Pins i wrócić stamtąd pierwszym pociągiem lub autobusem.

— Równie dobrze możemy wsiąść w Golfe.

Odpoczywali z pół godziny, po czym ruszyli, czyniąc sobie nawzajem wymówki, że się zdecydowali na idiotyczny pomysł ścigania samochodu

— Liczyłem, że spotkamy jaką taksówkę — bąknął Borys, właściwy autor projektu. — Czekaj no pan, tam coś błysnęło. — Zeszli już z mostu i zaczęli iść wzdłuż anemicznej plaży. Mroki przetarły się trochę, było nawet możliwe, że wiatr rozpędzi przerzedzone zastępy chmur, że księżyc się ukaże w całej krasie swej pełni, ale, mimo tego wszystkiego, było na razie uczciwie ciemno i tylko jastrzębi wzrok Borysa mógł wypatrzeć na taką odległość kontury samochodu, który stał ze zgaszonymi światłami... — Auto, rękę daję, że auto — powtarzał ucieszony. — Żeby to tylko była drynda[3].

— A jeśli prywatny wóz? Jeśli nim przyjechała jaka parka?

— To sobie wróci pieszo, a my pojedziemy. Ja w tym!

Żywiąc tak zaborcze intencje wobec obcego samochodu, przestali rozmawiać i po cichu zbliżyli się do miejsca, gdzie stał porzucony wehikuł.

— Zapałki — zacharczał Borys.

Po żelaznym uścisku jego dłoni domyślił się Laksberger, że zaszło coś niezwykłego. Borys przykucnął przed chłodnicą, skrzesał ogień i skoczył na równe nogi, odrzucając tlejącą się zapałkę.

— Nie pomyliłem się — mruknął — to auto sir Rabbita!

Laksberger wydał okrzyk zgrozy. Był pewien że stało się nieszczęście, i pojękując, powtarzając imię *Wiera*, szukał dokoła i świecił sobie zapałkami. Borys nie brał udziału w tych poszukiwaniach; jeden rzut oka na samochód przekonał go, że najdrobniejszy wypadek tutaj nie zaszedł.

— Więc co?

— Przypomnę Panu jego własne słowa — odparł Borys ponuro — kiedy ujrzeliśmy opuszczony samochód, rzekł pan: *A jeśli nim przyjechała parka?*

— Mam!... Oto ślad damskiego pantofelka, zakrzyknął tamten, Nawet nie słuchał słów kolegi, przejęty swoim odkryciem. Ślady zaprowadziły go aż nad brzeg morza, a potem skręcały w prawo, miejscami już zatarte przez fale, miejscami wcale wyraźne... — Szła sama... tylko jeden trop!

— Ktoś drugi mógł zdjąć trzewiki i iść wodą.

Pesymistyczne przypuszczenie Borysa miało „rację bytu". Tam, gdzie wybrzeże jest piaszczyste, znacznie wygodniej maszeruje się boso i w wodzie po kostki, niż w trzewikach plażą...

A żałosna plaża golfżuańska zwężała się, nikła, ustępując miejsca kamieniom, które obok

strumyczka płynącego pod wiaduktem pokrywała gruba warstwa trawy morskiej, wierzchem wysuszonej na pieprz, spodem wilgotnej, rozgrzanej procesem fermentacji. Tak czy owak, ślady damskich pantofelków zniknęły już na dobre, gdyż aż do Cannes nie ma na tej przestrzeni ani skrawka plaży.

— Doszliśmy prawie do miejsca naszego odpoczynku — rzekł Laksberger z rezygnacją.

Borys położył mu dłoń na ustach. Jego zmysły, wyostrzone ongiś w stepach, wyśledziły coś, co dla tamtego mieszczucha było wręcz nieuchwytne.

— Tam trzeba szukać — wyszeptał, wskazując na wprost, gdzie czarne cielsko cypla wżerało się w nieco jaśniejszy mrok powietrza i w ruchliwą, niekiedy połyskującą płynną masę... Ruszyli w tamtą stronę z zachowaniem wszelkiej ostrożności.

Naraz stanęli jak wryci. Posłyszeli głos Wiery:

— Maleńki mój... mój śliczny, słodki… och, jak ci bije serce!

Borys wyrwał z kieszeni rewolwer.

— Zabiję! — wymamrotał, odpychając przerażonego towarzysza, odebrał mu zapalniczkę, którą sobie przyświecali, gdy wyszły zapałki, przysunął się do skalnego bloku, wysunął głowę i wbił wzrok w przestrzeń po drugiej stronie cypla. Wreszcie dostrzegł Wierę, rozciągniętą na wznak na ziemi, ale Wiera była zupełnie sama! Była sama, a jednak powtarzała dalej najpieszczotliwsze wyrazy i wymawiała je z przejęciem.

— Do siebie gada? Oszalała? — pomyślał zaniepokojony. — Wiera! krzyknął.

— Kto tu? — spytała groźnie. — Ach, to wy — dodała bez cienia entuzjazmu lub chociażby uprzejmości. — Szpiegujecie mnie wzorowo.

— Ale przysięgam, panno Wiero...

— Tylko bez przysiąg, towarzyszu Laksberger. Skoroście przyszli, to połóżcie się obok i nie przeszkadzajcie mi w gruchaniu z mym kochankiem.

— Z kim? — zaczęli się ponownie rozglądać. Wreszcie Borys dojrzał owego „kochanka" i ryknął salwą homeryckiego śmiechu. — Wróbel!... Głupi wróbel, a myśmy sądzili, che, che, che, che... Toś nas nabiła w butelkę mistrzowsko!

— Możliwe, że głupi, ale dobrze wychowany — zaszczebiotała, strzepując jakąś zabłąkaną rękę z kolana.

— Wiera w roli ckliwej przyjaciółki zwierząt, nie... to całkiem coś nowego — pokpiwał Borys. — Więc po wariackiej jeździe autem ogarnęły cię dla odmiany tkliwe, macierzyńskie uczucia, z których korzysta szczęśliwy wróbelek. Kiedy ty się ustatkujesz, dziewczyno, kiedy… I do czego dążysz w życiu, czego chcesz, czego pragniesz? — ciągnął dalej mentorskim głosem, pomimo ostrzegawczych chrząknięć Laksbergera, który inaczej chciał *zagaić* rozmowę.

— Czego pragnę? — odparła cichuteńko. — Czasami pragnę wielkiej, czystej miłości, zdolnej do wszelkich poświęceń; chciałabym cierpieć dla kogoś, czuć ból, wściekły, morderczy ból, męczyć się, przymierać głodem, żebrać o kawałek chleba, o dach nad głową w czasie słoty... dla niego! Nie dla siebie, o nie!

— Jakie to piękne! — wyszeptał Laksberger, wyciągając w ciemnościach dłoń ku ledwie majaczącym konturom smukłych nóg dziewczyny.

— I wtedy ty, ze swoją brutalnością — (pchnęła pochylającego się Borysa) — i ty także, z twoją chorobliwą zmysłowością — (tu trzepnęła w kark drugiego wielbiciela, powodując chwilowy odwrót jego ręki) — jesteście mi tak niezmiernie obcy, wstrętni, znienawidzeni, że przeklinam dzień, w którym stanęliście na mojej drodze... Ale czasami tęsknię właśnie za tym, co wy reprezentujecie, co wy *macie na składzie* w nędznych kramikach waszych indywidualności. Budzi się we mnie zwierzę, nie lepsze niż wy... ooo, nie lepsze, zapewniam!

Leżała na wznak na pledzie, który przyniosła sobie z auta. Oni dwaj legli z obu stron,

przysuwając się do niej jak najbliżej pod pretekstem, że nie chcą sobie powalać smokingów na brudnej trawie morskiej. Teraz była im wdzięczną, że przyszli tutaj, że mogła wobec kogoś zaspokoić palącą potrzebę wypowiedzenia się, wywnętrzenia, wyprania swej duszy, która szamotała się dziko pod ciosami sprzecznych pożądań, pragnień, porywów.

Mówiła im o swoim dzieciństwie; o burzach, jakie się rozpętały nad jej głową w tym okresie, który wymaga spokojnej atmosfery cieplarni, aby charakter dziecka nie skarlał, aby słaba roślinka nabrała tężyzny, zdolnej do stawienia oporu wszelkim wichrom, skoro przyjdzie pora opuścić zaciszną cieplarnię rodzinną i samopas sterczeć na grząskim bagnie życia.

Mówiła, co widziała w Rosji, co wessało w siebie serce dojrzewającej dziewczyny, serce wrażliwe, chłonne jak gąbka.

Mówiła im to z bezwzględną szczerością, z uciechą, że dzieli się z kimś nieznośnym brzemieniem, że posłyszy słowa serdeczne, jak od przyjaciół.

I wewnętrznie zadygotała ze zgrozy. Oni byli głusi na jej spowiedź, za to jakże wrażliwi na bliskie sąsiedztwo jej ciała, którego nie czuła, przejęta swoim wyznaniem. Nie czuła dotychczas ustawicznych dotyków, coraz śmielszych, zuchwalszych, kradzionych całusów i pieszczot dwóch drżących rąk, grasujących w ciemnościach.

— Won z łapami, „gentlemani” — krzyknęła takim głosem, że obie dłonie, ta twarda, brutalna, i ta miękka, pełznąca jak wąż... zniknęły natychmiast.

— Nie rozumiem — bąknął obłudnie Laksberger. — słuchałem pani wynurzeń z niesłabnącym zainteresowaniem... Ogromnie zajmująca historia.

— Ogromnie! — parsknął bardziej szczery Borys. — Ale ostatecznie nie dowiedzieliśmy się jeszcze, czego pragniesz, czego pożądasz.

— Są chwile — odparła cicho, lecz był to szept złowrogi — są chwile, że pragnę krwi!... Przeraziliście się, co? Cha, cha, cha, cha. — Przeszła raptownie w ton żartobliwy: — Nie bójcie się, to jedno z moich nieszkodliwych dziwactw... Niekiedy flaczeją mi nerwy, miękną, są wiotkie, obwisłe i wtedy to właśnie wpadam w nastrój sentymentalny, robię się ckliwa jak kucharka przy lekturze kopciuszkowych romansów, wzruszam się do łez na widok młodego wróbla, który wypadł z gniazda... Brrr!... To wstrętne!... w takich wypadkach aplikuję sobie dawkę niezawodnego lekarstwa: czytam Poego, Ewersa, a jeśli ich nie mam pod ręką, kupuję w pierwszym lepszym kiosku zeszytowe „arcydzieła” różnych grafomanów. Nie razi mnie styl, język, naiwność; nie, tego nie dostrzegam... Znajduję tylko emocjonujące opowieści o zbrodniach, gwałtach, morderstwach, przymykam oczy i widzę krew, strugi krwi!.. Drżę cała, lecz nie ze strachu, zaś moje nerwy przychodzą do siebie; napinają się jak struny... i znowu jestem silna!... Cóż wy na to? — spytała nagle.

Laksberger odchrząknął, zamierzał wygłosić jakiś komplement, lecz Borys nie dopuścił go do głosu, wybuchając szczerym, rubasznym śmiechem.

— Psychiatra będzie kiedyś miał z ciebie pociechę — rzekł.

Nie obraziła się. Potem ciągnęła dalej żartobliwym tonem, że ponieważ nie posiada pod ręką wagonowej lektury, widzi się zmuszoną prosić ich, by jej opowiedzieli z własnych przeżyć kilka wydarzeń, niezwykłych, krwawych, niesamowitych, niechby i makabrycznych.

— Coś z wojny? — ziewnął Borys.

— Czemu koniecznie z wojny — skrzywiła się. — Macie chyba na sumieniu niejednego kontrrewolucjonistę lub osobistego wroga, rywala… niejednego na pewno sprzątnęliście własnoręcznie, prawda?... A może się lękacie? — spytała z jawnym szyderstwem... — Aaaa, w takim razie...

Borys żachnął się gniewnie.

— Czegóż miałbym się lękać? — odparł i zdopingowany w taki sposób zaczął mówić.

Repertuar przestępstw posiadał wcale obfity, ale mierny dar opowiadania; być może zresztą, że załatwiał się niegdyś ze swoimi ofiarami równie szybko, jak teraz to przedstawiał. Wymieniał ich nazwiska, miejscowości, po czym podawał rodzaj śmierci danego osobnika i kolejno podnosił jeden palec za drugim. Doliczył się ośmiu; tylu „tylko" zgładził własnoręcznie... zresztą… może ich było dziewięciu? Dokładnie nie pamiętał, miał wówczas niezmiernie wiele „pracy", zmuszony z pomocą garstki oddanych sobie zabijaków utrzymać w ryzach całe miasteczko buntujące się na wieść o kilku porażkach Czerwonej Armii... — Naturalnie — zastrzegł się, nie wyliczam tu ofiar, które zginęły pośrednio z mej winy, ale nie z mojej ręki!

— To już? — spytała Wiera, nie otwierając oczu. Leżała na wznak na pledzie, z dłońmi splecionymi na karku, z zaciśniętymi zębami; z trudem rozwarła szczęki, by zadać to pytanie, z nierównie większym wysiłkiem zmusiła się do tego, by te dwa wyrazy zabrzmiały jak najobojętniejsze zdanie.

— Teraz na mnie kolejka — wtrącił Laksberger. Laksberger zaznaczył na wstępie, że nie może się pochlubić takim żniwem, jak towarzysz Łapin. Takim... ilościowo! — Nie miałem okazji, — wyznał skromnie. Opowiedział tylko trzy wydarzenia, w których odegrał podobną rolę, jak tamten w ośmiu, czy dziewięciu wypadkach. Trzy „tylko". Lecz i ona scharakteryzowały go dostatecznie.

Kogoś tam „musiał" powiesić. Szubienica? Nie, to wydało mu się nazbyt banalne. Wziął sobie kilku ludzi do pomocy, zakneblował usta skazańcowi i powiesił go na drzwiach jego domu, aby rodzinie zrobić niespodziankę, skoro rano ktoś wyjrzy na uliczkę.

Drugim razem chodziło o zwykłą prowokację, o podrzucenie kompromitujących papierów kupcowi, na którego zagiął sobie parol. Sam wślizgnął się do mieszkania, ale ujrzało go dziecko i zaczęło krzyczeć. Udusił je „niechcący", ułożył w odpowiedniej pozycji w łóżeczku, nakrył kołdrą, ukrył przyniesione papiery, a potem sam sobie wynalazł kryjówkę i „pękał ze śmiechu", gdy nieszczęśliwi rodzice, powróciwszy do domu, chodzili na palcach, by nie zbudzić rzekomo śpiącego dziecka. — Umyślnie dlatego zostałem — podkreślił.

W trzecim wypadku on sam znalazł się w niebezpieczeństwie, a było to w czasie, gdy jego rodzinne miasto przechodziło z rąk do rąk. Chwilowo górą byli „biali", szukali go, uciekał nocą i wpadł do jakiegoś domku. Tu nieznana mu dziewczyna, nie orientująca się, kto tego dnia dzierży władzę, wzięła go za „białego" i ukryła go w piwnicy, gdzie w czasie swego trzydniowego pobytu znalazł zakopaną broń i mundur oficera dawnej armii carskiej. Przedmioty te należały do ojca jego zbawczyni, który walczył po stronie „białych". Wrócili „czerwoni", Laksberger został przejściowo komendantem rodzinnego miasta, rozpoczął rządy od masowych aresztowań, od terroru. W liczbie uwięzionych znalazł się ów stary oficer. Aby uratować życie ojcu, dziewczyna przyjęła propozycję Laksbergera; za tę jedną noc miał jej nazajutrz odesłać ojca do domu...

— I? — syknęła Wiera, zdenerwowana długą pauzą. — Odesłał pan?

— Zawsze dotrzymuję słowa — odrzekł. — Odesłałem go... ale w trumnie!

— Byczy kawał! — Borys był zachwycony. Nie mógł zaprzeczyć, że rywal prześcignął go bezapelacyjnie. — Ot wyrafinowany sadysta — powtarzał ze szczerym uznaniem. — Gdzieby mnie takie pomysły przyszły do głowy.

— Powiedzcie mi jeszcze — zabrzmiał zmieniony głos Wiery; — czy odczuwaliście w takich wypadkach jaki strach, żal, współczucie... Czy tak zwane wyrzuty sumienia, o których tyle słyszałam... istnieją naprawdę?

— O tak — zapewniał Laksberger — strasznie mi było nieprzyjemnie, kiedy mi doniesiono, że ta dziewczyna się otruła. Nawet wieniec posłałem.

— Ja tam wieńców nie posyłałem nigdy — przyznał się drugi.

Wiera podniosła ciężkie powieki. Otworzyła oczy po raz pierwszy od chwili, gdy jej dwaj towarzysze rozpoczęli serię swych niesamowitych historii.

— O, jak pojaśniało — zdziwiła się. — I księżyc wyjdzie lada moment.

— Prędzej świtać zacznie. Dochodzi czwarta. — Borys pokazał zegarek i zauważył, że najwyższy czas byłoby wracać do Cannes.

— Przedtem powiosłujemy trochę — rzekła, przeciągając się.

— Także pomysł. Może jeszcze zachce ci się pływać, co?

— Czemu by nie? Boicie się chłodnej wody? Tacy bohaterzy?!

— Nie mamy tu przecież kostiumów — zauważył Laksberger.

— Po co? Ciemność wystarczy nam za kostium... No, chłopcy, rozbierajcie się, ja tymczasem ulokuję w bezpiecznym miejscu mego wróbelka.

— Ale pani... także zrzuci te jedwabie.

— Oczywiście, towarzyszu Laksberger. Oczywiście !

Wobec takiej obietnicy, zaniechali dalszych protestów. Wiera odsunęła się, wyszukała większy głaz, osłonięty ścianą krzaków, zawinęła niespokojnego ptaszka w chusteczkę, ale tak, że miał pod dostatkiem miejsca w tej jedwabnej klateczce, po czym przycisnęła chustkę na dwóch rogach kamykami. Była teraz pewna, że wiatr jej nie zdmuchnie, a mały więzień nie zdezerteruje w czasie jej nieobecności.

— Gotów — zawołał Borys. — A ty?

— Rozbiorę się w czasie, gdy wy pobiegniecie po kajak.

— Masz tobie! Jaki znów kajak, narwana dziewczyno?

Wyjaśniła treściwie. Muszą wrócić do samochodu. Tam obok są łazienki, a przed nimi leży na plaży kilka łódek i dwa kajaki. Mają wybrać ten większy, trzyosobowy. I niechaj nie zapomną o wiosłach, które, być może, stoją oparte o schodki łazienek.

— Biegnijcie, to się rozgrzejecie — odparła w odpowiedzi na ich narzekania, że zimno. — Zobaczycie, jak wam będzie ciepło przy wiośle.

— Wiera! — Borys znał dobrze nieobliczalną dziewczynę. — Czy nam nie chcesz urządzić jakiego kawału?

— Na przykład?

— Na przykład schować nam ubrania, albo uciec z nimi?

— Daję ci słowo honoru, że ani mi przez głowę taka myśl nie przeszła. Uciec? Pieszo może? Przecież odcięlibyście mi drogę od samochodu... Czy nie widzisz zresztą, że już się zaczęłam rozbierać?

Odszedł uspokojony, uprowadzając szczękającego zębami towarzysza,

— Wieniec jej posłał — mamrotała, wyłuskując smukłe nogi z jedwabnych pokrowców pończoch. — Więc nie ma żadnych wyrzutów sumienia. Nie ma!... Nie ma!... Nie ma! — powtarzała, wbijając to sobie w pamięć,.. Spojrzała na niebo, odetchnęła. Z tej strony nie zagrażało niebezpieczeństwo. Choćby księżyc przebił wreszcie chustę obłoków, inne chmurki nadciągające wraz z wiatrem będą go ustawicznie przysłaniały. A morze? Morze przy brzegu było wcale spokojne, nie wiadomo tylko, jak będzie tam dalej. — I oni mnie całowali! — wybuchnęła najniespodziewaniej,

A czas biegł na skrzydłach...

— Hallo, Wiera!

Podniosła się. Oni wracali. Ujrzała przybijające czółno, zgarbioną sylwetkę Laksbergera i wyniosłą Borysa, który z brawurą wiosłował stojąco.

Oderwała stopy zaryte w zbity gąszcz morskich zielsk, ruszyła jak furia naprzeciw przybywającym i, wygrażając im pięściami, wrzasnęła rozdzierająco:

— Po coście wy dziś tutaj przyszli?!!! — Największym wysiłkiem woli powstrzymała się, by nie krzyknąć jeszcze: — Po śmierć?!

Nie przywiązywali najmniejszej wagi ani do tych słów, ani do intonacji ostrzegawczego okrzyku. Uważali go za żart, a zresztą całą ich uwagę pochłonęło to, że Wiera nie miała już ani strzępka odzieży na sobie i – mimo ciemności – można było podziwiać posągowe kształty jej ciała.

— Jazda! — rzuciła tonem komendy, krzyżując ręce na piersiach. — Pozwolę sobie zauważyć, że to nie jest właściwy kajak, ale tylko leciusieńkie czółno, podobne do tych, jakich używają Indianie kanadyjscy.

— Ale wywrotna szelma wystarczająco — westchnął Laksberger, który z polecenia Wiery usiadł na pierwszej ławeczce; środkową zajęła ona sama, ostatnią Borys, który musiał wejść w wodę po kolana, by przełamać opór załamujących się przy brzegu fal, „laleczek", jak zaopiniowała Wiera. Wreszcie odbili szczęśliwie. Laksberger, który pierwszy raz w życiu trzymał w rękach dwułopatkowe wiosło, wywijał nim beznadziejnie, opryskując towarzyszy za sobą, i Borys musiał liczyć takt na dwa tempa, zanim się tamten włożył w tę robotę.

— Prosto na morze... wciąż prosto — powtarzała, obserwując z niepokojem chmury. Wreszcie... stało się. Okrągła bania wyjrzała przez okno w obłokach i zalała duży szmat morza srebrzystą poświatą.

— Czy nie za daleko? Mam wrażenie, że fale tutaj większe.

— Złudzenie, towarzyszu... Idą teraz na ukos, dlatego silniej się kołyszemy... Borys, przecinaj fale prostopadle.

Laksberger żywił snadź odrazę do groźnego żywiołu, bo znów zakwękał:

— Czy pani istotnie zamierza się kąpać w tej zimnej wodzie?

— Oczywiście... Tam dalej będzie cieplejsza — kpiła.

— Jak to, tam dalej?

— No dalej, skoro upłyniemy jeszcze z pół kilometra... Zapewniał mnie pan kiedyś, że pływa pan doskonale. Czyżby to były przechwałki?

— Ooowszem, pływałem na stawie.

— No, to w tej gęstej, przesyconej solą wodzie, będzie się pan czuł jak korek, prawda Borys? Zresztą nie zmuszam pana do kąpieli. Mógłby się pan zaziębić, towarzyszu Laksberger. Och, jaką pan ma bielutką skórę. Zaraz poznać, że pan się nigdy nie kąpał... w morzu — dodała z litości to *w morzu*, i takimi docinkami zamykała mu usta, ilekroć się odezwał. Potem wysunęła przed siebie nogi, oparła stopy na pierwszej ławeczce i lekko ścisnęła nimi biodra strachliwego pasażera, a równocześnie podała rękę Borysowi, który już od chwili „telegrafował" do niej w podobny sposób z drugiej strony.

— Może przestaniemy wiosłować na chwilę — zaproponował, chwytając wąską dłoń w stalowy uścisk. I nie wypuścił jej, choć szarpała się rozpaczliwie, poznawszy cel tej niewoli,

— Tu się wykąpię — oświadczyła Wiera głosem dziwnie zmienionym.

— Tutaj? — Laksberger obejrzał się w stronę brzegu.

Odwróciła głowę wstecz, spotkała błyszczący wzrok Borysa. — Nie męcz — wyszeptała błagalnie — rękę mi wykręcisz... Później!

— Słowo?

— Ttttak — spłynęło z jej warg.

— Co wy tam rozmawiacie?

— Nic takiego, towarzyszu. Mówię Borysowi, że odważnego spotka nagroda... na brzegu... Tchórza czeka pogarda.

— Trzymajcie czółno, żeby się nie wykopyrtnęło. Skaczę.

— Brawo, Borys! — Daj mi swoje wiosło.

Odebrała wiosło, przycisnęła poziomo do burt, wyciągając dalej lewą łopatkę, a Laksbergera pouczyła, by podobnie wysunął prawą. Pomimo to skok Borysa zakołysał czółnem potężnie i zwiększył strach drugiego mężczyzny.

— Głupstwo skoczyć — przypuszczał — ale jak wyleziemy?

Odpowiedziała gniewnie, że wywindują go, jak cielę na wóz.

— No prędzej, chcę popłynąć za Borysem... Gdzież on jest? — rozglądała się a równocześnie stopami „rozgrzewała" odwagę Laksbergera. Rad nie rad stoczył się do wody z niezdarnością bezwolnej bryły.

— Nareszcie!

Oburącz pochwyciła wiosło, zanurzyła z impetem lewą łopatkę, aby wykonać półobrót i wyminąć prychającego Laksbergera, odbiła się powtórnie i nagły strach ją ogarnął, że idzie tak ciężko. Przedtem kajak mknął jak strzała, teraz, pozbawiony takiego balastu, powinien był jeszcze lżej sunąć, tymczasem już głupi obrót nasuwał ogromne trudności. Coś powstrzymywało go w miejscu, coś go ciągnęło za rufę, powodując nadmierne wzniesienie dziobu.

— No, a pani? — wolał Laksberger z wody.

— Zaraz skaczę… ustawię go tylko odpowiednio — wykrztusiła z zaschniętej krtani. Nie rozumiała, co się stało, rozumiała natomiast, że jeśli nie zdoła przezwyciężyć tajemniczego oporu, to cały jej plan runie w gruzy. — Nie! — Broniła się przeciwko tej myśli i z dziką energią siekała wodę raz tą, raz tamtą łopatką...

— No, dosyć tej zabawy! — posłyszała za plecami.

Zesztywniała. A jednak zdołała głowę odwrócić. Zrozumiała wszystko. Borys, na pół wynurzony, trzymał oburącz burtę czółna tuż przy rufie i patrzał jej w oczy wyzywająco. Wiedział. Nie taił się z tym. Odgadł już tam, na brzegu, gdy zapytywała o wyrzuty sumienia. Odgadł, ale pozwolił się jej łudzić, miał czasu w bród.

— Dużo jeszcze zjesz chleba — zaczął drwiąco — zanim mnie w pole wywiedziesz... A teraz skacz w morze. Chciałaś przecież kąpieli przy księżycu, che, che, che, che — zarechotał... No, skacz! — powtórzył groźnie.

— Nie pojmuję — bąknęła, zbierając myśli.

— Wytłumaczę ci na brzeeee. — Zakończył rykiem bólu i wściekłości, bowiem palnęła go wiosłem w czoło z taką siłą, że coś trzasnęło w łopatce. Poprawiła drugim końcem, unicestwiając jego zamiar wciągnięcia się do kajaka, i tłukła w obłędnej furii raz za razem, gdzie popadło. I nie bezskutecznie widać, skoro jął przyzywać Laksbergera.

— Trzymaj ją!... Trzymaj tę żmiję!

Laksberger, nie ufając swym zdolnościom pływackim, zaraz na początku położył się na wznak na wodzie i odpoczywał; nie mógł więc słyszeć, skoro uszy miał zanurzone. Dzięki temu Wiera miała tylko jednego przeciwnika, który jednak szybko zmienił taktykę. Nie podnosił już głowy, nie chcąc jej narażać na nowe ciosy, krył ją za burtą, za to podważał korpusem kajak, usiłując go przewrócić. Ale jego dłonie, wczepione w mokre drewno były wydane na łup uderzeń oszalałej dziewczyny. Grzmociła po nich, drżąc na myśl, że lada chwila pęknięte wiosło rozleci się w kawałki i zanim sięgnie po drugie, Borys opanuje sytuację.

Jedna ręka zniknęła z krawędzi burty.

— Podstęp! — przemknęło jej przez myśl. Odwróciła łopatkę na kant i uderzyła potężnie... celnie... skutecznie. Czółno nagle uwolnione od niezwykłej kotwicy, skoczyło naprzód tak, że musnęło wyciągnięte nogi drugiego mężczyzny. Na wszelki wypadek i jego poczęstowała wiosłem w piersi, wepchnęła go pod wodę. Wynurzył się, wyskoczył jak korek i teraz dopiero posłyszał ostrzegawczy ryk Borysa:

— Trzymaj ją!... Trzymaj!

Nie rozumiał, o co chodzi. Ucieczka kajaka wyglądała na żart, ale cios w piersi nie był zgoła żartobliwy. Raczej przez wrodzoną przezorność popłynął kilwaterem maleńkiego stateczku, nie chcąc być od niego nazbyt daleko na głębinie.

— Trzymaj! — posłyszał znowu. — Łapaj!

Odwrócił głowę. Borys płynął crawlem, wyrzucał ramiona, zagarniał nimi wodę z rozpaczliwym pośpiechem i szybko dopędzał towarzysza.

— Goń… chce nas zostawić... tu!

Za chwilę mieli się zrównać, za trzy sekundy, za dwie, za jedną. I nagle spostrzegł Laksberger, że Borys ma twarz zalaną krwią, zmienioną, spuchniętą pod jednym okiem tak, że tylko wąska szpareczka tam widniała.

Nareszcie pojął cały ogrom niebezpieczeństwa. Rycząc z trwogi, rzucił się w pościg, siepał miękką wodę szalonymi ciosami, lecz płynął nadal klasycznym stylem; nie znał crawla, toteż Borys, lubo wyczerpany walką przy czółnie, dopędził go znowu.

— Minie mnie... pewnie dopędzi kajak, odjadą... a ja zostanę sam... za minutę ustanę!... — W obłędnym cwale ścigały się jego myśli, aż na czoło wysunął się straszliwy domysł: — Może oni to razem ukartowali? Może chcą się mnie pozbyć? — Zapomniał już o poranionej twarzy Borysa, za to opadło go tysiąc wspomnień, potwierdzających to nieuzasadnione przypuszczenie.

— Prędzej! — warknął Borys. Tamten uznał to za szyderstwo. Za *cios łaski* uznał przypadkowego szturchańca w plecy od muskularnej ręki, rozmachanej w żywiołowym crawlu.

— Giń i ty! — zacharczał i pochwycił wpół mijającego go sąsiada.

— Puść, durniu!... Nie dopędzimy!

— Wołaj ją... Dla ciebie wróci! — wyseplenił Laksberger.

Borys był znacznie silniejszy, lecz pochwycony od tyłu nie mógł wykorzystać swej fizycznej przewagi. Żeby to zresztą na lądzie! Ale w wodzie? W zdradliwym żywiole, gdzie trzeba wysiłku, by własne ciało na powierzchni utrzymać? Na domiar złego, długie nogi tchórza niczym macki ośmiornicy oplotły jego silne bicepsy, a ciężar przeciwnika wciskał go nieuchronnie w elastyczną masę żywiołu.

Zanurzyli się. Pod wodą Borys magnął kozła, zepchnął z barków przeklęte brzemię, uwolnił nogi, za to ręce oplotły mu szyję ciasną pętlicą. Dzięki forsownej pracy nóg wypłynęli na powrót.

— Puść, tchórzu... dla twego dobra... patrz... stanęła!

Wypluł te słowa jednym tchem. Nie skłamał. Czółno kołysało się w miejscu, w odległości jakich dwudziestu metrów. Wiera zmieniała wiosło.

— Puść! — Poparł to żądanie wściekłym ciosem w ślepia wytrzeszczone w nieprzytomnym przerażeniu. Nie pomogło. Laksberger przytulił twarz do jego policzka i ryczał, jakby go zarzynali. Znowu szli w dół mimo wściekłego wiru bicepsów, mimo nadludzkiej pracy, od której serce pękało. Borys odwrócił głowę. Natrafił ustami na gardło rywala. Ugryzł!... Nie rozwarł zaciśniętych szczęk, choć palce-szpony wpiły mu się w oczy i gniotły, miażdżyły. Zapanował nad bólem, czuł mimo wszystko, że tamten słabnie... Zesłabł wreszcie. Obsuwał się coraz niżej, obręcz lepkich ramion spływała wzdłuż tułowia Borysa podobnie miękko, jak niegdyś jego własne ramiona po gibkim ciele Wiery. Spływała coraz niżej, aż przystanęła na wysokości kostek.

— Zginąłem. Zginąłem bez ratunku! — tłukło się w otumanionej głowie dobrego pływaka. Szpony Laksbergera związały mu nogi, przytwierdziły do stóp nieprzezwyciężony balast. Borys wiedział, że największy atleta i pływak w jednej osobie, nie potrafi się o własnej

sile oswobodzić z ostatniego uścisku topielca. A on już był wyczerpany, znużony śmiertelnie. Jeśli walczył nadal, jeżeli bódł morze ramionami, to było to wyłączną zasługą instynktu samozachowawczego. Ale powoli, powoli zanurzał się... ostatni raz!

Patrzał szklanym wzrokiem przed siebie. Krzyczeć już nie mógł, woda dochodziła do nozdrzy. W ustach i w płucach zamknął ogromny łyk powietrza, ostatni haust tlenu.

Patrzał. Kajak sunął ku niemu, łopatki wiosła machały w powietrzu na przemian. Kajak wyglądał, jak wiatrak, jakiś dziwny, ruchomy wiatrak. Wiera wiosłowała dzielnie,

— Może ona?...

Nadzieja wykrzesała kilka słabych iskierek siły w mdlejących ramionach. Dźwignęły korpus na tyle, że wargi się wynurzyły na ułamek sekundy.

— Ratuuu!

Z radosnym bulgotem wlała się woda w odemkniętą szczelinę ust...

— Borys!

Wiera zagarniała wodę w obłędnym pośpiechu. Nie zdawała sobie sprawy, co ją gna tutaj, co każe jej ratować tych, których sama skazała na śmierć. Wpatrzona w zanurzającą się głowę, torturowała morze razami wiosła, zmuszając je, by szybciej, jeszcze szybciej niosło jej ścigłego rumaka.

— Zdążę... Muszę zdążyć! — powtarzała z uporem, choć bez wiary.

Górna część głowy zanurzyła się raptownie, za to ręce wystrzeliły z nurtów, dwie bliźniacze ręce z rozcapierzonymi palcami. I zniknęły równie szybko, jak wychynęły z odmętów przed chwilą. Zniknęło wszystko, nawet garść banieczek powietrza, i fale wyrównały powierzchnię nad świeżym grobem.

W dziwnym odrętwieniu spoglądała na swoje dzieło. Wtem... drgnęła. Ściemniło się, jakby ktoś srebrną banię księżyca nagle przykrył kocem. I wtedy ogarnął ją strach. Paniczny strach. Omal nie spadła z czółna, które stawało się igraszką fal, skoro przestawała wiosłować. Ale wydało się jej, że to te ręce upiorne zakołysały kajakiem, że za chwilę wciągną ją w głębinę.

— Uciekaaaać!

Rzuciła się do ucieczki. Przypadek chyba zrządził, że uciekała we właściwym kierunku, że nie popłynęła na otwarte morze ku latarni morskiej wzniesionej na skalistej wysepce.

Z wolna przychodziła do siebie.

— A więc tak wyglądają wyrzuty sumienia — rozmyślała smagana podmuchami wiatru, który napełniał jej uszy niezapomnianym rykiem tonących, odgłosem ich walki dawno przebrzmiałej, jękami, charczeniem, bulgotem, chichotem i sykiem złowrogim, jakim przemawia morze.

Musiała przebyć dobry kilometr drogi, a wytężona praca przy wiośle i ból przetartej skóry na dłoniach żartej słoną wodą, koił jej nerwy. Myślała o swym uczynku na zimno, spokojnie, nie żałowała tamtych. — Pomściłam tę oszukaną dziewczynę, której wieniec posłał, łotr! — usprawiedliwiała się przed sobą, choć pamiętała doskonale, że zamiar zgładzenia godnych siebie rywali dojrzał w niej, zanim posłyszała tę „niesamowitą historię"; pamiętała, że zamiar ten powstał wówczas, gdy lubieżną zaczepką oplwali jej szczerą spowiedź. Już wtedy! Pamiętała doskonale, lecz teraz mówiła inaczej, bowiem kłamstwem częstujemy z równą hojnością bliźnich jak i siebie.

Przybiła do brzegu. Z największym spokojem i pedantyczną dokładnością poprzenosiła wszystkie części garderoby obu topielców, umieściła je w kajaku i odepchnęła go. Ale wrócił zaraz. Należało go odprowadzić poza zasięg małych fal z mielizny. Uczyniła to i pchając kajak przed sobą, szła śmiało, dopóki woda nie dosięgała jej brody. Do brzegu wracała płynąc i trzymając głowę, jak się da najwyżej, aby nie zmoczyć ondulacji.

— Oto kąpię się w ogromnej wannie, w której przed chwilą utopiłam dwóch moich niedoszłych kochanków — przyszło jej na myśl. Stwierdziła to z zupełną obojętnością. — Ależ to najbardziej niesamowita historia z tych, jakie dzisiaj słyszałam — zamruczała, brnąc przez płyciznę.

Wytarła się pledem, ubrała się, dumna niezmiernie, że tak panuje nad sobą, że pamięta doskonale, w którym pantofelku ukryła kluczyk od samochodu sir Rabbita. Ale małego ptaszka przypomniała sobie dopiero wtedy, gdy zauważyła brak swojej chusteczki. Pospieszyła do kępy krzaków, osłaniających wybrany przez nią głaz, ostrożnie ujęła chusteczkę i spostrzegła, że skrzydlaty lokator jedwabnego namiotu... zniknął.

— Niewdzięcznik — uśmiechnęła się. Podniosła chusteczkę ku twarzy. Drgnęła. Jej delikatne nozdrza wyczuły obcą woń, jej oczy wypatrzyły niekształtną ciemną plamę, a palce wykryły maleńkie skrwawione piórko. To były jedyne ślady małej tragedii nocnej, w której rolę mordercy odegrał kot, wąż, lub inny drapieżnik...

I stało się, że ta nieobliczalna dziewczyna, która nie uroniła jednej łzy nad grobem dwóch ludzi, ludzi tak jej bliskich mimo wszystko… wybuchnęła spazmatycznym płaczem z powodu śmierci... wróbla!

To była także niesamowita historia!

---

[1] *Czeka* – radziecki organ czuwający nad bezpieczeństwem władzy bolszewickiej (policja polityczna), odpowiedzialny za olbrzymie represje w Rosji Sowieckiej.

[2] Isadora Duncan (1877-1927) – słynna tancerka amerykańska, pionierka tańca nowoczesnego.

[3] drynda – tu: taksówka (regionalizm poznański).

Rozdział XXIV

ODJAZD DO BOLSZEWII

Obiad w willi sir Jamesa podawano zawsze o godzinie siódmej, z punktualnością, którą Patrick słusznie się chlubił, skoro miał w kuchni takiego lenia jak olbrzymi Tom; ale tym razem dźwięczne gęganie gongu, wzywające domowników do jadalni, zaczęło rozbrzmiewać po willi dopiero o ósmej. Sir James, jak na uprzejmego gospodarza przystało, bawił swoich gości rozmową, wtrącał niekiedy żarciki, lecz znać było, że spełnia ten obowiązek z przymusem, a nawet z przykrością. Wiera nie wzięła nic do ust przed deserem, Daisy udawała świetnie, że je, tylko Fedor Rusanow nie dawał się prosić. On był tym, który mówił za wszystkich, bez niego ten obiad byłby się przemienił w żałobną stypę.

Sir James zabrał głos przy czarnej kawie.

— Moi drodzy, kochani państwo — zaczął głosem łzawym — nie mogę, nie wolno mi dłużej taić przed wami, że stało się... nieszczęście! Monsieur Lapin, jego mam na myśli... Mój Boże, taki miły, taki obiecujący młodzieniec!

— Cóż mu się stało? — wtrącił profesor,

— Ba, tego nikt na pewno nie wie. Prawdopodobnie... utonął!

Daisy wydała stłumiony okrzyk zgrozy. Wierze łyżeczka wyślizgnęła się z dłoni i z brzękiem upadła na spodeczek.

— Prawdopodobnie — rozumował Rosjanin — zatem ciała nie znaleziono?

— Nie... Tylko spodnie — odparł gospodarz z grobową miną, która tak kapitalnie się kłóciła z treścią jego odpowiedzi, że Rusanow zagryzł sobie wargi do krwi, aby nie wybuchnąć śmiechem.

— To mu się udało, — pomyślał

— Tak, tak, tylko spodnie od mojego smokinga — powtórzył sir James.

— Od pańskiego smokinga?!

— Właśnie. A w nogawce była kamizelka, która w wewnętrznej kieszeni miała maleńką wszywkę z moim nazwiskiem. Toteż skoro te rzeczy wyłowiono z wody, dano mi znać telefonicznie i dlatego wyjeżdżałem dzisiaj po południu do Saint Raphaël, dlatego obiad był dziś tak późno. Byliśmy na komisariacie. Przesłuchiwano mnie, potem Patricka skonfrontowano ze spodniami (bo co do kamizelki nie było żadnych wątpliwości) i niestety okazało się, że to mój własny smoking!

— No pięknie — rzekł zniecierpliwiony Rusanow. — Nie rozumiem jednak, jaki związek zachodzi między znalezieniem pańskich spodni, a monsieur...

— Monsieur Lapin — przerwał gospodarz skwapliwie — nie przywiózł z sobą smokinga więc na ten bal pożyczyłem mu swojego...

— On sobie sam pożyczył! — mruknął Patrick, krzątający się przy kredensie. Mruknął trochę za głośno i wyleciał za drzwi.

— Bardzo państwa przepraszam za bezczelne odezwanie się mojego służącego; pogadam z nim dzisiaj w cztery oczy! — Sir James Rabbit był szczerze zawstydzony, jak gdyby to on coś

przeskrobał; wzrokiem proszącym o przebaczenie musnął kolejno wszystkich i dopiero teraz zauważył trupią bladość obu kobiet... Daisy była przekonana, że monsieur Lapin zginął z ręki Jacka, jednocześnie zaś Wiera nie miała najmniejszych wątpliwości, że małego sąsiada zgładził Laksberger na spółkę z Borysem. Przypomniała sobie swoją rozmowę z tym ostatnim, przypomniała sobie że obaj zniknęli z balu i wrócili po dobrej godzinie, wpierw Laksberger, potem Borys .. Nic dziwnego, że każda z nich obwiniała siebie, jako pośrednią przyczynę śmierci tego człowieka, nic dziwnego, że obie doznały wstrząsu i blade, bliskie omdlenia, czuły się na swoich krzesłach jakby na ławie oskarżonych.

— No pięknie — zaczął profesor swoim zwyczajem — no pięknie, lecz cała ta sprawa wygląda mi trochę podejrzanie. Bo przyjmując już, że tego biedaka ogarnęła w czasie balu nagła ochota morskiej kąpieli, to absolutnie nie mogę w to wierzyć, by wszedł do wody w ubraniu i tam się rozbierał. Albo spadł w morze z jakiegoś pomostu czy z łodzi, w takim razie utonął w ubraniu, albo przyjmiemy hipotezę kąpieli, a wtedy ubranie powinni byli znaleźć gdzieś na brzegu wraz z trzewikami, bielizną itd.

Sir James westchnął tak ciężko, że, mówiąc z małą przesadą, zadygotały w oknach firanki.

— Pańskie trafne rozumowanie — rzekł — zmusza mnie powiedzieć to także, czego pragnąłem oszczędzić... paniom. Mianowicie, że popełniono tu wyrafinowaną zbrodnię! Tak, tak, niestety. Tego zdania jest także policja!

— Zbrodnię? Hm, ale chyba nie w celach rabunkowych. O ile mogłem się zorientować i jeśli wolno mi być niedyskretnym, to monsieur Lapin był żywym przeciwieństwem... Krezusa... W kieszeniach miał najczęściej płótno

— Zabito go z zemsty... prawdopodobnie.

— Z zemsty? Więc miał aż takich wrogów?,

— Drogi profesorze... nie mam prawa wyjawiać swoich osobistych podejrzeń, które... oby były bezpodstawne! Oby! Daj Boże! — wzdychał i ręce mu drżały febrycznie, gdy sięgał po cygaro. Sir James obwiniał w duchu swoją rozwiedzioną małżonkę. Wiedział o jej przyjeździe do Cannes, o jej wczorajszym odjeździe koleją, choć przybyła jachtem, zauważył, że jacht także się ulotnił nie wiadomo kiedy; w kasynie rzekomy monsieur Lapin opowiedział mu o niespodziewanej inwazji lady Dorothy do pokoju w hotelu, gdzie oczekiwał nadejścia innej kobiety, a to wszystko wystarczyło Anglikowi aż nadto do tego, by za sprawczynię śmierci swojego gościa uważał Dorothy... Przecież lepiej niż ktokolwiek inny na świecie znał „możliwości" tej herod-baby.

Profesor Rusanow omiótł badawczym spojrzeniem zmienione twarzyczki obu kobiet i zwracając się do gospodarza, oświadczył z naciskiem:

— Sir James. Pańskie słowa i pańskie widoczne wzruszenie zmuszają mnie do proszenia pana o szczerość. Pan zna mordercę!...

— Mordercę? Nie, profesorze. Stanowczo nie!... Raczej domyślam się, kto był inspiratorem, podżegaczem, kto był pośrednią przyczyną zbrodni.

— Mianowicie?

W pokoju nastała cmentarna cisza.

— Osoby, którą podejrzewam, wymienić nie mogę, zaczął sir James po dłuższej pauzie, zerknął ku drzwiom i dodał zniżonym głosem: — ale mogę panu powiedzieć jedno: *cherchez la femme!*[1]

— Więc kobieta! — rzekł Rusanow, zezując w stronę Daisy, bladej jak opłatek.

— Kobieta! — potwierdził z naciskiem gospodarz.

W tej samej godzinie Juliusz Solarski otrzymał wiadomość, która go serdecznie ucieszyła.

Powrócił właśnie do hotelu i odbierał w portierni klucz od swojego pokoju, gdy zameldowano mu, że był do niego telefon. Czy międzymiastowy? Ależ nie, miejscowy! Dzwonił jakiś pan, mówiący po francusku z akcentem cudzoziemskim i kazał panu Solarskiemu oświadczyć, że *wiadoma sprawa* jest na najlepszej drodze.

— Jak to, ten pan nie podał ani swego nazwiska, ani numeru telefonu?

— Nie, panie, nie podał, choć pytałem — zapewniał portier. — Powiedział, że pan już wie, kto dzwonił... Aha, jutro znowu się zgłosi.

Wobec tej odpowiedzi Solarski przez cały następny dzień nie wychylił z hotelu nosa, rezygnując nawet z wypadu do kasyna miejskiego, gdzie każdego popołudnia spotykał się z Wierą. Ale na próżno czekał, na próżno nękał hotelową telefonistkę zapytaniami, nikt się doń nie zgłosił.

Za to nazajutrz ranna poczta przyniosła mu upragnioną wiadomość od szefa z Warszawy... Pod naciskiem wpływowych osób Związek Dziennikarzy zmienił swoją decyzję; pan Serafin Bobak został odwołany a polskim delegatem na *moskiewską wyprawę* wyznaczono pana Rafała Królika i potrzebne dokumenty dla niego były załącznikami przy liście zwierzchnika Solarskiego.

Porucznik nie posiadał się z radości lecz z drugiej strony, przeklinał Rafała za tak długotrwałą nieobecność... Pracował? Zgoda, ale mógł chyba znaleźć wolną minutę, by zatelefonować tutaj i podać swój adres.

— Sprytny chłopak, lecz strasznie lekkomyślny — narzekał Solarski. Nie rozpaczał jednak, licząc wciąż, że mały narwaniec zgłosi się lada chwila, i przypuszczając, że odjazd Rusanowa nie nastąpi przed upływem tygodnia albo i później. Nie trudno więc wyobrazić sobie jego zdenerwowanie, kiedy w samo południe otrzymał przez posłańca liścik tej treści:

Drogi Panie Julku!

Przykra niespodzianka, bo „Wołga" odpłynie już jutro popołudniu, o godzinie drugiej.

To przyspieszenie wyjazdu zaskoczyło wszystkich, a chyba najbardziej mnie. Ani pan nie przypuszcza, jak gorąco pragnęłam spędzić choćby tydzień w Pańskim towarzystwie. Wyłącznie w Pańskim!

Niestety, losy zarządziły inaczej i jutro się rozstaniemy. Na jak długo, nie wiem, jedno jest pewne, że na długo.

Ale dzisiejszy wieczór należy do nas. Inicjatywę pozostawiam Panu, bo jestem dziś niedołężnym dzieckiem; do tego stopnia mnie wyczerpały ostatnie przejścia, a także tak zwana „stanowcza rozmowa", jaką miałam dziś z ojcem.

Proszę więc wyznaczyć mi czas i miejsce spotkania oraz obmyślić wszystko... wszystko. Mocny uścisk dłoni śle

Wiera

Solarski odręcznie odpisał i wyruszył taksówką na poszukiwanie Rafała, życząc mu w duchu dożywotniej fistuły, hemoroidów, nieżytu kiszek oraz kilkunastu pokrewnych przypadłości. Zwiedził wszystkie hotele w Cannes i w Juan les Pins, rozpytując zarówno o pana Lapina, jak i o Rafała Królika. Na próżno! Nigdzie nie znalazł jegomościa noszącego jedno z tych nazwisk i nie znały go również biura meldunkowe. A właściwie, znały! W samym Cannes właśnie było to nazwisko zanotowane.

— Lapin Raphaël, czy tak? — upewnił się urzędnik.

— Tak, ten sam — krzyknął porucznik uszczęśliwiony, że nareszcie...

— Owszem, jest meldowany... Mieszka w willi sir Jamesa Rabbita przy ulicy... — Solarski nie słuchał dalej. Zaklął sprośnie i wybiegł.

Zdyszany, wściekły, powrócił do hotelu o ósmej, aby się przebrać i zdążyć na umówione miejsce. Czuł, że ten ostatni wieczór z Wierą będzie miał zatruty, że nieustannie będzie go dręczyło wspomnienie, iż nie wykonał swojego obowiązku. Nie wykonał, ale czy z własnej winy?

— Przez tego kretyna! — wrzasnął. — I ja takiego człowieka mogłem polecać szefowi. Co sobie teraz pomyślą o mnie. O mnie!

— Monsieur Solarski — zawołał portier — ten pan telefonował i...

W trzech susach przebiegł hall i wpił dłonie w ramiona cerbera.

— Telefonował? — spytał, nie wierząc uszom. Omal nie uściskał zwiastuna tak pożądanej wieści. Za to ścisnął mu ręce tak, że tamten jęknął.

— Telefonował, był bardzo zagniewany, że pana nigdy nie może zastać w hotelu. Powiedział... proszę mi nie brać za złe, powtarzam dosłownie... powiedział, że z takim... tu nazwał pana dość trywialnie... z takim ehem, ehem, który całymi dniami się gdzieś włóczy, nie warto współpracować.

— Tylko tyle? — wyrąbał, porucznik głosem złowrogo spokojnym. — A czy ten „genialny" współpracownik podał swój numer telefonu tym razem?

Oczywiście nie podał. Trzasnął słuchawką i na tym się rozmowa skończyła. Solarski przyjął to do wiadomości z tym samym spokojem. Wybuchnął dopiero u siebie w pokoju. Ubierając się, podarł dwa motylki, jedną koszulę frakową, a trzy nowe kołnierzyki i prawidło od butów oraz złamany w pasji grzebień wyfrunęły na świeże powietrze tą samą drogą, którą dostał się tutaj Rafał, uciekający przed swoją „Putyfarą". To ulżyło młodemu oficerowi i pozwoliło mu zestawić przyjacielski bilans:

— Ocalił mi życie, prawda... jeśli on kiedyś znajdzie się w niebezpieczeństwie, spłacę ten dług. Ale to inny rachunek. „Conto separato", że tak powiem... Na rachunku bieżącym ma zapisane ciężkie mordobicie i nie nazywam się Solarski, jeśli mu tego nie spłacę z odsetkami za zwłokę.

Ostatni wieczór z Wierą wypadł tak, jak było do przewidzenia.

— To moja wina — powiedziała ze łzami w oczach, gdy ją odprowadził do willi przed jedenastą. Tak, już przed jedenastą! — Zepsułam ci ten wieczór, który mógł nam obojgu pozostawić najpiękniejsze wspomnienia.

— Nie, dziecinko. Ja tu zawiniłem lub raczej... żadne z nas dwojga, a tylko jeden łajdak przeklęty, smarkacz, lekkoduch — pienił się.

— Któż to? — spytała z bardzo średnim zainteresowaniem.

— Ten roztrzepany agent, który z mego polecenia czuwał w Warszawie nad tobą i wraz tobą został uprowadzony przez ludzi Borysa.

— Nie rozumiem — potrząsnęła przecząco głową. — Przecież on nie żyje od dawna. Jakże więc...

— Ocalał — wtrącił Solarski — ocalał wówczas. Jakimś cudem wyratował się z nurtów Wisły... i nadal pracował na mój rachunek, o czym ci nie mówiłem... zresztą dla twego dobra!

— Zatem on jest tutaj także?

— Raczej był. Rozbijam się za nim od trzech dni i ani rusz...

— Jak się nazywa? — krzyknęła, tknięta złym przeczuciem.

— Lapin.

Wiera oparła się o sztachety ogrodzenia, aby nie upaść... Więc to był on! Czuwał nad nią, narażał się znowu w ową noc niezapomnianą, wcisnął jej w dłoń rewolwer... i właśnie ona, ona,

Wiera, była pośrednią przyczyną jego tajemniczego zniknięcia... jego śmierci niewątpliwie.

— Co ci jest, kochanie? — spytał Solarski z tkliwością.

Nie odpowiedziała. Uścisnęła mu dłoń bez jednego słowa, minęła furtkę, a potem nagle zaczęła biec w stronę willi. Uciekała. Nie chciała, by posłyszał jej spazmatyczny szloch płaczu...

Solarski wznowił poszukiwania Rafała. Zwiedził wszystkie kasyna francuskiej Riwiery, bardziej uczęszczane lokale dancingowe, przebiegł werandy i tarasy niezliczonych kawiarń i wrócił do swojego hotelu rano o ósmej, przybity, zgnębiony... wściekły. Zdjął smoking, ale nie kładł się do łóżka, choć powieki ciążyły mu jak ołów. Nie mógł. Uważał, że nie wolno mu spocząć, dopóki *Wołga* nie wyjdzie w morze z przystani. By przezwyciężyć senność, zamówił sobie dzbanuszek *filtre* i po trzeciej filiżance tej mocnej kawy przyszła mu do głowy myśl, która go przeraziła:

— Może go spotkał jakiś wypadek? Może to nie on telefonował dwukrotnie, lecz któryś z moich przeciwników? Może zwęszyli pismo nosem, dowiedzieli się o odwołaniu Serafina Bobaka, o mianowaniu Rafała i postanowili nam pokrzyżować te plany? Och, po nich można wszystkiego się spodziewać... Tak, tak, Rafał byłby się ze mną skomunikował niewątpliwie... Dlaczegóż ów tajemniczy „współpracownik" zgłaszał się zawsze wtedy, gdy mnie w domu nie było? Dlaczego nie podał chociażby jakiegoś hasła, które pozwoliłoby się zorientować, że to dzwonił Rafał Królik? Ach, więc tak!

Juliusz Solarski skoczył na równe nogi. Był przekonany, że nareszcie przejrzał grę swoich przeciwników.

— Skoro mi sprzątnęli Rafała, trzeba za wszelką cenę nakłonić Serafina Bobaka, aby pojechał do Bolszewii mimo tego odwołania ze strony Związku Dziennikarzy...

Odświeżywszy się, wybiegł z hotelu i pośpieszył do *Majesticu*, gdzie zakwaterowali się wszyscy wydelegowani dziennikarze. Gdy wymienił nazwisko polskiego delegata, liczni przedstawiciele służby hotelowej wymienili znaczące uśmieszki, a dystyngowany portier rzekł wręcz:

— Powinienem pana zameldować telefonicznie, niestety nie mogę tego uczynić, Monsieur Bobak odłożył słuchawkę na stałe, służby również do pokoju nie wpuszcza od czasu, jak go poprosiliśmy, by opuścił hotel.

— Ale dzisiaj wyjeżdża, zdaje się — bąknął porucznik.

— Całe szczęście! — westchnięto chóralnie.

— No tak, lecz ja muszę się z nim zobaczyć... Muszę!

— Proszę bardzo, niech pan próbuje szczęścia.

Jadąc windą na czwarte piętro, Solarski zżymał się w duchu, że takiego delegata tu wysłano. — Ładną reputację wyrabia nam, Polakom — myślał. — My już zawsze mamy takiego pecha... I za co go chciano wylać z hotelu, tego reprezentanta? Co on tu właściwie wyprawia?

Sam się domyślił, co szanowny pan Bobak wyprawia, skoro idąc korytarzem, zbliżył się ku drzwiom wskazanego apartamentu. Aż tutaj, mimo podwójnych drzwi opatrzonych w dodatku portierami dobiegały echa chóralnego śpiewu. Śpiewu? Raczej wycia! Kilkanaście zachrypłych gardzieli męskich wyrzucało pijackimi głosami słowa popularnej piosenki o... Noem!

I pił nasz Noe, ciągle pił,
aż przebrał trochę miarki,
zrobiło mu się jakoś źle
i poszedł spać do arki.

— Jestem gips, jeżeli w tym chórze znajduje się chociażby jeden Polak — mruknął

Solarski, z trudem poznając język ojczysty w przedziwnej interpretacji tajemniczego chóru. — Jedno jest pewne: że pobili z kretesem rekord nieboszczyka Noego — dodał z humorem. Istotnie poprawił mu się humor wobec stwierdzenia faktu, że to nie rodacy zachowują się tak bezceremonialnie w pierwszorzędnym hotelu. Aliści w tej samej chwili zabrzmiał piskliwy pseudo-tenor, wyjący fałszywie, lecz czystą polszczyzną, dalszą zwrotkę:

Wtem przyszedł Cham i zaczął drwić,
że ojciec taki ścięty,
i za to Chama przeklął Pan,
i cham do dziś przeklęty.

Juliusz Solarski zapukał. Na wszelki wypadek... pięścią! I widocznie miał szczęście, że ktoś znajdował się w pobliżu, bowiem lift-boy zaręczał mu w windzie, że będzie kołatał dobre pół godziny, zanim go kto usłyszy. Metalowa zasuwa stuknęła zapraszająco i na progu stanął jakiś chuderlawy jegomość blady jak trup, z lekka zielonkawy, o wpadniętych w głąb czaszki oczach; na wysokości brody trzymał ręcznik dziwnie brudny jak na tak porządny hotel.

— Muszę się rozmówić z panem Bobakiem! — zaczął porucznik i ruszył naprzód bardzo energicznie, spychając w głąb pokoju chorowicie wyglądającego jegomościa, który też natychmiast
poczłapał w stronę bocznych drzwi.

Solarski zaczął się rozglądać. Był w sypialni umeblowanej z wykwintnym komfortem, lecz jakże zaśmieconej. Wszędzie piętrzyły się sterty niedopałków, wszędzie leżały papiery, zmięte gazety, puste pudełka z papierosów, z konserw, z sardynek, w rogach pokoju czaiły się wypróżnione butelki, a wielki błękitny dywan był dosłownie pocętkowany skórkami z pomarańcz, mandarynek i bananów. Obrazu spustoszenia dopełniało ogromne łóżko wyglądające tak, jak gdyby służyło tej nocy za ring dla kilku par dobrych bokserów.

W bocznych drzwiach stanął niski, tęgi, łysawy mężczyzna z butelką szampana w jednej ręce, z kieliszkiem w drugiej. Solarski, który nie przypuszczał, by gospodarz wychodził na przyjęcie nieznajomego interesanta w takim „uzbrojeniu", kiwnął głową niedbale i powiedział, do kogo przybywa.

— To właśnie ja — rzekł tęgi pan. — Serafin Bobak do usług.

— Nazywam się Solarski — zaczął porucznik, potem oświadczył chłodno, że przychodzi tu w bardzo ważnej sprawie i nie sądzi, aby przy takiej wrzawie dało się prowadzić poważną rozmowę. — Może by choć te drzwi zamknąć — zaproponował.

Zamknęli je, lecz odniosło to fatalny skutek. Do sypialni wpadła gromada pijaniusieńkich gentlemanów, dopytując się o powody ucieczki gospodarza. Na próżno prosił, aby go pozostawili w spokoju na kilka minut. Po długich targach udzielili mu jednominutowego „urlopu" i wyszli, nawet zamknęli drzwi, ale natychmiast zaczęli chóralnym rykiem liczyć sekundy:

— Jeden... Dwa… Trzy… Cztery...

— Na pożegnanie Riwiery urządzaliśmy przedwczoraj piknik i zasiedzieliśmy się troszeczkę — zaczął gospodarz, pragnąc snadź wyjaśnić gościowi genezę tego pijaństwa i bałaganu w mieszkaniu.

— Pięć… Sześć… Siedem — dobiegało zza drzwi.

— Wobec tego, że nie dysponuje pan czasem, przystąpię od razu do rzeczy... Otrzymał pan zapewne, panie Bobak, pismo ze Związku Dziennikarzy,

— Otrzymałem! — ryknął gospodarz, zaciskając pięści — ale niech mnie pan lepiej nie pyta, co z tym świstkiem zrobiłem!

— Dwanaście... Trzynaście... Czternaście...

— Zostałem raz zamianowany delegatem, moi koledzy, którzy tam ryczą jak stado pawianów wybrali mnie na swojego prezesa, i ja usiałby się cofnąć?

— Siedemnaście… Osiemnaście…

Pan Bobak, przyjrzał się uważnie gościowi i zaczął sobie dłonią trzeć czoło. — Skąd ja pana znam? — mruknął.

— Nie wiem. Nie miałem dotychczas przyjemności — wycedził porucznik. Zdumiał się też, skoro gospodarz wyciągnął doń ręce, jak gdyby go chciał objąć w serdecznym uścisku. — Kompletnie wstawiony — pomyślał i szorstko odepchnął go. — Obejdzie się bez czułości — mruknął.

— Dwadzieścia pięć... dwadzieścia sześć... dwadzieścia siedem — liczył chór.

Gospodarz pochwycił porucznika za rękę i pociągnął go w kąt sypialni, gdzie stało łóżko.

— Wyjaśnię — bąknął zmienionym głosem. Odskoczył jednak, a Solarski dopiero teraz zauważył, że spośród rozrzuconych poduszek wygląda jasna czupryna. — To mój Anglik — rzekł Serafin Bobak — okropnie słaba głowa, już wczoraj chciał zdezerterować, aleśmy go przytrzymali... Chodźmy w tamten kąt… Za chwilę zrozumie pan, dlaczego...

— Trzydzieści! — Ryk triumfu zagłuszył jego dalsze słowa, boczne drzwi otworzyły się na oścież i rozochocona zgraja wpadła do sypialni.

— Już!... Pół minuty upłynęło… Czekamy, prezesie... A pan tu nie zawracaj głowy monsieur Bobakowi... Idź pan na zbitą twarz!... Niech żyje prezes — wrzeszczeli we wszystkich językach, otaczając zbitym pierścieniem zirytowanego porucznika i gospodarza protestującego głośno, że urwano mu połowę przyznanego urlopu. — Jeszcze pół minuty mi się należy, — błagał.

— Niech żyje prezes! Niech żyje! Niech pije! Niech śpiewa!

— Koledzy — przedkładał — dzisiaj wyjeżdżamy, pora byłaby zacząć pakować nasze manatki. Na jachcie sobie znów zaśpiewamy.

Oczywiście nic nie pomogło i opierającego się prezesa uprowadzono siłą do przyległego pokoju; z progu zdołał krzyknąć po polsku do Solarskiego:

— Czekaj pan mego listu... Listownie... wyjaśnię… Muszę…

Solarski zacisnął pięści i przechadzał się nerwowo po sypialni. Mimo wszystko zamierzał tu zaczekać i dokończyć rozmowy. Jednakże i o nim pamiętano. Z sąsiedniego pokoju, gdzie odbywała się właściwa libacja, wyszło trzech panów. Zataczali się, ale wyglądali ogromnie wojowniczo, szczególnie rosły brunet sunący na czele tej ekspedycji. W krótkich słowach oznajmili Solarskiemu wyrok zebrania; albo przyjdzie z nimi pić, albo go wyboksują i wyrzucą, albo wreszcie, w drodze łaski... sam wyjdzie natychmiast! W trakcie wygłaszania tego ultimatum, brunet zdjął marynarkę i jął zakasywać rękawy koszuli.

— Wychodzę — oświadczył porucznik, patrząc z pogardą na trójkę pijaków.

— Aha, bratku... Nie umiesz pić?

— Umiem, lubię nawet, ale nie w takim towarzystwie!

— Czyli zmykasz. Lękasz się moich pięści,

Brunet, wyglądający jak młodszy brat Carnery[2], miał widocznie ochotę popróbować się z Solarskim, bo zabiegł mu drogę i stanął w pozycji bojowej.

— Proszę się usunąć, ostrzegam!

— Kogo ostrzegasz, ty chłystku?!

Nikt nie wiedział, jak się to stało, dość że *młodszy brat Carnery* wydał jęk bólu i jak długi zwalił się na wznak na łóżko, skąd znowu wyleciał, niby z procy, padając w ramiona swoich dwóch towarzyszy.

— Może jeszcze kto z panów pozwoli? — Solarski strzepnął obolałą dłoń i spoglądał w stronę kompanów niefortunnego boksera z nader uprzejmym uśmiechem. Nie kwapili się wcale. Rejterowali pośpiesznie do drugiego pokoju, wlokąc jęczącego kolegę...

Solarski wyszedł bez pośpiechu na korytarz.

Upłynęło kilka, może kilkanaście sekund. Wtem... rzekomo śpiący Anglik podniósł głowę i usiadł na łóżku.

— Czyżby moje podejrzenia były słuszne? — mruknął, nie słysząc zresztą własnego głosu, wobec wrzawy, jaka tu dochodziła. Potarł sobie czoło, wstał i zataczając się, ruszył w stronę drzwi od korytarza.

W przystani dowiedział się Solarski, że *Wołga* wyjdzie w morze dopiero po trzeciej. Powrócił więc tu o godzinę wcześniej w nadziei, że zdoła zamienić kilka słów z rodakiem, który w tak niewybredny sposób pozyskał sobie sympatię zagranicznych kolegów i godność prezesa. Lecz czekał na próżno. Wreszcie ujrzał Wierę. Po krótkiej rozmowie zapytał o wydelegowanych dziennikarzy.

— Och, są tu już dawno — odparła — ale śpią jak zabici w swoich kabinach. Uczta pożegnalna tak im dogodziła podobno — uśmiechnęła się. Zeszła z pokładu na molo, gdyż Juliusza nie wpuszczono na jacht.

O godzinie drugiej minut pięćdziesiąt zafalowały tłumy zebrane na szerokiej grobli przystani jachtów. — Jadą!... Jedzie! — podawano sobie z ust do ust i ciasnym szpalerem wśród ciżby ciekawych przesunęły się dwa samochody; w jednym siedział sir James Rabbit z Daisy i z wiernym Patrickiem, który miał minę taką, jak gdyby jechał na ścięcie... w drugim znajdował się profesor Fiodor Rusanow w towarzystwie zezowatego Sergiusza Miercewa.

Pożegnanie sir Jamesa z starym sługą było krótkie:

— Uważaj na wszystko, kochany stary durniu — rzekł Anglik — bo jeżeli mnie bolszewicy skrócą o głowę, to ty do spółki z Tomem dziedziczysz willę, uważasz? Testament złożyłem u pana konsula w Nicei, mówię… tak na wszelki wypadek...

Punktualnie o trzeciej ściągnięto cumy i trap, a Wiera była ostatnim pasażerem *Wołgi*, który przeszedł po tym maleńkim mostku. Udała się na rufę, aby jak najdłużej móc widzieć Juliusza i powiewać chusteczką. Profesora sprowadzono do jego kabiny, Sergiusz Miercew udał się na mostek kapitański, jak gdyby chciał podkreślić, że obecnie on obejmuje władzę nad wszystkimi, nie wyłączając wilków morskich, niezbyt ucieszonych wizytą tego groźnego dygnitarza. Na przednim pokładzie, w przyzwoitej odległości od majtków zajętych przy bratszpilu zwijającym linę, stanęły dwie osoby: Daisy i sir James. Stanęli przy prawej burcie, by nie dawać z siebie widowiska tłumowi zebranemu na grobli i śledzącemu z wielkim zainteresowaniem odjazd *Wołgi*. Nie rozmawiali z sobą. Wszystko omówili drobiazgowo już wczoraj wieczorem, kiedy to sir James, coraz bardziej zakochany w pięknej „kuzynce", usiłował ją odstręczyć od zamiaru podróży do Rosji. Wyczerpał zapas argumentów, które odbijały się zresztą jak piłki od rakiety, więc dzisiaj milczał.

— Cała wstecz! — ryknął czyjś głos, telegraf maszynowy zadźwięczał i woda za rufą małego parowca zapieniła się wściekle pod razami śruby.

Sir James wychylił się mocniej. Z prawej strony dziobu *Wołgi* wysunął się prostopadle dziób rybackiego kutra, który zmykał ile wlezie. Dotychczas zasłaniało go molo podwyższone o blisko dwa metry przez żywy mur gapiów, którzy w ten sposób omal nie stali się pośrednią przyczyną wypadku.

— Bylibyśmy — zaczął sir James — bylibyśmy przecięli ten kuter na dwoje, chociaż *Wołga* nie szła nawet na pół pary — i umilkł. Odwrócił się co prędzej i z wielkim zapałem jął pokazywać swej towarzyszce coś tam, co się miało znajdować po drugiej stronie statku. Lecz

Daisy nie pozwoliła się wprowadzić w błąd, domyśliła się po nagłej bladości mężczyzny, że zaszło coś nadzwyczajnego, coś strasznego, od czego on pragnie odwrócić jej uwagę. Odsunęła go stanowczym ruchem, wychyliła się za burtę, spojrzała z góry. Kuter znajdował się właśnie tuż pod nią, a na jego maleńkim pokładzie leżały na wznak dwa trupy, obnażone zupełnie; dopiero teraz, przez wzgląd na obecność tylu ludzi, nakrywał je rybak jakimiś workami, zbyt zresztą krótkimi, by mogły przysłonić dwie napuchłe, zielonkawe gęby, z ogromnymi, wybałuszonymi oczyma, z wyszczerzonymi zębami i z wąsami, już obeschniętymi i poruszającymi się niesamowicie skutkiem przewiewu, jaki wywołało mijanie się statków.

— Topielcy — mruknął sir James. — No, kochanie, proszę zapanować nad nerwami — upomniał ją łagodnie i otoczył ramieniem. — Przyszedł ci pewnie na myśl biedny Raphaël Lapin.

— Ta podróż... straszna, niebezpieczna, a tak upragniona, tak wyczekiwana przez lata... długie lata. — Daisy mówiła to szeptem; zapewne nie wiedziała, że mówi. Po prostu myślała głośno a jej szklane zdrętwiałe spojrzenia błądziły po morzu. — I tu już na wstępie, zanim statek wypłynął z przystani... przeciął nam drogę taki karawan... Dwa trupy!... Zły znak!

— Nie wierzę w tak zwane złe znaki, Daisy — wtrącił sir James z ożywieniem. — Zabobony, w ogóle... — I znowu nie mógł dokończyć, bowiem gdzieś w tyle, nie wiadomo czy na rufie *Wołgi*, czy już na molu, zabrzmiał rozdzierający okrzyk kobiety:

— Borys!

---

[1] *cherchez la femme!* (fr.) – szukajcie kobiety! [jeśli nie widać przyczyny].

[2] Primo Carnera (1906-1967) – włoski bokser, zawodowy mistrz świata w kategorii ciężkiej, później wrestler.

Rozdział XXV

GDY ŻYWIOŁ SZALEJE

Dancing *Pavillon bleu* w Casablance nazywa się *bleu* chyba dlatego, że za dach służy mu niebo. Ale niebo afrykańskie, pogodne, niezmiernie rzadko i na krótko zasnute chmurami deszczowymi.

Na lewo od wejścia jest mała strzelnica, na prawo bar z piękną kolekcją niepięknych barówek, potem wkracza się do ogrodu, którego zakończenie stanowi mur z rozpiętym w pośrodku ekranem, pomiędzy wejściem a ekranem, w cieniu olbrzymich drzew stoi przeszło trzysta stolików w dwóch grupach przedzielonych kolistą estradą, na której bez większego ścisku może tańczyć pięćdziesiąt par albo i więcej. Lecz pomimo takich rozmiarów lokalu i elastyczności jego „ścian", mimo że od godziny dziewiątej wieczorem dostawia się nieustannie nowe stoliki, panuje w *Pavillon bleu* nieopisany tłok i biada temu, kto naprzód miejsc sobie nie zarezerwował, lub temu, kto nie docenia magicznej siły napiwku.

Dwaj mężczyźni, którzy wkroczyli do *Pavillon bleu* o dziesiątej wieczorem tego samego dnia, co *Wołga* opuściła Cannes, znali najwidoczniej lokalne stosunki, gdyż w mgnieniu oka znalazł się wolny stoliczek, nawiasem mówiąc wyniesiony z baru i wciśnięty przemocą pomiędzy pierwszy a drugi pierścień stolików, czyli w najbliższym sąsiedztwie estrady.

W ciągu godziny nie zamienili z sobą ani słowa, aż wreszcie starszemu wiekiem mrukowi sprzykrzyło się to milczenie.

— Ręce mnie świerzbią — rzekł. — A skoro mnie łapy swędzą, to pewne, że albo będę prał kogoś, albo będzie uczciwa burza. Na burzę się jeszcze dziś nie zanosi, co? — zadarł głowę do góry.

— Dzisiaj nie — przyznał młodszy — lecz jutro, pojutrze zacznie się większa awantura. Ciekawym, czy nasza stara zechce wypłynąć przy złej pogodzie. Pan wie, kapitanie, że ona... tego ten na morgi!

— Cierpi na morską chorobę? Toś mi pan nowość powiedział! Zawsze udawała takiego zucha... Che, che, che, dobrze, że wiem.

— Lubię Casablankę — rzekł młodszy po dłuższej chwili milczenia przeznaczonego na powolne pompowanie przez słomkę whisky and soda — bardzo lubię starą Dar el Beida i chciałbym, żebyśmy tu popasali parę dni.

— Możliwe... Jeżeli stara nie przyjedzie, to… Sto diabłów!

— Co się stało? Kogo pan tam zobaczył?

— Ano — rzekł kapitan z rezygnacją — o wilku mowa, a wilk tutaj.

— Nasza stara! — syknął młodszy oficer. Obaj przylgnęli wzrokiem do sylwetki strojnej, z lekka podstarzałej damy, którą wymuskany gigolo „wózkował" z regularnością dobrej maszyny po estradzie dla tańczących par. — Że się takiemu chce — dziwił się — nie wolałby sobie z młodszą potańczyć?

— Pan by tak zrobił, poruczniku, ale on nie frajer. Młodej trza stawiać, a taka starsza nie tylko funduje, jeszcze płaci od metra.

— Jak to, od metra?

— Ano, każdy taki dancingowy bubek ma w nogawce tachometr, a licznik w kieszeni, uważa pan? Płaci się potem od przetańczonych metrów. Wiem, bom widział — łgał stary wilk morski, obserwując z uśmiechem podrygi wystrojonej chlebodawczym.

Podczas przerwy podeszli do jej stolika. Ucieszyła się, zasypała ich pytaniami o podróż, potem kazała im się przysunąć i zniżyła głos:

— A cóż on? Zachowywał się spokojnie? — rzekła. — Jest zdrowy?

— Jak ryba w majonezie, mylady — odparł kapitan, kopiąc pod stołem towarzysza. — Z początku trochę bredził, widać za mocno dostał przez głowę, ale...

— Bredził? Wymieniał czyjeś imię? Nazwisko? — wtrąciła.

— Nie wiem. Przyzna pani, mylady, że kapitan statku ma ważniejsze zajęcia, ale steward mi mówił, że wołał kogoś i wymawiał często jakieś imię kobiece!

— Dobrze — rzekła z nagłą oziębłością, widać przychwyciła jedno z owych krótkich, porozumiewawczych spojrzeń, jakie ci dwaj wymieniali dyskretnie. — Tej nocy odpłyniemy, kapitanie. Kurs: Azory, potem Floryda.

— Tej nocy niemożliwe, mylady.

— Znowu pan ludzi rozpuścił, co? — zasyczała.

— Niemożliwe, gdyż jutro rano dopiero weźmiemy bunkier... A co się tyczy ludzi, to pozwolę sobie zauważyć, lady Rabbit, że jako kapitan mam…

— Już dobrze — przerwała pojednawczo — wyjdziemy w morze rano. Ludziom też się coś niecoś należy. Na przykład wizyta w Buz-Bir, nieprawda, kapitanie? — zachichotała swawolnie. — Bardzo oryginalna ta wasza dzielnica rozkoszy, zwłaszcza nocną porą, kiedy osiemset pensjonariuszek wszystkich kolorów skóry ledwie może podołać „zamówieniom" przelicznej klienteli, cha, cha, cha.

— To niby ma znaczyć, że pani tam była którejś nocy... Wybaczy pani, mylady, ale w to nie uwierzę, choć znam pani ekscentryczność.

— Przykro mi, kapitanie... lecz naprawdę zwiedzałam Buz-Bir ostatniej nocy... Czy mam panu opisać grubą ciotunię z *Zytherii*?

— Przekonała mnie pani, lady Rabbit — przyznał.

— No, nareszcie! Muzyka zaczyna grać, chcę zatańczyć, ale wy, miłe słonie morskie nadajecie się pewnie do tańca tak, jak wół do karety, co?

— Mniej więcej, mylady — rzekł kapitan, przytrzymując podrywającą się nogę młodszego kolegi, który chciał zademonstrować swoje najlepsze chęci. Nie chcąc krępować szefowej, wynieśli się do *Jardin d'Ete*, lokalu zupełnie podobnego do *Pavillon bleu*, lecz nieposiadającego ekranu.

O godzinie dziewiątej rano lady Dorothy Rabbit przybiła czółnem do opuszczonego trapu swojego jachtu, a dwóch towarzyszących jej Arabów zaczęło windować na statek niezliczone walizki, przywiezione z urzędu celnego, bowiem w Maroku francuskim rewidują zarówno przyjeżdżających, jak i tych, co wyjeżdżają, i od wszystkich poczciwy sułtan ściąga celne należności, co prawda minimalne. Lady Rabbit ubrała natychmiast kremową, plisowaną i mocno podkasaną spódniczkę, granatową bluzkę męskiego kroju oraz białą czapkę z daszkiem i z jakimiś tam esami-floresami złotymi, których by się admirał nie powstydził, po czym wstąpiła na mostek.

— Pogoda prześliczna — zauważyła, wodząc oczyma po niebie.

— Na razie tak, ale pogoda bywa równie kapryśna, jak piękne kobiety. Rzekłszy to, złożył kapitan dworny ukłon swej chlebodawczym i lekko uszczypnął porucznika, aby się nie wyrwał z czym niepotrzebnym.

— No, a barometr? — spytała bardzo głośno, bowiem tuż obok jachtu przepływała wielka szalupa z francuskiego krążownika i dama-marynarz, na większą odległość bardzo interesująca, była przedmiotem głośnych zachwytów.

— Zechce pani sama sprawdzić, mylady.

Poszła do kabiny nawigacyjnej i wyszła stamtąd równie mądra, jak była przedtem. Ale miny mógłby jej doświadczony bosman pozazdrościć.

— W porządku — rzekła. — Proszę kazać podnieść kotwicę.

— Rozkaz, mylady. — Zasalutował służbiście i trzymał dłoń przy daszku, dopóki nie zeszła z mostka. Potem przysunął się do pomocnika. — Będzie baba mewy karmiła, aż miło — parsknął mu w ucho. — Trzeba szepnąć kucharzowi, żeby się nie wysilał zbytnio; szkoda przysmaków dla mew, che, che, che.

W godzinę później biała Casablanka wyglądała z pokładu jachtu jak plama śniegu powoli topniejącego i wchłanianego przez szary piasek tła.

Lady Dorothy Rabbit po przehulanej nocy spała do trzeciej po południu, ku zmartwieniu swego kucharza, który musiał cały lunch pitrasić na nowo. Przy stole wzięła na spytki stewarda, będącego zarazem więziennym dozorcą jeńca zamkniętego w luku towarowym. On to właśnie, ów jeniec, porwany z małego mola *Palm Beach Casino* w Cannes był przedmiotem wielkiego zainteresowania awanturniczej milionerki.

Wysłuchawszy drobiazgowego sprawozdania stewarda, rozkazała:

— Dopilnujcie, żeby ten człowiek się porządnie ogolił, wykąpał i wyglądał podobnie do ludzi. Dać mu potem piżamę i przyprowadzić mi go o szóstej.

Lady Rabbit zamierzała do tego czasu obmyślić drobiazgowo taktykę działania wobec swego więźnia, lecz już około piątej wygnało ją na pokład wzmagające się kołysanie statku. Pośpieszyła oczywiście na mostek i wsiadła, jak się patrzy, na dyżurnego porucznika, jak by on morze rozhuśtał, Nieborak nie wiedział co odrzec, na szczęście kapitan przybiegł mu z pomocą.

— Pogoda miewa często kaprysy, mówiłem przecież — przypomniał. — Zapowiadało się nadzwyczajnie, pani sama sprawdzała.

— No tak, ale teraz się kiwamy niemożliwie.

— Ach, to jeszcze nic, mylady. Będzie znacznie gorzej.

— Gooorzej? O Boże! Czy to trwa długo?

— Rozmaicie bywa… Ale nie poznaję pani, mylady... Przecież na Biskai przeszliśmy kiedyś burzę i trzymała się pani doskonale.

— Aha — mruknęła, wzdrygając się na wspomnienie owych chwil. — Jak pan sądzi, drogi kapitanie, czy ze względu na bezpieczeństwo nie należałoby zawrócić i uciekać do brzegu? — spytała łagodnie, prosząco, och, błagalnie!

Wytłumaczył jej, że im dalej od brzegu, tym bezpieczniej przy złej pogodzie, że należy właśnie uciekać całą parą od skał przybrzeżnych. Niezbyt uspokojona, raczej zrezygnowana powróciła do swego apartamentu i gryząc zawzięcie cytrynę, zabrała się do „pracy”; należało przecież przygotować się odpowiednio na powitanie niewiernego kochanka.

Steward zgłosił się punktualnie. Zameldował, że polecenie wykonał i ten mały pan siedzi zamknięty w jego kabinie.

— Przyprowadź go, a sam czekaj na mój dzwonek — powiedziała. — Jeśli zadzwonię raz, wpadniesz tutaj z rewolwerem, który ci dałam; nie sprzedałeś go chyba, łobuzie... No, dobrze... A jeżeli zadzwonię trzy razy, przyjdziesz bez rewolweru, za to przyniesiesz tartinki i wszystko, czego trzeba na przekąskę... Wiesz chyba... Idź już, chłopcze... idź!

Rzuciła się na tapczan okryty olbrzymim jedwabnym *persem*, który spływał na parkietową posadzkę i przysłaniał ją aż do przeciwległej ściany. Sprawdziła, że pod poduszką

spoczywa maleńki rewolwer, odszukała bykowiec ukryty w fałdzie dywanu, uśmiechnęła się i przybrała niedbałą pozę osoby, która odpoczywa i nie myśli się czymkolwiek przejmować. Nie ruszyła się też na widok mężczyzny w pstrokatej piżamie, który wpadł do pokoju, prawdopodobnie wepchnięty przez kogoś z zewnątrz.

— Co to ma znaczyć?! — zapiał przybyły dość wątpliwą francuszczyzną i spojrzał srogo na Dorothy. — W czyich jestem rękach, pytam!

— Nie poznajesz tych rączek? — zaczęła słodziutko, podnosząc obie dłonie, objuczone cennymi pierścieniami. — Nie poznaje pan, panie Lapin?

— Tu zachodzi jakieś nieporozumienie, widzę — odparł, szarpiąc w podnieceniu zwichrzoną brodę. — Jeśli chodzi o mnie, jestem Serafin Bobak.

— Bobak? Ha, ha, ha. I ty, głupcze myślisz, że skoroś sobie przyprawił takie nazwisko i taką brodę, to mi oczy zamydlisz?

— Wypraszam sobie wszelkie epitety, moja pani; jestem członkiem Związku Dziennikarzy w Warszawie, jestem znanym redaktorem *Kur*...

— Słuchaj no, Lapin — przerwała z błyskiem zniecierpliwienia — lubię żarty, ale w miarę. Kiedy indziej żartowałabym dłużej, dzisiaj nie mam ochoty!... Zerwała się i, potrząsając wojowniczo bykowcem, ruszyła w stronę osłupiałego grubaska.

— Czy ja zwariowałem, czy ona — bąknął ogłupiały brodacz i przyjąwszy tę drugą hipotezę po namyśle, jął łagodnie, jak się mówi do dziecka lub do człowieka chorego, tłumaczyć lady Rabbit, że niewątpliwie zaszło tu jakieś nieporozumienie. — Puść pani! — jęknął, wrzasnął rozpaczliwie, lecz Dorothy ani myślała puścić i trzymając pełną garścią włosy złotawej brody, szarpała nią raz po raz coraz mocniej.

— Trzyma się jak prawdziwa broda — stwierdziła wreszcie ze zdumieniem i zapaliwszy światło, zaczęła się uważniej przyglądać więźniowi. Istotnie ten grubasek nie był zbytnio podobny do małego pana Lapina. Lecz nie zapomniała o tym, że Raphaël Lapin był mistrzem charakteryzacji i już raz ją w błąd wprowadził, odgrywając rolę jej męża, sir Jamesa Rabbita. — Och, jak on świetnie grał tę rolę — westchnęła, czując miłe dreszczyki w krzyżach. Nie dowierzała więc w dalszym ciągu i najautentyczniejszy w świecie pan Serafin Bobak został poddany dokładnym oględzinom, zanim wreszcie Dorothy Rabbit uwierzyła, iż chytry Lapin wsadził jej tu Bogu ducha winnego człowieka.

Pan Serafin usiadł w fotelu, gdyż coraz trudniej było ustać spokojnie na niespokojnym statku, i opowiedział po krotce historię swego porwania:

— Byłem w *Palm Beach Casino* na balu 1 siedziałem w towarzystwie Francuza, który... może się mylę, ale prawdopodobnie nazywał się tak, jak to pani mówiła przed chwilą: Lapin... Nagle przyszła mi ochota spojrzeć na morze. — (Tu biedny pan Bobak trochę skłamał, wstydząc się przyznać, że zamierzał śledzić gruchającą parkę.) — Wyszedłem na molo, wtem... zarzucono mi na głowę czarną płachtę i kiedy odzyskałem przytomność, leżałem na dnie statku, który, jak się teraz okazuje, jest pani jachtem... No trudno, zaszła fatalna pomyłka, lecz pora ją wyjaśnić... to znaczy musi mnie pani jeszcze dzisiaj wysadzić w Cannes, abym mógł zdążyć...

— W Cannes? Drogi panie Bobak, muszę pana wyprowadzić z błędu. Do Cannes byłoby stąd z pięć dni drogi. Wypłynęliśmy dziś z Casablanki i uciekamy przed burzą w stronę Azorów. Tam dopiero mogłabym pana wysadzić.

Serafin Bobak nic nie odrzekł. Znowu opadły go wątpliwości, czy ta kobieta ma klepki w porządku. Pięć dni do Cannes? Azory? Oczywiście, że umysł jej szwankuje... Więc z niezmierną delikatnością jął wyłuszczać, że jest polskim delegatem i weźmie udział w podróży profesora Rusanowa do Rosji, że zatem ma doniosłą misję, zaszczytną funkcję… i tak dalej, i tak dalej… i musi koniecznie dzisiaj wylądować. To, czy w tej chwili znajduje się koło Azorów, czy koło

Przylądka Dobrej Nadziei, czy koło Sidney w Australii, on uważa za kwestię drugorzędną. Grunt wylądować, i to zaraz, natychmiast!

— Jutro panią odwiedzę — zapewniał.

Uśmiechnęła się, wyszła do sąsiedniej kajuty i wróciła z gazetą.

— Oto dziennik, jaki kupiłam dziś rano w Casablance — rzekła, rozwijając gazetę. — Proszę, niech pan przeczyta ten ustęp — wskazała.

Serafin Bobak, wciąż słodko uśmiechnięty, spuścił wzrok, przeczytał pierwsze wiersze notatki dziennikarskiej i skoczył na równe nogi.

— Odjechali! — zawył... — Wczoraj *Wołga* opuściła Cannes! Och Boże, Boże, Boże. — Opadł z powrotem na fotel, nie mogąc utrzymać równowagi, ukrył twarz w dłoniach i jęczał głucho, i rozpaczał, że jest zgubiony, ośmieszony, że nie ma po co wracać do Polski, że w łeb sobie palnie, bo nie chce przeżyć tej hańby.

Dorothy ogarnęły wyrzuty sumienia. Zaczęła go serdecznie przepraszać, usprawiedliwiać się, przy czym musiała wspomnieć o niewiernym panu Lapinie, który ją *uwiódł i porzucił*. Chciała go porwać, ale los pokrzyżował jej plany.

— Uwiódł panią? — spytał Bobak z większym zainteresowaniem niż ze współczuciem; przyjrzał się sprawczyni swego nieszczęścia i orzekł w duchu, że *niewiastka jest sobie niczego, ściśle biorąc*. — Że uwiódł, to mogę zrozumieć, jest się, che, che, che, mężczyzną! — oświadczył, kołysząc się naprzód i w tył wraz z fotelem, z kabiną i ze statkiem — ale, że porzucił taki skarb, to łajdak!... Skończony łajdak... Ja bym na jego miejscu trzymał rękami i noga...

Jachtem rzuciło potężnie i Dorothy Rabbit wpadła z impetem na niefortunnego delegata; usiadła mu na kolanach całkiem niechcący i tak już pozostała w obawie przed nowym skokiem statku. Dla pewności objęła pana Serafina za szyję i zagadnęła z wielkim zainteresowaniem:

— Więc pan by na jego miejscu był...

— O tak! — wtrącił z zapałem, chwytając ją wpół. — Ja bym trzymał!

Trzymał więc i przytuleni siedzieli dłuższą chwilę, wsłuchani w dzikie poświsty wichru. Potem grube wargi mężczyzny odnalazły ciepły, pachnący karczek, przylgnęły doń, niczym prymka do podniebienia, ale trwalej, znacznie trwalej. Wreszcie, gdy Dorothy, zatęskniwszy gwałtownie za cytryną, chciała się wysunąć z tych kleszczów, pan Bobak uznał, że pora wygłosić przemówienie o... miłości! Opisawszy barwnie genezę tego uczucia u ludzi różnych typów, i niwecząc raz po raz wysiłki lady Rabbit, pragnącej odejść stąd jak najszybciej i w jakimś zacisznym ustroniu złożyć konieczną daninę Posejdonowi, dotarł w końcu do sedna rzeczy i tak dalej ciągnął głosem natchnionym, patetycznym:

— Lecz najsilniejsza ta miłość, która rodzi się, gdy szaleją żywioły! To miłość godna półbogów, godna... — Łysnęło się. Posejdon przyjął wyzwanie braciszka Zeusa i w odpowiedzi na jego piorun cisnął górę wody w jacht. Statek pochylił się nieprawdopodobnie, podłoga i sufit stały się ścianami na chwilę, a wszystkie graty, z winy Dorothy niezabezpieczone przed chwiejbą, rozpoczęły szalone pląsy po kabinie, bombardując boleśnie dwoje zamkniętych tu ludzi. Dorothy, pan Serafin i jego fotel utworzyli razem bezkształtną masę podrzucaną we wszystkich kierunkach, lecz solidarną, trzymającą się kupy w rozpaczliwym oplocie ramion, przy czym fotel najczęściej bywał na wierzchu.

— Puść mnie pan — błagała kobieta głosem stłumionym, nieswoim.

Puścił ją i pokatulal się samopas w któryś róg dużego pokoju. Tam odkrył przypadkowo jakiś wazonik pozbawiony kwiatów i uznał natychmiast, że za czymś w tym guście tęsknił już wtedy, gdy mówił o żywiołach. A kiedy zaspokoił z grubsza swą żywiołową tęsknotę, posłyszał w przeciwległym kącie podobne jęki i westchnienia.

— Ona także ma morską chorobę — pomyślał nie bez satysfakcji.

Światło zgasło nagle, snadź gwałtowna chwiejba uszkodziła w jakiś sposób dynamo albo przewody. Nastały egipskie ciemności, rozjaśniane krótkimi chlaśnięciami błyskawic i w tych momentach ukazywali się sprawcy niesamowitych szelestów, łakome jęzory fal, liżące od zewnątrz grube szyby iluminatorów; dziwna rzecz, ale tak już jest, że te szelesty zagłuszane nieustannie przez ryk morza, świsty wichru i wystrzały bliskich piorunów, najbardziej denerwują i najdobitniej uprzytamniają grozę niebezpieczeństwa.

— Och... nie wytrzymam dłużej — zajęczała Dorothy. — Zadzwoń pan na służbę, monsieur Bobak... Tylko prędko, na Boga!

Pan Serafin odstawił swój cenny wazonik i ruszył po omacku na poszukiwanie tastra od dzwonka. Odnalazł go po wielu, wielu przygodach i nacisnął maleńki guziczek kilka razy.

— Jeśli elektryka zepsuta, to dzwonka nikt nie posłyszy — rzekł.

Postękując, wyjaśniła mu Dorothy, że dzwonki na jej jachcie posiadają własny akumulator czy baterię i nie są zależne od dynama. Pan Bobak nie słuchał. W stojącej pozycji poczuł znów przemożną żądzę... wywnętrzania się i, błądząc w mrokach, szukał nerwowo porzuconego lekkomyślnie wazonika.

Żarówki zamigotały, pomrugały i zapłonęły żółtawym światłem.

— Chwała Bogu — odetchnęła Dorothy. — Czy pan naprawdę dzwonił?

Nie zdążył już odpowiedzieć. Nie dlatego, żeby.... wazonik... To swoją drogą, ale w tej chwili zapukano do drzwi.

— Wejść! — zawyli równocześnie, miotając się w szponach przeklętej morskiej choroby. Wszedł steward z tacą.

— Mylady — rzekł, — przyniosłem sandwicze, jak pani kazała...

Lady Rabbit wybuchnęła histerycznym śmiechem, a Serafin Bobak, na pół przytomny i chory, prawił coś swemu wazonikowi o szalejącym żywiole...

Rozdział XXVI

NAD ZŁOTYM ROGIEM

Gruby, ociężały Turek postawił popielniczkę przed turystą i, szurgając pantoflami zsuwającymi się z nóg, powlókł się sennym krokiem do swojego kąta. Tam, poza drewnianą barykadą, imitującą wysoką ladę w barze, drzemał każdego popołudnia i nigdy o tej porze nie zakłócono mu ulubionej sjesty, gdyż robotnicy portowi, jedyni klienci tej kawiarenki, zjawiali się dopiero po zachodzie słońca. Aż dzisiaj przygnało tu licho tego małego turystę i wielkiego dziwaka w jednej osobie. Bo czyż nie zasługiwał na miano dziwaka człowiek, który przede wszystkim zapytał o pióro, papier i atrament?! Słusznie tedy stary Hussein zrobił zgorszoną minę i oświadczył, że takich artykułów nie posiada na składzie żadna porządna kawiarnia turecka, nie tylko tutaj, w Istambule, lecz na całym terytorium mocno obciętej dzisiejszej Turcji. Na to dziwny gość wyjął z kieszeni rulon papieru, butelkę atramentu oraz jakiś pokrewny im instrument, Husseinowi nawet z widzenia nie znany, i z tryumfującą miną oznajmił:

— Przewidywałem to, zaopatrzyłem się w sklepie w te przybory i widzę, że dobrze uczyniłem... No, a teraz proszę o kawę... A może i tego nie posiadają na składzie tureckie kawiarenki? — spytał.

— Owszem, posiadają — odparł Hussein z godnością... — ale...

— Ale, co... czcigodny Bim-baszo?

— Ale zabrakło mi cukru.

— Nic nie szkodzi, wypiję gorzką.

— Kawa jest podła, ostrzegam… Nie będę przecież świeżej zaparzał.

— Czemużby nie, wzorze prawdomówności?

— No, o tej porze?! — Tu poczciwy gospodarz ziewnął od ucha do ucha, informując w ten sposób intruza, do czego poobiednia pora służyć powinna. Ale tłumacz to zakutej pale, próbuj przekonać takiego ignoranta jak pospolity turysta, który w czasie największego upału potrafi godzinami wałęsać się po opustoszałych ulicach, który dla jakiegoś tam widoku będzie się wdzierał na szczyty gór i wież, który całymi tygodniami będzie się narażał na niewygody podróży, byle obejrzeć stare rumowisko, kilka kamieni wykopanych z piasku, a który nie docenia zupełnie rozkoszy poobiedniej drzemki! Takiego fanatyka nie przekonasz i lepiej nie drażnij wariata, bo stoją za nim konsulaty, ambasady, interwencje, demonstracje statków wojennych i Allach wie co jeszcze, w każdym razie poważne niebezpieczeństwo dla Republiki Tureckiej.

Hussein, o ile nie spał... był gorącym patriotą, zatem wziął się do zaparzania świeżej kawy w błogim przekonaniu, że spełnił swój obowiązek wobec ojczyzny i, kto wie, czy nie ocalił Turcji przed ostatecznym rozbiorem. Nic tedy dziwnego, że po wykonaniu tak patriotycznej czynności, wyczerpany z sił, opadł ciężko na sprasowaną stertę skórzanych poduszek i zasnął natychmiast.

Tymczasem mały turysta rozłożył już cały swój kram na stoliku i zabrał się do pisania. Wykonał piórem kilkadziesiąt zawiłych esów-floresów i na tej jednej literze musiał utknąć; na drugą nie starczyło już atramentu. Zanurzył więc pióro głębiej w buteleczce, aż do dna,

posmarował sobie palce, lecz nawet tego nie dostrzegł. Natchnienie już go poniosło, już na potężnym, kancelaryjnym arkuszu papieru pląsał korowód wspomnień i myśli zaklętych w kształt umówionych znaków, które zwiemy pismem lub częściej – gryzmołami

Kochany Mój Balciu!

Pewnieś się sposobił znowu do wygłoszenia mówki, równie pięknej, jak ta, którą uczciłeś mój pierwszy pogrzeb. Pewnie Ci doniósł por. Solarski o moim zniknięciu, i Ty, zacny przyjacielu, opłakiwałeś mnie rzewnie. Obetrzyj więc Swoje poczciwe, krowie oczęta, bowiem żyję, a od kilku godzin urzęduję w Konstantynopolu. (Nie wiem, czyś słyszał coś kiedyś o mieście noszącym tę nazwę; jeśli nie, kup Sobie atlas i szukaj na mapie... Australii).

Aby jednak Twoja miła łepetyna mogła pojąć, jakim cudem znalazłem się z Cannes w Carogrodzie (Carogrodu szukaj na Nowej Gwinei), muszę zrobić małą cofaneczkę w opowiadaniu.

Ostatnio doniosłem Ci na widokówce, że wybieram się na bal do „Palm Beach". (Tym razem nie szukaj na Florydzie, bo naprawdę znajdziesz. Dla Twej informacji podaję, że obok kasyna miejskiego, istnieje w Cannes drugie, prywatne, nazwane „Palm Beach Casino" i tam właśnie poszedłem, uważasz?)

Wśród licznych znajomych spotkałem niejakiego Cherubina… przepraszam... Serafina Bobaka vel Bobka, który, jak zapewne wiesz z gazet, miał uczestniczyć w „moskiewskiej wyprawie", jako delegat Pol. Zw. Dziennikarzy. Zaprzyjaźniliśmy się szybko, gawędziliśmy sobie w najlepsze, gdy nagle doręczono mi pachnący liścik; jakaś „DR" prosiła mnie, bym natychmiast wyszedł na molo… słowem, naznaczyła mi randkę. Zerwałem się, zostawiłem przez roztargnienie ów liścik na łup ciekawości imć Bobka, i w samą porę zesłał mi los sir Jamesa. Ten poczciwiec szedł właśnie ostrzec mnie, że jego eks-żona, a moja eks-Putyfara (pisałem Ci o niej z Paryża) przybyła do kasyna i pewnie się ucieszy na mój widok.

Moja dusza stanęła na rozstajach, jak drogowskaz. Tu randka z czarującą Daisy Rindley, a tu znów straszliwe niebezpieczeństwo. Tknęło mnie coś, że inicjały „DR" mogą równie dobrze być skrótem nazwiska: Dorothy Rabbit! Po namyśle („a nuż to jednak Daisy", łudziłem się wciąż) wymknąłem się z Sali, ale zamiast wejść na molo, posuwałem się wzdłuż niego, skacząc z głazu na głaz, aż znalazłem sobie niezgorszą kryjówkę. Wtem... posłyszałem kroki. Podniosłem głowę. Ktoś przystanął, chciał zapalić papierosa, zrozumiałem po grzechocie zapałek, i w przelotnym blasku płonącej zapałki poznałem mojego Serafina Bobka!

Łobuz, co? Chciał podglądać lub zgoła wyręczyć mnie w spotkaniu z piękną Daisy. No i wyręczył mnie znakomicie. Ogłuszono go, zawinięto w czarną płachtę, rzucono do czekającej motorówki i pojechał... Wówczas to przyszedł mi do głowy śmiały pomysł, by ucharakteryzować się na imć pana Bobka i grać jego rolę. Ale na razie postanowiłem zaczekać, sądząc, że Dorothy go odeśle na ląd, skoro stwierdzi fatalną omyłkę. Fatalną, Balciu, bo co stuprocentowy mężczyzna, to nie jakiś tam Bobek, w dodatku Serafin. Na wszelki wypadek ukryłem się i czekałem na rozwój wypadków. Minęła doba. Jacht Dorothy nie powrócił, w porcie powiedziano mi, że zaopatrzył się w paliwo, jak na dłuższą podróż, a Dorothy grasowała na Riwierze, rozbijała się autem, grała jak szalona po wszystkich kasynach, krótko mówiąc: nasuwała się na oczy. Sprytna baba!

Ale i ja nie frajer! Ucharakteryzowany na imć Bobka łaziłem za nią krok w krok, aż dotarłem do biura turystycznego Cooka, Stałem obok, gdy kupowała bilet do Algieru, a stamtąd przez Udżdę, Fez do Casablanki. Już wiedziałem! Tam miała się spotkać ze swoim jachtem. Obliczyłem dokładnie i upewniłem się, że miły Serafinek nie dopędzi swojego sobowtóra, czyli mnie. I oto wcieliłem się oficjalnie w jego skórę, zamieszkałem w jego apartamencie, pozyskałem

sobie wstępnym szturmem sympatię wszystkich wydelegowanych dziennikarzy i zostałem jednogłośnie wybrany na ich prezesa, ja Rafał Królik, primo voto Raphaël Lapin, secundo voto Serafin Bobak! Słuchaj uważnie, Balciu, i ucz się!

Moja popularność wśród kolegów miała także swoje złe strony. Nie odstępowali mnie dosłownie na krok, uniemożliwiając skomunikowanie się z Solarskim. Telefonowałem doń dwukrotnie, lecz pech chciał, że go w domu nie było. Wreszcie, w dniu odjazdu, przyszedł do mnie, jako do rzekomego Serafina Bobaka. I oto masz dowód, jakim mistrzem w charakteryzacji jest podpisany, skoro nawet Solarski mnie nie poznał. Zamierzałem właśnie wyprowadzić go z błędu, lecz przeszkodzono nam. Napisałbym do niego, jednakże z pewnych względów wolę, abyś Ty to uczynił, Balciu Kochany.

Kiedy „Wołga", nasz jacht, opuszczała Cannes... spałem jak zabity, przemęczony pracą organizacyjną, która w ciągu nocy poprzedzającej wyjazd nie pozwoliła nam oka zmrużyć i spowodowała konflikt z niewyrozumiałą służbą hotelu „Majestic", skądinąd bardzo przyjemnej budy. Dzięki temu nie mogłem się zobaczyć z Solarskim, co zechciej mu wytłumaczyć. Napisz mu też, żeby nie lękał się o swoją Wieroczkę, gdyż ona do Rosji nie pojedzie! Wysiadła tutaj, w Stambule (możesz długo szukać, zanim go znajdziesz na mapie) i, jak mi się obiło o uszy, zamieszka u swojego stryja pod Cannes. Dlaczego tak raptownie zmieniła decyzję, nie wiem; mam wrażenie, że pomiędzy nią a Daisy Rindley doszło do scysji, a zakochany profesor przyznał słuszność Angielce. Jego pożegnanie z córką (jedynaczką przecież) było wybitnie chłodne, ale być może, iż grali komedię wobec nas.

A teraz sensacja! W dniu naszego odjazdu z Cannes wyłowili tam rybacy zwłoki Laksbergera i Borysa Siemionowicza Łapina. Dowiedzieliśmy się o tym w Palermo. Och, to był gorący dzień! Eskortował nas jakiś Sergiusz Miercew, typ spod ciemnej gwiazdy, i on właśnie przyniósł tę wiadomość. — Wysiadam — oświadczył — wracam najbliższym statkiem do Ajaccio, stamtąd odlecę samolotem do Marsylii. Muszę wyśledzić mordercę moich towarzyszy i pomszczę ich śmierć, przysięgam! Krwawo pomszczę… A z panami... zobaczymy się jeszcze — dodał w naszą stronę z takim uśmiechem, że zrobiło mi się dziwnie gorąco. Wysiadł bydlak i przyjemniej się podróżowało bez niego, ale perspektywa spotkania w Rosji potężnie mnie niepokoi. Żałuję chwilami, że się musiało sprzątnąć tych łotrzyków. Laksbergera i Borysa...

W tym miejscu Rafał Królik przerwał pisanie i odczytując ostatnie wiersze, zauważył z chytrym uśmieszkiem:

— Ostatecznie cóż to szkodzi wziąć tych dwóch na swój rachunek; nikt mnie przecież nie będzie pociągał do odpowiedzialności za to morderstwo, z którym, nawiasem mówiąc, nic wspólnego nie miałem… a Balciowi zaimponuję... Tak, tak warto nawet podkreślić, że to ja!

Dopisał więc skwapliwie parę zdań, nie przeczuwając, że w niedalekiej przyszłości będzie przeklinał tę głupią chełpliwość:

Ty wiesz, Balciu, że na ogół nie lubię przelewać krwi i zabijam tylko w ostatecznym razie, kiedy nie ma innego wyjścia Ale tych drabów musiałem sprzątnąć! Nie zapomnij, że usiłowali mnie zamordować jeszcze w Warszawie, a tutaj również dybali na moje życie, działałem więc niejako w obronie własnej i mój surowy wyrok był w tym wypadku środkiem prewencyjnym... Poszło gładko... Zaproponowali mi wspólną wycieczką łódką przy księżycu. Zważ tylko, Balciu: przy księżycu! Od razu oczywiście przeczułem podstęp, ale nie dałem poznać po sobie. Kiedy odsunęliśmy się od brzegu na dobry kilometr, Borys pochwycił mnie wpół od tyłu. — Teko to tsuppari — mruknąłem; jak wiesz, przypuszczam dżiu-dżitsu jest moją specjalnością, a chwyt „teko to tsuppari" stosowałem już nieraz w życiu i z nadzwyczajnym skutkiem. Padłem więc na

kolana, przerzuciłem napastnika przez głowę i cisnąłem go wprost na Laksbergera, który zrywał się właśnie. Strzelił szelma do mnie, kula musnęła mnie po włosach, i wówczas dopiero wpadłem w niszczycielski szał. Szybkimi uderzeniami wiosła wtrąciłem obu do wody i najspokojniej w świecie powróciłem na brzeg... Ech, szkoda, żeś mnie nie widział w momencie tej bohaterskiej walki!!!

Rafał Królik odłożył pióro i przysunął sobie nowy arkusz papieru, bo tamten był zapisany na wszystkich czterech stronicach.

— No, jeśli Baltazar teraz nie nabierze dla mnie respektu, to już chyba nigdy — monologował, odczytując z satysfakcją to wszystko, co nałgał w liście, a nałgał sporo; zwłaszcza końcowy ustęp był jedną wielką... improwizacją. — Teraz, dla okrasy, trzeba by napisać coś wesołego — postanowił. W poszukiwaniu tematu zaczął się rozglądać dokoła; w ciemnym rogu lokalu chrobotały myszy, z ogromnej szpary na pół zgniłej podłogi młody szczur wychylał pyszczek zalotnie, nuda i muchy pełzły po brudnych, odrapanych ścianach, przez rozbitą szybę jedynego okienka wdzierał się do wnętrza smród gnojówki, po stolikach uwijały się patrole mrówek. — Obraz nędzy i rozpaczy — mruknął zawiedziony Rafał. — Tak, ale prawdziwy poeta, choć nieraz mieszka w gorszych warunkach, potrafi sobie stworzyć krainę baśni, potrafi ją odmalować przepięknie... Spróbujmy zatem. — Pochwycił za pióro i pisał:

A teraz, skoro już Ci opisałem moje bohaterskie przeżycia, pozwól, że poświęcę słów kilka gospodarzowi, pod którego gościnnym dachem piszę list niniejszy. Jest to sam wielki Halef Omar Bim, basza, rodzoniuteńki siostrzeniec sułtana Abdul Hamida. Po upadku sułtana wycofał się z życia politycznego i mieszka w swoim cudnym pałacu, w którym nas podejmuje. Nas, to znaczy mnie i mojego kolegę, delegata bułgarskiego; on właśnie, ten sympatyczny Bułgar zapoznał mnie z Omarem Bim-baszą.

Siedzę w fotelu, który tronem raczej wypadałoby nazwać. Przez uchylone okno od haremu sączy się do sali odurzająca, ciężka woń wschodnich perfum. Bardzo ciężka! Radbym zamknąć to okno, lecz nie chciałbym obrazić gospodarza. Z ciemnego kąta sali dobiegają dyskretne dźwięki tęsknej melodii wschodniej; to kapela nadworna uprzyjemnia nam wspaniałą biesiadę. Teraz roznoszą na szczerozłotej tacy wonną kawę, prosto z Mokki sprowadzoną, dlatego nazywa się „mokka". Pochylam się i poprzez zwiewne pióropusze palm widzę Złoty Róg. Woda opalizuje w słońcu, żagle kutrów wyglądają z tej wysokości jak białe motylki, a ponad nimi na tle błękitnego baldachimu niebios płynie majestatycznie duży, złoty motyl... obłok.

Basza klaszcze w śniade dłonie. Ach... jakże przepiękny widok. Nie wiedziałem, że ta odległa ściana jest ogromnym, srebrnym szalem, srebrną kurtyną. Rozchyliła się i oto idą ku nam, a raczej płyną krokiem tanecznym, cudne kobiety. Kwiaty, nie kobiety, ja się znam chyba na tym; prawda, Balciu? Czekaj, basza coś mówi, oczywiście po francusku... Aha, przedstawia mi swoje tancerki, wymienia ich dźwięczne imiona…

Rafał Królik zaklął.

— To było niepotrzebne — mruczał — skądże ja teraz wytrzasnę te „dźwięczne imiona"? W końcu zdecydował się zasięgnąć rady gospodarza.

— Hallo, stary śpiochu — wołał — hej tam Bib-baszo!

Stożkowaty fez, który ongiś, zapewne w okresie rządów Abdul Hamida, był czerwony, podskoczył nerwowo i spoza „szynkwasu" wyjrzało pucołowate oblicze Husseina; jego zaspane oczy posłały turyście spojrzenie pełne wyrzutu.

— Czego znów, efendi? Czy kawa może niedobra? — spytał.

— Och, świetna! — odparł Rafał, patrząc z zainteresowaniem sportowca na zawody pływackie sześciu much usiłujących się wydostać z czarnych nurtów lury, której on ani nie skosztował zrażony niechlujnym wyglądem filiżanki. — Kawa jest świetna, lecz piję ją powoluteńku, aby przedłużyć rozkosz. Lubię, widzi pan, rozkładać sobie przyjemności na raty... Ale z ważniejszego powodu ośmieliłem się przerwać panu zasłużony wypoczynek. Mianowicie mam większe zapotrzebowanie na żeńskie imiona tureckie. — Wyjaśnił, o co mu chodzi w bardziej przystępny sposób, bowiem Hussein, choć nie najgorzej parlował po francusku, był na ogół typem dość ciężko myślącym.

— Żeńskie imiona? A na cóż to panu, efendi?

— I tak byś pan nie zrozumiał, dość, że mi są potrzebne... No mówże, miły Bim-baszo, a dostaniesz królewski napiwek… bakszysz po waszemu.

Hussein nie był nigdy przeciwnikiem bakszyszu, lecz żądanie małego turysty wydało mu się co najmniej podejrzane. Odparł, że nie zna żadnych imion żeńskich, że w ogóle z kobietami się nigdy nie zadaje.

— No a żony pan nie ma? Nie miał pan nigdy?

— Nie! Allach ustrzegł — westchnął Turek, śląc dziękczynne spojrzenia w stronę pułapu bogato przystrojonego w pajęczyny.

— Nie wmówi pan jednak we mnie, że matki również pan nie posiadał — zauważył Rafał tryumfalnie. — No więc... matce było...

— Nie pamiętam... to już tak bardzo dawne czasy.

— Bodajś skisł, uparty idioto — warknął mały detektyw po polsku. Zamierzał już zrezygnować z dalszej indagacji i, co za tym idzie, z malowniczego opisu tureckiego baletu, gdy wtem zaświtała mu w głowie myśl nowa. Zapytał gospodarza, jak się nazywają dzielnice Konstantynopola.

— Dzielnice, efendi? — Podejrzliwy Hussein był zupełnie zbity z tropu. — Szpieg, czy wariat? — zastanawiał się i milczał dalej.

— No tak — wrzasnął Rafał zirytowany — pytam o nazwy dzielnic tego miasta. Dzielnica, człowieku, Bezirk, quartier, arrondissement, uważasz? Słuchajże, Bib-baszo, albo powiesz, albo... wyciągnę najdalej idące konsekwencje!

Wobec tak groźnego ultimatum, patriota Hussein postanowił powtórnie ocalić Turcję i wymieniał nazwy dzielnic oraz przedmieść Konstantynopola jednym tchem:

— Ejub, Chaskoj, Kassim-Pasza, Pera, Galata, Fanar, Top-Hane, Findikli... Kabatasz, Dolma-Bakcze, Kadikoi; teraz w Skutari mamy dzielnice...

— Dość, wystarczy — krzyknął ucieszony turysta — to mi wystarczy, a ty, cny Bim-baszo zmruż oczęta i zaśnij na powrót. Tylko zaraz, bowiem płomień natchnienia mnie ogarnął i zaczynam tworzyć.

Rzekłszy to, ujął znów pióro i kończył swoje liścidło następującym opisem.

Cudne są te kobiety i cudne ich imiona, Drogi Balciu. Oto czarnowłosa Ejub, giętka jak trzcina, oto smagła Chaskoj, ognista córa Sahary i jej mleczna siostra Kassim, obie zakupione dla Bim-baszy w oazie Figita-Nie! Z kolei idą dwie złotowłose tancerki: Pera i Galata; Galata kokietuje mnie bezczelnie, boję się, żeby z tego nie wynikła awantura... Fanar! Fanar jej na imię. Balciu. Tylko Fanar, a ją określiłem w myśli nierównie piękniej: Płonąca Lilia! Bowiem ciało jej ma barwę śniegów Libanu, a przepyszną głowę wieńczy aureola płomieni. Przysięgam, że to nie włosy, lecz płomienie... Ha. Któż to znowu? Siostry syjamskie? Nie. Zmylił mnie ten cudny szal kaszmirski spowijający je obie razem, przeźroczysty zdradziecko; złocą się poprzez jego pajęczą siatkę ich obnażone ciała... Rozłączyły się teraz, szal opadł na posadzkę z mozaiki, one zaś płyną

dalej piękniejsze niż baśń nocy wschodniej, a przy tym bliźniaczo podobne do siebie. To mała Top i Hane... Ruda Findikli nie jest w moim guście, choć mogłaby śmiało pretendować do tytułu Miss Turcji. Za tęga dla mnie, podobnie jak i Kabatasz, Czerkieska, jak mi właśnie Basza wyjaśnia. Ach znowu trzy hurysy: Dolma, Bakcze i Kadikoi... Jeszcze jedna? Och, baszo potężny już oczy bolą! Tak przyznaję, że Skutari jest najpiękniejszą z Gruzinek, lecz miej litość nade mną...

Pękniesz, Balciu. Pękniesz z zazdrości! Bim-basza polecił, abyśmy sobie „coś" wybrali do towarzystwa, pozostałe będą tańczyć. Powiedział dosłownie: „Żony w haremie są dla mnie, tancerki dla moich przemiłych gości"... Piękny kraj, piękne zwyczaje, ale najpiękniejsze one!... Tu się kleks zrobił. Jak myślisz, Balciu, kto zawinił, że list pisany do Ciebie posiada taką plamę z atramentu? To Galata! Odepchnęła Perę i usiadła mi na kolanach. Wolną ręką opasałem jej wiotką kibić, a drugą piszę dalej. Ale już niedługo. W takiej sytuacji... wolę przerwać pisanie. Sam przyznasz, że istnieją rzeczy milsze, niż gryzmolenie piórem po papierze, chociażby to był list do przyjaciela. Kończę więc. Muszę! Ta szelma spytała mnie właśnie, czy my, dziennikarze, nie wypuszczamy pióra z ręki nawet w chwili ekstazy. Rozumiesz chyba, że wobec takiej prowokacji muszę przerwać. Napiszę dopiero z Bolszewii, bo nie będziemy się już nigdzie zatrzymywali po drodze... Galatko, bądźże cierpliwa; odrobię tę zwłokę, odrobię...

Ściskam Cię serdecznie, Drogi Baauuu, Galatko drapieżna! i całuję z dubeltówki,

Twój Rafał K.

Z dumą spoglądał Rafał na swoje dzieło. Czuł, że posiada jeszcze dostateczny zapas natchnienia, by z kolei odmalować scenę orgii, lecz zapas sił i woli był znacznie szczuplejszy; dłoń bolała go naprawdę, kiedy po raz ostatni ujmował pióro, by wypisać adres na kopercie. — Opowiem Balciowi resztę w Warszawie — postanowił i, zalepiwszy kopertę, ruszył na palcach w stronę bufetu.

— Poczta? — ziewnął gospodarz. — Bardzo daleko stąd. Musi efendi iść wciąż pod górę... dobre pół godziny i tam się znowu zapytać.

— Jak się nazywa ulica, przy której znajdę pocztę?

— Nie wiem. Nigdy na pocztę nie chodzę. Dlatego właśnie mówię, żeby się efendi tam znowu zapytał... Ale widok jest piękny z góry — zachęcał.

— Carrrrramba! — ryknął ktoś trzeci. Rafał nakrył list jakąś ścierką w instynktownym odruchu, spojrzał w stronę drzwi i dostrzegł hiszpańskiego dziennikarza. Hiszpan był wniebowzięty. — Dwie godziny pana szukamy, drogi prezesie — mówił, maszerując przez pustą kawiarenkę. Raptem przystanął. — Zawołam ich tutaj, bardzo tu przyjemnie. — Odwrócił się na pięcie, wybiegł, nie słysząc rozpaczliwych protestów Rafała, za to on, nieszczęsna ofiara popularności, posłyszał natychmiast tubalny ryk Hiszpana zwołującego kolegów...

— Słuchajcie no, człowieku — rzekł do gospodarza, wyjmując portfel.

— Mów efendi, sługa twój słucha. — Turek ożywił się zaraz.

— Ten list wy zaniesiecie na pocztę i nadacie go jako polecony! Po recepis zgłoszę się tu jutro — łgał, wiedząc, że tej nocy pożeglują w dalszą drogę i nazajutrz *Wołga* będzie się już kołysała na falach Czarnego Morza. Łgał dlatego, aby chciwego Turka nie skusiło przywłaszczyć sobie pieniądze przeznaczone na porto a list cisnąć do rynsztoku. — Zgłoszę się jutro i dostaniecie w nagrodę jeszcze... dwa dolary — dokończył wspaniałomyślnie, po czym wręczył mu pieniądze na opłacenie znaczków pocztowych. Wiedział, że powinien nadać list osobiście, lecz po pierwsze nie czuł najmniejszej ochoty do półgodzinnego spaceru pod górę, po drugie nie chciał się narażać na zapytania i domysły, co to za list, dlaczego nie pisał go w czytelni jachtu, gdzie wszyscy delegaci, jego nie wyłączając, mozolili się nad dziennikarskimi sprawozdaniami z

pierwszego etapu podróży.

— Więc mogę liczyć na pańską słowność, co?

— Możesz, o efendi, możesz — zapewniał Hussein, ujęty hojnością małego turysty — osobiście zaniosę ten list na pocztę i wrzucę do skrzynki.

— Idiota — jęknął Rafał — nieofrankowany list wrzuci do skrzynki! Bib-baszo, nie podobasz mi się... To jest list polecony, une lettre recommandée.. lettera raccommandata... Einschreibebrief! To się nadaje przy okienku.

— Już wiem, efendi.

— Na pewno?

Hussein zaklął się na zarost proroka, że wie, potrafi, oczywiście, miliony razy nadawał listy polecone, w ogóle nic innego nie robił w młodości. Był zaniepokojony, że szczodry dziwak zechce go pozbawić zarobku, większego niż przeciętny utarg dzienny w tej kawiarence. Na szczęście dla niego Rafał Królik pozostał nadal niedoścignionym wzorem lekkomyślności. Zresztą w tej chwili wpadła do kawiarni głośna czereda panów delegatów prowadzona przez rosłego Hiszpana wykrzykującego w kółko, że odnalazł zaginionego prezesa i przy tej okazji odkrył bardzo przyjemny lokal. Przekonał się jednak rychło, że ta biedna spelunka z bliska jest mniej przyjemna. Rafał ze swej strony wystawił niepochlebne świadectwo tutejszej kawie i rozkrzyczane towarzystwo wysypało się na powrót na uliczkę, uprowadzając z sobą prezesa. W drzwiach Rafał odwrócił się i spojrzał porozumiewawczo na Turka.

— Dwa dolary, pamiętaj, Bim-baszo... Allach niech obdarzy licznym potomstwem ciebie i myszy twoje.

Hussein podziękował serdecznie, gdyż ostatnich słów nie dosłyszał. Przeliczył dwukrotnie pozostawione pieniądze, dręcząc się obawą, że porto listu pochłonie zapewne z połowę tej sumy. Głosy podochoconych cudzoziemców ścichły nagle, widocznie towarzystwo wydostało się z zaułka w ulicę spadającą ku gładkiej toni Złotego Rogu, i błogi sen płynął już ku Husseinowi, już muskał piórkami jego ociężałe powieki, kiedy najniespodziewaniej w świecie wkroczył do kawiarni wysoki, chudy mężczyzna... Znowu turysta, odgadł skrzywiony gospodarz, drżąc na myśl, że i ten przybysz zechce popróbować jego kawy. Nowy klient przyszedł tu jednak w innych zamiarach.

— Proszę o papierosy i o znaczki pocztowe na widokówki — rzekł, nie odrywając wzroku od listu, który Hussein tulił oburącz do piersi.

Gospodarz wyjaśnił, że papierosy mu „wyszły", a znaczki można dostać na poczcie. — Mam tylko kawę i lemoniadę — dodał załamanym głosem.

— Zatem trzeba by iść na pocztę. Hm... Czy to daleko stąd?

— Daleko? Ależ bliziuteńko, efendi. Troszkę pod górę i tam trzeba się spytać, która ulica.

— Aha... Pan widzę także ma jakiś list... Może go panu wrzucić do skrzynki... Skoro już muszę iść na pocztę, to... za jednym zamachem...

— Wrzucić do skrzynki? O efendi! Czyż pan nie widzi, że jest to list polecony?

— Naprawdę? Mam słaby wzrok.

Dobroduszny Husein podsunął gościowi list pod sam nos. Szczupły turysta przeczytał adres kilkakrotnie, wbił go sobie w pamięć i przyznał:

— Istotnie, to jest list polecony... Trzeba go nadać przy odnośnym okienku... Wie pan... — urwał. Przeląkł się, że dalsze przymawianie się obudzi podejrzenie Turka. Tymczasem Hussein, zapatrujący się na sprawę ze swojego punktu widzenia, sam mu uprościł zadanie:

— Skoro już pan idzie na pocztę — rzekł, przymilając się — to może by pan zabrał i ten list także.

—Z przyjemnością! — krzyknął przybyły, chwytając upragniony list. Ani nie marzył o

tym, że tak łatwo dostanie go w swoje ręce.

— Tylko — zaczął Hussein... — tylko że ten gość, który go tutaj pisał, zapomniał zostawić mi pieniądze na porto.

— Głupstwo. Chętnie zapłacę. Jeden znaczek więcej, jeden mniej, cóż to znaczy... No, żegnam kochanego pana, żegnam i dziękuję.

— Ale musi mi pan przynieść jakąś tam kartkę z poczty,

— Aha, dowód nadania... recepis.

— Właśnie... Mam dostać dobry napiwek jutro za ten recepis.

— Rozumiem — mruknął turysta, kierując się ku drzwiom — w ten sposób chciał się zabezpieczyć, że Turek listu nie spali. Niezły pomysł w zasadzie, jednak to karygodna lekkomyślność... Daj Boże, żeby wszyscy moi przeciwnicy byli tak lekkomyślni — monologował. Spieszył się bardzo, a kiedy szedł szybciej, ujawniała się jego ułomność, nieźle dotychczas maskowana sztywnym, majestatycznym krokiem.

Rozdział XXVII

STALINGRAD???

— Niech prezes przemówi.
— Słusznie. Monsieur Bobak ma głos.
— Don Serafino, wygarnij im pan uczciwie!
— Niech z nas nie robią wariatów!
— Czwarty dzień siedzimy w tym nudnym mieście, i nic!
— Codziennie dostaję depesze z mego związku.
— Tak dłużej trwać nie może. Po cośmy tu przyjeżdżali.
— Hallo, mister Bobak. Postaw pan im ultimatum: albo… albo.
— I gadaj pan do nich po francusku. Chcemy także zrozumieć.
— Zrozumieć, to mało. Będę stenografował pańskie przemówienie.
— Ja również. To dla nas dokument!
— Fetują nas, obwożą po Moskwie, a o Stalingradzie ani mru-mru.
— Pilnują nas, jak więźniów, szpiegują, caramba!
— Byłem dziś w moim konsulacie i przez cały czas...
— Szedł za panem szpicel, co? To i mnie się przytrafiło.
— Skandal, teremtette![1]
— Wie lange sollen wir noch warten?[2]

Wrzawa rosła z każdą sekundą. Poirytowani delegaci krzyczeli we wszystkich językach, wszyscy równocześnie, wszyscy zwróceni w stronę rzekomego Serafina Bobaka, który siedział na honorowym miejscu, pomiędzy profesorem Rusanowem a jakimś dygnitarzem sowieckim.

Wreszcie, gdy wrzawa dosięgła zenitu i cierpliwy uśmieszek zgasł w oczach Fiodora Rusanowa, ustępując miejsca błyskawicom gniewu, prezes delegatów zadzwonił energicznie w szkło, powstał i chrząknął, aż się rozległo po sali.

— Czcigodny panie profesorze — zaczął uroczyście.

— Mówi się *towarzyszu* — podpowiedział ktoś z boku.

— Dziękuję — odparł rzekomy Serafin Bobak z najsłodszym uśmiechem i zaczął da capo w te słowa: — Czcigodny profesorze oraz towarzyszu. Niech mi będzie wolno złożyć serdeczne podziękowanie w imieniu wszystkich moich kolegów po piórze za gościnne przyjęcie jakiegośmy tutaj doznali. Mówiąc o przyjęciu, mam na myśli nie tylko tę i poprzednie biesiady, świadczące najdobitniej o pomyślnym rozwoju gospodarczym i zamożności Sowieckiej Rosji, ale przede wszystkim obfity program wycieczek zorganizowanych dla nas, które to wycieczki pozwoliły nam zobaczyć naocznie właściwe oblicze dzisiejszej Moskwy i zmusiły nas poddać gruntownej rewizji nasze dotychczasowe poglądy na Rosję Sowiecką... Jesteśmy zachwyceni, profesorze i towarzyszu... jesteśmy szczerze zachwyceni!

— Caramba![3] — wybuchnął delegat hiszpański. — Co on plecie?

Okrzyk ognistego południowca ośmielił innych cudzoziemców i w stronę Rafała posypał się grad uwag: — Energiczniej, do diabła!... Grzeczności zostawmy dyplomatom!... Bez

wazeliny, monsieur Bobak!... Na, Herr, so geht's nicht![4] Z ogniem, z papryką, teremtettem!... Zatracena kluka![5]... The devil![6]... Więcej temperamentu, mio caro![7]... Ja, myn herr[8], tak pan nic nie wskóra!... Caramba.

— Kto tu jest prezesem?! — huknął Rafał Królik, szarpiąc zwichrzoną brodę wiernie skopiowaną według oryginału, którego sceptycznie usposobiona lady Dorothy Rabbit omal nie wyrwała żywcem prawdziwemu panu Serafinowi. — Proszę mi nie przerywać w środku, albo wybierzcie sobie innego prezesa. — Powiódł gniewnym wzrokiem dokoła i zwróciwszy się do profesora, podjął wątek przerwanego przemówienia: — Zaznaczyłem już, że nie jesteśmy zachwyceni! Bynajmniej! Ani trochę! Bo przyjechaliśmy tutaj umyślnie w tym celu, aby wyświetlić sprawę owego Stalingradu, a tymczasem pokazuje się nam różne osobliwości, bezsprzecznie interesujące, jednak nie mające nic wspólnego z programem naszego pobytu w Rosji Sowieckiej. Zagrajmy w otwarte karty, czcigodny profesorze, i towarzyszu także. Powiedźcie nam, czy ów Stalingrad istnieje, pokażcie go nam albo pozostawcie nam swobodę ruchów, jak się to praktykuje u nas, na Zachodzie. Jeśli zaś wcale go nie ma…

— Owszem, jest! — wtrącił profesor głośno i z naciskiem. — Jest i jutro będzie go mógł zwiedzić każdy, kto zechce… z tutaj obecnych. — Nie podniósł się, nie wyjął rąk z kieszeni, siedział niedbale rozparty w fotelu i mówił te ważkie słowa z wzgardliwym uśmiechem, który znikał z jego twarzy tylko na widok Daisy lub gościnnego sir Jamesa; ale żadne z nich dwojga nie wzięło udziału w tym bankiecie, a panów delegatów traktował towarzysz Rusanow z podobną nonszalancją, jak dawny hrabia Rusanow swych dzierżawców.

Zaszeleściły kartki w notesach, zaskrzypiały pióra i ulewa pytań lunęła na profesora, który jednak nie zmienił taktyki ani ironicznego tonu. Odpowiedział, że naocznie przekonają się nazajutrz, jak wygląda Stalingrad, gdzie leży, co produkuje, jakie warunki pracy mają tamtejsi robotnicy, „więźniowie" według informacji Karola Webera...

— Jeszcze malutkie pytanko — rzekł sobowtór pana Serafina. — Kiedy rewelacyjne zeznania Karola Webera opublikowano, pojawiły się w prasie zaprzeczenia, jakoby Stalingrad w ogóle istniał. Tymczasem czcigodny prrr...

— Całkiem słusznie — przerwał mu Rusanow — bowiem takiego Stalingradu, jaki opisał ów nieszczęśnik Weber, nie ma na terytorium Rosji Sowieckiej. Jest tylko wioska, mała osada fabryczna, którą jutro zwiedzicie. Miasta, dużego miasta Stalingradu, *Kuźni śmierci* i jak tam jeszcze to nazywano romantycznie... nie ma! Czy to wyjaśnienie wystarcza?

— Ooo, najzupełniej! Nie rozumiem tylko, dlaczego tej osady, tej wioski nie nazwano *Wieś Stalina* lub *Stalinowa Wólka*, tylko właśnie Stalingrad!

Błahy zarzut spotkał się z ogólnym uznaniem delegatów. Znowu wołali jeden przez drugiego: — He is right; why *Stalingrad*?[9]... *Grad* znaczy przecież tyle, co *miasto*... Czemu nie *Stalinowa Wieś*?... Ausgerechnet *Stalingrad*; Herr Bobak, das war richtig![10]... *Grad* c'est une ville![11]... Citta, corpo di Baccho![12]... Weźmy podobne nazwy, jak Piotrograd i Leningrad…

Profesor Rusanow przeczekał cierpliwie wrzawę, po czym wyjaśnił, że osadę nazwano *Stalingrad* w przewidywaniu, że wioska rozwinie się z czasem i stanie się miastem,

— A teraz, skoro uporaliśmy się z najpoważniejszym zarzutem, — dodał z jawnym szyderstwem — może poruszymy jakiś ciekawszy temat... Na przykład nie wiem, czy towarzyszom delegatom już wiadomo, że sterowiec *R 104* przebył szczęśliwie Atlantyk i w lepszym czasie, niż ostatni Zeppelin.

— Hurra! — wrzasnął rozpromieniony Anglik.

— To dopiero pierwszy etap — zauważył niemiecki delegat kwaśno. — Zobaczymy, jaki będzie wynik końcowy. Wer am Ende lacht, lacht am besten![13]

Anglik, jak to Anglik, rwał się robić zakłady, Holender obliczył, kiedy balon przybędzie

do Moskwy, jeżeli nieprzewidziane przeszkody nie opóźnią jego podróży tak pomyślnie rozpoczętej, i lot angielskiego sterowca dokoła globu stał się tematem ogólnej ożywionej rozmowy.

Nazajutrz punktualnie o jedenastej długi sznur samochodów ruszył w drogę sprzed domu profesora Rusanowa. Ów dom był w rzeczywistości pałacykiem należącym przed rewolucją do znanego arystokraty i polityka rosyjskiego, a stał z dala od otaczających go kamienic oddzielony od nich niezbyt szerokim pasem ogrodu. Tutaj zamieszkali goście profesora, sir James Rabbit oraz pani Daisy Rindley, tylko oni dwoje. Delegatów umieszczono w hotelach.

Przez miasto pomknęły auta w tak szalonym pędzie, że Rafał wyraził obawę, czy nie dojdzie do jakiego karambolu z tramwajem lub innym wehikułem.

W limuzynie, którą jechał Rafał znajdował się jeszcze delegat angielski i francuski.

— Po co ten dziki pośpiech — zrzędził Francuz. — Trudno coś zobaczyć przy takiej wariackiej jeździe. Naprawdę trudno coś zobaczyć.

— O to właśnie im chodzi — sądził Anglik.

Wreszcie Moskwa pozostała w tyle. Mknęli teraz wśród ogrodów, samotnych domków, wśród pól podzielonych na wąskie, długie pasy, niemal zawsze prostopadłe i węższym bokiem przylegające do gościńca.

— Typowa okolica podmiejska.

— Tak, monsieur Bobak — dorzucił z pogardą Francuz — biedna okolica podmiejska na waszym Wschodzie!... Bo u nas... — tu zaczął się dłuższy wykład zakończony nieodmienną reasumpcją, że nie ma w świecie kraju nad Francję. Ta patriotyczna i na ogół chwalebna megalomania dawno obrzydła innym delegatom i była powodem niezliczonych sporów słownych, przymówek i wzajemnych docinków. Szczególnie Rafał, któremu francuski kolega w duchu zazdrościł godności prezesa, otrzymywał zwiększoną porcję impertynencji, ale na ogół odgryzał się nieźle. Nie dalej jak wczoraj, z powodu… kwaśnego mleka doszło do pojedynku na języki; wracali właśnie z przyjęcia, na którym Rusanow przyznał wreszcie, że Stalingrad istnieje i któryś z dziennikarzy rosyjskich zaprowadził ich do mleczarni, dowodząc, że po libacji najlepiej łagodzi skutki nadużycia alkoholu... kwaśne mleko. Cudzoziemcom przypadł ten przysmak do gustu. Francuz żłopał, aż mu oczy na wierzch wychodziły, ale nie przepuścił okazji do zaczepki.

— Owszem, niezłe — przyznał. — Czy to jest narodowa potrawa Słowian?

— Tak, jeśli chodzi o mnie i moją rodzinę — rzekł Rafał dobrodusznie, nie przeczuwając zasadzki.

— No proszę. A u nas we Francji daje się to tylko… świniom!

Kilku zachichotało głupio, dystyngowany Anglik odsunął się od niegrzecznego kolegi, lecz Rafała nie speszyła ta impertynencja.

— Co kraj, to obyczaj — odparł swobodnie. — U was znów za specjał uchodzą różne sałatki z pospolitych zielsk, których u nas nawet pies nie zaszczyci. Bo widzi, kolega, nasz pies się szanuję i woli… drzewo albo latarnię!

Wyniknął z tego mały harmider, bo Francuz był krewki, lecz wdali się inni, złożono na poczekaniu sąd koleżeński, który po krótkiej naradzie skazał obydwóch przeciwników na zapłacenie po połowie rachunku za całe wypite mleko. Francuz, obrzydliwe skąpy, jak większość jego rodaków, nie mógł przeboleć tego wyroku jeszcze dzisiaj; dopóki jechali przez ulice Moskwy, milczał, oczekując wciąż, że zobaczą coś interesującego, ale gdy samochody wypadły na gościniec, monotonna okolica uprzykrzyła mu się rychło, zaciążyło mu milczenie i rozpoczął swe megalomańskie tyrady.

Rafał Królik, zazwyczaj rekordowy gaduła, był tego dnia wyjątkowo małomówny. Oficjalnie dlatego, że miał za chwilę, obojętnie jakiej długości, zobaczyć ów osławiony

Stalingrad, właściwy cel swojej podróży, podwójnie niebezpiecznej dzięki zamianie ról z prawdziwym Serafinem Bobakiem. Nieoficjalnie wchodziło w grę jeszcze inne wzruszenie, natury raczej fizjologicznej, a wynikło z perturbacji żołądkowych *na tle kwaśnomlecznym.* Puszczał więc mimo ucha przechwałki kolegi, nawet wyraźnie aluzje, aż znudzony oświadczył w końcu:

— Ma pan zupełną rację. Wy, Francuzi jesteście najpracowitszymi ludźmi pod słońcem, najbardziej oszczędnymi, jesteście najbogatszym narodem na świecie... w ogóle posiadacie tysiąc zalet, a tylko jedną wadę...

— Mianowicie? — zainteresował się udobruchany dziennikarz.

— Mianowicie nie spotkałem jeszcze Francuza, który by się odznaczał chociażby przeciętną uprzejmością. Tak zwana grzeczność francuska to legenda, w którą wierzą tylko ludzie...

— No, daruje pan...

— Tylko ludzie, którzy nigdy nie byli we Francji — kończył Rafał nieubłaganie.

— Skoroście już poruszyli ten temat — wtrącił Anglik — to opowiem wam anegdotkę o francuskiej uprzejmości, i o Paderewskim.

— O Paderewskim? Gadajże, kolega — zapalił się Rafał.

— Otóż pewnego razu wydano w Paryżu bankiet na cześć tego jedynego Polaka, którego nazwisko zna cały świat i w czasie biesiady zauważono, że mistrz prawie nic nie pije. Wówczas pewien wybitny polityk francuski... nazwisko przemilczę przez wzgląd na pana — (tu Anglik uśmiechnął się do zadąsanego kolegi z nad Sekwany) — otóż ów polityk powiedział dosłownie: *Pan nie pije? No proszę! A u nas, we Francji jest przysłowie: pijany, jak Polak...* Wówczas mistrz Paderewski uśmiechnął się leciuteńko i odparł z subtelną ironią: *Widzi pan z tego najlepiej, że przysłowia zawsze kłamią. U nas, w Polsce, jest znowu takie przysłowie: grzeczny, jak Francuz.*

— A to mu wrzepił! — Rafał tryumfował i ostentacyjnie ściskał dłoń Anglika, w którym tak niespodziewanie znalazł sprzymierzeńca.

— Oho, już stajemy...

Istotnie samochody zatrzymywały się kolejno, ale po chwili ruszyły w dalszą drogę. Z okna tej limuzyny widać było pierwsze auta, mknące w stronę lasu majaczącego po prawej ręce. Powodem krótkiego przystanku był potężny drogowskaz na rozstajach; na jego bocznej tablicy widniał duży, czytelny z daleka napis: *Do Stalingradu*. Oczywiście każdy z zagranicznych dziennikarzy uważał sobie za punkt honoru sfotografować się na tle tego drogowskazu.

— Jeszcze tylko trzy wiorsty — rzekł Rafał z ulgą, przeliczając tę odległość w metrach dla Francuza i w jardach dla Anglika.

— Jeszcze wiorsta — dodał po chwili. Orientował się według kamieni przydrożnych. — Teraz wjedziemy w las. — Las rozciągał się w obie strony, jak okiem sięgnąć, ale był bardzo wąski, przynajmniej w tym miejscu, gdzie go przecinała ta droga. Wreszcie... drzewa przerzedziły się, poziom drogi obniżył i w płytkim zagłębieniu terenu ujrzeli symetryczne zbiorowisko niskich podłużnych budynków, a na tylnym planie wzorową kolonię domków robotniczych okolonych ogródkami.

Samochody zatrzymywały się przed drewnianą bramą, przystrojoną w festyny zieleni i w chorągiewki barwy flag wszystkich państw, jakie reprezentowali przybyli delegaci, a w aureoli tych „ozdóbek" krzyczał szkarłatem ogromnych liter banalny napis: *Witajcie*. Przed bramą czekało kilkudziesięciu jednakowo ubranych osobników, podobno inżynierów miejscowych, którzy mieli gości oprowadzać i objaśniać przy zwiedzaniu Stalingradu; każdy z delegatów, a także każdy z korespondentów pism zagranicznych stale zamieszkały w Moskwie otrzymał do

towarzystwa jednego takiego opiekuna.

— Dobrze zorganizowane, co? — szepnął Rafał delegatowi angielskiemu, który również robił co mógł, by chociaż na chwilę zgubić swojego „anioła stróża", lecz na próżno. Inżynierowie, w czułej troskliwości, by gościom się nie nudziło, nie odstępowali ich dosłownie na krok. Najwięcej bolał nad tym Rafał Królik, który na skutek pewnych wzruszeń, opisanych uprzednio, tęsknił za samotnością i rozglądał się namiętnie za pożądanym ustroniem,

Rafał, jako prezes delegowanych dziennikarzy, należał do czołowej grupy wycieczkowiczów, prowadzonej przez samego Rusanowa i może właśnie dlatego, że pchał się naprzód, że zanudzał profesora pytaniami, pozyskał sobie niejakie zaufanie u odnośnego inżyniera. I dlatego uciekł w końcu spod jego opiekuńczych skrzydeł. Lecz to wydarzyło się później, dopiero koło godziny piątej popołudniu, a na razie, po skromnym śniadaniu, rozpoczęli nudną włóczęgę po fabrykach tkackich, przędzalniach, farbiarniach i podobnych warsztatach Stalingradu.

Daisy Rindley szła pomiędzy profesorem a sir Jamesem. Policzki jej pałały, iskierki nadziei tliły się w podłużnych oczach, ilekroć wkraczali do nowego budynku lub podchodzili do nowej grupy robotników. Potem gasła w oczach, bladła i wyraz gorzkiego zawodu malował się na jej słodkiej, posągowo pięknej twarzyczce. Nawet Rafał, roztrzepany jak zwykle i przemyśliwający tylko nad tym, jak tu się odłączyć od licznego towarzystwa i rozpocząć badania na własną rękę, zauważył te dziwne zmiany w wyglądzie uroczej Angielki.

Nie dziwił się jednak, że Daisy była rozczarowana. Podobnie zawiedziony był on sam i większość delegatów. Prawdziwe legendy krążyły o straszliwej *kuźni śmierci*, aż dzisiaj mogli się przekonać naocznie, że Stalingrad, to tylko niewielka osada, kilkanaście przędzalń, dwie fabryczki wyrobów wełnianych, kilka pokrewnych zakładów, słowem miniaturowa Łódź czy inny Manchester. Dalej, potworne historie czytało się w dziennikach o więźniach Stalingradu, o tysiącach cudzoziemców zmuszanych do pracy, skazanych na dożywotnią katorgę w tym piekle, o znęcaniu się nad nimi, o buntach tłumionych w strugach krwi, o próbach ucieczki, a tymczasem tutaj nie było ani jednego cudzoziemca, jeśli nie liczyć Chińczyków; poza nimi sami Rosjanie, chłopy rosłe, uśmiechnięte, pyzate, nie znające snadź głodu i niedostatku.

Za zezwoleniem profesora Rafał, jedyny z delegatów płynnie mówiący po rosyjsku, zadawał pytania tym robotnikom i mina mu rzedła. Odpowiadali, że nie mają powodów do zażaleń, że nie ma wśród nich żadnych Anglików czy Francuzów, sami *swoi*, że część ich mieszka w kolonii, zaś inni w Moskwie i tych dowożą autobusy fabryczne.

Profesor Rusanow odsuwał się umyślnie w czasie tych rozmówek, aby ktoś nie sądził, że jego obecność krępuje swobodę wypowiadania się egzaminowanych robotników. Wreszcie, gdy ktoś z jego świty pokazał mu dyskretnie zegarek, podszedł do Rafała i z uprzejmym uśmiechem oświadczył, że pragnie gościom pokazać jeszcze swoją własną pracownię, potem dwa, trzy domki robotnicze, i pora wracać do Moskwy.

— Proponuję, abyśmy zaczęli od domków — rzekł Rafał, który miał w tym swoje wyrachowanie.

Profesor nie miał nic przeciwko temu, więc długi korowód gości wysypał się z ostatniej tkalni i ruszył w stronę kolonii. Domki z zewnątrz wyglądały schludnie i tak czysto, jak gdyby je dopiero w tym tygodniu pomalowano. Podziwiali je, idąc topolową aleją, która oddzielała kolonię od zabudowań fabrycznych. Spostrzegawczy Anglik zauważył od razu, że w całym Stalingradzie nie ma ani metra płotu, muru czy ogrodzenia z siatki, że każdą granicę wytyczają drzewka, żywopłoty, a nawet stare, duże drzewa, jak na przykład owe topole.

— Cieszę się — rzekł profesor, patrząc życzliwie na Anglika — że nie potrzebowałem sam zwracać panom uwagi na ten szczegół... Tak jest, moi drodzy goście... Nie znajdziecie tu ani

metra parkanu... To celowa robota. Bo każde ogrodzenie jest poniekąd symbolem niewoli.

Rusanow obejrzał się potem w stronę głównej grupy, która przystanęła przy studni, aby obejrzeć dowcipnie skonstruowany żuraw, a widząc, że ruszyli z miejsca, wskazał Daisy drzwi najbliższego domku.

— Zobaczymy teraz, jak te mieszkania wyglądają wewnątrz — rzekł.

Puścił przed sobą tylko Daisy i sir Jamesa, czym Rafał poczuł się dotknięty. Zapewne dlatego odmaszerował w przeciwległy kąt izby, do której weszli i nie raczył się przysłuchiwać wywodom profesora. Z wielkim zainteresowaniem zaczął natomiast oglądać wielki malowany kufer i nieznacznie popychać go kolanami. Wreszcie... Wreszcie profesor przeszedł z izby do kuchenki, za nim Daisy, sir James, na końcu Anglik, który się obejrzał, ale też wyszedł. Głosy głównej gromady wycieczkowiczów zbliżały się w tę stronę.

— Muszę zdążyć — jęknął Rafał, pchnął kufer jeszcze o decymetr, pochwycił za skobel wieka zasłaniającego kwadratowy otwór w podłodze i w dziesięć sekund później siedział już w piwnicy, opuściwszy za sobą wieko łagodnie i bez hałasu. Piwniczka nie posiadała żadnych okien, była przesiąknięta zapachem kiszonej kapusty, ciemna a przy tym tak niska, że Rafał, będący przecież niskiego wzrostu, bez podnoszenia się na palce dosięgał z łatwością drewnianego sufitu, po którym dudniły kroki zwiedzających wnętrze robotniczego domku. Był niezmiernie zadowolony, że nareszcie zdołał się „zgubić", a radość z tego powodu zatruwała mu tylko obawa, czy ktoś nie ustawi na powrót ciężkiego kufra na wieku; lecz zarówno radość jak i obawa były niczym wobec innego, bardziej prozaicznego uczucia, które dosłownie rozpierało małego detektywa i zmusiło go do szybkiego odmarszu w głąb piwnicy. Ruszył więc po omacku, wiosłując rękami w poszukiwaniu niewidzialnych przeszkód, aż wreszcie natknął się na coś, co kształtem przypominało niewielką beczkę, stojącą pionowo i pozbawioną górnego dna...

Powrót do izby odbył się bez trudności, gdyż na szczęście nie zepchnięto kufra na wieko. Rafał wyjrzał ostrożnie na zewnątrz.

— Odeszli — odetchnął. Skądś z daleka dobiegały echa rozmów, śmiechów, okrzyków zachwytu. — Nareszcie mogę rozpocząć badania na własną rękę — cieszył się. Obszedł domek, słusznie rozumując, iż w prostej alei topolowej ujrzano by go od razu, i skierował się ku dalszym szeregom robotniczych domków.

Dziwiła go cisza; wydawało mu się, że wszędzie tu powinny się bawić dzieci robotników, że ich żony, siostry, matki powinny się krzątać przy gospodarstwie domowym, plewić w ogródkach, prać bieliznę, drób karmić, słowem nasuwać się na oczy na każdym kroku. Tymczasem, nic z tego. Nie spotkał żywego ducha, nie ujrzał ani marnej kury, ani kota, i cała robotnicza kolonia wyglądała jak wymarłe miasteczko.

— Czyżby tu sami kawalerowie mieszkali? — rozmyślał.

Minął drugi szereg domków i zbliżył się do trzeciego. Wybrał jakiś budynek na chybił trafił, nacisnął klamkę, pchnął drzwi i... znalazł się pod gołym niebem; domek ten nie posiadał ani dachu, ani tylnej i bocznych ścianek, w ogóle nie był domkiem, ale jakby dekoracją teatralną, łudząco imitującą mały budynek, ale tylko od frontu!..

Rafał gwizdnął przeciągle.

— Więc tak wygląda odwrotna strona medalu — mruknął. Odstąpił na kilkadziesiąt kroków, aby ogarnąć wzrokiem większą ilość tych „budynków" i przekonał się, że wszystkie bez wyjątku są podobnymi dekoracjami. Sfotografował je oczywiście, uwiecznił na kliszy tyły czwartego i piątego szeregu tych dekoracji, po czym zawrócił w stronę topolowej alei, idąc na przełaj, w przewidywaniu, że jeszcze coś niezwykłego odkryje. — Nie pisnę słowa, rozumie się, póki nie wywołam tych zdjęć i nie zrobię odbitek — planował chytrze. — Tak , tak, zaraz mnie to uderzyło, że nie ma tu żywego ducha...

I wywołał wilka z lasu! Docierał właśnie do drugiego rzędu budynków, gdy złowrogi pomruk skłonił go do odwrócenia głowy. Obejrzał się i nareszcie ujrzał w tej cichej, wymarłej kolonii „żywego ducha", czworonożnego, co gorsza! Był to duży pies łańcuchowy, który zerwał się gdzieś z uwięzi, jak można było wnosić z krótkiego łańcuszka zwisającego od czarnej obroży i wlokącego się dźwięcznie pomiędzy przednimi łapami zwierzęcia.

— Nie merda ogonem, to zły znak — przeraził się Rafał. Rozjaśnił oblicze w najprzyjaźniejszym uśmiechu, zaczął się klepać po udach i przemawiać czule do groźnego włóczęgi: — Mądry piesek, śliczna psina, no daj łapkę, daj, ale z daleka pieseczku... o, bydlę głupie, nie tak blisko!

Serdeczna przemowa nie odniosła żadnego skutku. Kundel usztywnił ogon, pochylił głowę, jakby się szykował do ataku, i, warcząc z cicha, okrążał Rafała w coraz mniejszych kołach. Cały jego wygląd, zaczynając od zjeżonej w szczotkę sierści, a kończąc na wściekłych spojrzeniach, świadczył, że ma jak najbardziej wrogie zamiary wobec tego nieznanego osobnika.

— Najlepiej udawać, że gwiżdżę na niego, i nie zwracać nań żadnej uwagi… mówiono mi zawsze, że to jedyna metoda.

Niestety, zresztą nie pierwszy raz w życiu, mógł się Rafał przekonać, jak niezgłębiona przepaść dzieli teorię od praktyki. Pozorna obojętność i ignorowanie obecności psa, spowodowało to tylko, że obręcz nieustannych okrążeń zacieśniła się, a jej promień wynosił zaledwie pięć metrów.

Nie odrywając wzroku od czworonożnego przeciwnika, Rafał posuwał się coraz wolniej, nie patrzał pod nogi i w końcu wyrżnął głową w coś twardego.

— Drzewo — stwierdził, masując guza na czole. I ten masaż zapewne wycisnął mu z głowy myśl, którą uznał za zbawienną w tym położeniu: — Wlezę na drzewo i stamtąd przywołam kogoś na
pomoc. — Był na ogół miernym gimnastykiem, ale w tym wypadku wspinaczka nie przedstawiała większych trudności, bowiem pierwsze mocniejsze gałęzie znajdowały się niemal na wysokości jego ramion. W każdym razie należało psa nieco odpędzić, by nie wykonał ataku w momencie wciągania się na najniższą gałąź. W tej myśli Rafał schylił się, podniósł jakiś kamyk, zamierzył się na swego napastnika, ale cisnął ten pocisk tak, że pokatulał się dalej. Kundel zawarczał wściekle. W trzech susach dopadł kamienia, łypnął przekrwionym okiem w stronę człowieka i zrozumiał jego manewr. — Takiś ty mądry? — musiał sobie pomyśleć i ruszył jak burza ku drzewu. Jego paszcza kłapnęła nieprzyjemnie Rafałowi tuż koło ucha, lecz atak chybił; mały detektyw już siedział na drzewie i wspinał się po jego licznych gałęziach jak po drabinie.

— Nie ma złego, co by na dobre nie wyszło — monologował, walcząc z małymi gałązkami, które wciskały się pod rzemyki, podtrzymujące lornetkę i aparat fotograficzny, aż zniecierpliwiony ukrył oba te przedmioty w obszernych kieszeniach swej zarzutki. — Zwiałem temu głupiemu kundlowi, a zarazem będę mógł się zorientować, gdzie są w tej chwili moi koledzy.

Postanowił wywindować się aż na sam szczyt drzewa, gdyż na razie zasłaniał mu widok najbliższy domek, jeden z drugiego szeregu, gdzie już nie było teatralnych kulis, lecz prawdziwe budynki. Niebawem znalazł się na wysokości kominów, czerwonych, nieokopconych, jakby w tych chatach jeszcze nigdy nie palono, bowiem zarówno cegły jak i dachówki były niepokalanie czyste.

— Jeszcze wyżej — zachęcał się — a cały Stalingrad będzie u moich stóp! Zanosiło się na to, gdyż drzewo, na którym urządzał owe akrobatyczne produkcje, było, mimo swej cienkości, wysokie na dobre trzy piętra i z jego szczytu można było ogarnąć wzrokiem jeśli nie cały Stalingrad, to w każdym razie całą kolonię robotniczą, złożoną wyłącznie z parterowych

domków...

W pewnej chwili Rafał odsunął się od pnia, usiadł okrakiem na jakiejś gałęzi i zaczął się ostrożnie posuwać naprzód; chciał zbadać, czy dużo jeszcze mu pozostało drogi do wierzchołka ukrytego w gąszczu liści.

— O, psiakość — westchnął, zadzierając głowę — dobre piętro jeee...

Chciał powiedzieć *jeszcze*, a wyszedł z tego stłumiony okrzyk przerażenia: *Jezus! Maria!* Drzewo chyliło się na tę stronę, gdzie on wisiał, przylepiony kurczowo do swej gałęzi. Chyliło się powoli przez dwie albo trzy sekundy, potem coraz szybciej. — Podcięte? Więc pułapka? Pies je podgryzł? — Korowód nieprawdopodobnych myśli, podejrzeń, obaw zatańczył w dzikim pląsie, paraliżując nerwy, wolę, nawet instynkt samozachowawczy. Zresztą, czyż można było marzyć o ratunku? Absurd! Z oszałamiającą chyżością zbliżała się do nieszczęsnego detektywa ziemia, najbliższy domek robotniczy, a przede wszystkim jego komin czerwony; tam właśnie miał runąć na twarde posłanie z cegieł, a popod pień walącego się drzewa.

— Marmoladka! — wyszeptał zbielałymi wargami; przeciętny śmiertelnik powiedziałby *Śmierć! Nieuchronny koniec!*, lecz Rafał Królik nawet w obliczu nieubłaganej katastrofy pozostał… nieprzeciętny!

Po raz ostatni otworzył oczy. Dojrzał kundla siedzącego spokojnie i z wyraźną przyjemnością obserwującego „lądowanie" niezwykłego lotnika.

— Przebaczam ci — rzekł Rafał wspaniałomyślnie i zawarł powieki.

Trrraaaach!

Pies odskoczył i z podwiniętym ogonem pomknął, gdzie nogi poniosą, przerażony… nie wiadomo czy łoskotem, czy rozmiarami katastrofy. Bowiem domek zmiotło z powierzchni ziemi, jak silne dmuchnięcie przewraca budkę wzniesioną z kart, a całe rumowisko przedstawiało płaską kupę gruzów, nie większą nad pół metra, z wyjątkiem jednego miejsca, gdzie pionowo sterczał szeroki komin. I właśnie tam zaczęło się coś poruszać, dygotać, aż z otworu komina wyjrzało zdumione oblicze Rafała Królika. Mały frant nawet czapki nie zgubił, tylko zsunęła mu się na oczy; natychmiast zaczął je sobie rozcierać kułakami, nie dowierzając, że żyje. Wreszcie, uszczęśliwiony pomyślnym wynikiem owych dociekań, wyprostował się i ruszył zwycięskim krokiem poprzez ruiny, przemaszerował przez nie, a komin... z nim!

— Eeech, to chyba jakiś sen śmiertelny — mruknął. Całkiem bezwiednie opuścił dłonie, obmacał ów dziwny komin otulający go niby jakiś groteskowy pancerz czworoboczny i wydał okrzyk zdziwienia: — Tektura! — Co prędzej nawrócił do rumowiska. — Naturalnie — zachichotał — wszystko z tektury, tylko szkielet budynku był zrobiony z cienkich listew drewnianych... Ach, więc takie buty! Zobaczmy teraz, czy inne budynki są z równie „trwałego" materiału. Okazało się, że wszystkie w drugim rzędzie. Tylko w pierwszym były z prawdziwej cegły.

Rafał zabrał sobie na pamiątkę dwie „cegły" ze swojego „komina", po czym zainteresował się drzewem oraz przyczynami jego upadku. I zrobił nowe odkrycie: To drzewo nie rosło tu bynajmniej, lecz było ścięte gdzieś w lesie, przywiezione i wkopane tutaj, zapewne wczoraj lub onegdaj, skoro liście jeszcze nie zwiędły.

Był niezmiernie zadowolony z wyniku badań na własną rękę, lecz również zmęczony i wyczerpany przeżyciami, krótkimi, ale jakże wstrząsającymi, z okresu swojego „lotu ślizgowego" do komina; zaczął się więc rozglądać za jakąś ławeczką.

— Jest! — ucieszył się. Przed większym budynkiem, nie z tektury co prawda, ale dziwnie filigranowym, stały dwie duże ławki z oparciami, zwyczajne ławki ogrodowe z poziomych listew. Dochodząc do nich zauważył nad drzwiami budynku tablicę z napisem: *Czytelnia Robotnicza w Stalingradzie*. — Bujać, to my, ale nie nas! — warknął Rafał, opadając ciężko na

ławkę. Omal nie zasnął na niej, tak był zmęczony, i z żalem zdecydował się pójść dalej po małym odpoczynku. Pochylił się łagodnie, by powstać i... ścierpł z przestrachu. Niewidzialne kleszcze przykuły go do miejsca!

Koło głównej bramy, ozdobionej napisem *Witajcie*, był punkt zborny uczestników wycieczki, którym na koniec pozwolono rozbić się na małe, samodzielne grupki i obejrzeć, co dusza zapragnie w Stalingradzie; oczywiście zawsze w towarzystwie oprowadzających inżynierów. Lecz dziennikarze byli wystarczająco zmęczeni całodziennym spacerem i sami ciągnęli swoich „aniołów stróżów" ku czekającym samochodom. Tylko jedna grupa wykazała większą wytrwałość, mianowicie ta, do której należała Daisy Rindley. Na nich więc czekano koło bramy, na której tle zamierzano zrobić ostatnią wspólną fotografię. Ujrzano ich wreszcie; szli parami, najpierw sir James z profesorem, za nimi Daisy z angielskim delegatem.

Ostatnia grupa złączyła się na koniec z oczekującymi uczestnikami wycieczki. W przeciwstawieniu do dziennikarzy mających miny szkap dorożkarskich w czasie strajku tramwajów i autobusów, profesor Rusanow nie zdradzał śladu zmęczenia i, rzecz niebywała, wybuchał raz po raz śmiechem. W końcu przeprosił sir Jamesa i zwrócił się do delegatów.

— Jakże się podobał nasz „groźny" Stalingrad? — zapytał.

Zanim ktokolwiek zdołał odpowiedzieć, wysunął się na czoło czekających prezes, rzekomy Serafin Bobak.

— Owszem — przyznał — ten Stalingrad jest sobie niczego... tylko dlaczego taki świeży?

Rzekłszy to, zerwał raglan przewieszony przez ramię, rozpostarł go, narzucił na siebie i demonstracyjnie odwrócił się tyłem do profesora; od kołnierza aż do wysokości kolan widniały na płaszczu szerokie, poprzeczne pręgi zielonego koloru i zapachniało farbą olejną. Rafał wyjaśnił, że ma tę pamiątkę od ławki, stojącej przed *Czytelnią robotniczą*, ale jego słowa utonęły w ogólnej wrzawie, zwiększanej kaskadami śmiechu na koszt przygody prezesa.

— Prosimy do fotografii.

— Chwileczkę — rzekł profesor, podnosząc dłoń, aby się uciszyło — muszę najpierw dać odpowiedź na pytanie, jakie tu padło... Otóż przyznaję, że Stalingrad był nieco zakurzony, brudny, krótko mówiąc: mało reprezentacyjny. I mnie to właśnie przyszło do głowy, aby go odświeżyć i pomalować na przyjęcie tak miłych gości!... To wam zarazem wyjaśnia, dlaczego musieliście cztery dni czekać tutaj, o kilkadziesiąt wiorst od celu podróży… zanim zdecydowałem się was przywieźć na miejsce... Przykro mi bardzo, że towarzysza prezesa spotkał taki wypadeczek, ale zdarza się często, że z dobrych chęci wynikają złe skutki... A przecież tylko dla was malowaliśmy te budynki…

— A mnie się wydaje, że i budowaliście je dla nas!

Rafał powiedział to cichuteńko, wszyscy już ustawiali się naprzeciw baterii wymierzonych aparatów fotograficznych, lecz był ktoś, co posłyszał te słowa, i tuż nad uchem zaszemrał małemu frantowi znajomy głos:

— Podzielam pańskie zdanie w zupełności, mister Bobak!

Rafał zrobił wstecz zwrot na pięcie i stanął oko w oko z delegatem angielskim.

---

[1] teremtette! (węg.) – psiakość!

[2] Wie lange sollen wir noch warten? (niem.) – Jak długo jeszcze mamy czekać?

[3] Caramba! (hiszp..) – do diabła!

[4] Na, Herr, so geht's nicht! (niem.) – No, panie, tak nie można!

[5] Zatracena kluka! (czeski) – Cholerny chłopak!
[6] The devil! (ang.) – Do diabła!
[7] mio caro! (wł.) – mój drogi!
[8] Ja, myn herr (hol.) – Tak, mój panie.
[9] He is right; why *Stalingrad*? (ang.) – On ma rację; dlaczego *Stalingrad*?
[10] Ausgerechnet *Stalingrad*... (niem.) – Właśnie *Stalingrad*, panie Bobak, to prawda!
[11] *Grad* c'est une ville! (fr.) – *Grad* to miasto!
[12] Citta, corpo di Baccho! (wł.) – Miasto, do licha!
[13] Wer am Ende lacht… (niem.) – Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni.

Rozdział XXVIII

STRZAŁ W NOCY

Daisy odłożyła książkę, a sięgnęła po gazetę, przypuszczając, że taką lekturą łatwiej rozpędzi chmurę czarnych myśli, niepozwalających jej zmrużyć oka już trzecią noc z rzędu. Gdzie tam! Wiadomość o szczęśliwym przelocie sterowca: *R 104* ponad Oceanem Spokojnym obchodziła ją równie mało, jak kronika nieszczęśliwych wypadków w Moskwie, a depesza o przybyciu delegatów do Warszawy zwiększyła tylko jej zdenerwowanie…

— Boże, jak ten czas pędzi nieubłaganie — westchnęła, odsuwając dziennik. Zaledwie tydzień upłynął od chwili, gdy przekroczyła próg tego domu, przekonana, że najtrudniejszą część śmiałego przedsięwzięcia ma już poza sobą, że reszta będzie drobiazgiem, skoro przybyła do Rosji szczęśliwie, skoro ma tutaj Jacka, wypróbowanego sprzymierzeńca, i skoro mieszka pod dachem profesora Rusanowa, rozkochanego w niej, uszczęśliwionego, iż raczyła skorzystać z jego zaproszenia. Nie marzyła nigdy o tym, by udało jej się przybyć do Moskwy w tak pomyślnych okolicznościach, a nieoczekiwana dawniej impreza z wycieczką dziennikarzy napawała ją otuchą i utrwalała optymistyczny nastrój. Daisy liczyła na to, że bolszewicy całą swą podejrzliwą czujność i uwagę zwrócą na delegatów, przez co ona i Jack zyskają większą swobodę działania...

Przeliczyła się i dzisiaj z wspaniałych płomieni jej optymizmu pozostały tylko dogasające zgliszcza...

Po wycieczce, w której czasie prezes delegatów otrzymał od kolegów żartobliwy przydomek *tygrys* (z powodu zielonych pręg na raglanie), odbyła się pożegnalna kolacja w domu profesora Rusanowa. Profesor był w świetnym humorze, a odpowiadając na toast *tygrysa* wyraził przypuszczenie, iż zapewne niejednemu z towarzyszy delegatów dzisiejsza Rosja tak przypadła da gustu, że pragnąłby tu pozostać na stałe.

— Na stałe to nie — odezwał się delegat angielski — ale skoro już tutaj jestem, chciałbym chętnie zwiedzić inne miasta prócz Moskwy.

Daisy zadrżała wówczas, lecz zdobyła się na to, by ani nie rzucić okiem w stronę rodaka, bo owym delegatem angielskim był przecież Jack, jej zacny przyjaciel i opiekun. Dla niej chciał tutaj dłużej pozostać, czuwać nad nią i dopomóc jej w niebezpiecznym, szalonym pochodzie do celu, jaki sobie wytknęła. I nie mogła mu podziękować chociażby spojrzeniem, nie mogła się zdradzić, że zamiar tego rzekomo obcego rodaka obchodzi ją żywo, cieszy ją i nową otuchą napawa.

— Ja również jakiś czas pozostanę — rzekł polski delegat, gładząc swoją wspaniałą brodę. — Zamierzam napisać większe dzieło o niebywałym rozkwicie dzisiejszej Moskwy i przeto muszę uzupełnić swoje notatki.

Obecni przy tym dygnitarze bolszewiccy wyrazili swą wielką radość, przyrzekli wszelkie ułatwienia, swobodny dostęp do biura statystycznego, zaś Anglikowi ofiarowali samochód do dyspozycji. Lecz Daisy znała się już na wschodniej obłudzie; wiedziała, że ci dwaj, Anglik i Polak, przez swoje wystąpienie ściągnęli na siebie uwagę, że cała armia szpiegów będzie czuwała

nad każdym ich krokiem, i zatrwożyła się o Jacka. Chciała z nim zamienić kilka słów, kiedy wstawali od stołu, ale Rusanow nie spuszczał jej z oka. Nawet przy pożegnaniu nie miała sposobności powiedzieć mu nic więcej ponad konwencjonalne zdanie, że zapewne nieraz odwiedzi ją, swoją rodaczkę, i sir Jamesa; nawet uścisk dłoni, jaki wymienili był skrępowany, zdawkowy przez wzgląd na cenzurę tylu argusowych spojrzeń.

Powróciwszy do swojego pokoju stwierdziła brak fotografii, przeznaczonej dla Rusanowa, który się o nią od kilku dni przymawiał, i znalazła karteczkę od Jacka. Szyfr znała na pamięć, toteż odczytała to zdanie bez klucza i płynnie, jakby notatkę w gazecie:

Panuj nad nerwami, Daisy Najdroższa, ufaj mi i wierz, że nie zatają przed Tobą prawdy, chociażbym miał Cię stracić

Jack

Ufała mu. Znała jego uczciwość i wiedziała, że naprawdę wolałby ją stracić, niż wznosić gmach swego szczęścia na kłamstwie i cudzej krzywdzie. Rozczuliły ją te proste słowa, ta gotowość do poświęceń, to przyjacielskie upomnienie: *panuj nad nerwami, Daisy*. Miał rację; nerwy coraz częściej odmawiały jej posłuszeństwa, zwłaszcza po niezapomnianym zajściu z Wierą. Było to jeszcze wówczas, gdy jacht *Wołga* przecinał na ukos Morze Egejskie, biorąc kurs na Dardanele. Obie kobiety zaprzyjaźniły się w czasie dotychczasowej podróży i Daisy, kierując się jakimś nieostrożnym odruchem, wyjawiła córce profesora Rusanowa, kto jej pośpieszył na pomoc w ową noc w Cannes.

— Pani? — W pytaniu Wiery brzmiała tylko nuta zdziwienia, a nawet niedowierzania; nic nie zapowiadało wybuchu, który miał za chwilę nastąpić.

— Pani nie wierzy? — Daisy uśmiechnęła się dobrodusznie. — Czy mam wymienić numer mojego rewolweru, który pani wtedy podałam? — Wyjaśniła też od razu, że bynajmniej nie miała zamiaru śledzić Wiery; po prostu weszła do biblioteki po nową książkę, a posłyszawszy odgłosy gwałtownej sprzeczki, pobiegła do swej sypialni po rewolwer.

Wiera ocknęła się wreszcie z tępej zadumy i z właściwą sobie nieobliczalną zmiennością nastroju natarła gwałtownie na Angielkę.

— Kto panią prosił o tę interwencję? — zasyczała złowrogo. — Kto panią upoważnił mieszać się w nieswoje sprawy?

Daisy była zaskoczona i przerażona. Cofała się krok za krokiem ku tylnej ścianie kajuty, ustępując z drogi Rosjance.

— Ależ, drogie dziecko — perswadowała łagodnie — czy zdaje pani sobie sprawę z tego, co byłoby ją spotkało, gdyby nie moja interwencja?

— Tak jest! Bodaj by się było to stało wraz z wszelkimi konsekwencjami! Nie miałabym dzisiaj na sumieniu życia ludzkiego!

— Życia ludzdzdz...

— Tak, przeklęta Anglico!... Nie byłabym dwukrotną morderczynią... i trzeci człowiek, niewinny... nie byłby zginął... gdyby nie ty... twoja purytańska pruderia... twoje zgorszenie i niepowołana interwencja w obronie mojej cnoty, cha, cha, cha, cha... cha, cha, cha, cha....

Bezpośrednio po napadzie histerycznego śmiechu nastąpił wybuch wściekłości. Z dziką furią przyskoczyła Wiera do osłupiałej Angielki, ścisnęła ją oburącz za gardło i zaczęła ją dusić, miotając przekleństwa, jakich by się pijany majtek nie powstydził. Daisy bywała w gorszych opałach, od czasu jak wstąpiła do Intelligence Service, ale zaskoczył ją ten brutalny atak; osunęła się na krzesło bezsilnie i nie wiadomo czym byłaby się zakończyła ta przykra scena, gdyby nie

delegat angielski, czyli Jack Lear, który zjawił się jak deus ex machina[1] w najbardziej krytycznym momencie. W kilka minut później, gdy Daisy, wsparta na ramieniu swego wiernego sojusznika mijała drzwi kabiny profesora, posłyszeli oboje podniecony głos Wiery:

— Wybieraj! Albo ja, albo ona! — wołała urocza histeryczka.

Nie dowiedzieli się, co Fiodor Rusanow odpowiedział na to córce, lecz najwidoczniej jego wyrok wypadł na korzyść Daisy, skora w dwa dni później, w Konstantynopolu Wiera, nie żegnając się z nikim, opuściła jacht na zawsze.

Nie można się dziwić, że po tym zajściu Daisy nie potrafiła przez długi czas zapanować nad nerwami, że nawet proste słowa Jacka wzruszyły ją do łez...

Obecnie delegaci opuścili już Moskwę, prócz tych dwóch ryzykantów, Polaka i Anglika, profesor Rusanow wyjeżdżał zawsze wczesnym rankiem i dopiero pod wieczór charakterystyczny ton automobilowej trąbki obwieszczał jego powrót. W ciągu dnia Daisy i sir James zwiedzali osobliwości Moskwy, zachodzili do banku, na pocztę, raz nawet do konsulatu angielskiego zajrzeli po nowiny, zaś popołudnia spędzali w jednym z lokali uczęszczanych przez cudzoziemców, słowem zachowywali się, jak przystało na zagranicznych turystów. Sir James twierdził wprawdzie, że jest zachwycony egzotyzmem tej metropolii, znajdował wszystko *very interesting* i prawdopodobnie był szczery, lecz należało się liczyć z tym, iż jego nieuleczalny spleen zatęskni niebawem za nowymi wrażeniami i egzotyczna na razie Moskwa zbrzydnie mu w końcu, jak niegdyś Londyn, Nowy Jork, Paryż i wszystkie inne przeliczne miasta, które zwiedził w trakcie swoich podróży. Na myśl o tym Daisy drętwiała.

Tak upłynęły trzy dni.

— Trzecia noc bezsenna — wyszeptała, siadając na łóżku. Nie mogła czytać, żadna lektura nie pociągała jej, lecz światło pozostawiła zapalone. Po raz pierwszy w życiu lękała się ciemności. Dlaczego? Sama me wiedziała, nie potrafiłaby nawet określić, czego się obawia. Zamieszkała na pierwszym piętrze, w pokoju, który niegdyś zajmowała Wiera; drzwi, zarówno te od korytarza jak i boczne, wiodące do sypialni „kuzyna", sir Jamesa, zamknęła na klucz od wewnątrz, jedyne okno oprócz podwójnych szyb posiadało drewnianą okiennicę; słowem ze wszystkich stron była zabezpieczona przed możliwością czyjejś inwazji. Zresztą czyż jej to groziło? Profesor Rusanow zachowywał się wobec niej stale jak skończony gentleman, a nikt inny nie pozwoliłby sobie na takie zuchwalstwo wobec gościa ustosunkowanego uczonego, wobec jego domniemanej narzeczonej.

— Nonsens — myślała głośno — Jack miał rację, wszystkiemu winne moje nerwy... I bezsenność przeklęta, wyczerpująca.

Przemogła w sobie tajemny lęk przed ciemnością i zgasiła lampę. Bardzo przekonująco wmawiała w siebie, że kilka godzin dorywczego snu nad ranem jest niewystarczającym odpoczynkiem dla ciała, a co dopiero dla jej roztrzęsionych nerwów, że koniecznie powinna zasnąć już teraz… niemniej jednak przewracała się nadal z boku na bok i nie zdrzemnęła się nawet...

Wtem... drgnęła. Wydało się jej, że słyszy leciusieńkie pukanie.

— Okiennica! — domyśliła się po chwili.

Tak. Teraz wiedziała, że ktoś puka w drewnianą okiennicę i szurga po niej dłonią, zapewne szukając zasuwy lub jakiejś szpary, przez którą można by wsunąć nóż i podważyć zasuwę znajdującą się wewnątrz.

— Chyba przystawił drabinę — przypuszczała, nie zapominając, że jej sypialnia znajduje się na pierwszym piętrze.

— Jack! — przemknęło jej przez myśl.

Zelektryzowana, wyskoczyła z łóżka i, nie zapalając lampy, odemknęła okno, ostrożnie

odepchnęła zasuwy, uchyliła leciuteńko okiennicę i odskoczyła przestraszona. W wąską szparę pomiędzy skrzydłami okiennicy wtargnął rozdygotany koniec długiej żerdki. Na jej szczycie był przywiązany sznurkiem maleńki pakuneczek. Odczepiła go co prędzej, potrząsnęła żerdką trzykrotnie na znak, że *kwituje odbiór przesyłki*, po czym zamknęła i okiennicę, i obie kwatery szyb. Zapaliła lampę. Chciwie rzuciła się na przysłany tak niezwykłą drogą pakuneczek. Był to spory arkusz papieru, złożony kilkanaście razy, tak, że przed rozwinięciem miał rozmiary małego pudełka od zapałek.

— Ja to pismo skądś znam — zauważyła od razu, rozczarowana, że tego obszernego listu nie pisała ręka Jacka.

Zaczęła czytać:

A teraz, skoro już Ci opisałem moje bohaterskie przeżycia, pozwól, że poświęcą słów kilka gospodarzowi, pod którego gościnnym dachem piszę list niniejszy. Jest to sam wielki Halef Omar Bim-basza rodzoniuteńki siostrzeniec sułtana Abdul Hamida. Po upadku sułtana wycofał się...

— Cóż to znaczy? — zdumiała się i przeskoczyła od razu na drugą stronicę tajemniczego listu, równie niezrozumiałą jak pierwsza:

Cudne są te kobiety i cudne ich imiona, Drogi Balciu. Oto czarnowłosa Ejub, giętka jak trzcina oto smagła Chaskej, ognista córa Sahary i jej mleczna siostra Kassim, obie zakupione dla Bim-baszy w oazie Figita-Nie!

— Głupi żart, czy też prowokacja? — Daisy była bardziej zirytowana niż przerażona; oczekiwała wiadomości od Jacka, tymczasem „poczta napowietrzna" przyniosła jej ten dziwny elaborat, naszpikowany bzdurami. Nie miała cierpliwości czytać wiersz po wierszu i zjechała wzrokiem na zakończenie:

odrobię... Ściskam Cię serdecznie, Drogi Baauuu, Galatko drapieżna!... i całuję z dubeltówki,

Twój Rafał K.

Daisy zmarszczyła czoło.

— Rafał K.? Cóż to za jeden? — myślała. Przypomniała sobie w końcu. W czasie podróży przez Morze Czarne powiadomił ją Jack, kim jest naprawdę prezes wydelegowanych dziennikarzy, ów jegomość z piękną, złotawą brodą. Zlękła się wówczas, czy Jack nie zechce wykonać pogróżki, jaką rzucił niegdyś w *Palm Beach Casino* pod adresem pana Lapina, ale zacny Jack nie żywił już wrogich zamiarów wobec Rafała. Uważał go nawet za ewentualnego sprzymierzeńca, stwierdziwszy, iż Serafin Bobak, monsieur Lapin oraz młody detektyw warszawski Rafał Królik, to jeden i ten sam osobnik, wcale sympatyczny, a nawet jako przeciwnik niegroźny dzięki swej lekkomyślności.

— No, dobrze; lecz w jakim celu przysłano mi ten śmieszny elaborat? — nie mogła zrozumieć. Wreszcie na tle dywanika dostrzegła maleńki skrawek białego papieru. — To opłatek, nie papier — stwierdziła, ująwszy go w palce. Drgnęła. Na białym tle zauważyła delikatne, szare smugi gęsto zbitych liter. Nareszcie zrozumiała, że to był właściwy list do niej, a tamto odgrywało rolę tylko opakowania czy koperty, z której opłatek wysunął się niespostrzeżenie i do tej pory leżał na dywaniku niezauważony przez nią.

— Jack! — wyszeptała z przejęciem.

Tym razem rozpoczęła czytanie od końca, i odetchnęła, ujrzawszy podpis *King*. Tego pseudonimu Jack używał stale.

Treść notatki na opłatku była zresztą bardzo krótka i Daisy, znając na pamięć szyfry, nie mozoliła się długo nad odgadywaniem znaczenia tego zbiorowiska liter, zupełnie niezrozumiałego dla niewtajemniczonych. Odczytywane słowa wymawiała głosem stłumionym ze wzruszenia:

Wpadłem na trop prawdziwego Stalingradu! Wyjeżdżam tam dzisiaj. Jeśli w ciągu tygodnia nie otrzymasz ode mnie znaku życia, wyjedź z Rosji natychmiast! To moja ostatnia wola. King.

Połknęła opłatek, a „kopertę" podarła na maleńkie skrawki i ułożyła je na popielniczce. Już zbliżała zapałkę do tego stosu, gdy wtem... ciszę nocną rozdarła głośna detonacja wystrzału!

---

[1] deus ex machina (łac.) – dosł. bóg z maszyny; przenośnie: grom z jasnego nieba; coś nieoczekiwanego, zaskakującego.

Rozdział XXIX

GAZ 303

Zaspany magazynier zatrzymał się przy dużej, drewnianej klatce. Zajrzał do jej wnętrza przez szparę i oderwał karteczkę zawieszoną przy skoblu.

— Tak, to ten transport — rzekł głosem zachrypłym. Wyjął z kieszeni blankiet, wyglądający na list przewozowy, przybliżył ów papier do latarki, którą sobie zawiesił na najwyższym guziku płaszcza. Dwadzieścia pięć owiec. To się zgadza, co? — Posłyszawszy nieartykułowany bełkot, przypomniał sobie, że towarzyszący mu kolejarz jest niemową. Podsunął mu więc pod nos fracht, przyświecił latarką i wskazał odnośną pozycję. — Poza tym mam wam wydać trzy szkapy, o tutaj, widzicie? I dwie świnie... No, a teraz do roboty. Wytłumaczcie temu idiocie, żeby tam wlazł i wygnał owce na peron.

Kolejarzowi towarzyszył wyrostek, również niemowa, w dodatku głuchy i uposażony przez złośliwy wybryk natury w wole. Chłopak-kaleka miał przy tym minę kretyna, wybuchał raz po raz idiotycznym śmiechem, który musiał rozproszyć resztki wątpliwości co do stanu jego umysłu, lecz na migi porozumiewał się doskonale z kolejarzem. Wlazł też od razu z kijem do klatki i widocznie dobrał się szybko do skóry uśpionym zwierzętom, gdyż podniosły głośny alarm i, becząc żałośnie, miotały się po swoim więzieniu. Nareszcie jedno z nich natrafiło na otwarte drzwiczki, runęło w wyłom, a za nim inne, wiedzione *owczym pędem*, który i ludzi cechuje, więc co dopiero prawdziwe owce.

— Osiem, dziewięć, dziesięć. — Magazynier musiał liczyć coraz szybciej i zmachał się uczciwie, częstując każdego odliczonego czworonoga kluczem w grzbiet. — Powoli, idioto... twoja mać! Jedenaście, dwanaście, trzynaście, czternaście, piętnaście... ufff!

Wytoczył się właśnie okazały baran, wpadł jak burza w najgęstszą ciżbę już uwolnionych z klatki towarzyszów niedoli, rozepchnął ich, uplasował się w samym środku gromadki niezbyt zachwyconej taką brutalnością.

— Tłusta bestia — mruknął magazynier z uznaniem i liczył dalej.

Spoza węgła najbliższego budynku zamigotała druga latarka.

— Prędzej tam z tym parszywym bydłem — zagrzmiał rozkazujący głos w ciemnościach — za dziesięć minut puszczam pociąg.

Magazynier zaklął pod nosem, kolejarz zajrzał do klatki i na migi przykazał matołkowi, żeby się spieszył. Ostatnie owce wypadły przez drzwiczki w szalonym pędzie, przynaglone gęstymi razami kija.

— Dwadzieścia cztery… pięć... sześć? Co, u licha! Czyżbym się pomylił?

Kolejarz również chwiał głową na znak zdziwienia; wyciągnął przed siebie obie dłonie, przy lewej zgiął cztery palce, a pozostałe sześć trzymając sztywno, podsuwał je magazynierowi pod nos.

— Przecież się które bydle nie okociło chyba, hę?

Kolejarz wyszczerzył zęby w uśmiechu. Pokazał na migi, że może jeszcze raz przeliczyć owce, jeżeli magazynier sobie tego życzy. Ale magazynier miał tylko jedno życzenie: „odwalić”

tę robotę i zakończyć na tym swój dzisiejszy dyżur.

Wspólnymi siłami „przekonali" ogłupiałe zwierzęta, że mają po wąskim mostku wejść do czekającego wagonu, wprowadzili tam również trzy melancholijne szkapy, zarażone świerzbem, na koniec przygnali dwie świnie. Umieściwszy całe to mieszane towarzystwo w wagonie, zasunęli ciężkie drzwi, zamknęli je na kłódkę, a magazynier obok kłódki przeciągnął sznurek i przywiesił plombę.

— Przyświećcie mi latarką — rzekł do kolejarza. Wyjął z kieszeni ostrzegawczy napis: *ZARAŻONE BYDŁO!* A potem dał upust swym upodobaniom malarskim, rysując obok dwa skrzyżowane piszczele i nad nimi niezgrabną czaszkę.

Kroki ludzi ścichły. Mały, „przedpotopowy" parowóz pozbierał porozrzucane wagony, połączył je w jeden długi pociąg towarowy i uciekł z donośnym sapaniem przed nowoczesnym olbrzymem, nadjeżdżającym od pompy. Po gwizdku nastąpił silny wstrząs, wagony wymieniły dźwięczne pocałunki ustami swoich zderzaków i nastała krótka chwila ciszy. Tylko w bydlęcym wagonie, opatrzonym makabrycznym godłem i groźnym napisem, chore zwierzęta podnosiły się z podłogi po upadku spowodowanym wstrząsem pociągu i napełniały swoje ciemne więzienie wrzawą przerażonych głosów...

Tłusty baran, który wywołał zachwyt magazyniera trzymał się oddzielnie, jak gdyby czuł arystokratyczną odrazę do tej pospolitej hołoty. Ustawił się przy zaplombowanych drzwiach i przez szparę, grubą na palec, spoglądał na mdłe światełka towarowego dworca.

— Gotów? — zabrzmiało na zewnątrz.

— Gotów — odpowiedziało jakby echo.

Ostry, przeszywający, a przy tym smętny gwizd lokomotywy zawibrował w powietrzu i pociąg ruszył z miejsca powolutku, ospale.

Wówczas tłusty baran podniósł się na tylnych nogach, przednimi wykonał w powietrzu jakieś ewolucje, potem złożył je nabożnie na piersiach i westchnął ludzkim głosem:

— Spraw, Boże… aby i reszta poszła mi tak gładko. W imię Ojca i...

Nie dokończył. Nagły zryw parowozu szarpnął w tę stronę kilka najbliższych owiec i zwalił go z nóg.

— Won, bydło przeklęte — warknął człowiek zaszyty w baranią skórę. — Pchają się jak stado baranów!... No, tak — zreflektował się po małej chwili — przecież to naprawdę barany... Owce, parszywe szkapy i świnie, oto towarzystwo dla prezesa delegatów — rzekł z goryczą. — Na jachcie człek żeglował, w *slipie* się wylegiwał na miękkiej pościeli, a teraz wojażuje w bydlęcym wagonie! Balcio ryczałby ze śmiechu... Ale czego się nie robi dla...

— Meeee — zabeczał mu przy uchu któryś z towarzyszów podróży.

— Beeee — wrzasnął z pasją, przedrzeźniając sąsiada. — Zbaranieje człowiek w tym miłym gronie.

Pociąg nabierał rozpędu, żółtawe światełka coraz rzadziej migały w wąskiej szparce, będącej jedynym oknem na świat. Wagon szedł równo, nie szarpało nim już, i zwierzęta, skłonne do łatwej rezygnacji godziły się szybko ze swym losem. Za to człowiekowi ciążyło milczenie, więc w dalszym ciągu wygłaszał swój monolog i na przemian przeżuwał w myśli wydarzenia ostatnich dni.

— Idioci! Pokazał im kilkadziesiąt chałup, drugie tyle tekturowych dekoracji i od razu uwierzyli, że to Stalingrad... łatwowierne tumany…

Rafał Królik doszedł szybko do przekonania, że prawdziwy Stalingrad nie znajduje się tuż pod Moskwą, jak owe fabryki tkackie, które pokazano delegatom wraz z kolonią domków robotniczych, zbudowanych umyślnie w tym celu... ale gdzieś dalej. Że zatem łączy go ze stolicą Rosji Sowieckiej jakaś linia kolejowa, co zresztą potwierdzały zeznania nieszczęsnego Karola

Webera.

— A ponieważ ruch pasażerski między Stalingradem, a Moskwą ogranicza się do profesora Rusanowa jeżdżącego stale autem, więc mądry Rafałek zainteresował się przede wszystkim dworcem towarowym — pochwalił się sam.

Z rozrzewnieniem rozpamiętywał kruczki, jakich musiał używać, aby zgubić szpicla czekającego zawsze przed hotelem i łażącego za nim krok w krok. Pomagała mu w tym najwalniej bajeczna łatwość w zmienianiu swojego wyglądu, mistrzowska charakteryzacja lisiej twarzy, która na poczekaniu stawała się obliczem starca pooranym zmarszczkami lub czerwoną gębą głupkowatego parobczaka, a w jednym wypadku nawet różowym buziakiem dziewczyny.

Ostatecznie jednak wybrał rolę głupkowatego wyrostka, a szczęśliwe natchnienie kazało mu udawać niemowę. Dzięki temu wpuszczono go dość łatwo do tego oddziału dworca towarowego, który stał na uboczu i był ogrodzony nieprzebytą barierą drutów kolczastych.

— To pewnie krewny jednego z tych — powiedział jakiś ludzki magazynier, legitymując w ten sposób Rafała wobec dwóch milicjantów pilnujących bramy. Koło południa przybył długi pociąg towarowy. Rafała przedstawiono kolejno całej obsłudze tego pociągu złożonej wyłącznie z niemych, ale nikt się nie przyznał do tego krewniaka. Rafał oczywiście także przeczył, na migi opisywał rzekomo poszukiwanego człowieka i jęczał żałośnie, kiedy go chciano wygnać za bramę. — Może ktoś z obsługi drugiego pociągu — przypuszczał magazynier — albo z dróżników waszej linii. — Rafał zaczął potakiwać. Podano mu ołówek. kartkę papieru, I polecono napisać nazwisko poszukiwanego oraz nazwę wsi…

— Zrobiło mi się trochę ciepło — mruczał teraz z humorem, patrząc na te wydarzenia z odległości sześćdziesięciu godzin.

Istotnie przeraził się w pierwszej chwili, lecz wnet oprzytomniał. Ujął podany sobie ołówek i zaczął rysować wcale udaną karykaturę Brianda[1].

— Już wiem, to Iwan Lichaczow! — krzyknął magazynier, Rafał zaprzeczył kategorycznie. Dał im do zrozumienia, że jest analfabetą, co nikogo oczywiście nie zdziwiło. Ostatecznie pozostawili go w spokoju, a magazynier dodał na pocieszenie, że drugi pociąg z tej linii przybędzie po ładunek po południu, i będzie mógł wśród jego obsługi poszukać swojego familianta. Oczywiście Rafał drapnął w porę i zjawił się dopiero nazajutrz przedpołudniem. Wówczas to dowiedział się o transporcie dwudziestu pięciu chorych owiec i wówczas strzelił mu do głowy szalony pomysł, by w tak niezwykłym przebraniu odjechać tym tajemniczym pociągiem, przybywającym tutaj codziennie i odjeżdżającym z pięćdziesięcioma wagonami żywności do nieznanej stacji, której nazwy nikt nigdy nie wymieniał w magazynach. Było to zaledwie wczoraj.

— Mój Boże, nie myślałem nigdy, że tak trudno zostać baranem.

Zakupienie odpowiedniej skóry, przetransportowanie jej do hotelu, robota „krawiecka" i mały trening po pokoju w tak oryginalnym kostiumie, a przede wszystkim przemycenie tego pakunku do magazynów stanowiło, zdaniem Rafała, prawdziwą „epopeję" i „symfonię bohaterstwa", ale, prawdę mówiąc, zadecydowało o powodzeniu tej awanturniczej imprezy bajeczne szczęście, które mu stale sprzyjało. Kiedy milicjanci, znający go już z widzenia, położyli ciężkie łapy na pakunku, Rafał rozwinął go z flegmą, pokazał owczą skórę i przymierzył ją sobie jakby togę. Znudzonych wartowników rozśmieszyło to do łez. Kazali mu beczeć, szczypali go, w końcu przyjaznym kopniakiem „pomogli mu" przejść przez bramę, ubawieni konceptem niemowy-matołka.

— Matołka? Geniusza! Tak, choć nie lubię się chwalić… co prawda, to prawda. Tylko geniusz potrafiłby tego dokazać... — Tu Rafał Królik wyprężył się dumnie, i dodał z głębokim przekonaniem: — Taki chociażby Sherlock Holmes, to szczeniak przy mnie! Marny szczeniak.

Przyniesioną skórę ukrył w szparze pomiędzy skrzyniami, sam zaszył się w kąt z dawna upatrzony i przesiedział w nim aż do zmroku. Dopiero wówczas wślizgnął się do klatki z chorymi owcami i tam przedzierzgnął się w... barana. Porządnego strachu najadł się wówczas, gdy magazynier obwieścił kolejarzowi, że przelicza owce do dzisiejszego transportu.

— Całe szczęście, że się tak spieszyli — mruknął. Bolały go nogi, a przede wszystkim dłonie podeptane uczciwie przez „miłych kolegów" czworonożnych, czuł w krzyżach bolesne strzyknięcia po kiju wyrostka-niemowy i osunął się do siedzącej pozycji, by wypocząć. — Żeby ci wole urosło aż do kolan, łobuzie — życzył w myśli młodemu kalece, masując sobie poszkodowane miejsca cielesnej powłoki. Oparł się o ścianę, a jednostajny huk kół wagonowych ukołysał go do snu niebawem.

Obudziła go cisza. Pociąg stał. Nie wiadomo, od jak dawna stał, ani jak długo trwała dotychczasowa podróż. Przez szparę między skrzydłami ciężkich drzwi wagonu nie było absolutnie nic widać, noc dzierżyła jeszcze rządy nad ziemią.

— Utknęliśmy w polu — przypuszczał Rafał, drapiąc się tu i ówdzie, gdyż pcheł było w wagonie pod dostatkiem. — Teraz rozumiem dopiero, dlaczego nieboszczyk Noe rozpił się tak haniebnie. Z rozpaczy! Tak, tak, to jasne. Tyle dni podróżować z menażerią, brrr!

Dłuższy czas monologował na ten temat, czyniąc gorzkie wymówki towarzyszom podróży, aż umilkł raptownie. Posłyszał echa ciężkich stąpań i odgłosy rozmowy prowadzonej w języku nieznanym mu zupełnie, ale dźwięcznym. Z łoskotem otwierano drzwi bydlęcych wagonów i zatrzaskiwano je po chwili.

— Aha, rewizja — domyślił się. Czym prędzej nasunął na twarz owczą „przyłbicę" i na czworakach pomaszerował w kąt wagonu, rozpychając bez ceremonii stłoczone zwierzęta. — A może oni mnie szukają? — przeraził się.

Rozsunięto drzwi i do wagonu wkroczyło czterech Chińczyków uzbrojonych w karabiny. Gęgając swym egzotycznym językiem, przeszukali skrupulatnie wagon, kolbami rozbili zwarty mur owiec zgrupowanych dokoła Rafała i odeszli rewidować dalsze wozy. Mały detektyw tryumfował.

— Całe szczęście, że skóra, jaką odziedziczyłem po nieboszczyku merynosie, jest taka długa i zakrywa moje giczoły. — Istotnie nie mógł sobie wynaleźć lepszego kostiumu tego gatunku: aż do ziemi spływały brudnoszare kędziory sierści, najgęstsze właśnie w okolicy ogona, gdzie długie kończyny ludzkie mogły najprędzej zdradzić niebaranie pochodzenie tego tłustego „barana". Niemniej jednak Rafał postanowił zrzucić owczą toaletę zanim nastanie dzień. Zaraz też, skoro pociąg ruszył w dalszą drogę, podszedł do drzwi, zamierzając wyskoczyć z wagonu. Ale drzwi były zamknięte na kłódkę, a dziesięć minut później zatrzymali się ponowne i nastąpiła druga rewizja.

— Czyli... nie ma zła, co by na dobre nie wyszło — cieszył się niepoprawny optymista. — Byłbym utknął w niebezpiecznym pasie pomiędzy dwoma kordonami, gdyby tych drzwi nie zamknięto. Lepiej już zajechać na miejsce

Nastąpiło to za pół godziny. Przez swoje „okienko" widział snujące się latarki kolejarzy, lampy oświetlające peron małej stacyjki i żółtawe kwadraty zakratowanych okien podłużnego magazynu, w którym się jeszcze świeciło.

Czas płynął nieprzerwaną strugą ciszy, a każda minuta tego bezsilnego oczekiwania na jakiekolwiek bądź wydarzenie zwiększała zdenerwowanie Rafała. Z ulgą powitał echa zbliżających się kroków i odgłos ludzkiej mowy.

— Na ślepy tor, powiedziałem... Czwarty tor — wołał ktoś po rosyjsku. — Ani chwili nie ścierpię chorego bydła przy magazynie.

— Chore bydło, to my — mruknął Rafał — a więc znowu pojedziemy.

Gratulował sobie w myśli, że nie wpadł na koncept ukryć się wśród zdrowych zwierząt, których ten sam pociąg przywiózł tu przeszło dwadzieścia wagonów.

— Tamto towarzystwo zapędzą wprost do rzeźni, to nie ulega wątpliwości, podczas gdy MY... — Nie potrafił dokończyć zdania; nie miał pojęcia, w jakim celu przywieziono tu „jego towarzystwo" i po raz pierwszy zaniepokoiło go to pytanie: — Po jakiego licha im potrzebne chore bydło? — rozważał.

Na ślepym torze otworzono drzwi i do wagonu wszedł ów idiota z wolem i, co gorsza, również z kijem; wole było do wybaczenia, lecz kij budził przykre wspomnienia wczorajszego lania w klatce na moskiewskim dworcu towarowym. Toteż mały detektyw był jednym z pierwszych baranów, które wybiegły z wagonu. Tym razem uniknął szczęśliwie „masażu"; lecz spotkało go coś zgoła nieprzewidywanego. Oto biegnąca za nim owca podniosła się na tylnie nogi, przednimi objęła go wpół od tyłu i przejechała się tym systemem kilka kroków, dopóki rozpaczliwe wierzganie nie strąciło jej do właściwej postawy.

— Czego ci się zachciewa, bydle narwane? Nie wstyd ci?! — mruczał oburzony Rafał, ale po krótkim namyśle uznał, iż kokieteryjny wyczyn owcy zasługuje na naśladownictwo w jego położeniu. — Nie zmęczę się tak i po dłoniach nie będą mi deptać — wykombinował, po czym niezwłocznie wskoczył na najbliższego barana na próbę. Wynikami był zachwycony. Nie potrzebował już biec na czworakach, co na dłuższą metę było zajęciem bardzo fatygującym. Dreptał na nogach, z grzbietem pochylonym ukośnie, obejmując rękami tułów swojego „rumaka" i obarczając go połową ciężaru swojego ciała. Kiedy nieszczęsny wierzchowiec zaczął stękać z wysiłku, przeskoczył na innego i nie czuł prawie zmęczenia. Opuścił się na ręce dopiero wówczas, gdy na stłoczone stado owiec padła smuga oślepiającego światła z dwóch reflektorów.

— Samochód? — zdziwił się, przekrzywiając głowę, aby coś dojrzeć spod swej niezwykłej przyłbicy. Dalsze obserwacje przerwały mu nieartykułowany bełkot niemowy-matołka i ulewa ciosów rozdawanych przez hojny kij. Wyrostek spędzał swą trzodę z gościńca do przydrożnego rowu, a czynił to z właściwym sobie temperamentem i brutalnością. Droga była wolna, lecz samochód pomimo to przystanął. Jego pasażer przemówił coś melodyjnym barytonem do zidiociałego pastucha i oczywiście nie doczekał się odpowiedzi.

Rafał nastawił ucha.

— Skąd ja ten głos znam? — medytował. — A, do diabła! przecież to mój stary znajomy, profesor Fiodor Rusanow — przypomniał sobie w końcu.

Był to rzeczywiście Rusanow, który w tym dniu wyjechał z Moskwy o trzy godziny wcześniej, niż czynił to zazwyczaj. Wysiadł z limuzyny, stanął przed samochodem w blasku dwóch silnych lamp, a olbrzymi cień jego sylwetki, rosłej i wydłużonej jeszcze przez sięgający do kostek płaszcz, poruszał się niesamowicie na białym tle gościńca, sięgając głową zewnętrznej ściany najbliższego baraku. Władca Stalingradu wyglądał obecnie równie tajemniczo, jak to dziwne miasto, odcięte od świata pierścieniem kolczastych drutów i nieznane geografom, mapom, atlasom.

Na łączce, przez którą co dopiero przeszło stado chorych świec, zadźwięczała podkowa i koń parsknął czujnie.

— Kto idzie? — huknął Rusanow.

— Puryszkow — odparł głos z ciemności. Rozległo się zachęcające cmokanie, przyśpieszony tętent koni, które niebawem weszły w sferę światła; było ich trzy, a na środkowym jechał na oklep młody, szczupły mężczyzna.

— Słuchajcie no, Dymitr — przemówił profesor, wskazując na stadko owiec, powierzone pieczy niemego wyrostka — czy to dla nas?

— Tak jest, dla laboratorium. Te konie także, a świnie pędzi tam za mną jeden z tych

niemych. Idziemy prosto ze stacji.

Z mroków wyłoniły się dwa spore wieprze, poganiane przez jakiegoś obdartusa. Z polecenia profesora szofer zgasił światła, aby nie utrudniać roboty pastuchom, którzy musieli wciąż na nowo zganiać przerażone zwierzęta. Teraz pozwoliły się bez protestu wpędzić na gościniec; musiały go przeciąć, aby najkrótszą drogą dostać się w okolicę laboratorium. Rafał wgramolił się właśnie po spadzistym zboczu przykopy na drogę, kiedy z ust owego Dymitra Puryszkowa padło niepokojące pytanie, czy warto te zwierzęta nakarmić.

— Co znaczy to pytanie? — pomyślał mały detektyw i stanął jak wryty, bowiem spadła mu na grzbiet ciężka dłoń męska. W ciemnościach nie mógł poznać, że to sam Rusanow zaszczycił go pieszczotą swej ręki. Domyślił ssę tego dopiero wówczas, gdy posłyszał odpowiedź profesora. Zatrważającą odpowiedź!

— Naturalnie, że nakarmić. I dobrze! Do syta! Niech się biedactwa najedzą przed śmiercią. — Przyjaźnie, niemal współczująco, oklepał tłustego „barana" po karku i dodał ciszej, jakby mówił do siebie: — Wypróbujemy dziś na was mój *Trzysta trzy*... a potem zrobimy próbę na skazańcach.

Rafał beknął przeciągle, szarpnął się naprzód w panicznym skoku, rękami natrafił na próżnię i stoczył się jak kula do drugiego rowu. Leżał cichuteńko na dnie przykopy, łudząc się nadzieją, że w ciemnościach nie dostrzegą go i pozostawią tutaj. Niestety w chwilę później szofer przekręcił kontakt i powódź światła lunęła z potężnych reflektorów samochodu.

— Jazda, Tsien — zabrzmiał głos profesora. — Puryszkow, tam leży jedna owca; zobacz, czy sobie nóg nie połamała. — Trzasnęły drzwiczki i ten sam głos odezwał się znowu, ale cichszy, jakby stłumiony przez szklaną ścianę szyby samochodu: — Jeśli złamała nogę, dobij zaraz! Niech się nie męczy.

Na takie dictum tłusty „baran" wyprysnął z przykopy, jak pocisk, i w kilku susach połączył się z towarzyszami niedoli. Uwiesił się na najbliższym sąsiedzie według systemu zalotnej owcy, która go nauczyła tego kunsztu, i jechał na nim zbity z nóg słowami profesora. Ale i to małe udogodnienie w komunikacji raziło jego prześladowców.

— A to ci jurny tryk — rzekł Dymitr Puryszkow. — Zdziel no go kijem przez krzyże.

Niemy matołek nie dał sobie tego dwa razy powtarzać i nieszczęsny detektyw, odświeżył ponownie znajomość z kijem.

— Wszystko mi jedno — mruczał zrezygnowany, wsłuchując się w milknące echa turkotu silnika — niech biją dalej. Wolę to, niż wdychanie takich perfum jak ich zapowietrzony *Gaz 303*... Nie mówię już o nas, baranach, ale ci zbrodniarze chcą go wypróbować na ludziach! Na ludziach, o Boże!

---

[1] Aristide Briand (1862-1932) – wielokrotny minister i premier Francji w latach 1909-1929.

Rozdział XXX

KUŹNIA ŚMIERCI

Limuzyna profesora zatrzymała się przed zamkniętą bramą. Otworzono ją natychmiast, skoro niemy Tsien puścił w ruch przeraźliwą syrenę, lecz tak wczesne przybycie dobrze znanego samochodu wywołało tu sensację. Garść uzbrojonych Chińczyków wysypała się z wartowni, a na szczycie wysokiego muru, otaczającego Stalingrad nieprzerwanym pierścieniem, zamajaczyły sylwetki dyżurnych strażników biegnących ku bramie. Maleńka stacyjka znajdowała się poza obrębem muru, toteż Rafał Królik nie wiedział na razie o jego istnieniu i przypuszczał, że tajemnicze miasto jest odcięte od świata tylko podwójnym wieńcem drutów kolczastych i podwójnym kordonem gęsto rozsianych wart. „Tylko”!.

Profesor Rusanow odwrócił głowę w bok, przybliżył twarz do lejkowatego ustnika miniaturowego telefonu, którego stacja odbiorcza znajdowała się o półtora metra stąd, mianowicie nad
głową szofera…

— Mamy sporo czasu, Tsien — powiedział. — Jedź powoli i cicho.

Skośnooki niemowa skinął głową potwierdzająco, zmniejszył obroty silnika, przyhamował, auto zwolniło biegu. Posuwało się jeszcze ze dwieście metrów w kierunku prostopadłym do wewnętrznego ogrodzenia miasta, po czym skręciło w lewo, w szeroką ulicę, wybrukowaną i przeciętą podłużnie czterema kresami kolejowych szyn. Z obydwóch stron defilowały parterowe budynki, ponure, ciemne, opatrzone małymi, zakratowanymi okienkami. Ale szyb brakowało w tych oknach, wyleciały wszystkie jeszcze na wiosnę, skutkiem wybuchu wagonu amunicji.

— Nasze koszary — mruknął profesor do siebie. — Zima się zbliża, muszą tu koniecznie wprawić nowe szyby — dodał litościwie i zapisał to sobie w notesie.

Na dalszym planie, ponad dachy parterowych baraków wystrzelały masywne kontury fabryki nawozów azotowych. Sztucznych nawozów oczywiście niewiele wyrabiała, ale niewinna nazwa pozostała jej dotychczas.

Mimo zapuszczonych szyb w oknach nawet tutaj, do wnętrza oszklonego pudła limuzyny, wdzierała się przykra woń, będąca konglomeratem wyziewów z tylu fabryk chemicznych skupionych na stosunkowo niezbyt rozległej przestrzeni. I profesor Rusanow zaczął znów obmyślać plan stałej wentylacji miasta. Różne, na pozór fantastyczne pomysły na ten temat zaprzątały jego ruchliwy umysł już u schyłku wiosny, kiedy pierwsza fala upałów nawiedziła te okolice, lecz wypadek w laboratorium i wynikła stąd konieczność szybkiego wyjazdu za granicę oderwały go od pracy. Teraz, po prawie pięciomiesięcznej nieobecności, powrócił na opuszczony posterunek, wypoczęty, zdrowy, pełen zapału, nic więc dziwnego, że interesował się żywo wszystkim, co dotyczyło jego dzieła, Stalingradu...

Ryk fabryczny syreny przerwał mu rozmyślania.

— Już szósta, a jeszcze tak ciemno? — zdziwił się. — Istotnie, szósta — sprawdził na zegarku. Słońce już wzeszło, lecz nie zdołało przebić grubej draperii chmur. — No, pogodnego

dnia nie będziemy dziś mieli; byle tylko nie lało — życzył sobie, myśląc o wyznaczonych na dzisiaj doświadczeniach. Miały być robione w terenie, pod gołym niebem, więc deszcz mógł wpłynąć ujemnie na ich wyniki. — Niestety, będzie lało, jeżeli wierzyć własnym kościom — dodał, krzywiąc się, gdyż strzykało go w zreumatyzmowanych nogach.

Tsien zatrąbił dwukrotnie. Naprzeciw nich szedł zbity tłum. To robotnicy z nocnej szychty zluzowani właśnie przez towarzyszy niedoli, których z kolei miała wyręczyć trzecia zmiana o godzinie drugiej popołudniu. Nie rozstąpili się, zmuszając auto, by stanęło w miejscu, by stało się małą wysepką wśród rzeki. Rozdwoił się dla owej wyspy ospały nurt ludzkiej rzeki i płynął po obu jej bokach powoli; słaby nurt, skoro jej nie zmiótł.

Tsien zatrąbił ponownie, przegazował silnik, i trwożnie obejrzał się wstecz. Ale profesor Rusanow uśmiechnął się drwiąco. Nie wsunął dłoni do kieszeni, gdzie spoczywał rewolwer, nie sięgnął nawet po gwizdek, którego głos zaalarmowałby w mgnieniu oka całą załogę Stalingradu. Spokojnie opuścił obie szyby boczne i na dwie strony cisnął w tłum po garści papierosów. — Moglibyście mi choć *dzień dobry* powiedzieć, wy mruki — rzekł wesoło.

Nie odrzekli nic, ani jeden czapki nie zerwał z głowy, by pozdrowić władcę życia i śmierci, ale papierosy pozbierali skrupulatnie.

— Uraza urazą, a napiwek napiwkiem — mruknął profesor, dając znak Tsienowi, by jechał dalej. Przez małą szybkę w tylnej ściance spoglądał na robotników. Nie patrzyli za autem. Apatyczni, obojętni na wszystko szli dalej ociężałym krokiem ku swoim koszarom, aby się wyspać, nażreć i nabrać sił do dalszej wegetacji. Nie pilnowano ich w drodze między barakami a odnośnym warsztatem pracy. Tylko nowicjusze korzystali niekiedy z tej namiastki swobody i po kilku bolesnych nauczkach stawali się wzorowymi automatami, jak ci najstarsi.

— Głupcy! — wybuchnął Rusanow. — Zasklepiają się w ponurej rozpaczy, zamiast szaleć z radości, że będą prawdziwymi zbawicielami świata!

Machnął ręką z niechęcią. Ileż to razy przemawiał do nich w tym sensie. Jego płomienne słowa, szczere, płynące z głębokiego przekonania padały w ten tłum na mityngach, jakie tu urządzał. I nic! Najmniejszego oddźwięku! Garść dobrych papierosów budziła stokroć żywsze zainteresowanie, niżeli perspektywa awansu na przyszłych zbawicieli świata. Początkowo działały na nich jeszcze jego zapewnienia, że wybuch rewolucji światowej jest kwestią miesięcy, ale później przestali mu wierzyć, gdy miesiące wydłużyły się w lata.

— Gazu, Tsien!... Zirytowało mnie to bydło — warknął profesor. W nader wojowniczym usposobieniu przybył do laboratorium i wspierając się na lasce, pokuśtykał do swego gabinetu. Zadzwonił. Wierny Dymitr Puryszkow już warował pod drzwiami i jednym tchem wyrecytował, że chore zwierzęta zamknął w stajence wraz z pastuchami.

— Z pastuchami? A to po co?

— No, żeby się nam nie szwendali koło laboratorium.

— Aha... Czy asystenci są przy robocie wszyscy?

— Wszyscy panie hrrr… ehe, ehe, ehem — zakaszlał przerażony; ongiś, przed wojną, jego ojciec był lokajem u Rusanowa i stąd młodemu Dymitrowi w chwilach wzruszenia przytrafiał się taki „hrabiowski" lapsus linguae[1]. A był wzruszony, jak zawsze, ilekroć, dawszy upust swym zamiłowaniom intryganckim, przychodził tutaj z jakimś donosem. — Wszyscy, nawet ten Anglik Scanlan! Wypuścili go właśnie z naszego szpitala... Bo on się chciał otruć i ledwie go odratowali... jak paaa… towarzysza tu nie było. — Dymitr Puryszkow czerwienił się jak dziewica w noc poślubną, jeżeli musiał dawnemu panu hrabiemu „wymyślać" od towarzyszy. Najchętniej mówił bezosobowo, unikając wszelkich tytułów, lecz niekiedy nie dało się uniknąć tego sęka.

— Przyprowadź mi zaraz tego Anglika...

Dymitr szybko wykonał to zlecenie.

— Bliżej... bliżej podejść — rzekł profesor ze sztuczną szorstkością. Asystent George Scanlan był jego ulubieńcem od dwóch lat, a to, że targnął się na swoje życie, nie pozbawiło go dawnych względów zwierzchnika. Wręcz przeciwnie! Profesora wzruszył zmieniony wygląd najzdolniejszego asystenta, ale nie dawał poznać tego po sobie i nie rozchmurzył twarzy; usiłowane samobójstwo było w Stalingradzie równie surowo karane jak próba ucieczki lub strajk głodowy. Nie dalej jak onegdaj zameldowano profesorowi, że w czasie jego nieobecności George Scanlan próbował się otruć, że obecnie jest już rekonwalescentem, i równocześnie przedłożono mu do podpisu „wyrok" gospodarza baraku numer 12, skazujący niedoszłego samobójcę na miesiąc ciemnicy i przedłużenie „kontraktu" na pobyt w Stalingradzie o dalsze trzy lata.

Anglik przeciął pewnym krokiem całą długość pokoju i stanął po drugiej stronie biurka w oczekującej podstawie. Gdy Rusanow odczytał mu treść owego wyroku, kiwnął głową niedbale.

— Tylko trzy lata? — spytał ironicznie.

— Obniżam ci je do roku, a co się tyczy ciemnicy, pozostawimy tę część wyroku w zawieszeniu... Dlaczego chciałeś zrobić to... to głupstwo?

George Scanlan wzruszył ramionami.

— Przecież pan wie doskonale dlaczego — odburknął. — Zna mnie pan nie od dzisiaj i wie pan, że należę do ludzi, którzy, mając wybór pomiędzy szubienicą a dożywotnim więzieniem, wybiorą zawsze szubienicę.

— Dożywotnie więzienie! Otóż to właśnie. Więc znowu zwątpiłeś w zwycięstwo naszej idei... W zwycięstwo, które jest kwestią miesięcy!

— Nie wierzyłem w nie nigdy... No, tak... — złagodził — może w początkach naszej znajomości. Pan profesor umiał mnie zarazić swym optymizmem... Ale dziś, po tylu rozczarowaniach, po blisko sześcioletniej katordze, już się nie pozwwww...

— Dzisiaj — krzyknął Rusanow — wybuch rewolucji światowej jest pewnikiem, jest dogmatem, uznanym nawet przez naszych wrogów!... — O, masz, trzymaj, dla ciebie to przywiozłem! — Rozpiął marynarkę, wydobył z wewnętrznej kieszeni grubą kopertę i cisnął ją na biurko przed Scanlana. — Oto wycinki z gazet. Wyłącznie z dzienników burżuazyjnych, bo naszym byś przecież nie wierzył. Przejrzyj je i przeczytaj swoim kolegom. Dowiedzcie się, ilu bezrobotnych ma Anglia, Niemcy, Stany Zjednoczone, nie mówiąc o pozostałych krajach. Dowiedzcie się o kryzysie gospodarczym, który cały świat ogarnął, a który obłąkani dyktatorzy chcą zażegnać wojnami!.. Tu, masz, czytaj... Oto wymowne liczby, ile ci bankruci wydają na szaleńcze zbrojenia... George, chłopcze kochany, czy jeszcze nie wierzysz? Dwadzieścia milionów bezrobotnych w Europie; z rodzinami da ci to przeszło sto milionów! Ćwierć całego zaludnienia, czwarta część mieszkańców, rozumiesz?

Zadyszał się trochę, ale niecierpliwym ruchem dłoni zgasił zamiar asystenta pragnącego coś odpowiedzieć i ciągnął dalej z zapałem:

— Pół roku temu liczyliśmy się z koniecznością prowadzenia ofensywy aż do Atlantyku. Jutro to będzie niepotrzebne, bo czas pracuje dla nas; on ich rozgromi najskuteczniej, a klęskę przyśpieszy ta broń.

Tu Rusanow zamachnął się w stronę okna, wskazując potężny, szary gmach przysłaniający widok na okolicę laboratorium. Gmach ten posiadał również bardzo niewinną nazwę, mianowicie *Zakłady graficzne Stalingradu*, lecz to, co fabrykowały owe zakłady graficzne, mogło się stać groźniejsze dla wrogów dzisiejszej Rosji niż tysiące pocisków napełnionych straszliwym gazem *303*...

— Fałszywe banknoty — mruknął George Scanlan.

Profesor Fedor Rusanow znowu wsunął dłoń do kieszeni.

— Znasz chyba dobrze banknoty swej ojczyzny, rzekł — wręczając ulubionemu asystentowi zwitek angielskich banknotów w odcinkach rożnej wartości, zaczynając od jednego funta — powiedzże mi teraz, które z tych są prawdziwe, a które naszej roboty — zaproponował z uśmiechem.

Scanlan oczywiście nie odróżnił dobrych pieniędzy od fałszywych i sam profesor nie byłby dokazał tej sztuki, gdyby nie maleńkie kółeczko, nakreślone zwykłym ołówkiem, którym dla „wewnętrznego" użytku naznaczono fabrykaty stalingradzkie.

— Mistrzowska robota, no przyznaj, George, a błąd tylko ten, że należało rozpocząć od podrabiania franków i dolarów. Bo w twojej ojczyźnie już niewiele złota pozostało, biedny chłopcze... Ale naprawiłem tę omyłkę; w ciągu miesiąca wyjdzie stąd miliard franków!.. Cha, cha, cha. Brudny, mały burżuj francuski wścieknie się, kiedy wreszcie spostrzeże, iż jego oszczędności są tylko kupą papieru!

Przez kilkanaście minut rozwodził się nad spodziewanymi skutkami tej inflacji, w jędrnych słowach malował sceny bankructw, demolowań banków, ogólnego krachu gospodarczego, powrotu do wymiennego handlu, wypraw zgłodniałych mieszczuchów na wiejskie spichlerze, walk bratobójczych... aż zniecierpliwiony Scanlan przerwał mu w końcu:

— Przypuśćmy, że tak będzie, profesorze… Ale jeżeli na to liczycie, to w jakim celu fabrykujemy w dalszym ciągu gazy trujące?

Fanatyk miał i na to odpowiedź... Widząc, co się święci, burżuazja za pośrednictwem stojących na jej żołdzie rządów zmilitaryzuje niespokojne żywioły i rozpęta zawieruchę wojenną. Czyż istnieje coś prostszego jak wywołać wojnę?

— I właśnie dlatego — kończył Rusanow z uśmiechem — by burżujom pokrzyżować szyki, potrzebne nam są również i takie argumenty jak gazy trujące, uważasz? A „poczują" je właśnie na tyłach swoich armii!

George Scanlan zrezygnował z polemiki, uważał ją za stratę czasu. Za to z głupia frant zagadnął profesora, kiedy, według jego obliczeń, zatryumfuje ostatecznie nad zgniłym Zachodem światło idące od Wschodu.

— Kiedy ostatecznie zatryumfuje, trudno odrzec — mruknął profesor w zamyśleniu — ale to wiem, że ta największa gra, jaką zna historia, rozpocznie się z wiosną!... I masz moje słowo na to, że nim rok upłynie, bramy Stalingradu otworzą się przed tobą... Powrócisz do swojej Anglii, która wówczas będzie republiką socjalistyczną, członkinią olbrzymiej federacji euroazjatyckiej... Powrócisz do swoich, George, niepoczciwy chłopcze, któryś się chciał wyrzec tej chwili radosnej... No, cóż, cieszysz się? Masz tam kogo na wyspach co cię powita, jak brata?

— Miałem ojca i żonę — odparł cicho. — Czy mam ich jeszcze dzisiaj, nie wiem.

— Na pewno — twierdził profesor, optymista na miarę... Rafała Królika. — Na pewno żyją i będą szaleć z radości, gdy wrócisz... A czy wrócisz, czy ujrzysz starą, piękną Anglię, zależy wyłącznie od ciebie!

George Scanlan, choć myślą szybował daleko stąd, słyszał i wchłaniał każde słowo profesora. Nie mógł się więc powstrzymać od żartobliwej uwagi, że, jako Anglik, stwierdza z przyjemnością, iż szef zmienił tak radykalnie opinię o jego ojczyźnie; dawniej nazywał ją ponurą krainą mgieł, twierdzą reakcji i kołtuństwa, i znacznie drastyczniej, a teraz użył wyrażenia: *stara piękna Anglia*. Jakiż powód tej rewizji poglądów?

Rusanow uśmiechnął się przyjaźnie i musnął wąs dłonią.

— Tobie, drogi chłopcze, mogę powiedzieć prawdę — rzekł, robiąc bezwiednie typową minę zakochanego uczonego. — To zasługa kobiety, pięknej i dobrej jak anioł! — Zaciekły bolszewik ani się spostrzegł, kiedy użył tak anielskiego porównania. — Podejdź no bliżej, George — przyzwał go ruchem ręki, zmusił, by się nachylił tak, że jego ucho niemal dotykało ust

szefa i dodał triumfalnie: — Żenię się; żenię się z twoją rodaczką!

— Gratuluję serdecznie — rzekł Scanlan — potrząsając mocno włochatą dłoń profesora.

— Ba, uwierzyłbym w szczerość twych gratulacji, gdybyś znał Daisy chociażby z widzenia. Wenus wyłaby z zazdrości, takie to cudne licho.

— Daisy — powtórzył Scanlan szeptem i po bladej, wychudłej twarzy niedoszłego samobójcy przemknęła chmurka bolesnej tęsknoty.

— Tak, Daisy. Wydaje mi się, że nie ma na świecie piękniejszego imienia. I nazwisko także dźwięczne: Rindley... Mistress Daisy Rindley — powtarzał, upajając się dźwiękiem tych wyrazów.

— Mistress? Zatem rozwódka?

— Nie. Wdowa. Wdowa po oficerze angielskim, który padł w Szanghaju w czasie walk ulicznych przed trzema laty... Biedaczka musiała go ogromnie kochać... Ile razy go wspomni, ma łzy w oczach i tak smutnieje, tak...

Ostry dzwonek przerwał rozmarzonemu profesorowi opis zasmuconej Daisy. Zdjął słuchawkę telefoniczną z widełek, kilkakrotnie odpowiedział *tak*, potem spojrzał na zegarek i rzucił w mikrofon rozkazującym tonem:

— Najtęższego chłopa przyprowadzić natychmiast do doświadczalni, pozostałych zamknąć... Co? — spytał. — Nie. Z tym musimy zaczekać, aż padać przestanie... Tak, prawdopodobnie odłożymy do jutra. — Zawiesił słuchawkę i skinął na asystenta, aby mu pomógł powstać z krzesła. — Zobaczysz ciekawy eksperyment — mówił z ożywieniem. — Dostarczyli nam z Łubianki kilkunastu skazańców. Jednego kazałem przysłać do szklanej kabiny. Wypróbujemy na nim, jak działa mój *303* w zamkniętej przestrzeni.

George Scanlan zadygotał od zgrozy tak silnie, że kulejący Rusanow, wsparty na jego ramieniu odgadł natychmiast, co się dzieje w duszy towarzysza.

— Skrupuły, skrupuliki — szydził. — Gdy miliony ludzi mordują na wojnie, to nic, ale poświęcić paru skazańców dla dobra nauki... oho, potworna zbrodnia! Prawda? A przecież tę wiwisekcję, jeżeli godzi się tak nazywać mój eksperyment... zamierzam robić właśnie w interesie ludzkości...

— Pozwoli pan, ale... nie rozumiem — wykrztusił Anglik.

— Więc słuchaj. Chodzi mi o to, by w przyszłości ci, których będzie się atakowało granatami z gazem *303*, nie cierpieli długo, rozumiesz? Przy ostatnim doświadczeniu, jakie robiłem przed wyjazdem za granicę, skazaniec żył przez całe dwanaście minut! Dwanaście minut biło jego serce. Ależ to potworne! Muszę skrócić te męki. Muszę doprowadzić do tego, by mój gaz zabijał w ciągu minuty! Muszę! Nazwaliście Stalingrad *kuźnią śmierci*. Zgoda. Lecz pociski, które wyjdą z tej kuźni, będą przynosiły śmierć lekką!

Weszli do ogromnej sali, podzielonej na kilkanaście przedziałów ściankami z „elastycznego szkła". Przez to cudowne szkło, uginające się pod naciskiem jak pęcherz rybi wypełniony powietrzem, a przeźroczyste idealnie, widać było pracujących laborantów, *białe kitle*, jak ich nazywano w Stalingradzie, bowiem każda fabryka w tym dziwnym mieście, każda pracownia miała swój kolor i w tym kolorze paradowali jej inżynierowie, majstrzy, robotnicy; to zarządzenie miało na celu przeszkodzenie niespokojnym duchom w komunikowaniu się z towarzyszami niedoli z innych oddziałów.

Profesor z asystentem minęli szereg dalszych sal, po czym winda zawiozła ich na najwyższe piętro, gdzie znajdowały się kabiny doświadczalne. Nieszczęsny skazaniec czekał już tutaj pod strażą dwóch Chińczyków.

— Zbadaj mu puls i serce, George — rozkazał Rusanow.

Scanlan wykonał polecenie, ale był trupio blady, gdy wynik badania meldował szefowi.

Nie potrafił zapanować nad sobą. Wydawało mu się, że straszna śmierć tego człowieka zaciąży mu na sumieniu... na zawsze.

— Szmerów nie zauważyłeś jakich?

— Nie. Ten człowiek ma serce tak zdrowe, że można by mu tego pozazdrościć... Ten człowiek mógłby żyć jeszcze ze trzydzieści lat! — dorzucił z naciskiem.

Fedor Rusanow uśmiechnął się domyślnie.

— To doskonale — wycedził przez zęby — takiego osobnika mi właśnie potrzeba... Zaprowadźcie go do klatki numer siedem — polecił Chińczykom.

— Profesorze — wyszeptał Scanlan błagalnie — niech mi pan pozwoli odejść stąd... Jestem jeszcze zanadto osłabiony... Nie zniosę tego wid...

— Musisz znieść! — huknął Rusanow, ujmując asystenta pod rękę.

Klatka numer 7, była rzeczywiście klatką z mocnej drucianej siatki, a przeźroczyste ścianki z elastycznego szkła znajdowały się na zewnątrz, w metrowej odległości od siatek. Dzięki temu można było skazańca zwolnić z więzów bez obawy, że dosięgnie szkła.

Był to chłop potężnej budowy ciała. W jego oczach, odprowadzających badawczym spojrzeniem Chińczyków, odbijała się wyraźna trwoga, lecz stał nieruchomo na środku celi śmierci i nerwowym, ale wytwornym ruchem podnosił ku ustom zapalone cygaro ofiarowane mu wspaniałomyślnie przez Rusanowa.

Profesor spojrzał na zegarek.

— Słuchajcie no, człowieku — rzekł do skazańca, stojąc w otwartych drzwiach szklanej kabiny — daję wam jeszcze dwie minuty. Jeżeli macie ochotę pomodlić się czy napisać parę słów do rodziny, to się pośpieszcie!

Rzekłszy to, odwrócił się do asystenta i podał mu maskę gazową.

— Profesorze, — jęknął Scanlan, zasłaniając twarz dłońmi.

— Milcz i słuchaj! Wejdziemy w maskach do kabiny. Kiedy on straci przytomność wkroczymy do klatki... Ech, ty babo. Może mi się jeszcze rozbeczysz?.. Czyż nigdy nie zrozumiesz, że pracujemy dla dobra ludzkości? Że mój *303* będzie najbardziej humanitarną bronią, jaką świat znał kiedykolwiek?

— Ja... naprawdę nie mogę... W oczach mi ciemnieje... Ten człowiek...

— Ten człowiek — przerwał ostro Rusanow — został skazany na śmierć za udział w spisku kontrrewolucyjnym i jest mu na pewno obojętne, jaką śmiercią skończy.

---

[1] lapsus linguae (łac.) – przejęzyczenie się.

Rozdział XXXI

GENIALNY BARAN

Przez dwie doby lało z małymi przerwami i przez dwie doby biedny Rafał Królik pędził barani żywot w schludnej, lecz pozbawionej okien, stajence, czekając na próżno na okazję do ucieczki z tego „chlewu". Nazwa: *chlew* miała o tyle rację bytu, że oprócz trzech szkap i stada owiec, trzymano tu również dwa wieprze, które, zdaniem Rafała, nie posiadały najprymitywniejszej kultury towarzyskiej i niehigienicznym trybem życia zatruwały mu do reszty pobyt w tym lokalu. Ale najniebezpieczniejszymi sąsiadami byli rosły, muskularny pastuch i wyrostek z wolem. Dymitr Puryszkow zdecydował się ich wypuszczać na dwór za dnia, lecz w nocy zamykał ich na kłódkę w stajence, a właśnie tylko w nocy mógł Rafał próbować szczęścia, bowiem we dnie zewsząd dobiegał gwar głosów ludzkich. Spróbował raz i zawrócił do swego kąta zawiedziony. — Tych drzwi bez porcji dynamitu nie ruszę z miejsca — myślał z rozpaczą. Za to w worku twardo śpiącego niemowy wymacał bochenek chleba i skonsumował go doraźnie, zaspokajając głód z grubsza.

Wreszcie w trzecią noc wypogodziło się niebo. Rafał spał kamiennym snem, w budującej harmonii z owcami, i ciemno jeszcze było na dworze, gdy Dymitr Puryszkow wkroczył do stajni. Wskoczył na grzbiet najsilniejszego konia, a pastuchom polecił, by resztę bydła pędzili jego śladem. Nadzieje Rafała, że go przeoczą zagrzebanego w słomie i pozostawią w otwartej stajni… nie sprawdziły się niestety. Wyrostek z wolem miał koci wzrok; „tłusty baran" przekonał się o tym ponownie... na własnej skórze.

Po dziesięciominutowym marszu dokoła kompleksu budynków, obejmującym laboratorium oraz zakłady graficzne, czoło pochodu stanęło, Dymitr Puryszkow rozmawiał z kimś, kogo tytułował towarzyszem-asystentem.

— Wszystkie? Ależ nonsens! — rzekł ów asystent. — Nie możemy dla jednego eksperymentu poświęcać całego inwentarza, jaki tu posiadamy.

— Zawsze to mówiłem — mruknął Rafał cichuteńko.

Puryszkow tłumaczył się, że nie wiedział i prosił asystenta o dokładne instrukcje.

— Wystarczy na dzisiaj jeden koń i sześć... no, powiedzmy... osiem sztuk owiec — mówił głos w ciemnościach — resztę zapędzić mi do stajni.

Rafał, który pilnie nadsłuchiwał, postanowił oczywiście należeć do owej reszty i musiał stoczyć zawziętą walkę z matołkiem, który najwidoczniej zawziął się na największego barana.

— Przegrałem — jęknął w duszy Rafał.

Pomimo oporu i kilku chytrych ucieczek w stronę stajni przyłączono go do mniejszej grupy, przeznaczonej do dzisiejszych doświadczeń. Starszy pastuch popędził na powrót do stajni większą grupę i obydwie „armie" pomaszerowały w przeciwnych kierunkach.

— To bardzo mądry baran — twierdził Dymitr. — Jakby czuł bliską śmierć... I mówią, że gadzina nie ma rozumu. Daj nam, Boże, taki rozum!

— Daj mu, Boże — zgodził się Rafał, nieco udobruchany pochwałą.

Dymitr chciał pogawędzić z asystentem, lecz ów okazał się mrukiem. Zdegradował

Dymitra na piechura, sam awansował na jeźdźca i w milczeniu jechał stępa na czele pochodu. Zatrzymał się dopiero przy murze. Była tam furtka, ale klucz od niej posiadał dyżurny strażnik i sporo czasu upłynęło zanim się zjawił nareszcie.... Przysłuchując się, jak wartownik legitymuje asystenta, jak go wypytuje o hasło i z góry, ze szczytu wysokiego muru świeci mu w oczy latarką.... Rafał stwierdził, że Stalingrad jest dobrze strzeżony.

— Niełatwo stąd drapnąć — pomyślał.

Wreszcie formalności załatwiono.

— Furtki nie zamykać — rzucił asystent tonem rozkazu — za chwilę pójdzie tędy towarzysz-kierownik i jego goście,

— Jak on przyjść, to ja otworzyć — odparł hardo Chińczyk, niewidzialny w mrokach, po czym puścił w ruch jakiś mechanizm i furtka zatrzasnęła się z takim impetem, że maszerujący na końcu wyrostek, widocznie popchnięty przez nią, wypadł, jak z procy, na łąkę, runął na „tłustego barana", kopnął go uczciwie w rozpędzie i przeleciał mu przez głowę.

— Oto, do czego już doszło. Przyrząd gimnastyczny robią sobie ze mnie — westchnął Rafał, bodąc rogami leżącego wyrostka; czynił to tylko dla rozgrzania się, bowiem żądzę odwetu za tyle przykrości stłumił w sercu, jak przystało na barana, który jest przecież symbolem potulności...

Koło godziny siódmej rano profesor Rusanow dał hasło do rozpoczęcia doświadczeń. Stał na małym pagórku, w otoczeniu kilku specjalistów wydelegowanych przez *ludowego komisarza wojny* i przybyłych z Moskwy przed kilkunastoma minutami. Wskazując im małe chorągiewki, porozrzucane po łące, wyjaśniał, które połacie pastwiska są zagazowane.

— Mniej więcej w środku pozostawiliśmy umyślnie przesmyk nieskropiony, czysty — mówił — tę krętą, bezpieczną uliczkę, jeśli wolno użyć tej nazwy, wytyczają zatknięte chorągiewki czerwone... Towarzyszu Puryszkow, proszę podpędzić owce aż do żółtych flag i tam je pozostawić. A poza linię flag nie wchodźcie, jeżeli wam życie miłe — ostrzegał go i znowu zwrócił się do towarzyszących mu dygnitarzy. — Mój *gaz 303* jest bezwonny, twierdzę. Czy tak jest w rzeczywistości, przekonamy się niebawem... W każdym razie należy pamiętać, że zwierzęta posiadają węch daleko czulszy, niż ludzie — zastrzegł się przezornie. — Owce są wygłodzone, wczoraj nie karmiono ich zupełnie, więc powinny pociągnąć ku tej bujnej trawie albo dążyć w stronę stajni, do której w ciągu tych trzech dni mogły już przywyknąć. Tak czy owak wkroczą na zagazowaną połać... jeżeli gaz jest bezwonny.

— W przeciwnym razie, cofną się — mruknął jeden z dostojników wojskowych, śledząc z zainteresowaniem pochód owiec pędzonych przez Dymitra Puryszkowa. — Ciekawy chód ma ten największy baran -— zauważył.

— To pewnie kotna owca — wtrącił ktoś drugi.

— Kotna? Och, biedne stworzenia! Zginą w łonie matki! — Miłosierny dygnitarz oświadczył w końcu, że nie ma serca patrzeć na cierpienia kotnej owcy i woli zaczekać, aż profesor wyśle na zagazowane pole... skazańców. Powiedziawszy to, zszedł z pagórka w gąszcz krzaków ożyny,

— Ten pastuch wraca — rzekł wojskowy, przerywając długi wykład Rusanowa.

— To robotnik z laboratorium — wyjaśnił profesor.

— Wszystko jedno. Dość, że wraca. Dlaczego?

Istotnie Dymitr Puryszkow wracał pośpiesznie. Onegdaj pomagał przy wynoszeniu zwłok ofiary eksperymentów profesora w klatce numer 7 i nabrał należytego respektu dla gazu *303*; wolał się trzymać jak najdalej od zagazowanych połaci łąki. Podpędził owce do żółtych chorągiewek, jak mu kazano, zrobił swoje i biegł w stronę pagórka, aby także wziąć udział w widowisku.

— Jedno owca przekroczyła linię żółtych flag.

— Druga!

— Trzecia!

— Znowu dwie!

— Oto najlepszy dowód, że nasz *303* jest bezwonny.

— A kiedy skropiliście łąkę?

— Wczoraj wieczorem — odparł asystent Scanlan, wyręczając profesora, który nacisnął stoper w chwili, gdy pierwsza owca wkroczyła na niebezpieczny teren, i z zainteresowaniem obserwował przebieg działania gazu *303* pod gołym niebem; to doświadczenie miało dla celów praktycznych nierównie ważniejsze znaczenie, niż dotychczasowe eksperymenty w zamkniętej przestrzeni szklanych klatek. — Wczoraj wieczorem o godzinie dwudziestej.

— Zatem prawie dwanaście godzin temu. — No, no — dziwił się oficer.

— Upłynęła minuta — obwieścił Fiodor Rusanow.

— Och... już się zaczyna!

George Scanlan miał słuszność; dramat rozpoczął się właśnie. Owca, która pierwsza wstąpiła na zagazowaną połać łąki, beknęła przeraźliwie, ruszyła pędem naprzód i zaczęła biegać w kółko. Nie upłynęło ani pięć sekund, gdy druga poszła w jej ślady, potem trzecia, czwarta i piąta. Oszalałe z przerażenia zwierzęta wirowały po łące w szalonym pędzie, zderzały się z sobą, padały w bujną trawę, zrywały się natychmiast, by kontynuować ten wariacki taniec i napełniały powietrze rozdzierającym bekiem.

— Prawdziwa kołowacizna. Czy to na ludzi działa w podobny sposób?

— W identyczny, towarzyszu — odparł Rusanow z uśmiechem. — Zobaczycie zresztą sami, skoro później wyślemy tam skazańców.

— Wspaniały wynalazek — zachwycał się wojskowy dygnitarz — oczyma duszy widzę już pułki polskich żołnierzy, ogarniętych tą kołowacizną.

— Albo Francuzów, towarzyszu.

— Padła, widzicie? Ta pierwsza,

— Dwie minuty — oznajmił Rusanow, potrząsając chronometrem.

— Ale ten największy baran coś się nie kwapi przekroczyć linii żółtych flag.

— Rzeczywiście, towarzyszu. Jak stanął w miejscu, tak stoi.

— Ruszył… No, nareszcie!

— Ba, ale idzie w prawo...

Największy baran ruszył z miejsca rzeczywiście, lecz bynajmniej nie w stronę dogorywających towarzyszów niedoli. Maszerował wzdłuż linii żółtych flag w kierunku dwurzędu czerwonych chorągiewek oznaczających bezpieczne przejście przez zatruty pas trawy i po krótkim namyśle skręcił w to przejście, a za nim dwie ostatnie owce, uważające go snadź za przewodnika.

— Mądry baran!

— Ciekawym, czy jednak poczuł woń gazu, czy to po prostu instynkt,

— Ani jedno, ani drugie, przypuszczam — odparł wojskowy — sądzę raczej, że przeraził go widok tamtych pięciu owiec i dlatego zmyka.

— A tamte są gotowe.

Jęki duszących się zwierząt przycichały. Trzy pierwsze owce leżały już nieruchomo, dalsze dwie czyniły rozpaczliwe wysiłki, by przebiec jeszcze kilka metrów i znaleźć wreszcie pas czystego powietrza... Lecz na próżno. Gdyby nawet zawróciły, skąd przyszły, zamiast kręcić się w kółko po zagazowanym polu, gdyby nawet wciągnęły w porażone płuca haust niezatrutego powietrza, nie zdałoby się to na nic. Było już za późno!

— Czwarta leży.

Ostatnia z tej piątki potknęła się nagle, runęła jak długa, aby się już więcej nie podnieść. Jej żałosny bek przeszedł w płaczliwe kwilenie, urywane, coraz słabsze… milknące.

— Niecałe cztery minuty — obwieścił profesor zwycięsko.

— Za szybko to trwa. Wolałbym, żeby nasi wrogowie pomęczyli się dłużej przed śmiercią — rzekł wojskowy.

— Patrzcie no, towarzysze... Ten sprytny baran idzie dalej.

— Rzeczywiście! Gotów przejść żywy na drugą stronę.

— Nie ma obawy. — Fiodor Rusanow wyjaśnił zaraz, dlaczego nie przypuszcza, aby trzy pozostałe przy życiu owce wyszły cało z tej przygody. Oto łąka jest skoszona wszędzie, z wyjątkiem zagazowanego pasa. Tam pozostawiono trawę nietkniętą i nawet tego genialnego barana skusi w końcu pokosztować świeżej paszy... — O, proszę, spójrzcie tylko — zawołał ucieszony.

Trzy owce przebiegły już połowę bezpiecznego przejścia, gdy jedna z nich przystanęła i po małym wahaniu przekroczyła linię wytyczoną czerwonymi chorągiewkami, przyzywając bekiem towarzyszy. Druga poszła natychmiast w jej ślady, ale największy baran maszerował dalej.

— I wali samym środkiem tego szpaleru, Samym środkiem!

— Genialny baran, doprawdy.

— Ale i jego wzięło. Widzicie, jak się zatacza?

Genialny baran, czyli Rafał Królik, zataczał się naprawdę, ale tylko ze strachu i zmęczenia. Niespełna trzy dni temu odbył na czworakach dłuższy spacer, lecz wówczas była noc, w ciemnościach mógł sobie pozwolić na to, by iść swobodnie, a wreszcie posługiwał się metodą „wózkowania" kosztem prawdziwych baranów. Dzisiaj grał rolę czworonoga w znaczeniu gorszych warunkach, bo za dnia, i domyślał się, że wszystkie oczy są na niego skierowane. Ściernisko kłuło go w dłonie, lecz ten ból był niczym w porównaniu z ustawicznym zginaniem omdlewających nóg. Cóż tedy dziwnego, że zataczał się coraz silniej ze zmęczenia, nie mówiąc już o strachu, by go nie spotkał los prawdziwych owiec. Przeraźliwe jęki ostatnich dwóch towarzyszek niedoli, które bujna trawa zwabiła na zagazowany prostokąt łąki... ścigały go, przerażały i zmuszały do pośpiechu, a zapas sił był na wyczerpaniu. Chwilami ogarniała go pokusa, by skończyć z tą błazeńską maskaradą, zerwać się na równe nogi i popędzić ku wewnętrznemu murowi Stalingradu tak, jak biegnie człowiek... a potem niech się stanie, co się stać musi.

— Zginiesz jako człowiek... przynajmniej… Rafciu, biedny Rafciu, czy naprawdę chcesz umierać baranią śmiercią?

— W ogóle nie chcę umierać — odpowiedział pokusie, zaciskał zęby i maszerował dalej na czworakach, licząc pozostałe chorągiewki.

Ze szczytu maleńkiego pagórka spoglądali nań dygnitarze przybyli dzisiaj z Moskwy, profesor Rusanow i George Scanlan, a poniżej stali Dymitr Puryszkow oraz wyrostek z wolem. Wyrostek nie rozumiał co prawda, dlaczego siedem owiec legło nieruchomo na trawie, ale rozumiał za to, że ten wielki baran zmyka bezczelnie w stronę stajni. Ten chytry baran, który mu tyle kłopotu przysporzył tego ranka i na przyczynek pobódł go dotkliwie rogami w chwili upadku. Matołek zawrzał gniewem. Bełkocąc, kwicząc, zapytywał na migi, czy nie należałoby rzucić się w pościg, dopędzić tłustego barana i zapędzić go do tamtych siedmiu owiec.

— Czego on chce? — spytał wojskowy, odwracając się z odrazą na widok ohydnej gęby wyrostka, z której ślina ciekła aż na wole. — To jest dobra myśl — dodał, skoro Dymitr Puryszkow wyjaśnił zamiary niemowy.

— Minął ostatnią chorągiewkę! Ależ to naprawdę genialny baran! Zasłużył sobie w zupełności na to, aby go ułaskawić — rzekł profesor.

Lecz inni widzowie nie odznaczali się taką wspaniałomyślnością, a widok konia, na którym przyjechał tutaj Scanlan, podsunął im myśl nowego widowiska. Wojskowy dostojnik twierdził wręcz, że ten eksperyment będzie szczególnie interesujący i wykaże możliwości szarży kawalerii przez zagazowane pola.

— Jeden z was — rzekł, zwracając się do Dymitra — musi popędzić konno na przełaj, aby przeciąć drogę temu baranowi.

Dymitr Puryszkow zbladł, zachwiał się na nogach.

— Niech on jedzie — błagał, składając dłonie jak do modlitwy — niech on! To kaleka, niemy, niespełna rozumu, nie wie, co mu grozi... Panowie... towarzysze... nie mordujcie niewinnego człowieka — skomlał i osunął się na kolana.

Wojskowy wzruszył ramionami wzgardliwie.

— Mnie wszystko jedno — rzekł — dość że jeden z was musi wykonać ten rozkaz!

— Dobrze, panie generale... towarzyszu… dobrodzieju. On pojedzie. Nawet chce sam! Rwie się... Ja mu wytłumaczę, o co chodzi — zapewniał Dymitr Puryszkow, szczękając zębami. Natychmiast też podbiegł do wyrostka i na migi zaczął mu wyjaśniać z gorączkowym pośpiechem, na czym polega jego zadanie.

— Ebełebeeee — zabełkotał ucieszony idiota. Odepchnął Dymitra, popędził do uwiązanego konia, wskoczył mu na grzbiet ze zręcznością cyrkowca, zdarł uzdę zaczepioną na gałęzi rosłego krzewu i ruszył stępa, który szybko przeszedł w długiego kłusa.

— Ten koń ma dobre chody — mruknął wojskowy. Gdy wyrostek zbliżył się do podnóża pagórka, dał mu znak na migi, by podpędzał konia. — Prędzej, chłopcze — wołał — cwałem, cwałem... Musisz dopędzić barana.

Matołek kiwnął głową na znak, że posłyszał te słowa, że je zrozumiał. Waląc bosymi piętami szkapę po bokach, wpatrywał się roziskrzonym wzrokiem w odległy biały punkt. Był pewny, że dopędzi chytrego barana i rżał z radości na myśl o laniu, jakie mu sprawi. Kij zabrał z sobą przezornie i okładał nim zad konia, niezłego wierzchowca, chorego wprawdzie, ale i wypoczętego...

Kłus przeszedł w cwał. Aby przeciąć drogę uciekającej owcy, wyrostek gnał na ukos, wprost na żółte chorągiewki, wprost na zagazowaną łąkę…

— Jak szeroki jest ten pas, towarzyszu Rusanow?

— Dokładnie sto metrów. Co dziesięć metrów jest palik.

— Aha, aha…

— Już!

W szalonym pędzie minął koń linię żółtych flag, potem pierwszy palik i drugi; dwadzieścia metrów przebiegł w tym samym tempie bez śladu objawów zatrucia... Dopiero przy trzecim paliku zaczął zwalniać.

— Ale go masuje.

Odnosiło się to do zidiociałego wyrostka, który, nie pojmując przyczyn nagłego zwolnienia pędu, okładał wierzchowca kijem bez litości. Dzięki temu zapewne dotarli do czwartego palika, ale już tylko stępa. Tu koń stanął dęba. Chłopak objął go oburącz za szyję, przylgnął do niej, nie pozwolił się zrzucić, lecz koń sam runął na ziemię, pociągając za sobą jeźdźca.

— Teraz i on poczuje, przypuszczam.

— Tak jest, towarzyszu. Mój *303* jest gazem ciężkim, trzyma się nisko przy ziemi, dlatego właśnie owce uległy zatruciu znacznie wcześniej.

— Bardzo ciekawy eksperyment.

— Najciekawsze dopiero nastąpi — zapewniał Rusanow. — U ludzi zatrucie się gazem *303* wywołuje ostry atak szału. Zaraz zresztą zobaczycie.

I zobaczyli. Wyrostek tłukł konia tak długo, póki na nim kija nie połamał. Biedne zwierzę dźwignęło się wreszcie na nogi. Jego rżenie zagłuszył niesamowity bełkot, który przeszedł już w ryk. Rycząc z wściekłości, chłopak walił konia pięściami, kopał go po przednich nogach, aż wilczym susem skoczył mu do gardła i zawisł na jego szyi, obejmując ją rękami i nogami.

— Gryzie konia... słowo daję, gryzie! — Wojskowy dygnitarz bawił się znakomicie; poklepywał sobie uda dłońmi, żałując, że nie może z bliska obserwować tego widowiska, że nie zabrał z sobą polowej lornetki.

Dramat na łące dobiegał końca. Zatrzepotały w powietrzu nogi końskie i ludzkie ręce, chrapliwy ryk stał się znów bełkotem i ten niesamowity bełkot przeżył kwik konia o dobre pół minuty.

— Koń go przywalił, dlatego nie wstaje — mruknął ktoś, obdarzony najlepszym wzrokiem.

— A nasz genialny baran już dobiegł do muru. Wali prosto do furtki.

— I trafi do stajni, zobaczycie. To zwierzę ma fenomenalny instynkt!

Przypuszczenia profesora nie miały się spełnić. Rafałowi obrzydła raz na zawsze rola barana, chociażby genialnego. Przebywszy szczęśliwie furtkę otwartą z polecenia profesora, pomaszerował wprost do laboratorium. Woźny Dymitr Puryszkow był na jego szczęście nieobecny, więc nikt nie wzbronił zabłąkanej owcy wstępu do pustej sieni, a stąd do piwnicy, gdzie mały detektyw pożegnał się ostatecznie ze swoim niezwykłym kostiumem.

Rozdział XXXII

FOTOGRAFIA DAISY

W przeciwieństwie do fabryk stalingradzkich, w których praca wrzała we dnie i w nocy na trzy zmiany, pracowano w laboratorium tylko na jedną zmianę; o godzinie szóstej pod wieczór asystenci, laboranci i tuzin robotników tutaj zatrudnionych, słowem wszyscy ci, których w Stalingradzie określano mianem *białych kitlów*, powracali do baraku numer 12. Dymitr Puryszkow obchodził puste sale, zamykał je i odnosił pęk kluczy do gabinetu profesora, po czym Rusanow odjeżdżał swoją limuzyną do Moskwy.

Tym trybem szło tutaj codziennie, ale przybycie wojskowych dostojników pogwałciło normalną procedurę; Rusanow zatrzymał w laboratorium Scanlana, aby mieć kogoś pod ręką na wypadek, gdyby gościom przyszła ochota obejrzeć ostatnie wyniki jego pracy, Dymitrowi polecił telefonicznie, aby sal nie zamykał, dopóki nie otrzyma rozkazu, a sam konferował z gośćmi w swoim gabinecie. Bowiem już rano, w czasie doświadczeń na łące zorientował się, że wizyta wojskowych dygnitarzy ma właściwie charakter dyskretnej inspekcji.

Takim sposobem George Scanlan znalazł się w laboratorium sam, bez jakiejkolwiek kontroli i nadzoru.

— Wymarzona okazja — powtarzał sobie w duchu. Wałęsał się po salach ze znudzoną miną, jak przystało człowiekowi skazanemu na bezczynność, ziewnął, aż się rozległo, lecz była to przezorna gra; przywykł w ciągu tylu lat niewoli do tego, że w Stalingradzie nawet ściany mają oczy i uszy. W rzeczywistości szukał czegoś usilnie. Szukał dwudziestu ręcznych granatów, napełnionych gazem *303*.

— Łotry! Zbrodniarze! — pienił się w duchu, rozpamiętując wypadki dzisiejszego dnia. Prześladowała go nieustannie wizja dantejskich scen, jakie rozegrały się na zagazowanej łączce po śmierci pastucha-matołka... Skazańcy przywiezieni z Łubianki nie byli obecni przy pierwszych doświadczeniach, trzymano ich wówczas w ukryciu, za małym laskiem, tak że nie widzieli przedśmiertelnych cierpień zwierząt, ani owego pastucha; nie przeczuwali, co ich czeka. A perfidne przemówienie wojskowego dygnitarza rozpaliło w sercach tych zrezygnowanych nędzarzy olbrzymie ognisko nadziei i rozbudziło na nowo pragnienie życia, z którym się pożegnali już wtedy, gdy wpadli w szpony *Czeki*... Scanlan pamiętał każde słowo tej przemowy, każde słowo wwierciło mu się w mózg i dźwięczało w uszach przeklętym zgrzytem:

— Skazano was na śmierć za udział w spisku kontrrewolucyjnym. Wyrok miał być wykonany już trzy dni temu. Jednakże... postanowiłem ułaskawić kilku z was. Tych, którzy okażą się najlepszym materiałem na dzielnych żołnierzy. Wykonacie parę ćwiczeń. Najzdolniejszych wybiorę sam i powcielam do pułków… reszta nie ujrzy już zachodu słońca.

Tak brzmiał wstęp przemówienia. Skazańcom rozdano stare karabiny z bagnetami, ale bez ładunków. Wojskowy pouczał ich, na czym polega pierwsze ćwiczenie. Mieli biec jakby do ataku, dotrzeć do muru i, nie odpoczywając, powrócić do stóp pagórka również biegiem.

Każdy wyraz, każdą sylabę wchłaniali w siebie żarłocznie. Słuchali z zapartym oddechem, nie przeczuwając straszliwej zasadzki.

Było ich czternastu. Na dany znak rozsypali się w tyralierę i w tym szyku ruszyli w stronę zatrutej łączki, bacząc, by nie złamać równej linii, by nie zmniejszyć dwumetrowej odległości, jaka dzieliła każdego od jego sąsiadów. Do linii żółtych chorągiewek szli żołnierskim krokiem, potem mieli biec co tchu w płucach i ryczeć *hurra*. Tak brzmiał rozkaz. Wykonali go ze ślepym posłuszeństwem, prześcigali się w gorliwości, walcząc o tę bezcenną premię... o życie!

— Hurrrrra!

Jak grom zabrzmiał ten okrzyk i jeszcze teraz, w dziesięć godzin po tej tragedii słyszał go Scanlan.

Minęli pierwszy palik w linii równej, prostej jak wyprężony sznurek. Potem wzorowa tyraliera zmieniła się w bezładną kupę. Ale jeszcze wciąż biegli naprzód. Dramat rozegrał się przy trzecim paliku. Ludzie zmienili się nagle w krwiożercze bestie. Każdy walczył z każdym, kto mu się nawinął pod rękę. Tylko jeden z nich nie uległ epidemii szału. Zawrócił błyskawicznie, dotarł do linii żółtych flag i, ściskając kurczowo karabin, gnał w stronę pagórka rozbrzmiewającego salwami śmiechu. Widzowie bawili się doskonale, wszyscy z wyjątkiem profesora, który traktował te barbarzyńskie praktyki jak naukowy eksperyment, i z wyjątkiem na pół przytomnego Scanlana. Naśmiewali się w dalszym ciągu, choć zdeterminowany skazaniec zbliżał się ku nim, dysząc żądzą zemsty.

— Nie — rzekł Rusanow.

Upierał się, że tamten nie dotrze, bowiem przeszło pół minuty przebywał na zagazowanej połaci łąki. Profesor miał rację. Skazaniec potknął się nagle, runął na twarz, a karabin, wypuszczony z kurczowego uścisku, zatoczył łuk w powietrzu i legł obok trupa.

Na łączce walczono jeszcze. Ostatnia czwórka zapaśników, zbyt już osłabionych, by utrzymać ciężkie karabiny, toczyła zażarty bój na pięści. Dwóch legło wreszcie, a zwycięzcy skoczyli sobie do gardła,

— Wyobraźcie sobie teraz, towarzysze, atak kilku batalionów przez pole skropione moim *303* — przemówił profesor z dumą.

— Tak, ładny bałagan wyniknie.

— Wymordują się sami wzajemnie.

— Nasze kulomioty nie sfatygują się.

— Słowem, wspaniały wynalazek! Towarzyszu Rusanow, jeszcze raz składam moje szczere gratulacje.

Scanlan, szukając obecnie owych dwudziestu ręcznych granatów, rozpamiętywał po raz chyba dziesiąty scenę szału skazańców. — Psychopatia! — powtarzał, wstrząśnięty do głębi.

Istotnie tylko w chorym mózgu mogła się wylęgnąć myśl, by dwadzieścia granatów napełnionych straszliwym gazem *303* posłać do Warszawy na zjazd harcerzy, by w podstępny sposób wymordować kilkaset niewinnych dzieciaków. Autorem tego projektu był ów wojskowy dygnitarz zachwycony wynikami dzisiejszych doświadczeń. W jaki sposób zamierzał urzeczywistnić ten zamiar, na kogo rzucić podejrzenie i zepchnąć odpowiedzialność za potworną zbrodnię, tego Scanlan oczywiście nie wiedział. Słyszał tylko, że mówiono o harcerskim zjeździe w Warszawie, i później był świadkiem, jak profesor Rusanow wydał polecenie innemu asystentowi, aby przyniósł z podręcznego magazynu dwadzieścia sztuk ręcznych granatów najmniejszego formatu i opakował je troskliwie.

— Tutaj powinny być — powtarzał z uporem, zaglądając kolejno do każdej salki laboratorium. — Muszę tej zbrodni przeszkodzić!.. Tam, gdy mordowano skazańców, byłem bezsilny, lecz teraz...

Z trudem stłumił w sobie chęć wydania okrzyku radości. Nareszcie znalazł, czego szukał. Maleńka drewniana skrzynka jeszcze nie była zabita, jej wieczko leżało obok. Pochwycił ją bez

namysłu.

— Muszę zejść do piwnicy; tam jest aparat — układał sobie w myśli — żeby nie poznali po wadze, napełnię je wodą. — Nie zapomniał też o środkach ostrożności. Zabrał z sobą gazową maskę i ochronne rękawice. Lecz zaledwie jeden granat zdołał unieszkodliwić i napełnić wodą, kiedy spłoszył go tajemniczy szelest.

— To odgłos kroków — wyszeptał zaniepokojony. — Szukają mnie na górze. — Wybiegł czym prędzej z piwnicy, maskę i rękawice złożył w pierwszej salce parterowej, po czym udał się na pierwsze piętro. Nie spotkał nikogo. Podkradł się aż pod drzwi gabinetu profesora i nadsłuchiwał przez minutę. Rozmawiano tam swobodnie, Rusanow cierpliwie odpowiadał na liczne zapytania gości, cyfry krzyżowały się w powietrzu, szeleściły papiery sprawozdawczych wykazów, słowem nic nie wskazywało na to, że konferencja była już ukończona. — Przywidziało mi się chyba — odetchnął Scanlan.

Zawrócił do piwnicy, lecz szedł jeszcze ostrożniej, niż przedtem, jeszcze ciszej; nie mógł odpędzić natrętnej myśli, że ktoś go śledził...

Wtem... stanął jak wryty. Tuż obok aparatu do napełnienia małych zbiorników gazem *303* stał jakiś człowiek niskiego wzrostu. Był tyłem zwrócony do drzwi sąsiedniej piwnicy, w której zatrzymał się Scanlan, oglądał z wielkim zainteresowaniem jajowate granaty ręczne i, po krótkim namyśle, zaczął je chować po kieszeniach swojego ubrania. Kiedy go Scanlan znienacka schwycił za kark, wrzasnął z przestrachu, odwrócił się błyskawicznie i… skamieniał na widok zdradzieckiego przeciwnika wyglądającego zgoła upiornie w gazowej masce i w rękawiczkach długich po łokcie. Nie uchylił się, ani nie odbił ciosu pięści, jakim go „potwór" poczęstował w skroń „na wszelki wypadek". Runął na wznak jak długi (a długi nie był wcale) i leżał nieruchomo u stóp zwycięzcy.

— Ki diabeł? — mruknął George Scanlan, bardziej zdziwiony niż zaniepokojony tak nieoczekiwanym spotkaniem. Był zdziwiony, bowiem w Stalingradzie nosili wszyscy, prócz profesora, strój tego samego typu, choć w różnych barwach, stosownie do tego, do jakiej fabryki należeli. Tymczasem nieznany osobnik miał na sobie ubranie marynarkowe, podobnego kroju jak londyński garnitur profesora, ubranie niegdyś zapewne bardzo eleganckie, lecz dzisiaj wymięte, zawalane i upstrzone obficie słomą oraz białawą sierścią, jak gdyby jego właściciel dłuższy czas spędził wśród świń, owiec i koni.

— Pachnie przy tym dość podejrzanie — skrzywił się Anglik. Przemógłszy odrazę, przyklęknął obok zemdlonego i zaczął mu rewidować kieszenie. Bez trudu wymacał portfel, ukryty w wewnętrznej kieszeni marynarki, wyciągnął go, otworzył i wyjął stamtąd cienki plik papierów. Przeglądał je kolejno. — Legitymacja dziennikarska... Serafin Bobak... paszport... aha, to Polak — monologował, wertując dokumenty, które Rafał Królik znalazł w pokoju hotelowym, zamieszkanym uprzednio przez Serafina Bobaka, uprowadzonego omyłkowo na jacht podstarzałej, a niebezpiecznej syreny. — Aha, jest i fotografia jakiejś dziewczynki; zobaczymy, czy amator naszych granatów ma dobry gust — mruknął George z humorem i ruszył z fotografią w stronę lampy. — Tyle lat nie widziało się kobiety, nawet na obrazku, — usprawiedliwiał tę ciekawość przed sobą... Pochylił się nad fotografią, skierował na nią światło ruchomej lampy i okrzyk bezbrzeżnego zdumienia wyrwał mu się z piersi...

Zimny tusz i potężne wstrząsy przywróciły Rafałowi przytomność. Jego pierwsze spojrzenie padło na maskę gazową leżącą na skraju stołu i ten widok omal go powtórnie nie wysłał w krainę snów.

— Ocknijże się, człowieku — zabrzmiał mu nad uchem głos męski, miły, melodyjny, lecz tętniący niecierpliwością. Czyjaś dłoń podsunęła mu tuż pod nos fotografię Daisy Rindley, tę samą którą „zarekwirował" bez skrupułów, gdy po bankiecie pożegnalnym w domu profesora

zabłądził do sypialni pięknej Angielki.

— Kto to jest, mów!

Rafał miał już na języku zwykłą przechwałkę *moja narzeczona* lub *pikantna dziewczyna, która na mnie leci*, albo coś w tym guście, lecz instynkt kazał mu powiedzieć wyjątkowo prawdę; niedobrze patrzało z oczu nieznajomemu, a łatwość, z jaką go rozciągnął tutaj od jednego uderzenia, świadczyła pochlebnie o jego bokserskich kwalifikacjach. Wziąwszy to wszystko pod rozwagę, wyjaśnił Rafał, że fotografia ta przedstawia uroczą mistress Daisy Rindley, której on, Serafin Bobak *do usług*, był stale opiekunem i obrońcą.

— Boże, dzięki ci!... — W nagłym odruchu radości Scanlan uściskał serdecznie „stałego opiekuna Daisy". Gdzie ona jest w tej chwili? — spytał.

— W Moskwie. Mieszka w domu profesora Rusanowa, który leci na nią w sposób...

Nie dokończył. Scanlan ryknął jak tur, skoczył na równe nogi, a „stały opiekun Daisy" pozbawiony nagle braterskiego ramiona, runął znowu na wznak i wyrżnął głową w posadzkę, aż beton jęknął żałośnie. Masując sobie potylicę, spoglądał na nieznajomego, który miotał się po piwnicy od ściany do ściany, bełkotał coś po angielsku, wreszcie… olśniony jakimś szalonym pomysłem, wybiegł, nie troszcząc się zupełnie o człowieka, który miał przy sobie fotografię jego żony.

— Mam wrażenie, że pora zmienić klimat — mruknął Rafał Królik. Stękając, pozbierał się z ziemi, schował portfel, napełnił kieszenie ręcznymi granatami, ale przed odejściem zainteresował się jeszcze aparatem stojącym w kącie. — Naturalnie! Znowu mój sympatyczny *303* — stwierdził. Nie trudno było się zorientować, w jaki sposób można ten zbiornik otworzyć, bowiem tuż ponad metalową rączką i kurkiem znajdował się ostrzegawczy napis. Przypuszczając, że nieznajomy pobiegł po strażników, Rafał postanowił zanieczyścić „z grubsza" powietrze w tej piwnicy i utrudnić swym prześladowcom ewentualny pościg. Przywdział więc pozostawioną przez Scalana maskę, lecz niezbyt jej widocznie ufał, skoro przywiązał do metalowej rączki sznurek i dopiero z odległości kilku metrów kurek otworzył. — A teraz w nogi — krzyknął.

Nie wybiegł tymi drzwiami, co Scanlan, lecz popędził w przeciwną stronę. W ciągu całodziennego pobytu podziemiach laboratorium zdołał już wypenetrować, że ostatnia w długim łańcuchu piwnica służy za garaż. Przez szparkę stwierdził jeszcze przed południem, że stoi tam limuzyna profesora. W związku z tym odkryciem zawirowały mu w głowie tysiące fantastycznych pomysłów; żadnego jednak nie mógł dotychczas zrealizować z powodu stałej obecności żółtego szofera,

— I teraz bestia znowu waruje przy aucie — sarknął mały detektyw, zerkając przez szparę w drewnianych drzwiczkach do wnętrza garażu. Po dłuższej chwili bacznych obserwacji stwierdził z przyjemnością, że Chińczyk śpi, zasnął, siedząc na stopniu samochodu, z oliwiarką w dłoniach.

Rafał uznał po namyśle, że dłużej zwlekać nie może. Lękał się, by nieznajomy, który porwał mu fotografię Daisy, nie zaalarmował całej zgrai ludzi i by mu nie odcięto tej ostatniej drogi. — On z pewnością pobiegł z fotografią do profesora — myślał; po cóż ja mu mówiłem o amorach Rusanowa — martwił się, a równocześnie gorączkowo szukał zasuwki lub haczyka, słowem tego licha, które nie pozwalało mu otworzyć drzwi, lekko ustępujących, więc na pewno nie zamkniętych na klucz. Znalazł wreszcie zasuwkę, lecz zawiasy drzwiczek zaskrzypiały zdradziecko i Chińczyk, czujny jak żuraw, podniósł głowę.

— Wsiąkłem — jęknął Rafał, oceniając wzrokiem uczciwie siłę muskularnych mięśni na pół nagiego szofera. I zdumiał się potężnie, gdy Chińczyk osunął się nagle na kolana, wzniósł dłonie i zaczął coś bełkotać, przewracając niesamowicie oczyma; w jego twarzy odzwierciedliła się paniczna trwoga, w jego oczach, których spojrzenia zesztywniały wreszcie, dygotała błagalna

prośba o zmiłowanie.

— Spietrał się. Poznał łobuz, z kim okoliczność — pomyślał mały frant i dumnym gestem podniósł prawicę, zamierzając musnąć wąsa, który co prawda był chwilowo projektem. I dopiero, gdy jego dłoń dotknęła maski gazowej, zrozumiał, że jej zawdzięcza zwycięstwo.

Podszedł, ujął za kark szofera, któremu zabobonny strach odjął możliwość najlżejszego choćby oporu, zaprowadził go ku drzwiom, z których sam wyszedł co dopiero, wepchnął go tam przyjaznym kopniakiem i drzwi zatrzasnął.

— Ale zmyka — parsknął śmiechem, wsłuchując się w echa szybkiego kłapania chodaków po betonowych posadzkach piwnic. — Biedak, pędzi wprost w ramiona śmierci; łyknie gazu, jak amen w pacierzu. Trudno. Pomyślmy raczej nad tym, co uczynimy z naszą osobą.

Zanim jednak zdążył cośkolwiek wymyśleć, zaterczał dzwonek telefonu.

— O źle — wyszeptał, chowając maskę pod marynarkę. Zdecydował się podejść do aparatu i odegrać rolę szofera; było to zadaniem wcale nie trudnym, ponieważ Chińczyk był niemową, podobnie jak kierowcy ciężarowych samochodów, jak kolejarze tej tajemniczej linii kolejowej, słowem, jak wszyscy, którzy obsługiwali nieliczne środki komunikacji pomiędzy Stalingradem a Moskwą.

— Hallo, Tsien?

— Ełełebeee — odparł Rafał z tupetem i zauważył zaraz w duchu, że w bełkocie jego fabrykacji odzywają się reminiscencje z baraniego okresu.

— Przygotuj natychmiast samochód — ciągnął dalej nosowy głos. — Towarzysz Rusanow wraca zaraz do Moskwy, Pośpiesz się. rozumiesz?

— Heubelbeł — brzmiał bełkot zreformowany i ulepszony.

Rafał zawiesił słuchawkę i dał wspaniałego susa z radości.

— Towarzysz Rusanow wraca do Moskwy, a towarzysz Królik go tam zawiezie, wyręczając towarzysza Tsiena — piszczał, zacierając ręce. — Świetny pomysł, słowo daję... Tylko zróbmy się trochę na Chińczyka.

Niebieskie spodnie, kurtka i czapka szofera wisiały na kołku, a do uzupełniania charakteryzacji przyczyniła się walnie... oliwa z porzuconej przez Tsiena oliwiarki. Tłustym, bursztynowym płynem nasmarował sobie Rafał twarz i dłonie, potem, żeby się nazbyt nie „świecić", przypudrował się hojnie kurzem zgarniętym z półek i z dumą podziwiał swe dzieło w lusterku.

— Sam nieboszczyk Konfucjusz uznałby mnie za rodowitego syna Niebieskiego Państwa — pochlebił sobie. — Trzeba by teraz zobaczyć, czy wyznam się na tej maszynie... Hm, mercedes-benz. Zdaje mi się, że takim meblem jeszcze nie kierowałem w życiu... Ale trzeba spróbować.

Wypróbował motor, przegazował go trochę, aby sobie dodać odwagi i oswoić się z łoskotem potężnej maszyny, wreszcie nacisnął pedał, włączył bieg, puścił pedał zbyt szybko i wóz skoczył tyłem w tylny mur garażu, aż zadudniło nieprzyjemnie.

— Aha, to jest bieg wsteczny. Dobrze, że wiem.

Dla odmiany ruszył Rafał naprzód i omal nie przejechał nadbiegającego pasażera. Wolał nie patrzeć na niego. Nacisnął tylko czapkę niżej na czoło i czekał rozkazów z bijącym sercem. Bowiem dopiero teraz przypomniał sobie, że zupełnie nie zna drogi, nie wie, którędy jechać zarówno przez Stalingrad, jak i później, nie mówiąc już o labiryncie ulicznym ogromnej Moskwy.

— Jazda! — zaskrzeczał mu czyjś głos tuż koło ucha. Drgnął niespokojnie; nie wiedział dotychczas o istnieniu małego telefonu w limuzynie.

— Ładnie się zaczyna — pomyślał z rozpaczą. — Żałował, że wybrał tak ryzykowny sposób ucieczki ze Stalingradu. — Nie mam żadnych szans — przypuszczał, wybierając na pierwszych rozstajach najszerszą z trzech ulic. I przypadkowo wybrał właściwą drogę. Trzymając kurczowo kierownicę, rzucał ukradkowe spojrzenia na obie strony, szukając jakichś tablic, czy drogowskazów. Na próżno. Stalingrad nie posiadał takich urządzeń; każdy z jego więźniów znał na pamięć swoją krótką drogę z baraku do odnośnej fabryki. — No tak, ale ja drogi nie znam — rozpaczał niefortunny szofer i jechał wciąż prosto przed siebie.

W fabrykach, które mijali po drodze świeciło się, przez otwarte okna dobiegał gwar głosów i jednostajny huk maszyn, lecz ulice Stalingradu były puste, jak wymiecione o tej porze. Nie spotkali jednego człowieka, jednego wehikułu dotychczas. Wreszcie... z przecznicy lunęła struga oślepiającego światła i na ulicę, którą sunęła limuzyna profesora, wpadło ciężarowe auto, po chwili drugie, trzecie, czwarte,... potem znowu dwa.

— Próżne są — stwierdził Rafał, zwalniając biegu. — Pojadę za nimi, może mnie zaprowadzą do jakiejś bramy.

Rzeczywiście ta kolumna ciężarowych samochodów spadła mu z nieba. Gdyby nie to, byłby popędził dalej prosto, zamiast skręcić w prawo ku głównej bramie. A pierwsza z ciężarówek dotarła już do bramy i przechodziła właśnie operację skrupulatnej rewizji. Zgraja wartowników była tak wielka, że, podzieliwszy się na kilka grup, legitymowała równocześnie wszystkich sześciu szoferów i rewidowała wszystkie samochody.

Rafał, z duszą na ramieniu, ustawił się skromnie w ogonku, poza ostatnią ciężarówką, lecz nagle zaskrzeczał mu nad uchem głos pasażera:

— Jazda! Minąć te auta.

Ruszył więc ostro, lecz przed samą bramą zatrzymano go. Dwóch strażników wskoczyło z obu stron na stopnie limuzyny, zajrzało do wnętrza oszklonej klatki, przyświecając sobie elektrycznymi latarkami, lecz drzwiczek żaden nie dotknął. Po płaszczu poznali profesora. Zeskoczyli co prędzej na drogę i salutowali pięknie, a ten, który stał bliżej Rafała, syknął przez zęby:

— Czemu, swołocz, nie dałeś znaku syreną?

— Dobrze wiedzieć — odburknął w duchu. — Mój Boże — rozmyślał w małą chwilkę później — trzy dni temu zawarłem znajomość z tym gościem, jako baran jeszcze, i Fiodor Rusanow głaskał mnie wówczas. Czyż mogłem przeczuć, że w tak krótkim czasie awansuję z barana na szofera i tą samą drogą powiozę mojego profesorka?

Niebezpieczeństwo zabłądzenia i wynikającego stąd zdemaskowanie fałszywego Chińczyka stało się nieaktualne na razie. Dobrze utrzymany gościniec obwarowany szpalerem słupów telegraficznych i telefonicznych wskazywał drogę i, ku uciesze Rafała, nie posiadał żadnych odnóg, żadnych rozstajów, przecznic.

— Dopiero w Moskwie będzie mi ciepło — obawiał się i już naprzód obmyślał środki zaradcze. Najprostszym wyjściem było zatrzymać samochód, skoro tylko dotrą do przedmieść, zeskoczyć i zaszyć się w tłum, ale tak jawna ucieczka spowodowałaby natychmiastowy pościg, którego wynik był z góry przesądzony. — Muszę gościa koniecznie odstawić do domu i wtedy dopiero drapnąć.

Zamierzał przede wszystkim wstąpić do fryzjera-Polaka, z którym już za czasów pobytu wszystkich delegatów w Moskwie zdołał zawrzeć kordialną znajomość. Tam, u owego golibrody, postanowił ucharakteryzować się ponownie na Serafina Bobaka, następnie powrócić do swojego hotelu i nazajutrz wyjechać do Polski... Wszystko to wydawało mu się zupełnie łatwym zadaniem, z wyjątkiem jednego etapu: jak trafić do domu profesora. Numer i ulicę pamiętał, ale czyż mógł się rozpytywać o drogę, on, rzekomy szofer Tsien, który setki, a może tysiące razy ją

przebył?

— I w dodatku niemowa? — krzyknął zbolałym głosem, zapominając w swym strapieniu, że „jest" niemową. Ugryzł się w język, łypnął wzrokiem ukradkiem w stronę swojego pasażera, ale ów zdawał się drzemać; nie słyszał na pewno, jakkolwiek jedna szyba była opuszczona. — A może udaje? Może odgadł od razu i każe się zawieźć wprost na do Łubiankę, gdzie mnie ulokuje? — denerwował się biedny Rafał.

Drugi pierścień straży minęli, nie zatrzymując się nawet. Ryk dobrze znanej syreny samochodowej wywabił z wartowni kilku strażników, ale znać było po ich znudzonych minach, że to raczej oni uważają się za kontrolowanych. Stanęli na baczność, a wąsal dowodzący nimi, dał ręką znak Rafałowi, że może nie przystawać zupełnie.

Przy trzecim pierścieniu po raz pierwszy zapytano ich o hasło. Rafał zabełkotał skwapliwie i ręką wskazał za siebie, na swojego pasażera. Tamten wymówił kilka wyrazów zaspanym głosem, a potem huknął gniewnie: — Won! — To ostatnie słowo wywarło magiczny skutek. Wartowników i kozły z drutem kolczastym ustawione w poprzek gościńca jakby zmiotło z powierzchni ziemi.

— Jazda na cały gaz — zabrzmiało Rafałowi nad uchem.

— Zwariował chłop — bąknął mały detektyw. — W nocy walić pełnym gazem! A przepisy policyjne, to pies! Żeby mi prawo jazdy odebrali?

Przypomniał sobie, że prawa jazdy nigdy w życiu nie posiadał, niemniej jechał dalej z umiarkowaną szybkością. Lękał się, iż przy większym pędzie straci panowanie nad ciężkim wozem, a teraz, gdy minęli ostatni pas kolczastych ogrodzeń Stalingradu, nie zamierzał narażać się na skutki wariackiej jazdy, całkiem zresztą niepotrzebnej, jak sądził. Poza tym chciał zyskać na czasie, aby obmyślić coś na najtrudniejszy etap tej podróży. Wreszcie wymyślił. Postanowił, że skoro dojedzie do przedmieść Moskwy, zatrzyma samochód, pokaże profesorowi na migi, iż coś się zepsuło w maszynie, zeskoczy, obiegnie limuzynę i z tyłu za nią tak, by Rusanow tego nie widział, zacznie się rozpytywać, którymi ulicami ma jechać. Ci, których będzie pytał, nie wiedzą przecież, że ten szofer powinien być niemową i prócz tego powinien świetnie znać drogę, zaś Rusanow będzie przypuszczał, iż Tsien usuwa defekt i manipuluje coś przy tylnych kołach auta.

— Tak, to kapitalny pomysł! — Rafał o swoich pomysłach wyrażał się stale z najwyższym uznaniem, choć na te superlatywy zasługiwało zazwyczaj tylko szczęście, które mu wiernie służyło we wszelkich tarapatach. I tym razem tylko szczęściu zawdzięczał, że jego pasażer był w wyjątkowo cierpliwym usposobieniu i nie ustosunkował się podejrzliwie do licznych przystanków spowodowanych rzekomymi defektami maszyny i do równie licznych wycieczek żółtolicego szofera gdzieś na tyły limuzyny.

Wreszcie zajechali przed bramę, która rozwarła gościnnie swe podwoje, zanim jeszcze Rafał zdążył zaryczeć syreną, widocznie oczekiwano przyjazdu profesora o tej porze. Potężny mercedes-benz wtoczył się pewnie na podworzec, okrążył łukiem skrzydło ponurego domu i stanął przed bramą.

— Pomóż mi, Tsien.

Rafał zeskoczył skwapliwie, lecz poprzedził go Chińczyk, który otworzył bramę od ulicy. Podbiegł do wysiadającego, ów zaś, wsparł się na jego ramieniu i kulejąc silnie, posunął wraz z przywiązanym sługą poprzez długą, mroczną sień. Rafał Królik spoglądał bezmyślnie na wysoką sylwetkę swojego pasażera, wydłużoną jeszcze przez płaszcz sięgający do kostek i przez futrzany kołnierz, postawiony do góry tak, że zakrywał dolną połową bobrowej czapki.

— Jemu widać zimno — mruknął — a mnie było diabelnie gorąco.

Zastanawiał się teraz, czy auto pozostawić w tym miejscu, czy raczej odstawić je do małej szopy drewnianej służącej za garaż… Wybrał to drugie. Przypomniał sobie, że kiedy przybyli

tutaj po oględzinach fałszywego Stalingradu na pożegnalny bankiet, Tsien ulokował samochód w owej szopie.

— Naśladujmy go we wszystkim, aby nie wzbudzić podejrzeń — postanowił. Okrążył limuzynę, by zatrzasnąć drzwiczki i ujrzał na stopniu prostokątną plamę sztywnego papieru. — Warto obejrzeć — mruknął. — Rusanow niepotrzebnych świstków nie nosi przy sobie, sądzę. — Schylił się więc, odwrócił w palcach rzekomą kartkę i gwizdnął przeciągle na znak wielkiego zdumienia. Bowiem trzymał w dłoniach dobrze sobie znaną fotografię Daisy...

Rozdział XXXIII

ZDEMASKOWANIE

Sir James ujął obie dłonie kobiety w serdeczny uścisk

— Wiem na pewno więcej, niż przypuszczasz, Daisy — rzekł przyciszonym głosem, gdyż nawet on zdążył tu już odwyknąć od zwyczajnej swobody w wypowiadaniu swych myśli. — Byłem z największym uznaniem dla twego bohaterstwa, jednakże uważam, że dalszy twój pobyt tutaj nie ma żadnego sensu... tym bardziej, że zostałabyś sama. Ja... wyjeżdżam jutro.

— Jutro — powtórzyła bezdźwięcznie.

— Jutro o świcie, na pokładzie *R 104*. Jak wiesz zapewne z gazet, sowieccy delegaci, którzy podpisali traktat handlowy ze Stanami, wysiedli tu dzisiaj i dwie kabiny opróżniły się w ten sposób. Zarezerwowałem obie, jedną dla ciebie, drugą dla mnie... Zresztą nie było innych amatorów w zubożałej Moskwie.

Daisy Rindley potrząsnęła przecząco głową.

Dziękuję ci, mój zacny przyjacielu — odparła — ale... ja zostanę. Nie wypełniłam jeszcze swej misji.

— Zostaniesz? W tym ponurym gmachu, wśród chińskich zbirów, szpiegujących każdy krok gości? Sama, pod jednym dachem z bolszewickim gentlemanem, maskującym swe barbarzyńskie instynkty, póki ja tutaj jestem? Daisy, czy zastanowiłaś się nad tym?... *Nie wypełniłam swej misji*, powiadasz. Wypełni ją kto inny. Przyszła lady Rabbit nie potrzebuje, dzięki Bogu, troszczyć się o chleb... o tak niebezpieczny chleb… A jeśli nawet pogardzasz moją małżeńską propozycją — dodał z goryczą — to wiedz, że starego sir Jamesa nie odmieni ta rekuza; będziesz moim przyjacielem, moim najmilszym gościem, jak długo zechcesz... Zaś po mojej śmierci...

— Dajże spokój, James — wtrąciła z ożywieniem — przeżyjesz mnie z pewnością, choć jestem młodsza. Przeżyjesz mnie właśnie dlatego, że muszę tutaj pozostać i coraz mniej wierzę w szanse swojego zwycięstwa... Ale nie lękam się bolszewików. Mam „list żelazny", który zabezpieczy mnie najskuteczniej. Oto i on, widzisz? — Podniosła ku jego twarzy dłoń; na czwartym palcu, obok ślubnej obrączki, miała duży pierścień z rubinem. — To indyjska robota, James. Wystarczy odsunąć ten ruchomy kamień, zadrasnąć się kolcem ukrytym pod rubinem, i w ciągu kilku minut będę bezpieczna przed wszelką napaścią...

Zapukano do drzwi. Chińczyk, który im zazwyczaj usługiwał, przybył oznajmić, że profesor Rusanow nie będzie dzisiaj mógł zjeść kolacji ze swoimi gośćmi. Profesor telefonował właśnie „z miasta", kazał bardzo przeprosić itd. itd.

Zasiedli więc do stołu we dwójkę i poczciwy sir James wystrzelał cały arsenał przekonywujących argumentów na temat konieczności wspólnego wyjazdu z Moskwy, bez względu na to, jak się Daisy zapatruje na jego matrymonialne wobec niej zamiary.

— I wyjedziesz, jeżeli ci życie miłe — zakończył.

Chciała odpowiedzieć: *a może właśnie mi zbrzydło to życie*, lecz zmieniła zamiar. Lękała się nowej kanonady słów, co gorsza, morałów, nieuniknionych po tak zgorzkniałej deklaracji;

rozmowa, nawet z zacnym Jamesem, drażniła ją niewypowiedzianie. Łaknęła ciszy i samotności, pragnęła się skupić przed walną rozprawą z profesorem, pragnęła się do niej przygotować należycie. Powiedziała to otwarcie Jamesowi, on zaś nie poczuł się tym dotknięty, bowiem obojga cechowała bezwzględna szczerość, tak właściwa Anglosasom, a tak obca i częstokroć gorsząca Słowian, rozmiłowanych w grzecznej obłudzie.

— Zaczekam na profesora — rzekła, powstając od stołu. — Od naszej rozmowy zależeć będzie, czy jutro opuszczę Moskwę wraz z tobą, James, czy pozostanę tutaj... być może, na zawsze!

— Sterowiec ma wystartować o czwartej nad ranem, Daisy droga — przypomniał jej — kiedy więc obwieścisz mi swoją decyzję?

Przyrzekła, że zapuka do niego skoro tylko rozmówi się z profesorem. Kiedy to nastąpi, trudno określić, wszakże Rusanow nie wrócił jeszcze i nie wiadomo, o której godzinie powróci; może dopiero po północy?

— Wszystko jedno. Nie krępuj się, proszę. Trzy, cztery godziny snu wystarczą mi aż nadto. Położę się zaraz, walizki już mam spakowane.

Tak rozmawiając, powrócili na piętro do swoich pokoi, sąsiadujących z sobą, i niebawem Daisy posłyszała odgłos chrapliwego oddechu; sir James zasypiał momentalnie, budził się bez budzika, kiedy chciał, słowem, nawet w czasie snu był panem swej woli, lecz posiadał tę wadę, że chrapał donośnie.

— Pięć minut po ósmej — stwierdziła na zegarku — i już śpi. Szczęśliwy — westchnęła.

Daisy w dalszym ciągu cierpiała na bezsenność a ostatnie przejścia wstrząsnęły nią do głębi. Jack, jej najwierniejszy sojusznik, jej wypróbowany przyjaciel… nie żył! Wczorajsze wieczorne dzienniki przyniosły wiadomość, że Edgar Lowter, jeden z dwóch delegatów, którzy nie opuścili granic Rosji wraz z pozostałymi dziennikarzami, popełnił samobójstwo w... Tule! Fiodor Rusanow zakomunikował tę smutną wiadomość swoim gościom i wyraził im słowa współczucia z powodu śmierci sympatycznego rodaka. Daisy nie wierzyła ani trochę w to samobójstwo. Przeczucie mówiło jej, że Jack zginął wcześniej, i od kuli bolszewickiej, i nie w Tule, lecz tutaj, u stóp tego ponurego domu, w ową noc, kiedy przyniósł jej elektryzującą wiadomość, że wpadł na trop prawdziwego Stalingradu. Przecież słyszała huk wystrzału, po którym nastała grobowa cisza. Wtedy go zabito, a trupa wywieziono zapewne do Tuły, odległej od Moskwy zaledwie o sto sześćdziesiąt kilometrów, i tam upozorowano samobójstwo.

Daisy nie wątpiła, że Rusanow, jeżeli nie brał udziału w tej perfidnej grze, to w każdym razie znał doskonale stan faktyczny. Więc nadludzkim wysiłkiem zmusiła się, żeby nie odtrącić ręki Moskala, oddać mu uścisk i podziękować za wyrazy współczucia. Nie dała poznać po sobie, że ów rzekomy Edgar Lowter nie jest dla niej człowiekiem obcym. Starała się dorównać w obłudzie profesorowi i nie wypadła z roli aż do końca rozmowy.

Dopiero gdy powróciła do swojej sypialni opuściły ją siły. Świt zastał ją spłakaną, wyczerpaną, skuloną na podłodze pod oknem, gdzie przesiedziała całą noc. Po rannej kąpieli, która ją odświeżyła i przyniosła pożądane odprężenie nerwów, Daisy zaczęła obliczać szanse swojego przedsięwzięcia. Z polecenia swoich zwierzchników miała stwierdzić, czy Stalingrad opisany przez Karola Webera istnieje naprawdę, ustalić jego położenie geograficzne i zbadać rozmiary produkcji jego tajemniczych fabryk chemicznych; to była jej misja oficjalna. Lecz Daisy zainteresował Stalingrad przede wszystkim dlatego, że tam spodziewała się znaleźć swojego męża, który przed sześcioma laty zaginął na pograniczu Rosji; i to była jej główna misja, to był jedyny powód, dlaczego porzuciła cichy dom teścia staruszka i wstąpiła w szeregi Intelligence Service.

— Nie wybrnę z tego — wyszeptała, załamując ręce. Coraz częściej napadała ją pokusa,

by zagrać w otwarte karty z profesorem. — No, niezupełnie znów w otwarte karty. O mej oficjalnej misji nie dowie się nigdy! — Zamierzała mu powiedzieć to tylko, że skorzystała z jego zaproszenia i przybyła do Rosji w tym celu, by odszukać kogoś bardzo jej bliskiego. — I znowu nie mogę wyznać całej prawdy. Powiem, że George jest moim bratem. Przyrzeknę, że jeśli go wypuści, jeśli otrzymam od George'a list z Anglii, że tam przybył, natenczas pozostanę w Rosji... A potem schronię się do naszego konsulatu!

Skrzywiła się z niesmakiem. Raziło ją coś w tym planie, skonstruowanym na fundamencie naiwnego optymizmu, a myśl, że jej obłuda byłaby tylko małym odwetem za perfidię profesora i krzywdy George'a, nie rozgrzeszała jej jakoś.

— Więc co począć? Co począć? — powtarzała. Głowa ciążyła jej coraz bardziej, aż w końcu wsparła ją na splecionych dłoniach, a łokcie na krawędzi stolika. Myślała. Starała się obmyślić jakieś wyjście z obecnej sytuacji, ale ospałe myśli uciekały z szeregu i kryły się po najciemniejszych zakamarkach mózgu, gdzie mieszkają senne marzenia. Te zaś zluzowały chętnie umęczone sąsiadki i Daisy Rindley nie dowiedziała się nigdy, kiedy w ów pamiętny wieczór przekroczyła granicę pomiędzy snem a jawą. Zdrzemnęła się i po tylu nocach bezsennych spała tak twardo, że nie słyszała dobrze znajomego ryku syreny, którym to rykiem Rafał Królik, debiutujący w roli chińskiego szofera, obwieścił urbi et orbi[1], że po wielu tarapatach przybył szczęśliwie do celu.

Zresztą Rafał, rozzuchwalony powodzeniem, nie utożsamiał już przybycia do domu profesora z osiągnięciem celu.

— Zwiedziłem Stalingrad, widziałem działanie gazu *303*, wróciłem szczęśliwie, zabrałem na pamiątkę porcję ręcznych granatów gazowych, wszystko to prawda, ale na okrasę warto by profesorowi zwędzić jakieś dokumenty, czy coś w tym guście — monologował i nowe, szalone projekty zakiełkowały w jego niespokojnym umyśle. — Komandorię dostanę, jak amen w pacierzu, już za te granaty — dopingował się — jednakże trzeba dokazać jeszcze czegoś niezwykłego. Niech nie szczekają potem, że komandorię lekko zafasowałem.

Jakiś czas odczekał w szopie, gdzie umieścił limuzynę, zdjął kurtkę i pantalony Tsiena, gdyż podwójny ubiór krępował nieco swobodę ruchów, potem wyruszył na zwiady. Przed frontem budynku dudniły ciężkie kroki dwóch milicjantów, lecz na dziedzińcu nie było żywego ducha. Rafał ośmielał się szybko i coraz pewniej kroczył wzdłuż muru, zadzierając głowę ku parterowym oknom, otwartym wprawdzie, ale... zakratowanym. Z narożnego okna doleciały go tak ponętne zapachy, że podskoczył, zawisł na najniższym poprzecznym pręcie kraty, podniósł się na rękach i zajrzał do wnętrza.

— Kuchnia, jak Bozi zdrowia życzę! — wyszeptał zachwycony. — Tutaj muszę rozpocząć swą działalność — postanowił, zeskakując na ziemię. Od z górą trzech dni nie miał w ustach nic „uczciwego", gdyż nie liczył oczywiście komiśniaka, który kradł pastuchowi. Był więc głodny, co się zowie, i głód go rozzuchwalił do tego stopnia, że bez wahania wkroczył do sieni. — Jeśli kogo spotkam, oświadczę, że przychodzę z wizytą do mego przyjaciela sir Jamesa Rabbita, układał sobie w myśli. — Nazywam się Bobak, Serafin Bobak do usług... Pan twierdzi, że Bobak miał brodę? Owszem. Ale zgoliłem ją właśnie, łaskawco. Mój przyjaciel Pudowkin[2] postawił to za warunek powierzenia mi roli amanta lirycznego. Och, za taką cenę można sobie wszystko ogolić, prawda, towarzyszu? — błaznował, wyobrażając sobie rozmowę z kimkolwiek, kogo by napotkał po drodze, ale w głębi serca nie życzył sobie żadnego spotkania.

I znowu mu szczęście sprzyjało. Niezaczepiony i niezauważony przez nikogo dotarł do kuchni! Sir James miał już dzisiaj stan podgorączkowy, bowiem nigdy jeszcze nie podróżował sterowcem, Daisy Rindley, wstrząśnięta zgonem Jacka, również prawie nie tknęła jedzenia, za to

wygłodniały Rafał wyręczał ich pracowicie i wymiótł do czysta półmiski, przyniesione tu z jadalni.

— Przydałaby się teraz filiżanka dobrej kawy — rozważał i rozglądał się po kuchni. — To mi wygląda na maszynkę — ucieszył się. Ociężale powstał z krzesła i zastygł w trwożnym oczekiwaniu. Posłyszał najwyraźniej stłumiony jęk, dobiegający jakby spoza niskich drzwiczek, umieszczonych w rogu kuchni i pokrytych w górnej części dwiema gwiazdami maleńkich czarnych punkcików. — To są dziurki, hm, wentylacja... wygląda mi to na spiżarnię — domyślał się niezdecydowany jeszcze czy zaspokoić ciekawość, czy drapnąć od razu. — Na strategiczny odwrót dość będzie czasu — orzekł w końcu. — Przeciwnik, który już jęczy, nie jest groźnym przeciwnikiem dla największego detektywa świata!

Na wszelki wypadek uzbroił się w tasak i ruszył do ataku. Owe niskie drzwi wiodły rzeczywiście do maleńkiej spiżarni, zaś autorem stłumionych jęków był Chińczyk, wierny sługa profesora, ten sam skośnooki osobnik, który Rafałowi otworzył bramę wjazdową z ulicy; teraz leżał na grzbiecie, wygięty w łuk, związany sumiennie, i stroił przedziwne grymasy, usiłując wypluć knebel wetknięty głęboko w usta.

— Fachowa robota — pochwalił mały detektyw, oglądając więzy na rękach i nogach Chińczyka. — Uwolniłbym cię, przyjacielu, jednakże żywię uzasadnione obawy, że narobiłbyś piekła z powodu skutków mego apetytu. Dlatego już wolę cię tak pozostawić. W każdym razie powinieneś ocenić moje dobre chęci — kpił sobie, zacieśniając więzy, które się trochę obluźniły. Dopiero przy końcu okazał więźniowi szczyptę miłosierdzia, pozostawiając drzwi spiżarni otwarte na oścież — abyś się nie udusił, żółta małpo.

Poświstując sobie swawolną piosenkę paryską, Rafał opuścił kuchnię.

— Spełniłem dobry uczynek wobec tego Żółtego, podjadłem sobie uczciwie i mam być smutny? — protestował przeciwko ostrzeżeniom głosu rozsądku, który doradzał ucieczkę, a w każdym razie mniej swobodne zachowanie się w cudzym domu, w takim niebezpiecznym domu, zwłaszcza! — Odpowiem, że przybyłem w odwiedziny do sir Jamesa, powiedziałem ci to już przecież! — Rafał zgromił ów głos rozsądku, który zresztą nieczęsto się odzywał, a jeszcze rzadziej znajdował posłuch.

Cały szereg pokoi na parterze był zamknięty na klucz.

— Marynaty z akt — bąknął mały detektyw, węsząc pod drzwiami środkowego pokoju. — Tu jest, albo był przedtem, jakiś urząd. — wywnioskował i otrząsnął się jak pies po kąpieli, bowiem zawsze żywił odrazę do nierentownego zawodu urzędniczego i do specyficznej, zatęchłej atmosfery biur i archiwów.

Poszedł dalej. Natrafił wreszcie na uchylone drzwi. Była to jadalnia.

— Tu jestem jak w domu — ucieszył się i wkroczył do rozległej sali, w której Fiodor Rusanow fetował delegatów po powrocie z fałszywego Stalingradu. — Tu siedział pan prezes, czyli ja. — Złożył wersalski ukłon krzesłu i podszedł do bocznych drzwi. Wiedział, że tam obok jest salka niewiele mniejsza od jadalni. Uprzątnięto ją przed bankietem, ale sam Rusanow twierdził, że ten pokój jest jego pracownią i sypialnią zarazem.

— I nie zełgał — stwierdził Rafał. Wszedł śmiało, dobrnął w półmroku do biurka, zaświecił lampę stojącą na nim, pozasłaniał okna storami i rozsiadł się wygodnie w fotelu. — Tego właśnie szukałem — mruknął, wyciągając dłoń po pudełko z cygarami. Pogrymasił trochę, zanim wybrał najsuchsze i zapalił.

Zachowywał się całkiem swobodnie, mniemając, że żadne niebezpieczeństwo mu nie zagraża na razie, bowiem widok związanego Chińczyka utwierdził go w podejrzeniach, powziętych już wówczas, gdy na stopniu limuzyny znalazł fotografię Daisy. Rozkoszując się cygarem, rozpamiętywał poszczególne fazy dzisiejszej ucieczki ze Stalingradu i, swoim

zwyczajem, myślał... głośno:

— To poszło mi podejrzanie łatwo... Rutynowany szofer, jak Tsien, jeździł na pewno inaczej, a jednak on słowa nie pisnął i... Mój okrzyk; czyż naprawdę go nie posłyszał?... Hasło, hm, to jedyny sęk, lecz mogło to być to samo hasło, które rzucono dziś rano wartownikowi, kiedy przebywaliśmy furtkę w murze... A potem te rozliczne „defekty" maszyny w mieście; to się rzucało w oczy, ale ON znowu milczał!... Dodajmy do tego sprawę fotografii i związanie wiernego sługi, po czym sprawa staje się klarowna jak maślanka: Gość, którego tutaj przywiozłem ze Stalingradu, nie jest profesorem! Profesor Fiodor Rusanow został w swoim zapowietrzonym Stalingradzie, ergo „niżej podpisany" może śmiało wypalać jego cygara i z grubsza przetrząsnąć to biurko. Dixi![3]

Tę drugą czynność, czyli przetrząsanie szuflad ogromnego biurka, odłożył sobie na później. Na razie był zbyt ociężały, i zbyt dumny, żeby się fatygować tak pospolitym zajęciem.

— To dobre dla zwykłego szpicla — uznał, chcąc jakoś usprawiedliwić swe lenistwo — prawdziwie wielki detektyw rozwiązuje najcięższe problemy przy biurku, jak na ten przykład JA! Nie ruszając się z miejsca, dowiodłem, że miły Fiodorek pichci swoje gazy, a mój eks-pasażer to ten bubek, który mi porwał fotografię Daisy w piwnicy laboratorium. Metoda dedukcji, ot co. Sherlock Holmes mógłby u mnie terminować i dużo by się nauczył, twierdzę, chociaż nie lubię się przechwalać... Och, jestem nazbyt skromny, jak na to, czego dokonałem... Rewidować biurko? — mówił głosem coraz bardziej rozmarzonym, coraz cichszym. — Nie! Genialny detektyw nie przetrząsa nigdy cudzych zakamarków, nie podsłuchuje, nie włazi pod łóżka! Nigdy!

Umilkł i odruchowo zdusił niedopałek cygara w popielniczce. Wydało mu się, że brama od sieni trzasnęła.

— Na wszelki wypadek trzeba by wywietrzyć len lokal — mruknął, podnosząc się ociężale z fotela. Zawartość popielniczki strząsnął do kosza na papiery, resztki popiołu zdmuchnął, starł biurko rękawem i podszedł do okna. Uchyliwszy je, wsłuchiwał się przez chwilę w gwar ulicy, niezbyt zresztą ruchliwej, potem odwrócił się i zdrętwiał. W korytarzu dudniły ciężkie kroki. Jakiś człowiek szedł tutaj i był już diabelnie blisko drzwi. Jeden rzut oka przekonał osłupiałego Rafała, że nie może być mowy o tym, by zdążył dobiec do bocznych drzwi i schronić się do jadalni. Musiałby okrążyć biurko i przebyć całą długość rozległego pokoju. Pozostało tylko ukryć się gdzieś tutaj. Ale gdzie? Jedyna szafa, jaka się tu znajdowała była oszklona, wypełniona szczelnie książkami i zamknięta, czyli każda z tych trzech okoliczności już sama wykluczała możliwość ukrycia człowieka. Więc pod biurko? Nonsens! Fotele były bardzo niskie, jedyny stół nieosłonięty nakryciem.

Od chwili, gdy Rafał posłyszał odgłos zbliżających się kroków, nie upłynęły ani dwie sekundy, a klamka przy drzwiach korytarza już się ugięła.

— Czang — zabrzmiał dobrze znajomy głos profesora.

— Jezus, Maria — wyszeptał przerażony detektyw, cofając się instynktownie pod ścianę.

— Czang, żółte bydlę... długo cię będę wołał? — irytował się Rusanow. Naciskał w dalszym ciągu klamkę, lecz jeszcze nie wszedł, oczekując zapewne przybycia Chińczyka.

Cofającemu się Rafałowi coś nagle podcięło nogi.

— Łóżko! — poznał z ulgą, i wbrew temu, co przed chwilą twierdził o metodzie genialnych detektywów, dał zgrabnego szczupaka pod szerokie łóżko profesora. Wślizgnął się tam z takim impetem, że nabił sobie na czole guza przy zderzeniu z jakimś twardym przedmiotem z kształtu wazę przypominającym, o ile można było rozeznać się w ciemnościach, jakie tam panowały.

Z trzaskiem drzwi i z potokiem soczystych przekleństw wkroczył Fedor Rusanow do

swojego gabinetu.

— Bydlę! — warknął.

Stukając laską, którą się stale podpierał, przemaszerował przez całą długość pokoju i ciężko opadł na fotel.

— Stajnią tu dzisiaj śmierdzi dla odmiany — wybuchnął, zapalając co prędzej cygaro, aby zabić niemiłą woń, której dostawca tkwił pod łóżkiem.

— Ano, nie trzeba mnie było zmuszać do trzydniowego pobytu wśród bydła — rzekł ów dostawca lekko urażony, ale odrzekł to oczywiście w myśli.

— Zawieruszyło się gdzieś żółte bydlę — burczał Rusanow — ciekawym gdzie, bardzom ciekawy.

— A ja wiem — myślał Rafał — ja wiem, gdzie; aha! A ty nie wiesz!

Przez dłuższą chwilę trwała cisza, zakłócona w pewnym momencie szelestem papierów gorączkowo przewracanych, potem szczęknęły widełki aparatu telefonicznego. Rafał zanotował sobie w pamięci numer żądanego telefonu i nazwisko *towarzysza*, z którym Fedor Rusanow pragnął rozmawiać. — Jaka szkoda, że nie ma drugiej słuchawki i nie będę słyszał, co tamten powie — żałował.

— No i cóż, Bazyli Piotrowiczu — zaczął Rusanow — jeszczeście go nie nakryli? — Przez chwilę milczał, snadź słuchał odpowiedzi tamtego, potem wybuchnął popędliwie: — No to darujcie szczerość, ale wasi ludzie są do niczego! Rozumiem, człowiek. Tak, zaszył się w tłum, trzeba trochę poszukać. Lecz żeby nawet auta nie znaleźć? Taka ogromna limuzyna, to nie szpilka. Musiał ją gdzieś porzucić na ulicy... Co? Marka? Niemiecka. Mercedes-benz...

— Aha, o to chodzi — Rafał w duchu ryczał ze śmiechu. Profesor poszukiwał swego samochodu, który spokojnie stał w szopie, o kilkadziesiąt kroków od jego biurka — w linii powietrznej — uzupełnił skrupulatnie.

— Nie — mówił Rusanow — nie wierzę, żeby szofer był w zmowie. Znam mojego Tsiena i mogę za niego ręczyć. Scanlan ukradł mój płaszcz, a że jest tego samego, co ja, wzrostu, więc Chińczyk myślał, że ze mną jedzie. Na jego obronę muszę przytoczyć i tę okoliczność, że tam, w naszym garażu jest dosyć ciemno... Warty? No właśnie! Powinni byli! Kazałem uwięzić tych, którzy stali przy bramach... Mówicie? Hm, to możliwe. Mógł szofera sprzątnąć już na drodze. Biedny Tsien... Nie, nie, Bazyli Piotrowiczu. Scanlana ja sam ukarzę. Tylko mi go dostawcie na miejsce i zadzwońcie, skoro go nakryjecie.

Rafał przypuszczał, że na tym rozmowa się skończy. Toteż zdębiał, skoro dalszy ciąg rozpoczął się od „zachęcającego" pytania profesora:

— Tego Bobaka już macie pod kluczem? Hm, hm. Jeżeli od trzech dni nie zjawił się w swoim hotelu, to znak, że tam już nie wróci. Szczwany łotr! A nazwiska i legitymacje zmienia, jak rękawiczki. Królik, Łapin, Bobak, to tylko te, które ja znam... Ech, nie. To nie Scanlan. Z nim załatwcie się sami; warto by go też pomęczyć prądem, żeby prawdę wyśpiewał... Nu, tak, tak, Bazyli Piotrowiczu. Wiem ja, że wy potraficie ptaszka przenicować... Jak? Wynaleźliście nową metodę dla takich? Musicie mi to kiedyś opowiedzieć... Chcecie teraz? Owszem, mam czas, mówcie...

Na czym polegała nowa metoda „przesłuchiwania" podejrzanych, Rafał nie dowiedział się wprawdzie, lecz nie wątpił w jej skuteczność wszelkie ewentualne wątpliwości musiałby zresztą rozproszyć złowrogi rechot profesora, szatański śmiech, w którym odzwierciedliło się wrodzone okrucieństwo i barbarzyńskie instynkty tego człowieka, cieszącego się sławą wielkiego uczonego i umiejącego nadać sobie pozory nieposzlakowanego gentlemana.

Wreszcie rozmowa była ukończona. Rusanow odłożył słuchawkę i widocznie naciskał taster dzwonka, gdyż równocześnie klął jak furman na owego Czanga i odgrażał się, że laskę na

nim połamie.

Rafał leżał pod łóżkiem jak trusia. Nie mógł absolutnie zrozumieć, skąd Rusanow wie, kim jest rzekomy Serafin Bobak, skąd zna jego prawdziwe nazwisko. Niemniej błogosławił szalony pomysł wtargnięcia do tego pokoju; gdyby był się udał do swojego hotelu, jak radził głos rozsądku, byłby już siedział pod kluczem. — A widzisz, ośle — rzekł Rafał rozsądkowi swemu, — możesz długo czekać, nim cię kiedy usłucham!

Fiodor Rusanow znowu szeleścił papierami i dobre pół godziny upłynęło Rafałowi w niespokojnym oczekiwaniu na dalszy rozwój wypadków.

Wtem... zapukano w okno trzykrotnie. Było to czymś niespodziewanym nawet dla profesora, sądząc po zdumieniu, jakie zabrzmiało w jego okrzyku:

— A tam co znowu?

Pokuśtykał do okna, którego Rafał nie zdążył zamknąć, zaklął szpetnie pod adresem Czanga, że nawet okien nie pozamykał i ostrożnie wychylił się na zewnątrz.

— Sergiusz Miercew. Przybywam urzędowo, towarzyszu Rusanow — zabrzmiał chropowaty głos, stłumiony nieco przez łoskot wozu jadącego ulicą.

— Urzędowo... hm, dobrze... Może towarzysz sam sobie bramę otworzy, oto klucz, proszę. Noga nie pozwala mi na spacery — łgał Rusanow, bo przecież chodził dużo, jakkolwiek o lasce. Chodziło mu raczej o to, by niektóre papiery usunąć z biurka przed przybyciem Miercewa, którego nie cierpiał i bał się jednocześnie. Rafał domyślił się tego po nowych szelestach i łoskocie zatrzaskiwanych szuflad. Ukończywszy tę czynność, powrócił Rusanow do okna, zamknął je, zasunął okiennicę i w podobny sposób zabezpieczył pozostałe trzy okna rozległego pokoju.

— Po co tego znów diabli przynieśli? — myślał Rafał, nie przeczuwając, że analogiczne pytanie zadaje sobie w duchu Rusanow, witający się właśnie z niesympatycznym gościem.

— Nie wiedziałem, że towarzysz powrócił do Moskwy.

— Przyjechałem dzisiaj popołudniu — wyjaśnił przybyły — złożyłem raport, otrzymałem potrzebne pełnomocnictwo i oto jestem.

— Czyż potrzeba jakichś pełnomocnictw, aby odwiedzić starego znajomego? — zażartował gospodarz, lecz w brzmieniu jego głosu Rafał wyczuł coś jak gdyby niepokój nieźle zamaskowany.

— Do odwiedzin nie trzeba, zapewne — odparł Miercew, chichocząc cichuteńko, a tak zjadliwie, że mały detektyw przestał rozróżniać przebiegające mu krzyże mrówki strachu od pcheł, które odziedziczył po czworonożnych towarzyszach niedoli ze Stalingradu — ale trzeba pełnomocnictw, jak wiecie, jeżeli chodzi o aresztowanie… obcokrajowców! Bo ze swoimi nie robimy ceremonii, chi, chi, chi. No, dosyć żartów! Towarzyszu Rusanow, przybyłem tutaj w tym celu, by dokonać aresztowania pary niebezpiecznych szpiegów angielskich, waszych gości, rzekomej Daisy Rindley i autentycznego sir Jamesa Rabbita, ale jej rzekomego kuzyna. Zdemaskowałem te ptaszki!

---

[1] urbi et orbi (łac.) – miastu i światu.

[2] Wsiewołod Iłłarionowicz Pudowkin (1893-1953) – radziecki reżyser, scenograf i aktor filmowy.

[3] Dixi [et salvati animam meam]! (łac.) – Rzekłem [i uspokoiłem swoje sumienie]! (dosł. Powiedziałem i zbawiłem swoją duszę).

Rozdział XXXIV

RĘCZNE GRANATY

Nastała chwila ciszy dzwoniącej w uszach; Rafał miał wrażenie, że słyszy nawet tętent pcheł, które mu uprzykrzały pobyt w niewygodnej kryjówce gorzej niż bliskie sąsiedztwo tajemniczego wazonu, sprawcy guza na czole.

Sergiusz Miercew przerwał wreszcie tę grobową ciszę. Przysunął sobie fotel, rzucił się nań, aż sprężyny jęknęły pod skórzanym obiciem, poklepał się po udach i tonem przechwałki nadmienił dodatkowo:

— Przymknę tu, w Moskwie, jeszcze trzeciego szpicla, tym razem polskiego, nazwiskiem Serafin Bobak... Ech, to cała historia. Przyznam się wam, towarzyszu Rusanow, że prosty przypadek naprowadził mnie na to odkrycie. Mianowicie, przeglądając w pociągu dzienniki, między innymi i polskie, znalazłem notatkę, noszącą taki szumny tytuł: *Polski dziennikarz zaślubił amerykańską milionerkę*... Zwykle takich bzdurstw nie czytam, ale całkiem przypadkowo wzrok mój padł na nazwiska nowożeńców. Już nazwisko *Dorothy Rabbit* mnie zelektryzowało, no a potem... patrzę, przecieram oczy, jest, stoi jak byk: *Serafin Bobak*! Pobrali się w Miami na Florydzie. Pięknie, niech się burżuje mnożą, będzie co rżnąć, gdy rewolucja światowa wybuchnie. Ale naraz przyszło mi do głowy, że na pokładzie *Wołgi* mieliśmy także jakiegoś Bobaka. Sprawdzam imię, zgadza się! Wypytuję tutaj, w Moskwie, i słyszę, że ten gagatek nie odjechał wraz z innymi delegatami, ale pozostał.

— On już jest poszukiwany za inną zbrodnię — wtrącił Rusanow — no ale mniejsza o niego. Nie mieszkał u mnie, nie odpowiadam za niego. Stokroć bardziej interesuje mnie to, coście towarzyszu mówili o tamtych dwóch osobach. Powiedzcie mi łaskawie, jakie to zarzuty ciążą na Daisy Rindley.

— Zarzut zamordowania moich współpracowników Łapina i Laksbergera! — odparł Miercew twardo.

— Ach, o to chodzi? — Rafałowi wydało się, że Rusanow wypowiedział te słowa z ogromną ulgą. — Czy posiadacie konkretne dowody, że to ona?

— Dowody zdobędziemy w śledztwie. Na razie wystarczą mi poszlaki. Krytycznej nocy, w czasie balu w *Palm Beach Casino*, poleciłem Łapinowi i Laksbergerowi, by śledzili tę Anglicę. Wyszli za nią, i nie wrócili więcej... Sekcja zwłok wykazała, że ci dwaj zginęli wprawdzie przez utonięcie, lecz ciała ich nosiły ślady licznych obrażeń. Widocznie stoczyli zażartą walkę przed śmiercią...

— I jedna słaba kobieta, neurasteniczka, dała im rady? Sądzicie towarzyszu, że taki z niej herkules? — wtrącił Rusanow z wyraźną ironią.

— Ja sądzę, towarzyszu — wrzasnął zirytowany Miercew — że Intelligence Service posiada „trochę" więcej ludzi na swoim żołdzie niż jedną słabą kobietę, w dodatku neurasteniczkę. Że wysyłając tę kobietę na tak odpowiedzialny posterunek jak inwigilacja profesora Rusanowa, dodał jej do pomocy z tuzin zbirów... Oni dokończyli dzieła, gdy ona zwabiła moich ludzi w zasadzkę.!

— Muszę niestety otworzyć wam oczy, towarzyszu i zburzyć misterną hipotezę, jaką sobie wybudowaliście, podróżując po tylu krajach. Bo my w Moskwie, nie wysuwając nosa za granicę, odkryliśmy właściwego mordercę Łapina!...

— Ciekawym, kto to taki — mruknął w duchu Rafał.

— To znaczy? — spytał Miercew głosem już znacznie mniej pewnym.

— To znaczy, że Łapina i Leksbergera zamordował własnoręcznie i bez niczyjej pomocy ten przeklęty Polak… Serafin Bobak, recte Rafał Królik!.

— Hę? — Rafał omal na głos nie krzyknął tego *hę*.

— Dowody? — rzekł krótko Sergiusz Miercew.

— Dowody? — powtórzyła jak echo zbolała dusza małego detektywa.

— Czy przyznanie się winowajcy uważa towarzysz za wystarczający dowód? — rzekł Rusanow z ironią. — Jeśli tak, to proszę przejrzeć ten tutaj list. Pisał go ów Bobak w Konstantynopolu do jakiegoś przyjaciela, któremu na imię Baltazar. Nazwiska adresata ustalić nie zdołano na razie, gdyż koperty nie znaleziono przy zabitym.

— Przy zabitym? — przykre rozczarowanie zabrzmiało w pytaniu Sergiusza Miercewa. — Więc Bobak już nie żyje. Szkoda, wielka szkoda!

— Zacne bydlę — wyszeptał mały detektyw — zdziwiłby się zapewne, gdybym go tak uszczypnął w nogę i powiedział, kim jestem.

— Bobak żyje, przypuszczam. Zginął Edgar Lowter, delegat angielski.

— Aha, ten, słyszałem. Wysłaliście go do Tuły podobno. Jego prawdziwe nazwisko brzmiało Jack Lear, używał także pseudonimu King, jak mi doniesiono z naszego kontrwywiadu w Londynie... Zmartwiłem się dzisiaj, kiedy mi oświadczono, że tutejsza szajka szpiclów angielskich zmniejszyła się o taką grubą rybę.

— Odbiegamy od tematu — zauważył Rusanow trafnie. — Tego Edgara Lowtera zastrzelił milicjant w chwili, gdy się chciał na niego rzucić. Było to trzy albo cztery dni temu, tutaj, koło tego domu. Zabrano go zaraz, lecz nazajutrz mój Czang znalazł pod oknami ten list Bobaka. Jest to właściwie tylko połowa całego listu. Zakończenia brak i nie wiadomo, co się z nim stało.. Ale dla wyświetlenia tajemnicy śmierci Łapina i Laksbergera wystarczy ta połówka najzupełniej. Przeczytajcie to łaskawie, towarzyszu.

Miercew czytał półgłosem, a Rafał pod łóżkiem wyrywał sobie włosy garściami, przeklinając swoją pasję do głupich przechwałek, swoją nieostrożność, nielojalną ciekawość zmarłego Jacka, i wreszcie niesumienność ociężałego „Bim-baszy", który się przecież zaklinał, że ten list własnoręcznie nada na poczcie. Słabą pociechą była mu irytacja Miercewa, gdy ten czytał niektóre zwroty o swej osobie i zgrzytał zębami z wściekłości.

— Bydlakiem mnie nazwał — wybuchnął wreszcie. — Dobrze! Za to mu osobno zapłacę! Aha, pisze, że zaprzysiągłem zemstę mordercom moich współpracowników. Masz rację łotrze! Pomszczę ich, ty ...synu! — pienił się.

— Gbur — mruknął mały detektyw i skrzywił się z niesmakiem, bowiem nienawidził wulgarnych wyzwisk... o ile się do niego odnosiły.

— No i cóż, Sergiuszu Mikołajewiczu — przemówił znów Rusanow, tym razem miękko, ciepło, jakby chciał udobruchać zbira — teraz już nie powiecie mi chyba, że Daisy Rindley ponosi odpowiedzialność za śmierć tamtych, prawda? Bo i co znaczą poszlaki wobec jawnego wyznania mordercy.

— Hm, tak, zapewne... Niemniej muszę ją aresztować jako członkinię angielskiego wywiadu. Za pretekst posłuży to, że przybyła do Rosji pod fałszywym nazwiskiem. Ona nie jest kuzynką tego „sera" i nie nazywa się Rindley...

— Tylko jak? — spytał Rusanow niedowierzająco.

— Tylko.., poczekajcie, miałem tu w notesie, aha, Daisy Scanlan!

— Jak?! — Profesor wrzasnął tak głośno, że Rafał wypuścił z palców tłustą pchełkę, którą właśnie upolował, a Miercew spytał ze zdziwieniem:

— Co jest z wami, towarzyszu Rusanow?

— Tsss. Pozwólcie mi zebrać myśli.

„Zbieranie" myśli trwało nadmiernie długo, zdaniem Rafała, którego to cmentarne milczenie obydwóch groźnych przeciwników denerwowało więcej niż ich dotychczasowa rozmowa naszpikowana aluzjami do jego osoby i pogróżkami. — Tu się zanosi na ładny bigos — mniemał. Dodawały mu otuchy granaty ręczne przywiezione ze Stalingradu; dotykał ich raz po raz dłonią, by się upewnić, że nie uciekły z kieszeni, i powtarzał z determinacją: — W najgorszym razie puszczę sobie gaz; mam zginąć, to przynajmniej w liczniejszym towarzystwie.

— Słyszeliście? Jakiś szelest! — rzekł Miercew zniżonym głosem, przerywając długi łańcuch sekund absolutnej ciszy.

— Puszczę gaz, puszczę — myślał z rozpaczą mały detektyw. Odetchnął dopiero wtedy, gdy posłyszał odgłos oddalających się kroków. Rusanow i Miercew szli na palcach w stronę drzwi od korytarza, przystawali niekiedy, nadsłuchiwali, dzielili się spostrzeżeniami i znowu szli, a jękliwe skrzypnięcia posadzki informowały Rafała o postępach tego tajemniczego odmarszu.

— Słyszycie teraz?

— Tak. Ktoś się skrada tutaj,

— Macie spluwę, towarzyszu Rusanow?

— Nigdy się z nią nie rozstaję.

— Dobrze wiedzieć — mruknął Rafał, żałując, że biurko, zasłania mu widok na pokój. Zachodził w głowę, kto taki zbliżał się do gabinetu profesora, nowy wróg, czy sprzymierzeniec.

— Jęczy — zauważył Rusanow — może ranny? Uwaga! Otworzę drzwi i obaj uskoczymy w bok; jeśli tamten strzeli, trafi w próżnię. Gotów?

— Gotów — odparł Sergiusz Miercew a bezpiecznik jego rewolweru metalicznie szczęknął. — Mam wrażenie, że on się czołga po ziemi.

Fiodor Rusanow nacisnął klamkę, silnym szarpnięciem otworzył drzwi na oścież i okrzyk zdumienia wyrwał mu się z piersi:

— Czang! Co u licha? Któż cię tak urządził? To jeden z moich ludzi — wyjaśnił Miercewowi. — Pomóżcie mi go tu przenieść.

— Przede wszystkim knebel — radził Miercew, ujmując skraj zwiniętej ścierki, którą związanemu Chińczykowi wciśnięto w jamę ustną. Szarpnął i oto z ust żółtego kucharza trysnęła struga słów, zakorkowanych dotychczas owym kneblem... Że słyszał dzwonek, ale nie mógł przyjść, skoro był związany. Że najtrudniej było drzwi od kuchni otworzyć. Że pełzanie w korytarzu było już drobnostką. Że on nic nie winien, iż tak się stało, bo człowiek, który go napadł, był ubrany w płaszcz profesora, kulał, miał wzrost ten sam i przyjechał samochodem profesora wraz z Tsienem. Że Tsien albo go również nie poznał, albo jest zdrajcą. Że ten człowiek miał także pomocnika, który wszystko pozjadał, co było w kuchni, potem zajrzał do spiżarni i naigrawał się z niego, z Czanga...

— Powoli, powoli — upominał Miercew — niewiele z tego rozumiem.

— Ale ja rozumiem — wtrącił Rusanow — i muszę przyznać, że tupet mojego asystenta mi zaimponował. Żeby po tak brawurowej ucieczce szukać schronienia właśnie w tym domu, na to trzeba angielskiej bezczelności!

— Towarzyszu Rusanow, czy nie zechcielibyście mówić jaśniej?

— Zaraz wszystko powiem... Czang, staniesz na straży w korytarzu.

Rafał domyślił się, że Rusanow nie chce mówić otwarcie w obecności Chińczyka...

Potem, gdy profesor opowiedział gościowi treściwie o ucieczce asystenta Scanlana, Sergiusz Miercew zrobił trafne spostrzeżenie:

— Zatem Stalingrad przestał być tabu dla wywiadu angielskiego.

— Jak to?

— Całkiem po prostu, towarzyszu Rusanow. Bo ja nie uważam za zbieg okoliczności tego, że wasz asystent Scanlan schronił się tutaj. On z pewnością wiedział, gdzie przebywa jego żona! Z pewnością! Skąd wiedział, to ustalą dochodzenia. Fakt faktem, że wiedział, czyli pomiędzy Daisy a jej mężem był ktoś trzeci, który odgrywał rolę łącznika. I to jest najniebezpieczniejszy drab! Tego przede wszystkim należałoby wyśledzić i ująć...

— Trzymam go właśnie — pomyślał Rafał z humorem, klepiąc się po kieszeni marynarki, w której spoczywała fotografia Daisy; ona to bowiem, ta niewinna podobizna pięknej kobiety, zelektryzowała apatycznego George'a Scanlana i nakłoniła go do ryzykownej ucieczki.

— Tym łącznikiem był, według moich przypuszczeń, ten sam osobnik, który Scanlanowi umożliwił ucieczkę ze Stalingradu,

— Całkiem słusznie — przyznał w duchu mały detektyw.

— To znaczy szofer-Chińczyk, jakże mu to...

— Tsien… Hm, trudno mi uwierzyć doprawdy... Ale wszystko możliwe. Gotów jestem po tych niespodziankach uwierzyć nawet w to, że Scanlan jeszcze się ukrywa w tym domu... Mam myśl!... Hallo, Czang!

Kucharz zjawił się natychmiast. Rusanow polecił mu zdjąć trzewiki, udać się na piętro i zbadać, co robią goście.

— Jeżeli miał na tyle tupetu, że tutaj pozostał — ozwał się Sergiusz Miercew, skoro Chińczyk wyszedł — to nam nie ujdzie! Dom jest otoczony ze wszystkich stron... Mysz się stąd nie wyślizgnie!

— Miła perspektywa — westchnął strapiony Rafał. — Zaczynam żałować, że nie jestem jednym z tych stworzonek, które mnie gryzą. Wówczas sam srogi Sergiusz wyniósłby mnie z tej pułapki, z której ani mysz pono nie wyjdzie.

Nie upłynęło ani pięć minut, gdy Czang przybiegł z powrotem.

— Lord śpi — zaczął zdyszanym głosem — a w sypialni pani jest drugi lord, jakiś obcy. — Dla Czanga każdy Anglik musiał być koniecznie lordem.

— Czy to ten sam, który cię związał? — indagował profesor.

— Nie wiem, nie wiem... wtedy było ciemno, gdy mnie napadł. Zgasił lampę, skorośmy tu weszli, i zaniósł mnie potem do kuchni.

— Tak, czy owak, możemy zaczynać — orzekł Miercew, zniecierpliwiony powolnym, jego zdaniem, rozwojem wypadków.

— Pozwólcie, towarzyszu. Oni wam nie uciekną, skoro dom otoczony. Ale ja mam osobiste porachunki z piękną Daisy. Oszukiwała mnie tak długo, niechże przy końcu tej farsy i ja się zabawię... Mam taki plan. Wyślę po nią Czanga, poproszę ją do siebie „na rozmowę" i tu ją zagadam. Przez ten czas wy zajmiecie się Scanlanem, skoro zaś już wyekspediujecie go na powrót do Stalingradu, powrócicie tutaj po tych dwoje, to jest po Daisy i Rabbita... Tylko chciałbym was prosić, abyście nie wrócili zbyt... wcześnie!

— Czemu? — spytał podejrzliwy Miercew.

— Bo, widzicie... chciałbym mojej Daisy podziękować po kawalersku za jej podłą grę... No, nie posądzacie mnie chyba, że zamierzam jej ułatwić ucieczkę!

— Wyście to powiedzieli, towarzyszu Rusanow! Nie ja. Wy sami! — chichotał tamten. — Mnie by coś podobnego ani przez myśl nie przeszło — pokpiwał sobie — zresztą, dom musi pozostać pod dobrą strażą, to wam mówię lojalnie. Przyprowadziłem piętnastu ludzi. Dwóch

pomoże mi wyprowadzić Scanlana, reszta pozostanie na posterunku.

Rafał liczył sumiennie: Trzynastu ich zostanie plus dwóch milicjantów, którzy tu zawsze sterczą, plus Rusanow, plus Czang, razem siedemnastu dobrze uzbrojonych drabów. Hm, nie wiem, czy im poradzę w ręcznym spotkaniu.

— Nie mam nic przeciwko temu — rzekł Fiodor Rusanow oschle, widocznie dotknęło go „lojalne" oświadczenie Miercewa, że dom będzie nadal otoczony przez czekistów — pozostaje nam tylko ustalić termin waszego powrotu.

— Przyjdę, powiedzmy, punktualnie o północy.

— Wolałbym później... Zrozumcie, że… — Dalszych słów Rafał nie dosłyszał, gdyż Rusanow dokończył zdania szeptem, zapewne przez wzgląd na Czanga stojącego przy drzwiach. Lecz po żywiołowym wybuchu śmiechu, nietrudno się było domyślić, iż Miercew posłyszał coś mocno pieprznego. Chichotał dłuższy czas, w końcu przypomniał sobie, że nie ustalił jeszcze godziny jego powrotu i zaproponował pierwszą po północy.

— Zgoda!

— Jeszcze jedno... Daisy, wychodząc z pokoju, zamknie na pewno drzwi na klucz. Czy nie posiadacie zapasowych kluczy?

— Czang je ma… Czang! — zwrócił się do Chińczyka — pójdziesz na górę, zapukasz do pokoju mistress Rindley i poprosisz ją do mnie. Potem wykonasz to wszystko, co ci poleci towarzysz Miercew. Tutaj nie wolno ci wchodzić, cokolwiek byś słyszał, rozumiesz? Najlepiej zrobisz, jeśli pójdziesz spać, skoro zamkniesz bramę za towarzyszem Miercewem…

— O, za pozwoleniem — wtrącił nieufny zbir — klucz od bramy zabiorę ze sobą! — (Tego Czanga również — dodał w myśli.)

Wyszedł wraz z Chińczykiem, bowiem zamierzał wziąć sobie do pomocy kilku ludzi, przewidując rozpaczliwy opór ze strony Scanlana. A Fiodor Rusanow, ku wielkiemu zdziwieniu Rafała, zaczął się rozbierać z gorączkowym pośpiechem. Usiadł na łóżku, zdejmował trzewiki; nie schylając się, wyciągnął pantofle ustawione „na baczność" tuż obok przedmiotu, który mały detektyw nazwał wytwornie *wazą*, po czym zaszeleściły nogawki jedwabnej piżamy...

Upłynęło kilkanaście minut — zanim rozległo się nieśmiałe pukanie.

— Proszę wejść — zawołał Rusanow, zrywając się z łóżka. Daisy musiała snadź zrobić zdziwioną minę, gdyż zaczął się usprawiedliwiać i przepraszać ją za strój, w jakim ją przyjmuje. — Nie byłbym pani fatygował, drogie dziecko, lecz wczesnym rankiem znowu wyjadę, a przedtem musimy porozmawiać w nader ważnej sprawie, dotyczącej nas obojga!

— Słucham pana, profesorze. — Usiadła w fotelu, który jej podsunął, i przyjęła ofiarowanego sobie papierosa. — Jakaż to sprawa?

— Sprawa pani dalszego pobytu w Rosji... Niestety, nie udało mi się uzyskać przedłużenia wizy... Pozostaje pani tylko jedno wyjście: zmienić obywatelstwo, czyli spełnić nareszcie moje gorące życzenie, zostać moją żoną,

— Albo natychmiast wyjechać, czy tak?

— Tak, A pani wybiera?...

— Ach, drogi profesorze, w tak poważnej sprawie nie mogę przecież powziąć decyzji bez gruntownego namysłu. Muszę mieć czas, by...

— Czasu było aż nadto — przerwał szorstko. — Musi pani dokonać wyboru natychmiast!

— Stawia mnie pan w niesłychanie trudnej sytuacji — odparła.

— Być może. Niemniej okoliczności tak się ułożyły, że musi mi pani dać odpowiedź bezzwłocznie... A więc?

Nie dała żadnej odpowiedzi. Teraz, gdy osiągnęła swój cel i odzyskała swojego George'a, należało tym bardziej politykować z profesorem, nie zrażać go sobie i uśpić jego czujność, aby w

ostatniej chwili nie pokrzyżował planów, jakie sobie układali przed chwilą wraz z odnalezionym George'em... A, jak na złość, Rusanow przypierał ją do muru i stawiał sprawę na ostrzu miecza.

— Pani milczenie — zaczął surowo — pozwala mi na bardzo szerokie domysły. Po raz ostatni zapytuję, co pani wybiera...

— Zostanę w Rosji — odrzekła — ale dla uregulowania pewnych interesów majątkowych i rodzinnych, muszę raz jeszcze wyjechać do Anglii.

— *Zostanę, ale muszę wyjechać*. Więc co ostatecznie?

— Powiedziałam już panu. Wyjadę jutro, skoro odmówiono mi prolongaty wizy, lecz powrócę za kilka tygodni... do pana!

— Wrócisz? Wrócisz do mnie? Nie, ty mnie zwodzisz. — Podniósł się i szedł do niej. — Daj słowo, że wrócisz. Daj słowo — prosił, osuwając się na kolana przed Daisy. — Podaj mi rękę i daj uroczyste słowo honoru.

Rafał rozmyślał właśnie nad tym, jak on by się zachował na miejscu Daisy Rindley, recte Scanlan, gdy padła jej odpowiedź wymówiona męczeńskim głosem;

— Daję słowo!... Och! — krzyknęła z bólu. — Ugryzłeś mnie, niedobry — dodała miękko, pragnąc złagodzić wrażenie tego okrzyku i nienawistnego spojrzenia, jakim obrzuciła profesora, gdy ugryzł ją w rękę do krwi. Przemagając odrazę, głaskała go po głowie, po twarzy, i pozwalała mu całować swe dłonie.

Jak do tej pory, Rusanow grał swoją rolę bez zarzutu. Fałszywa nuta zabrzmiała wyraźnie dopiero wówczas, gdy zaczął mówić rozmarzonym głosem;

— Pamiętasz ten wieczór w Cannes? Tę naszą rozmowę, w czasie której przyjęłaś moją propozycję wyjazdu do Rosji? Powiedz, czy pamiętasz, Daisy.

— Pamiętam doskonale.

— Cieszy mnie to... Dałem ci wówczas słowo że wrócisz, jeśli zechcesz, i kiedy zechcesz! Zamierzałem słowa dotrzymać i byłbym go dotrzymał, moja słodka Daisy, ale dziś, kiedy i ty słowo złamałaś z cynicznym wyrachowaniem... kiedy nie mrugnąwszy okiem przyrzekłaś powrócić, choć wiesz, że...

— Co to… znaczy, pro…fe...so…rze? — wykrztusiła przerażona.

Podniósł się z klęczącej pozycji i ona również powstała, może bezwiednie, może za podszeptem instynktu, który ją ostrzegał przed niebezpieczeństwem.

— To znaczy — odparł chrapliwe Rusanow — że na koniec zagramy sobie w otwarte karty, szanowna pani Daisy SCANLAN! Szanowny małżonek, a mój były asystent, mister George Scanlan, który pozostał w jej sypialni, nie przeszkodzi nam w sielance. W tej chwili — dodał, zerknąwszy na zegarek z okrutnym uśmiechem — George Scanlan ma już kajdanki na rękach. Takie same „bransoletki" otrzyma o godzinie pierwszej po północy jeden z najsprytniejszych szpiclów Intelligence Service, niejaka Daisy Scanlan, false Rindley!... No, ale do godziny pierwszej mamy dużo czasu, który zamierzam spędzić przyjemnie... Należy mi się coś, u licha, za złamane serce, che, che, che, che, che.

Była tak ogłuszona tym, co usłyszała, że atak profesora zastał ją zupełnie nieprzygotowaną do obrony. Poczuła nagle, że coś poderwało ją z podłogi, że ktoś ją niesie bez wysiłku, jak piórko, w róg pokoju.

Rafał zrobił zgorszoną minę.

— I to się ma dziać nad moją głową? — pomyślał z oburzeniem. — Pierwszy raz mnie spotyka coś podobnego! — zrzędził i nagle skurczył się z przestrachu, sprężyny łóżka zajęczały przeciągle pod ciężarem dwojga ludzi, walczących z sobą na śmierć i życie. Bowiem Daisy ocknęła się wreszcie z martwej apatii i stawiła rozpaczliwy opór napastnikowi w chwili, gdy ją obalił na łóżko. Wraz z sykiem jedwabiu rozdartej sukni dobiegły Rafała słowa dzielnej Angielki

wycharczane z dziką, zawzięta determinacją:

— Mojego trupa... tak... żywej nigdy!... zbóju azjatycki… wara!

Mały detektyw poskrobał się w okolicy ciemienia. Odwagą nigdy nie grzeszył w życiu, lecz uważał za „psi" obowiązek gentlemana pośpieszyć z pomocą napastowanej kobiecie. — No, pięknie, tylko czym go kropnąć — rozważał — granatem? Dziękuje uprzejmie. Gotów pęknąć i wszyscy łykniemy gazu, który, o ile miałem sposobność zauważyć, jest dosyć ciężkostrawny. Szkoda, że tasak zostawiłem w kuchni... Hm. Pięścią? W taki twardy łeb rosyjski? Nie ma sensu.

— George!... Ratunku!

— George już jest w drodze, łaskawa pani — brzmiała szydercza odpowiedź.

— James!... James!

Rafał zaczął pełznąć w stronę dywanika leżącego przy łóżku. Sprężyły kwiliły coraz ciszej, snadź siły Daisy wyczerpywały się w nierównej walce. — Należy przyspieszyć interwencję — uznał mały detektyw, rozmyślając równocześnie, jaką bronią zaatakować silnego profesora. Wtem... zderzył się ponownie z naczyniem, które z kształtu przypominało wazę, a które z reguły ustawia się właśnie pod łóżkiem. — Bardzo masywna porcelana — stwierdził, opukując spotkany przedmiot zgiętym palcem. — Hm, może by ostatecznie od tego zacząć? Nie słyszałem co prawda, by takim orężem posługiwał się jakikolwiek bohater, nawet z greckiej mitologii, ale to nie dowód, żebym rezygnował z próby — myślał, jadąc na brzuchu w kierunku zwisających z łóżka dwóch par nóg, wierzgających wcale jeszcze energicznie. — Kto wie, Rafciu, czy nie stoisz wobec epokowego wynalazku — myślał z humorem i rozśmieszał się umyślnie, wiedząc, że na wesoło jest najodważniejszy. — Kto wie, czy w przyszłości nie będą ludzie używali tej broni przy pojedynkach... Wyobrażam sobie już taką scenę.

— Puść... rękę!

— Nie głupim — warknął Rusanow. Jeszcze na Riwierze zauważył u Daisy duży pierścień z rubinem, już wtedy przyszło mu do głowy że to wschodnie świecidełko kryje pod kamieniem jakieś zatrute żądło. I teraz, dojrzawszy, iż ona pragnie usilnie złączyć sobie dłonie, uwięził je obie w przegubach, przeczuwając rozpaczliwy odruch. Rubin odsunął się do połowy, lecz nie na tyle jeszcze, by ukryta sprężynka mogła wypchnąć na zewnątrz zakrzywiony kolec, napojony trucizną. Wskazującym palcem Rusanow zasunął rubin na swoje miejsce, potem szybkim, zdradzieckim ruchem zdarł pierścień z palca i cisnął go na oślep za siebie. Daisy była teraz zupełnie bezbronna!

Rafał Królik podnosił się właśnie z ziemi, gdy odrzucony pierścień nadleciał i ugodził go w brodę. — Postrzelił mnie! — pomyślał z rozpaczą mały „bohater" i mszcząc tę kontuzję, grzmotnął profesora w łeb swym orężem z pasją godną rozjuszonego mściciela. — Voila! — zawołał z radością, patrząc na skutki swojego wyczynu. Fiodor Rusanow ani jęku nie wydał. Znieruchomiał w tej pozycji, w jakiej leżał, a na karku wykwitła mu szkarłatna nitka krwi sączącej się spod strzechy bujnych włosów.

Rafał, który przez tak długi czas musiał milczeć jak grób, by nie zdradzić swojej kryjówki, odrabiał te zaległości, i paplał z przyjemnością.

— Jakże to powiedział poeta? Aha! *Sław, muzo, wielce walecznego męża, który z pomocą szklanego oręża*[1]... Nie, wtedy szkła jeszcze nie znali. A to tutaj było tylko porcelaną. Licha porcelana — skrzywił się, ujmując jedną z większych skorup, przy której trzymało się krzepko nietknięte ucho naczynia. — Bolszewicka tandeta!... No, tak. Broń przeze mnie wynaleziona jest na ogół skuteczna, ale nieekonomiczna; ulega zniszczeniu po jednorazowym użyciu. Tego by w nowoczesnej technice wojennej zastosować nie można. Chyba przy tłumieniu rozruchów.

Słaby jęk Daisy przerwał mu te rozważania.

— Prawda! Zapomniałem, że trzeba ją uwolnić z przymusowego położenia... w

przenośnym i dosłownym znaczeniu tego słowa — mruknął.

Napocił się i nastękał niezgorzej, zanim ściągnął z łóżka na podłogę ciężkie, bezwładne ciało profesora i oswobodził Daisy.

— Pani — rzekł z niskim ukłonem — racz zaufać pogromcy tego nieskromnego samca któregom rozciągnął u twoich stóp.

— Kto pan jest? — spytała, podtrzymując rękoma strzępy podartej sukni, i spojrzała lękliwie na Rafała, którego wygląd po trzydniowym kolegowaniu z baranami nie budził zbytniego zaufania.

— Serafin Bobak, vel Bobek, false Raphaël Lapin, recte Rafał Królik, do usług — przedstawił się. — Jeśli chodzi o Bobaka, to brodę zostawiłem w hotelu, i nie nazywam się Królik, jeżeli tam po nią wrócę. O, nie ma głupich!

Nie zrozumiała. Nie dowiedziała się, jak właściwie brzmi jego nazwisko, ale było jej to nieskończenie obojętne. Ruszyła w stronę drzwi, lecz zachwiała na nogach i prawdopodobnie byłaby runęła na posadzkę, gdyby nie przytomność Rafała, który w samą porę podstawił jej fotel.

— Odprowadzę panią, ale wpierw muszę związać namiętnego profesora, bo mam wrażenie, że niezupełnie go uśmierciłem — powiedział jej.

Zabrał się żwawo do roboty. Knebel ukręcił ze skarpetek, nogi związał profesorowi jego własnym paskiem, ręce skrępował na plecach sznurami od portier, przewrócił go na wznak i „na wszelki wypadek" okręcił mu szyję długim, podwójnym drutem od przenośnego telefonu. W trakcie tej ostatniej operacji Rusanow ocknął się z omdlenia, omiótł pokój zdumionym spojrzeniem, snadź usiłował sobie przypomnieć, co zaszło, aż wreszcie zrozumiał i szarpnął się wściekle, posyłając Rafałowi porcję morderczych spojrzeń...

— Ostrożnie, kochasiu — upomniał go mały detektyw ze słodyczą — jeszcze jedno takie szarpnięcie, a udusisz się bez mojego w tym współudziału. No, no, malutki. Nie patrz tak brzydko... Instrument, który ci rozbiłem na głowie był pusty! Czang może poświadczyć, gdy wróci. Nie masz się o co oburzać.

Z godną pochwały przezornością poprzecinał Rafał wszelkie przewody, jakie znalazł tutaj, telefoniczne i od dzwonków; tylko druty od światła elektrycznego oszczędził, lękając się by nie wywołać krótkiego spięcia i nie pogrążyć w ciemnościach całego domu. Uważał, że na to zawsze dość czasu będzie. Ukończywszy tę robotę, podszedł do Daisy, dźwignął ją z fotela, otoczył ramieniem i poprowadził ku drzwiom.

Sir James Rabbit miał sen kamienny.

— Niemal pół karafki wody wypotrzebowałem, zanim pan oczy otworzył — oświadczył mu Rafał, przedstawiając się tym razem w sposób mniej zawiły. W krótkich słowach opowiedział, co zaszło w międzyczasie, poświęcając nieco więcej czasu na odmalowanie swej „walki" z profesorem „silnym jak tur" i „wytrwałym w boju niepomiernie".

— I jakże mu pan poradził w końcu? — spytał Anglik z zainteresowaniem sportsmena.

— W sposób całkiem prymitywny. Jak pan wie, metody nieskomplikowane najprędzej prowadzą do celu... Toteż ja, wyczerpawszy cały repertuar mych niezawodnych chwytów, ciosów i tak dalej, uciekłem się do prymitywu i...

— I co mu pan zrobił, do kata! — Stary sportsman drżał z niecierpliwości.

— Rozbiłem mu na głowie, wybaczcie trywialność, pospolity nocnik!...

Uśmiawszy się do syta, sir James wyskoczył z łóżka i zaczął się ubierać, zresztą bez większego pośpiechu; bajeczna flegma nie opuściła go nawet w obliczu straszliwego niebezpieczeństwa. Ubrawszy się, podszedł do okna, by sprawdzić, czy dom jest otoczony ludźmi Miercewa.

— Niestety... ma pan rację — mruknął, dostrzegłszy kilka cieni, snujących się po

dziedzińcu — jesteśmy dobrze strzeżeni.

— Bardzo dobrze. Nawet mysz się nie prześlizgnie, według zapewnień towarzysza Sergiusza. Nie widzę innej rady, tylko musimy na niego zaczekać.

— Zaczekać?! Tych piętnastu drabów jeszcze panu za mało?

— Trzech wrogów więcej, trzech mniej, to dla mnie fraszka — oświadczył Rafał chełpliwie. — Zobaczymy przede wszystkim, co porabia nasza biedna Daisy — dodał, kierując się w stronę drzwi przyległego pokoju.

Zachowanie Daisy zaniepokoiło ich obydwóch. Klęczała przed portierą, zasłaniającą niszę po oknie, które ongiś, przed laty, zamurowano, gdyż pozostałe dwa okna doprowadzały dostateczną ilość światła do pokoju; za tą portierą stały walizki Daisy i w tej właśnie niszy ukrył się George Scanlan, kiedy Czang zapukał do drzwi, wypełniając perfidny rozkaz profesora.

— Tu był... drzwi sama zamknęłam na klucz, wychodząc — wybuchnęła nieszczęśliwa kobieta, gdy sir James dotknął jej ramienia. — Porwali go, łotry, zbiry przeklęte!... Czemu nie przybiegłeś mu z pomocą?

— Ależ ja... nic nie słyszałem, darling... przysięgam!

— Wierzę w to — bąknął Rafał, który miał sposobność stwierdzić, jak twardy jest sen sympatycznego Anglika. I sir James nie mógł zresztą słyszeć, bowiem aresztowanie zbiega ze Stalingradu odbyło się szybko, sprawnie, bez hałasu. George Scanlan nie stawił najmniejszego oporu, posłyszawszy z ust Sergiusza Miercewa takie ultimatum: — Jeżeli piśniesz, Daisy zginie! Pluton egzekucyjny czeka właśnie na twój okrzyk! — W ciągu sześcioletniej niewoli w Stalingradzie Scanlan miał niejednokrotnie okazję stwierdzić, że nie ma takiego bezprawia, którego by ci ludzie nie popełnili. Uwierzył więc, iż Daisy stoi już naprzeciw plutonu egzekucyjnego i pozwolił się ująć bez walki... Nic tedy dziwnego, że ta tragiczna, lecz cicha scena, nie przerwała kamiennego snu sir Jamesowi, chociaż rozegrała się tuż obok, w sąsiednim pokoju...

We trójkę odbyli krótką naradę wojenną, a raczej we dwójkę tylko, gdyż Daisy nie zabierała głosu. Dopiero przy końcu, gdy „generalissimus" Rafał Królik wyznaczył sir Jamesowi posterunek na piętrze, zwróciła się do nich z gorącą prośbą, by zaprzysięgli, że ona żywcem nie wpadnie w szpony czekistów.

— Przysięgam ci — rzekł sir James głosem uroczystym.

— Przysięgam, owszem — dodał Rafał niefrasobliwie — ale jako głównodowodzący muszę skarcić takie rozpaczliwe deklaracje szerzące w naszej armii defetyzm! Brak wiary w zwycięstwo jest już klęską!... Miałem ci i ja nawet... chwile słabości... choć nie znam, co to trwoga... ale teraz, gdy wiem, że na pokładzie sterowca mamy zarezerwowane kabiny, że ten sympatyczny *R 104* wystartuje już za kilka godzin z zapowietrzonej Moskwy... teraz wierzę w sukces naszego oręża i poprowadzę was do zwycięstwa!... A ty, święty Rafale, mój patronie, nie opuścisz chyba swojego imiennika w ciężkiej opresji i wywiedziesz go z tej obierzy, iżby cię mógł nadal chwalić, amen, amen, amen.

Zagrzawszy swe nieliczne hufce takim przemówieniem, Rafał spojrzał na zegarek. Dziesięć minut brakowało do pierwszej.

— Przypominam! — rzekł tonem komendy — Pospolite ruszenie pozostaje na straży kobiet, starców i dzieci — tu skłonił się uprzejmie przed Daisy. — Zajmie ono posterunek u szczytu schodów, a w razie ataku przeważających sił nieprzyjacielskich, rozpocznie strategiczny odwrót w stronę tego pokoju, ostrzeliwując się nieustannie. Zrozumiano?

— All right — odparł sir James swobodnie, potrząsając dwoma rewolwerami, własnym i Daisy. — Very interesting — powtarzał z zachwytem, przeczuwając, że czekają go emocje *pierwszej klasy*, że ta nowa karkołomna przygoda będzie prawdziwym balsamem dla jego

spleenu. — Wolę zginąć od kuli, niż umierać kiedyś na łóżku — mruknął — a śmierci nie lękam się zupełnie.

— Ja owszem… troszkę, i dlatego tę ewentualność wykluczam z programu dzisiejszych wypadków — oświadczył mały detektyw. — Pierwszy korpus na moją komendę: Baczność! Kierunek: jadalnia! Naprzód marsz!

Gdy przebrzmiały kroki maszerującego „korpusu", sir James uśmiechnął się przyjaźnie do Daisy i zauważył mimochodem:

— To dzielny chłopak. Tylko tutaj... troszeczkę jest... nie tego. — Określenie *tutaj* odnosiło się do czoła, na którym Anglik naszkicował palcem kilka dużo mówiących kółeczek. — No, idę na wyznaczony mi posterunek. Zatrzymaj na razie swój rewolwer, darling, i wybacz, jeżeli nie będę mógł sam wykonać tego, co ci przyrzekłem.

Przez chwilę spoglądała na niego nieprzytomnie, wreszcie zrozumiała. Zerwała się na równe nogi i padła mu w objęcia.

— To przeze mnie, zacny przyjacielu — wybuchnęła.

Ucałował ją w czoło i zmusił, by na powrót usiadła,

— Bądź dobrej myśli, darling... Może ten mały frant naprawdę nas wydobędzie z tych tarapatów... beznadziejnych, przyznaję.

Objął ją czułym, pożegnalnym spojrzeniem i wyszedł z pokoju.

W międzyczasie Rafał zdążył już z grubsza poprzestawiać lżejsze meble w jadalni. Przed uchylonymi drzwiami wiodącymi do gabinetu profesora, zbudował sobie małą barykadę z krzeseł, drzwi od korytarza zamknął na klucz, który pozostawił w zamku, i czekał, ważąc w obu dłoniach ręczne granaty. Fiodor Rusanow zachowywał się spokojnie, może zrezygnował z daremnych wysiłków, może zemdlał. — Albo udusił się z grubsza — przypuszczał Rafał, pamiętając, że omotał profesorowi szyję drutem odciętym tuż przy aparacie przenośnego telefonu.

Wreszcie trzasnęła brama. Mały detektyw uznał, że pora do działania nadeszła. Szybko przesunął sztyfcik, umieszczony na kopulastym wierzchołku granatu i wrzucił pocisk do gabinetu profesora. Metalowe jajo pokatulało się po podłodze i ugrzęzło na dywanie pod jakimś fotelem, drugi granat odbił się od pieca i tam gdzieś spoczął, trzeci zajechał aż pod łóżko.

— Potrójna porcja powinna wystarczyć na razie — przypuszczał, zamykając drzwi w obawie, aby *podły zapach* tu nie wtargnął. Jaki zapach! Przecież to jest gaz bezwonny! — przypomniał sobie w porę. — A może by już przywdziać ten skafander? — Potrząsnął maską gazową, niezdecydowany, czy zabezpieczyć się natychmiast przed działaniem gazu *303*, czy zaczekać jeszcze,

W korytarzu zadudniły ciężkie kroki. Na czele szedł Sergiusz Miercew, za nim Chińczyk Czang i czterech uzbrojonych czekistów, piąty pozostał na straży przy bramie, dalszych dziesięciu otaczało dom, a na ulicy przechadzało się dwóch milicjantów, znudzonych monotonią codziennego sterczenia w tym miejscu czy na innych posterunkach, równie spokojnych.

Miercew ze swoją garstką minął drzwi jadalni i zapukał do gabinetu profesora. Po chwili zapukał powtórnie, głośniej. Nikt mu nie odpowiedział. Miercew nie był snadź bohaterem, skoro najpierw polecił wejść Czangowi.

— Zabili go! — zabrzmiał głos Chińczyka.

— Za mną! — wrzasnął Miercew, wpadając do pracowni.

Rafał nadsłuchiwał pod drzwiami, a jego wzrok popędzał wskazówkę sekundnika na zegarku.

— Dwadzieścia sekund — wyszeptał — w zamkniętej ubikacji gaz powinien już zacząć działać. Trzy granaty rzuciłem, hm.

Posłyszał wreszcie głos profesora:

— Bobak... on mnie napadł... uciekli z pewnością.

— Nie uciekną z Moskwy! — warknął Sergiusz Miercew.

— Uciekną! — ryknął Fedor Rusanow strasznym głosem. — Uciekną, słyszysz psie?

— Towarzyszu Rusanow!

— Co, kanalio! Podejdź tu bliżej!

— Łotrze! Tyś im ułatwił ucieczkę! Brać go, chłopcy!

— Jego uwięźcie.

— Stulcie pyski obaj — zahuczał groźnym basem jeden z czekistów. Rafał aż podskoczył z radości. Tych ludzi ogarniał już szał gniewu, który niebawem miał się przemienić w wybuch niszczycielskiej furii. Straszliwy gaz *303* zaczynał działać, a jego wynalazca miał odczuć te skutki na własnej skórze!

Gwałtowny tętent zaostrzył ciekawość małego detektywa. Przez dziurkę od klucza ujrzał trzech uzbrojonych drabów, biegających dokoła fotela, pod którym legł pierwszy z trzech ręcznych granatów. Jeden z nich potknął się o dywan, przyklęknął i w tej chwili otrzymał morderczy cios kolbą w głowę od towarzysza, który biegł tuż za nim. Tego ogromnego draba najprędzej ogarnęła furia. Ująwszy karabin oburącz, blisko wylotu lufy, puścił tę ciężką maczugę w strasznego młyńca i runął jak burza na dwóch kolegów, którzy w dalszym ciągu kręcili się w koło, bełkocąc przy tym niesamowicie. A za biurkiem. Miercew na spółkę z Czangiem masakrowali profesora, który bronił się z głuchą zawziętością.

Rafał przyskoczył do najbliższego okna, otworzył je i krzyknął po rosyjsku, starając się nadać głosowi brzmienie możliwie niskie, basowe:

— Na pomoc!... Wszyscy!... Prędzej!

— Ilu ma przyjść, towarzyszu? — spytał jakiś głos z ciemności.

— Dziesięciu chłopa — ryknął mały detektyw, zatrzaskując okiennicę.

Odgłosy zaciekłej walki, dobiegające z gabinetu profesora, pouczyły przybywających, w którą stronę mają spieszyć z odsieczą swoim. Tylko małą chwileczkę nadsłuchiwali w korytarzu, potem ruszyli biegiem ku... swemu przeznaczeniu! W korytarza aż się rozlegało od tupotu dwudziestu rozpędzonych nóg...

Wpadli do zagazowanego pokoju i osłupieli na moment, widząc, że ich poprzednicy nie walczą bynajmniej z kimś obcym, nieznanym, ale tłuką się wzajemnie po łbach i gdzie popadło.

— Rozłączyć walczących — krzyknął ktoś tonem komendy. — Karabiny odstawić, osły głupie... Hej, ty, Nika, oszalałeś? Na mnie rękę podnosisz?

— Nika, to ten olbrzym — domyślał się Rafał. Przywdział już maskę gazową i przez jej okulary spoglądał na „pole walki".

— Won!... Swołocz!... Skatina![2]

— Pomóżcie mi — jęknął ów starszy, zdzielony kolbą po łapach.

— Towarzyszu Miercew, tak nie można — perswadował inny głos — przecież to nasz… towarzysz Rusanow!

— Rusanow? He, he, he. To Bobak! Ten Polaczek przeklęty!

— Puść!... Oooooch!

— Ja ci dam, ...synu!

Trzech najmniej odpornych z drugiego oddziału już gniew ponosił. Lecz znalazł się wreszcie ktoś, któremu niezrozumiałe zachowanie się kolegów od razu podpadło. Ten okrążył walczące grupy, dotarł do biurka i zerwał z widełek aparatu telefonicznego słuchawkę.

— Możesz długo dzwonić — pomyślał mały detektyw, nie szczędząc sobie pochwał, że poprzecinał przewody.

— Mam cię, diabelska Anglico! — zabrzmiał głos Miercewa — teraz ci zapłacę za Borysa Łapina i Laksbergera! — Przycisnął lufkę rewolweru do pleców tego, który stał przy telefonie, i nacisnął cyngiel. Detonacja wystrzału była cicha, jakby stłumiona, podobnie jak przy następnych czterech strzałach, bowiem krwawy zbir, ogarnięty obłędem, podchodził zdradziecko do walczących, przykładał im broń do pleców i dopiero wówczas pociągał za cyngiel, witając upadek każdej ofiary jazgotem histerycznego śmiechu. Ale i na niego przyszła kreska. Nawinął się pod rękę szalejącemu olbrzymowi i legł od jednego ciosu okutej kolby.

— Kapitalny ten gazik — zachwycał się mały detektyw. — Gdybym miał kiedy jędzowatą teściową, posłał bym jej na imieniny jedno takie metalowe jajeczko... No, ale pora pomyśleć nad tym, jak odciąć odwrót niedobitkom.

Odemknął drzwi z klucza, wyszedł z jadalni na korytarz, co w jego zmilitaryzowanym obecnie narzeczu nazywało się *odcięciem wroga od jego bazy operacyjnej*. Skradając się wzdłuż ściany, dotarł do uchylonych drzwi od gabinetu profesora i zamknął je cichuteńko. Tylko jeden czekista zoczył go, ale rzucił się wstecz z okrzykiem przerażenia.

— Trzeba przyznać — mruczał Rafał, przekręcając klucz w zamku tych drzwi — że w masce gazowej wynalazku Rusanowa nie wygląda się ponętnie. Ja sam omal nie zemdlałem, gdym ujrzał Scanlana w tym kostiumie.

W samą porę drzwi zamknął. Nie upłynęło ani dziesięć sekund, gdy ktoś z uwięzionych wewnątrz zaczął je bombardować pięściami, usiłując się wydostać z tego piekła, z tego środowiska szaleńców zarażonych tajemniczą epidemią. Ale i on już należał do tego grona. Odbiwszy się od zamkniętych drzwi, rzucił się w największą ciżbę walczących, tnąc na oślep bagnetem.

— Całe szczęście, że ta chałupa stoi w przyzwoitej odległości od innych kamienic — myślał mały detektyw, wsłuchując się w odgłosy piekielnej wrzawy. — Cztery minuty i jeszcze stękają? — zdziwił się po chwili. Wrzawa przycichła, lecz spoza zamkniętych drzwi dobiegały echa bolesnych jęków.

Odczekawszy jeszcze pół minuty, zdecydował się na „zwiedzenie pobojowiska". Kierowała nim przede wszystkim ciekawość, choć wmawiał w siebie, że musi tam iść w tym celu, by obliczyć, ilu przeciwników mu ubyło. Odemknął drzwi ostrożnie i, potrząsając w dłoni ręcznym granatem, przestąpił próg.

Pracownia profesora przedstawiała żałosny widok. Nawet ciężkie biurko nie oparło się niszczycielskiej furii szaleńców, więc co dopiero mówić o lżejszych meblach, jak fotele, krzesła, stolik i kanapa. Przygniatająca większość zwłok nosiła krwawe ślady ciosów, otrzymanych od obłąkanych towarzyszy niedoli, ale za kanapą znalazł Rafał dwóch czekistów, którzy nie byli nawet zadraśnięci; wyglądali, jak gdyby ich sen zmorzył, tylko wybałuszone oczy i zwisające języki świadczyły, że ci dwaj nie ockną się już nigdy z tego snu, w którym ich pogrążył straszliwy *303*, gaz bezbarwny, bezwonny, najbardziej „humanitarny" ze wszystkich trujących gazów, według opinii jego wynalazcy.

Profesor Rusanow leżał na wznak za biurkiem, przywalony przez również już martwego Czanga, którego żółte palce zakończone niezmiernie długimi paznokciami obejmowały szyję profesora. Fiodor Rusanow wyglądał wręcz strasznie i kto wie, czy w momencie śmierci, gdy szpony najwierniejszego sługi dławiły go, odbierając porażonym płucom ostatni haust powietrza, kto wie, czy wówczas nie zmienił zdania o humanitarności gazu *303*… czy nie przeklął swojego diabelskiego wynalazku...

— Odwołuję — pomyślał mały frant, wzdrygając się na widok wykrzywionych gęb tylu pomordowanych — odwołuję stanowczo! Największemu wrogowi nie zaaplikuję więcej tej mikstury. Moja przyszła teściowa zginie jakąś lżejszą śmiercią.

Strach go w końcu obleciał na tym niesamowitym pobojowisku i musiał użyć dużego wysiłku woli, by pozostać tu jeszcze przez chwilę i policzyć zwłoki.

Wtem drgnął. Jeden z leżących usiadł na podłodze i zaczął wiosłować rękami, jak gdyby szukał czegoś. Krzywił się przy tym nieludzko i odsuwał lewą nogę od fotela, który chwiał się lekko. Rafał pojął, co to znaczy, dopiero wtedy, gdy podszedł całkiem blisko. Mianowicie pod fotelem leżał na brzuchu ów olbrzymi czekista i w ostatnich podrygach furii gryzł tamtego w udo.

— Wścieklizna, kołowacizna, wybuchy furii, obłęd!... piękna kolekcja! I tyle milionów ludzi w Europie pragnie gorąco nowej wojny! Wojny chemicznej! — rozmyślał mały detektyw. — Ciekawym, czyby im się nie odechciało, gdyby to tutaj zobaczyli. Tak, tak. Nie ma głupszego bydła, nad… ludzi!

Siedzący czekista osunął się na bok. Chciał coś uchwycić w dłoń, jak się można było domyślić z kurczowych ruchów jego palców.

— Ułamana noga od kanapy ci potrzebna? A na co przyjacielu? — zapytał go w duchu i, jako człowiek uprzejmy, przysunął stopą ten przedmiot. Wówczas tamten zachichotał piskliwie, klasnął w dłonie z uciechy, pochwycił oburącz ułamaną nogę od kanapy i zaczął nią tłuc po łbie umierającego olbrzyma. Kilka sekund trwała tylko ta makabryczna scena, bowiem i ten także gonił ostatkiem sił. Runął na wznak i skonał, zanim oniemiały Rafał zdołał mu wyrwać ten niewinny kawałek drewna, który pod wpływem „humanitarnego" wynalazku profesora Rusanowa zamienił się w narzędzie zbrodni.

Mały detektyw zmykał z pobojowiska, ścigany wspomnieniem ohydnej sceny tego zabójstwa. Dopiero w korytarzu ochłonął z wrażenia.

— Tam, przy bramie pozostał jeszcze jeden — pamiętał — no, ale skoro ktoś w ciągu dziesięciu minut umiał rozciągnąć siedemnastu dobrze uzbrojonych drabów, to tego chłystka załatwi się śpiewająco jednym palcem.

I omal życiem nie przypłacił tej nadmiernej pewności siebie. Czekista znudzony wyczekiwaniem lub raczej zaniepokojony długotrwałą ciszą, jaka zapanowała po wszystkich tych hałasach, opuścił swój posterunek, wszedł do sieni i u wylotu korytarza wpadł na Rafała zdejmującego właśnie maskę. Rozpoczęła się zajadła bijatyka na pięści. Mały detektyw byłby niewątpliwie uległ silnemu przeciwnikowi, gdyby nie szybka interwencja sir Jamesa, który zbiegł po schodach i jednym ciosem w skroń zakończył walkę.

— Dziękuję panu — rzekł Rafał zadyszanym głosem. — Byłbym sobie sam poradził bez niczyjej pomocy.

— No, nie bardzo.

— Pan wątpi? Proszę zatem przywdziać tę maskę gazową i zwiedzić gabinet profesora. Tam pan zobaczy, ilu wrogów rozciągnąłem tą oto prawicą.

Po krótkiej wymianie słów, sir James udał się na pobojowisko w masce, nie zamierzał się pozbawić tej emocji, a z drugiej strony powątpiewał mocno w prawdziwość relacji małego blagiera.

— A niech pan drzwi potem pozamyka, sir... Ja idę po Daisy. Punkt zborny w garażu, czyli w tej szopie za studnią — komenderował Rafał i krokiem zwycięzcy pomaszerował na pierwsze piętro.

Ostatnią przeszkodą do pokonania był niespodziewany opór Daisy. Wiadomość o zwycięstwie Rafała przyjęła z kamienną obojętnością, lecz gdy sir James przynaglił ją do pośpiechu, ocknęła się z apatii.

— Uciekajcie sami. Ja się stąd nie ruszę bez George'a — oświadczyła kategorycznie. Żadne perswazje nie pomogły, aż wreszcie Rafał musiał się uciec do podstępu, którego skutki

okazały się potem bardzo przykre.

— Czyż pani jeszcze nie odgadła, że jej mąż znajduje się już na pokładzie sterowca? Że Fiodor Rusanow panią okłamał? — rzekł z tupetem, a skoro już raz wziął rozpęd, bił wszelkie rekordy w zmyślaniu.

Uwierzyła. Uczepiła się kurczowo tej myśli, że jej najdroższy George czeka już na nią i razem dzisiaj odlecą. Teraz ona ich przynaglała do największego pośpiechu, zwłaszcza Rafała, który musiał ponownie ucharakteryzować się na żółtego szofera.

— Wabię się Tsien i jestem niemową od urodzenia, co proszę sobie spamiętać — pouczał swoich towarzyszy. Doradził też sir Jamesowi, by przez wzgląd na milicjantów, ubrał na siebie płaszcz i czapkę profesora. Obie te części garderoby znajdowały się na szczęście w pokoju Daisy, gdyż zaniósł je tam George Scanlan po swym przyjeździe ze Stalingradu.

Rafał poszedł przede wszystkim otworzyć bramę wjazdową. Tu jeden z milicjantów zagadnął go z wymownym uśmiechem, co słychać w domu…

— Eeełebełebełeme — zabełkotał utalentowany „niemowa", wymachując rękami na znak, że chwilowo nie ma czasu na miłą pogawędkę,

— Przecież on nie umie mówić — rzekł drugi milicjant, podchodząc ku bramie.

— Chciałbyś, durniu być takim mówcą jak ja — pomyślał rzekomy Chińczyk i maleńkimi kroczkami pobiegł w głąb dziedzińca.

Ryk znajomej syreny postawił obu milicjantów na baczność. Rafał całkiem zbytecznie wychylił się z auta i dawał znaki na migi, że bramę należy zamknąć; usłużni milicjanci kopnęli się na wyścigi, aby to zrobić. Potem odbyli krótką naradę, w trakcie której ustalili co następuje: po pierwsze, że nie ma kogo pilnować, skoro towarzysz Rusanow autem odjechał i wróci zapewne wieczorem, jak zazwyczaj; po drugie, że ci z Czeki nie lubią żadnej kontroli; po trzecie, że wobec tego można sobie pozwolić na dwugodzinny urlop albo i trochę dłuższy. Odeszli więc, snując rozmaite domysły na temat przyczyn nocnej wizyty towarzyszy-czekistów.

— Myślałem, już że sam Rusanow coś przeskrobał — powiedział starszy wiekiem milicjant — ale nie. Ani ta ładna, skoro z nim odjechała. Tylko ten bestia Anglik... — Tu na okrasę dorzucił parę rdzennie rosyjskich wyzwisk, które mocno uwłaczały czci nieboszczki matki sir Jamesa Rabbita, czcigodnej lady Victorii Rabbit z domu Cabbage[3].

Rafał Królik błądził trochę po Moskwie, lecz w końcu dopytał się o drogę i trafił, gdzie trzeba. Sir James pozostawił w aucie płaszcz profesora i wystąpił tutaj już pod własną firmą. Walizki przetrząśnięto im bardzo skrupulatnie, lecz zarówno ta rewizja, jak i kontrola paszportów przeszła szczęśliwie dla obojga Anglików. Rafała wylegitymował sir James w ten sposób:

— To jest szofer profesora Rusanowa. Odniesie nam walizki do kabin, po czym zaraz wróci.

— Możecie długo czekać — mruknął w duchu mały detektyw, i mistrzowskim bełkotem niemowy rozproszył ostatnie skrupuły sowieckich urzędników.

Z załogą angielskiego sterowca poszło znacznie łatwiej. Sir James dogadał się szybko z rodakami, zresztą zapłacił przecież za dwie kabiny.

Daisy zaczęła zdradzać niepokój, choć nie podejrzewała na razie, że ją okłamano, że biedny George w tej chwili już przebywa w Stalingradzie,

— Zapanujże nad sobą, kobieto — upomniał ją Rafał, dzwoniąc zębami na widok dygnitarzy bolszewickich, którzy przybyli pożegnać angielskich żeglarzy — czyż nie pojmujesz, że on nie może się teraz tu pokazać?

Komendant sterowca, mister Frank Allanson oznajmił w pewnej chwili, że start balonu nastąpi za piętnaście minut.

— Czy nie można by przyśpieszyć tego terminu — jęknął Rafał, licząc sekundy, wlokące

się powoli, uciążliwie jak noce bezsenne. — Ach, psiakość!... Zapomniałem! — krzyknął nagle.

— Czegóż takiego?

— Maski gazowej, którą chciałem zawieść do Polski. Została w pańskim pokoju, sir, na stoliku obok łóżka.

— Jeszcze by pan może zdążył — zażartował sir Rabbit.

— Hę? Gdyby to była walizeczka z brylantami wartości miliarda dolarów, gdyby *R 104* startował dopiero za dwie godziny, także bym nie wrócił do tego przeklętego domu — odparł Rafał Królik, cierpnąc na samą myśl o takiej wycieczce. — A teraz idę spać. Sądzę, że obejdzie się beze mnie przy wzlocie, i że nie obudzicie mnie prędzej, aż dopiero wtedy, gdy pod nami będzie Warszawa.

Te przewidywania nie miały się spełnić. Było zaledwie po dziesiątej, gdy silne szarpnięcie obudziło Rafała.

— Daisy rozpacza? — spytał, zauważywszy posępną minę sir Jamesa, który mu przerwał zasłużony odpoczynek i teraz przechadzał się nerwowo po kabinie.

— To także. Jest bliska szaleństwa. Chciała wyskoczyć. Doszło do tego, że musieliśmy biedaczkę związać. Jedna z pasażerek czuwa nad nią… Ale zaszło coś nierównie gorszego dla niej i dla wszystkich!

Rafał wyskoczył z łóżka, jakby go sprężyna wyrzuciła.

— Bolszewicy już wiedzą? — wykrztusił przerażony.

— Tak! I wezwali radiodepeszą sterowiec, by natychmiast zawrócił!

— Rany boskie! No, ale nie zawrócimy chyba. Ten Frank Allanson wygląda mi na dzielnego chłopca.

— Dał też odpowiedź odmowną; zaznaczył, że jeżeli mordercy Rusanowa znajdują się rzeczywiście na pokładzie *R 104*, to policja angielska wypełni swój obowiązek... No, tak. Ale czy to uspokoi rozwścieczonych bolszewików?

— Ja także w to nie wierzę. Chodźmy do Allansona.

Wkroczyli do kabiny komendanta właśnie w tej chwili, gdy odczytywał tekst odpowiedzi bolszewików. Ponawiali swe żądanie, dodając, że jeżeli balon natychmiast nie zawróci, potrafią go do tego zmusić.

— To znaczy: zestrzelą nas — rzekł sir James z nagłym ożywieniem. Już wietrzył nowe emocje i zacierał chude ręce, jakby się cieszył.

— Guzik zestrzelą. Czy nie możemy się wzbić wyżej?

— Zapomina pan o samolotach — wtrącił chmurnie Allanson. Usiadł natychmiast i na poczekaniu zredagował nową depeszę. — Odpowiem im, że nie mogę zmienić programu podróży bez zgody mojego szefa, że muszę się skomunikować z Londynem.

— Osobiście! — podpowiedział skwapliwie Rafał.

— Niestety, tylko przez radio.

Już w pół godziny nadeszła nowa „nota dyplomatyczna". Bolszewicy zgadzali się na rozmowę z Londynem, ale żądali, aby sterowiec przerwał lot ku polskiej granicy i czekał w powietrzu na rozstrzygnięcie.

— Aha, chcą zyskać na czasie! Przez ten czas wyślą do Moskwy samoloty i odetną nam odwrót. Zmykajmy, to moja rada — wolał Królik.

— Pan jest optymistą, młody człowieku. — Komendant Allanson wyglądał na zniecierpliwionego. — Samoloty mogą wysłać równie dobrze z Mińska. Poza tym pragnę panu przypomnieć, że wstęp do kabiny komendanta jest wzbroniony pasażerom… Sądzę, że pan zrozumiał?

Rafał zrozumiał nie tylko to. Obok dwóch młodszych oficerów sterowca ślęczało nad

mapą i jeden z nich orzekł, że od granicy Polski dzieli balon godzina lotu. Marna godzina! I w takiej chwili ich życie znowu ma zawisnąć na włosku? Któż ręczy, czy Allanson nie zawróci do Moskwy? Czy dla ocalenia trzech osób zechce narazić na zagładę kosztowny balon i życie kilkunastu członków załogi, nie mówiąc już o pasażerach.

— Plajta — mruknął mały detektyw; że zaś w obliczu śmierci miewał najdziksze pomysły, zdecydował się w ciągu trzech sekund urządzić tutaj „zamach stanu".

— Ręce do góry! wrzasnął nagle. W jednej ręce trzymał rewolwer, w drugiej mały przedmiot metalowy, podobny do kurzego jaja. — Komendancie Allanson, trzymam tu granat ręczny z gazem *303*. Sir James może pana poinformować, jak piorunująco działa ta mikstura... Wyżej rękę, poruczniku albo strzelę w łeb! — upomniał jednego z osłupiałych oficerów. — Teraz uwaga. Wyślecie do Moskwy depeszę, że tam zawrócić nie możemy z powodu przeciwnych wiatrów. Zamierzamy wylądować pod Witebskiem i tam niech przygotują, co potrzeba. No, proszę pisać, do pioruna, albo puszczam gaz! Rozkaz dla pierwszego mechanika brzmi: Wciąż w górę, wciąż naprzód całym gazem.

— Stój pan, na Boga! — wrzasnął sir James, widząc, że mały zamachowiec odsuwa palcem sztyft granatu. — Komendancie, zgódź się pan, błagam. On gotów na wszystko!

— Ja także! — warknął Allanson, pieniąc się w bezsilnym gniewie.

— Proszę bardzo. Zobaczymy, kto lepiej na tym wyjdzie.

— Jego plan miałby szanse powodzenia, komendancie — wtrącił znów sir James, wskazując na wypukłe okienko, poza którem kłębiły się chmury.

— Liczę do trzech, po czym rozpoczynam kroki wojenne — oznajmił Rafał. — Raz! — Odwiódł bezpiecznik rewolweru bardzo ostentacyjnie. — Dwa!...

— Dobrze — wykrztusił blady jak trup komendant *R 104*. — Spróbuję umknąć bolszewikom, ale, tak czy owak, pan mi zapłaci za terror i...

— Milczeć i słuchać! — brawurował zwycięzca. — Depesza już zredagowana? Czy mam zamianować innego komendanta na czas mojej tu obecności? Pan dopilnuje osobiście radiotelegrafisty. Czy się już wznosimy w górę, do krocset tysięcy granatów stalingradzkich?

Rafał czuł się doskonale w roli zwycięskiego dyktatora. Rżał ze śmiechu, gdy w dwadzieścia minut później nadeszła odpowiedź z Moskwy, że w Witebsku będzie wszystko przygotowane na przyjęcie sterowca. Ale zrzedła mu mina po nadejściu drugiej depeszy, zredagowanej w tonie niezwykle ostrym i żądającej natychmiastowego obniżenia lotu.

— Nie odpowiadać! To podstęp. Chcą pelengiem ustalić, gdzie się w tej chwili znajdujemy.

Komendant Allanson chwiał głową ze zdziwienia.

— On ma rację — mruknął do drugiego oficera. — Niegłupi facet.

Chciał protestować, gdy w jakiś czas potem Rafał polecił zamknąć wszystkie motory, ale w końcu ustąpił. Balon posuwał się znacznie wolniej, popychany tylko sprzyjającym wiatrem, lecz za to żaden łoskot nie zdradzał jego kryjówki w chmurach Za to oni posłyszeli dwukrotnie warczenie potężnych silników. Jak było do przewiania, samoloty bolszewickie szukały „perfidnych" Anglików w przestworzach.

Dopiero koło godziny dwunastej w południe zdecydował się Rafał puścić motory w ruch na powrót, ale polecił na razie utrzymywać balon na tej samej wysokości. Kiedy mu zameldowano, że sterowiec minął Nowogródek, udał się osobiście do kabiny radiotelegrafu i kropnął sobie sążnistą depeszę do Moskwy, czyniąc bolszewikom propozycje tak niedwuznaczne, że biedny telegrafista zaczął protestować.

— W życiu takiej depeszy nie nadawałem — tłumaczył się.

— Możliwe, bo ja także. Obaj więc zadebiutujemy — odparł Rafał i nie wyszedł stamtąd,

dopóki ostatnie słowo niezwykłej depeszy nie pożeglowało w przestrzeń na falach eteru, potem wrócił do kabiny komendanta i oddał mu swój rewolwer. — Dyktator idzie na emeryturę, komendancie.

— Aresztuję pana!

— Z przyjemnością. To zwykły epilog wszystkich dyktatorów. Wolę zresztą angielskie więzienie, niż Łubiankę.

— Pidcock, odprowadzicie tego pana do jego kabiny i tam go zamkniecie, zrozumiano?

— Za pozwoleniem. Czy tam jest obok wygódka?

Sir James zgodził się chętnie podzielić los więźnia, któremu zresztą tylko ptasiego mleka brakło do szczęścia. Raz po raz ktoś zaglądał do kabiny przez okienko, by uścisnąć dłoń „spensjonowanego" dyktatora.

— Największą sztuką w karierze jest podać się do dymisji we właściwym momencie — dowodził Rafał — wtedy nawet satrapę ludzie kochają, za to, że wreszcie poszedł do wszystkich diabłów. Nie uważa pan, sir?

— Och, drogi panie. Wszystko co pan mówi, to można brać na wagę złota!

— Ba, drogi przyjacielu. Nie twierdziłby pan tego, gdybyś znał treść mej depeszy do Moskwy. Tak konkretnych propozycji jeszcze nikt nie otrzymał... Cóż to za śliczne jezioro! — wykrzyknął nagle i wychylił się przez okienko. Nowy pomysł strzelił mu do niespokojnej głowy. Pobiegł do szuflady, powrócił na dawne miejsce z małym pudełkiem i jął wyrzucać przez okno jeden ręczny granat za drugim. — Niech zginie w jeziorze to paskudztwo — zawołał.

— Co pan robi — krzyknął sir James, chwytając go za rękę — przecież to trzeba dać do analizy instytutom chemicznym.

— A, do licha! Racja! No, jeden mi jeszcze pozostał... Ale i za ten jeden otrzymam komandorię. Chce się pan założyć?

— Owszem, bo pragnę przegrać.

— Ale o co?

— Musimy obmyśleć gruntownie.

Rafał odniósł do szuflady ostatni granat ręczny, jaki mu został z tuzina, po czym usiadł obok sir Jamesa i zaczęli radzić nad tym, co będzie stanowiło premię ich zakładu…

---

[1] *Sław, muzo, wielce walecznego męża…* – Parafraza początku *Odysei* Homera.

[2] skatina (ros.) – bydło.

[3] Cabbage (ang.) – Kapusta.

EPILOG

Po wywiadzie udzielonym prasie w Londynie Rafał Królik stał się najpopularniejszą osobą w Europie. Jedni okrzyknęli go bohaterem i najgenialniejszym detektywem, drudzy twierdzili, że większego blagiera świat jeszcze nie widział. Niemniej cały świat rozbrzmiewał echami ucieczki sterowca *R 104* z Rosji, a tu już zasługi Rafała Królika były niezbitym faktem, potwierdzonym zgodnymi zeznaniami wszystkich członków załogi balonu.

Blisko dwa tygodnie gościł sir James swojego polskiego przyjaciela i razem odwiedzali biedną Daisy, przychodzącą powoli do zdrowia w lecznicy, aż pewnego dnia Rafał oświadczył, że musi wracać do Warszawy. Nie przestał nigdy żałować, że tak wcześnie „podał się do dymisji" i nie zmusił Allansona, aby ten wylądował na lotnisku mokotowskim.

Na dworcu w Warszawie czekał tłum, ale była to garstka w porównaniu z tym mrowiem ludzkim, jakie zalegało wszystkie ulice którymi musiało przejeżdżać auto wiozące Rafała do domu jego przyjaciela Szafrana.

— Tak, tak, Balciu. Odkryłem Stalingrad, gaz *303*, ale i nową drogę z Moskwy do Warszawy — paplał uszczęśliwiony — nie jest to droga najkrótsza, ale bardzo wygodna. Jak wiesz, jechałem via Londyn.

Z tydzień trwały oficjalne i nieoficjalne przyjęcia, aż w końcu Rafał przypomniał sobie przywieziony granat ręczny i złożył go we właściwe ręce, nadmieniając, zresztą zgodnie z prawda że miliony mu ofiarowano w Londynie za to „jajko". I znowu upłynęło kilka dni w tęsknym oczekiwaniu na pochwałę za tak patriotyczny prezent, aż pewnego dnia przyszła wiadomość...

— Mam się stawić w *emeswojsk* — wrzasnął Rafał, wpadając jak wicher do gabinetu Baltazara Szafrana. — Prawdopodobnie sam *Dziadek*[1] będzie ze mną gadał... Komandoria murowana! Ty możesz mi mówić po staremu *Rafciu*, ale od innych wymagam szacunku od dzisiaj! Hej, Karol! — ryknął na służącego. — Od dzisiaj tytułuje się tutaj obecnego pana Królika per *panie komandorze*, zrozumiałeś, barania głowo? No, pochlebiłem ci z tym *baranem*. Znałem genialnego człowieka, któremu racja stanu kazała przez kilka dni nosić strój barani...

Nazajutrz Rafał wysztafirowany na ostatni guzik, w przydługim anglezie Szafrana, pojechał taksówką do gmachu Ministerstwa Spraw Wojskowych. Już to go niemile dotknęło, że skierowano go do jakiegoś referenta, będącego zaledwie majorem, kiedy on liczył na pewniaka na audiencję u ministra.

— Ach, to pan? — skrzywił się ów referencina, patrząc z politowaniem na petenta, wyglądającego w nieszczęsnym anglezie na wikarego, który odziedziczył sutannę po rosłym proboszczu. — Ładnieś się pan spisał!

— No, myślę! — odparł Rafał, prężąc piersi i w ogóle te części ciała, na których zawiesza się błyszczące świecidełka zwane orderami.

— Czy pan wie przynajmniej, co zawierał pański ręczny granat?

— Pewnie, że wiem! Zawierał skroplony gaz *303*, który w zetknięciu z powietrzem działa baaa...

— Skroplony? Cha, cha, cha. Coś go za mocno skroplono. Oto jest wynik analizy,

przysłany nam z instytutu chemicznego. — Tu pan major potrząsnął cieniuteńką teczką, oznaczoną obiecującym napisem: *Sprawa Stalingradu, ściśle poufne, tajne*, otworzył ją i jął palcem żgać jakiś papier. — Oto wynik analizy. Granat dostarczony przez pana nie zawierał absolutnie innych składników poza... H_2O! Rozumie pan?

— Rozumiem — bąknął niedoszły „komandor" — rozumiem, ha, oraz dwa o... dwa zera...

W rzeczywistości nic nie rozumiał, bowiem resztki szkolnych wiadomości z dziedziny chemii zamarzły mu w głowie całkowicie po tak oziębłym powitaniu. Nie zorientował się tedy, że *H_2O* oznacza całkiem pospolity płyn, zwany w codziennym użytku... wodą! Był to właśnie ten jedyny granat, który George Scanlan zdążył unieszkodliwić. Na dwadzieścia ręcznych granatów zawierających najstraszliwszy z trujących gazów, ten jeden tylko był napełniony wodą, i pech chciał, że właśnie ten granat przywiózł Rafał do Warszawy, gdy wszystkie inne utopił w jeziorze.

— Jeżeli ów legendarny Stalingrad jest równie groźny jak takie granaty — ciągnął dalej zgryźliwy referent — to gwiżdżę na bolszewików i na ich „straszliwe" przygotowania do wojny chemicznej.

— Pan major sądzi może — zawołał Rafał płaczliwie — że to ja nalałem wody do tego granatu?

— Gdybyśmy tak sądzili, kochany panie — odparł wojskowy, mrużąc oczy w sposób nieopisanie złośliwy — gdybyśmy tak sądzili, to nie ja rozmawiałbym z panem w tej chwili, ale ktoś... mniej przyjemny. Powiedzmy prokurator... Na szczęście dla pana należę do tych ludzi, którzy od samego początku uważali ów tajemniczy Stalingrad za sprytny bluff!

— Pan uważa to za bluff!? — jęknął biedny Rafał.

— No, oczywiście, oczywiście... Hm, tak.. Ale panu pewnie się śpieszy? Ach, wobec tego nie śmiem kraść jego cennego czasu... I żegnam.

Rafał skłonił się oschle, ruszył szybko ku drzwiom i runął jak długi, nadepnąwszy połę anglezu, który go wciąż łaskotał po kostkach.

Baltazara w domu nie zastał, za to służący Karol przerwał mu zaraz na wstępie żałosne rozmyślania, meldując służbiście:

— Są trzy listy dla pana komandora. Czy pan komanddd...

— Milcz, idioto! — ryknął mały detektyw, wyrywając owe trzy listy, wszystkie trzy z zagranicznymi znaczkami — jeżeli jeszcze raz ośmielisz się mi ubliżyć...

— Ja? Ubliżyć? Panu komandorowi?

— ...ubliżyć powiadam, używając podobnych wyzwisk jak *komandor*, to...

— Przecież sam pan komandor mówił, że należy mówić panie komandorze...

— ...to ci tak jadaczkę obiję, że...

— Ja nic nie rozumiem panie komandorze — jęknął ogłupiały Karol.

Rafał pomógł mu wyjść za drzwi i ciężko opadł na fotel. Dłuższa chwila upłynęła, zanim sobie przypomniał, że to, co trzyma w garści, to listy.

— Z Piany na Korsyce, od Solarskiego — mruknął i czytał:

Kochany Panie Rafale!

Z podziwem czytam w tut. dziennikach o Pańskich bohaterskich wyczynach w Rosji. Jestem dumny, że przez jakiś czas byliśmy kolegami.

A poza tym jestem Panu nieskończenie zobowiązany za to wszystko, co Pan uczynił dla mnie i dla mojej kochanej dziewczyny. Powiedziała mi wszystko i zwolna przychodzi do siebie po tych wstrząsach straszliwych.

— A to od poczciwego Jamesa, naturalnie, poznaję pismo...

Drogi Przyjacielu!

Spieszę Ci donieść, że stan zdrowia Daisy poprawia się z każdym dniem. Ryzykowny pomysł doktora B.W. wydaje nader pomyślne owoce i biedna Daisy wierzy już święcie, że swojego George'a wcale w Rosji nie spotkała, że to był tylko sen. Oczywiście nie zamierzam z tego wyciągnąć korzyści i Daisy pozostanie dla mnie na zawsze tylko przyjacielem, podobnie, jak Ty, nasz Zbawco! Nie zaniedbam oczywiście poruszyć wszelkich sprężyn, by wydostać z Rosji nieszczęsnego George'a, ale mówiąc między nami, nie wierzę w sukces mej akcji. Trzeba będzie zaczekać na wybuch rewolucji światowej, która, zdaniem nieboszczyka Rusanowa, uszczęśliwi cały świat i zapewne przyniesie wolność więźniom ze Stalingradu.

A skoro załatwisz swe sprawy przyjeżdżaj do nas czym prędzej i bez krępacji dysponuj kontem czekowym, które pozwoliłem sobie otworzyć na Twe nazwisko w Banku...

— Poczciwy chłop — mruknął Rafał, rozczulony drugim już dowodem ludzkiej życzliwości i wdzięczności. — Od kogóż ten trzeci list? Z New Yorku? Hm, nie znam tam nikogo... Ano,
zobaczymy.

Drogi Kolego!

Przeklinałem Pana, a dzisiaj Go błogosławię, Dorothy okazała się skarbem, którego jej pierwszy mąż, ani też jego „sobowtór", nie potrafili docenić! Tak, tak, wiem wszystko, Kochany Kolego i raz jeszcze dziękuję za tę zamianę ról, na której ja tylko zyskałem!

A kiedy obrzydnie Wam nasza przykra zima, przyjedźcie do nas na parę miesięcy. Mamy śliczny pałacyk w Miami na Florydzie i przyjmiemy Was z otwartymi ramionami. Dorothy prosi Was przez moje usta (a raczej przez mego „watermana"[2]) abyście jej osobiście opowiedzieli o Waszych nadzwyczajnych przygodach w Rosji. Gdybym nie był tak pewny jej miłości, jak jestem, to byłbym zazdrosny, bowiem Dor wciąż Was wspomina...

Rafał spojrzał w okno. Nisko nad miastem wisiały szare cielska chmur, szyby nie obeschły jeszcze po rannym kapuśniaczku, na drzewie drżały z zimna ostatnie pożółkłe liście.

Paryż, w r. 1931

Koniec

[1] *Dziadek* – Tak nazywano marszałka Józefa Piłsudskiego u schyłku życia.
[2] *waterman* – marka eleganckich wiecznych piór.